BIBLIOTEKA
PWSP
KRAKÓW
11.364
20.000

L: 12 h

2559/I

WIEK XIX

STO LAT MYŚLI POLSKIEJ

WIEK XIX

STO LAT MYŚLI POLSKIEJ

ŻYCIORYSY, STRESZCZENIA, WYJĄTKI

POD REDAKCYĄ

BRONISŁAWA CHLEBOWSKIEGO,
IGNACEGO CHRZANOWSKIEGO, HENRYKA GALLEGO,
GABRYELA KORBUTA, MANFREDA KRIDLA.

TOM VIII
WYPISY Nr 881—932

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK ▫ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

11.364

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.
1913

WYKAZ ŻYCIORYSÓW I WYPISÓW.

CXVIII.

KRASZEWSKI Józef Ignacy (1812—1887).

Opracował Br. Chlebowski.

Wypisy Nr. 881—904.

Str.

Życiorys 1
A) Biografia sokalskiego organisty 72
B) Poeta i świat 80
C) Asmodeusz 87
D) Włościanie 92
E) Utwory liryczne 98
F) Mindowe 100
G) Miód kasztelański 105
H) Latarnia czarnoksięska 113
I) Listy literackie 124
J) Dwa światy 132
K) Metamorfozy 138
L) Wieczory wołyńskie 149
Ł) Dziecię Starego Miasta 157
M) Rzym za Nerona 160
N) Program Polski 165
O) Morituri 172
P) Polska w czasie trzech rozbiorów 184
R) Hrabina Cosel 198
S) Ostatnie chwile wojewody 206
T) Stara Baśń 218
U) Z dziennika starego dziada 223
W) Wspomnienia i fantazye 235
Z) W oknie 237

CXIX.

RZEWUSKI HENRYK (1791—1866).

Opracował M. Kridl.

Wypisy Nr. 905—910. Str.

Zyciorys 252
A) Pamiętniki Soplicy 269
Xiążę Radziwiłł Panie Kochanku 269
Tadeusz Rejtan 283
B) Mieszaniny obyczajowe 297
C) Listopad 314
Michał zostaje jurystą 315
Elegancya dwóch światów 321
Wieczór na wielkim świecie 325

CXX.

CHODŹKO IGNACY (1794—1861).

Opracował W. Borowy.

Wypisy Nr. 911-916.

Życiorys 329
A) Próby nowego dykcyonarza 334
B) Boruny 337
C) Pamiętniki kwestarza 342
Sejmiki polockie w Uszaczu 342
Wieczorynka 344
Sesya sejmikowa 348
Pamiętniki kwestarza 358

CXXI.

SZTYRMER LUDWIK (1809—1886).

Opracował A. Drogoszewski.

Wypisy Nr. 917—921.

Życiorys 360
A) Urywki z pamiętnika oryginalnie wychowanej kobiety 365
B) Frenofagiusz i Frenolesty 367
Metampsykoza 367
Matka 368
C) List z Polesia 371

CXXII.

SZAJNOCHA KAROL (1818—1868).

Opracował Br. Chlebowski.

Wypisy Nr. 922—926.

Str.
Życiorys 374
A) Bolesław Chrobry 383
B) Odrodzenie Polski za Łokietka 390
C) Szkice historyczne 398
D) Jadwiga i Jagiełło 407
E) Dwa lata dziejów naszych 417

CXXIII.

MORAWSKI TEODOR (1797—1879).

Opracował Wacław Tokarz.

Wypisy Nr. 927.

Życiorys 432
Dzieje narodu polskiego 443

CXXIV.

MORACZEWSKI JĘDRZEJ (1802—1855).

Opracował Tad. Kupczyński.

Wypisy Nr. 928.

Życiorys 451
Dzieje Rzeczypospolitej początku XVII w. 457

CXXV.

ŁUKASZEWICZ JÓZEF (1797—1873).

Opracował St. Kot.

Wypisy Nr. 929—930.

Życiorys 461
A) Mikołaj Czarny Radziwiłł, patron reformacyi 470
B) Uwagi nad szkołami jezuickiemi 474

CXXVI.

BIELOWSKI AUGUST (1806—1876).

Opracował Tad. Kupczyński.

Wypisy Nr. 931—932.

Życiorys 481
A) Pieśń o Henryku Pobożnym 488
B) Wstęp krytyczny do dziejów Polski 493

SPROSTOWANIA.

Str.	269	w.	10	z góry	zamiast:	Wilkoński	ma być:	Wilkońska
»	»	»	15	»	»	»Historya powieści polskiej«	»	»Historyczna powieść polska«
»	481	»	11	»	»	August Bielowski	»	Bielowski August.

CXVIII.

KRASZEWSKI JÓZEF IGNACY.

(1812—1887).

Budziciel życia duchowego i pracy społecznej w ciężkich warunkach bytu dziejowego, wywołanych klęskami r. 1831 i 1863; poeta-powieściopisarz, twórca kilku tysięcy postaci z życia współczesnego i przeszłości, uświadamiających ogółowi stan moralny i kulturalny różnych sfer społecznych i pokoleń; publicysta, historyk, krytyk, redaktor, wydawca, wielki zarówno ogromem półwiekowej pracy, jak i sumą dobrej woli i zapału, włożoną w rosnącą z latami różnokierunkową działalność społeczno-literacką — Kraszewski zajmuje donioślejsze o wiele stanowisko w dziejach naszego życia wewnętrznego, naszej pracy kulturalnej, niż w historyi literatury, — jest większym, zasłużeńszym jako niezmordowany pracownik, zastępujący społeczeństwu brakujące mu instytucye oświatowe, niż jako uzdolniony pisarz, poświęcający świadomie swój artyzm potrzebom i celom społecznym jedynie.

Niezwykłość zjawiska, jakiem jest zarówno twórczość literacka jak i cała rozległa działalność Kraszewskiego, wymaga bliższego rozpatrzenia się w szczegółach jego dzieciństwa i młodości, wpływach otoczenia rodzinnego, wychowania szkolnego i stopniowo zdobywanej świadomości własnych uzdolnień i nasuwających mu się rozlicznych zadań.

Kraszewscy h. Jastrzębiec pochodzą z Mazowsza; pradziad Józefa przesiedlił się na Ruś Czerwoną i po nim to zapewne przeszedł na wnuka Jana, wcześnie osieroconego wychowańca szkół pijarskich w Lubieszowie, tytuł »łowczyca trembowelskiego«. Nadszarpnięte rządami opiekunów dziedzictwo młodziana stanowiła wioska Dołhe, leżąca pod Prużaną w Grodzieńskiem. Młody ziemianin, żywy, towarzyski, skłonny do hulanek, wobec szybko topniejącej fortuny szuka ratunku w małżeństwie. Poślubia on Zofię Malską z Romanowa na Podlasiu, w maju r. 1811. Pod wpływem żony pobożnej, statecznej,

dość wykształconej, zmienił dotychczasowy tryb życia, spoważniał, oddał się obowiązkom rodzinnym i gospodarstwu. Wobec nadchodzącej z wiosną r. 1812 burzy wojennej, wywiózł młodą małżonkę, dla bezpieczeństwa, do Warszawy i tu, w dniu 28 lipca 1812 r., w parterowym domku, przy ulicy Aleksandrya, (dziś Szpital dla dzieci) przyszedł na świat — jako wątłe i drobne dziecię — przyszły olbrzym pracy i twórczości niezwykłej. Wkrótce po chrzcie syna (6 sierpnia, w kościele św. Krzyża) matka udała się z nim do Romanowa, a następnie, wobec odwrotu armii francuskiej, szukała gościny w Krakowskiem u Sołtyków i Wielogłowskich. Po roku dopiero wróciła do Dołhego; syn zaś został pod opieką babki Malskiej i prababki Nowowiejskiej w Romanowie, gdzie przebywał do jedenastego roku życia, nawiedzając tylko od czasu do czasu rodziców. Chociaż więc chłopiec nie był jedynakiem, bo grono rodzinne składać się będzie następnie z trzech synów i dwu córek, jednakże wychowując się poza domem, śród otoczenia dojrzałych wiekiem krewnych: babki, prababki (zmarłej dopiero r. 1840 w 90 r. życia), dziadka, wuja, Wiktora Malskiego, — był jedynem dzieckiem w tym domu; korzystał więc ze zwykłych przywilejów kochanego i pieszczonego jedynaka. Otoczenie chłopca składało się z dusz zacnych, poważnych i światłych. Babka i wuj Wiktor oddawali się z zamiłowaniem lekturze. Ten ostatni zarówno ze służby wojskowej w armii Ks. Warszawskiego, jak i z podróży do Włoch wyniósł wiele wspomnień; rozległe zaś oczytanie (znał literaturę francuską, włoską, angielską) i upodobania artystyczne (rysował i malował) pozwalały mu zasobami duszy ożywiać wieczorne zebrania rodzinne. Nauczycielką jedyną małego Józia była babka Malska, która go nauczyła czytać i pisać po polsku i francusku, a następnie przygotowała do szkół. W takich warunkach bardzo zbliżonych do tych, w jakich współcześnie przechodziły lata dzieciństwa dwu genialnych jedynaków: Słowackiego i Krasińskiego — rozwijała się w przyszłym poecie-powieściopisarzu cechująca go stale wrażliwość uczuciowa i upodobania literacko artystyczne. Z tego cichego życia dworu romanowskiego wyniósł też tradycye narodowe, przejęte od świadków i uczestników niedawno przerwanego życia politycznego Rzeczypospolitej. Tu widywał jeszcze ostatnich kontuszowców, przybywających w odwiedziny w złotolitych pasach i butach safianowych. Tu słuchał opowieści o głośnym z czynów i pism Niemcewiczu, który r. 1819 zawitał jako gość na Podlasie. Tu również obiło się o jego ucho nazwisko Mickiewicza, którego młodzieńcze »poezye« w wydaniu wileńskim widywał na biurku wuja Wiktora. Wraz z babką odbył w dzieciństwie podróż do Lublina i Warszawy. We wrześniu r. 1822, po zdaniu egzaminu do klasy drugiej, został uczniem szkoły wydziałowej w Białej Podlaskiej. Umieszczono go na stancyi u rektora tej szkoły, Prejssa, człowieka poważnego i zacnego, oddanego całą duszą młodzieży. Z nauczycieli największy wpływ wywierał na młodego ucznia Adam Bartoszewicz (ojciec Juliana, historyka), nauczyciel ma-

tematyki i języka polskiego, który zaznajamiając młodzież z dziejami literatury w dyktowanym zarysie, opartym na książce Bentkowskiego, zachęcał do robienia wypisów z dzieł najlepszych pisarzów i udzielał gorliwszym do użytku swoich wyciągów, z których poznał Kraszewski pisarzów w. XVIII i Brodzińskiego. Na poddaszu gmachu szkolnego znalazł młody uczeń stos starych, poniszczonych w połowie książek, uznanych za bezużyteczne, i z wielką ciekawością rozczytywał się w chwilach wolnych w tych różnorodnej treści drukach. Jednocześnie próbuje tworzyć drobne wierszyki, opisy, przekłada bajki Lafontaine'a, a wreszcie, pod wpływem ogarniającego młodzież prądu, wywołanego twórczością Mickiewicza, układa balladę: »Klasztor na górze«, której końcowy dwuwiersz:

Tak powiadają; ja temu nie wierzę,
Jednakże idąc, odmawiam pacierze.

przypomina tonem pierwsze ballady Adama, a rymami: »Romantyczność«. W r. 1826 przechodzi Kraszewski do szkoły wojewódzkiej w Lublinie. Już w Białej więcej zajmował się lekturą pozaszkolną niż zadaniami szkolnemi, w Lublinie, mając jako starszy więcej swobody, znalazłszy się w towarzystwie szukających rozrywek kolegów, choć nie przestawał czytać, ale tem więcej zaniedbywał obowiązki szkolne, skutkiem czego nie otrzymał promocyi. Ojciec, który widział w różnych wybrykach 15-letniego młodzieńca wpływ pieszczot babki, chcąc mieć syna pod okiem, przeniósł go do gimnazyum w Świsłoczy, maleńkiej mieścinie, własności Tyszkiewiczów, leżącej niedaleko od Dołhego. W pobliżu miasteczka mieszkał świeżo wtedy zmarły poeta, Franciszek Karpiński, którego łączyły bliższe stosunki z dziedzicem Dołhego. W szkołach świsłockich znalazł młodzian dobrego przewodnika w profesorze Walickim, pobudzającym go do bliższego zapoznania się ze staropolską literaturą i językiem, przy pomocy słownika Lindego. Obok obszernych wypisów z dzieł czytanych, zaczął młody uczeń, podobnie jak współczesny mu Wójcicki, zbierać przysłowia i spisywać dawne, wyszłe z użycia wyrazy. Poznaje też w szkole język rosyjski, rozczytuje się w starosłowiańskich zabytkach. Namiętnie oddaje się pozaszkolnej lekturze, bez planu jednak i wytkniętego kierunku studyów. Interesuje go wielce Molière, którego dzieła kilkakrotnie odczytuje. Z zapałem również pracuje nad łaciną i próbuje tłumaczyć Paradoksa Cycerona. W maju 1829 r., na pogrzebie rektora szkoły, Brodowskiego, wypowiedział od uczniów mowę. W tymże roku ukończył nauki i wrócił do domu. Ojciec, który wtedy za spełnianie różnych obywatelskich posług i urzędów otrzymał tytuł chorążego, pragnął, by syn kończył uniwersytet, młodzieniec jednak nie odczuwał specyalnych upodobań do żadnego określonego zawodu ni kierunku pracy. W jesieni r. 1829 przybył wraz z ojcem do Wilna i zapisał się na wydział wymowy i sztuk wyzwolonych, zwany zwykle literackim. Z dawniejszych profesorów pozostał tylko Borowski Leon, uczeń

Grodka, wyznawca pojęć wieku oświeconego, przyjazny wielce dla młodzieży, zachęcający do studyowania pisarzów wieku XVI i czerpania tematów dla twórczości w dziejach i obyczajach narodowych. Po Grodku łacinę wykładał uczeń jego, Hryniewicz, daleki jednak wiedzą i uzdolnieniem od mistrza, po Lelewelu objął katedrę historyi Kukolnik, moralne i umysłowe zero. Dowgird uczył filozofii, którą młody słuchacz niewiele się interesował. Nosi się on z myślą opracowania historyi języka polskiego, dla przyjęcia udziału w konkursie, ogłoszonym przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie, z nagrodą 1000 złp. Zajmuje się też gramatyką arabską, przekłada »Życie Cycerona« Plutarcha, a jednocześnie próbuje swych sił, odtwarzając w drobnych powiastkach obrazki ówczesnego życia małomiasteczkowego. Wobec przewagi panujących śród inteligencyi wileńskiej i ziemiańskiej idei wieku oświeconego — których wyznawcą jest i Mickiewicz w początkowych utworach, prąd romantyczny, mimo szybkiego rozpowszechnienia się ballad, nieprędko i niełatwo zapanuje w dojrzalszych, chłodniejszych duszach. Nic więc dziwnego, iż młody student, w którego duszy, przy szybkim rozwoju zasilanej lekturą inteligencyi uczuć nie rozbudziły silniejsze wstrząśnienia moralne, nie dał się porwać hasłom »Ody do młodości«, ani wstrząsnąć spowiedzią Gustawa, a za to znajdował dla swej ambicyi młodzieńczej zadowolenie w pozie chłodnego obserwatora ludzkich śmieszności i słabości, w stanowisku wolnomyślnego satyryka, chłodno i trzeźwo patrzącego na życie, drwiącego z balladomanii, z bezładnych zapałów, cechujących utwory romantyczne, z wylewających nad niemi łzy panienek i młodzieńców. Przyczyniała się do tego cechująca stale Kraszewskiego wrażliwość na wpływy zewnętrzne i skłonność do przejmowania się kierunkami otoczenia, a przytem związana z tą wrażliwością zdolność obserwowania i odtwarzania wszystkich szczegółów życia realnego — osób i miejsc.

Właśnie w r. 1830 młody nauczyciel gimnazyalny w Wilnie, Hipolit Klimaszewski, uzdolniony humanista, autor rozprawy o pismach Trembeckiego, powziął myśl wydania na rok 1831 »Noworocznika litewskiego« i chcąc pozyskać współudział młodzieży, zwrócił się do znanego mu już Kraszewskiego, od którego otrzymał dwa utwory: »Biografię sokalskiego organisty« i »Wieczór czyli przygody peruki«. Obrazki te, podpisane pseudonimem: »K. F. Pasternak«, ukazały się wprawdzie w »Noworoczniku« z datą r. 1831, lecz powstały w roku 1830 (data cenzury jest: 3 listopad 1830 r.). Jednocześnie w »Bałamucie petersburskim« z dnia 27 grud. 1830 r. pojawiły się: »Kotlety, powieść prawdziwa« zaś »Pan Walery« (Wilno, T. Glücksberg 1831 str. 268) z datą cenzury 21 paźdz. 1830 r. był gotów do druku 30 czerwca 1830 r. Która z tych czterech prób osiemnastoletniego studenta powstała najpierwej, trudno dociec, a przytem nie przedstawia tu kwestya ścisłości chronologicznej tego znaczenia, co np. ustalenie dat twórczości młodzieńczej Mickiewicza. Obrazki i powieści powyższe

tudzież współczesny im »Wielki świat małego miasteczka«, powiastka Kleofasa Fakunda Pasternaka (Wilno, T. Glücksberg, 1832 r. 2 tomy, str. 211 i 214), nosząca datę cenzury 4 czerw. 1830 r., mają za wspólną cechę zaznaczony powyżej chłodny, ironiczny stosunek autora do przedstawianych postaci i wypadków i jako główną pobudkę, zamiar przeciwstawienia cudacznym opowieściom nieudolnych bazgraczy czegoś, coby było »jeżeli nie lepszem, to podobniejszem do prawdy«. Czując się zdolnym do uplastyczniania słowem spotykanych w życiu oryginalnych, mimo swej pospolitości, postaci świata małomiasteczkowego, chce przekonać, iż prawdziwe wizerunki tych postaci i ich drobne przygody mogą więcej zająć myślącego człowieka, niż nieprawdopodobni ludzie i ich nadzwyczajne czyny i przygody w romansach awanturniczych; pragnie, jak się o tem dowiadujemy z »Biografii organisty sokalskiego«, by wobec postaci jego powieści mogli czytelnicy sobie powiedzieć: »jesteśmy im równi lub nimi być możem«. Stąd w prospekcie, który przygotował dla zamierzonego jeszcze w r. 1830 wydania »Pana Walerego« i »Wielkiego świata«, określił te utwory, jako »Kilka obrazów towarzyskich« i szerzej rozwinął swoje myśli o potrzebie takich powieści. Jak Mickiewicz prawdę uczuć głębokich przeciwstawiał sztuczności pseudoklasycyzmu i chłodowi racyonalizmu, tak Kraszewski prawdę pospolitych pojawów życiowych przeciwstawić chce wybujałościom romantycznym, — wprowadzić do powieści polskiej, tak mało i ubogo odbijającej życie współczesne. Dążność ta, rozwijająca się coraz świadomiej w miarę wzrostu koła czytelników, zdemokratyzuje literaturę, która do niedawna odbijała upodobania, pojęcia i dążenia bądź wyższych kół towarzyskich, salonów literackich, bądź — jak twórczość romantyków — była wyrazem porywów i pragnień marzycieli i zapaleńców młodych. Choć więc brano za przedmiot utworów życie różnych sfer, to odtwarzano je ze stanowiska dążeń i pojęć tych kół, śród których i dla których tworzono. Kraszewski zaś staje tu na stanowisku szerokich warstw ziemiaństwa i mieszczaństwa ówczesnego, potrzebujących lektury odpowiedniej ich skali umysłowej, uczuciowej. Możnaby w nim widzieć następcę Niemcewicza, którego przypomina szybkością tworzenia, wielostronnością produkcyi, tendencyjnością utworów, rozwijających kwestye, interesujące ogół w danej chwili. Nieliczni pisarze, stojący na podobnem stanowisku, nie posiadali w tym stopniu co Kraszewski — zdolności dostrzegania i plastycznego odtwarzania drobnych pojawów życia powszedniego i postaci pospolitych. Być może, iż dopiero poznanie utworów Skarbka — przy niewątpliwej znajomości powieści Krasickiego i Niemcewicza — uświadomiło młodego literata o wartości i potrzebie takiego kierunku, same jednak wrodzone zdolności młodzieńca i nietyle wpływ, ile przykład pisarzów francuskich w. XVIII jak Wolter i Lesage, utworów Sterne'a i Skarbka umacniał go w przeświadczeniu o trafności obranego stanowiska. Młodzieńczy wybuch 29 listopada 1830 r. znalazł dość silne echo w uniwersytecie wileńskim, liczącym wtedy do 1200 słuchaczów. Kraszew-

ski, choć nieskłonny do uniesień uczuciowych, poszedł za ogólnym prądem, pod wpływem zwłaszcza popierającego ruch, starszego wiekiem Klimaszewskiego. Aresztowany wraz z wydawcą »Noworocznika« 15 grudnia 1830 r. osadzony został w klasztorze św. Piotra na Antokolu. Klimaszewski zdołał umknąć i wziął czynny udział w wypadkach; Kraszewski zaś, za staraniem rodziny, uznany za chorego, przeniesiony został do szpitala Pijarów. Dalsze starania sprawiły, iż po upadku powstania, zamiast przewidywanego zesłania na służbę wojskową w odległych stronach Rosyi, generał-gubernator wileński, ks. Dołgorukow, uwolnił młodego więźnia w marcu r. 1832, skazując jedynie na pobyt w Wilnie pod nadzorem policyi.

Zamknięcie uniwersytetu wileńskiego, o ile było klęską dla kraju, o tyle dla młodego słuchacza nie miało wielkiego znaczenia, gdyż przywykł on do lektury i studyów niezależnych od wykładanych kursów. Wstrząśnięcie duchowe, wywołane przez wypadki doniosłe dla kraju i przez ich straszne wyniki, nie odbiło się silniej na duszy młodzieńca, odczuwającego głównie swoje położenie, obawę dalszych następstw i troskę o cierpiących przez to rodziców. W każdym razie szesnastomiesięczny pobyt w więzieniu, z widmem groźniejszej jeszcze przyszłości, podziałał na uczuciowość młodzieńca i pracę myśli w odosobnieniu od świata. Niedawny krytyk romantyzmu, ironiczny obserwator pospolitości życia, stanie się miłośnikiem fantastyczności, wielbicielem Hofmana i Jean Paul'a Rychtera, zwolennikiem siły w pomysłach i wysłowieniu. Rozbudzenie uczuciowości odbija się w drobiazgu: »Podróż po mojej szkatułce« skreślonym r. 1831 z dewizą wziętą z czwartej części »Dziadów«, ze wzmianką o Werterze. Wyrazem wzmożenia się uczuć patryotycznych jest zajęcie się przeszłością dziejową, praca nad historyą Wilna, rozpoczęta od gromadzenia źródeł, poszukiwań archiwalnych i bibliotecznych. Namiętne oddanie się lekturze wzrosło jeszcze w zamknięciu więziennem, to też z chwilą oswobodzenia zacznie w Wilnie, w swoim kawalerskim, studenckim lokalu, żywot literata i szperacza, nie gardzącego przecie uciechami życiowemi i nie umiejącego się liczyć z groszem. Wynikłe stąd długi zmuszały do podejmowania dla księgarzy licho płatnych tłumaczeń i przeróbek. Twórczość oryginalna wzmaga się ilościowo i jakościowo. W r. 1832 powstaje »Pan Karol«, powieść fantastyczna (Wilno, J. Zawadzki, 1833 r., 2 tomy, str. 95 i 110) napisana w ciągu trzech tygodni z pomysłu, zrodzonego w przechadzce po Antokolu pod wrażeniem kilku figur pocieszych, spotkanych w »traktyerce«. Z tego czasu również pochodzi rzadki dziś, bo nieznany nawet Chmielowskiemu, później znacznie ogłoszony utwór: »Majster Bartłomiej, czyli piekarz i jego rodzina«, powieść fantastyczna (Wilno, nakład A. Marcinkowskiego 1837 r. str. 146), tudzież podobna z tytułu powieść »Dwa a dwa cztery, czyli piekarz i jego rodzina«, powieść Kleof. F. Pasternaka (Wilno, A. Marcinkowski 1837, str. XXV i 211 — przedmowa z datą 1 kwiet. 1832). Fantastyczność jako cechę powyższych

utworów zaznaczył sam autor na tytułach. Wyrazem siły są jaskrawe kontrasty położeń i posługiwanie się brutalnemi, grubiańskiemi wyrażeniami. »Pan Karol« co do kompozycyi i przedmiotowości w przedstawieniu uwydatnił postęp znaczny w twórczości, stąd był nawet ponownie wydany w przerobieniu (jako trzeci tom »Szkiców obyczajowych«, Wilno. 1840 u Zawadzkiego). O pierwotnym pomyśle »Pana Karola«, który podobno miał nosić tytuł »Trupia główka«, tak się wyrażał młody autor w liście do matki: »Ce sera une conception burlesque, sentimentale, romantique, infernale, gaie, sombre, bonne ou mauvaise — il y aura du tout«. W związku z pracą nad historyą Wilna zostają dwie powieści: »Ostatni rok panowania Zygmunta III« obraz historyczny (Wilno, 1833 r. 2 tomy str. 164 i 134), nieudatna próba odmalowania stosunków politycznych, nacechowana niechęcią ku duchowieństwu i Jezuitom i jaskrawą charakterystyką fanatyzmu religijnego, kłótliwości panów, głupoty medyków, chciwości dworaków, uwydatnionych w szeregu obrazków, niezwiązanych akcyą, zaniedbaną przez autora, który w lat kilka już żałował ogłoszenia tego »niezabawnego i nienauczającego utworu«. Niewiele lepszym jest »Kościół Michalski w Wilnie«, obraz historyczny z pierwszej połowy XVII w. (Wilno, T. Gluecksberg 1833, str. 151 i 182). Osnowę utworu stanowią zabiegi Jezuitów, zwalczających różnowierców i posługujących się młodzieżą szkolną w napaści na zbór kalwiński. Autor nie oszczędza tu jaskrawych i ujemnych rysów zarówno Jezuitom, jak kalwinom i żakom szkolnym. Jaskrawość rysów i wyrażeń wywołała takie oburzenie u wielu czytelników, że autor uważał za konieczne usprawiedliwić się w liście, ogłoszonym w »Tyg. Petersburskim« (z r. 1833, nr. 9) i oznajmić, że nadal nie będzie brał do swych powieści przedmiotów z epoki waśni religijnych. Sama przyjemność pisania i odtwarzania kłębiących się w bujnej wyobraźni coraz nowych postaci i pomysłów wyrabiała już wcześnie w młodym pisarzu tę zdumiewającą łatwość, szybkość i wytrwałość w pracy, stającą się dla niego koniecznością, nałogiem. Zdobyte wcześnie uznanie i powodzenie, wyrażające się w sądach pochwalnych i propozycyach księgarzy wileńskich, budziło nadzieję i pragnienie szerszej jeszcze i trwalszej sławy, stawało się bodźcem do nieustannej pracy i twórczości. W liście do matki z lat powyższych pisze: »Ach, mamo! Doprawdy, że miło jest pracować, jak kto może. Będzie czas odpocząć wtedy, gdy już ręce nie będą mogły trzymać pióra, oczy nie zobaczą liter na papierze, głowa nie usnuje myśli; wtedy, gdy już wydam ze dwieście tomów dzieł, kiedy będę sławny, ślepy, sparaliżowany i... bogaty«. Tak sobie roił o swej dalszej działalności i jej wynikach dwudziestoletni młodzieniec. Rzeczywistość przewyższyła o wiele te rojenia, nim jednak rozwojem swoich uzdolnień, pracą i postępem umysłowym i moralnym zdobędzie sobie młody pisarz szersze uznanie i wpływ na ogół, musi walczyć z opozycyą własnej rodziny, niechęcią i surowością krytyków. Gdy, po uzyskaniu pozwolenia na wyjazd z Wilna, przybył w lecie r. 1833

do rodziców, spotkał tam silny opór przeciw obranemu zawodowi literackiemu. Nieprzychylne głosy krytyki utwierdzały tem silniej ojca w zamiarze skierowania syna ku zawodowi ziemianina. Nie mając dość siły do stawiania oporu woli rodzicielskiej, w listach do babki wypowiadał skargi na swą dolę, a pod wpływem rozdrażnienia odczuwał dla życia i stosunków wiejskich niechęć i wzgardę, której odbicie spotykamy w urywkach, składających »Improwizacye dla moich przyjaciół«, książeczka dla zapalania fajek. (Wilno, 1834, str. 91, 2-gie wyd. Wilno, Zawadzki 1844 r. str. 136) i powieści: »Cztery wesela« szkic fantastyczny, J. K. (Wilno, Zawadzki 1834 r. 2 tom str. 167 i 159, 2 gie wyd. w »Szkicach obyczajow.« Wilno 1841 r. 2 tomy str. 211 i 207, z dodatkiem improwizacyi »Było nas dwoje«). W gawędzie o »Kaszy gryczanej« tak przemawia do ówczesnych hreczkosiejów: »Ten rozdział przeznaczam dla gospodarzy, a chociaż wiem, że z niego i sam Salomon kropli sensu nie wyciągnie, nic mnie to jednak nie obchodzi; dla was, panowie gospodarze, to i tak zanadto dobre, dla was, co urodziwszy się w gryce, pożywacie ją całe życie, siejecie i nie umiecie myśleć o czem innem, jak o kaszy. Jak wam Bóg da rozum do czytania, i mnie go do pisania dla was użyczy«. Ciemnota i chciwość księży, głupota i podłość obywateli ziemskich, zmysłowość kobiet, przedstawione są znowu w »Czterech weselach« z niezwykłą jaskrawością, realizmem i siłą. Stanowisko samego autora cechuje szyderczy nastrój wobec tego zepsucia. Nastrój ten, oparty na trwającem rozdrażnieniu z powodu pokrzyżowania i sparaliżowania planów dalszego życia, odbił się w całym szeregu pomysłów i postaci do obrazków i opowiadań, które się ukazały później dopiero p. t. »Wędrówki literackie, fantastyczne i historyczne« (Wilno, trzy części, 1838—1840, str. 214, 174, 209). W obrazkach, obok fantastyczności, która jest niejako protestem wyobraźni przeciw martwocie i płaskości otaczającego życia, odbija się w ironii, posuniętej do cynizmu, cierpienie i żal duszy, krępowanej przez niedające się przełamać więzy obyczajów, warunków ekonomiczno-społecznych, ucisku politycznego. Autor »Pana Walerego«, bezwiednie zapewne, staje się teraz romantykiem, mającym na celu wypowiedzenie się jedynie, wywołanie wrażenia, wygłoszenie protestu indywidualnego. Nie poprzestając na wypowiadaniu się w prozą kreślonych obrazkach i opowieściach, zaczyna posługiwać się formą wiersza, do której pociąga go rosnąca wraz z uczuciami muzykalność. Pobyt w domu w zaznaczonych wyżej warunkach był dość ciężkim dla młodzieńca, zmuszonego zastępować ojca — przy jego wyjazdach — w prowadzeniu gospodarstwa i nocami jedynie oddającego się pracom literackim i rozpoczętej w szerokich rozmiarach »Historyi Wilna«. To też z wielką skwapliwością skorzystał z zaproszenia bywającego u rodziców Stachowskiego z Ossowej (dawnej siedziby Felińskiego), który zapragnął młodego pracownika wprowadzić do sąsiedniego Horodca, własności Antoniego Urbanowskiego, staruszka, gorącego miłośnika książek, po-

siadającego do 20.000 tomów, tudzież zbiory medali, monet i obrazów, których zgromadził do 500; przytem miłośnik muzyki, religijnej zwłaszcza, dla wykonywania której utrzymywał orkiestrę nadworną. W domu Urbanowskich wychowywały się pod opieką pani jej siostrzenice, Woroniczówny, których ojciec, brat arcybiskupa i poety, mieszkał w Prawutynie. Z jedną z nich żonaty był właśnie Stachowski. Uzyskawszy zezwolenie ojca i paszport, wyruszył młodzieniec w podróż, której celem głównym był Horodec. Życzliwie bardzo przyjęty, mógł tam kilka tygodni korzystać z nagromadzonych zbiorów i zawiązać bliższą znajomość z panną Zofią Woroniczówną, która odrazu podbiła serce chłodnego dotąd dla kobiet młodzieńca. Uczucie to i związane z nim zamiary małżeńskie staną się teraz ważnym bodźcem postanowień i twórczości literata-poety. Czego nie chciał uczynić dla ojca, zrobi teraz dla panny Zofii, zdecyduje się na zawód ziemiański. Chwilowa nadzieja uzyskania katedry języka polskiego przy uniwersytecie w Kijowie (na skutek ogłoszonego konkursu i przesłanej przez Kraszewskiego pracy, traktującej rozwój historyczny języka polskiego) zawiodła, z powodu zaniechania przez władzę powziętego zamiaru. Ojciec, popierając małżeństwo, już w r. 1836 pojechał do Prawutyna, by prosić o rękę Zofii dla syna. Sprawa uniwersytecka i śmierć ojca panny odwlekły termin ślubu. Wreszcie w jesieni r. 1837 p. chorąży bierze dla syna w dzierżawę od Krasickich, wieś Omelno na Wołyniu, a w czerwcu r. 1838 odbył się w domowej kaplicy prawutyńskiej ślub młodej pary.

Czteroletni okres wzruszeń sercowych, trosk i zabiegów, związanych z zamiarami małżeńskimi, choć w bibliografii oddzielnie wydanych, a w tych latach utworzonych prac, przedstawia się bardzo ubogo, w rzeczywistości ukazuje nam o wiele bogatszą, różnokierunkową działalność młodego pisarza, występującego teraz w charakterze poety, publicysty i historyka zarazem. Rozbudzona przez wypadki r. 1831 uczuciowość, mająca dotąd swój wyraz głównie w stosunkach rodzinnych, w muzykalności i próbach kompozycyi muzycznych [1]), zaczyna się wypowiadać w lirycznego charakteru obrazkach i pieśniach, które pojawiają się najpierwej w noworoczniku p. n. »Znicz« wydawanym (od r. 1834) przez znajomych Kraszewskiemu z Wilna: Józefa Krzeczkowskiego literata i muzyka, Wiktora Każyńskiego. W pierwszym roczniku znajdujemy dwa utwory; fantazyę: »Wieńce« i melodyę p. t. »Duchy« (z datą 12 lipca 1833). Same nazwy utworów świadczą o wpływie muzykalności poety na jego twórczość, początek zaś »Fan-

[1]) W liście do matki z 31 sierpnia 1831 r. wylicza sześć napisanych wtedy utworów, które, sądząc z tytułów, (Grande valse sur des thèmes d'Auber, Rossini, Weber, Variations sur un thème d'Auber de la Muette de Portici, Variations sur un thème national favori, très connu i t. p.) świadczyły o wrażliwości na melodye ulubionych ówczesnych oper i pieśni narodowych i zdolności zużytkowania tych melodyi w popularnych formach walca, waryacyi.

tazyi«, najpiękniejsza część utworu, odbija wpływ »Sonetów Krymskich«, zwłaszcza w obrazie:

Świat teraz cały, jak oblubienica,
Która łzami zalawszy czarne swoje oczy,
Wkrótce szczęścia uśmiechem maluje swe lica
I błyska złotem rozwitych warkoczy.

»Wieńce«, przy niejasności pomysłu, są jakby echem wrażenia wywołanego przez sceny obrzędowe »Dziadów« i »Romantyczność«. Rocznik następny »Znicza« (r. 1835) zawiera »fantasmagoryę historyczną« skreśloną prozą p. t. »Raj i piekło«, noszącą w jaskrawości pomysłu i stylu cechy współczesnych utworów powieściowych, i trzy liryki: »Zawsze razem«, »Dwa słowa« (1 luty 1834, Dołhe) i »Dumanie nad Horyniem«, w których splatają się jako motywy: miłość, smutek i pesymizm. Skarga na świat, życie, ludzi, powtarza się jako stały motyw w wypowiadaniach się poety, jak: »Łabędzi śpiew« (z r. 1833), »Do Nowonarodzonego«, »Do moich przyjaciół«. Znajdując w spowiedzi Gustawa i lirykach Mickiewicza z okresu kowieńsko-wileńskiego teraz dopiero, pod wpływem doznawanych zawodów i cierpień, ujawniające się mu piękności i trafiającą do jego muzykalnej duszy melodyę uczuć, odtwarza w swoich wynurzeniach raczej odbicie się wpływów lektury w duszy wrażliwej i cierpiącej, niż własne przeżycia, dramat własnych pragnień i uczuć. Skargi i żale twórcy »Dziadów« tracą w transkrypcyi autora »Świata i poety« swą siłę wyrazu, ogień uczucia, mądrość i głębię refleksyi, a stają się użaleniami, narzekaniami, przeplatanemi przez pospolite uwagi nad życiem i ludźmi. Podobny stosunek zachodzi między charakterystyką złego dziedzica w »Dziadach« a skargą na dolę wieśniaczą w piosence: »Biedny chłopiec«. Szczęśliwiej odbił się wpływ bajek i żartobliwych utworów Mickiewicza na pokrewnych utworach Kraszewskiego, jak znana powszechnie udatna powiastka: »Dziad i baba«, uświetniona muzyką Moniuszki, tudzież »Panna Barbara«, »Branka«, »Pan i człowiek«.

Wcześnie bardzo, bo w 23 roku życia, pod wpływem zaznajomienia się z literaturą dramatyczną Zachodu (Szekspir, Szyller, Hugo) i studyów nad przeszłością ojczystą, pokusił się młody poeta o stworzenie tragedyi historycznej, do której za bohaterkę wziął Halszkę z Ostroga. Wyszedł ten dramat w zbiorze »Poezyi« r. 1838 (w tomie II). Wadliwa kompozycya wysuwa na pierwszy plan postać drugorzędną ukrainki Mołni, kochającej szaloną miłością Dymitra, sama zaś bohaterka przedstawia się biernie i nikło. W pierwszych dwu aktach przeważają realistyczne obrazy życia epoki, (przygotowanie do porwania w akcie pierwszym, napad w drugim); w trzecim historyczność ustępuje miejsca wyszukanym efektom nastrojowym, wybuchom uczuciowym. Budowa, jak zwykle u Kraszewskiego, pozbawiona spoistości, którą utworowi dramatycznemu daje akcya, oparta na starciu

się charakterów silnych moralnie, lub działających pod wpływem potężnych namiętności. Charakterów takich nie spotykamy nietylko w utworach dramatycznych ale i w powieściach Kraszewskiego, wprowadzających nas zwykle w świat ludzi powszednich, ciekawych, oryginalnych, lecz słabych, niezdolnych do energicznej, wytrwałej działalności. Jeżeli niekiedy próbuje wprowadzać do powieści takie postacie, to poprzestaje na opowiadaniu o ich czynach, nie ukazując nam ich działania. Świadom trudności, jakie spotykał w przeprowadzeniu akcyi, stworzeniu charakterów, wypowiada w skreślonych niezadługo po napisaniu »Halszki« uwagach o dramacie (w »Tyg. Petersb.« i następnie w zbiorze »Studya literackie« Wilno 1842) życzenie, by »dramat historyczny odtwarzał epokę w głównych jej wybitnych rysach najdoskonalej, rozszerzał wyobrażenia czyste i zdrowe o przeszłości daleko skuteczniej, daleko prędzej i jednostajniej, niż jakikolwiek utwór innego rodzaju...« Gdy dziś pisarze dramatyczni czynią... duch czasu i obyczaje ozdobą, rzeczą główną — czynność, akcyę, wypadek, intrygę. Tuby wszystko za podrzędne uważać należało, a za główne — obraz epoki czasu danego. Postacie działające, historyczne, musiałyby uosabiać w sobie stany, stronnictwa, więcej klasy niż indywidua byłyby... Wprawdzie, dodaje wkońcu, iż »sztuka zawsze sztuką, dramat historyczny musiałby być przedewszystkiem dramatem, to jest czynnością pełną życia, zajęcia, odpowiadającą wymaganiom smaku i prawidłom przyjętym sztuki« jednak wymagania te uważa za drugorzędne, a w dramacie, dopasowanym do własnych uzdolnień, chce mieć obrazową ilustracyę epoki, mającą uczyć historyi i umoralniać czytelników i widzów. Jednakże w nowym, niezadługo napisanym dramacie (»Tęczyńscy« dramat histor. w 5 aktach, prozą, Wilno, T. Gluecksberg, str. 227) nie próbuje wprowadzić w czyn swojej teoryi i wziąwszy za godło utworu: »Serce to przepaść« osnuwa na podaniu o rozpustnem życiu Doroty z Tęczyna szereg jaskrawych obrazów, odsłaniających szały zmysłowe, dzikie namiętności, wybuchające w czynach i położeniach splątanych, skłębionych raczej, niż powiązanych logiką akcyi. Jak w »Halszce«, tak i tu niepohamowana namiętność bohaterki daje jej przewagę nad słabym, wahającym się kochankiem. Jakby dla kontrastu, przeciwwagi tym szalonym, nieznającym żadnych tam ni względów w swych popędach postaciom kobiecym dwu pierwszych dramatów, ukazuje nam poeta w »Fantazyi dramatycznej w XI nocach« p. t. »Szatan i kobieta« (Wilno, T. Gluecksberg, 1841 r. str. 180), napisanej niewątpliwie wcześniej, w okresie przedślubnym, kobietę zwalczającą wszelkie pokusy, podniety i zasadzki, któremi wysłany przez Lucypera szatan usiłuje zwyciężyć jej cnotę. Wyczerpana tą walką owa idealna Aniela, umiera niewzruszona w swych przekonaniach i umiłowaniach, ku radości aniołów i zgnębieniu wściekłego z gniewu kusiciela. W epilogu chór głosi, iż »dusza kobiety, co wieniec cierpień niesie u czoła, jest większą od duszy mędrca i poety, jest tak wielką, jak dusza anioła«. Pomimo rozwlekłości w rozwinięciu pomysłu

i wypowiadaniach się wprowadzonych tu postaci, jest to niewątpliwie najlepszy z dotychczasowych utworów wierszowanych Kraszewskiego. Odbija on w traktowaniu postaci Anioła stróża i szatanów, charakterystyce duszy Anieli, wpływ trzeciej części »Dziadów«, której artyzm stara się niekiedy bardzo szczęśliwie naśladować. Wizya konającej Anieli jest udatną kopią widzenia Ewy, a niekiedy echem wypowiedzeń się Aldony. Brzmi ona:

Widzę, ach widzę, mamo, motyl śliczny leci,
Skrzydłami świeci;
Drugi różowy,
A złoty trzeci
Igra ponad nasze głowy.
Ach, gdybym miała takie jak on skrzydła!
Poleciałabym wysoko!
Wyżej niż myśl, niż oko,
Bo mi ziemia obrzydła.
Ach mamo! słowik śpiewa,
O tak słodko, tak miło,
Aż się serce wyrywa.
. . . . . .
Braciszki moje i siostrzyczki moje.
Mają włoski tak złote! jest ich przy mnie dwoje,
Skrzydła na ramionach mają
I niemi mnie osłaniają.

Chór w epilogu myślami, obrazami, tonem, przypomina również wielki pierwowzór. Mniej udatnie a rozwlekle naśladuje Kraszewski humor i rubaszność głosów dyabelskich.

Nastrój poetyczny pozwala, obok wierszowanych, pomieścić pokrewne im, choć skreślone prozą obrazki takie jak: »Było ich dwoje« improwizacya fantastyczna (z datą 18 wrześ. 1835 r. Wilno) ogłoszona w »Borucie« (1838 r. str. 27 i 39 jest też i późniejsza znacznie powieść p. t. »Było ich dwoje« Warszawa 1881 str. 112). Mglistość pomysłu i zbyt jaskrawe dysonanse w zespoleniu ironii z podniosłością uczuć, odbierają wartość temu zarysowi. »O moja luba, czekaj tam na mnie, woła w zakończeniu On do ducha zmarłej kochanki, a ja tymczasem pójdę na obiad i upiję się sobie«. Szczęśliwszemi w pomyśle i wykonaniu są, powiastka: »Tatarzy na weselu« i legenda: »Jako szatan kusił pustelnika na puszczy« (»Bojan« część I r. 1838) w której Kraszewski dość zręcznie naśladuje język wieku XVI i wstrzymuje się od wszelkiej nienaturalności i nadzwyczajności w pomysłach.

Odbity w poezyach, a zwłaszcza w dramatach, stan duszy Kraszewskiego i warunki życia w latach między 1832 a 1838 nie pozwalały mu wykonać z należytą starannością i ścisłością rozpoczętej, w czasie przymusowego pobytu w Wilnie, historyi tego miasta. Zgro-

madziwszy bogate materyały, nie umiał i nie mógł ich wyzyskać należycie, a nadewszystko nie był zdolny do odpowiadającej wymaganiom nauki i przedmiotu konstrukcyi. Choć więc w napisanej r. 1836 ocenie pierwszego tomu »Dziejów narodu litewskiego« Teodora Narbutta wytykał mu surowo drobne błędy faktyczne, fałszywe pojmowanie zadań historyka, widział w pracy jego »materyał historyczny i pracowitą kompilacyę«, to wkrótce sam przekonać się mógł z ocen ogłoszonego wtedy tomu pierwszego »Wilna« (»Wilno od początków jego do r. 1750« — Wilno 1838, str. 295) o licznych błędach i brakach swej pracy. Powstrzymawszy druk dalszych części, wziął się niedoświadczony historyk-dyletant do ponownego opracowania całości, która w dwa lata później ukazała się z druku (Wilno, Zawadzki, 1840—1842, tom IV, z 18 rycinami, 2 planami. t. I str. XXIV, 477, t. II str. 528, t. III str. 383, t. IV str. XVI i 408). Jest to z jednej strony historya Litwy, o ile ma za widownią jej stolicę, i tu uwydatnia młody historyk swą cześć dla Witolda i Zygmunta Augusta, a niechęć przesadną dla Zygmunta III, — z drugiej strony zaś jest to pracowite zestawienie danych i dat, tyczących się kościołów, szkół, urządzeń miejskich, rzemiosł, przemysłu, handlu, stosunków plemiennych, ludności, właściwości kulturalnych, budowli, topografii, objaśnionych przez dodane ryciny, plany i uzupełnionych bibliografią pism, odnoszących się do miasta, jego życia, instytucyi, od r. 1510 do 1799. Kraszewski pierwszy wziął się do tej pracy i zapoznał z nietykanemi dotąd świadectwami archiwalnemi. Współcześnie z nim pracujący Michał Baliński zamknął swe opracowanie w ciaśniejszych znacznie granicach.

Do tylu kierunków rozgałęziającej się coraz więcej twórczości duchowej Kraszewskiego przybywa teraz działalność publicystyczna i krytyczna, którą rozwijać zaczął od r. 1836 na kartach »Tygodnika Petersburskiego«. Pismo to, uzyskawszy swą nieprzychylną postawą dla ruchu r. 1831 stanowisko organu urzędowego dla Królestwa Polskiego, zapragnęło stać się i organem, urabiającym opinię publiczną w duchu pojęć konserwatywnych, przemagających — jak zwykle po klęsce rewolucyi — w sferach arystokracyi, duchowieństwa i zamożniejszego ziemiaństwa. Michał Grabowski, pierwszy z poważniejszych pisarzów, zaczął w r. 1834 umieszczać swe prace w »Tygodniku«, w dwa lata później Kraszewski nadesłał tu surową ocenę »Dziejów Litwy«. Chłodno przyjęty przez redakcyę, został mimo to wkrótce młody pisarz filarem pisma, które ożywiał i uświetniał artykułami w różnych kwestyach, pisanymi z wielką werwą i rozmachem. To w wyjątku ze swych pamiętników daje zarys »literatury w Wilnie« na początku w. XIX, przedstawiający niekorzystnie »Szubrawców« a ironicznie walkę klasyków z romantykami, to w rozprawie »Jak się robią książki nowe ze starych książek«, wykazuje, iż »od Alkoranu Mahometa aż do romansów naszego Balzaca, których materyał pierwszy jest pożyczony, wszystko jest odgrzewaniem«. U wszystkich pisa-

rzów polskich widzi okradanie poprzedników. O romantyzmie wyraża się lekceważąco, niechętnie, współczesną literaturę europejską nazywa: »wyrobniczą, plagiatorską«, odmawia swego uznania zarówno Wiktorowi Hugo jak Balzacowi, a wielbi jedynie Homera, Camoensa, Chattertona, Gilberta, Chenier'a, którzy »ze swej duszy tworzyli nieśmiertelne dzieła, nie wzywając pochwały, nie wyciągając ręki«. Mimo niedojrzałości, młodzieńczej zarozumiałości i porywczości wygłaszanych sądów, budził niemi Kraszewski, drażniąc czytelników, ruch i pracę myśli, wywoływał w szerokich kołach interesowanie się literaturą, kwestyami moralnemi. »Poraz pierwszy, zaznacza to współcześnie M. Grabowski (w »Tyg. Pet.« z r. 1838), ujrzeliśmy w nim pomiędzy nami czynnego i pełnego talentu literata«.

Wcześniej jeszcze, bo już w »Amerykance w Polsce«, wydanej r. 1837, ale z datą cenzury z r. 1835, wyraził gorące uznanie młodemu powieściopisarzowi młody także, poraz pierwszy publicznie występujący krytyk, Aleksander Tyszyński. Zdaniem jego »w kreśleniu towarzyskiej rozmowy, a szczególniej towarzystwa obrazów niedorównanym jest dzisiaj autor »Czterech wesel« i »Pana Karola«... do siły komicznej łączy siłę tragiczną... Styl komiczny autora nieporównany w ucinkach i toku, w miejscach tragicznych nieraz jest pełen poezyi«. Ta jaskrawość w charakterystykach, kontrastach, wysłowieniach, wyraz młodzieńczej żywości umysłu ruchliwego, lecz niepogłębionego przez porządne studya i pracę myśli — nie raziła ówczesnych czytelników a nawet i krytyków, niedalekich stopniem kultury umysłowej Kraszewskiemu, a uboższych artyzmem, zakresem twórczości. To też młody krytyk-publicysta mógł z całą swobodą, w przedstawianiu pojawów współczesnej cywilizacyi, znanych mu tylko z powieści francuskich i felietonów pism, utworów poetów, posługiwać się — jak w powieściach i dramatach z tego okresu — wyobraźnią, lubującą się w kontrastach, sile, niezwykłości. Pod maską »Asmodeusza w roku 1837« rozwinął w sześciu »wieczorach« na łamach »Tygodnika« charakterystykę cywilizacyi europejskiej — uwzględniając głównie Francyę — ażeby wykazać jej nicość i bezsilność dla sprawy dobra moralnego, przeciwstawiając jej pozornej świetności nędzę, samobójstwa, demoralizacyę. Przewiduje zgubne skutki z oświaty szerzonej śród klas niższych, nie wierzy w trwałość wynalazków, kasom oszczędności i ubezpieczeniom przeciwstawia pobożne fundacye dawnych wieków. Literaturze przypisuje zepsucie moralne, sceptycyzm, zniechęcenie do życia. Cywilizacyę porównywa do gmachu o wązkiej podstawie, rozszerzającego się ku górze, by lada chwila runąć. O ile »Księgi pielgrzymstwa« mogły stać się bodźcem do tak gwałtownego ataku na cywilizacyę, trudno orzec dla braku dowodów wyraźniejszych ich wpływów. W każdym razie oba te pojawy wynikły z naturalnej u ludów słabszych kulturalnie a nieszczęśliwych dążności do przeciwstawienia prostoty i złączonych z nią cnót rodzinnych i narodowych wykwintowi wyższej cywilizacyi, ciągnącej za sobą, jako konieczne

następstwo, osłabienie węzłów rodzinnych, wierzeń tradycyjnych i jaskrawość nowych form zła moralnego. Stąd też w kołach inteligencyi polskiej znajdzie żywe poparcie prąd słowiański, przekonanie — znajdujące swe echo u poetów i myślicieli — że nadeszła chwila wystąpienia na widownię świata Słowian, »pochwycenia oświaty, nauk, cywilizacyi, steru w ręce silne i zdrowe, w piersi gorące, w umysły jasne i silne prostotą swoją; przyjdą do nas nauki, przyjdzie do nas życie umysłowe, a na Zachodzie zostaną: przemysł i gwary dogasającego żywota na sporach o mydlane bańki reform socyalnych«. Tak wierzył i takie żywił nadzieje w r. 1841 chwilowo olśniony nową myślą — niedawno jeszcze surowo krytykujący sławizm Maciejowskiego wrażliwy autor »Asmodeusza«. Współcześnie podobne nadzieje i przekonania rozwijał w piśmie o »Trójcy w Bogu i człowieku« a następnie w »Przedświcie« Krasiński, wysuwający w tym wystąpieniu ludów słowiańskich na ich czoło Polskę — tę »wszechsłowiańską królowę«, jak ją zwie śpiewak ukraiński. Rzeczywistość jednak, z jaką stykać się musiał Kraszewski w życiu ziemianina-dzierżawcy na Wołyniu, rozpraszała łatwo i szybko marzenia o blaskach słowiańsko-polskiej kultury i pobudzała do skargi na ciężką dolę poety, »wygnanego z raju młodości i marzeń«, a zmuszonego »wieść życie uplecione z drobnych losu zdarzeń, życie mierzwy i znoju na przenudnym świecie«. Obowiązki i czynności, związane z oczekującem poetę stanowiskiem męża, ojca, ziemianina, śród otoczenia półpanków i bałagułów wołyńskich, zapełniających życie kartami, końmi, miłostkami, pijatyką, przedstawiały mu się, w stosunku do niedawnej swobody, jako dola Kaina. Odtwarzając we wrażliwej wyobraźni przyszłość swą, której przedsmak poznał, zastępując przez czas dłuższy ojca w prowadzeniu gospodarstwa, chciał na pożegnanie zamykającego się dlań okresu swobody młodzieńczej, przy rozstaniu ze światem marzeń, swobodną twórczością wyobraźni, wypowiedzieć swoje przeżycia, odczucia, wzloty wyobraźni. Pragnieniom tym dał wyraz w powieści p. t. »Poeta i świat«. Wybrane dla bohatera imię: Gustaw, pozwala domyślać się, że spowiedź czwartej części »Dziadów« odsłoniła mu teraz dopiero piękno porywające wypowiedzenia się cierpiącego i przeciwstawiającego się światu serca. Arcydzieło Mickiewicza podziałało tu jako bodziec i przykład: dalej wpływ jego nie sięgnął. Kochanek Maryli przeciwstawia światu potęgę swego uczucia, uniesienia, szały, bóle owładniętego namiętnością serca, bohater Kraszewskiego przeciwstawia światu swe marzycielstwo, nieznajomość ludzi i życia, sprowadzającą mu zawody serca w dwu niedobranych małżeństwach. Gustaw Mickiewiczowski świadom jest swych szaleństw, złud i zmiennych porywów serca zranionego; siłą woli, potęgą refleksyi umie opanować swe uczucia; w spowiedzi swej dać nie zachętę do naśladownictwa, lecz naukę i przestrogę w walce z namiętnościami. Poeta w powieści Kraszewskiego pod wpływem zawodów uczuciowych i bezsilności wobec opornego mu życia realnego, upada moralnie, szukając w trunku

pociechy i zapomnienia. Mimo to szczerość i ciepło uczucia, z jakiem autor opowiada tu dzieje marzyciela, wkładając w te wypowiedzenia własne — nie koleje wprawdzie — lecz stany duchowe, przemówiły do serc czytelników silniej niż którykolwiek z dotychczasowych utworów. Warszawskie koła literacko-salonowe, których pośrednictwa użył Kraszewski, pragnący zdobyć sobie w tem największem ognisku polskiem uznanie utworem, pomysłem i postaciami, wkraczającym w sferę ogólno ludzkich pytań, nie dały swej aprobaty, zrażone może usterkami języka i stylu, nieudolnością w odmalowaniu stanów duchowych i brakiem harmonii między szyderczym tonem obrazów obyczajowych a liryzmem scen uczuciowych. Nieprzychylnie oceniony przez koło zbierające się w ówczesnym salonie Katarzyny Lewockiej, może pod wpływem ostrej napaści na Kraszewskiego w »Magazynie powszechnym« (r. 1838 str. 150), znalazł ten utwór wydawcę w poznańskim, księgarzu Stefańskim (Poznań 1839, str. 274, wyd. poprawne, Wilno, Zawadzki 2 tomy, str. 207 i 213 — w zbiorze »Szkice obyczaj.« 3-e wyd. poprawione, w »Zbiorze powieści Krasz.« Lwów 1872, tom 8 i 9). Wyrazem gorącego przyjęcia i uznania, jakie zyskał ten utwór, były przekłady: niemiecki (Lipsk — Gerhard 1846 2 części, ponownie Stuttgart — Collection Seemann n. 99 — r. 1886 str. 212), rosyjski (Polewoja 1842), francuzki (Al. Przeździeckiego pod pseud. Noir ville — Petersburg-Paris 1843, str. 403) czeski (Volaka — Praga 1852, str. 128, 254), chorwacki (Iwana Broz — Zagreb 1877, str. 201). W kilka miesięcy po wysłaniu rękopisu »Poety i Świata« przybył i sam autor z młodą małżonką, wkrótce po swym ślubie, do Warszawy, lecz również chłodne spotkał tu przyjęcie. Za to wyrazem szerzącego się uznania były zaproszenia do współpracownictwa w »Lwowianinie« i świeżo założonym w Poznaniu »Tygodniku Literackim«.

Zrażony do Warszawy, szuka teraz Kraszewski podstawy dla swej rosnącej ciągle działalności w potrzebach życia duchowego bliskich mu prowincyi litewsko-ruskich. Nabywszy w r. 1840 na kontraktach dubieńskich Gródek w okolicy Łucka (za 140.000 złp.), mając w pobliżu oparcie we dworze i zbiorach Urbanowskich w Horodcu, tudzież we własnym ciągle rosnącym księgozbiorze, podejmuje sam w r. 1840 wydawnictwo miesięcznika literacko-naukowego p. n. »Ateneum« i pozyskuje dla pisma — którego charakteru i dążeń ściślej nie określił, współudział wielu wybitnych pracowników. Sam zaś dla swej wszechstronnej produkcyi znajdzie tu bodziec i pomieszczenie otwarte. Pismo wychodzić będzie w Wilnie, redakcya zaś w Gródku dość odległym. Nowy ten organ, jako wyraz budzącego się życia po katastrofie r. 1831, (chylące się do upadku »Wizerunki i roztrząsania naukowe«, wychodzące w Wilnie, stały się zbiorem ciężkich, suchych opisów i rozpraw, pozbawionych związku z potrzebami ogółu), współzawodnicząc co do wpływu na opinię publiczną z »Tygodnikiem Petersburskim« i powstającą w Warszawie »Biblioteką«, z konieczności przyjąć musiał pewną barwę, wypowiedzieć swe przekonania, ustalić

swój program. Dotąd Kraszewski występował jako powieściopisarz, poeta, historyk, literat, zdobywający sobie powoli rozgłos i uznanie. Jako krytyk i publicysta swymi artykułami w »Tygodniku Petersburskim« nieznacznie wysunął się na stanowisko kierownika opinii publicznej. Jednocześnie nawiązał bliższe stosunki z wyższemi sferami ziemiańskiemi Wołynia i Ukrainy, z któremi się stykał na kontraktach kijowskich i dubieńskich, lub jako chętnie widziany gość w ich rezydencyach i dworach. Bywa w Dubnie u Lubomirskich, Sławucie u Sanguszków, Krzewinie u ks. Jabłonowskiej. Zbliża się z Henrykiem Rzewuskim, ks. Hołowińskim, Aleks. Przeździeckim i wielu innymi. Stosunki te naturalnie wywrą pewien wpływ na poglądy Kraszewskiego, kierunki i formy jego twórczości. Niezależny materyalnie, nie ma powodu do ubiegania się o względy możnych. Bliższe zetknięcie się z życiem tej sfery dostarczy mu nowych postaci do przyszłych powieści. Tymczasem w twórczości powieściowej nastąpi przerwa, którą wypełni praca redaktorska i literacka, związana z wydawaniem »Ateneum«, i tworzenie cyklu wielkich poematów z dziejów Litwy.

Dla zrozumienia dość jaskrawych wahań się Kraszewskiego w pojęciach i kierunkach działalności, uwydatniających się szczególniej z chwilą zajęcia stanowiska budziciela i kierownika życia duchowego i bliższego zetknięcia się z kołami, mającemi pretensyę do przewodnictwa społecznego, trzeba zwrócić uwagę na właściwości jego organizacyi duchowej. Nieskończona rozmaitość dusz ludzkich i złożoność, cechująca zwykle dusze bogatsze, utrudniają nam zrozumienie i sprawiedliwą ocenę czynów i przekonań naszych bliźnich, zwłaszcza gdy przykładamy do nich idealną, jednostajną skalę wymagań moralnych. Niezmienność przekonań, zgodność czynów z zasadami głoszonemi, oto są główne wymagania, które wszystkim stawiamy, niepomni, czy też nieświadomi naszych własnych wielkich odchyleń od tych idealnych norm. Cechą duszy Kraszewskiego była wrażliwość wzrokowa, słuchowa i uczuciowość rozlewna, niezdolna do koncentracyi i wybuchów, nie wyłączająca ironii i złośliwości, zwracająca się z łatwością ku najrozmaitszym przedmiotom, osobom, kierunkom. Umysłowość zaś zależna od zmiennej uczuciowości, wyraziła się głównie w ciekawości wszechstronnej, pochłanianiu przez szybką, różnokierunkową lekturę olbrzymich zasobów faktów i wiadomości, zachowywanych w pamięci, przy słabej zdolności do oderwanego myślenia, ścisłości, jasności, systematyczności w pojęciach, rozumowaniach i konstrukcyach syntetycznych. Przekonania jego religijne, społeczne, estetyczne, czy filozoficzne nie dają się nigdy sformułować, gdyż on sam o to się nie stara, a ile razy usiłuje tego dokonać, okazuje swą nieudolność. Jak olbrzymia większość ludzi tak i nie wyróżniający się pod tym względem od tłumu Kraszewski odczuwa, wierzy, działa i tworzy, nie troszcząc się o dogmaty, teorye, systemy — religijne, społeczne, filozoficzne, estetyczne, nie będąc zdolnym zdać sobie sprawy z podstaw swych wierzeń, uczuć, czynów, idąc zwykle za swymi uczuciowymi

impulsami, wskazaniami. Stąd łatwo tak dostraja się do swego otoczenia, przejmuje pojęciami, dążeniami, harmonizującemi z jego nastrojem uczuciowym w danej chwili. Nie spotykamy u Kraszewskiego ni potężnych uczuć, ni idei doniosłych, władnących duszą, wynoszących jednostkę ponad ogół i nadających trwałe, wydatne piętno jej charakterowi, czynom, dziełom. Kraszewski czuje i myśli nie za miliony, lecz wraz z milionami — i stąd dzieli z ludźmi ich słabości zwykłe: zmienność uczuć, chwiejność w przekonaniach, — przeciwstawiając im jako jedyną stałą cechę, wynoszącą go ponad ogół, namiętność działalności literackiej i społecznej, wzmagającą się z latami i nadającą mu, przy średnich zdolnościach umysłowych, tak doniosłe znaczenie na stanowisku pisarza-budziciela i dostarczyciela pokarmu duchowego dla rosnącego ciągle koła czytelników.

Oceniając z tego punktu widzenia wahania się i sprzeczności, uwydatniające się najjaskrawiej w okresie między 1840 a 1856 r. lecz powtarzające się w całem dalszem życiu i działalności pisarza, nie możemy się dziwić i gorszyć chwilowem uczestnictwem w działalności reakcyjnego obozu, skupiającego się koło Rzewuskiego, M. Grabowskiego i Hołowińskiego. Pod wpływem tych ludzi, a zapewne i znanych mu »Dziadów« drezdeńskich, przejmował się pojęciami i dążeniami zarówno katolickiemi, jak i arystokratycznemi tak silnie, że nie wahał się podzielać i chwalić je publicznie w artykułach, pomieszczanych w »Tygod. Petersburskim«, jednocześnie jednakże w powieściach pisanych w r 1838, choć ogłoszonych później jak: »Żaki krakowskie« (Lwów, Jabłoński, 1845 str. 218 — 2 gie wyd. Lwów 1874 str. 149), »Ostatni z książąt słuckich« (Wilno, Zawadzki 1841, tom III, str 191, 185, 194) spotykamy ustępy, w których drwiąco się wyraża tak o wierzeniach i obrządkach katolickich, jak i o duchownych. Jako redaktor »Ateneum«, które choć ze względów na trudności cenzuralne przyjęło formę wydawnictwa książkowego, nieperyodycznego, a było właściwie miesięcznikiem, dopiero na czele piątego tomu zbioru umieścił przedmowę (z datą 21 lutego 1841 r.), rozwijającą wyznanie wiary i program, głoszący, iż »Ateneum« na pierwszym względzie ma i będzie miało zwrócenie umysłów na drogę idei religijnych zdrowych, starać się będzie ostatecznie wytępić błąkające się jeszcze nie dobitki wyobrażeń i przekonań XVIII wieku, stanie, o ile mu siły pozwolą, do walki z niewiarą, materyalizmem, sceptycyzmem i nowszym panteizmem młodej Europy... zwracać będzie uwagę, ażeby wszystko, co w niem zamieszczonem zostanie, widziane było z punktu religijnego, pisane w duchu religijnym. Obiecuje wkońcu pomieszczanie artykułów w sprawie pobratania filozofii z katolicyzmem i zapowiada, że pismo »będzie odbiciem opinii składających się na nie pisarzy«. To ostatnie zapewnienie zapowiadało z góry nieuchronną rozbieżność w przekonaniach i zastrzegało dla redaktora niezależność od opinii głównych współpracowników. Pierwsze zeszyty pisma wypełniają utwory beletrystyczne Edwarda Tarszy (M. Grabowski), rozprawy

Rzewuskiego (»O prawidłach cywilizacyi narodów«), Szczeniowskiego (o filozofii), ks. Stanisława Chołoniewskiego (»Kilka słów o polemice chrześcijańskiej w przedmiotach moralno-filozoficznych«). Już tu psuł harmonię przekonań Szczeniowski, sympatyzujący z filozofią niemiecką i ujmujący się za wiekiem XVIII (w rozprawach: »Parafrazy Hegla« »O prawach konieczności«). Pojawienie się skandalicznych »Mieszanin Jarosza Bejły«, pogardliwie traktujących usiłowania dźwignięcia życia narodowego, sprowadzi oziębienie się i rozłam w stosunkach Kraszewskiego z głównymi współpracownikami. Pochwaliwszy pospiesznie, przez sympatyę żywą dla Rzewuskiego, jego pamflet, nie chciał w wywiązanej stąd polemice stanąć w obronie autora, jak to uczynił nieugięty w swych zasadach Grabowski, i szybko ostygł w uczuciach dla »olbrzyma«, który teraz wydał mu się »gadułą miłym, sofistą niepospolitym, człowiekiem bez zasad i przekonań«. W liście do Jankowskiego Placyda, w którym tak się o Rzewuskim wyraża, dodaje: »niedaleki od jego zasad byłem i jestem, a mitygując je, przyjąłem dla pisma ducha religijno-moralnego. Teraz chodzi o obronę książki, której dotknąwszy, można się zdepopularyzować na wieki«. Mimo załagodzenia sprawy za pośrednictwem Hołowińskiego, Rzewuski zaprzestał pomieszczać swe prace w »Ateneum«, z Grabowskim zerwał Kr. stosunki z powodu ogłoszonego przez niego w r. 1843 programu panslawistycznego — w duchu rosyjskim — czasopisma »Sławianin«, mającego wychodzić w Kijowie. Mimo to nie przestaje Kraszewski pomieszczać swych artykułów w »Tygodniku Petersburskim«, którego redaktor nie szczędzi mu bądź w przypiskach, bądź w recenzyach niechętnych, uszczypliwych sądów, za podnietą zwłaszcza mszczącego się w ten sposób Rzewuskiego. Dopiero w r. 1846 zrywa ostatecznie z Tygodnikiem« i pozostaje na pewien czas odosobniony od ówczesnych obozów i kółek. Niezależnie od tych starć, »Ateneum« ciągnie z trudem swoją egzystencyę przez lat 12 (do r. 1862) i dosięga 66 tomów, przy szczupłej liczbie prenumeratorów, dochodzącej w najlepszej chwili 222 (r. 1844), spadającej w końcu do 101. Od tomu 6-go do r. 1848 nakład na druki ,papier, łożył księgarz wileński T. Gluecksberg, ostatnie lata podtrzymywały pismo zasiłki prywatne. Współpracownicy i redaktor nic nie pobierali za swą pracę. W licznym zastępie współpracowników wyróżnili się: ks. Stan. Chołoniewski, którego spuścizna literacka, szczupła zresztą, w znacznej części mieści się na łamach tego wydawnictwa, a głośny »Sen w Podhorcach«, zapełniający cały tomik, jest jedną z ozdób pisma. Tu pomieszczał swe pierwsze utwory Syrokomla (od r. 1844), Adam Pług, (»Dzieciobójca«), Zenon Fisz (»Noc Tarasowa«), Al. Groza (»Starosta Kaniowski«), E. Żeligowski, J. Korzeniowski (ustęp z »Karpackich Górali«). Do stałych współpracowników należeli: Karol Kaczkowski, Walery Wróblewski, Tytus Szczeniowski (Iz. Blepoński), walczący zacięcie z Rzewuskim. Dział słowiański i literatury rosyjskiej zajmował wydatne miejsce. Najbogatszy był dział opracowań i materyałów historycznych. Obok

licznych, przez Kraszewskiego ogłoszonych tu pamiętników i zbiorów korespondencyi osób wybitnych, znajdujemy w r. 1849 obszerną, kompilacyjnego charakteru pracę redaktora »Litwa za Witolda«, stanowiącą dalszy ciąg wydanego osobno dzieła p. t. »Litwa, starożytne dzieje, ustawy, język, wiara, obyczaje, przysłowia, podania« (Warszawa, J. Klukowski, tom I, 1847 r. str. 516, tom II. Historya od początku XIII w. do r. 1386, r 1850 str. X i 539. Odbitka z »Ateneum« wyszła r. 1850 w Wilnie str. 372).

Praca ta stanowi niejako dopełnienie wielkich poematów na tle przeszłości litewskiej, tworzonych współcześnie z redagowaniem »Ateneum« w latach od 1838 do 1844.

Czynnikami, które wpłynęły na ten kierunek twórczości Kraszewskiego były, prócz »Grażyny« i rozczytywania się w kronice Stryjkowskiego, zapoznanie się z dziejami Litwy przez pracę nad historyą Wilna, rozpoczętą jeszcze r. 1831, pojawienie się wielotomowych »Dziejów narodu litewskiego« Narbuta, a przytem ogólne wtedy interesowanie się czasami przedhistorycznymi Słowiańszczyzny i świadectwami ich w pieśniach, klechdach, przysłowiach i mniemanych pomnikach piśmiennych, jak rękopis Królodworski i Pieśń o pułku Igora. Bielowski i Siemieński, obok tłumaczeń, dawali próby oryginalnych utworów, pisanych w formie i duchu rapsodów i pieśni ludowych. Mickiewicz w wykładach paryskich rozbierał pieśni serbskie i zabytki czeskie i ruskie. Kraszewski w przeszłości litewskiej dostrzegł nie wyzyskany przez poezyę materyał i sądził, że tem odda usługę literaturze ojczystej, a sobie zdobędzie stanowisko poważniejsze od dotychczasowego i zmusi do milczenia niechętnych i złośliwych.

Całość tej wielkiej opowieści, mającej stanowić bohaterską epopeję, objął poeta jednym wspólnym tytułem: »Anafielas«, mającym, wedle podanej przez Narbuta tradycyi ludowej z okolic Kretyngi, oznaczać stromą górę, na którą muszą się po śmierci z mozołem wdrapywać dusze i stawać na jej szczycie przed sądem bóstwa. Z trzech części utworu pierwsza: »Witolorauda« obejmuje obraz Litwy przedchrześcijańskiej, na której tle opiewa poeta swą pieśń (rauda) o Witolu, synu Mildy (bogini miłości) i śmiertelnika Romoisa, ściganego gniewem Perkuna. Druga część: »Mindows« wprowadza nas w czasy historyczne, w lata pierwszego zetknięcia się za rządów Mendoga, siedzącego w Nowogródku, świata litewskiego z chrześcijaństwem i kulturą Zachodu; trzecia część wreszcie: »Witoldowe boje« napisane w r. 1843 (cenzura 17 czerwca 1844 r.) doprowadza w szczegółowszej opowieści dzieje bohatera tylko do osiągnięcia tytułu W. Księcia Litwy w r. 1392, dalszą zaś działalność streszcza ogólnikowo »rauda«, zamykająca utwór. Do wyboru przedmiotu pociągnęła Kraszewskiego właściwa mu skłonność do poddawania się prądom danej chwili, a przytem uczuciowa ciekawość. Przyjmując przy swej łatwowierności, właściwej zbieraczom, archeologom z żywą wyobraźnią, za prawdę podawane przez Stryjkowskiego i Narbuta szczegóły, wysnuwając z nich

własną fantazyą nowe, uzupełniające rysy i postacie, sądził, iż intuicyjnie odgaduje i odtwarza nieznaną nikomu rzeczywistość, jeżeli nie faktów, to zatraconych wierzeń i tradycyi. We współcześnie ogłoszonych »Studyach literackich« (Wilno, Zawadzki, 1842, str. 288) w rozdziale »Poezya« uważa Kraszewski poezyę historyczną, »mającą malować pewną epokę, podniesioną tylko do ideału« za najwyższy szczebel, dawną epopeę »tylko na mniejszą skalę«. To też w zgodzie z tem pojęciem i z własnem uzdolnieniem przybiera w swej »Anafielas« ton powieści i odpowiedni mu wiersz jedenastozgłoskowy, biały, przeplatany tu i ówdzie ustępami rymowanymi i pieśniami. Takim wierszem, rymowanym tylko, przełożył Piotr Kochanowski »Jerozolimę«, takim posługiwał się Mickiewicz w »Grażynie«, a później Siemieński próbował przekładać »Odysseę«, nim się zdecydował na trzynastozgłoskowy, zgodniejszy z tonem tej pełnej wdzięku i prostoty, ale tak od pospolitości życiowej dalekiej opowieści. Kraszewski, niezdolny nawiązać z treścią swej wielkiej opowieści, ze światem nadprzyrodzonym, wierzeń i tradycyi ludowych, choćby takiego stosunku, jaki ukazują nam »Rusałki« Zaleskiego lub »Zamek Kaniowski«, staje się nie śpiewakiem współczującym, lecz opowiadaczem, przewodnikiem, wprowadzającym nas w ten świat, illustrującym go starannymi rysunkami bogów, bohaterów, wojowników, kapłanów, pouczającym nas o rozlicznych czynach i przygodach, przeplatającym suchą opowieść, melodyjnemi pieśniami, lecz niezdolny wlać w te postacie życia, bohaterstwa, nadziemskiej siły i grozy lub ludzkiego ciepła, wdzięku. Szczegóły liczne, plastycznie odtworzone, nie grupują się koło jednego doniosłego faktu, jednej skupiającej całą akcyę postaci, poruszającej wszystko namiętności czy woli, lecz rozsypują się w umyśle czytelnika, zacierając się wzajemnie. Przygody i koleje życia bohaterów służą tu za nić, nadającą mechaniczną spójność ciągom obrazów i opisów, charakteryzujących stosunki kulturalne danej epoki. Czyny i wypadki fantazyjne, jaskrawe, nie płynące z jednego doniosłego zamiaru, nie budzą w nas przekonania o niezwykłości i bohaterskości zarówno Witola jak Mendoga, a wreszcie Witolda, którego najważniejsze lata życia i zasługi, jak udział w walce pod Grunwaldem, nie zostały wprowadzone w ramy opowieści, kończącej się na r. 1392. »Witolorauda« jako pieśń pierwsza całości (»Anafielas« pieśni z podań Litwy. Pieśń pierwsza. Wilno Zawadzki, 1840 r. str. 252. Wydanie drugie przerobione i powiększone z 50 drzewor. W. Smokowskiego, muzyka do raud i piosnek St. Moniuszki — Wilno, Zawadzki, 1846 r. str. VIII i 284, nut kart 8) wysnuta jest cała z fantazyi autora na podstawie zaczerpniętych z Narbuta danych o mitologii i kulcie Litwinów w epoce pogańskiej. Głównym motywem jest tu gniew Perkuna na Romoisa, ojca Witola, za jego stosunek z boginią Mildą i wynikające stąd prześladowanie przez użytego za narzędzie kary i zemsty Grajtasa, boga wiatrów, zarówno Romoisa, który w walce z Grajtasem odbiera sobie wkońcu życie, jak i Witola, który ukryty przez matkę u wieśniaków,

oddany następnie na naukę do Krywe Krywejty, tłumaczącego mu w długim wykładzie początki Litwy, dziewięć jej pokoleń, uroczystości religijne, — otrzymuje od kapłana, ginącego dobrowolną śmiercią na stosie, miecz cudowny i rusza z nim w świat za liściem przewodnikiem. Grajtas ciągle czyha na zgubę Witola i stacza z nim walki; Milda przychodzi z pomocą synowi, który spotkawszy piękną wieśniaczkę Romussę, poślubia ją, lecz w dzień wesela grom gniewnego Perkuna uśmierca małżonków, którzy jednak, z wyroku bogów przemienieni w orłów, żyją aż do narodzin syna Lizdejkona. Wtedy odzyskawszy postać ludzką, ulatują ku wschodowi.

»Witolorauda« swem ukazaniem się wywołała gorące pochwały w ocenach Rzewuskiego i Grabowskiego, popierających wtedy Kraszewskiego jako członka koła reakcyjnego, — bezstronna ocena Tyszyńskiego (w »Bibliotece warsz«. z r. 1841) była dla utworu nieprzychylną. Mimo to wyjdzie ona w drugiem wydaniu (r. 1846); z pieśni w niej zawartych utworzy Moniuszko piękną kantatę p. t. »Milda« (Warsz. 1858). Wkrótce pojawia się przekład rosyjski (1841 r.), w lat 40 zaś przekład niemiecki A. Zippera (1879 r.) i wreszcie litewski (Poznań 1881, str. VIII i 84 — w drukarni Kraszewskiego). Druga część »Mindows« (Wilno, Zawadzki, 1843, str. 336), nie różniąca się cechami układu i artyzmu od pierwszej »raudy«, będący wierszowanym życiorysem tego pierwszego historycznego władzcy (króla) Litwy, opowiedzianym z kronikarskiem nagromadzeniem szczegółów, bez głębszego wniknięcia w duszę półdzikiego bohatera i należytego zrozumienia i uwydatnienia wartości moralnej i kulturalnej ścierających się za jego życia potęg: świata pogańskiego i chrześcijańskiego — zyskał jednak, dzięki jasności stylu, plastyce obrazów, uznanie Tyszyńskiego (widzącego w tym utworze »brylant« twórczości Kraszewskiego) i gorące pochwały Grabowskiego za artystyczną budowę (jedność i zamknięta całość). Sam twórca, w liście do Jankowskiego, po skończeniu »Mindowsa« w grudniu r. 1841, twierdził, iż »jest to... com najlepszego zrobił w życiu, bo więcej po mnie spodziewać się nie można... ciągnąłem je z wnętrzności moich, z serca mojego... a jeśli nie udało się, nie wina chęci — wina talentu, którego niema, a i krwią go nie zastąpi«. Brak, zarówno w życiu duchowem Litwy pierwotnej, jak i czynach dziejowych, zapisanych w rocznikach, wybitniejszych dążeń i porywów religijnych i narodowych, wyższego stopnia uobyczajenia, nie dawał poecie materyału do stworzenia pociągającego a prawdziwego obrazu tego życia; skromna dość skala uzdolnień nie pozwalała fikcyjnych postaci i zarysów, mających uzupełnić i rozświetlić braki i mroki świadectw, natchnąć tem życiem i prawdą psychologiczną, ogólno-ludzką, jaką nas pociągają i zajmują fikcyjne postacie »Grażyny«. Ostatnia część cyklu: »Witoldowe boje« napisane w r. 1844 (Wilno, Zawadzki, 1845 r. str. 392, z ryciną na stali) tworzone z pewnym wysiłkiem i wahaniem, co do formy (wiersze rymowane przeplatają białe — miara wiersza zmienna), rażą więcej jeszcze niż po-

przednie kronikarskiem, chronologicznem opowiadaniem zdrad, otruć, wierzeń, bitew. Boje, zapowiadane w tytule, skromną odgrywają tu rolę; obrazy życia wewnętrznego nie urozmaicają, mimo urozmaiceń wiersza, nużącej jednostajności następujących po sobie długim wężem pieśni. »Ostatni to pewnie mój poemat, pisał po skończeniu do Jankowskiego, na co słowo daję, nie bójcie się już więcej — dixi i skończyłem«.

Milczenie krytyki i obojętność czytelników przekonały autora, że »sam jeden na Anafiel« się wdrapywał i napróżno »ciągnął zimny lud do siebie«. Również bez echa została współczesna z tymi poematami próba obrobienia podania o Twardowskim w utworze: »Mistrz Twardowski«, powieść z podań gminnych (Wilno, Zawadzki, 2 tomy, 1840 r. str. 212 i 166 i 2-gie wyd. Lwów — 1874 r. 2 tomy. Zbiór powieści). Zamierzał tu Kraszewski — w duchu klechd Wójcickiego, którym zarzucał nieudolne obrobienie — odtworzyć z prostotą opowieści ludowej znane powszechnie podania, nie umiał jednak dać im odpowiedniej oprawy artystycznej, utrzymać harmonię i związek w ciągu luźnych scen. Mimo to swoją treściową zawartością utwór zainteresował obcych, jak o tem świadczą przekłady rosyjskie (dwa, jeden Pobiedonoscewa, 1858 r., 3 tomy, drugi też w Petersburgu bez daty, w 2 częściach), niemiecki (Jana Päumanna, Wien 1879, 2 tomy, nakład R. Waldheima) i czeski (Vorlicek, Praga 1862).

Nie poprzestając na trudach i laurach redaktora »Ateneum« i piewcy Litwy, tudzież współpracownictwie w »Tygodniku Petersburskim«, rozwija współcześnie Kraszewski żywą działalność na coraz innych polach i w coraz nowych kierunkach. Wrażenia i spostrzeżenia swe, pozbierane w podróżach odbywanych po Litwie, Wołyniu, Ukrainie, wycieczkach w celach kuracyjnych do Odessy i Druskienik, dostarczą mu materyału do wydanych w tym czasie opracowań: »Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy« (Wilno, T. Gluecksberg, 1840 r. 2 tomy, str. 231, 207, 2-gie wyd. w Paryżu, 1860 r. z illustr. z rys. Kraszew.). »Obrazy z życia i podróży« (Wilno, Zawadzki, 1842 r. 2 tomy, str. 223 i 211 z 3 rycin.) »Wspomnienia Odessy, Jedyssanu, Budżaku. Dziennik przejażdżki w r. 1843 od 22 czerw. do 11 wrześ.« (Wilno, T. Gluecksberg, III tom. 1845—6 str. 296, 313 i 280). Dążnością społeczną i publicystyczną nacechowane są obok wielu rozdziałów z powyższych wrażeń podróżnych, zarysy ujęte w ramy powieściowej całości p. t. »Latarnia czarnoksięska, Obrazy naszych czasów« (Oddział I, tom IV, Warszawa, S. Orgelbrand 1843 r. str. 195, 193, 189 i 193. — Oddział II, tom IV, r. 1844, str. 215, 229, 243 i 235. Nowe wydanie Lwów 1872 i 3 w Zbiorze powieści). Pierwsze to dzieło Kraszewskiego, ukazujące się w Warszawie i obejmujące spostrzeżeniami i charakterystykami wszystkie warstwy społeczne, a głównie szlachtę ze wszystkich dzielnic Polski. Jest to szereg obrazków i charakterystyk społeczno-obyczajowych, w duchu demokratycznym i satyrycznym skreślonych, powiązanych w całość powieściową osobą

niejakiego Stanisława, człowieka wykształconego, z dobremi chęciami, lecz słabą wolą i bez wytkniętych celów życia. Jak we wcześniej napisanych »Obrazach z życia i podróży« i później ogłoszonej powieści »Milion posagu« (Warsz. S. Orgelbrand, 1847 r. 2 tom. str. 203 i 260, 2-gie wyd. Lwów-Warszawa 1872), tak i w »Latarni« ten niedawny współwyznawca pojęć Rzewuskiego i Grabowskiego o znaczeniu społecznem rodów możnych, przedstawia, mniej jaskrawo tylko, nicość moralną, życie bezmyślne, próżniacze i hulaszcze, wyrodzenie się arystokracyi, tracącej prawa przewodnictwa społecznego. W szlachcie przy miękkości serca, widzi brak wykształcenia, wychowania, poczucia i pojęcia obowiązków społecznych i godności w stosunku do panów. Zato z wielkiem współczuciem i znajomością rzeczy przedstawia stan ludu wiejskiego we włączonej do »Latarni« a pierwotnie w »Ateneum« pomieszczonej »Historyi Sawki«. Druga połowa »Latarni« poświęcona jest przeważnie zarysom życia mieszczańskiego — w tem niekorzystne obrazy Warszawy — i w części Żydom. We współcześnie (1847 r) wydanych »Studyach literackich« twierdzi Kraszewski, iż powołaniem pisarza jest oddziaływać na naród, nie bawić tylko, zajmować, zyskiwać oklaski, lecz »stać się użytecznym, potrzebnym, być przywódcą do dobrego, do cnoty, do wiary, do piękna. do słusznego«. Minęły czasy, gdy literaci pisali tylko dla koła literatów, dziś pisarze stają się »przywódcami i naczelnikami moralnymi swego wieku; zważmy więc, jak wielki wzgląd na siebie mieć powinni... Pisarz sam naprzód doskonalić się obowiązany, nic go od tego nie uwalnia, wszystko zmusza«. Świadomość doniosłych obowiązków moralnych i społecznych, nierozłącznych ze stanowiskiem głośnego i wpływowego pisarza, odbijać się zaczyna coraz silniej w utworach Kraszewskiego i w jego działalności, świadczącej o dojrzewaniu moralnem poety-powieściopisarza, o pracy nad sobą. Znika z utworów szyderczo ironiczny stosunek do przedstawionych postaci, występuje coraz silniej sympatya dla ludzi, dla ludu przedewszystkiem, przy pogłębionej religijności uwydatnia się dążność tolerancyjna, gotowość popierania wszelkich usiłowań, mających na celu szerzenie oświaty i postęp moraluy. Działacz społeczny, moralista, szerzyciel oświaty, bierze górę nad artystą i swoją różnostronną działalnością i twórczością, odsłaniającą coraz głębiej bogatą i piękną duszę, podbija lepsze dusze na całym obszarze Polski. Najznaczniejszą zasługą Kraszewskiego w tej działalności społecznej jest podjęcie i gorące popieranie sprawy ludu w szeregu obrazków i powieści na życiu ludowem osnutych. Przedstawia on wprawdzie tylko lud Wołynia, z którym styka się w ciągu kilkunastu lat żywota ziemiańskiego, lud, którego dola była cięższą od położenia ludu wiejskiego w Poznańskiem i Królestwie, to jednak właśnie nadaje więcej siły przekonywującej obrazom, jakie kreśli, i argumentom, jakimi w obronie ludu przemawia. Od widma złego dziedzica w »Dziadach«, w literaturze naszej nie pojawił się silniej, wierniej i z gorętszem uczuciem skreślony obraz nie-

doli wieśniaka, oddanego na łup rządcom i ekonomom w większych majątkach, jak wspomniana wyżej »Historya Sawki«. Wcześniejszą nieco, choć później ogłoszoną powieścią ludową Kraszewskiego jest »Ulana«, powieść poleska. (Wilno, T. Gluecksberg, 1843, str. 274 — 2-gie wyd. Petersburg, B. M. Wolff — 1855, str. 191, 3-cie wyd. Lwów 1874, 4-te wyd. w »Wyborze pism«, Warsz. 1884). Prócz czterech wydań polskich, miała trzy przekłady francuskie (Jeden Wł. Mickiewicz — Paris, Lévy 1883 str. XXXII i 271), niemiecki (Szrajbera, Wien 1880, str. 150), hiszpański (Madrit 1885, str. 213), czeski (Praha 1881), serbski (Pancova 1883). Powodzenie to zawdzięczała »Ulana« artystycznemu odtworzeniu tragicznie zakończonej miłości uroczej wieśniaczki polskiej, która porzuca męża dla bogatego, znudzonego życiem panicza, szukającego w tym związku zaspokojenia chwilowej fantazyi. Zrozpaczony jej mąż, mszcząc się na panu, podpala dwór i folwark, a uwięziony, odbiera sobie życie. Ulana, odtrącona przez żeniącego się w swej sferze kochanka, kończy również samobójstwem. W roku 1845 powstaje »Ostap Bondarczuk« (Wilno, Zawadzki 1847, str. 263, wyd. 2-gie poprawione 1851 r. str. 240, wyd. 3-cie wraz z »Jaryną« Wilno, r. 1855 str. 203 i »Jaryna« od 204 do 418, później Lwów, 1869 r. i tamże r. 1872). Ostap, poddany, otrzymuje wraz z synowcem dziedzica wykształcenie uniwersyteckie w Berlinie. Kierując się na lekarza, oddaje się jednocześnie studyom filozoficznym. Miłość do hrabianki Michaliny, przeznaczonej dla synowca a zarazem jego kolegi i serdecznego przyjaciela, odczuwane ciągle w stosunkach z otoczeniem, zwłaszcza stryjem Alfreda, bolesne upokorzenia, sprawiają, iż nie przyjmuje proponowanego mu wyzwolenia z poddaństwa, rzuca swą rodzinną wioskę, w której pragnął pracować jako lekarz i opiekun braci ciemnych i biednych, zagrzebuje się w zapadłym jakimś kącie, złamany przebytymi zawodami. W postaci Ostapa chciał widocznie przedstawić Kraszewski zdolność duszy chłopskiej do najcięższych poświęceń i jej nieprzełamaną dumę. Wraz z poważniejszem pojmowaniem i pełnieniem zadań pisarza i działacza społecznego dojrzewa moralnie i szlachetnieje dusza Kraszewskiego. Uczuciowość jego pogłębia się i wzrasta w siłę, a jednocześnie rozwija się umysł i artyzm. Zajęcie się filozofią niemiecką — systemem Hegla głównie — następnie zaś współczesnym ruchem filozoficznym polskim — pracami Trentowskiego odbije się w przekładzie kilku rozpraw francuskich i niemieckich o filozofii Hegla, pomieszczonych w »Ateneum« i wydanej r. 1847 w Lipsku książce: »System Trentowskiego, treścią i rozbiorem analityki logicznej okazany«. (Wydanie J. N. Bobrowicza. Lipsk 1847 r. str. 252, toż samo z nową kartą tytułową, Bruksela, Z. Gerstman 1862 r. str. 252 jako 21 tom Bibl. domowej). Jest to właściwie streszczenie jednej części »Myślini« w zestawieniu z logiką Hegla. Obok uznania dla zasług Trentowskiego, jako »pierwszego może polskiego filozofa oryginalnego«, zarzuca mu Kraszewski wycieczki przeciw katolicyzmowi i wogóle

chrześcijańskiej nauce, choć w istocie zwracały się one tylko przeciw duchowieństwu i jego przewadze. Zajęcie się filozofią, w związku z niesłabnącą lecz przekształcającą się i pogłębiającą religijnością, zwróci ten ruchliwy, ciągle nowych przedmiotów i kierunków potrzebujący umysł ku poważnym zagadnieniom życia, ku jego najwyższym celom, i ku postaciom, które wytknąwszy sobie takie cele, mogą budzić i podtrzymywać w szerszych kołach świadomość i pożądanie tych celów. Obserwacya zewnętrznej strony ludzi, upodobanie do pospolitych postaci, a zarazem ironiczny i szyderczy do nich stosunek, zanikają lub schodzą na drugi plan, ustępując miejsca pytaniom takim, jak życie, miłość, szczęście, stosunek szczęścia osobistego do ogólnego. Zagadnienia te dostarczą osnowy trzem z tego czasu pochodzącym utworom powieściowym: »Pod włoskiem niebem« (Lipsk, 1845, 2-gie wyd. Warszawa, 1857; 3-cie wyd. Lwów, 1872), »Pamiętniki nieznajomego« (Warszawa, Klukowski, 1846 r. str. 483; 2-gie wyd. Wilno, Zawadzki, 2 tomy, 1854, str. 240, 208; 3-cie wyd. Lwów 1872 r. 2 tomy — czeski przekład Tumpacha, Brno — 1886) i »Sfinks« (Warszawa, Merzbach, 1847, tom IV, str. 248, 228, 217 i 230; 2-gie wyd. Poznań, Merzbach Lud. 1874, str. 218, 210 — przekład niem. Szrajbera — Wien-Pest. Hartleben. 1881 r., str. 236, 244, 256) W utworach tych Kraszewski osiąga to, o co nadaremnie się silił w swej »Anafielas«, pociąga nas, opanowuje często poezyą wprost z serca płynącą, wzrusza nowymi tonami uczuciowości, niespotykanymi w dawniejszych utworach. Uczucia te: rzewność i tęsknotę, spotykamy już w niektórych ustępach powieści p. t. »Zygmuntowskie czasy«, powieść z r. 1572 (Warszawa, S. Orgelbrand 1846—47, tom IV, str. 234, 226, 223, 225; 2-gie wyd. Lwów 1873 r.), napisanej jeszcze r. 1844. Obok szeregu drobnych obrazków obyczajowych, nakreślonych pod wpływem podobnych, tylko niezdarnie robionych zarysów Wójcickiego, a zostających w związku z wydaniem przez Kraszewskiego zbioru p. t. »Pomniki do historyi obyczajów w Polsce z XVI i XVII w.« zebrane z rzadkich druków (Warszawa, Orgelbrand, 1843 r. str. 269), spotykamy tu w osobie Beaty Sołomoreckiej, postaciach dwu Czuryłów, a nawet Jezuity Krasowskiego odbicie tych nowych tonów uczuciowych duszy autora. Trzy powyżej wymienione utwory są to czysto psychologiczne powieści, poświęcone odtworzeniu dramatów duchowych u jednostek uczuciowych, wrażliwych, słabych, szukających zaspokojenia pragnień serca w miłości idealnej, sztuce, dręczonych zagadnieniami bytu. Autor zaledwie że oznacza tu tło realne, rysy epoki i życia otaczającego, zato starannie i z wielkim artyzmem odtwarza wpływające na duszę głównych postaci krajobrazy i pomniki kultury i sztuki (Rzym w fantazyi, »Pod włoskiem niebem«, Klasztor kapucynów i Warszawę w »Sfinksie«). Jan z fantazyi »Pod włoskiem niebem«, utraciwszy wiarę, znużony życiem, szuka pod gorącem niebem południa miłości, którąby mu zapełniła życie i dała zapomnienie o jego zagadnieniach. Zawiedzionemu i rozpaczającemu na ruinach Kolizeum mnich

udziela nauki, która jest powtórzeniem rady, jaką ksiądz uspokaja rozpaczającego Gustawa w »Dziadach« (»Zapomnij o swym proszku, zważ na ogrom świata«), wskazując mu w oddaniu się na usługi bliźnim, w pracy dla dobra drugich jedyne skuteczne lekarstwo na zawody sercowe. »Pamiętniki nieznajomego« dają nam dzieje przejść sercowych marzyciela i zapaleńca Juliusza, wychowańca uniwersytetu wileńskiego, pełnego zapału dla piękna i dobra, wiary w możliwość szczęścia pełnego na ziemi i pragnienia namiętnego takiego szczęścia. Cztery różne bardzo kobiety władają z kolei jego sercem; kiedy w dojrzałych już latach jest blizkim osiągnięcia prawdziwego szczęścia w związku z zacną, prostą, oddaną obowiązkom rodzinnym i społecznym istotą, zjawia się — często wracająca odtąd u Kraszewskiego — demoniczna kobieta — lwica i artystka na poły — by blaskiem swych wdzięków i uzdolnień przyćmić ciche cnoty tej, którą poślubi wprawdzie, lecz z sercem tęskniącem za tamtą, która olśniła i pociągnęła tę słabą a wrażliwą duszę. Ponownie, z większem pogłębieniem i goretszem odczuciem, rozwija to odwieczne, a zawsze świeże i palące pytanie o tajemnicę życia i szczęścia, w szerokich ramach czterotomowej powieści o dziejach duszy artysty, zatytułowanej »Sfinks«. Syn żmudzkiego chłopa, pijaka i awanturnika, niezwykłemi zdolnościami do rysunku zwraca na siebie uwagę możnego pana, który go swoim kosztem wyprawia na naukę do Wilna. Utraciwszy w 16 roku życia przez śmierć opiekuna środki do dalszego oddawania się sztuce, po ciężkich przejściach z nowym opiekunem, malarzem, i namiętną a kapryśną kobietą, dostaje się pieszo, bez środków bytu do Warszawy, za rządów Stanisława Augusta. Uzyskawszy po zwalczeniu różnych przeszkód uznanie i pomoc materyalną od dbałego o rozwój sztuki króla, udaje się do Włoch. Tutaj dusza jego, — pod wpływem zachwytów i zawodów, upojeń i cierpień, pracy nad zdobyciem mistrzostwa w sztuce i pozyskania — niepodzielanej — miłości pięknej i rozumnej kobiety, tracącej przez niego życie, — rozwija swe twórcze uzdolnienia, lecz po zbywa się wiary religijnej, dostaje się pod władzę zręcznej zalotnicy, uzdolnieniem swem sprowadza zawiść i rywalizacyę kolegów, popada w niedostatek. Poślubia odnaleziony ideał swej młodości po to tylko, żeby wkrótce wśród niepowodzeń materyalnych stracić żonę i dziecko. Ostatecznie, zawiedziony we wszystkich swych ziemskich dążeniach, opuszczony od ludzi, odnajduje spokój duszy w powrocie uczuć i wierzeń religijnych i zamyka się w klasztorze Kapucynów w Warszawie, by oddać się Bogu i sztuce.

I w zakończeniu poeta przez usta tej postaci rozwija te same myśli, któremi pokrzepić usiłował mnich Jana w fantazyi »Pod włoskiem niebem«. Bohater »Sfinksa« tak wynurza się w celi klasztornej przed przyjacielem: »Myśli, dawne myśli moje, dumne i skrzydlate, złożyłem na ofiarę Bogu... Pokorne myśli dzisiejsze wspólnemi są z dziecięciem i wieśniakiem. Dusza moja nie potrzebuje dziś wywnętrzać się, jak dawniej, gdy tęskniła za ideałami, które próżno goniła po rzeczywi-

stym świecie«. Juliusz z »Pamiętników nieznajomego« w podobny sposób maluje zdobyty ostatecznie pokój duszy. »Od kolebki począwszy, od samolubnej młodości, człek, doskonaląc się, z własnego Ja wychodzi i uznaje się częścią całości... Im dalej idziemy, tem mniej sobie celem i sobie panami jesteśmy. Wchodzim w towarzystwo i święcić się musimy obowiązkom. Odtąd cel człowieka zewnątrz niego, osobistość jego tonie w wielkim ogromie... Nic poważniejszego, nic surowszego, jak życie, a kto je chce zbyć żartami, nic nie pojął«. Obok podniosłości, cechującej takie rozwiązanie zagadnień życia, odbijającej postęp moralny duszy poety, spotykamy w tych powieściach wybujałości romantyczne w przewadze erotyzmu, sentymentalizmu, niezwykłych, tajemniczych i demonicznych postaciach (doktór Fantazy, Kasztelanowa w »Sfinksie«), choć obok tego daje nam autor realne, pełne zdrowia, prostoty i siły postacie, jak rzeźbiarz Mamonicz. W powieści tej jak i w fantazyi »Pod włoskiem niebem« odbiły się też studya i poszukiwania Kraszewskiego, gromadzącego wtedy materyały do »Historyi sztuki«, »Słownika malarzów polskich«. Częściowymi owocami tych zamiarów będą ogłoszone później: »Złota legenda artystów« z angielskiego przełożył J. Krasz. (Wilno, T. Gluecksberg 1848, str. 284. Z angielsk. pisma: »The Athenaeum« — odbitka z polsk. »Ateneum« z r. 1846). Następnie w r. 1858 ogłosił w »Tece wileńskiej«, w odbitkach z niej: »Ikonotheka« (Wilno, r. 1858 str. 80) i »Sztuka u Słowian, szczególniej w Polsce i Litwie przedchrześcijańskiej« (Wilno, Kirkor, r. 1860, str. 391). Wyrazem wymownym gorącego uznania i uwielbienia ze strony społeczeństwa, wdzięcznego za tak bogatą i różnorodną twórczość, było przyjęcie Kraszewskiego w czasie jego ponownej bytności w Warszawie r. 1846, trwającej od połowy listopada do świąt Bożego Narodzenia. Nie koła literackie, względem których zachowywał się dość powściągliwie, ale towarzystwo warszawskie, czytająca publiczność prześcigała się w okazywaniu, w sposób dość naiwny często, swego zainteresowania się i hołdu dla umiejącego trafić do wszystkich dusz pisarza, August Wilkoński upamiętnił właściwą publiczności warszawskiej zapalność w wybornej humoresce: »Kraszewski w Warszawie«. Żona jego Paulina, popularna w swoim czasie powieściopisarka, powiada w swych »Wspomnieniach«: »Warszawa rwała się do niego; wyrywano go sobie, bo nie mógł wszystkim zaprosinom podołać. Obiady, wieczory, goniły jedne po drugich. To proszono, by oblubienicę powiódł do ołtarza, to znowu, żeby chrzestnym był ojcem, i tak istny wiązał się łańcuch«. Z dwóch kół literacko-społecznych, grupujących się koło konserwatywnej »Biblioteki Warszawskiej« i radykalnego »Przeglądu Naukowego«, pierwsze ujęło sobie chłodno usposobionego gościa, urządzając w lokalu redakcyi, na środowem posiedzeniu, owacyę pracowników drukarni warszawskich, składających hołd pisarzowi, który dostarczał im tyle pracy, a społeczeństwu tyle chleba duchowego. Wyjeżdżając, dał pogodzony z »Biblioteką« pisarz fantazyę wierszowaną p. t. »Łza w niebie«, gło-

szącą podniosłe idee miłości, wyrozumienia, harmonii między ludźmi. Młode koło radykalne było rozbite już przez wypadki r. 1846 i śmierć poległego na Podgórzu Edwarda Dembowskiego, który był duszą redakcyi i skupiającego się koło niej grona. Kraszewski, który już w r. 1842 pomieścił w »Przeglądzie« swój utwór »Poeta jakich wielu«, zostawał w dobrych stosunkach z późniejszym redaktorem H. Skimborowiczem. Łączyły go także stosunki z wydawaną przez młode koła postępowe kijowską »Gwiazdą«, w której pomieścił w r. 1847 obrazek obyczajowy »Zagroba«. Nie mając własnego ustalonego programu społecznego, sprzyjając, przy swej uczuciowości, wszelkim dążeniom, dobro ogólne i oświatę mającym na celu, zajmuje Kraszewski najchętniej stanowisko pośrednie pomiędzy partyami, ścierającemi się z sobą. Swiadom swej popularności i rosnącego z nią wpływu na umysły, widzi w tem swój obowiązek i znamię swej wyższości.

Wypowiedziawszy, w świetnym ciągu utworów powieściowych od »Latarni« do »Sfinksa«, nagromadzone w duszy spostrzeżenia, myśli, przeżycia, ujawniwszy pogłębienie i zbogacenie swego artyzmu, zwolni teraz na lat kilka Kraszewski gorączkowe tempo swej twórczości. Rok 1847 poświęci głównie staraniom o nadwyrężone pracą i dziedzicznym zapewne artretyzmem zdrowie. Odbywając kuracyę dłuższą w »Druskienikach«, poświęcił tej miejscowości napisaną wspólnie z dr. Wolfgangiem książkę (»Druskieniki, szkic literacko-lekarski, Wilno 1848 — do współki z dr. Wolfgangiem). Przedtem już brał udział w wydawanej przez lat dwa w Grodnie (1844 i 45) zeszytami »Ondynie wód druskienickich«.

Następny rok wypełniły zajęcia i kłopoty, wynikłe ze sprzedaży Gródka (w lipcu 1848 r.), jako niekorzystnego pod względem gospodarczym, i poszukiwanie nowego majątku, zakończone nabyciem Hubina (o dwie mile od Gródka), folwarku z klucza Horochowskiego Tarnowskich. Za 165.000 złp. nabył tu 121 dusz i 113 włók dobrej ziemi, ale z lichym, szczupłym dworem i bez ogrodu (25 stycz. 1849 r.). Chcąc pokazać rodzinie i sąsiadom, że choć literat, potrafi gospodarować, wziął się z zapałem do pracy, spędzając całe dnie w polu, dozorując sam wszystkich czynności. Mimo to wyniki tej pracy były niepomyślne, zwłaszcza przy nieurodzaju w r. 1850. Zniechęcony, przyjął rządcę, a sam powziął myśl osiedlenia się z rodziną w mieście, by oddać się wyłącznie pracom literackim. Jednocześnie otrzymał z Krakowa propozycyę zajęcia katedry literatury polskiej w uniwersytecie, lecz, mimo poparcia metropolity Hołowińskiego, nie mógł uzyskać od władz rosyjskich pozwolenia na wyjazd i przyjęcie tego stanowiska, a jednocześnie i zamiary rządu austryackiego uległy zmianie. Po różnych projektach i wahaniach się w wyborze miasta (między Warszawą a Lublinem) zdecydował się ostatecznie na Żytomierz, wskutek czego ziemianie wołyńscy powołali go w maju r. 1853 na kuratora honorowego gimnazyum tamecznego 248 głosami na 300. W ciągu pobytu w Hubinie nawiedził r. 1851 Warszawę, w której zgotowano mu gorące

przyjęcie, jak się domyślał Kraszewski, z intencyą manifestowania przeciw niepopularnemu a czynnemu tak wtedy na niwie dziennikarskiej Rzewuskiemu, z którym zetknął się na poniedziałku u Łuszczewskich. W r. 1852 odbył znów długą, kilkomiesięczną podróż, w której zwiedził Podole aż po Bałtę i Kamieniec, a następnie bawił w Odesie, podejmowany owacyjnie i serdecznie przez przebywających tam rodaków.

W okresie tym lata zmniejszonej znacznie twórczości (1847 i 1848) wydały jednakże piękny obrazek »Budnik« (»Bibl. warsz.« 1848 i odbitka Warsz. 1848 str. 114, 2-gie wyd. Wilno, Zawadzki, 1850 r. str. 224; 3-cie wyd. Lwów 1874 — przekład rosyjski Kijów 1851 i niemiecki przed 1874) artyzmem wykonania, nowością głównej postaci — pół-chłop — pół szlachcic — dorównywujący Ulanie. Upadek ruchu rewolucyjnego r. 1848 i pierzchnięcie złudnych nadziei z nim łączonych, wywołały naturalne zresztą ożywienie przycichłych pojęć konserwatywnych. Kraszewski świadom swego wpływu, zajmuje teraz stanowisko pośrednie, na idei postępu chrześcijańskiego oparte, by stopniowo wraz z rosnącą siłą reakcyi przesunąć się więcej na prawo. W obrazku »Pan i szewc« (Aten. z r. 1849 — Wilno 1850, str. 135; 2-gie wyd. Petersburg 1854 str. 209, Lwów 1875) przedstawia dodatnio mieszczaństwo warszawskie z czasów Stan. Augusta, z tendencyą dydaktyczną, kładąc nacisk na znaczenie wychowania religijnego w rozwiązywaniu kwestyi społecznych. Druga powieść »Ostrożnie z ogniem« (Lwów, Milikowski, 1849, str. 275; 2-gie wyd. poprawione, z illustrac. Pilattiego, Warsz. Natanson 1857, in 4, str. 38, 3-cie wyd. Lwów 1872, przekł. rosyjski, Wilno, Zawadzki, 1861) rozwija myśli o kobiecie polskiej, przeciwstawiając widocznie ówczesnym emancypantkom, idealny — nie poparty przez świadectwa — obraz dawnej Polki. »Dziwadła« (Petersburg, B. Wolf., 2 tom. 1853; 2-gie wyd. Warsz. Natanson 1857, ilustr., str 80; 3-cie wyd. Lwów, 1872, 2 tom. str. 142 i 190) odbijają pojęcia ówczesne Kraszewskiego o zadaniach ziemiaństwa, wywołane wypadkami r. 1846 i oddaniem się pracy gospodarczej w Hubinie. Na tle Polesia wołyńskiego, śród tłumu karciarzy i hulaków, kreśli w postaci Graby wzór ziemianina, oddanego pracy i służbie społecznej. »Tomko Prawdzic« wierutna bajka (Lwów, 1850 str. 133, wznow. wyd. r. 1863, nowe wyd. Lwów 1873), w opowieści o wychowaniu i latach studyów głównej postaci uwydatnia — ze względu na niedawny zapał dla filozofii niemieckiej w kołach młodzieży — niepewność wiedzy ludzkiej i potrzebę szukania prawdy w religii. Dla ówczesnych czytelników, którzy z filozofią i jej zagadnieniami zetknęli się, podobnie jak i powieściopisarz, przelotnie i powierzchownie, wywody przekonywające Tomka Prawdzica wystarczały najzupełniej. Wobec malejącego koła prenumeratorów »Ateneum«, nie nawiązania stosunków bliższych z nielicznemi i ubogiemi czasopismami warszawskiemi — upadkiem czasopism wileńskich, szukając dla siebie pola do szerszej działalności publicystycznej, zwraca się znowu

Kraszewski w początkach r. 1849 do porzuconego »Tygodnika Petersburskiego«, którego reakcyjność przestaje go razić przy obecnym nastroju duchowym. Teraz widzi on w Tygodniku »jedyne nasze pismo peryodyczne« i wobec osłabienia życia umysłowego, pragnie on z weselem na czole i pogodą w sercu »stanąć do pracy, a jak będzie trzeba, to i walki użytecznej, dającej życie literaturze«. Wojowniczy impet zwrócił wkrótce publicysta przeciwko »Rocznikowi Literackiemu« i pierwszym zeszytom rozpoczętego w Wilnie przez Romualda Podbereskiego, zbiorowego wydawnictwa w duchu demokratycznym, p. t. »Pamiętnik naukowo-literacki«. Złośliwość krytyki oburzyła koła postępowe i wywołała energiczny protest Zofii Klimańskiej, w formie listu do redaktora »Gwiazdy«, pomieszczonego w 4-tym numerze wydawnictwa p. t. »Efekt hubińskiej krytyki« i wydanego osobno w Wilnie r. 1850 przez Podbereskiego p. t. »List Zofii K. z Brzozówki do Benedykta Dołęgi«. Kraszewski nie odpowiedział wcale na ten atak, ale pomścił się później na Podbereskim, umieszczając w »Komedyantach«, w postaci literata Maurycego Hołoboka, zjadliwą biografię i charakterystykę tego przemysłowca literackiego, a później w »Powieści bez tytułu« uszczypliwe karykatury postępowców i salonu literackiego pani Lidzkiej (Klimańskiej).

Mimo tego starcia, a może i pod jego wpływem — Kraszewski w swych dalszych listach do »Tygodnika« nie porusza wcale ważniejszych i drażliwszych kwestyi, zajmując się przeważnie drobiazgami i malarstwem, jedynie tylko w przesłanych temu pismu »Dziwadłach« (rozpoczętych lecz przerwanych przez redakcyę i wydanych osobno w całości) usiłował podsunąć Tygodnikowi swój program i wpłynąć na przeprowadzenie go przez redakcyę. Zapewne bezowocność tych usiłowań sprowadziła zerwanie ponowne z »Tygodnikiem« w połowie r. 1850 i pomieszczenie w »Ateneum« ostrej krytyki tego organu, który »trupem trąci«, i którego nikt nie zdoła podźwignąć, bo »co martwe, to umarłe«.

Odsunąwszy się od dwu obozów, podtrzymujących z wysiłkiem słabnące po r. 1848 życie umysłowe i twórczość literacką, odczuwa Kraszewski potrzebę wzmocnienia stanowiska najpoczytniejszego pisarza polskiego — wobec występującego w Józefie Korzeniowskim poważnego współzawodnika — przez zmiany i ulepszenia w technice powieściopisarskiej. Zaznajomienie się bliższe z utworami Dickens'a i rosnące powodzenie Korzeniowskiego pobudzają go do porzucenia dawniejszego szkicowego traktowania postaci i położeń, a wprowadzenia starannie i szczegółowo opracowanych opisów i charakterystyk. Obok tego wbrew dawniejszym wstrętom do tendencyjności w sztuce, uznaje teraz pożytek i konieczność dążności moralnej w powieści, która »będąc chlebem powszednim dla wielu, powinna, jak chleb, być zdrową«. Ponieważ powieść wpada w ręce wszystkim, »trzeba, iżby nie była trucizną dla nikogo«. Zadaniem powieści jest prostowanie fałszów zakorzenionych, tępienie wad, popularyzowanie idei dobra

i piękna; »każda potrzeba wieku tętnieć w niej powinna, każdy żal słuszny znaleźć echo, każde poczciwe pragnienie — obrońcę, każda wada — chłostę«. Żeby ten cel osiągnąć, musi powieść ściśle się opierać na rzeczywistości, ideały swe »ciosać z żywego ciała społeczeństwa«. Tak w r. 1852 (Gazeta Warsz. n. 188) określał Kraszewski swe pojęcia o zadaniu powieściopisarza, nie przewidując, że w niedalekiej przyszłości zmiany polityczne umożliwią zarówno swobodniejszy rozwój pracy społecznej, jak i żywszą i szerszą działalność literacką i publicystyczną, że po wyczerpaniu przez dotychczasową twórczość postaci i położeń, nasuwających się bacznemu na życie społeczne obserwatorowi, znajdzie on w nowych potrzebach, zmienionych warunkach, w ożywiającej się działalności społecznej i umysłowej nowe tematy, postacie i nowe bodźce coraz szerszej i bogatszej twórczości. Warszawa, z którą jako korespondent odradzającej się »Gazety Warszawskiej« zostaje od r. 1851 w coraz ściślejszych stosunkach, stanie się stopniowo ogniskiem, skupiającem naprzód literacką, a następnie publicystyczną i społeczną działalność Kraszewskiego. Pięcioletni pobyt w Żytomierzu będzie etapem przygotowawczym do szerokiej, ogół życia narodowego i sprawy kraju całego ogarniającej działalności. Utwory z trzech lat (1850—1853), poprzedzających osiedlenie się w Żytomierzu, przedstawiają w opracowaniu zaznaczoną powyżej, pod wpływem Dickens'a i Korzeniowskiego z jednej, a studyów nad rozwojem sztuki, i gromadzonymi z zapałem i znawstwem sztychami wybitnych artystów, z drugiej strony, korzystną bardzo zmianę w opracowaniu szczegółowem tła i charakterystyki w powieściach. Świeżością i bogactwem trafnie dobranych szczegółów umie zainteresować czytelnika, nie czującego znużenia przy odczytywaniu kilkunastu kart, poświęconych opisowi karczmy polskiej, szerokiej charakterystyki przodków głównej postaci, lub półtomowej opowieści o przybyciu Stanisława Augusta w odwiedziny do możnego domu na Wołyniu. Co do stosunku pisarza do przedmiotu, to przeważa sympatya i pobłażliwość dla ludzi, tak średniej szlachty, jak ludu i mieszczaństwa. Jedynie panów traktuje z ironią i w ciemnych barwach, głównie w powieści »Komedyanci« (Petersburg, Wolff, 1851, 2 tom. str. 270, 232; 2-gie wyd. tamże 1858 r. w 4 tom., str. 292, 244, 222 i 200; 3-cie wyd. Lwów 1874 r. str. 196, 164, 147 i 131 — rosyjski przekł. 1857), tudzież w »Interesach familijnych« (Petersburg, Wolff, 1853 r. tom IV, 213, 222, 178, 186; 2-gie wyd. Lwów 1875), poświęconych Korzeniowskiemu, a przedstawiających, przeniesioną na wiek XVIII, znaną na Polesiu i Wołyniu rzeczywistą postać wstrętnego rozpustnika i cynika, koło którego kręci się cała gromada chciwych na sukcesyę krewniaków. Szereg powieści, pomieszczonych w »Gazecie warszawskiej«, która zwiększywszy format, wprowadzi nieznany przedtem w układzie gazet odcinek, rozpoczyna: »Dyabeł«, powieść z czasów Stan. Augusta. (wyd. drugie, przerobione, Wilno 1855, 4 tomy we dwóch, str. 326, 418; 3-cie wyd. Lwów 1872, czeski przekład Vor-

Biblioteka P.W.S.P. w Krakowie

sku rodzinę polską, w przeciwieństwie do niezaradności, lenistwa' biedy materyalnej i nieszczęść tejże rodziny, siedzącej na wsi. »Złoty Jasieńko« (Odb. z »Bluszczu« Warsz. 1869, str. 347) i »Dzieci wieku« (Odb. z »Kłosów« Warsz. Lewental, 1871, 2 tom. str. 334 i 292) przedstawiają w jaskrawych rysach zmateryalizowanie i rozkład moralny w stosunkach rodzinnych i życiu społecznem. Blaga, obłuda i nędza duchowa wszędzie przemaga. Ci, co mają uczyć i oświecać innych, dziennikarze, są również jeśli nie więcej zepsuci, jak to uwydatnia Kraszewski w obrazie lwowskich stosunków w powieści: »W mętnej wodzie« (Poznań, Leitgeber, 1870, str. 344, 2-gie wyd. Warsz. 1883, Wybór pism). Przesąd co do pracy rzemieślniczej, do której szlachta bierze się z biedy jedynie, wstydząc się swego zajęcia i kryjąc z niem, odmalował Kraszewski w powieści: »Wielki nieznajomy« (»Tyg. mód.« 1872); nędzę moralną rodów arystokratycznych w Wielkopolsce w obrazku: »Z życia awanturnika« (Odb. z »Tyg. Wielkop.« Poznań, 1872, str. 223, 2-gie wyd. Warsz. 1884, Wybór powieści); obóz wstecznikow, kierowany przez Jezuitów, scharakteryzował w »Ramułtach« (»Ramułtowie« pow. współcz. Warsz. Gebethner, 1881, str. 279, dwa przekłady rosyjskie, z r. 1883 w Petersburgu); niezaradność i słabość rodziny szlacheckiej, oczekującej ratunku od niebios lub bogatych krewnych, przedstawił w »Mogilnej« (Warsz. Gluecksberg, 1871, str. 221; 2-gie wyd. Wybór pow. 1886). Odczuwając i pojmując całą doniosłość tak groźnego dla przyszłości społeczeństwa wyradzania się i zanikania ziemiaństwa polskiego i związanego z tem przechodzenia ziemi w obce ręce, zapragnął Kraszewski wstrząsnąć do głębi czytelników stosownie obmyślanym i wykończonym artystycznie obrazem, któryby swą prawdą i pięknem, głębokością ujęcia, trafnem a silnem uplastycznieniem pojawów choroby społecznej, wrył się we wszystkie dusze i wywołał dążność do zapobiegania złemu. Z publicysty, szkicującego dorywczo i pospiesznie zarysy obyczajowe, okazał się w 60 roku życia dojrzałym artystą, zdolnym pociągnąć i zająć bogactwem postaci, rysunkiem charakterów, spokojem i równowagą, chroniącą go od jaskrawości. Utworem, w którym myśl swą tak szczęśliwie zdołał odtworzyć, była powieść p. t. »Morituri« (»Tyg. illustr.« r. 1872 i osobno, Warsz. Gebethner 1875, 2 tom. str. 319, 291; 2-gie wyd. Warsz. 1883, Wybór pow. 3 tom.; niem. przekł. Löbenstein'a, Lipsk. Reclam. 1878, węgierski 1879, francuskie przerobienie p. t. »L'agonie d'une race«, przez Charles Simond, Paryż 1886, angielski 1887). Jest to historya upadku możnej rodziny Brańskich. Wspólną cechą całej grupy jej członków, świetnie scharakteryzowanych, jest wiara w znaczenie, posłannictwo niemal ich rodu, gotowość do największych ofiar dla podtrzymania jego bytu i przekonanie, że zarówno Opatrzność jak różni potentaci ziemscy nie dopuszczą ruiny tak koniecznego dla bytu świata filaru. Ruina ta jest koniecznym wynikiem zerwania przez Brańskich związków z życiem otaczającego ich społeczeństwa, przekonania, że samem istnieniem swem speł-

niają doniosłe dla świata posłannictwo, wreszcie niezdolności do gospodarowania w wielkich dobrach, rządzenia olbrzymią fortuną, której dochody nie wzrastają w tej mierze, co zwiększające się koszty utrzymania domu na wysokiej stopie. Wobec wyczerpywania się pojawów i pytań życia współczesnego, przerabianych po kilkakrotnie w różnych obrazach i opowieściach, zwraca się jednocześnie Kraszewski do przeszłości, zarówno bliższej jak i dalszej, a najwięcej do wieku XVIII, któremu poświęcał specyalne studya historyczne. W tych właśnie latach ogłosił: »Pamiętnik anegdotyczny z czasów Stan. Augusta« (Poznań, Żupański, 1867, str. VI i 343), opracował bogate w szczegóły dzieło: »Polska w czasie trzech rozbiorów 1772—1799, studya do historyi ducha i obyczajów« (Pozn. Żupański, 1872—1875, tom 3, str. 454, 447, 689, tom I w 2-giem wyd. 1885, 2-gie wyd. Warsz. Gebethner 1905, tom. 3), którego wartość polega głównie na zebranym tu obfitym materyale różnorodnych i różnej wartości świadectw. Z powieści na tle przeszłości osnutych najdalej, bo w czasy Sobieskiego, sięgnął Kraszewski w »Pamiętniku Mroczka« (Tyg. illustr.« 1870 r. Wybór pism Warsz. 1879), skreślonym z prostotą opowieści pamiętników. Jaskrawością charakterystyki zepsucia obyczajowego za Stan. Augusta wyróżnia się »Orbeka« (»Kłosy« 1867 i Warsz. Lewental, 1868, str. 221; 2-gie wyd. Wybór pow. 1885), osnuta na miłości chorobliwej Walka Orbeki do awanturnicy Miry, dla której traci majątek a wreszcie życie. »Półdyable weneckie« (»Czas« i Kraków, 1867, str. 269; 2-gie wyd. Warsz. Wybor. 1879) przedstawia dzieje miłości szlachcica polskiego dla pięknej Wenecyanki. »Żeliga« (»Kłosy« 1865, Lwów 1877, str. 408; 2-gie wyd. Warsz. Wybór pow. 1883, czeski przekł. 1882) i »Ongi« (»Tyg. illustr.« 1867 — osobno p. t. »Krwawe znamię« Lwów 1878, str. 224, czeski przekł, Praga 1884) osnute są na zatargach rodów możnych i upadku ich, przedstawionym jako widomy znak »palca zemsty Bożej«. Hulaszcze i rubaszne życie szlacheckie przedstawiają: »Szaławiła«, powieść staroszlachecka (przez Bolesławitę, Toruń 1870, str. 312; 2-gie wyd. Warsz. Wybór 1879, przekład niem. Nordische Rundschau Rewel 1885). »Przygody pana Marka Hińczy« (»Tyg. romans« 1870, Warsz. Gebethner, 1881, str. 312). Różne rysy obyczajowe, z czasów saskich głównie, stanowią osnowę powieści: »Ewunia« (»Tyg. Romans.« 1871 i 72), »Bratanki« (»Kłosy« osob. Warsz. Gebethner 1880, 2 tom. 228 i 221), »Zemsta Czokołdowa« (1871), »Herod Baba« (»Wieniec« 1872, osob. Warsz. Gebethner 1880, str. 264, niem. przekład Stuttgardt, 1885), »Papiery po Glince« (»Niwa«, M. Orgelbrand, 1872, str. 86; 2-gie wyd. Wyb. pow. 1883). Epokę Sejmu wielkiego, czasy Kościuszki i Legionów, malują powieści: »Bezimienna« (przez Bolesławitę, część I, Lwów, Richter 1869. str. 304, część II Drezno, Lwów 1869, str. 226, czeski przekł. Praga 1870), »Sto dyabłów« (»Kraj« Kraków, Kraków 1870, 2 tom. str. 379 i 315) mozajkowe obrazki życia hulaszczego, obok działalności reformatorów i mieszczan warszawskich. »Tułacze« wreszcie (Bo-

lesławita, Poznań, Żupański 3 tom. 1868—70, str. 462 i 469, 2-gie wyd. Warsz. 1910 przy »Biesiadzie literackiej«) miały być w podniosłym tonie utrzymaną liryczną opowieścią wysiłków i cierpień wychodźców i wygnańców, od Konfederacyi barskiej aż po koniec powstania listopadowego. Czwarty zapowiadany tom nie ukazał się. W tej różnokształtnej twórczości nie pominie Kraszewski i komedyi. W tym czasie powstały: »Ciepła wdówka« (Poznań, Merzbach, 1866, str. 116, »Kosa i kamień« przysłowie dramatyczne (Poznań, Żupański, 1873, str. 46; 2-gie wyd. tamże 1877, przekł. niem. Wiedeń 1881), »Panie Kochanku«, anegdota dramatyczna w 3 aktach, (Poznań, Żupański, 1867, str. 129), »Równy wojewodzie«, obraz dramatyczny z XVIII w. w 5 aktach (Poznań, Żupański, 1868, str. 158), »Radziwiłł w gościnie«, anegdota dramatyczna. Lwów, Wild, 1872, str. 55, odb. ze »Świtu«). Są to właściwie zręczne, żywo kreślone dyalogi, pozbawione dramatyczności w pomyśle i wykonaniu. Sam autor określa je jako anegdoty, przysłowia, obrazki udramatyzowane.

Obok tego zajmuje się Kraszewski nieustannie wydawnictwami i pracami charakteru naukowego. Wydaje pisma K. Brodzińskiego (»Brodz. Kaz. Pisma wydane zupełne, poprawione i dopełnione z nieogłoszonych rękopisów, staraniem J. I. Kr. Poznań, tom 8, r. 1874), jednakże, wbrew zapewnieniom tytułu, niezupełne i pospiesznie, a więc niedość krytycznie opracowane. Opracowuje i ogłasza »Projekt Encyklopedyi starożytności polskich, przyjęty przez komisyę archeol. Akad. Umiej. w Krakowie« (Kraków, 1875, str. 39 — odb. ze Spraw. Akad.). Najlepszą z prac tego zakresu jest na rękopiśmiennych źródłach oparta monografia: »Krasicki Ignacy, życie i dzieła« (Warsz. Gebethner, 1879, str. 368). Prócz tego wydaje »Listy Alojzego Felińskiego« (»Na dziś« i osobno, Kraków 1872, str. 32). Pamiętnik J. Poczobuta (1640—1684), z autografu, z objaśnieniami (Warsz. Bibl. Ordyn. Krasińskich, t. III, 1877, str. 212), Listy Jana Śniadeckiego (Pozn. 1878). Współcześnie prowadzi redakcyę zbiorowego wydania dzieł Szekspira, w przekładach Ulrycha, Koźmiana i Paszkowskiego. (Warsz. 1876, 3 t.).

Przekonawszy się, po licznych próbach oddziaływania na bieg spraw publicznych — przez udział w redakcyi »Hasła«, a następnie »Kraju« krakowskiego (r. 1871), wydawnictwo »Rachunków« i »Tygodnia« — że jego głos nie ma dość siły przekonywującej, że rady i opinie wygłaszane nie znajdują uznania należytego, wywołują polemiki i kolizye, przykre dla drażliwego wielce pisarza, świadomego swych niezwykłych zasług i wyjątkowego stanowiska, zamyka Kraszewski w r. 1872, z chwilą ukończenia lat 60 życia a 40 pracy, swą działalność publicystyczną zebraniem treściwem swych poglądów na sprawy publiczne w broszurze: »Program polski 1872 r. myśli o zadaniu narodowem« (Poznań, Żupański, 1872 r. str. 63). Przypadające wtedy stulecie pierwszego rozbioru wywołało mnóstwo broszur i rozpraw programowych. Kraszewskiego myśli, trafne przeważnie, pod względem

politycznym zgodne prawie z programem Stańczyków — różniące się zato w kwestyach społecznych i religijnych — nie wnosiły nic nowego i nie dawały praktycznych wskazówek realizacyi tych ogólnie wyrażonych zapatrywań.

Za to tem szersze rozmiary przybiera teraz twórczość powieściowa. Gdy w pierwszych trzech dziesięcioleciach zawodu pisarskiego wypadało średnio po dwie powieści rocznie, to w czwartym pojawia się niemal cztery, a w piątym wzrasta produkcya do dziewięciu. Jednocześnie ośm pism warszawskich (»Tygodnik Illustrowany«, »Kłosy«, »Bluszcz«, »Biesiada Literacka«, »Gazeta Polska« a przygodnie »Tygodnik Mód«, »Opiekun Domowy«, »Wiek«) zasila korespondencyami i kronikami, przedstawiającemi współczesne życie literackie, artystyczne, a niekiedy i polityczne, Europy. Rosnące coraz koło czytelników, którym Kraszewski dostarczał coraz obfitszego, budzącego i kształcącego dusze pokarmu, odczuwało, obok podziwu dla sześćdziesięcioletniego pisarza, pracującego i przemawiającego z zapałem młodzieńca, wdzięczność i cześć żywą dla tego nauczyciela, zastępującego dla większości narodu choć w części brak mównicy publicznej, uniwersytetu i szkoły polskiej. Gorące uznanie i wielkie oczekiwania budził w społeczeństwie podjęty wtedy przez pisarza-patryotę wielki cykl powieści historycznych; rozpoczęty w r. 1876, mający objąć całą przeszłość dziejową narodu.

Przekonawszy się, iż w formie powieści może najsilniej oddziaływać na szerokie koła czytelników i tym sposobem przeprowadzać swe zamiary i dążenia społeczne, stara się w tym okresie Kraszewski o możliwą przedmiotowość w przedstawieniu współczesnego czy dawniejszego życia. Dawniejszy subjektywizm łączył się często z pewnym sentymentalizmem, teraz zaś stosunek poety do przedstawionych postaci przybiera charakter łagodnej ironii, pobłażliwości, płynącej zresztą ze stopniowego dojrzewania moralnego, jesiennej pogody ducha, który przeżył niemało — nietyle burz — ile wstrząśnień i starć moralnych.

Piękno artyzmu, uwydatnione w takich powieściach jak »Morituri«, »Stara Baśń«, »Hrabina Cosel«, »Bruehl«, »Dziennik starego dziada« w połączeniu z dążnością społeczną i narodową, cechującą całą zdumiewającą ogromem działalność pisarza-karmiciela i nauczyciela narodu, wywołać musiały w społeczeństwie, przy kończącym się półwiekowym okresie tej ciągle rosnącej pracy, naturalne pragnienie uczczenia, wywdzięczenia się poważnym hołdem myślącemu i czującemu za wszystkich i ze wszystkimi zarazem. Już w r. 1874 koło młodszych pisarzów, publicystów, artystów, należących do obozu postępowego, ofiarowało Kraszewskiemu, w dniu jego imienin (19 marca) album pamiątkowy, ozdobiony popiersiem z bronzu dostojnego solenizanta, z 62 fotografiami ofiarodawców. Dar ten złożyli w imieniu całego koła: Piotr Chmielowski i Julian Ochorowicz. Nieobecny w tym dniu w Dreźnie Kraszewski podziękował listem, w którym, między

innemi, oświadczył: »Zachowałem w sercu wiarę w postęp, uczucie jego obowiązku, miłość nauki i pracy, i to mnie do was zbliża... Duchem nie zestarzałem jeszcze, i pociechą dla mnie wasze uznanie, bo niem się czuję jeszcze żywym«.

Rosnące w całem społeczeństwie pragnienie złożenia hołdu wielkiemu pracownikowi spowodowało przyspieszenie uroczystości, która zamiast w pięćdziesięciolecie, przypadające w r. 1880, naznaczoną została na rok 1879. Już w r. 1877 z inicyatywy Adama Pługa (Pietkiewicza) w gronie współpracowników »Kłosów« powstała myśl przygotowania na zbliżający się jubileusz »Księgi pamiątkowej«, mającej w szeregu specyalnych opracowań przedstawić życie i różnokierunkową działalność jubilata. Zawiązano komitet redakcyjny, w skład którego weszli: Chmielowski, Kaszewski, Korotyński, Korzon, Lewestam, Oskierka, Pawiński, Pług, Skimborowicz, Struve i Wójcicki. Koszta druku i nakładu wzięły na siebie redakcye główniejszych pism warszawskich i poważniejsze drukarnie. Kilka tysięcy prenumeratorów zapisało się przed wyjściem z druku książki. Jednocześnie ogłoszona prenumerata na »Wybór pism« Kraszewskiego, w 15 tomach ściągnęła o wiele liczniejsze zapisy. Czysty zysk z obu tych wydawnictw, przeznaczony jako dar dla autora-jubilata, doszedł sumy 60.000 rubli.

Najwymowniejszym jednak wyrazem hołdu był odbyty w Krakowie w dniu 3 października 1879 r. wspaniały obchód, na który przybyło około 12.000 uczestników ze wszystkich prowincyi polskich i rozrzuconych po obczyźnie kolonii. Po uroczystem powitaniu jubilata na dworcu kolei w dniu 2 października przez radę miejską, młodzież uniwersytecką, cechy i tłumy publiczności, nazajutrz w sali świeżo odnowionych Sukiennic odbył się akt hołdu narodowego, rozpoczęty kantatą Żeleńskiego ze słowami Asnyka. Po wstępnej przemowie prezydenta miasta Zyblikiewicza, rozpoczęło się składanie darów i adresów przez 120 delegacyi od różnych instytucyi, korporacyi, prowincyi, grup społecznych, kolonii zamorskich. Z kolei powstał ze swego krzesła wielki doniosłością wywartego wpływu, rozmiarami dokonanych prac, napięciem zbiegających się dziś ku niemu uczuć milionów dusz — szczupły, drobny, pochylony wiekiem, pracą i chorobą starzec — i śród ciszy uroczystej odczytał z drukowanej karty swą odpowiedź i spowiedź zarazem. W przemówieniu tem odsłonił po raz pierwszy swą głęboką i niewzruszoną wiarę w żywotność narodu i jego odrodzenie się współczesne »pod ożywczem działaniem wielkiej boleści i sromu«. Optymistyczny zarys pojawów wszechstronnego odradzania się zakończył twierdzeniem, iż »z narodu, którego organizmowi brakło obezwładnionych narzędzi, stajemy się ciałem pełnem, któremu nie będzie zbywać na żadnej części składowej, na żadnym żywotnym warunku«. Liczne fakta świadczą, iż »na duchu urośliśmy tyle, ileśmy cielesnej mocy stracili«. O swoim współudziale w tem dźwiganiu się z upadku tak się wyraził: »Co mnie na tę drogę pracy popchnęło, co na niej utrzymało, wytłumaczyć nie umiem... Bodźcem była miłość tej ojczy-

zny, której losy w dziecinnem sercu tkwiły już raną, do dziś dnia nie zagojoną. Miłość ta boleścią razem była; szły z sobą tak połączone, że ich nic rozerwać nie mogło, ale im towarzyszyła nadzieja i wiara głęboka, że narody pod prawem Chrystusowem nie giną i nie umierają, że naród nasz, pozbawiony niepodległości, zniknąwszy jako państwo — jako naród istnieć ma prawo, obowiązek i istnieć będzie, dopóki sam żywota się nie wyrzecze lub samobójstwa nie popełni... Z tą wiarą, iż państwem być przestawszy, jako naród pracą nieustanną, spokojną, utrzymać w sobie życie możemy i powinniśmy, w skromnym zakresie starałem się przekonanie moje wpajać i w zgodzie z niem postępować... Piekłem tak przez pół wieku ten razowy chleb dni powszednich. Mogły się w nim znaleźć i oście i otręby — być może — ale zakalca nie było. Tak jest, nie siałem nigdy niezgody, rozbratu, nienawiści, nie rzucałem nigdy kamieniem, ani na żywych ani na groby. Miłość starałem się wlać w słowa moje, i odczuto ją pewnie, gdy często z niej płynącą gorycz tych słów wybaczano. Nawoływałem, ile sił stało, do zgody, jedności wyrozumiałości, połączenia serc i myśli, przejednania w domu i poza domem«.

Ciągnąc dalej na ideach i wizyach »Przedświtu« i »Psalmów« osnute wypowiedzenie swych wierzeń i pragnień, wołał: »wierzmy raczej w miłość i braterstwo powszechne, niż w wiekuistą, zwierzęcą walkę o byt, wierzmy raczej w prawo słabości, niż w prawo pięści i siły... w zgodę i miłość nietylko plemion ale i narodów, wierzmy w sprawiedliwość Bożą, we wszystko, co wielkie, święte, dobre, piękne, co podnosi człowieka, a nie skarla go i zezwierzęca. Tak, wierzmy wszyscy w ideały, ale do nich idźmy tą drogą, jaką we śnie Jakóbowym anioły wstępowały do niebios — po drewnianych szczeblach rzeczywistości. Rachujmy się z położeniem, siłami, nie tracąc z oczu tych wielkich, niebiańskich celów, jakie nam tradycye narodowe przekazały«.

Nie jako pisarz, poeta, lecz jako nauczyciel, publicysta, budziciel życia narodowego, przemawiał w tej chwili uroczystej Kraszewski. Sam ten obchód swymi pojawami stwierdzał zarówno szerokość jak siłę i charakter wpływu, jaki wywierał przez pół wieku na społeczeństwo ten niezmordowany przodownik życia narodowego, zamkniętego, przez zakazy i ścieśnienia stanu wyjątkowego, w ciasnym zakresie bytu rodzinnego i stosunków towarzyskich. Dar Siemiradzkiego, który swój wielki i głośny wtedy obraz »Pochodnie Nerona« ofiarował w tej uroczystej chwili Krakowowi dla przyozdobienia sali Sukiennic, wywołał myśl utworzenia Muzeum narodowego, które dziś stało się takim wspaniałym skarbcem sztuki polskiej i pamiątek przeszłości. Doniosły tak dla sprawy oświaty ludowej zamiar założenia »Macierzy polskiej«, jako wyraz pragnień większości uczestników obchodu, gorąco poparty przez jubilata, doszedł do skutku w trzy lata później (w marcu r. 1882), po zebraniu odpowiedniego kapitału, przez utworzenie we Lwowie instytucyi, rozwijającej odtąd swą pożyteczną

działalność oświatową. Teatr polski w Poznaniu, sprawa oświaty ludowej na Śląsku austryackim, budowa pomnika Mickiewicza w Krakowie, Kasa wsparć i pożyczek dla literatów i ich rodzin w Warszawie — znalazły śród zebranych poparcie w ofiarach materyalnych. Po raz pierwszy, w wielotysięcznem zebraniu przedstawicieli wszystkich dzielnic polskich i wszystkich niemal warstw społecznych, gorące uczucia narodowe wyraziły się nie w politycznych rozprawach i uchwałach, lecz w dążeniach i zamierzeniach kulturalnych. Udzielenie Kraszewskiemu przez cesarza austryackiego orderu wysokiego, a przez uniwersytet krakowski dyplomu doktorskiego, podniosło powagę i znaczenie obchodu, odsłaniającego światu zarówno niezwykłość zjawiska duchowego, jakim była cała twórczość i działalność pisarza i działacza zarazem, jak żywotność i siłę narodu, który w taki sposób umiał uczcić swego nauczyciela i karmiciela duchowego, swego najpopularniejszego autora.

Osiągnąwszy za życia tak imponujący wyraz uznania całego narodu, na jaki długo jeszcze czekać muszą potężniejsi od niego bogactwem duchowem i wielkością dzieł pisarze, rozpoczął teraz Kraszewski ostatni okres swego długiego żywota, pełen cierpień fizycznych i moralnych zarazem, które odbić się musiały na utrzymującej się ilościowo, lecz słabnącej jakościowo, choć zdumiewającej w takich warunkach — produkcyi pisarskiej.

Rozwój prasy peryodycznej w Warszawie, Lwowie i Krakowie, rosnące zastępy czytelników, szukających przystępnej, interesującej lektury, zmuszały Kraszewskiego, wzywanego na współpracownika przez redaktorów, pobudzanego przez różnorodne propozycye wydawców do coraz szerszego rozwijania działalności literackiej. Wobec słabnących z latami sił fizycznych w ciągłej walce z chroniczną chorobą, ogarniającą cały organizm, pozbawiającą apetytu, snu, spokoju i energii fizycznej, Kraszewski, by zadość uczynić tym żądaniom, stwierdzającym rosnącą potrzebę i użyteczność zarazem jego pracy, wyrzekał się wyższych aspiracyi i zaspakajał głód duchowy szerokich kół pokarmem pospiesznie przyrządzonym, z materyałów czerpanych bądź z życia chwili obecnej, bądź z lektury, przeplatanym refleksyami, tworzonemi na poczekaniu, bez głębszego wniknięcia w istotę danej kwestyi, faktu, zjawiska, lub też pożyczonemi z dawniejszych utworów. Tym niekorzystnym warunkom przypisać należy zwichnięcie w wykonaniu doniosłego w zamiarze cyklu wielkich obrazów dziejowych. Odczuwając i pojmując potrzeby duchowe wielomilionowej ludności polskiej pod panowaniem rosyjskiem i pruskiem, pozbawionej teraz, od r. 1870 zwłaszcza, szkoły polskiej i możności poznajomienia się z przeszłością ojczystą, powziął w r. 1875 myśl opracowania wielkiego cyklu powieści, odtwarzających życie wewnętrzne i stan polityczny Polski w ciągu jej dziewięciowiekowego istnienia. Myśl ta, gorąco poparta przez grono bliższych znajomych pisarza, zwłaszcza Bronisława Zaleskiego (za bytnością Kr. w Paryżu r. 1875), zapaliła sędziwego

pracownika. Wziąwszy się żarliwie do pracy, »z pobożnem ku przeszłości sercem« ogłosił już w roku następnym, pierwszy i najświetniej wykonany z całego cyklu obraz czasów przedhistorycznych (wiek IX) p. t. »Stara Baśń«. (Kraków, Spółka wydawnicza w Warszawie, 1876 r. 3 tm. z wizerunkiem autora: 2-e wyd. jubileuszowe — w r. 1879 — i 4-to z rysunkami Andriollego, Warsz. Gebethner, ostatni z kilku późniejszych przedruków r. 1913 u Arcta, Warsz., przekł. rosyjski Petersb. 1881). Dawniejsze studya archeologiczne i zaznajomienie się z dziejami i pomnikami Słowiańszczyzny zachodniej nadelbiańskiej — pozwoliło autorowi-poecie przenieść tamtejsze stosunki i rysy kulturalne na Polan nadgoplańskich, o których brak nam wszelkich świadectw z tego czasu. Zdaniem Bobrzyńskiego (Księga Pamiątk. Warsz. 1879 r.) jest ona nietylko »nawskroś poetyczną, prawdziwą epopeją« ale choć jest dziełem fantazyi, posługuje się »analogią innych, współczesnych, lepiej znanych plemion słowiańskich... i kunsztowną retrospekcyą z późniejszej naszej historyi«. W opracowaniu następnych obrazów dziejowych opierał się głównie w odtworzeniu stosunków politycznych i społecznych czasów piastowskich na pracy Roepella, a szczegóły kulturalne czerpał z kronik i roczników. Trzymając się przyjętego już w najwcześniejszych, w młodości kreślonych powieściach historycznych, trybu charakteryzowania danej epoki przez drugorzędne postacie i drobne obrazki obyczajowe, odpowiadające najlepiej skali artyzmu pisarza, i w tym wielkim cyklu wysuwa na pierwszy plan drugorzędne, niehistoryczne figury, których koleje i przygody pozwalają na chwilę wprowadzać królów, wodzów, działaczów dziejowych. Pośpiech nieodzowny przy współczesnym podejmowaniu różnorodnych robót literackich i tworzenie po 20 tomów w ciągu roku nie pozwalały autorowi, w dalszych obrazach historycznych, utrzymać się na tej wysokości, jaką osiągnął w »Starej Baśni«. Słabnące zdrowie i spadające na pisarza ciosy (aresztowanie, proces lipski, więzienie magdeburskie) choć nie zdołały powstrzymać dokonania całości (78 tomów) w ciągu lat dziesięciu (1876—1886), to jednakże odbiły się na słabnącej wartości tych obrazów dziejowych, które stawały się często zlepkami szczegółów, ze współczesnych pamiętników i innych źródeł zaczerpniętych, ukazujących przeważnie jaskrawe, ujemne strony życia dawnego, a pomijających dodatnie czynniki i rysy, którym zawdzięczał swe istnienie i rozwój stopniowy organizm społeczny i państwowy. Cykl ten objął w 78 tomach 29 następujących powieści, wydanych nakładem spółki księgarzy warszawskich w latach 1876—1886: 1) »Stara Baśń« (3 tm.), 2) »Lubonie« (2 tm.), 3) »Bracia Zmartwychwstańcy«, z czasów Chrobrego (3 tm.). 4) »Masław« (2 tm.), 5) Boleszczyce«, z czasów Bolesława Śmiałego (2 tm.), 6) »Królewscy synowie«, czasy Hermana i Krzywoustego (4 tm.), 7) »Historya prawdziwa o Petrku Właście«, z XII w. (2 tm.), 8) »Stach z Konar«, Kazimierz Sprawiedliwy (4 tm.), 9) »Waligóra« (3 tm.), 10) »Syn Jazdona« (3 tm.), 11) »Pogrobek« (2 tm), 12) »Kraków za Łoktka«

(2 tm.), 13) »Jelita«, legenda herbowa (2 tm.), 14) »Król chłopów« (4 tm.), 15) »Biały książę« (3 tm.), 16) »Semko« (3 tm.), 17) »Matka królów« (2 tm.), 18) »Strzemieńczyk« (2 tm.), 19) »Jaszka pamiętnik« (4 tm.), 20) »Dwie królowe« (3 tm.), 21) »Infantka« (3 tm.), 22) »Banita« (3 tm.), 23) »Bajbuza« (3 tm.), 24) »Na królewskim dworze« (3 tm.), 25) »Boży gniew«, Jan Kazimierz (3 tm.), 26) »Król Piast«, Michał Wiśniowiecki (2 tm.), 27) »Notatki Adama Polanowskiego« Jan III (2 tm.), 28) »Za Sasów« (2 tm.), i 29) »Saskie ostatki« (2 tm.) Jakkolwiek tu i ówdzie spotykamy pięknie skreślone obrazy dawnego życia, to jednakże najświetniejsze i najdonioślejsze fakty dziejowe, jak zwycięskie boje pod Grunwaldem, Orszą, Obertynem, Połockiem, Chocimem, zostały tu pominięte. Olbrzymia i różnorodna co do treści, formy i wartości produkcya literacka Kraszewskiego w ostatnim dziesięcioleciu jego działalności uniemożliwia, przy ograniczonych ramach niniejszego zarysu, omawianie, a nawet wyliczanie wszystkich utworów. To też uwzględniamy tu jedynie ważniejsze, mające wyższą i trwalszą wartość.

Jako uzupełnienie a zarazem przeciwstawienie pojawowi rozkładu i upadku rodów, odtworzonemu tak świetnie w powieści: »Morituri«, tworzy, jako wyraz pragnień i potrzeb społecznych raczej, niż odbicie rzeczywistości, ufnością optymistyczną nacechowany, lecz słaby w wykonaniu utwór: »Resurrecturi« (Warsz. Gebethner, 1876, 3 tm., dwa przekłady niem. Lipsk, Reclam 1879, Wiedeń 1886, franc. 1880 i czeski 1879). Wobec wyczerpania postaci i tematów, nasuwanych przez współczesne pojawy życiowe i przeszłość, zmuszony jest Kraszewski powracać, po kilkakroć nieraz, do przedmiotów i pytań, już dawniej zużytkowanych. Wady, śmieszności, zepsucie i wyrodzenie się arystokracyi, którą teraz obserwuje w Galicyi, w miejscach kąpielowych i wielkich miastach Zachodu, dostarczają mu najwięcej materyału. Do grupy tej należą powieści: »Lalka«, »Pamiętnik panicza« (przez Bolesławitę, Lwów, 1875 odb. z »Gazety Narod.« i Warsz. 1884, Wybór powieści), »Dziennik Serafiny« (p. Bolesławitę, Lwów, 1876), »Serce i ręka« (Lwów 1875, 2 tm.), »Ada« (odb. z »Gazety Warsz.« Wilno, Zawadzki, 1878 r. 3 tm., Warsz. Wybór, 1884 r. 4 tm.), »Zygzaki« (»Gaz. Warsz.« 1876, Wybór. Warsz. 1886, 3 tm.), »Na wysokościach« (1878, nie wydana osobno), »Ciche wody« (»Gaz. Warsz.« 1879, Wilno, Zawadzki 1881, 3 tm.), »Złoto i błoto« (Lwów, Gubrynowicz, 1884, 3 tm.), »Na Polesiu« (»Bluszcz« 1883, Warsz. 1884, 2 tm.), »Pan z panów« (»Gaz. Warsz.« 1880, Lwów, 1881 r. 1 tm., Warsz Wybór, 1886). W tej ostatniej powieści jedynie wprowadził dodatnią postać hr. Augusta, w którego usta wkłada ostrą krytykę współczesnej arystokracyi.

Dość liczną grupę powieści z tego okresu osnuł Kraszewski na miłości, jako czynniku odgrywającym w stosunkach ludzkich i życiu rodzinnem doniosłą rolę. Daleki od naturalizmu, widzącego w miłości tylko osłonięty pozorami instynkt płciowy, jak i od idealizmu, prze-

ceniającego znaczenie i siłę tego uczucia, widzi twórca »Świata i poety« teraz w miłości uczucie, mające swe źródło i siłę w popędzie fizycznym, a swą słabość i zmienność zawdzięczające wątłości życia duchowego, słabości charakteru, zależności niewolniczej ludzi od materyalnych warunków i czynników bytu. Jak w poprzednich obrazach twórczości tak i teraz chętnie, z upodobaniem widocznem odtwarza postacie kobiet, wywierających bądź zręczną kokieteryą, bądź niezwykłością, egzotycznością swego pochodzenia, urody, postępowania, zwycięski wpływ na pociąganych przez nie mężczyzn. Do tej grupy utworów należą: »Nad Spreą« (»Tyg. Wielkop.« i osobno Poznań, 1874), »Sieroce dole« (Warsz. 1873, 2 tm.; 2-e wyd. Warsz. Wybór, 1886 r., tm. 3, przekład rosyjski Petersburg, 1874), »Klin klinem« (Warsz. 1875; 2-e wyd. Wybór 1885), »Jesienią« (Warsz. Gebethner, 1876, 2 tm. Wybór 1886, 3 tm.). »Cześnikówny« (Warsz. Gebethner, 1876; 2-e wyd. wraz z sielanką »Wioska« — Wybór, 1885, 2 tm.), »Hołota« (Warsz. Gebethner, 1878, 2 tm., Wybór. Warsz. 1884, czeski przekład, Praga 1883). »W starym piecu« (Warsz. 1879, Wybór, 1884), »Ładny chłopiec« (Warsz. 1879, 2 tm.), »Szalona« (Ateneum z r. 1880 i osobno Warsz. Paprocki 1882, 2 tm., przekł rosyjski 1880, przekł. niemiecki Berlin 1884), »Bez serca« (po niem. w »Neue freie Presse« z r. 1884 i osobno Cieszyn — Prohaska, 2 tm., po polsku Warsz. 1884, Gebethner 3 tm., przekł. francuski Wł. Mickiewicza, Paryż 1886, w jednym tomie, przekł. czeski, Praga 1883).

Różnorodne pojawy życiowe, wywoływane przez słabości i popędy ludzkie, dążenie do dobrobytu, chęć używania, zbogacenia się łatwego, dostarczają osnowy do opowiadań: »Zaklęta księżniczka« (Warsz. 1877 i Zbiór. 1885), »U babuni« (Warsz. Lewental 1877, 2 tm. — czeski przekł. Praga 1882), »Dwa bogi, dwie drogi« (Mińsk, Sawicka 1881 r. 2 tm.), »Noc majowa« (Warsz. 1884, Paprocki, czeski przekł. Praga 1884), »Wysokie progi« (pośmiertne wyd.)

Wyższą wartością artystyczną, ciepłem uczucia odznacza się drobnych rozmiarów obrazek: »Z dziennika starego dziada« (Warsz. Orgelbrand, 1879). Oddalenie od kraju, nie pozwalające zasilać nowemi obserwacyami i łącznością z cichym, nie ujawniającym się wybitnymi pojawami bytem skrępowanego społeczeństwa, utrudniać będzie Kraszewskiemu czerpanie z tego źródła osnowy dla nowych opowieści; mimo to aż do ostatnich chwil, tylko coraz rzadziej i coraz słabiej będzie próbował odtwarzać to coraz dalsze i coraz mgliściej się zarysowujące spracowanemu i schorowanemu pisarzowi życie współczesne. Tymi ostatnimi, słabymi utworami w wykonaniu są: »Psiawiara« (»Kłosy« 1884) powieść napisana w Moabicie, »Od kolebki do mogiły« (Warsz. Gebethner, 1885, 2 tm.) utworzone w Magdeburgu: »Rodzeństwo« (»Dziennik powieści« i odb. Kraków 1885, 2 tm.), »Nad przepaścią« (»Dziennik polski« 1887 i odbitka), »Justka« (»Bluszcz« i osobno, Warsz. 1885). Dość często brał za przedmiot bliżej mu teraz znane życie młodzieży polskiej, przebywającej zagranicą

i szukającej tam, zwłaszcza w zawodzie artystycznym, środków egzystencyi i pola działalności. Tu należą powieści: »Dajmon« (Lwów, Gubrynowicz, 1879, 2-e wyd. Warsz. Wybór 1884, przekł. niem. Reclam. 1880 i przekł francuski 1880), »Na tułactwie« (Warsz. Gebethner, 1882, 3 tm.), »Marynka« (drukowana w r. 1881), »Sama jedna« (»Bluszcz« i osobno, Warsz. 1881, 2 tm.). W ostatnich swych, na rok przed śmiercią pisanych powieściach umieszcza akcyę częścią zagranicą, częścią w Krakowie i Poznańskiem, gdyż o życiu tych dzielnic posiadał bliższe wiadomości i świeższe obserwacye własne. Są to: »Trójlistek« (Lwów i Warszawa 1887) i »Czarna godzina« (»Kłosy« 1887). I w utworach wymienionych w poprzednich grupach, akcya bardzo często odbywa się zagranicą (»Nad Spreą«, »Bez serca« i inne) bądź w zupełności, bądź częściowo. Zerwanie węzłów, łączących pisarza do 50 roku życia z dzielnicami, śród których i dla których głównie rozwijał swą różnorodną działalność, skłaniało, zwłaszcza po wyczerpaniu materyału dostarczanego przez wypadki z lat 1860—64, do zwracania się coraz częstszego do życia przeszłości, której znajomość rozszerzał i pogłębiał przez podejmowane wydawnictwa (Biblioteka pamiętników i podróży po dawnej Polsce i inne zbiory), opracowania (»Polska w czasie trzech rozbiorów« — 1873), studya specyalne nad epoką saską w zbiorach drezdeńskich, pracę nad wielkim cyklem »Powieści historycznych«, zbieranie materyałów do zamierzonej »Historyi cywilizacyi w Polsce«. Niezależnie od omówionego powyżej wielkiego cyklu, tworzył Kraszewski w ostatniem dziesięcioleciu liczne opowiadania, obrazy i powieści, osnute na życiu różnych wieków i różnych wybitnych postaci. Czasy przedhistoryczne służą za tło do baśni fantastycznej p. t. »Lublana« (»Bluszcz« i osobno, Warsz. 1879, 2 tm., czeski przekł. Praga 1884); obraz Litwy pogańskiej, skreślony barwnie, żywo, ze znajomością przedmiotu daje nam: »Kunigas« (»Kłosy« i osobno 1881, z rysunkami Andriollego, przekł. rosyjski 1883), wyższy artystycznie od »Margiera«; czasy Grunwaldu starał się odmalować w powieści: »Krzyżacy« (Warsz. Gebethner, 1882, 2 tm.), w której jednak wielki fakt dziejowy nie uwydatnia się z należytą pełnią, siłą, plastyką, śród szczegółów, malujących drobnymi rysami poprzedzające walkę, stosunki obu spotkać się mających z sobą potęg. W przeznaczonej dla »Kroniki Rodzinnej« powieści »Powrót do gniazda« (Warsz. Gebethner, 1875) wziął za przedmiot wpływ »nowinek religijnych« wieku XVI na ówczesne umysły, lecz ze względu na wybitnie katolicki charakter pisma, uwydatnił głównie ujemne strony tego wpływu na płytkie, niedowarzone głowy. Życie wieku XVII dostarczyło treści do trzech powieści: »Historya o Januszu Korczaku i pięknej miecznikównie« (Warsz. Gluecksberg 1875, 2 tm.), osnuta na bojach kresowych w epoce Sobieskiego, »Żywot i sprawy Imci pana z Gołczwi Medarda Pełki« (Warsz. Gebethner, 1876, 3 tm.) opowiada nadzwyczajne przygody wojska w okresie od 1655 r. do elekcyi Sobieskiego, wreszcie »Cet, czy licho« (Warsz. Orgelbrand, 1884, 2 tm.)

osnuta na rywalizacyi dwu spokrewnionych z sobą młodzieńców, rozkochanych w pięknej kasztelance, przebywającej na dworze Marysieńki. Najlepsze, najstaranniej opracowane, bogate w szeroko pomyślane i artystycznie wykonane sceny są powieści z czasów saskich, oparte na materyale, dostarczonym przez zbiory drezdeńskie, listy, pamiętniki i opracowania. Bogactwo jaskrawych rysów rozpasanego życia dworu saskiego za Augusta II i III uderzało wyobraźnię pisarza i pobudzało do artystycznego, często barwnego wielce i plastycznego odtwarzania różnych stron tego życia. Miara w odtwarzaniu rysów zepsucia obyczajowego świadczy o dojrzałości moralnej i artystycznej malarza tych smutnych i wstrętnych obrazów. Szereg tych utworów zaczyna najlepszy z nich: »Hrabina Cosel« (Bibl. Warsz. i osobno, Warsz. 1874, 2 tm., 2-e wyd. Gebethner 1877, 3-e 1882, niem. przekład Lipsk, Hartleben 1880, francuski J. Mien, Varsovie 1889, rosyjski Petersburg 1877). Akcya cała toczy się w Dreźnie za Augusta II; »Bruehl« (Warsz. 1875, 2 tm., 2-e wyd. Gebethner 1876, 3-e Wybór pow. 1884, przekł. franc. J. Mien. Vienne 1881, rosyjski Moskwa, 1879). Intrygi dworskie, polowania, przedstawienia teatralne, miłostki, odmalowane tu w niektórych scenach z wielką prawdą i wykończeniem artystycznem. Trzeci utwór »Z siedmioletniej wojny« (Bibl. warsz. 1875 i osobno Warsz. Gebethner, 2 tm. 1876 r. 2-e wyd. 1878, przekł. niemiecki Wiedeń, Hartleben 1880, rosyjski Ryga 1875) ma za tło szeroką widownię, na której zachodzą wypadki, poprzedzające wojnę Prus z Saksonią i początki walki, złączone z wplecioną w nie historyą konkurów o rękę panny Nostitz. »Starosta warszawski« (Warsz. Gebethner, 1877, 3 tm. przekł. rosyjski 1878), rozwija akcyę powieściową na ziemi polskiej w ostatnich latach Augusta III. Alojzy Bruehl, syn ministra, kochający się w Sołłohubównie, a poślubiający córkę Franciszka Potockiego, usiłuje w ten sposób zespolić się z nową ojczyzną. »Grzechy hetmańskie« (»Kłosy« i osobno, Warsz. Lewental 1879, 2 tm. w jednym, z portretem autora i rysunkami Kossaka, przekł. rosyjski 1879) odtwarzają zabiegi stronnictw, (hetmana Branickiego w walce z Czartoryskim) w ostatnim roku życia Augusta III i podczas bezkrólewia. »Skrypt Fleminga« (Warsz. Gebethner, 1879, 2 tm.) wraca znowu do czasów Augusta II. Mamy tu znane w części z »Hrabiny Cosel« obrazy uczt, karuzelów, obozów. Życie dworów szlacheckich w epoce saskiej odtwarzają powieści »Sąsiedzi« (Warsz. Gluecksberg, 1870, 2 tm.), »Wilczek i Wilczkowa« (»Biesiada liter.« 1878, osobno Warsz. Gebethner, 1884), »Pułkownikówna« (»Tyg. Powsz« osobno Warsz. 1882, 2 tm.), »Na bialskim zamku« (»Bluszcz« osobno Warsz. Gluecksberg, 1883 2 tm.). Jedynym obrazem, wprowadzającym dodatnie postacie na tle czasów saskich jest »Pan na czterech chłopach« (Kronika rodzinna i osobno, Warsz. Gebethner, 1879, 2-e wyd. Wybór, 1884). Najwięcej materyału, bo aż do 18 powieści zaczerpnął Kraszewski z dobrze mu znanych czasów Stanisława Augusta. Pierwsza z nich »Macocha« (»Kuryer Warsz.«

osobno Warsz., Gebethner 1893, 3 tm.), obfitująca w sceny sensacyjne, zapewne ze względu na upodobanie czytelników »Kuryera«, wprowadza sprawy początków teatru polskiego i jego założyciela Bogusławskiego. Współcześnie ogłoszona — pod nazwą Bolesławity — »Warszawa w r. 1794« (»Tyg. Wielkop.« Poznań 1873), odtwarzała wybuch powstania warszawskiego i dalszy bieg wypadków aż do klęski pod Maciejowicami. »Sceny sejmowe« (Grodno 1793 — »Dziennik Pozn.« i osob. Poznań 1875), odtworzyły sesyę niemą przy czytaniu traktatu z Prusami. »Król i Bondarywna« — pod mianem Bolesławity — ukazują słabości miłosne Stanisława Augusta na tle zjazdu w Kaniowie. »Barani kożuszek« (»Tygod. Illustr.« 1881) ukazuje króla w czasie sejmu wielkiego, wahającego się w wyborze między obozem konserwatywnym a reformatorami, »Ostatnie chwile księcia wojewody... z Papierów po Glince spisał«. (Warsz. Gebethner, 1875, 2-e wyd. Kraków 1877. 3-e Wybór, Warsz. 1884, przekł. rosyj. z »Dniew. warsz.« 1879). Jest to najświetniejsze, artystyczne odtworzenie postaci księcia Radziwiłła — Panie Kochanku — jakie posiadamy w naszej literaturze, i jeden z najlepszych obrazków Kraszewskiego. Pomimo wyrzutów sumienia, upostaciowanych w dręczących go marach, nie traci oczekujący nadchodzącej śmierci przedstawiciel humoru i fantazyi pańsko-szlacheckiej swej jowialności i werwy. Lekkomyślne życie wyższych sfer warszawskich w końcu w. XVIII dostarczyło osnowy do szeregu obrazów, wypełniających powieść »Pod blachą« (Warsz. 1881, Gebethner, 3 tm.). Książę Józef i jego otoczenie występuje tu na pierwszy plan. Ostatnim z ciągu obrazów, odtwarzających czasy Stanisława Augusta, jest opowiadanie, skreślone w Magdeburgu p. t. »Król w Nieświeżu«, będące właściwie relacyą odwiedzin królewskich i zgotowanego przez Radziwiłła okazałego przyjęcia. Odbicie wpływu obyczajów dworu i stolicy na życie dalszych okolic kraju przedstawia w jaskrawych rysach tylko jedna powieść: »Syn marnotrawny« (Bibl. warsz. i osobno, Warsz. Gebethner, 1879, 2 tm., Wybór 1884 Warsz. przekł. rosyjski w piśmie »Nowosti«, niem. Wien, Hartleben 1881, tom 9 i 10 Wyboru pism). Zato cały szereg opowiadań wysuwa przewagę dodatnich postaci świata prowincyonalnego w wieku XVIII. »Boża opieka« (Lwów, Richter, 1873, Wybór Warsz. 1883) osnuta na niezwykłych przygodach opuszczonego przez opiekuna dziecka szlacheckiego, zdobywającego sobie z trudem stanowisko społeczne; »Kawał literata« (»Tyg. mod.« Warsz. Gebethner 1875, Wybór, 1885, 2 tm.) to znowu historya biedaka, syna kalafaktora (posługacza) szkół bialskich, dostającego się, po różnych przygodach, do wyższych sfer towarzyskich; »Bracia rywale« (Warsz. Gebethner, 1877, i Wybór, 1885) obfitują w dodatnie postacie ze świata ziemiańskiego i wprowadzają aż trzech zacnych księży; nawet drugorzędne figury rezydentów i sług dostrajają się do panującej w utworze atmosfery. Też same cechy nosi »Sekret pana Czuryły« (Warsz. Gluecksberg. 1877); »Zadora« (Lwów, 1880 i Warsz. Wybór 1885, czeski przekł. w »Swato-

zorze« z r. 1881, przekł. rosyj. Moskwa 1881) jest opowieścią o kolejach energicznego młodzieńca, syna chłopa i szlachcianki zagrodowej, który dla poślubienia łowczanki Barbary, po wielu przygodach, uzyskuje szlachectwo przy pomocy Kołłątaja. »W pocie czoła« (»Kuryer Warsz.« i osobno Warsz. Gebethner, 1884) jest także historyą syna chłopskiego, zdobywającego sobie pracą i zacnością charakteru pomoc dobrych ludzi, adoptacyę i kawałek chleba. Pisana staropolskim językiem wyróżnia się ta opowieść życiem i humorem. Podobne cechy i zalety posiada »Raptularz pana Matyjasza Jasienieckiego« (Warsz. Gebethner, 1881). Przeważnie dodatnie rysy życia szlacheckiego spotykamy w »Starej pannie« (1881), ciemniejsze strony uwydatniają znowu »Śniehotowie« (w czas. »Romans i powieść«, 1881). Sympatyczny obraz życia klasztornego daje »Klasztor« (»Tyg. Illustr.« i osob. Warsz. Gebethner 1883), odtwarzający wnętrze klasztoru bernardyńskiego na pograniczu Korony i Litwy.

Późniejsze czasy i wypadki z w. XIX aż do r. 1860, od którego zaczyna się serya obrazów, pod pseudonimem Bolesławity wydanych, bardzo mało dostarczyły wątku Kraszewskiemu. Prócz wspomnianych już »Tułaczów«, obejmujących okres od legionów po r. 1841, jedna tylko drobnych rozmiarów powieść »Przed Burzą« (Poznań, Żupański, 1876) osnuta jest na tle wypadków z r. 1830.

Przedstawiwszy w tem ugrupowaniu przedmiotowem bibliograficzny więcej niż krytyczny obraz zdumiewającej rozmiarami produkcyi literackiej Kraszewskiego z ostatnich lat jego życia, przeciwstawię mu, w treściwym zarysie, dzieje męczeńskie samego autora, potęgujące kontrastem cierpień, utrudnień, wyczerpania fizycznego, przygnębienia moralnego, olbrzymiość wykonanej w tych warunkach pracy i usprawiedliwiające nieuchronne osłabienie uzdolnień twórczych, odbijające się w większości powstałych w tym czasie powieści.

Gdy, po skończeniu uroczystości jubileuszowych w październiku r. 1879, i przedstawieniu się Franciszkowi Józefowi w Wiedniu dla podziękowania za otrzymany order, — powrócił do Drezna, gdzie czekały go trudy przeprowadzki na nowe mieszkanie i liczne nieprzyjemności i pretensye od ludzi, chcących korzystać ze znanej uczynności i pojednawczości słabego i miękkiego człowieka, w liście pisanym do Antoniego Pietkiewicza tak odmalował swój stan fizyczny i moralny: »W kielichu tym, który się ludziom wydawał pełnym ambrozyi bogów, niemało było żółci i goryczy! To też mam teraz po nim spalone wargi i tylko gorycz została. Wiele rzeczy zamilczeć muszę, wiele ich ja tylko jeden wiem: ale wierz mi, jubileusz ten czy był pręgierzem czy tryumfem, to dla mnie rzecz nierozstrzygniona... Powróciłem do Drezna tak z sił wyczerpany, że nazajutrz musiałem zawezwać doktora, który mnie karmił we dnie żelazem i chininą, a na noc morfiną. Jak cień się włóczę...« W jednym z późniejszych listów, pisanym w trzy lata później, określa ten cały okres jako »jedno pasmo cierpień fizycznych oraz trosk i niepokojów dotkliwych«! Na tle artretyzmu, drę-

czącego pisarza od młodości, rozwinął się chroniczny katar płuc i żołądka, kamień, w połączeniu z kaszlem, brakiem apetytu, bezsennością. Daremnie szukał ulgi w głośnych miejscowościach kąpielowych (Homburg, Gastein, Hyères, Ems, Pau). Praca jedynie, której nigdy nie przerywał, pozwalała mu zapominać o udręczeniach fizycznych i zwalczać przygnębienie duchowe.

Pasmo przykrości i udręczeń moralnych ściągnął na siebie Kraszewski nieoględnem podjęciem się w r. 1873 na propozycyę Bronisława Zaleskiego, emigranta osiadłego w Paryżu, pośrednictwa w sprawie dostarczania dla pism francuskich wojskowych korespondencyi, rozjaśniających różne szczegóły organizacyi armii niemieckiej. Powodowany sympatyą dla Francyi a nienawiścią dla nowego cesarstwa niemieckiego, którego twórca Bismarck rozpoczynał swą antypolską politykę, przy pomocy nędznego literata-aferzysty Adlera znalazł w osobie byłego kapitana niemieckiego Hentscha gotowego do dobrze opłacanych usług pracownika. Posiadając listy Kraszewskiego i tajemnicę tego stosunku, Adler wyzyskiwał bezczelnie nieoględną ufność pośrednika, zmuszając do opłacania swego milczenia znacznemi sumami. Odmowa dalszych wypłat spowodowała ze strony szantażysty doniesienie władzom pruskim, poparte dołączonymi listami Kraszewskiego, który jako obywatel saski dopuszczał się swoim czynem przewinienia przeciw cesarstwu niemieckiemu. Po rewizyi papierów, dokonanej na żądanie kanclerza przez władze saskie, nastąpiło aresztowanie w Berlinie (13 czerwca 1883 r.) wracającego wtedy z Paryża starca i osadzenie go w więzieniu Moabitu. W ciągu dwumiesięcznego pobytu i prowadzonego tam śledztwa napisał nieustraszony niczem pracownik: »Psiawiarę«, przełożył pięć komedyi Plauta i rozpoczął drugą powieść: »Od kolebki do mogiły«. Uwolniony w sierpniu za kaucyą 30.000 marek, powrócił do Drezna. W lutym 1884 r. wręczono Kraszewskiemu a jednocześnie i Hentschowi akt oskarżenia, zarzucający im udzielanie w latach od 1876 do 1881 doniesień o transporcie kolejowym armii niemieckiej ku granicy zachodniej, oraz instrukcyi dla służby telegrafów polowych, ujawniających tajemnice, których utrzymania wymaga dobro państwa niemieckiego. Sprawa odbywała się w trybunale niemieckim, zasiadającym w Lipsku, i ciągnęła się od 12 do 19 maja 1884 r. Sam Bismarck listem przesłanym trybunałowi wywierał nacisk na bieg procesu. Rząd niemiecki chciał w oczach świata zdeptać przedstawiciela narodu polskiego, czczonego niedawno przez ziomków i obcych. Na nieszczęście znękany cierpieniami i chorobą starzec oddał się w opiekę niefortunnie wybranemu adwokatowi berlińskiemu, Saulowi, sam zaś nie zdobył się na tyle energii duchowej, by uświadomić sobie stanowisko, jakie zająć był powinien wobec sądu w swych zeznaniach i obronie, by zgodnie z charakterem, jaki procesowi nadał Bismarck, czczony przez ziomków i obcych pisarz i pracownik okazał się przedstawicielem i rzecznikiem nie swej sprawy jedynie, ale sprawy narodu, który stawiano pod pręgierz w jego osobie, by

wszechwładny i mściwy kanclerz spotkał w swym więźniu dostojność i siłę moralną, której blask zohydziłby w oczach świata surowość służalczego sądu. Prócz Mickiewicza i Goszczyńskiego, niełatwoby jednak wskazać śród licznego zastępu pisarzów polskich wieku XIX człowieka, którego charakter pozwalałby oczekiwać, iż w równie ciężkich warunkach utrzyma się na wysokości stanowiska, na jakiem go dotychczasowa działalność i zbieg okoliczności postawiły.

Skazany za usiłowaną »zdradę kraju« na trzy i pół lat więzienia w twierdzy, znalazł się już w tydzień po wydaniu wyroku w niezdrowym, z powodu licznych fabryk, Magdeburgu. Regulamin więzienny, nakazujący wszelkie pisma w języku polskim, wychodzące poza obręb fortecy, przesyłać urzędowemu tłumaczowi, zmusił Kraszewskiego do pisywania korespondencyi i sprawozdań literackich po francusku i powstrzymał ogłaszanie powieści, które zaraz po przybyciu rozpoczął tu tworzyć. Już w pierwszych ośmiu dniach powstała »Awantura«, powieść obyczajowa, z akcyą rozwijającą się w Warszawie przed r. 1830. Mimo zwykłych braków i wad, wyników pośpiechu w tworzeniu, nie znać w niej przygnębienia umysłowego. Późniejsze z lipca tegoż roku pochodzące utwory: »Rodzeństwo« (Dziennik Powieści, i osobno Kraków 1885, 2 tm.) i »Nad przepaścią« (»Dziennik Polski« i osobno 1887) świadczą już o wyczerpaniu wyobraźni i przymusie do pracy. Mimo to pracował bezustannie, doprowadzając do końca cykl powieści historycznych, przygotowywał zarys starych obyczajów zanikających w pracy p. t. »Starzyzna«, mającej objąć rozdziały: kolebka, szkoła na kobiercu, wnuki, grób. Obok tego wykonał 65 akwareli, szkiców z podróży włoskich i przygotowywał pracę historyczną o Maryi Ludwice.

Silne pogorszenie stanu zdrowia w sierpniu r. 1885, a nawet pośrednictwo możnych osobistości (króla włoskiego Humberta) nie skłoniło władz pruskich do zwolnienia więźnia. Dopiero w październiku, staraniem ks. Antoniego Radziwiłła, zbliżonego do sfer dworskich w Berlinie, udało się uzyskać dla ciężko chorego starca sześciomiesięczny urlop za kaucyą 20.000 marek. Znalazłszy się w Szwajcaryi, w liście z Lucerny (11 listopada) tak odmalował swój stan: »Chodzę o kiju, na schody najlżejsze nie mogę się wdrapać; wysadzać mię trzeba z wagonu i wciągać... Nie mogę i nie chcę opisywać tego, com przecierpiał, ale niema upokorzenia, któregoby *con amore* nie dano mi kosztować... Wyszedłem z tej kaźni zgrzybiały, i jeden Bóg ocalił od obłąkania — taki był stan nerwów. Zostało z tego, że teraz po całych nocach jęczę i zrywam się, śniąc strachy«. Mimo to przenosi się często z miejsca na miejsce, szukając w Szwajcaryi i Włoszech miejscowości odpowiednich dla cierpiącego coraz więcej organizmu. Obok nadużywanego opium, praca umysłowa jest i teraz jeszcze koniecznym i skutecznym środkiem tłumienia cierpień fizycznych. Przebywając kolejno w San Remo, Schinznach, Montreux, Genewie, Turynie, Nizzy, czyta wiele i podejmuje coraz nowe prace. Z pobytu w San

Remo pochodzi »Męczennica na tronie« (Warsz. Gebethner, 1887 r. 2 tm.), powieść osnuta na losach Maryi Leszczyńskiej. Rozwlekłość, gawędziarski styl, niechęć dla czarno przedstawionych filozofów, a sympatya dla kół katolickich i uwielbienie dla rezygnacyi »męczennicy chrześcijańskiej« cechują ten utwór. Jednocześnie K. rozpoczyna różnorodne prace i projektuje nawet wydawnictwo miesięcznika, zamierza badać wykopaliska w Pompei i odtwarzać je rysunkami, uczestniczy jako prezes honorowy w kongresie literacko-artystycznym w Genewie (wrzesień 1885), jeździ do Turynu, by Correntiemu, sekretarzowi króla włoskiego, udzielić wskazówek do pisanej przez niego historyi Polski. W r. 1886 pisze ostatnią swą powieść: »Czarna godzina« (»Kłosy« 1887 r.), osnutą na świeżym temacie, wydalaniu przez rząd pruski osiadłych w Ks. Poznańskiem Polaków, nie będących obywatelami pruskimi. Utwór ten oparty na materyałach, zaczerpniętych z gazet i ustnych opowiadań, stwierdza, jak do końca życia góruje w Kraszewskim publicysta i działacz społeczny nad artystą, literatem. Jeszcze w styczniu r. 1887 robi wycieczkę do Florencyi, gdzie odwiedza Lenartowicza. W miesiąc potem, w czasie pobytu w San Remo, przebywa ciężką noc trzęsienia ziemi (23 lutego), rujnującego willę, którą zamieszkiwał. Przez kilka dni chronił się w budzie, skleconej na prędce z desek. W dniu 11 marca ponowiły się wstrząśnienia. Skutkiem tego postanawia osiąść w Lozannie i nabyć tam dom. Sprowadza więc do tej sprawy architekta z Drezna i przez Turyn spieszy do Szwajcaryi. Zapalenie płuc, wywiązane w ciągu podróży, zmusiło do zatrzymania się w Genewie (15 marca). Dr. Zygmunt Laskowski, prof. anatomii w tamecznym uniwersytecie, i znany pisarz, Zygmunt Miłkowski, tamże osiadły, roztoczyli nad chorym troskliwą opiekę, lecz wyczerpany organizm nie mógł dłużej opierać się postępom choroby, i w dniu swoich imienin, 19 marca, niezmordowany pracownik zakończył długi, służbie społecznej poświęcony żywot. W dniu 22 marca złożono tymczasowo zwłoki na cmentarzu genewskim, a po dokonaniu potrzebnych formalności i przygotowań, przewieziono je do Krakowa (5 kwietnia), gdzie dopiero w dniu 18 kwietnia odbyło się uroczyste przeprowadzenie do grobów dla ludzi zasłużonych krajowi w podziemiach kościoła na Skałce. W uroczystości tej brało udział całe duchowieństwo, z biskupem Dunajewskim na czele. Na egzekwiach w kościele ks. Pijarów przemawiał ks. Chotkowski, z estrady przed kościołem prezes Akademii Umiejętności, Majer, podniósł zasługi zmarłego nietylko jako pisarza, literata, lecz i jako uczonego, członka akademii.

Ten treściwy zarys półwiekowej, tak różnorodnej i bogatej działalności Kraszewskiego ukazuje w nim przedewszystkiem pracownika społecznego, szerzyciela światła, krzewiciela życia duchowego, nauczyciela. Jako pisarz i literat oddaje swe uzdolnienia artystyczne na posługi społeczne, wyrzeka się sławy, nie troszczy o zdobycie trwałego uznania potomności przez pozostawienie dzieł wykończonych. Woli ob-

sługiwać wszechstronnie współczesne mu społeczeństwo, wlokące w ciężkich warunkach smutne i beznadziejne życie i poprzestające na dostarczanym mu przez niezmordowanego karmiciela prostym, zdrowym »razowym chlebie«, który długo jeszcze w przyszłości będzie nadawać się do zasilania dusz coraz szerszych kół ludowych, garnących się teraz do korzystania z nieprzystępnych im dawniej zasobów literatury ojczystej. Gdy burza dziejowa oderwała od ziemi rodzinnej wielkich poetów-wieszczów, a genialna ich twórczość nie mogła przeniknąć do szerszych kół społeczeństwa, pozbawionego szkoły narodowej i wyższych instytucyi naukowych, Kraszewski w kraju, zostającym pod prawem wojennem, w prasie i literaturze, skrępowanej przez cenzurę, przygotowywał i przygotowuje dotąd swemi powieściami w coraz szerszych kołach czytelników grunt pojęciowy i nastrój uczuciowy pod wpływ wielkiej poezyi, której idee i dążenia przenikają jego duszę i twórczość. Obok tego Kraszewski uzupełniał, rozpoczęte przez Wielkich, dzieło odtworzenia życia narodowego w literaturze, ogarniając pominięte przez nich kręgi i pojawy tego życia. W twórczości jego, jako dwa główne czynniki, występują: zapał zbieracza i artysty zarazem, interesującego się różnorodnemi, oryginalnemi postaciami ludzkiemi i skwapliwie je szkicującego, tudzież dążność oddziaływania społecznego, uświadamiania i umoralniania za pomocą opowiadań i obrazków, wiążących z sobą pewną grupę naszkicowanych przez artystę postaci i uwydatniających pewną ideę moralną, potrzebę społeczną, wadę obyczajową. Z temi właściwościami wiąże się zamiłowanie do zbierania — ciekawych dla artysty, a użytecznych dla obserwatora społecznego jako świadectwa kultury i obyczajów — rycin, książek, rękopisów, różnorodnych zabytków, które chciwie rozpatruje, opisuje i używa za materyał do opracowań, wydawnictw. Na tych zbiorach opiera swój zamiar niewykonany napisania Historyi cywilizacyi w Polsce i projekt Encyklopedyi starożytności polskich. Ten zbieracz różnorodnych figur ludzkich jest jednocześnie artystą, posiadającym w wysokim nawet stopniu zdolność plastycznego odtwarzania — cech zewnętrznych zwłaszcza — tego licznego tłumu postaci, w których uwydatniło się zróżniczkowanie kulturalne społeczeństwa polskiego w ciągu dziesięciowiekowego życia dziejowego, przy oddziaływaniu różnoplemiennych domieszek i rozlicznych wpływów zewnętrznych. Na tem wprowadzeniu do literatury, a więc i do świadomości ogółu, tego wielotysięcznego zastępu przedstawicieli wszystkich wieków, warstw i kół społecznych, wszystkich zawodów i stanowisk, w tem zbliżeniu i zaznajomieniu wzajemnem za pośrednictwem tak popularnej formy jak powieść oddalonych od siebie przestrzenią, różnicą warunków bytu, stanowiska, stanu umysłowego, wreszcie — jak w obrazach przeszłości — czasem, polega wielka zasługa społeczna i narodowa pisarza, w sprawie nawiązania i utrwalenia węzłów narodowych, osłabionych pod wpływem rozgraniczeń politycznych, ciężkich warunków bytu, stosunków społecznych i nizkiego stopnia oświaty.

Obok kolekcyonisty i artysty, tkwi w Kraszewskim moralizator i gawędziarz. Towarzyski z natury, skory do wypowiadania się listownego — o czem świadczy ogrom pozostałej korespondencyi, — czujący zawsze potrzebę dzielenia się z ogółem nabywanemi przez ciągłą i obfitą lekturę, szerokie stosunki towarzyskie, podróże, — wiadomościami, spostrzeżeniami. Forma luźnej co do kompozycyi — bogatej w postacie i szczegóły epizodyczne, opisy i krajobrazy — opowieści, przeplatanej refleksyami, nadawała się najlepiej do uzdolnień i upodobań pisarza. Swą rozległą, różnostronną twórczością zarówno rozszerzył niepomiernie koła czytelników, umożliwiające coraz bogatszy rozwój powieściopisarstwa polskiego, jak i obfitością postaci charakterystycznych życia polskiego, nagromadzonych w kilkuset utworach, odsłonił współczesnym pisarzom i następcom bogactwo materyałów, jakie życie polskie może dostarczyć artyście, obserwatorowi, myślicielowi. Kraszewski utorował drogę nietylko Korzeniowskiemu, Jeżowi, Zacharyasiewiczowi, Bałuckiemu, Orzeszkowej, ale przygotował też liczne zastępy czytelników, których poparcie pobudzi i wyniesie tak wysoko Sienkiewicza, Prusa, umożliwi powieści polskiej zdobycie stanowiska zaszczytnego w literaturze powszechnej, w której twórca »Powieści bez tytułu« i »Morituri«, mimo licznych przekładów, nie zdołał sobie pozyskać trwalszego i szerszego uznania.

BIBLIOGRAFIA.

a) Biografie i studya krytyczne. Różnostronna, bogata twórczość i działalność Kraszewskiego, szybko uzyskany rozgłos i popularność, wywołały wczesne bardzo i częste pojawianie się życiorysów tak płodnego pisarza i ocen krytycznych jego działalności. Już w zarysie współczesnej literatury polskiej, pomieszczonym w pierwszej pracy młodego krytyka, Al. Tyszyńskiego, wydanej r. 1835 p. t.: »Amerykanka w Polsce« poświęcono Kraszewskiemu pochlebny ustęp. Michał Grabowski w »Tyg. Petersb.« (1838 r. u. 79) podniósł zasługę Krasz. jako budziciela życia duchowego. Wraz z rosnącą twórczością pojawiały się coraz częściej oceny różnorodnych treścią i wartością utworów i prac. Wydane pod redakcyą K. Wł. Wójcickiego w r. 1850 w Warszawie »Życiorysy znakomitych ludzi« mieszczą, śród dawniejszych i współczesnych wielkości obcych i polskich, życiorys młodego jeszcze, bo 38-letniego Kraszewskiego. Sam pisarz zaczął w utworach swoich dostarczać obrazów i wspomnień z własnego życia, pomieszczanych w »Tygodniku Petersburskim« z r. 1837 i 1838. Tu należą: »Literatura w Wilnie w początku XIX w., wyjątek z pamiętników«, »Pińsk i Pińszczyzna«, »Domy i ludzie«, »Prużana«, »Handel księgarski w Wilnie«. W r. 1843 pojawiły się: »Wspomnie-

nie uniwersyteckie: »Adam« (w Radegaście wyd. przez A. Kirkora) i druga część »Rafael i Ezop« (w »Roczniku Literac.« Podbereskiego. Petersburg). Zarówno »Pamiętniki nieznajomego« (Warsz. 1846), do których włączone zostały powyższe wspomnienia uniwersyteckie, jak »Powieść bez tytułu« (z r. 1854) i dopiero po zgonie K. (w r. 1888) ogłoszone: »Noce bezsenne« (»Tyg. Illustr.«) mieszczą wiele wspomnień, postaci, faktów z życia samego autora i jego otoczenia. Materyał biograficzny zawierają także prawie wszystkie opisy podróży po kraju i obczyznie, jak: »Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy« (Wilno 1840, 2 tm. 2-e wyd. Paryż 1860), »Obrazy z życia i podróży« (Wilno, 2 tm. 1842), »Wspomnienia z Odessy, Jedyssanu i Budżaku« (Wilno, 1845 r., 3 tm.), »Kartki z podróży« (Warsz. 1866, tom II, r. 1874), wreszcie niezliczone listy z kraju i zagranicy, pomieszczane przez pół wieku w rozmaitych czasopismach Obchód jubileuszowy wywołał cały szereg opracowań i życiorysów, pomieszczanych we wszystkich czasopismach polskich i wielu obcych. Najważniejszą jest »Księga jubileuszowa dla uczczenia pięćdziesięcioletniej działalności literackiej J. I. Kraszewskiego« (Warsz. 1880, str. CIV, 527 i XVIII listy prenumeratorów, 28 rycin i podobizn). Jest to praca zbiorowa, którą rozpoczyna biografia Kraszewskiego, skreślona przez A. Pługa (str. CIV), poczem następuje obraz działalności literackiej, mieszczący działy: powieściopisarstwo, opracowane wedle różnych rodzajów powieści i okresów tworzenia przez: Chmielowskiego, Orzeszkową, M. Gawalewicza, W. Marrené, St. Grudzińskiego, Dyon. Henkla, E. Lubowskiego, K. Kaszewskiego, T. Korzona, M. Bobrzyńskiego, Wł. Nehringa, K. Jarochowskiego, Wł. Smoleńskiego; poezya przez Wł. Bogusławskiego i W. Korotyńskiego; filozofia przez H. Struvego; dziejopisarstwo przez A. Kirkora, J. Karłowicza, Kon. Skirmuntową, krytyka literacka przez R. Plenkiewicza; podróżopisarstwo przez An. Bądzkiewicza; archeologia przez W. Gersona i K. Wójcickiego; dziennikarstwo przez Wł. Spasowicza i Ed. Sulickiego: edytorstwo przez K. Plebańskiego. Wreszcie pod nagłówkiem »Wspomnienia« pomieszczoną była: Kartka z niedawnej przeszłości przez A. Kraushara, poświęcona udziałowi Kr. w sprawie żydowskiej i postaciom żydowskim jego powieści. Jednocześnie z warszawską »Księgą pamiątkową« przygotowaną została, o rok później ogłoszona, książka zbiorowa w Wilnie: »Upominek wileński, pismo zbiorowe, poświęcone J. I. Krasz. na pamiątkę pięćdziesięcioletniej rocznicy jego zawodu literackiego« (Wilno 1880). Obchód krakowski ze wszystkimi jego szczegółami utrwaliła: »Księga pamiątkowa jubileuszu Krasz. r. 1879« (Kraków 1881, str. 342) mieszcząca też opracowaną przez Wł. Wisłockiego: »Bibliografię obchodu uroczystości jubileuszowych«. Jednocześnie wyszła obszerniejsza biografia K. p. t. »Pół wieku pracy«. Rys życia i zasług J. I. Krasz. przez Wł. Sabowskiego i A. Nowoleckiego (2-e wyd. Kraków 1879). B. Baranowski ogłosił: J. I. Krasz. jego życie i zasługi, książka pamiątkowa

(Lwów, 1879). Z pomieszczanych w czasopismach wyróżniła się rozprawa Anton. Nowosielskiego: »J. I. Krasz. w literaturze i społeczności naszej« (»Tygod. Mód« r. 1879). Śmierć pisarza wywołała, prócz licznych pobieżnych nekrologów i biografii, obszerniejsze »Wspomnienie o J. I. Krasz.« przez T. T. Jeża (Warsz. 1888, str. 71 i portret), mieszczące szczegóły ostatnich dni życia w Genewie i przygotowań do przeniesienia zwłok, tudzież zarys L. Dębickiego »J. I. Kr., szkic biograficzno-krytyczny« (Krak. 1887, str. 47) wydany jako »Pamiątka jego pogrzebu« z dołączeniem opracowanej przez K. Estreichera bibliografii prac zmarłego, oddzielnie wydanych, obejmującej str. 82 i podającej, prócz spisu rękopisów pozostałych po zmarłym, spis oddzielnie wydanych wspomnień pośmiertnych, życiorysów, poezyi, przemówień odnoszących się do Kraszewskiego. Jedyną poważną krytyczną pracą jest ogłoszone w rok po śmierci K. dzieło: »Józef I. Krasz. zarys historyczno-literacki, skreślił Piotr Chmielowski« (Kraków, Gebethner, 1888, str. III, 534). Wyczerpującą, bo i ważniejsze prace pomieszczone w czasopismach uwzględniającą bibliografią pism K., latami ułożoną, pomieścił Chmielowski w »Wyborze pism«. Oddział X (Warsz. 1894 od str, 936 do 960). Późniejsze, kompilacyjnego charakteru popularne opracowania ogłosili: Mazanowski Mikołaj w seryi »Charakterystyk literackich« (Bibl. powsz. Złoczów, t. 531—533) i Nitowski Jan w zbiorze: »Książki dla wszystkich«. E. Świeżawski napisał: »Pięć ustępów z cyklu powieści histor. Krasz. »(Bibl. Warsz.« 1878 i osobno odbitka); Stan. Kozłowski »Kraszewski jako estetyk« (»Bibl. Warsz.« 1895, t. II). Różne drobne przyczynki do biografii Kr. ogłaszał po rozmaitych czasopismach Al. Brzostowski. »Złote myśli z dzieł J. I. Krasz. zebrał Stan. Wegner, krytycznym przeglądem pism Jubilata opatrzył Stefan Buszczyński«. (Poznań, N. Kamieński, 1887). Krzemiński St. w zbiorze »Nowe szkice literackie« (Warsz. 1911) pomieścił zarys twórczości Krasz. Br. Chlebowski: »J. Kraszewski i jego stanowisko w literaturze i życiu społeczeństwa« (»Bibl. Warsz.« 1912, marzec i odbitka). Piekarski Marek: »Krasz, życie i dzieła«, Lwów, 1912, str. 226. (»Biblioteka Macierzy polskiej« nr. 75). Obst. J. »W setną rocznicę urodzin Kr.« (»Litwa i Ruś« zeszyt lipcowy z r. 1912).

Oprócz powyższych pojawiły się jeszcze następujące przyczynki do biografii Kr.: Z. Gloger: »Szkoły bialskie i czteroletni w nich pobyt J. I. Krasz.« (»Kłosy« 1879). W. M. »Świsłocz«. Kilka wspomnień (tamże). Dr. Antoni J.: »J. I. Krasz. i ks St. Chołoniewski« Lwów 1878. (Odb. z »Przew. nauk. i liter.« 1878). Tenże: »Z korespondencyi J. I. Krasz.« (1842—46. »Niwa« 1888). Tenże: »Zatarg wołyński«. Kartka z życia Kraszewskiego (»Przew. nauk. i liter.« 1889). Tyszyński: »J. I. Krasz. w Warszawie w r. 1846«. (»Kłosy«, 1881). Spasowicz: »Jubileusz Kr.« (Pisma VI. 1892, Petersb., pierwotnie w »Ateneum« 1879), St. Zalewski: »Kilka uwag prawnika o procesie Kr.« Warszawa 1884. A. Rembowski: »Kr. przed sądem w Lip-

sku«. (Pisma II. Kraków, 1902). Tad. Bobrowski: »Pamiętniki« 2 t. Lwów 1900. (W t. II, str. 207—219 charakterystyka porównawcza K. i M. Grabowskiego). Wójcicki: »J. I. Krasz.« Z księgi moich wspomnień«. (»Tyg. Powsz.« 1879). Alkar (Kraushar): »Kartki z pamiętnika«. (Kraków 1910). Tenże: »Kr. i Wielopolski« (»Miscellanea histor.« XLII — Warsz. 1912. Tenże: »Kr. i redakcya »Ojczyzny«. (»Miscell. hist.« XLIII — Warsz. 1912). K. Bartoszewicz: »Korespondencya J. I. Krasz.« (»Przegląd Literacki« 1897—1898 Kraków). Tenże: »Wilkoński i Kraszewscy«. (»Przegl. Liter.« 1897). Tenże: »Do twórczości Krasz.« (Tamże). Tenże: »Stosunki K. z Kronenbergiem«. (»Kuryer Warsz.« 1912 maj). Tenże: »Kr. w latach 1860—1864. (»Czas« 1912). A. B. Brzostowski: »Ze wspomnień o Kr.« Lwów, 1897. (Toż Warszawa, 1912. »Bibl. dzieł wybor.). M Frączkiewicz: »J. I. K. w Krakowie i we Lwowie w r. 1867 i odczyty jego o Dantem«. (Kraków 1912). Chmielowski: »Kr. jako redaktor Gaz. Polsk.« (1867 r.). Kraushar: »Krasz. i Wielopolski« (»Świat« 1912, nr. 11—12). M. Kulikowski: »K. jako archeolog i historyk sztuki«. (»Kur. Warsz.« 1912 19 marca). Wł Korotyński: »Kr. do Syrokomli«. (»Kur. Warsz.« 1912, 19 marca). K. Witte: »Dwa listy J. I. Krasz.« (»Kur. Warsz.« 1908, nr. 79).

Ważniejsze z opracowań krytycznych są: M. Grabowski: »Literatura i krytyka« III, 1840 (o powieściach K. F. Pasternaka). A. Tyszyński: O »Anafielas« i »Sfinksie« w »Rozbiorach i krytykach« t. III. Tenże: »J. I Kraszewski i jego powieści historyczne« w »Pismach krytycznych« t. II. Kraków 1904, (przedtem w »Ateneum« 1877 i 1880). M. Grabowski: »Poeta i świat«. »Ateneum« t. III, 1841. Tarnowski: »Rachunki« Bolesławity, (w »Rozbiorach i sprawozd.« I. Kraków 1895). K. Kaszewski: »Krasz. jako powieściopisarz«. »Tyg. Ilustr.« 1887. Z. Przesmycki: »O poezyach Krasz.« »Życie« 1887. J. Tretiak: »Studyum o Kr.« (»Studya literackie« II, Kraków 1901. Zdziarski: »Pierwiastek ludowy w poezyi polskiej XIX w.« Warszawa 1901, (str. 403 – 422 o »Anafielas«). B. Kraszewski: »Najdawniejszy rękopis J. I. Krasz.« (»Kraj« 1887, nr. 23). H. Mościcki: »Pierwszy utwór J. I. Krasz.« (»Pam. Liter.« 1905). Zipper: »Das Manuscript von Kraszewski«. Dante — Uebersetzung. Berlin 1895. »Zeitschrift für Vergleich. Litteraturgeschichte Chmielowski: »Dzieje krytyki literatury«. Warsz. 1902, (str. 281 – 306). K. Wojciechowski; »Werter w Polsce«. Lwów, 1904, (o »Werterze polskim«, t. j. o »Poecie i świat« str. 142 – 152).

O technice powieści Kr. pisali: K. Wojciechowski: »Kilka uwag o zadaniu i technice pierwszych obrazów Kr,« (»Pam. Liter.« z r. 1912, str. 400 i nast.) i M. Rettinger: »O technice powieści Krasz.« (tamże str. 392 i nast.)

b) Wydania pism zbiorowe i pośmiertne. Całkowitego wydania pism Kr. niema dotąd. Wcześnie jednak, bo już w pierwszych latach działalności literackiej zaczęły się ukazywać zbiory, z po-

czątku drobniejszych utworów i opracowań, a następnie i częściowe zbiory większych powieści. Zbiorami drobiazgów są: »Wędrówki literackie, fantastyczne, historyczne« (Wilno, 3 tm. 1838, 1839, 1840). »Okruszyny« zbiór powiastek, rozpraw i obrazków (Warsz. 1856 r., tm. 3). Pierwszy zbiór większych powieści ukazał się w Warszawie p. t. »Pisma J. I. Krasz.« wydanie nowe, z rycinami H. Pillatiego, (Warsz. 1857—58). Pomieszczono tu powieści: »Ostrożnie z ogniem«, »Kordecki«, »Pod włoskiem niebem«, »Historya o bladej dziewczynie«, »Całe życie biedna«. Szersze rozmiary przybrał: »Zbiór powieści J. I. Kr.« Wydanie nowe, przejrzane i poprawione przez autora. Lwów 1872—76. Obejmuje on 45 powieści i dwa zbiory dawniejsze drobnych rzeczy, wogóle 102 tomy. Zaczynają zbiór: »Dwa światy«, »Chata za wsią«, »Poeta i świat« a kończą: »Okruszyny«, »Typy i charaktery«, »Starościna Bełska«. Z okazyi jubileuszu pojawił się naprzód: »Wybór pism, wydanie jubileuszowe na korzyść Jubilata« (Warsz. 1878 r. tom. 15). Mieszczą się tu z ważniejszych: »Rzym za Nerona«, »Dola i niedola«, »Jasełka«, »Powieść bez tytułu«, »Chata za wsią«, »Sfinks«, »Starościna Bełska«, »Szaławiła«. W r. 1882 ukazał się: »Wybór pism«, wydanie tanie (Warsz. 1882, Unger), które przerwane zostało na tomie 5-ym i objęło: »Pamiętniki Ochockiego« i »Serce i ręka«. R. 1885 i 6 ukazał się nowy przedruk »Wyboru« jubileuszowego, przerwany po wyjściu 7 tomów. W r. 1883 rozpoczął wychodzić: »Wybór powieści«, wydanie tanie, serya druga (Warsz. Glücksberg) i objął 40 powieści w 80 tomach. Mieszczą się tu z ważniejszych: »Morituri«, »Ostatnie chwile ks. wojewody«, »Dzieci wieku«, »Czarna perełka«, »Mogilna«. Najstaranniejszy z tych licznych wyborów wyszedł w wydawnictwie Lewentala: »Biblioteka najcelniejszych utworów literatury europejskiej« i objął w 10 oddziałach, ugrupowane przedmiotowo i chronologicznie, przeważnie mniej znane utwory. Oddział I, powieści sielskie, poprzedzone wstępem krytycznym K. Kaszewskiego (Warsz. 1884, str. LXVII i 547) objął utwory: »Ulana«, »Budnik«, »Ostap Bondarczuk«, »Jaryna«, »Ładowa pieczara«, »Jermoła«. Oddział II, powieści szlacheckie, ze wstępem P. Chmielowskiego (1885, str. XXVI, 505) mieści: »Ostatni z Siekierzyńskich«, »Dwa światy«. Oddział III, powieści społeczne z wstępem P. Chmielowskiego (1886, XXI, 604) obejmuje: »Bożą czeladkę« i »Szaloną«. Oddział IV, powieści z dziejów rzymskich, ze wstępem T. Korzona (Warsz. 1887, str. XLV i 443) obejmuje: »Caprea i Roma« tudzież »Rzym za Nerona«. Oddział V, powieści z czasów saskich, ze wstępem P. Chmielowskiego (Warsz. 1888, str. XL, 86 i 801) obejmuje: »Hrabina Cosel«, »Bruehl«, »Z siedmioletniej wojny«. Oddział VI, nowele, obrazki i fantazye, porządkiem chronol. ułożone, ze wstępem kryt. P. Chmielowskiego (Warsz. 1880, str. XIX i 689). Oddział VII, utwory dramatyczne, ze wstępem Wład. Bogusławskiego (Warsz. 1891). Oddział VIII, Kartki z podróży, ze wstępem P. Chmiel. (Warsz. 1892) Oddział IX, zarysy społeczne, ze wstępem P. Chmiel. (Warsz, 1893

Oddział X, »Studya i szkice literackie«, ze wstępem P. Chmiel. i spisem chronol. dzieł autora. (Warsz. 1894, str. XXIV i 960). Na uczczenie stulecia urodzin Krasz. księgarnia Arcta wydała r. 1912 nowe popularne wydanie cyklu »Powieści historycznych« z pomieszczonym na czele zbioru wstępem B. Chlebowskiego. Prócz tego wyszedł »Budnik« ze wstępem Piotra Chmielowskiego w Bibliotece Westa (Brody 1903). »O panslawizmie« z papierów pośmiertnych — Kraków (1889). »Listy Kr. do Tomkowicza« (Archiw. do dziejów oświaty i liter. t. V). »Korespondencya Kr. z J. Żupańskim«, ogłosił dr. Z. Celichowski (»Praca« 1912 r. Poznań, n. 30—35). »Tyg. Illustr.« i »Biesiada Literacka« wydały w dodatkach powieściowych, w r. 1912 przedruki kilku mniej rozpowszechnionych powieści, prócz tego »Bibl. dzieł wyborowych« wydała »Nerę« (3 tomy) a w Poznaniu wyszła »Chata za wsią« z 6 rycinami. Wreszcie redakcya »Bluszczu« w 1912 r. tom nieznanych »Pism prozą i wierszem«.

A) Biografia sokalskiego organisty (r. 1830).

Ten pierwszy ogłoszony drukiem utwór Kraszewskiego podajemy tu z opuszczeniem niewielkiego ustępu.

881) Z tego to magazynu głębokich zacieków
Dobytą piękność hojną rozsiewałem dłonią
W dziełach, które następne pokolenia wieków
Uwielbiając, ich twórcę wawrzynem osłonią.

Bezimienny. Treny nad utratą licencyi poetyckiej.

Są ludzie, którzy utrzymują, że wysokie powołanie, niezaprzeczone zasługi oddane krajowi, zalety osobiste i życie, które się nietylko krajowi, lecz całemu światu należało, mają wyłączne prawo do biografii, ja zaś utrzymuję, że każdy człowiek raz przynajmniej w swem życiu stał na stopniu, na którymby się nie zląkł oczu świata całego.

Wielkich tylko ludzi zajmować mogą opisy dzieł wielkich, które człowieka, w nizkim urodzonego stanie i żyjącego pod starą ojców swych strzechą na przodków zagonie, oślepiają niejako wielkością swoją i bardziej mu upokarzający stan jego czuć dają, niżeli wznoszą i poprawują jego skłonności i umysł. Dla takich ludzi trzeba pisać biografie mężów, na widok któ-

rych powiedziećby mogli sami o sobie: Jesteśmy im równi lub nimi być możem.

* * *

Pan Prosper Stokrotko urodził się z ojca introligatora, bardzo uczonego człowieka (w Sokalu), który nawet, jak niektórzy utrzymują, nieźle umiał po niemiecku, a w gronie kumów i kumoszek uchodził za cud mądrości i nauk. Miał biblioteczkę z ksiąg danych a nieodebranych z oprawy; z tych wiele było w polskim języku, a między niemi ulubione mu były: Historya o Elefantynie, o Magiellonie, Miłostki Agnulfa i Floretty, Alfons Aragoński i Orystella Kreteńska i t. p. Stary pan Stokrotko miał sobie za prawidło nigdy takich ksiąg nie brać do oprawy, którychby czytać nie mógł, a taniej od innych oprawując i nie żałując pięknej skórki i lipskiego papieru, powoli zebrał dostateczny na utrzymanie się fundusik. Nie porzucił jednak rzemiosła, boby z niem musiał i książki porzucić, na co nigdy z długiego nawyknienia odważyć się nie mógł.

Żona jego, zacna kobieta, córka ekonoma, czynna i niezmordowana w pracy, umiała dobrze czytać, czasem nawet udało się jej nakreślić kilka kołyszących się liter, a co do ceny i rodzaju robót introligatorskich, męża nawet w erudycyi przewyższała.

Jegomość ubierał się codzień w papucie, sfabrykowane ze starych butów, w długie, domowej roboty niemieckie pończochy i krótki nankinowy podwołośnik, krajką przepasany; używał nakoniec mycki, która wedle pory roku niciana była lub flanelowa. Na twarzy przezacnego mieszczanina malował się rodzaj dumy; oczy miał okryte spuszczonemi brwiami, włosy z tyłu naprzód zaczesywał, dla pokrycia połyskującej łysiny; fartuch zaś wiszący na trzęsącym się brzuchu tyle mu nadawał powagi, ile starożytna toga Rzymianom. Gdy obowiązki jego stanu zatrzymywały go nad stołem, jejmość tymczasem gadatliwa i ruchawa wszystkie w domu kąty zwiedziła koleją. W lśniącym od używania szlafroczku, w przydeptanych trzewikach, o których kolorze przez hipotezę tylko sądzić było można,

w czepku i chustce od niechcenia zarzuconej na włosy, ukazywała się, jak straszliwe zjawisko, z miotłą lub dzbankiem w ręku, to w sieniach, to w śpiżarni, to w alkierzu. Tam wygnała mrukliwego kota, gdzieindziej zagrzmiała nad służącą, rozmawiającą z chłopakiem, przechodząc mimo, duser jaki szepnęła mężowi na ucho, i niewstrzymana w swym biegu, jakby jaki zapalony zwolennik filozofii, z hałasem, szumem, wrzaskiem, leciała dalej a dalej. Przeciwnie stary Stokrotko nieporuszony siedział przed swoim stołem, zarzuconym księgami, zrzynkami i kawałkami papierów, z okularami na nosie, a igłą w ręku trawił godziny nieruchomy.

Żadna okoliczność najważniejsza od roboty go oderwać nie mogła, a jeśli sąsiad przychodził radzić go się lub pytać, całemi czasem godzinami oczekiwać musiał na łaskawą odpowiedź. Ta stoicka wytrwałość zjednała mu wiele wziętości między mieszczanami, i nierzadko było usłyszeć, jak go filozofem nazywano.

Pytam tedy moich czytelników, czy Pitagoras nie miał słuszności?

* * *

Mój bohater, syn introligatora, od lat dziesięciu okazywać zaczął wielką do nauk skłonność, a gdy rówieśnicy jego na równinach i pagórkach Sokala uganiali się za motylami, lub płatali figle, on szedł do ojcowskiego stolika i zgłoskował na rozrzuconych kartkach. Ta chęć do nauki była ojcu przepowiednią wielkich nadziei, powolność zaś jego niebardzo matce przypadała do smaku. Tymczasem z lat postępem rosły wiadomości i nauki w głowie Prospera, który w szesnastym roku przybrał postać pełną powagi nauczycielskiej: zaczął nosić grubą laskę, sporą tabakierę, zaczął się tłumaczyć niepojętym stylem, nosił długi po pięty surdut i ze starszymi tylko obcować lubił. Towarzysze i rówiennicy mimowolnie zaczęli go szanować, a nauczyciel parafialnej szkółki, osoba poważna, uważał go za młodzieńca wielkich zdolności. Ojciec się nim chlubił, matka nawykła powoli do uczonych jego grymasów, a skutkiem tego nasz Prosper wbił sobie w głowę, że jest czemś więcej od drugich.

Łacina, którą cokolwiek pomazał gębę, do reszty zawróciła mu głowę, bo jak tylko nauczył się przypadkowania i czasowania, zaczął pisać, jak można domyślać się, bardzo piękną łaciną. Pokoik jego był zupełnie uczony: ściany zdobiło mnóstwo map i jeometrycznych figur, a po kątach spoczywały stosy ksiąg różnego rodzaju. Ponieważ małe nawet rysy charakter okazują, muszę tu przywieść kilka przypisów, własną jego ręką nakreślonych. Na jednym starym egzemplarzu Kosmopolity dopisał: Księga uczona, erudycyi mnóstwo; przy jednym z listów w Polaku sensacie zrobił uwagę, iż autorowi nie brak było twórczej imaginacyi; a na poezyach Twardowskiego, gdzie autor wspomniał Europę, wielkiemi literami dodał: Europa graniczy z Azyą. Te i tym podobne zarysy wprawnego pióra wiele okazują zdatności i ducha. W młodości jeszcze widziałem pochyłemi literami zaczęte przez niego dzieło, pod tytułem: Heroizm miłości własnej czyli wygórowane sentymenta ludzkości. Szczerze biorąc rzeczy, mój umysł nadto jest płaski, aby mógł pojąć myśl tak głęboką; lecz to wcale jej doskonałości nie ubliża, iż jej zrozumieć nie można.

* * *

W ten sposób upływało życie tego męża wielkich nadziei, a coraz nowe zapasy przybywały w jego głowie. W miarę zaś, jak się rozumniejszym coraz być sądził, zmieniał powierzchowną swoją postać.

Ciągłe siedzenie twarz jego do przyzwoitego stopnia wybledziło; na jarmarku kupił sobie okulary, do kija przydał rzemyk z kutasem, powiększył objętość tabakiery, surdut podłużył, coraz rzadziej usta otwierał, a wkońcu dla nieodbitej tylko potrzeby wyraz jakiś z ust jego wychodził. W tym to czasie dosyć ważna w sposobie jego życia zaszła odmiana: ów milczący, ponury i poważny literat zakochał się, ujrzawszy przypadkiem Marysię, córkę młynarza. Niepojęte jakieś ogarnęło go uczucie na widok różanych ustek, niebieskich oczął i zarumienionej twarzyczki. Z podziwieniem i zapałem przypatrywał się małemu trzewiczkowi, gorsecikowi, jej sukni, wstążkom i najmniej-

szym szczegółom, a to wszystko ze skrupulatnością, z jaką starożytnik ogląda piękny rękopism dawnych wieków. Pierwszy może raz w życiu niezgrabnem ust ruszeniem na uśmiech dziewczyny odpowiedział, a ta czy to z próżności, czy z upodobania postanowiła korzystać z uczynionego wrażenia i pozyskać serce Prospera.

Wchodząc do swojej izdebki po tem widzeniu, pierwszy raz uczuł pan Prosper, że mu czegoś brakowało; pierwszy raz udał się, prosząc o radę, do zaniedbanego lusterka, i pierwszy raz miłość własna protestowała przeciw długiemu surdutowi, okularom, tabakierce i kijowi. Niespokojny chodził wzdłuż i wszerz po izbie, chwytał za zbutwiałe foliały, które dawniej czytać i przerzucać lubił, ale nic mu smakować nie mogło: obraz nadobnej Marysi wszystkie zamiary niweczył. Tłumaczenie ulotnych Anakreonta poezyi wpadło mu do rąk, i raz pierwszy zrozumiał prawdziwe znaczenie i postrzegł piękność jego pieśni. Była to chwila stanowcza. Prosper uczuł, że jego dusza chce się wylać na papier, siadł i napisał wiersz, któremu dał tytuł: »Zatęsknienie się«. Geniusz jego naprzemian chwytając się polszczyzny i łaciny, zbierał kwiat obu języków i ułożył coś tak mistycznego i skomplikowanego, iż ludzie ograniczeni nie przyznaliby nawet sensu temu górnemu kawałkowi poezyi.

Po ułożeniu tego utworu natchnienia, poeta złożył pióro zwycięskie i chciał wyjść na przechadzkę; ale głębsze zastanowienie się nad samym sobą ukazało mu, iż jego ubiór i postawa nie przystoją wcale zalotnikowi; postanowił tedy siedzieć w domu, pókiby powoli nie odmienił powierzchowności. Powiadają, iż sama tylko miłość daje popęd geniuszom; nasz Prosper nowym jest tego dowodem, od czasu bowiem, jak się zakochał, zaczął więcej pisać i to rzeczy zabawniejszych, jako to: logogryfów, akrostychonów, tryoletów i t. p. Marysia była to zupełna Ewa po zjedzeniu fatalnego jabłka, która tylko szukała, z kimby się ostatkiem zakazanego owocu podzielić. Dowcip jej zdziwiłby każdego, zręczna w udawaniu, łagodna i gniewliwa, powolna i trzpiotowata, umiała swój charakter przystosować do charakteru kochanka, i jak wyblakły atłas, który z każdej strony innym połyskuje kolorem, tak ona przy każdym odmienną przy-

bierała postać. Słuchała uczonych rozpraw i komplimentów pana Prospera z dziwną cierpliwością i niekiedy nawet lubiła okazywać, że z jego rozmów korzysta, a to do reszty podbiło serce uczonego.

* * *

Z odmianą stanu serca zmieniać się także zaczęła powierzchowność; Prosper porzucił okulary, Marysia kij mu odebrała; kazał podciąć poły swego surduta, a gdy mu odkradziono tabakierkę, nie pytał się o nią. Z radością uważała matka tę odmianę; ojciec jej nie spostrzegał, a Marysia śmiała się w duchu i pyszniła ze swojej władzy.

Przebiegła ta dziewczyna tyle wymogła na powolnem sercu uczonego, iż ten jednego poranku przyszedł do ojca, zatrudnionego zwykłą swoją robotą (czego już oddawna nie czynił), siadł i zaczął głośno czytać napisane przez siebie wczoraj p o c h w a ł y m a ł ż e ń s t w a. Matka, przejęta wdziękiem kwiecistej jego mowy, pierwszy raz w życiu cały kwadrans ustała spokojnie na miejscu, a potem ruszyła z hałasem i krzykiem nagrodzić pośpiechem opóźnienie. Czytał tymczasem dalej Prosper, ojciec go wkońcu zapytał:

— Cóż to? czy nie myślisz waść wstąpić w stan małżeński?

— Tak jest — odpowiedział syn, przerywając czytanie — oczekuję tylko pozwolenia.

— A tego właśnie nie dostaniesz — zawołał poruszony ojciec, pierwszy raz w życiu porwawszy się ze stołka tak szybko, iż Prosper odskoczył na kilka kroków.

Wieczorem tego samego dnia nasz młodzieniec milcząc, z rozpaczą na twarzy, leciał jak szalony przez miasto. Zapał jego był tak wielki, iż nic przed sobą nie widział, ani słyszał; poły od surduta powiewały koło niego, kij miał w ręku, zgrzytał zębami i nieczuły ani na śmiechy, ani na wołania, wstrzymać się nie chciał. Oczy jego obłąkane były w górę wlepione, jakoż wkrótce nogi, pozbawione swoich przewodników, wpadły prosto na stragan przekupki.

Runęły na ulicę jabłka i gruszki, przywalone ciężarem

Prospera, padła, broniąc swego towaru, przekupka, a gdy zapalony młodzieniec wzniósł się i leciał dalej, parę tysięcy przekleństw posłała w pogoń za nim.

Nic to jednak nie pomogło, bo bardziej jeszcze swoim przypadkiem rozjątrzony, coraz prędszym krokiem z miasta uciekał. Kij jego, unosząc się w powietrzu, stłukł kilka okien i kilku Żydom spore guzy na pamiątkę podawał; uciekano od niego jak od opętanego, a tłum, z całego miasta zgromadzony, z okrzykami biegł za nim w przyzwoitem oddaleniu. Na drodze spotkał się właśnie z Marysią, ale na jej czułe wyrazy nie odpowiedział, uciekając dalej a dalej. Policya, nie chcąc go puścić z miasta, rozkazała zamknąć rogatkę; jednem spojrzeniem dostrzegł on zawadę, i jakby wyższą siłą natchnięty, uniósł się, machnął kijem ponad głowami i przeskoczył. Od niepamiętnych wieków nie widziano w Sokalu takiego skoku; lud zdumiony stanął, a gdy z podziwienia przyszedł do siebie, już Prosper był daleko.

Otóż to skutki ślepej miłości i odmówienia ojca, którem rozgniewany uczony postanowił nigdy więcej nie zajrzeć do rodzinnego miasta. *Tantaene animis coelestibus irae?*

* * *

— Pójdź sobie wasani precz ze swoją nauką.

— A waszeć idź szukaj syna, któregoś wypędził.

— Niech leci, choćby na koniec świata; nie żal mi tego szaleńca.

— Pamiętaj Waszeć, że ten szaleniec był synem Wać. Pana.

— Tak... — rzekł rozgniewany introligator, gdy wtem przybyły ojciec Marysi przerwał spory małżeńskie:

— Dobry wieczór, panie Stokrotko!

— Dobry wieczór.

— Skąd-że to waszeci przyszło tak ostro zabronić synowi swemu żenić się z moją Marysią?

— Cóż to myślisz, że pan Pytel nie da jej posagu? He?

Introligator stał jak wryty, i wkońcu na nalegania młynarza odpowiedział:

— Może się to jeszcze ułożyć.

— Także mi i gadaj — rzekł poważnie pan Pytel — oświadczam tedy, że daję mojej córce pięć tysięcy złotych posagu, a Prosperowi wyrobię miejsce organisty i nauczyciela naszej szkółki. Zgoda?

— Zgoda! — zawołał ucieszony pomyślnym rzeczy obrotem pan Stokrotko, — ale gdzież mój syn? On uciekł podobno z miasta.

— Złapiem my go — rzekł młynarz — i woda ucieka, a jednak ją łapię do moich młynów.

To mówiąc, wyszedł, a żona introligatora stanęła przed mężem, zabierając się do dotykalnej wymówki, gdy tymczasem widząc grożące niebezpieczeństwo, mąż schwycił czapkę i wyszedł *incognito*.

* * *

W kilka dni potem wynaleziony Prosper został mężem swojej kochanki, która będąc głową domu, stawała się poważniejszą i surowszą dla męża. Ten zaś nawzajem wrócił powoli do dawnych zwyczajów, zaczął nosić okulary, kij i tabakierkę, sprawił długą kapotę i został organistą, nauczycielem i kantorem w Sokalu. Umysł jego, nabrawszy więcej jędrności, wylał się teraz w dziełach różnego rodzaju. Tu on, opłakując porywczość swojej żony, napisał: Lament po utracie dobrej myśli. Są także jego ręki śpiewy duchowne pod tytułem: Spirytualny kancyonalik ku użyciu kantorom wszelkiej kondycyej, i świeckie pod równie stosownem nazwaniem: Wieniec pełnych odoru kwiatów dla czystych piersi ku zabawie, czyli zbiór pieśni światowych. W takich to i tym podobnych pracach żył jednostajnie ów mąż uczony i zajmował się napisaniem Historyi Sokala, opierając się na wykrzykniku Szymonowicza, o sykulskie Muzy! które on usiłował przemienić na Sokalskie.

Im bardziej w lata postępujem, tem więcej doznawamy przykrości; doświadczył tego zacny Prosper Stokrotko, któremu żona ku końcowi nieznośną się stała; z tego to powodu, jako

też dla licznych kłótni z plebanem, zaczął nastawać na ludzi, a stąd znowu przyszło do tego, iż cały się oddał złośliwemu malowaniu charakterów. Pierwszą próbę pióra uczynił na określenie charakteru żony, ale się to pismo nam nie dostało, bo go jejmość przezorna, nie chcąc się w złym sposobie dostać potomności, spaliła. Inne płody, zależące w kilkunastu satyrycznych i bardzo dziwnych powieściach, zrządzeniem losu wpadły w moje ręce, z których kiedyś może na świat wyjdą. Umarł mąż ów zacny w 54 roku swego życia, a po nim długo niezajęta katedra sokalskiej szkółki dziś pono upadła. Przyjaciele, ceniący jego zalety, w miejscu, gdzie pochowanym został, położyli kamień z napisem:

D. O. M.

Pod. tym. głazem. odpoczywają. kości.
Urodzonego. Pana.
PROSPERA STOKROTKI
Organ. Pleb. Sokal. Nauczy. Kantor.
Auth. dzieł. licznych.
Żył. lat. 54. umarł. roku. 1759. 4. maij.
Amici. posuerunt.
Anno. 1761. 4. maij.

B) Poeta i świat (r. 1839).

Napisana w r. 1837, ogłoszona drukiem r. 1839 w Poznaniu.

Podajemy tu wypowiedzenia się, malujące stan duszy, umysłowość i uczuciowość głównej postaci, Gustawa, poety, według wydania trzeciego, przejrzanego i poprawionego przez autora w »Zbiorze powieści« Krasz. wydanym w 102 tomach we Lwowie (1872—76).

Rozdział VIII str. 37. — On i oni.

882) Przeto, jakem powiedział, mądrze to Bóg sprawił,
Kiedy ludzi różnemi sprawami zabawił,
Ten stworzywszy część ludzi chciwych na pieniądze,
Mnie, za co Mu dziękuję,—stworzył bez tej żądze.
Kochanowski. Marszałek.

A jadąc dalej, myślał Gustaw:

Czemuż nie jestem, jak inni ludzie, których myśl toczy się w ciasnej sferze ziemskich wyobrażeń, którzy nie umieją płakać, śmieją się z cierpień serca i wierzą tylko w cierpienia głodu, zimna, kalectwa, bo te tylko czuć potrafią.

Tamci wśród przypadkowych łez nawet, które się nie sercu, lecz oczom ich wyrywają, myślą jeszcze o obiedzie i łóżku. Niebo dla nich jest tylko przedłużeniem ziemi; wyobrażają sobie, że tam kiedyś będą, lecz nigdy o tem nie dumają i nie mówią, bo pojąć go nie umieją. Oni to powiadają, że cnotą jest nic nie robić, że cnotliwym być można bez poświęcenia, bez ofiary, wygodnie, w ciepłym pokoju, gdy ubodzy i biedni dzwonią zębami z głodu, zimna, upokorzenia i pogardy; oni to powiadają, że cnota nie zależy na tem, żeby dobrze czynić, lecz tylko, żeby nic złego nie robić. Kamienie! — Tacy ludzie prawie nigdy się nie żenią, bo w żonie widzą wiele kłopotów, a najmniejsza ofiara z siebie głupstwem się u nich nazywa. Jeśli się żenią, narzekają całe życie na ożenienie, i żonę swoją i dzieci biedne robią niewolnikami swymi, nie zostawiają im ani woli, ani rozumu, ani nic własnego, miotają niemi wedle swoich widoków, z uśmiechem męcząc wedle upodobania dla rozrywki, uważając za stworzenia podległe sobie, dla których nigdy nie przyjdzie chwila emancypacyi. Dzieci ich i żona nigdy nie mają swego zdania i woli, — rozum tych egoistów żydowski, pieniężny, kręci się koło dukata, jak wilk koło dołu, w którym gęś siedzi; wszyscy muszą wlec się za nimi, serce ich zimne, ma służyć całemu podległemu im rodzinnemu światu za prawidło postępowania, za wzór uczuć, ich szczęście musi starczyć wszystkim, co od nich zależą, gniewają się, jeśli komu zamało ich ciepłego, samolubnego szczęścia. O! biada żonie i dzieciom, życie ich upływa w niewoli umysłu i ciała, a ten człowiek nie pojmuje nawet ofiar czynionych dla siebie, bierze je za obowiązek, cierpień nie rozumie, i śmieje się, siedząc u komina, jeśli te biedne ofiary poskarżą się, że cierpią.

Ja nie jestem jak ci ludzie, mówił do siebie Gustaw, ja siebie uważam sługą moich braci, stworzonym dla nich, więcej niż dla siebie, moje życie, moje serce, wszystkobym im oddał i chciałbym tylko w nagrodę widzieć ich oczy wlepione w to

niebo, ich serce przejęte anielską miłością dla wszystkich, ich dłonie połączone w pokoju, wieczną wiosnę nad nimi, wiosnę ziemi, wiosnę serca, wiosnę rozumu, bo zimy straszne są wszystkie, a najstraszniejsza zima serca, zima głowy, która czyni z człowieka szkielet suchy, zbierający w siebie promienie całego świata, żyjący jedną tylko myślą, jednem słowem: Ja! Szacunek, na który się stara zasłużyć, pieniądz, który zbiera, osoby, które pociąga suchą, a podłą, bo udaną miłością swoją, wszystko to zmierza do tego: Ja!

Lecz inne są myśli moje i serce moje, mnie ziemia jest tylko przedsieniem nieba, gdy im jest drugiem niebem; ja widzę się tu wędrownikiem, widzę pigmeje w ich olbrzymach, a w ich bojaźni i zabiegach fraszki niedojrzane. Bo oni patrzą na ziemię z ziemi, a ja z nieba, na którem myśl moja żyje. Chrześcijanie, oni wierzą w Chrystusa dlatego, że nauczył pokory, dobroczynności, litości, miłości, które oni wszystkie odnoszą do siebie; ja wierzę w Chrystusa, żeby spełniać jego naukę, oni tylko, żeby z niej korzystać.

Dla nich poezya, ta rajska muzyka duszy, która unosi wysoko i do reszty odrywa od świata, jest niepojętym szmerem, w którym cenią gładki ton i melodye, lecz myśli nie rozumieją, zapału nie czują. Oni wierzą w swoją duszę, bo ona obiecuje im życie na przyszłość, lecz za życia ziemskiego pętają ją w ziemskie rozkosze, zabijają ją w sobie, dręczą i starają się użyć nią wszystkich rozkoszy bydlęcia, dopominając się potem jeszcze życia, które obiecano aniołom. Który-że z nich był kiedy poetą? żaden, bo myśl ich błądzi tylko koło siebie, jak nić jedwabnika; jeśli który przypadkiem usta otworzy, śpiew jego będzie tylko dla siebie, o swoich bólach, swoim losie, swoich rozkoszach, — tylko o sobie i swoich. Nigdy nie poleci on dalej, a myśli jego mętne, brudne, przesycone kałem, w którym ci wychowańcy trzody Epikura tarzają się, będą opiewać niebo nawet z ziemskiemi rozkoszami, jak gdyby w niebie inna była rozkosz, nad miłość dla wszystkich i to zlanie się dusz, które miliony milionów ludzi połączy w jedną całość z Bogiem!

IX.

Czem jest miasto dla poety.

Wsi spokojna, wsi wesoła,
Który głos twej chwale zdoła?
Kochanowski P. Ks. II. Sobótka XII.

883) I kiedy wjeżdżał do Wilna Gustaw, jak mu się dziwnie wydało miasto po wdzięcznej wsi, tak poetycznej, tak spokojnej, tak naturalnej! Mimo woli przypomniał sobie słowa angielskiego poety:

»Bóg stworzył wieś, człowiek zbudował miasto!«

Ten tłum ludzi zbliżonych do siebie, a obcych sobie bardziej niż gdziekolwiek indziej, mieszkających w domach ściśniętych, bez innego widoku, prócz dachów czerwonych, zadymionego nieba, kawałka bruku i zielonej latarni, — tłum ludzi obojętny, samolubny, głuchy na wszystko, prócz swojej korzyści, — wydał się Gustawowi zupełnie innym światem; w tych wielkich murach zimnych, pustych, widział groby, a miasto w jego oczach było cmentarzem żyjących.

W kościołach nawet inny był Bóg, nie ten, co na wsi; złoto, srebro, drogie kamienie, marmury śmieszne były, chcąc zdobić miejsca, które wielkość Jego czyni wyższemi nad wszystkie ozdoby. Kapłani w purpurach, w złocie, nie wydali mu się sługami Boga, który był ubóstwa i pokory nauczycielem. Nabożeństwo, przemawiające do oczu, nie do serca, zimne i wystawne, nie zastąpiło dla niego cichych modłów kaplicy wiejskiej, gdzie lud pracowity na przegniłych deskach przed drewnianym ołtarzem ze łzami dziękuje, prosi, modli się do Boga!

A ludzież miejscy, którzy dla każdego mieli uśmiech, a dla nikogo pomocy; słodką grzeczność świata na ustach, a w sercu chłód i truciznę samolubstwa, choroby uporczywie do ich dziatwy przywiązane, — ludzie miejscy, potrącający z pogardą ubogiego, kłaniający się możnym i bogatym, więcej niż kościołom, do których chodzili wdzięczyć się, nie modlić, jakże się prostemu, wieśniaczemu sercu Gustawa zepsutymi wydawali!

A kobiety strojne, wdzięczne, zalotne, z uśmiechem na

ustach, który w szyderstwo dla jednych, w przymilanie dla drugich na rozkaz się zmieniał, kobiety, które nie umiały się zarumienić ani spuścić oczu, które nigdy nie miały młodości, bo nie znały wstydu, których niewinność starła się dotknięciem świata, nim w sercu urodzić się mogła — kobiety te jakże dalekie były od ideału przeczystych aniołów, które Gustaw marzył.

I smutne było miasto dla poety, bo zawsze miasto jest stolicą i siedliskiem handlu na wszystko: gasną w niem wszystkie uczucia, a egoizm króluje, wszystko się przedaje, rozum, wdzięki, rozkosz, szacunek, zdrowie, wszystko, — zacząwszy od funta tabaki, a skończywszy na modłach pogrzebowych za dusze.

— Ach! myślał Gustaw, ileżby to ci ludzie zyskali na wsi, tam, z tem świeżem powietrzem, z słodkiemi wdziękami cichego przyrodzenia, w większej samotności; mniejby widząc siebie, więcejby się kochali, tam czuliby Boga, którego tu nie widzą, bo głos Jego piorunu głuszy turkot karety bogacza. Jego cuda wyśmiewa głupia ciżba półmędrków. Jego wielkość niszczą drobnostkowe robótki ludzi, którzy się w oczach tłumu wielkimi wydają. Ci ludzie zawsze ściśnieni, zawsze obcierając się o siebie, przejmują swoje błędy, wyśmiewają cnoty, nigdy nie mają chwili do zastanowienia, bo w ciągłem żyjąc odurzeniu, kręcą się bez myśli, jak nad wirem rzeki. — I te kobiety, tak świeże, młode, a tak blade, tak przekwitłe przed zakwitnieniem, które widziały tysiąc razy całą historyę człowieka na poddaszu, na ulicy, nie wierzące w dwudziestym roku w nic, prócz pieniędzy, jakżeby odżyły pod wiejskiem niebem, gdzie wszystko oddycha czystą miłością, wiarą i nadzieją, których próżno szukać pod okopconym dachem kamienic.

I mówią, — myślał Gustaw, — że młodzież może się przetrzeć na świecie, posłana do miasta. Cóż to jest, co oni tak nazywają? nabranie śmiałości, a utrata wstydu — jednem słowem zepsucie. Przetrzeć się na świecie, jest to utracić wiarę w uczucie wstydu i miłości, przekonać o koniecznej potrzebie samolubstwa i powrócić do domu, splamionem sercem i usty zwodzić wieśniaków, szydzić z nich, i oddać im z procentem to, czem ich w mieście przywitano — szyderstwo i oszukaństwo.

Kilka dni obeznania z młodzieżą nauczyło Gustawa, że nie na długo przywożą, i to niewszyscy, z domu prostotę, szczerą pobożność i serca chrześcijańskie, wykształcone do familijnych uczuć matczynemi rękoma. Ujrzał on młodzież oszukującą się nawzajem, przepędzającą życie na rozkoszach, które tego nawet imienia nie były warte, trawiącą dni drogie bez myśli, celu i zastanowienia.

Smutno ścisnęło się jego serce, kiedy ujrzał i posłyszał wyśmiane te święte dotąd dla niego uczucia, szacunku i wdzięczności dla krewnych i rodziców, poświęcenia dla przyjaciół, religijnej czci dla kobiet, poważania dla siwych włosów; kiedy posłyszał bluźnierstwa chwalone jak rozum, bezwstyd i zuchwalstwo zalecane jak umiejętność życia, kiedy pacierz jego odmówiony u łóżka na klęczkach ściągnął na niego długie śmiechy i pogardliwe wejrzenia. Lecz szyderstwo i przykład, tak silne pobudki zgorszenia, nie skutkowały na Gustawie.

Raz szedł on ulicą i myślał właśnie o tym świecie miejskim, tak różnym od cichego domu, w którym się wychował, od wiejskich ludzi, od tamtych kobiet, wtem ujrzał przed sobą staruszkę, idącą o kiju, siwą, drżącą, zgarbioną. Twarz jej była blada, zmarszczona, oczy wpadłe, ręce suche, podpierała się parasolikiem, powleczonym kawałkiem blado-żółtego perkalu. Strój jej oznaczał ubóstwo niedawne jeszcze, bo składał się z szczątków dostatków: suknię miała starą, wytartą, ale atłasową; chustkę gęsto cerowaną, ale tyftykową przed laty. Tłum mijał obojętnie staruszkę; niejeden ją potrącał, niejeden rzucił jej przechodząc przykre słowo lub przykrzejsze wejrzenie, tylko Gustaw rozczulony spoglądał na tę ruinę wieku i dostatków, smutną, samą, opuszczoną, wśród wesołych i bogatych.

Ona szła, nikogo nie widząc, powoli, dźwigała ogromną księgę, z której wyglądały okulary, i kończyła modlitwy, tę rozmowę duszy z jedynym przyjacielem opuszczonego, z Bogiem.

Nagle za nimi krzykliwy głos kuczera oznajmił poszóstną karetę jakiegoś bankruta, który żył jeszcze jak pijawka, krwią i łzami kilkudziesiąt familii. Powóz leciał, kuczer wrzeszczał, wszyscy się ustąpili co prędzej, wszyscy prócz staruszki, bo ta biedna była głucha i nie słyszała głosu kuczera i nie widziała pańskiej karety.

Już konie prawie ją roztratować miały, gdy Gustaw krzykiem nagłym obudzony, porwał bezsilną na ręce i odniósł na bok, a nim przyszła do siebie i miała czas go pobłogosławić, uszedł dalej, unikając podziękowań i wdzięczności. Lecz staruszka dążyła za nim prędko, nie spuszczając z niego oka, i korzystając z zastanowienia, porwała za połę.

— Poczekaj-że, moje dziecię — rzekła cichym głosem — niechże ci choć podziękuję za twoją poczciwość, niech cię pobłogosławię.

Gustaw nachylił głowę, a staruszka przeżegnała go powoli.

— Niech ci Bóg nagrodzi, moje dziecię, bo ja inaczej jak życzeniem nie mogę; a na pamiątkę naści ten obrazek. I wyjęła z swojej książki nabożnej świętego Antoniego di Padova, na którym były widoczne ślady nabożnych pocałunków, pocałowała go raz jeszcze i oddała Gustawowi.

— To najlepszy mój patron, najskuteczniejszy; — odezwała się — módl się do niego, gdy ci źle będzie na świecie, on mnie często ratował!

I biedna staruszka zachwalała swego patrona, chociaż ją zostawił w połatanej sukni, samą jedną o kiju na starość, bez dziecka, bez przyjaciela.

Tak Gustaw pierwsze w życiu odebrał błogosławieństwo, a choć go nad nim obca ręka skreśliła, uczuł jednak, że skarb niósł z sobą. Nie jest-że bowiem skarbem błogosławieństwo starego!

Musiał także staruszce powiedzieć swoje nazwisko, bo go inaczej puścić nie chciała.

Potem chwycił obrazek, podziękował i zniknął na zawrocie ulicy. Staruszka powlekła się do domu, pilnując muru i kończąc przerwane pacierze, a jeden z kolegów Gustawa wracał do swojej izdebki i rzucając książki na ziemię, wołał do towarzyszów:

— To szalony z tego Gustawa! Dziś widziałem, jak o mało się pod konie nie rzucił dla wyratowania starej jakiejś baby. Gdyby jeszcze za jaką młodą! mógłby rachować na wdzięczność, a tak zyskał pewno błogosławieństwo i pacierze! cha! cha!

C) Asmodeusz w r. 1837.

Chcąc scharakteryzować współczesną kulturę europejską, autor wkłada swe sądy i poglądy w usta Asmodeusza, dyabła wędrującego po świecie w towarzystwie Don Kleofasa, t. j. samego Kraszewskiego, który używał w pierwszych swych utworach tego pseudonimu. Podajemy tu ustęp z wieczoru drugiego.

Człowiek i zwierzę.

884) Drugiego wieczora nie polecieli już nigdzie Asmodeusz z don Kleofasem, zostali w domu, a szatan, grzejąc się przy brasero i pijąc poncz, palący się w wazie, tak rozprawiał dalej:

— Wierz mi, don Kleofasie, że nic niema śmieszniejszego nad niepojęty egoizm wszystkich waszych czynności, egoizm, który posunęliście do tak wysokiego stopnia, że go czuć nawet w naukach waszych.

— A, ciekawy jestem! — zawołał don Kleofas.

— Pokażę ci go nawet w waszej astronomii, kiedy o to chodzi, — mówił dalej Asmodeusz. — Wszystko nim człowiek psuje, widać go przez wszystkie szczeliny jego duszy, nim nawet myśl swoją niemateryalną wciela, ściska i zmniejsza. Egoizm bowiem ludzki tak jest wyłącznie z naturą jego cielesną związany, tak mało duszy się tyczy, że w zetknięciu się z nią poniża ją tylko. Do wszystkiego człowiek idzie od tego jedynego ogniska, od tego wiecznego ja, świat i światy swoim łokciem mierzy, wszystko stworzone i wszystko, co sam stwarza, czyni na podobieństwo swoje, swój tylko obraz widzi wszędzie. Gdzie go niema, tam nawet myślą sięgnąć nie potrafi. Od pierwszego kroku w astronomii ludzie w gwiazdach zaraz posadzili siebie i zwierzęta, tak im było potrzeba coś znajomego tam umieścić. A czemże jest owa przesławna hipoteza Fontenella, jeśli nie pełnem egoizmu marzeniem? Na miejscu bogów poganizmu uczłowieczonych, on tam ludzi i zwierzęta zobaczył, uwierzył w nie i tamte światy z waszym grubym węzłem braterstwa urojonego połączył. Lecz krytyka łamie jego paradoksa. Anglicy, którzy śmiejąc się z Galileusza, bo i on wierzył w to marzenie, z Newtona, bo o niem nie śmiał nic wspomnieć, z Her-

schella młodszego, który i w słońcu widzi żyjące stworzenią, z Kepplera, który samą ziemię i wszystkie światy ożywionymi tworami mniemał, wyrzekając stanowczo, że tam nic nie żyje, nic niema, nowy tylko dali dowód uczonego lecz ciasnego egoizmu. Zapewne! wam, wam ludziom przeszkadzałyby do życia upały Merkurego i Wenery, lody Marsa, ich brak atmosfery i t. d., lecz czemuż wam się zdaje koniecznie, że cuda stworzenia mają granice i na was się kończą? że nie mogą być istoty żyjące w ogniu, w lodzie i bez atmosfery? oddychające parującymi kruszcami? Czy koniecznie wszystko, co tam żyć może, ma być wam podobne? Przynajmniej odkrywszy robaczki żyjące w śniegu, a kończące życie, gdy je z niego wyjmują, godziło się wznieść myślą do innych tworów, które równie niezwyczajnym dla was sposobem istnieć mogą.

Wyobraziliście sobie, że na świecie wszystko wam służy, wszystko jest dla was tylko stworzone, że wy jesteście panami świata! Trzeba było być człowiekiem, żeby to o sobie powiedzieć, a powiedziawszy, uwierzyć; trzeba było, jak on, być egoistą ślepym, żeby w łańcuchu stworzeń widzieć samych tylko sług swoich, pastwę, suknię lub zabawę. Jakże ślicznie według tej teoryi powszechnej wytłumaczyliście sobie barwy rozliczne kwiatów, niby tylko dla oczu waszych urozmaicone, dla waszej zabawki, do wieńca, do bukietów. Barwy te, służące im do utrzymania przyzwoitego dla nich stopnia ciepła, wzięliście tylko za piękne cacko, dla miłości oczu waszych umyślnie stworzone.

A jakżeście dotąd pisali waszą historyę natury! Tysiąc tomów o jednym człowieku, pod wszelkiemi względami uważanym, analizowanym, materyalizowanym, eterowanym, idealizowanym, o tej zaś ciżbie stworzeń, która was otacza, o tych młodszych braciach waszych, co was karmią, odziewają, co wam służą i codzień dla was umierają — szczupło, powierzchownie, aż do śmieszności niedbale.

Nigdyście jeszcze zwierzęcia nie uważali niezależnie, pojedyńczo; jego życie, obyczaje, anatomię, odnosicie i porównywacie z sobą. Ci bracia wydziedziczeni służą wam tylko jako narzędzia, jako cienie, do okazania wysokiej światłości waszego organizmu fizycznego i umysłowego. A jednak, po prawdzie,

czemże wy jesteście? Wasz szalony Jan Jakób raz tylko prawdę powiedział, kiedy mu się wyrwało z głębi duszy to zdanie: że człowiek jest zepsutem zwierzęciem. Tak, bo nie jest ani zwierzęciem już, ukrywając w sobie iskierkę prometeuszowską, ani aniołem, gdyż go ciało więzi i pęta do ziemi. Niewolnik świata, którego panem się mieni, należy sam do amfibiów. Pływa, lata, usiłuje się wznieść, trawią go własne myśli, a utraciwszy przybrane skrzydła egzaltacyi, spada na ziemię uderzony piorunem własnych, niepojętych sobie samemu wyobrażeń. Jego bezsilność drażni go ciągle, a duma i zuchwalstwo zabija.

W początkach świata pomieszany ze zwierzęty, ciało miał człowiek zahartowane, głowę pustą, serce dzikie i okrutne, bił się z mieszkańcami lasów, pożerał ich ścierwo, okrywał się ich włosem, przywłaszczał sobie wszystko, co mógł, i silny, a ograniczony na umyśle, powoli bardzo uczuwać w sobie zaczął duszę. Zmieszany, spojrzał w niebo, które było za wysoko; na ziemię, która dla niego już była za nizko! Powoli zebrał się w trzody, a trzody bić się z sobą, kłócić i gnać zaczęły; w tej walce przychodził mu rozum nieznacznie, myśli, wynalazki. Pierwszy jego krok do dzisiejszej doskonałości, a raczej tylko doskonalenia, był apostazyą naturalnego stanu, wyrzeczeniem się i zaparciem ciała i jego siły, których nigdy całkiem pozbyć się nie może, nigdy od nich uwolnić. Zaczął myśleć, a myśli jego coraz wolniejsze, poszły aż tak daleko, iż się zastanowiły same nad sobą. To był już najwyższy stopień. Dusza ludzka tylko duszą oceniona i pojęta być mogła, tak jak duszy dyamentu nic nie ugryzie, tylko dyament. Lecz myśl, lecz dusza, we wszystkich swoich działaniach używając cielesnych tylko narzędzi, nie mogąc się zupełnie wyemancypować w najoderwańszych działaniach swoich, jeszcze czuć dają ciało i ziemię.

Ojcowie dzieciom, wiek wiekowi, rzucili myśli, które się ukształciły, ustaliły, stwardniały; stały się przesądami, tradycyą, historyą i służą za wschody przyszłości, do wzniesienia się trochę wyżej; buduje się wieża Babel, która za chwilę pod nogami przyszłego wieku ma się obalić, którą z gruzów następcy odbudują znowu i t. d. i t. d. Oto cała umysłowych postępów ludzkich historya; Stoicy nie bardzo byli nierozsądni, gdy wielki

peryod swój, zwany rokiem Stoików, wymyślili, trzeba tylko inaczej jego powrót stosować.

Im bliżej jesteście zwierząt życiem, obyczajami i rozwiniętemi niewiele myślami, nie przechodzącemi pierwszych i najbliższych potrzeb, tem więcej jeszcze pobłażacie zwierzętom. W starożytności jeszcze nic świata podług waszych dzisiejszych wyobrażeń nie rozumieją, ubóstwiają zwierzęta, przypisują im cudowne własności, niekiedy cudowną mądrość, łączą ich z ludźmi przez Centaury, Faunów, Satyrów, Sfinksów, przez wszelkiego rodzaju przemiany, oddają im cześć zabobonną, zamiast sprawiedliwości, jaka się im należy.

Pitagoras przewiduje niby braterstwo ludzi i zwierząt, lecz spostrzegając w nich ślady ducha, woli i rozumu, egoista! daje im duszę z warunkiem, żeby nie była inną jak ludzka, i to poniżona na pokucie! Jednakże system Pitagorasa mógł być piękny, gdyby go uczynił innym wcale, niż był, gdyby był naprzykład pokazał duszę, podróżującą z kamienia do kwiatu, z kwiatu do polipa, z polipa do robaczka, do płazu, do ryby, do ptaka. Lecz system Pitagorasa, jakim był, nie trwał długo, i nikt weń prawie, prócz poetów, nie wierzył. Rzym śmieje się ze swoich bogów, ze swoich filozofów, ze wszystkiego, druga już, jeśli nie więcej Babel chwieje się, podkopana przez napływ silnych barbarzyńców. W Rzymie nikt o zwierzętach inaczej nie myśli, tylko jak o pokarmie, o okrucieństwa pełnej zabawie, o potrzebnym do życia słudze. Lecz to im wybaczyć potrzeba, bo tak samo z rodzonymi obchodzili się braćmi.

Lecz otóż Rzym się wali; jego wyobrażenia, jego mądrości, jego Babel cała chwieje się, pada i znów zbieracie jej szczątki na nowy gmach podobnego losu. Przychodzą wieki średnie z zabobonami, królestwo szatana! O zwierzętach ani słowa; ludzie zastępują ich miejsce w męczarniach, nikt o nich nie mówi, nikt się nad niemi nie zastanawia. Zaczyna się nowa epoka od pełnych egoizmu poszukiwań nad człowiekiem, dopiero gdy go obrócono, opatrzono, nasycono się i przesycono nim, powiększa się sfera obserwacyi, dochodzi zwierząt i poczyna od najbliższych, to jest najużyteczniejszych człowiekowi. Bo zawsze ten wzgląd użyteczności, egoizmu, jest pierwszą myślą, osią człowieka. Potem częścią przez nudę, częścią przez

zuchwalstwo, coraz dalej i napozór bezinteresowniej, sięga myślą, lecz zawsze do swego ja odnosi, co gdzie wziął. Dzięki nienasyconej ciekawości egoizmu, granice świata obserwowanego rozciągają się, badania zanurzają się w głąb ziemi i na dno morza.

Lecz zawsze a zawsze jaki jest ostateczny i tych i innych nauk wniosek? Korzyść, użytek, egoizm, spekulacya. W historyi istot stworzonych, przez was ułożonej, ten cel jest najoczywistszy, a najwyżsi abstraktorowie dzisiejsi, którzy liczą kostki, zęby i muskuły, kończą porównaniem ich z wielkim architypem: z sobą, z człowiekiem. Jedność normy stworzonych istot, odkryta przez Geoffroi de St. Hilaire, do tego tylko przyprowadziła, że najdoskonalszą organizacyą ostateczną, *non plus ultra*, uznano człowieka.

A jednakże do doskonałej historyi natury, was otaczającej, potrzebaby mocy zupełnego odczłowieczenia, bezstronności, na jaką zdobyć się trudno, a może niepodobna. Wówczas dopiero tyle razy uważane, rozebrane, spisane istoty, miałyby swoją właściwą historyę. I, z przeproszeniem, jeden Buffon gładkopióry, jeden Cuvier anatomik, takiej pracy nie dokona. Jeśli cały wiek człowieka trzeba się uczyć go poznać, idąc już po ubitej drodze, ileż to czasu szukając drogi i poznając jedno tylko zwierzę, strawić się będzie musiało! Urywkowe spostrzeżenia, choćby potem były w jedną całość zbite, nic nie stanowią prócz urywków.

Śmiesznym jest jeszcze dosyć użytek, jaki człowiek moralnie ze zwierząt wyciągnął. Gdy chce dać współbraciom swoim, ludziom, naukę, nie śmie on odkrywać ich występków przez egoizm, obmawia więc zwierzęta, chcąc się zemścić na ludziach. Nieprawdaż, że to przypomina dosyć tych pedagogów, którzy ćwiczą ubogiego sierotę, żeby paniczom dać *ad intende*. Tym sposobem stworzono ten rodzaj pism, który bardzo słusznie nazwano bajką, utwór podobny do starożytnych pół zwierząt, pół ludzi, w którym zostawiono dla prawdopodobieństwa niektóre materyalne rysy fizyognomii zwierząt. Możeby to było śmiesznie, żeby bajkę uważać za krzywdę wyrządzoną zwierzętom, lecz czyż ściśle biorąc, tak nie jest? Ta dwutwarza kompozycya, niestosowna już z naszym wiekiem i wyobrażeniami, bar-

dzo słusznie upaść musi, razem ze wszystkiemi amfibiami literackiemi, które, mając dwa cele i dwie twarze, żadnej przez to nie mają. Jeśli uznacie komentarze nad Dantem P. Rosetti za słuszne, Dante straci u was i w przyszłości nazwisko poety, będzie tylko czytany jako pamflecista i historyk.

Wasza nowa Babel — dodał Asmodeusz — ze starych zbudowana ułamków, wznosi się znowu ku niebu. Jest to gmach z wązką podstawą, rozszerzający się ku wierzchołkowi, który lada chwila upadnie.

Symptomata powszechnej analizy pokazują już dosyć oschłość i wyczerpanie materyałów pożywnych waszego wieku, i starca, który się usiłuje odżywić drażniącemi anatomii wrażeniami, który puszcza wzrok w głębie przepaści, rozwijającej się pod jego nogami. Z kolei analiza od człowieka przeszła do zwierząt, lecz rzuciwszy dawny tor obserwacyi ich życia, wzięła się do nieżywych kości i szczątków. Upatrzyła zwierzęta w krwi ludzi, na dziąsłach, w ranach, na skórze (nie odstępując wszakże założenia, że wszystko stworzone jest dla człowieka); podzieliła, uklasyfikowała zwierzęta, ponumerowała, ustawiła, urządziła, lecz czy przeto znacie lepiej ich naturę, ich samych! Znacie lepiej ich trupy, to prawda; lecz nic więcej. Tajemnice ich czucia, ich czynności, ich j a są wam, jak były, zakryte. Głupstwo! odpowiedzą mi wasi mędrcy, ależ znamy ich zęby, ich kość pacierzową, szczęki; poznamy z jednej kości, czem się żywią, gdzie mieszkały! Cuda!! I do tegoż to doszliście z tak wielką pracą, do znajomości szkieletów?

To mówiąc, Asmodeusz roześmiał się i pożegnał don Kleofasa do jutra.

Omelno 9 listopada 1837 r.

D) Włościanie (r. 1839).

Jest to ustęp z pracy: »Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy« (Wilno 1840 r. 2 tomy), podany tu według przedruku w Zbiorze drobniejszych prac i utworów Krasz. wydanych w X częściach przez Piotra Chmielowskiego. Mieści się w części IX w zbiorze »Zarysów społecznych«, str. 140 i nast.

885) Stan dawny włościan w prowincyach rusko litewskich wymownie odmalowany znajdziemy, gdy mowa o buntach ukraińskich, w Grądzkim, w Twardowskiego Wojnie domowej, a nawet w Beauplanie trochę. Autor dzieła O reformacyi obyczajów polskich także o uciemiężeniu wielkiem włościan na Rusi pisze[1]): »Z przodków naszych poczyniono było na sejmach statuta, aby poddani tak duchownych jako i świeckich panów nie rabiali jedno dzień w tydzień. I któryby swój uczynek przyprawił, tedy od tego pana wszystka wieś wystać mogła, a do inszego pana się przeprowadzić. Skąd się pokazuje, że to od Rzeczypospolitej zależy, abyśmy nie jako niewolnikom poddanym naszym rozkazowali, ale jako pomocnikom robót naszych — przetoż wielka tego jest potrzeba, aby Rzeczpospolita w to wejrzała przykładem inszych narodów, aby panowie poddanych swoich, jak się im podoba, nie zabijali, nie łupili, z majętności ich, co mają, ani im gruntów, które sobie naprawią, nie odejmowali, ani ich też gwałtownemi robociznami obciążali, jako bydło nieme, ale się z nimi jako z ludźmi po ludzku obchodzili etc.«

Dalej nawet obcych krajów przykład stawiąc, ten mądry reformator radzi się, zamiast pańszczyzny, czynszami ograniczyć.

Niesłychany był bowiem ucisk na Rusi od panów, który po części sprowadził, a przynajmniej wiele dopomógł Chmielnickiemu do tego strasznego buntu, który tyle krwi kosztował. Coraz przybywająca ilość danin, czynszów, opłat różnych, wkrótce połączona z ciężarem stacyi żołnierskich, stała się prawie niepodobną do zniesienia. Od rodzących się dzieci, od żeniących się wymagano po dydku — dziś jeszcze na Polesiu i Wołyniu utrzymał się zwyczaj noszenia darów do dworu, jako kury czarnej, płótna, kaszy, wódki, placka, czerwonego pasa i t. d.

Lecz opłaty pieniężne i inne daniny, mimo zakazu synodów dyecezalnych, po większej części wówczas arendowali żydzi i wyciskali je srogo z biednych włościan. Oni też także ciężko rzezią Chmielnickiego ukarani zostali, i kto wie, czy ich nie więcej niż chrześcijan nie zginęło. Historyk Żyd, rzezi świa-

[1]) Edycya 2-ga str. 140, 141.

dek, ileż to tysięcy liczy zabitych! Autor Reformacyi o tych arendach także wspomina[1]). »W Rusi zasie wszystkie arendy Żydom w ręce podawszy, uprzywilejowane wolności niektórym złamano, powołoszczyzny coroczne (które przedtem w dziesięć lat jeno, potem w siedm, zaś w pięć, we trzy znowu, aż nakoniec co rok wybierać poczęto) ustanowiono, na swoją potrzebę domową nikomu piwa, gorzałki i miodu robić nie dozwolono, od łowienia lisów, ryb, ptactwa i zwierza dzikiego dziesięciny powymyślano, grunty i folwarki odejmowano, i dobrze, że już ze skóry ubogich ludzi nie łupiono«.

Takie nadużycia i w Polesiu wołyńskiem trwały, a niektóre trwają jeszcze, oprócz bowiem zwykłej trzydniowej pańszczyzny, oprócz mnóstwa daremszczyzn do wyrobieniu lnu, konopi, ogrodów, do bielenia i czyszczenia budowli etc., daniny grzybów, jagód, miodu, chmielu, orzechów nawet, osypy żyta i owsa (którym początek w Inflantach Hilzen dość nieprawdopodobny przypisuje) — pobierają czynsze pieniężne.

Jest-że podobna, aby na małym kawałku pola siedząc, wydołał temu wszystkiemu wieśniak i pobogaciał? A dodajmy uwagę, że dziedzice sami, rządzący dobrami, wcale się jeszcze nie ograniczają starym zwyczajem, lecz bezkarnie nadużywają, wymagając darmo transportów i różnych usług. Zaiste sprawiedliwość być powinna wszędzie, i nie wiem, jak pogodzić oświatę, o którą się staramy, ze zdzierstwem nieludzkiem, widnem prawie wszędzie.

Mianowicie niepodobna się nie oburzać na tych, którzy zawsze potrzebni pieniędzy przez nierząd, najmują swoich ludzi Żydom do transportów wodą, lub dalekich robót, nic im za to nie strącając, rzadko nawet opłacając za to podatki.

Powtarzam, kto czyta po francusku, gra w wista, lubi literaturę i myśli, że na tem dosyć, aby zyskać imię ucywilizowanego człowieka, człowieka dobrze wychowanego, dobrego tonu i towarzystwa, ten nie rozumie, co to jest ten progres, który ciągle mając na ustach, sądzi, że on przyjdzie sam, bez żadnych ofiar.

Mimo tego chłop poleski nie jest w nędzy zupełnej, raczej

[1]) Ed. 2-ga str. 100.

z przywyknienia niż niedostatku życie jego mizerne, ubiór niechędogi, chata brudna, jadło grube. Ku Wołyniowi już przynajmniej nieco lepiej jedzą, gdzieindziej zaś lepiej piją, a tam, gdzie ten nałóg jest dziedzicznym, nędza idzie w ślad za nim. Któż temu winien, jeśli nie panowie, na co trzymać Żydów, co ich rozpajają?

Obyczaje ich pospolicie łagodne, po pijanemu się tylko czasem pobiją. Żyją skromnie, a zepsucie w kobietach tu takie same symptomata okazuje, jakie postrzegał jeden nowy podróżny w Szwecyi — jest ono raczej skutkiem obojętności, niż jakichkolwiek innych przyczyn, z temperamentu lub głębokiego zwichnienia zasad pochodzących.

Przywiązanie macierzyńskie, małżeńskie, najlepiej się wydaje w nieszczęściu. Posłuchaj, gdy kogo biorą w rekruty! Co za płacz, jaka rozpacz, jakie jęki! Najdziwniej, że w tych uroczystych chwilach żałoby kobiety zamiast mówić i płakać, ciągle płaczliwie śpiewają, jakby mimowoli. Idąc za wozem biednego wygnańca, ocierają łzy i jednostajnie smutnym śpiewem prowadzą go aż do miasteczka. Wejrzawszy głębiej w przyczyny łez i żalu, ujrzysz w nim zapewne powody materyalne; lecz czegóż więcej żądać można od tak nieoświeconego, od tak biednego ludu? Oni, żeniąc się, na nic nie patrzą, tylko żeby przyszła ich była dobrą gospodynią i z zamożnej chaty; a czy flasza wódki związana będzie czerwoną wstążeczką, czy nie — to niewiele ich obchodzi. Ceremonie weselne tyle już razy opisane, są tu, z małemi odmianami, podobne innym prowincyi ruskich — swaty, zapoiny, postrzyżyny i t. d. Kobiety zamężne gdzieniegdzie noszą na codzień chustki białe, tak samo jak dziewki, różnią ich tylko wiszące u dziewcząt z pod chustki długie czarne warkocze. W niedzielę do cerkwi kładną uroczyste namiotki.

Ubiór w większej części Polesia składa się z białosiwej sukmany z kieszeniami, butów lub łapci, koszuli zapiętej guzikiem błyszczącym, pasa, fartucha i kawałka sukna kolorowego, w pasy tkanego, wiszącego z przodu i zowiącego się n a w i s k a.

Lecz tak mało mają względu na wytworność ubioru, że gdy im białego sukna nie wystarcza, kobiety i mężczyźni do-

kładają sztuki brunatne do odzienia, nie patrząc, gdzie przypadną, i często najśmieszniej wyglądają w świcie do pół czarnej, pół siwej. Na szyi kobiet wisi medalik lub krzyż mosiężny i kilka sznurów paciorek. Dalej na Wołyniu, Ukrainie, noszą kobiety plisowane korale i medale złote, ale tam też lud ma się daleko lepiej.

Rzadko na Polesiu widziałem golone głowy, często zato długie brody.

Czapka ich bywa z sukna, nakształt dawnej tak zwanej konfederatki, obszyta kolorowymi sznurkami, czasem barankowa na zimę. Mało kapeluszów słomianych. Nieodzowną część stroju Poleszuka składa pas skórzany nabity guzami mosiężnymi. Od niego wisi kalitka, a w niej zawsze znajdziesz hubkę, krzesiwo, krzemień i kilka groszy (jeśli są, starannie w węzełku zwiniętych). Tuż na rzemyku, w pochewce skórzanej wisi spory nóż i zaraz blizko kawał żelaznego drutu do przetykania fajki. Bez tych esencyonalnych przyborów nie ruszy się za próg chaty Poleszuk. Bez ognia i fajki żyć on nie może. Wszędzie, gdziekolwiek co robi w polu, zapala ogień niedaleko, a fajki krótciuchnej, zielonej, polewanej, z ust nie wypuszcza. Tytuń mu ciągle w niej gaśnie, a on go bez końca zapala. Kobiety nawet stare widziałem nieraz pod piecem z fajkami w ustach. Zapach tego narkotyku z niczem się nie da porównać i bardzo jest przykry niezwykłym. Nosi go Poleszuk w papuży [1]) i w potrzebie tylko nożem tyle, ile potrzeba do fajki, nakrawa.

Chłop poleski najczęściej starym zwyczajem przed panem na twarz upada, wita go Sława Bohu, albo Pomagaj Bih (Pomagaj Boże!) Milczący jest, ale uprzejmy dla obcych, zaczepiony chętnie gawędzi, gdy tylko o panach i biedzie mowa. O biedzie swojej dzień i nocby gadał.

Prosty rozum tych ludzi wcale nie jest do pogardzenia, niekiedy pod pozornem głupstwem ukrywa się przebiegłość niepospolita. Rzadko tańcują, częściej śpiewają, taniec ich pospolity jest rodzajem walca, w którym jedną tylko ręką obejmując tancerkę, para za parą w kółko krąży. Śpiewy ich częściej smutne, czasem są aż nadto wesołe i bezwstydne. Ale jakaż

[1]) Papuża jest to paczka liści tytuniowych.

w nich poezya! Jakie proste a mocne wyrażenia z głębi duszy! znać, że je z serca wyrwały wesele lub smutek, że je śpiewali, nie pisali, rodzili, nie komponowali. Te śpiewy, dzieci tutejszych lasów, malują stan włościan wymownie, lecz ktoby z nich o zepsuciu chciał wnosić i rozpuście, dalekoby ich gorszymi mniemał, niż są w istocie. Oni w tym rodzaju śpiewają więcej, niż robią. Większa część śpiewów ma tylko cztery wiersze, składające wesoły ucinek lub smutne westchnienie. Często mołodyce żalą się, że je zaprzedano, że im lepiej było w chacie u rodziców. Takich żalów nieskończone są waryanty. O! i oni czuć umieją wdzięk młodości, którą prędko potem ciężka praca zabija. Któżby też nie żałował tego złotego wieku, w którym nawet nadziei do szczęścia nie potrzeba, tak człowiek w sobie samym ma dosyć szczęścia, tak rad jest ze wszystkiego!

Że i w Polesiu, mianowicie ku Wołyniowi mają pieśni ludu wielki wdzięk w samej muzyce, temu nikt, kto je słyszał, nie zaprzeczy, kto je słyszał wieczorem cichym, nucone i odbijające się w lesie, rozchodzące się po rosie. Często pastuszek za bydłem gdy czystym głosem śpiewał je z daleka, zatrzymywałem się, aby go dłużej posłuchać, bo było coś tak urocznego w tym śpiewie, że ucho, gdy się już rozbił, jeszcze go długo żądało, a żaden instrument nie mógł go powtórzyć. Trzeba było na to ust pastuszka, gaju, trzody i wieczora, a może i usposobienia w słuchaczu.

Mnóstwo podań krąży tu między ludem, mają one jedno źródło i jeden po większej części wątek z innemi słowiańskiemi; odmiany tylko do miejsc się stosują. Często w nich występują jakieś dziwne zwierzęta, którym za schronienie służyć mają lasy i błota poleskie. Różne rodzaje wężów grają w nich niepospolitą rolę, a ich własności są niezmiernie w tych bajkach pospólstwa przesadzone. Zimą. gdy węża w chacie znajdą, zabić go według nich się nie godzi pod karą wielkiego nieszczęścia, a najwięcej tylko można go wyrzucić. Jest to znak gościnności, gdyż Poleszuk jest niezmiernie gościnny. Do tego stopnia posuwa on przesąd gościnności naprzykład:

Byłem świadkiem pożaru na wsi. Rozgniewany, przelękniony, błagałem i zmuszałem do ratunku, którego wszyscy chowając się, odmawiali. Nie chcieli nawet dawać wiader i haków.

Cóż to było? Oto nie chcieli się ogniowi sprzeciwiać, i przyjmowali go jak gościa, a to tak dalece, że baby powystawiały dzieże chlebne na stołach okrytych obrusami przed chaty — i sól, same zaś z założonemi rękoma patrzały na ogień, stojąc za stołem, jakby mu chciały pokazać, że go chlebem i solą przyjmują. Gdy jednak i to, i ratunek wymuszony z dzieci niewiele pomagał, stara baba czarownica podjęła się zamknąć pożarowi dalszą drogę. Rozebrawszy się do naga i zostawiwszy tylko spódnicę na sobie, z rozpuszczonemi włosami wyszła, mrucząc jakieś zaklęcia, i trzy razy pożar wkoło obiegła. Takim to środkom przypisywali ocalenie, winne przytomnemu ratunkowi naszemu. Chleb i sól w ich oczach przebłagał ogień, dowiódłszy mu gościnne przyjęcie.

Częste pożary na Polesiu z bardzo nieostrożnego obchodzenia się z ogniem pochodzą. Dość powiedzieć, że młócąc w swoich stodołach, nie lękają się zapalać o zmroku łuczywa i nie wypuszczają z ust fajki. A za najpierwszym słuchem o pomorku lub zarazie, przed każdą niemal chatą kurzysko się pali. Oswojeni z ogniem, wcale na to nie zważają.

Wielkie to dla wieśniaka nieszczęście, gdy przyjdzie pomorek na bydło, bo od niego zależy byt chłopa. Jednakże chłop niedość się wywdzięcza bydlęciu; w wielu jeszcze miejscach utrzymał się dotąd barbarzyński zwyczaj popędzania wołów roboczych kijem, zwanym o s n o. Jednakże poczciwe te stworzenia znają dobrze głos i sposób wołania, różny w różnych stronach. W Polesiu wołyńskiem kierują, wołając: w e i, w e i — lub p r u, p r u. Gdzieindziej, jak w Litwie, sposób kierowania zależy od maści.

E) Poezye (1834—1838).

Utwory liryczne.

Ze zbioru poezyi, wydanego r. 1838 w Wilnie (2 tomy).

Podajemy tu liryki, charakteryzujące ówczesne nastroje uczuciowe autora.

1) Dwa słowa.

886) We wszystkich mowach i w języku duszy
Nad wszystkie są dwa słowa,
Jak w kroplach rosy po suszy,
W nich skarb żywota się chowa.

Jak dwie perełki w oceanie życia,
Jak dwie gwiazdki na niebie,
Świecą nam od powicia
Dwa słowa: K o c h a m c i e b i e.

Bóg, kiedy stworzył człowieka
Na ziemi, żeby uwieńczyć go w niebie,
Zabłysła nieśmiertelna ponad nim powieka,
Spojrzał i rzekł: K o c h a m c i e b i e!

Odtąd szczęśliwy na ziemi,
Szczęśliwy tak, jak w niebie,
Kto wyrzekł usty swemi:
K o c h a m c i e b i e!

Szczęśliwy tysiąc razy,
Kto mówione do siebie
Mógł usłyszeć wyrazy:
K o c h a m c i e b i e!

Najszczęśliwszy, kto mówił, słuchał i powtarzał.
Dźwięk ten na jego duszy pamiątkę wyciśnie,
Będzie mu przypomnieniem boleści umarzał,
I w chwili zgonu nieba jutrzenką zabłyśnie.

Szczęśliwy, kto od matki słyszał: K o c h a m c i e b i e!
Szczęśliwy, komu ojciec błogosławił siwy,
Komu k o c h a m powiedział przyjaciel w potrzebie:
Kto słyszał z ust kochanki, nad wszystkich szczęśliwy!

Szczęśliwy! Gdy świat murem stanął między niemi,
Oni, świat łamiąc, lecieli do siebie,
Albo żyć razem, lub nie żyć na ziemi!
I skonać, słysząc, mówiąc: K o c h a m c i e b i e!

Ty, coś w tem życiu łzy tylko wyciskał,
Komu nikt nigdy k o c h a m nie powiedział,
O! choćbyś ziemi wszystką rozkosz zyskał,
Jeszcze o cieniu szczęścia-byś nie wiedział.

Bo nie ma na ziemi i w niebie
Ludzka i aniołów mowa
Dwóch słów nad te dwa słowa:
K o c h a m c i e b i e.

---

2) Czy powróci.

Matuleńku, on nie wróci!
On pojechał w obcą stronę,
On zapomni i porzuci
Biedne dziewczę opuszczone.

Patrzę co wieczór na drogę,
Patrzę na drogę co ranka,
Czemuż zapomnieć nie mogę
Albo zobaczyć kochanka!

Rano jemu zbieram kwiatki,
Wieczór czekam na jagody,
I stoję na progu chatki —
Zawsze sama, tak, jak wprzódy.

W nocy, ledwie pies zaszczeka,
Zrywam się, szukam oczyma,
A serce bije i czeka —
A jego niema i niema!

Może jutro! jutro wschodzi —
Ja znowu biegnę na drogę,
I jutro całe przechodzi —
Doczekać się nie mogę!

O, święty Stróżu Aniele!
Doprowadź go przez bezdroże,
A ja ci w naszym kościele
Wianek i świecę położę.

F) Epika.

Mindows 1843.

Z utworu tego, stanowiącego środkową część wielkiej całości, nazwanej: »Anafielas« podajemy charakterystykę działalności pierwszego władzcy Litwy w okresie historycznym.

XXXVI.

887) Biada tej ziemi, w którą koń Mindowsa
Bieży, za sobą wiodąc ludu tłumy;
Bo kędy czarną powieje on grzywą,
Sypie z niej iskry, i sioła goreją;

Kędy on parsknie, mór nozdrzami bucha,
Ludzie padają, zwierz, rycząc, ucieka —
I pusto, ani ujrzysz w siołach człeka,
Ani bydlęcia w spokojnej zagrodzie,
Ani kłosami wyzłoconych łanów.
Tylko szlakami leżą trupów stosy,
I pędzą stada bydląt, niewolnika;
I słychać pieśni zwycięskiej odgłosy,
Jak się z płaczliwą zwyciężonych miesza.
Mindows na Lublin goni lacką ziemią,
Drewniany zamek oblega płomieniem:
Wpadł, zniszczył, wrócił z łupem i jeńcami.
Daniel Halicki w ślad za nim się goni
I zgliszcza puste obsadza swojemi.
Łupy Mindowsu, Danielowi kraje.
Zaledwie wrócił w nowogrodzki zamek,
Połockie posły czołem biją jemu:
Proszą na wojnę przeciw Smoleńskiemu.
Mindows chorągiew trzechtwarzą rozwija,
Leci na Smoleńsk, pustoszy krainę,
A powróciwszy, zastał Tatar doma.
Więc na Tatary gna z ludem i z granic
Wypchnął najeźdźców i zatrzasnął wrota.
Nie śmie wróg napaść — Mindowsa poznali:
Ręka spoczęła i siły nabrała;
Na kogo wzniesie ją, nie ujdzie cało.
Zaledwie zima pochody strzymała,
Ale wre w sercu żądza niezgaszona,
Pragnie krwi jeszcze; długo wojnę zwlekał,
Bezczynny leżał, na to święto czekał.
Teraz niełatwo zrzuci sztyka z czoła
I do sąsiadów o pokój zawoła.
Wrócił na zamek, spojrzał po świetlicach,
Naprzeciw ojcu wyszło dzieci dwoje,
Same i niema komu wieść za rękę,
Pusto na zamku, pusto! Jeszcze słychać
Pogrzebu wonie; w niewieściej komnacie
Sprzęty jak dawniej rozrzucone leżą;
Kądziel zerwana, krośna niedotkane,
Rąbki niecałkiem kraśną nicią szyte;
Jak gdyby Marti wyszła w sad za rutą,
Jakby za różą wyszła w las zielony,
Jakby ze sługi na łąkę wybiegła,
Lub płócien swoich bielących się strzegła.
Mindows dziesięćkroć do świetlicy wkroczył,
Jak gdyby szukał czegoś, a gdy zoczył

Krośna milczące, kądziele porwane
I rąbki białe, kurzawą zwalane,
Wrócił znów, siedział u ogniska długo,
Wysyłał patrzeć pogody na dworze,
Czy z wojskiem swojem już w pole wyjść może?
A zawsze sługa odpowiadał: »Panie!
Zawieje kręcą śniegami białemi,
Że ani nieba, ani widać ziemi«.
Znowu kunigas usiadał na skórze,
Na ogień patrzył, to po zamku kroczył
I błędnym wzrokiem aż do komnat toczył,
W których królową zdał się widzieć jeszcze.

* * *

Raz wieczór szumiał śnieżystą zawieją,
W ognisku węgle niedogasłe tlały;
Mindows gdzieś myślą uciekł w dawne boje,
Pamięcią wojny znów odbywał swoje.
Gdy w ucho jego pieśń kobieca wleci.
Zerwał się, bieży do świetlicy dzieci
I szybko podniósł ode drzwi zasłonę.
Spojrzał i stanął. Nie postąpił krokiem,
Nie wyrzekł słowa długo. Cóż zobaczył?
Królewską kądziel w ręku białogłowy,
U stóp jej dwoje bawiących się dzieci.
Ona śpiewała. Piosnka tak wesoła
Dawno od zamku ścian się nie odbiła;
Ona śpiewała i w swym śpiewie cała
Kędyś pieśniami w kraj pieśni uciekła.

I Mindows patrzał. Nie Marti to z grobu
Powstała młodszą, bo nie Marti lice;
Twarz jej weselsza, ognistsze źrenice.
I głos nie Marti królowej, a przecie
Inna, a tamtej podobna; tak kwiaty
Jednej są barwy, woni, choć ich lica
Niejedne obu, — Zamężna? dziewica?
Kto ona? — myślał i postąpi ku niej.
Naówczas z ławy zerwie się kobieta,
Uciekać pocznie. On goni i pyta:
— Ktoś ty? odpowiedz. Nie służebna moja?
Nie z dworu mego, obca, znać ze stroju,
Ruskie to szaty. Ktoś ty i skąd tutaj?
Klękła kobieta i, podniósłszy oczy,
Mówić mu zacznie: — Przebacz, kunigasie!

Jam siostra Marti cioteczna, na pogrzeb
Zjechałam tutaj, bo nie było komu
Książęcej żonie płakać na pogrzebie;
Przybyłam, żal mi było sierot rzucić
I od dnia do dnia odkładam powrócić.
A tam mąż czeka i gniewa się może!
Jutro stąd jadę, dziś wieczór ostatni
Chciałam się z dziećmi mej siostry nacieszyć.

— Pocóż od sierot, rzekł Mindows, się śpieszyć?
Czy na książęcym zamku źle wam może?
Małe wam izby, niewygodne łoże?
Lub sług wam mało, nudno samej jednej? —

— O, nie! nie źle mi, lecz nudno za swymi,
Doumond sam został i nie wojny pora,
On u ogniska siedzi, niema komu
Pieśnią lub słowem dum rozerwać smutnych,
— Doumond, rzekł Mindows z szyderskim uśmiechem,
Znajdzie pociechę, zapomni o stracie;
Wam, gdy tu dobrze, zostańcie przy bracie. —
I siadł u ognia, skazał Doumondowej
Kądziel rzuconą i piosnkę przerwaną
Kończyć. Kobieta długo się wzdragała;
Uciekać myśli, jednak nie ucieka
I twarz odwraca, a patrzy z pod oka,
Dąsa się niby, usta w uśmiech stroiąc.
Aż wpół ją porwał Mindows i posadził,
I kazał śpiewać. Ona milczy jeszcze,
Nić długą ciągnie, białą ręką zwija,
To spuści oczy, to wzniesie na niego.
A tak jej wdzięcznie zawstydzonej, gniewnej,
Że Mindows patrzy wciąż na Doumondową,
Zapomniał piosnki i oczy w nią wlepił,
Aż dzieci poczną coś bełkotać do niej,
I ona ku nim rumianą twarz skłoni,
Pieści się z niemi, na kolana bierze,
Włos złoty głaszcze i całuje w czoło.
Kunigas patrzy: — Trzeba dzieciom matki,
Trzeba mnie żony: niech im matką będzie,
A dla mnie żoną. — Wstał, po izbie kroczy.
— Zostaniesz tutaj, rzekł jej; do Doumonda
Gońca ślę jutro, by ciebie nie czekał.
Wyszedł i zaraz szlakiem ruskim bieży
Spudo z podarki w książęcą stolicę.
Nazajutrz księżna topi we łzach lice:

— Pozwól mi jechać, do swoich powrócić! —
Mindows się śmieje; — Alboż ci źle ze mną?
Pozostań tutaj Dziś w nocy duch Marti
Nad łożem mojem ukazał się biały
I mówił do mnie, bym cię wziął za żonę!
A jak duch kazał, ja zrobię, na bogi! —

Za dwa dni księżnie łezka znowu z oczu
Wytrysła biała, i prosi Mindowsa;
— Puść mnie do męża, odpuść mnie do domu;
Po moich smutno i mąż mnie przeklina.
— Mąż cię zapomniał i wziął sobie drugą;
Tyś moją, Marti duch cię mnie poślubił.
Niech Doumond milczy, bo włość mu najadę.
A dnia trzeciego księżna jeszcze prosi,
Ale tak cicho, że słów jej nie słychać.
Kunigas nic już na prośby nie mówi.
Lecz przyszedł wieczór; on u nóg jej siedzi,
Ona go pieśnią litewską kołysze;
A rano ledwie z kobiecej świetlicy
Wychodzącego widzą domownicy.

Już dnia czwartego milczy Doumondowa,
Nie prosi wracać do męża i domu,
A na jej czole niema kropli sromu.
W drogich bursztynów sznury się ubrała,
Perłami włosy złote posplatała,
Kraśnemi szaty piersi osłoniła
I śpiewa, w oknie stojąc, jak jaskółki,
Kiedy do gniazda na wiosnę przylecą.

A dnia piątego Mindows na Doumonda
Wspomniał, i ona usta mu zatuli,
Śpiewać zaczęła, zagłuszyła słowa
I zaśpiewała: — Jam nie Doumondowa:
Kunigas wielki zaślubił mnie sobie,
Dał sznury pereł i bursztynu sznury,
Dał szaty złote i szaty z purpury;
Do ubogiego grodu nie powrócę,
Pana mojego na wieki nie rzucę.

Aż dnia szóstego goniec z Rusi śpieszy;
O Doumondowej mąż wieści się pyta:
Kiedy mu wróci; dawno po pogrzebie,
Czegóż się bawi w nowogrodzkim zamku?
Gońca ode wrót odegnali słudzy;

A ona stała w okienku wesoła
I złote włosy czesała, śpiewając;
Gońca widziała, jakby nie widziała,
Perły nizała i piosnkę śpiewała.

G) Dramat.

Miód Kasztelański (r. 1860).
Komedya.

Na tle życia ziemiańskiego epoki saskiej kreśli dosadnie autor typ szlachcica-pieczeniarza, Jacka Sołoduchę. Postać ta jest główną sprężyną akcyi i najwydatniej też została narysowaną. Podajemy tu charakterystyczne sceny.

AKT III. — SCENA II.

Rotmistrz — Jacek.

888) Jacek. Kochanego rotmistrza! dzień dobry!

Rotmistrz. Dzień dobry ci, panie Jacku! Witasz mnie, jakbyś się stęsknił.

Jacek. Mamy tedy gości...

Rotmistrz *(udając zakłopotanego)*. Szkuta się rozbiła, prawda? Dla was i dla siostry to rzecz niewielce przyjemna i kłopotliwa, i kosztu niemało!

Jacek. Mówicie świętą prawdę! Ale wy sami...

Rotmistrz. Jam nic nie winien. Gdybyśmy Niemcowej gościny odmówili, krajbyśmy zhańbili *(poufnie)*. Przytem ona bardzo dobrze u dworu położona, w sekrecie ci powiem, sam król kochał się w niej półtora dnia podobno.

Jacek. Jak na Sasa, to nawet długo.

Rotmistrz. Dziwowali się też i zazdrościli, że go tak przetrzymała! Ale zobaczycie, to kobieta dobra, niezawadna, przylepka! Nie widzieliście jej jeszcze?

Jacek. Nie miałem szczęścia.

Rotmistrz. Młoda, śliczna, krew z mlekiem, trochę zalotna. *(Jacek spluwa)*.

Rotmistrz. Nie brzydź się, rybeńko złota; ty, widzę, jesteś

jak mój stary ogar, co byle sztukę mięsa na stół podali, zaraz ślini. Przekonasz się, że wdówka miła i warta grzechu, a bogata!

Jacek. Bogata! bardzo?

Rotmistrz. Mówią, że u niej w zamku Bamberlink, w Saksonii, gdy przyszło robić inwentarz po śmierci męża, dukaty korcem mierzyli i było ich (koniuszy mi się przysięgał) trzydzieści sześć korcy, ćwierci trzy, garncy pięć, kwart dwie i pół, a kamieni drogich pełna izba! Pomimo to taka sobie prosta, dobroduszna, że powiada, iż nie pójdzie tylko za takiego, coby nic nie miał, choćby jej bez koszuli wziąć go przyszło. Prawda, że nieboszczyk ją katował.

Jacek *(kiwa głową)*. A na tym to się ona chce odegrać?

Rotmistrz. Łagodna jak baranek, dziwnej dobroci...

Jacek. I dziwna historya!

Rotmistrz. Bardzo dziwna! Dała sobie słowo nie iść, tylko za ubogiego, to jeszcze nic; ale mi sto razy powtarzała, ona i jej koniuszy, że młodego nie chce, pięknego nie żąda mężczyzny, byle człek cichy, potulny, a rządny, stateczny i bogobojny. Widać jej o to chodzi, żeby majątek utrzymała.

Jacek. No, toć sobie łatwo wyszuka, bo gołych na świecie przepaść.

Rotmistrz. Jednakże zważ, że dotąd przebiera, przebiera i dobrać sobie nie może. Są ludzie, którzy lubią ulęgałki: i ona mówi, że lubi bladych, podstarzałych, zawiędłych.

Jacek. Osobliwsza kobieta! gdyby nie Niemka, tobym nie wierzył.

Rotmistrz. Chce przytem, aby jej przyszły był obyczajów skromnych, pobożny, cichy: a to nie tak łatwo się znajdzie.

Jacek. Dobrzeby zrobiła, żeby go sobie, nie tracąc u nas czasu, szukała gdzieindziej i peregrynowała dalej, a nie zasiadła, uchowaj Boże! na dłużej.

Rotmistrz. To prawda, ja sam się tego boję.

Jacek. I kłopot i koszt niemały!

Rotmistrz *(wzdychając, z udanym smutkiem)*. Kłopot zwłaszcza dla Basi, której to życie jej spokojne zamąci.

Jacek. Święte słowa, rotmistrzu!

Rotmistrz. Chociaż się one pogodzą.

Jacek. Wątpię.

Rotmistrz. Niema, jak różne charaktery, najpewniej do siebie przystaną: ot, naprzykład my z waćpanem.

Jacek. To prawda; ale pani cześnikowa?

Rotmistrz. Zbyt dobra, żeby się na księżnej nie poznała. Zresztą, powiem ci, że gdyby się był król dowiedział, że ona tu w miasteczku chora leżała, a nikt jej nie prosił, okolicęby całą Sasi zjedli.

Jacek. Być może, ale oni nas i tak nadkąsują!

Rotmistrz. Lepiejże księżnę niż rajtaryę przyjmować.

Jacek. Może, chociaż kto wie! Przecież, rotmistrzu, przez miłość dla siostry postarajcie się ją co rychlej wyprawić, nie wstrzymujcie, nie zabawiajcie, nie wymyślajcie, jeśli mi wolno uczynić uwagę.

Rotmistrz. Tobie wolno czynić uwagi, a nam ich nie słuchać! Ale żart na bok, ja sam jestem tej chęci, chciałbym sobie spocząć z wami, pogawędzić, powzdychać, a to kłopot niepotrzebny... Ale cyt, czekaj, idą tu obie, przypatrzże się jej, nie uciekaj... *(przytrzymuje go).*

SCENA III.

Ciż — Basia — Księżna.

Księżna *(wchodząc).* Jakżem wdzięczna panu rotmistrzowi Kaniowie, że mi tu u was spocząć doradził i gościnę u was wyprosił. Odetchnąwszy tą ciszą i spokojem, tak się czuję lepiej, tak lepiej... że, gdyby skrzypki, poszłabym tańcować.

Jacek *(na stronie).* Ona nigdy chyba nie chorowała, wygląda jak jabłko.

Basia. Niewymownie mnie to cieszy...

Rotmistrz *(z ukłonem).* Siostra moja najszczęśliwsza, że dom jej przypadł do smaku waszej książęcej mości *(na stronie cicho).* Patrzno pani na tego trutnia, oto tu stoi.

Księżna *(tak samo).* Widzę go... *(głośno).* Boję się, żebym

waćpaństwu nie przyczyniła kłopotu, ale tak mi tu dobrze!

Basia. Kłopotu! żadnego niema!!

Rotmistrz *(z ukłonem)*. Jest tylko satysfakcya i wdzięczność...

Jacek *(na stronie)*. Na cóż ją tak bardzo za poły trzymają!

Księżna. A! tak tu miło odpocząć na wsi po długiej, nużącej podróży. *(spogląda ku panu Jackowi, pytając półgłosem rotmistrza)*. Któż jest ten pan, tak pięknych i wyrazistych rysów twarzy?

Rotmistrz. Godny i zacny — *(do Sołoduchy)* chodź waćpan tu bliżej, — przyjaciel domu, jegomość pan Jacek Sołoducha, pisarzowiczowicz oszmiański...

(Jacek się kłania).

Księżna. Imię waćpana przypomina mi młodość moją: u nas jadają sołoduchę! Był też u książąt Ostrogskich jeden tego imienia, pewnie krewny jego?..

Jacek *(mocno zmieszany)*. Nie wiem, mam wielką obfitość krewnych... pieczętujemy się kółkiem nakształt obwarzanka...

Księżna. Ci sami! niezawodnie... Rysy mi nawet przypominają... ale o tem zamilczę...

(Jacek się kłania).

Rotmistrz *(poważnie)*. Nad pana Jacka nie mamy lepszego przyjaciela, ani znam godniejszego człowieka; głowa, serce *(cicho)* ręce... nogi... *(kończy mruczeniem, które uchodzi za pochwałę)*.

Jacek *(kłania się)*. Panie rotmistrzu!

Rotmistrz. Wstrzymuję się, aby cię nie rumienić, ale dodać muszę, że to jest egzemplarz poświęcenia przyjacielskiego. Wystaw sobie, księżno dobrodziejko, że on tu w domu dziesięć razy jeden: marszałek, komisarz, adwokat, doradca, kasyer, koniuszy, łowczy, i ręczę, gdyby go poprosić... pokojeby zamiatał!

Jacek *(zmieszany)*. Ale przestańże, waćpan, panie rotmistrzu!

Rotmistrz. Ja, jak się rozpędzę, nadzwyczaj mi trudno się wstrzymać.

Basia. Dziękuję ci, bracie; byłam pewną, że mu oddasz sprawiedliwość.

Księżna. Drogi to dar taki przyjaciel domu! taki doradzca i dobrodziej; a! gdy pomyślę, jak trudno podobnego znaleźć na świecie, zazdroszczę panu!

Basia *(żywo)*. A poznawszy go bliżej...

Jacek *(do rotmistrza)*. Wcale przyjemna...

Rotmistrz *(do Jacka cicho)*. Mówiłem ci, anioł kobieta... Zobaczysz, jak się lepiej poznacie *(podchodzi do siostry, rozmawia chwilę i uprowadza ją powoli na prawo)*.

SCENA IV.

Księżna *na kanapie*, Sołoducha *stoi*.

Księżna *(długo patrzy na niego...* Jacek *spuszcza oczy i składa ręce pokornie)*. To osobliwsza rzecz, jak mi rysy waćpana kogoś... kogoś przypominają.

Jacek *(powoli z ukłonem)*. Za wielkie to sobie poczytuję szczęście, że mam honor przypominać kogoś waszej książęcej mości!

Księżna. A! i bardzo! Był to człowiek przyjemny wielce, za którego miałam początkowo iść za mąż *(wzdycha)*, ale zmarł młodo, a ja...

Jacek *(prostując się, na stronie)*. A nie wódź nas na pokuszenie! Osobliwsza kobieta!

Księżna *(do siebie, ale głośno)*. Nadzwyczajne podobieństwo! postawa, twarz, głos, ruch... A! jak miłe we mnie obudzają sentymenta.

Jacek *(na stronie)*. Co ja tu pocznę?

Księżna *(wzdychając)*. Przybliż-że się, panie pisarzewiczu, i chciej na chwilkę przysiąść koło mnie: tu, bliżej *(wskazuje mu krzesło)*.

(Jacek kłania się, miesza, próbuje z kolei trzech krzesełek, coraz bliższych, i wkońcu siada).

Księżna. To był bardzo miły młody człowiek, i pięć lat tak po nim płakałam, żem na rok potem wzrok straciła... ale poszedłszy za mąż, odzyskałam.

Jacek *(skromnie)*. Prawdziwie, wasza książęca mość napełniasz mnie konfuzyą: gdzieżbym ja do tak dystyngowanego kawalera miał być podobnym.

Księżna *(smutnie)*. Przepraszam, jeżeli zanadto wydam mu się szczerą, to wada moja... a w tej chwili wspomnienie lat młodych, sentyment! W naszym biednym stanie wdowim mało jest chwil weselszych; każdą się chwyta skwapliwie. Pozwól mi waćpan na siebie popatrzeć.

Jacek *(spuszcza oczy — chwila milczenia — na stronie)*. Ot, tom wpadł w jamę!

Księżna. Nie byłeś waćpan żonaty nigdy?

Jacek *(żywo)*. Niech Bóg broni, jako żywo, mościa księżno!

Księżna. To szkoda, mogłabym zaręczyć, że waćpan będziesz bardzo dobrym mężem...

Jacek. Nie miałem wcale powołania.

Księżna. Widać, żeś waćpan nigdy w życiu nie trafił na osobę, którąby mu się podobała.

Jacek. Broniłem się pokusom wszelkim.

Księżna. Dziwna rzecz, że kobiety dozwoliły waćpanu pozostać tak i nie starały się serce jego pozyskać. Wydziwić się temu nie mogę, tak miły i pełen przymiotów człowiek!

Jacek *(kłania się)*. Wasza książęca mość zbyt jesteś łaskawą!

Księżna. Bez pochlebstwa, waćpan mi się tak podobasz... ale to tak, że bardzobym go bliżej poznać sobie życzyła.

Jacek. Za prawdziwy to sobie mam zaszczyt *(na stronie)*. Jeszcze mi się nic też podobnego w życiu nie trafiło *(głośno)*. Wasza książęca mość napełniasz mnie, niegodnego sługę swego, wstydem: gdzieby tak mizerne jak ja stworzenie, miało zwrócić wejrzenie dostojne waszej książęcej mości.

Księżna. Na świecie *(wzdycha)* dziwne bo się trafiają sympatye... osobliwsze od pierwszego wejrzenia pociągi... Znam naprzykład Kanclerzynę.

Jacek. Kanclerzynę!

Księżna. Kanclerzynę Kurtenbach, Saksonkę, prawda, która, ujrzawszy na ulicy garbatego jednego, jak się potem po-

kazało, lokaja, tak się w nim rozmiłowała, że za niego poszła.

Jacek. Istotnie, dziwna to była sympatya.

Księżna. Waćpan przecie nie jesteś garbaty i nie lokaj... dlaczegożbyś się podobać nie miał... A waćpan nie czujesz też ku mnie sympatyi?

Jacek *(przestraszony)*. Ja! o! mościa księżno! *(na stronie)*. Czy oszalała? *(głośno)*. Gdyby nawet tak było, nie śmiałbym!

Księżna. To przyjdzie później, bo tego rodzaju sympatye są zawsze wzajemne.

Jacek *(na stronie)*. Choć uciekać.

Księżna. Waćpan masz familię?

Jacek. Nikogo na świecie: jestem zupełnym sierotą.

Księżna. Doprawdy? to bardzo przyjemnie nie mieć krewnych; prawdziwie, jeszcze mi się waćpan przez to bardziej podobasz.

Jacek. Ale familia, z której pochodzę, szlachecka.

Księżna. I nie wątpię, że starożytna...

Jacek. Pierwszy Sołoducha przybył na Litwę z Palemonem i fundował miasto Sołoduchówkę, w późniejszych czasach przezwane Oszmianą; mamy to w papierach...

Księżna. Z fizyognomii znać dystyngowany ród waćpana... Ostatni z rodu! prawdziwie, nie uwierzysz pan, jak mnie to cieszy!

Jacek. Jakto? żem ostatni?

Księżna. Nie, ale żeś sam jeden; doświadczyłam na sobie, że najlepiej jest nie mieć familii: człowiek swobodny, jak ptak.

Jacek *(sentencyonalnie)*. A cały ród ludzki składa jedną wielką familię.

Księżna. Z wyjątkiem szalbierzów i trutniów.

Jacek. Naturalnie.

Księżna. Jakże się waćpanu wiodło w życiu? byłeś szczęśliwy?

Jacek *(wzdychając)*. Nie pochwalę się tem: los mnie prześladował.

Księżna *(smutno)*. Jak zawsze, sprawiedliwych nęka: to i w Piśmie Świętem stoi.

Jacek. Pierwszy to dom, w którym nieco spokoju zażyć mi się udało.

Księżna. Zawsze wkońcu Bóg nagradza... Waćpan tu zajmujesz się?...

Jacek *(żywo)*. Wszystkiem generalnie i każdą rzeczą, która do mnie należy i nie należy, poszczególnie; pracować lubię, mościa księżno, i, prawdę rzekłszy, umiem.

Księżna. Nie ciężko tu waćpanu?

Jacek *(pokornie)*. W życiu ludzkiem trzeba umieć i ciężary dźwigać.

Księżna. Cóż to za szczęście tej wdowy, że sobie tak skutecznego przyjaciela znalazła; to dar Boży taki przyjaciel.

Jacek. Wasza książęca mość znowu zawstydzasz pokornego sługę; rad jestem, że za kawał chleba mogę ludziom być użytecznym...

Księżna. Wysoka bezinteresowność! wszystkie cnoty! Nie mówże waćpan więcej, abyś mojej nie obudził zazdrości.

Jacek *(na stronie)*. Jaka przyjemna kobieta! Ktoby się domyślił, że niemiecka księżna! ani znaku!... Dalipan, to specyał taka wdowa!

Księżna. Ale może waćpan nudzisz się ze mną, a tu nas opuszczono we dwoje, czemum ja bardzo rada, bo milszego nie mogłam sobie dobrać towarzystwa. Jest tu ogród, panie Jacku?

Jacek. Stary, szpalerowy.

Księżna. Możebyśmy się po nim przeszli; chciałabym obszerniej z panem pomówić i poradzić się o administracyę mojego księstwa...

Jacek *(zmieszany)*. Po ogrodzie? sami? my?... to jest... ja bardzo chętnie, ale czy to będzie przyzwoitem dla waszej książęcej mości?

Księżna *(śmiejąc się)*. Dla mnie? dla mnie wszystko jest przyzwoite, co ja chcę, a nieprzyzwoity, ktoby mi śmiał zaprzeczyć postąpić według mej woli. Chcę użyć powietrza: daj mi rękę i pójdziemy do ogrodu.

Jacek *(na stronie)*. Herod baba, ale bardzo przyjemna! Jakie

oczy! *(głośno)*. Służę waszej książęcej mości *(na stronie)*. Jednak, jak mnie tak z nią zobaczą?!

(Wychodzą. Grześ wchodzi drzwiami drugiemi i patrzy długo za nimi).

SCENA V.

Grześ *(sam, zamyślony)*. Sasafras! sasafras! niepojęte dziwy! Wzięli się pod ręce i poszli do ogrodu. Księżna! piękna to jakaś księżna, daj go katu! kiedy zaraz ten specyalik tak jej przypadł do smaku, że go sobie przywłaszczyła! Swój swojego wszędzie dopyta. Ależ winszuję dobrego gustu, chyba to dlatego, że Niemka, to jej się ten śledź holenderski tak podobał. A! gdyby go też ze sobą raczyła wziąć do Saksonii, obchodziłbym ten dzień uroczyście całe życie, albobym go zapościł! Ale gdzietam! prędko ona pozna pana Jacka, że z nim zabawa niebezpieczna. Sasafras!

H) Latarnia czarnoksięska (r. 1843).

Jest to szereg luźnie z sobą powiązanych obrazów, w których różne pojawy życia, głównie szlacheckiego, autor z bardzo pesymistycznym nastrojem maluje. Jest jeden ustęp, poświęcony obrazowi doli ludu: W »historyi Sawki« podniósł Kraszewski głos za uciśnionymi; on streścić nam może wszystkie jego powieści ludowe. Rządca wieśniaków uciska, ekonom jeden za śmiertelne pobicie Denisa został wydalony; przyjęty na miejsce jego młodzik, ubiegający się za dziewczętami i mołodycami. Odtąd rozpoczyna się właściwa historya Sawki, którą podajemy.

889) Sawka dorastał i jemu już zaczynało chodzić po głowie o ożenieniu, i przed cerkwią w niedziele i święta stawał a przeglądał przechodzące dziewczęta. Czuł, że mu lubo było choć popatrzeć na krasawice... I wabił je uśmieszkiem, i zaczepiał słowami, i chwytał, nadybawszy sam na sam, po chłopsku całując przemocą.

A we snach marzyło mu się nieraz o jakiejś dziewczynie, której nigdy nie widział, wysokiej, silnej, rumianej, wesołej, z którą szedł do cerkwi... I marzyło mu się szumne wesele.

Aż się powyuczał piosnek, żeby ulżyć sobie, i śpiewał je, za pługiem idąc, za radłem, za broną; a w niedzielę odpoczynku to szukał oczyma tej pięknej dziewczyny, która mu się raz wraz we śnie marzyła. Było ich wiele pięknych na wsi, ale takiej nie było. I niebardzo go piekło w serce, że nie znalazł tej, której szukał; za pracą, za niedostatkiem, nie było czasu myśleć bardzo o dziewczętach. Jednakże coraz a coraz częściej snuły mu się po głowie i przed oczyma. Co ich dawniej nie widział prawie, to teraz spotykał wszędzie.

Jednego razu, a był to prażnik we wsi, Sawka z dwoma innymi, nahulawszy się do wieczora w karczmie, — do której żydek przemyślny, aby oderwać od kanonu, sprowadził niekosztowną muzyczkę, — wyjrzawszy, że mrok pada, wyjeżdżał na nocleg. Pozbierali swoje konie i, śpiewając wesoło, aż się pieśń daleko po rosie rozchodziła, w piękną noc księżycową wyjeżdżali w las, na dolinę. A choć im było tęskno swoich porzucać na hulance, jednakże jechały chłopaki, bo konięta głodne prosiły się na paszę, a nazajutrz trzeba było jechać z transportem do Uściługa, gdyż hrabia zażądał pieniędzy od p. rządcy, a p. rządca, nie czekając sanny, odstawiał zboże, przedane Żydom.

Jak wyjechali chłopcy w pole, a potem ku lasowi, porzuciwszy za sobą gwarliwą i śpiewającą a napitą wioskę, która się jeszcze ruszała, jak we dnie; gdy ich dobiegły śpiewy młodyc i brzęk cymbałów, żal się hulanki zrobiło... I jeden do drugiego mówili: — Niechajby konie za sianem przeszłorocznem tę noc postały. Ale wyjechali, to i jechali dalej w las.

Na zielonej dolinie, otoczonej brzozami i dębami, pozsiadali z koni, popętali je, wykrzesali ognia i rozłożyli sobie suszy. Tu, gdy się konie pasą, parobcy gadają i śmieją się, a Sawka z nimi.

— Taki bo, co żal — to, żal praźniku — rzekł jeden.

— Ech — dodał drugi — my tu, a tam moja Maryna z kozakiem dworskim hasa!

— Dałbyś jej pokój — zaśmiał się Sawka — ona z ciebie drwi, jej kozaczy seledec zajechał w głowę, a o tobie ani myśli. Jeszcze kozak, psia wiara, gra na teorbanie, ta i śpiewa, to jak jej zacznie różne tam swoje pieśni dudlić, dziewczysko

samo nie wie, jak do niego za pieśniami lgnie. Tak tu wszystkie dziewczęta.

— Nu, nu, a taki będzie moja — rzekł pierwszy.

— Tem ci gorzej — przerwał Sawka — bo ty jemu, nie sobie, weźmiesz żonę.

— A no, zobaczymy!

I pomilkli. Po chwili ozwał się drugi:

— Jak nie żałować, ta to jeden prażnik w roku!...

I słyszeli (bo nieopodal to było ode wsi) śpiewy dalekie i wykrzyki pijanych.

— Nie wytrzymam — krzyknął, zrywając się, pierwszy — mnie się zdaje, że ja słyszę kozaczy głos!

— A to wracaj na wieś!

— Tak i będzie — odpowiedział parobek — jednego konia zostawię, a drugiego wezmę i pojadę...

— Właśnie my tu twojego będziemy pilnować...

— Dam porcyę...

— To co innego.

— A chcesz, Sawka, drugiej porcyi — rzekł drugi — popilnuj i moich, a ja wrócę także.

— Niechaj tak będzie... a jak mnie wilcy z końmi zjedzą...

— Ej, teraz wilki niestraszne...

I, rozśmiawszy się, parobcy na konie i nazad do wsi. Sawka w lesie został sam jeden. Przyrzucił gałęzi na ogień, ukrążał tytuniu do fajki, położył się i dumał sobie... Wiatr szeleszczał w dąbrowie, sowy hukały... kiedy niekiedy rżały konie, trzeszczała susz w ognisku, a wśród nocnego milczenia, przerywanego tylko temi głosy lasu i ognia, zdaleka słychać było prażnik sielski, jak śpiewał, jak hukał, jak szumiał.

Trzy drogi szły mimo doliny, na której Sawka pozostał: jedna w las, druga do Hrehorowa, trzecia do Biesiadek, poza krzakami, między dąbrową a łąką... I temi dwoma wracający goście z prażniku przechodzili raz-wraz i śpiewali mu, aż chłopcu te śpiewy do serca dojmowały, bo sam jeden noclegował, gdy wszyscy hulali.

Jeszcze kiedy pijany głos starej kumy lub opilca dziada przerwał ciszę nocną, to Sawka, podniósłszy tylko głowy, po-

słuchał i pokiwał nią. Ale kiedy zaleciała do niego piosenka miłosna, z kaliną, z zuzulą, z tęsknotą za miłym gołąbkiem, ze łzami, z rucianym wiankiem, nucona głosem mołodycy lub dziewczyny, której biała chustka migała w oddaleniu, to mu tak serce biło, tak się wyrywało, żeby był oddał, co miał, do ostatniej świty, aby tam pohulać z niemi, posłuchać śpiewu i popatrzeć w czarne oczy. Ale dalej, dalej, rzadsze były głosy wracających, znać, ci, co mieli wracać, przeszli, a reszta nocowała we wsi, u krewnych, kumów, swatów, lub pod ławą u arendarza... I Sawka drzemać począł, a ogień gasnąć.

Nagle krzyk go doleciał, krzyk przeraźliwy. Porwał się... ucichło. I znowu bliżej ten sam krzyk... krzyk kobiety... Sawka kija wyłamał i na nogi... Stoi, czeka. Trzeci raz, wyraźniejszy, okropniejszy, tuż poza krzakami dał się słyszeć ten sam głos bez wyrazów, wołający pomocy.

Sawka wybiegł na drogę.

Księżyc świecił nad ługami, na których biała para się unosiła... Między ługiem a dąbrową szła drożyna górą; na drożynie postrzegł Sawka dwa cienie, migające i zbliżające się ku niemu. Jeden biały, czarny drugi. Szybko leciała dziewczyna, szybko ją gonił mężczyzna. I poznał Sawka, że to nie był parobek, bo się za nim, jak jaskółce ogon, dwie cienkie poły sukna zwijały i czarnemi, cienkiemi nogami dybał, jak żóraw. A dziewczyna w białej chustce na głowie, z rozpuszczonym na wiatr fartuchem, podniesionemi rękoma, biegła, biegła... I coraz bliżej był mężczyzna, coraz okropniej krzyczała kobieta. Sawka stał w krzaku ukryty, a serce mu biło silniej, niż na piosenkę, i ściskał kij w ręku, że go mało nie zgruchotał...

Prawie przed samym już Sawką dognał mężczyzna kobietę, pochwycił za fartuch silnie i zatrzymał, wołając:

— Taki-bo nie ujdziesz... latawico!

A dziewczyna, wyrywając się, krzyczała i wołała to matki, której nie było, to ojca, to braci, jak szalona.

— Puszczaj, puszczaj! — krzyknęła.

— O! teraz ty moja — zawył mężczyzna.

A Sawce krew pobiegła do głowy i wyleciał z krzaka z pałką, a z tyłu zabiegłszy, gruchnął w łeb jegomości; ten w chwili puściwszy kobietę, zaczął krzyczeć sam pod razami

kija, którym go, nie żałując ręki, obrabiał Sawka. Dziewczyna podbiegła kilka kroków, stanęła i patrzała w milczeniu... a dognany nie bronił się, tylko prosił, w ręce całował i płakał.

Sawka go poznał, ale poznawszy ekonoma, do którego miał żal niejeden, jeszcze lepiej, raz rozpocząwszy, okładał. Wkrótce też Sawkę ekonom, wypraszający się, rozpoznał także, i jął mu grozić. Ale chłopak śmiał się... Wreszcie puścił biedaka ochłostanego i kazał mu wracać do wsi. Gdy się to dzieje, dziewczyna stoi w milczeniu i patrzy.

— Skąd ty? — pyta jej Sawka — nie nasza?

— Z Hrehorowa.

— Jak tobie imię?

— Naścia.

— A czego ty sama?

— On mnie od karczmy pognał w pole, a z pola ja uciekła aż tu, a tam matka została się i swoi. Teraz strach do domu powracać i do nas, bo on gdzie przydybie na drodze.

— Ja ciebie odprowadzę.

— Bądź łaskaw... A ty skąd? — dodała dziewczyna.

— Tutejszy...

I tak mile w uszach parobka dźwięczał głos dziewczyny, że, zabywszy o koniach w dolinie, poszedł z nią aż do wsi. A idąc do wsi, przypatrzył się jej dobrze, i naśmiał się wesoło i nażartował. I czy to, że nią była, czy że mu się tak przydało, wszystko mu się zdało, że to była ta sama, którą widywał we śnie, choć jej nigdy nie widział; tylko młodsza, cieńsza... Bo Naścia miała ledwie lat piętnaście, smukła, jak brzoza, czarnooka, rumiana, tak była piękna, jak jaka pani! I gdybyś jej twarz włożył na białe ramiona pańskie, nie powstydziłyby się jej żadne, i takie miała czarne oczy, takie usta maleńkie, taki nosek cieniuchny, takie kosy długie i miękkie.

Już byli blizko wsi, a jeszcze Sawce wracać się nie chciało. Aż spotkali rodziców, którzy jej, płacząc, szukali, bo była jedynaczka i bardzo ukochana u nich. Z początku ojciec wpadł na nią i na Sawkę, ale gdy ten opowiedział wszystko, a dziewczyna, przypomniawszy strach, zawodzić zaczęła, tuląc się do matki, to dziękowali mu serdecznie, że dziecko od złego czło-

wieka wybawił, i ojciec prosił Sawkę na miarkę. Ale on odmówił, bał się o konie swoje i zaraz wrócił do nich.

Nieraz się jeszcze obejrzał za piękną Naścią, poskrobał w głowę, myśląc o ekonomie, nim przybył na dolinę. Na dolinie ogień wygasł, że ledwie kilka węgli zostało. Rozdmuchał go parobek, niespokojny, bo koni nie widać było, i myślał, że je najrzy, jak ognia rozpali. Ale próżno dmuchał i dokładał, oświeciła się cała dolina, koni nie widać, niema.

Nie żarty.. Sawka w gąszcz, po śladach, przez łomy... I tam ślady, i tu ślady, nie wiedzieć, gdzie iść; świeżo nałamane gałęzie, udeptana ziemia, i pęta porwane leżą na murawie.

Widocznie byli tu złodzieje!... Ale jak gonić za nimi? za czem?... Sawka, rozmyśliwszy się, pobiegł do wsi... zastał jeszcze hulankę w karczmie, krzyknął do swoich, pochwytali konie i rozbiegli się na wszystkie strony za zgubą.

Cały następujący dzień spędzili w pogoni za złodziejami; napróżno rozpytywali się po drogach, po wsiach, po karczmach Żydów i chłopów, nikt im o koniach nie umiał nic powiedzieć. Widać złodzieje poprowadzili je manowcami, lasami do granicy, może za granicę. Dowiedział się Sawka, że nazajutrz jarmark w miasteczku o trzy mile i, nie wracając do wsi, pognał ze swoimi na jarmark. Pochowali się po karczmach i poglądali na konie, ale napróżno. Nigdzie swoich się nie dopatrzyli, ani się o nich dowiedzieli...

Wieczorem już powracać mieli do wsi, kiedy znajomy gospodarz z Hrehorowa nadbiegł, oznajmiając o koniach. Prowadził je Żyd pocztowym traktem... Chłopcy siedli na szkapy i dalej za nim. Dognali w karczmie i porwali za swoje, poznawszy. Żyd rwąc pejsy na głowie, przysięgał i brał na świadki wracających z nim z jarmarku, że kupił te konie u nieznajomego chłopa; nic to nie pomogło. Chciano jeszcze wiązać Żyda, i rudowłosy, nie dopominając się już zabranych koni, umknął, że go znaleźć nie było można. Nie chodziło już naszym o złodzieja, odzyskawszy swoje; nie tracąc więc czasu, popędzili nazad do wsi i dobrze już zmierzchło, kiedy do niej wrócili, bo Sawka wstępował do Hrehorowa, do Naścinej chaty, opowiadać swoją biedę, i wypił z ojcem kieliszek.

Zaledwie Sawka na próg chaty stąpił, sotnik przyszedł wołać go do dworu.

— Oj, bieda będzie — rzekł sobie w duchu i zaczął szeptać z ojcem.

Ojciec pokiwał głową, niespokojny.

— I nie byłeś na tłoce — dodał — ale staw się tylko śmiało, a nic nie uważaj. Powiedz, żeś jeździł za końmi, co były kradzione.

Poszedł Sawka z sotnikiem, a raczej na folwark, gdzie go niespokojny ekonom czekał. Poznał on był Sawkę w nocy i czuł jeszcze na grzbiecie razy jego kija, przysiągł mścić się bez litości. Nie wytrzymał nawet do białego dnia i kazał sprowadzić Sawkę, jak tylko wróci.

Posłuszny sotnik spełnił rozkaz natychmiast. Ekonom, blady, chodził po izbie; gdy mu znać dano, że przyprowadzono Sawkę, porwał za kańczug, wiszący nad stołem, i wybiegł do sieni.

— Stróża, stróża! — zawołał — trzymać tego łotra, ja go nauczę hulać po prażniku i nie chodzić, kiedy nakazują, na pańszczyznę. Ja go nauczę łotra!

Sawka się skłonił nizko.

— Weźcie go, weźcie go! — krzyczał ekonom.

— A za co? — spytał Sawka.

— Jeszcze ty mnie będziesz pytał... łotrze! — krzyczał rozżarty — albo to nie wiesz, że cię nie było na pańszczyźnie!

— Bo jeździłem za pokradzionymi końmi...

— Dam ja tobie pokradzione konie... weźcie go!...

— Posłuchajcie — odezwał się Sawka, postępując śmiało ku niemu.

— A znacie wy, co się stało z Denysem Pylipiukiem i z ekonomem, co go pobił? Kiedy nie wiecie, popytajcie ludzi... Klnę się na Boga i na Matkę Bożą, bodajem tak ojca zdrowego zobaczył, jak mnie tkniecie ręką, umrę z poboju, i będzie to z wami, co było z tamtym...

Ekonom się zastanowił, ludzie pokiwali głowami, poglądając na siebie, sotnik aż się w głowę podrapał.

Wtem, na krzyk głośny Sawki, nadszedł przechadzający

się po dziedzińcu pan komisarz, a rozpytawszy się, o co szło, kazał puścić Sawkę, który go w rękę pocałował.

— Jeszcze z tobą nie koniec! — rzekł ekonom, wchodząc do izby — nie daruję ja ci swego, kiedy żyw będę.

I niedarmo się odgrażał: nikogo tak nie pilnował, nikomu tak nie dokuczył, jak Sawce. Sawka milczał i cierpiał, a pilnował się tylko, aby się nie dać złapać na winie.

Zeszło tak pół roku. Jednego wieczora zimowego rozeszła się nagle po wsi pogłoska, że rekrutów brać mają... Sawka, ledwie mu o tem poszepnęli, gotował się uciekać: pewny był, że go to nie minie, jeśli się da schwytać. Jak tylko kozak dworski pana rządcy oznajmił na wsi, że słyszał o tem u stołu, kto żył młody a pokaźny we wsi, popędził w las; pochowali się po cudzych wioskach, na strychach, w stodołach. Sawka, wziąwszy sakwy, pożegnawszy ojca i chorą, leżącą w łóżku matkę, także w drogę ruszył; ledwie próg przestąpił, posłyszał za sobą głos ekonoma, sotnika i dziesiętników; przeżegnawszy się więc, przypadł pod płotem, a gdy jedni otaczali chatę, drudzy szli wewnątrz, podczołgnął się w ogród, z ogrodu w pole, polem zbiegł do lasu. Szczęściem czerniało pole i stopniał śnieg od deszczu, nie postrzeżono go, jak uciekał. Nie bawiąc, Sawka lasem popędził do Hrehorowa, wprost do Naścinej chaty. Noc była, kiedy do niej zapukał; wszystko spało, tylko czujny kogut piał na poddaszu i podowrotnik burczał na przyźbie, w kłębek zwinięty. Głos z wewnątrz spytał wkrótce: — kto? — i przeze drzwi stary jął rozpytywać Sawkę.

— Nie wiem, czy pamiętacie, ja to, com wam dziewkę ocalił na prażniku... przyszedłem was prosić o pomoc. U nas rekrutów biorą, ekonom ma na mnie ząb, żem go wówczas obił, szukają mnie wszędzie, dajcie się gdzie przytulić.

Stary drzwi otworzył i skrobał się w głowę, nakładając świtę.

— Kiedy u was biorą, to i u nas brać będą, trzeba o tem po wsi oznajmić... A taki i wam dać rady... Ot, postójcie no tu, tylko babę obudzę, a was zaprowadzę do kłoni, co pod lasem, tam przesiedzicie strach w sianie, a my wam jeść dostarczym.

To mówiąc, stary powlókł się do chaty, obudził żonę, wziął

pas, nadział buty, pochwycił czapkę i wkrótce manowcami przeprowadził Sawkę do swojej stodoły.

Sawce dobrze było, ale nudno bez roboty siedzieć i kryć się, jak złemu człowiekowi; a wyleźć nie mógł, bo go wszędzie szukali i do Hrehorowa już dwa razy na zwiady posyłali sotnika, napróżno... Ekonom bowiem, nie przestając na tem, obiecał nagrodę temu, kto Sawkę dostawi, a zawsze się znajdzie pochlebnik i chciwiec, łasy nagrody i łaski. Biegali więc zausznicy ekonomscy dzień i noc za Sawką, że się z stodoły wychylić nie mógł. Całą pociechą było mu, że czasami widywał Naścię, do której odrazu serce jego przylgnęło. Ona mu jeść ukradkiem przynosiła i, siadłszy we wrotach stodoły, rozmawiała z biednym o swoich i jego biedach. On patrzał na nią i pożerał oczyma... a tak jej było kraśno w białej sukmance, czerwonym pasie, z rozpuszczonemi kosami! I kiedy na niego spojrzała, to mu się zdało, że okiem szła do głębi duszy i patrzyła do jego myśli.

Tak w kilka dni spoufalili się z sobą. Czasem on z nią siadał we wrotach, i obejmował ją wpół, i całował, choć się broniła i kraśniała, i obiecywał jej przysłać swaty, jak tylko burza minie i do chaty powróci.

— Gdzietam, gdzietam! — mówiła mu na to po cichu dziewczyna, — wy tak sobie ze mnie szydzicie, a jak powrócicie do swoich, to łatwo wam będzie zapomnieć o Naści.

— Oj, nie zapomnę — mówił Sawka — póki życia stanie, prędzejbym o ojcu rodzonym zapomniał, niż o tobie, gołąbko moja. Prędzejbym zapomniał o sobie...

A dziewczyna chowała oczy, to odpychała Sawkę, to uciekała od niego.

I Sawce coraz mniej nudno było w stodole, bo Naścia coraz częściej przychodziła do niego. Potrafiła ona przed matką i ojcem ukryć swoje wycieczki, a czasem taki i oni ją wysyłali. A kiedy brat młodszy iść miał z chlebem dla Sawki, to wyprosiła Naścia u niego, że gdzieindziej poszedł, i sama biegła.

Tak minęło kilka tygodni, nareszcie i rekrutów ze wsi do miasta powieźli, i czas było powracać do domu. Ojciec kilka razy nakazywał już przez ludzi, aby Sawka powracał, że nie ma się czego obawiać. A Sawce już było ciężko pomyśleć, że

Naści nie zobaczy, i ona taki teraz, jak się zgadało o rozstaniu, wyraźnie smutniała i mówiła:

— Oj, taki wy o mnie zapomnicie... czy to ja jedna na świecie! A ja, młoda, tutaj napróżno za wami patrzeć będę, napróżno waszych swatów wyglądać.

Sawka klął się i bożył, że aby tylko do domu powrócił, uprosi ojca i przyśle swaty. Jemu tylko było w głowie, czy stary Naścin pozwoli.

— A co o to, to głowy nie łamcie — rzekła dziewczyna — ja w tem, że was przyjmą...

I jednego wieczora wybrał się Sawka do wsi, bo mówili, że pewnie już wszystkich rekrutów zdano. Smutno mu było tę pustą porzucać stodołę, ale cóż robić... Obejrzał się, westchnął i ruszył żwawo ku wsi.

Stary siedział przed chatą i patrzał, jak dzieci bawiły się w śnieżki na ulicy. Widziałeś kiedy nasze chłopskie dzieci, boso, w koszulkach, w półświtkach, bez czapek, z rozpuszczonemi włosy, czerwone, zdrowe, kraśne, hulające po śniegu? One, zdaje się, urodziły się w śniegu, tak im w nim ciepło, wygodnie, dobrze. A starym miło na sercu patrzeć na dzieci — przypominają sobie lata młode, kiedy nad nimi ołowianem jarzmem nie ciężyła konieczność pracy bezustannej; lata młode, jedyne w życiu człowieka, a najswobodniejsze w życiu wieśniaka. Potem on, zaprzężony do pługa, wlecze się przez życie i, prócz kilku chwil szału, nie ma spoczynku, wytchnienia... Nawet w tych chwilach pamięć na jutro, strach kary, zatruwają mu szczęście, kupione bezrozumem. Na starość, zgrzybiałą starość dopiero, wraca do dziecinnego spokoju, siwy starzec z białą brodą. Ale bezsilny, jeszcze niańczy dzieci, jeszcze pilnuje chaty, jeszcze się wlecze za trzodą i, nawykły do pracy, obejść się bez niej nie może, a nielitościwi pędzą go do niej, póki się nie położy na ławie pod piecem, pod którym się urodził, aby nie wstać więcej. I te chwile starości sąż to chwile odpoczynku? spokoju? O, nie! dzieci nie mają litości, bo ich życie litować się nie nauczyło, nie znają uszanowania, bo strachem rządzeni, nie pojmują tego uczucia... biedny starzec posługuje swym dzieciom, a często oblewa łzami kawałek chleba, który mu z wymówką podają... O! bo naszemu chłopkowi po kilku latach swawoli dzie-

cinnej, ciężkie życie; i nie dziwcie się, gdy widzicie, jak się spokojnie kładnie na śmierć, jak zimno żegna swoich, jak obojętnie mówi:

— Już mnie dziś umrzeć.

Nie dziwcie się, śmierć im wesoła, śmierć im to spoczynek pod brzozą, na zielonym cmentarzu, spoczynek, za którym wzdychają, bo go nie mieli w życiu całem.

Sawka zbliżył się do starego ojca Naści i, jak uczciwość kazała, zdjął czapkę i zbliżył się, sięgając po rękę, aby ją ucałować.

— Bóg wam zapłać za chleb wasz i za pomoc waszą — rzekł — dziękuję wam za wszystko, bo czas iść do swoich. Nie zapominajcie o Sawce, jak wam będzie czego potrzeba... Sawka dla was na wszystko gotów...

— Niema za co dziękować — odpowiedział stary — niechaj was Bóg prowadzi; daj, Boże, w dobrem zdrowiu się zobaczyć... A nie zapominajcie też o nas... kiedy wam będzie droga przez Hrehorów, nawiedźcie naszą chatę, a przynieście nam dobre wieści od naszych kumów, od Fedora, od Uścimi, od Wuwdi, od starego Hryćka Bondaruka.

Tak mówił stary, gdy Naścia wyszła z chaty i, postrzegłszy Sawkę, skinęła na niego. Sawka jej się pokłonił, stary na nich spojrzał.

— Oj, coś się oni bardzo mają — rzekł do siebie.

A Sawka już, kłaniając się, odszedł był daleko i śpiesznie dążył do swoich. Jak zobaczył, schodząc z góry, wioskę, i rozpoznał chatę swoją, ogród, starą gruszę na ogrodzie i cerkiew z zielonym dachem, to mu serce silnie zabiło i czegoś ścisnęło, aż mimowolnie westchnął. Nie wiedzieć dlaczego nastraszył się dymu, który czarnemi kłębami walił z komina, nastraszył ludzi, którzy biegali po wsi i w blizkości chaty gromadzili się. Po chwili dojrzał, bliżej podszedłszy, rozwiniętych cerkiewnych chorągwi w ulicy i poznał postępujący pogrzebowy pochód ku mogiłkom.

Pośpieszył. U Wisznic, wychodzących na łan skarbowy, spotkał bractwo z krzyżem, świecami, chorągwiami, popa w czarnej kapie i wóz, który dwie pary wołów ciągnęły. Sawka rzucił się ku trumnie; poznał ojcowskie woły, ujrzał ojca, płaczą-

cego, za wozem. Poczepiane za koła, za drabiny wozu, za trumnę, krewne, stare kobiety, tuląc twarze w fartuchy, zawodziły smutnym płaczem.

Sawka trafił na pogrzeb matki; płacząc, poszedł za trumną na cmentarz.

O! biednemu wieśniakowi nawet dołu głębokiego nie wykopią... ziemia zmarzła, poskrobana niegłęboko, gotowa była na przyjęcie trumny, zbitej z osikowych opólków... Pop pobłogosławił, kobiety jeszcze zapłakały, zaryczały, zawołały na zmarłą, i wszystko się skończyło, bo ledwie z powrotem, pić zaczęto i smutek zalewać. Późno w noc Sawka, rad nie rad, częstował w chacie, w której teraz pozostali tylko on i ojciec; ojciec złamany pracą, smutny i powtarzający co chwila:

— I na mnie już kolej przyszła, niedługo i mnie te woły powiozą.

I) Listy literackie (r. 1846).

O celu powieści.

Podajemy tu pomieszczony naprzód w »Ateneum« z r. 1847, a następnie w zbiorze p. t. »Studya literackie« list I. Występuje tu poeta-powieściopisarz przeciw tendencyjności w powieści, dopuszczając jedynie bezświadome odbicie przenikających wrażliwą duszę autora wielkich pytań społecznych.

890) Od niejakiego czasu każda wychodząca na świat powieść witana bywa od krytyków pytaniem o cel. To pytanie, powtórzone kilkakrotnie, dało nam do myślenia; nie żebyśmy uznawali jego słuszność, lecz że zdaje się nam, iż sama krytyka z celu powieści, jaki być może i powinien, niedokładnie sprawę sobie zdaje.

Minęły te czasy, kiedy powieści były prostą zabawką dla pisarzy i zabawką tylko czytelników. Dzisiejszy wzrost w potęgę romansu i powieści, wycieczki jego za granice dawniej ściśle obwarowane, uczyniły wymagania celu poważnego słusznemi i usprawiedliwiają poniekąd natarczywe domagania się krytyków.

Lecz są tacy, a do ich liczby najznakomitszych włączyć potrzeba, co chcieliby powieść, utwór przedewszystkiem artystyczny z natury swej i artystyczny cel mający przed wszystkimi, uczynić sługą myśli socyalnych, politycznych przekonań, wyrobnicą filozofii popularnej i t. p. Tu już zgodzić się na ich żądania nie możemy, i odtrącić musimy rodzaj niewoli, w który nas zaprządz usiłują. Zastanówmy się więc obszerniej nieco nad powieścią, abyśmy okazali, jaki cel przystał jej i o ile artysta obcy sztuce cel przyjąć może, nie narażając się na urodzenie potworu.

Nie pamiętam, który pisarz francuski powiedział, że czytając niejedną powieść, usiłującą mu coś dowieść, pytać musiał, dokończywszy zawsze, albo: »Co to dowodzi?« albo: »Kto tego dowodzi?«.

W istocie powieść, ściśle biorąc, nic dowieść nie może nad to, że autor tak lub inaczej myślał. Jest ona i będzie zawsze wyrazem indywidualnego przekonania, które odziane w szaty opowiadania, o sankcyą zawartej w sobie prawdy uciekać się musi do ogółu. Nie mówię, żeby pewien rodzaj logiki w osnuciu wypadków powieści nie miał egzystować i nie mógł czynić wrażenia na czytelniku; lecz ostatecznie, któż sobie nie powie: Dlaczego tak koniecznie być miało? Los tak wielką gra rolę w powieści, która zaprząta się w osnowie swej nietylko myślą celową, ale artystycznymi względy, że wypadki, które mają być poparciem zdania, często wyglądają, jak proste skutki trafu.

Cel więc powieści nie może leżeć w tej treści, która dowolnie ułożona, nic nie dowodzi, przy najlepszych chęciach stawi tylko słabą powagę imaginacyi, na której wiadomo, jak mało opierać się można. Gdzież cel będzie? Oto w wyrobieniu, w szczegółach, w obrazach. Zdania dogmatyczne, rzucane choćby z pewnym ciągiem w powieści, nie robią także wielkiego skutku na czytelnikach. Jakkolwiek powtarzać się mogą w coraz nowej formie i rozwijać mniej więcej logicznie, pisarz nie może argumentacyi i dyalektyce poświęcić kart, których cel naturalny, pierwszy leży w przemawianiu do serca i wyobraźni.

Więcej niż zdania powinny tu działać obrazy.

Rozumowane prawdy wcielić się muszą, oblec szaty cie-

lesne i z całą artystyczną ozdobą, odblaskiem wystąpić przed czytelnikiem.

Celem więc powieści nie argumentacya, ale przemawianie do uczucia, które ma zrodzić myśl w czytelniku i wzbudzić wzruszenie w nim, które każe myśleć i zastanawiać się.

To najpierwsza prawda i pewnik, któremu nikt zdaje się zaprzeczyć nie może.

Jakkolwiek obszerne są dziś ramy romansu i powieści, jakkolwiek daleko sięgają dziś pisarze tych utworów, nie mogą się przecie wyrzec tego, co stanowi treść i naturę tego rodzaju płodów: nie mogą najprzód nie starać się o formę artystyczną, o zadośćuczynienie warunkom sztuki.

Zadanie więc celu w powieści sprowadza się do zagadnienia prostego: czy cel artystyczny powieści zgodzić się i iść może w parze z celem utylitarnym? Tu fakty starczą za odpowiedź, i w literaturze romansu mnóstwo jest utworów dawnych i nowych, które warunkom obu odpowiadają. Owszem, powieść bez celu wydaje się jako igraszka, jako coś nieożywionego, martwego, po którego przeczytaniu czczość w sobie czujemy. Prostego wypadku opowiadanie, obraz najlepszy, najdobitniejszy, tak dalece nam nie wystarcza, że zamykając książkę, pytamy niechybnie z Francuzem owym: »Co to dowodzi?« Ale równie często przychodzi nam też spytać: »Czy to dowiedzione?«

Przemawiając do uczucia, jakeśmy wyżej powiedzieli, powieść najprzód z uczuciem napisaną być powinna.

Cel więc najsurowszy przejść powinien w pisarzu do stanu uczucia i w czyn (powieść) dopiero się wcielić.

Powieść, której na chłodno cel obmyślany, która chłodno wyrozumowaną została i dla pewnych powodów rachunkowo, że tak powiem, opatrzoną, prawie zawsze na nic się nie zdała.

Cel nie w myśli narzuconej z góry, nie w nadanem przez kogoś zdaniu, ale w sercu pisarza być powinien. Kto sądzi, że cel nadać sobie można, przyjąć od kogoś i z nim zlepić jakieś tam wypadki, podwatować powieść — grubo się myli. Cel winien jako krew płynąć w całej powieści i ożywiać ją niewidoczny; powinien najdrobniejsze naczynia jej wypełniać, drgać w każdym jej ruchu, a nigdzie, chyba w rumieńcu uczucia, nie

wychodzić na jaw. Gdzie ta krew rozlewa się i płynie, jak z rany rozciętego ciała, pisarz wstręt wzbudza i odpycha.

Tymczasem w większej części nowych celowych powieści cel jest tak widocznie superfetacyą, narością, nie naturą jej, że ich doczytać nie można. Zarzucić to możemy dwom ostatnim, a zwłaszcza ostatniemu romansowi pana E. Sue.

Usiąść do pisania powieści, zapowiadając sobie: naznaczę cel taki lub taki, niedosyć. Tym celem wprzód żyć potrzeba przejąć się, uczuć go, zanim on w czyn przejdzie. Z rozumowania i rozumu wprost wynikający utwór będzie chłodny i kaleka. Wyobraźnia bujna będzie niepohamowana, wbrew celowi częstokroć, wymykać się z pod kontroli rozmysłu i psuć, co obmyślano najstaranniej.

Kawałki poklejone powieści wyglądać będą, jak klejonka rozbita i zlepiona.

Krytyka więc nie powinna się odzywać do pisarzy: miejcie cel w powieściach swoich, nadajcie go sobie, ale raczej: myślcie, doskonalcie się, wyróbcie w sobie uczucie, wiekowi i czasom właściwe, bądźcie sami wprzód tem, czem chcecie, żeby była powieść wasza; żyjcie tem, czem drugich karmić myślicie.

Narzucać rozumowaniem cel jest to, gdzieby wartość artystyczna przynajmniej być mogła, kompromitować ją nawet. Jak dalece utylitarny cel, który nie przeszedł w uczucie w pisarzu, szkodliwym być może części artystycznej powieści, dowodzić obszerniej nie myślimy. Co chwila wstrzymywany, to naglony celem tym, obok niego, nie w nim stojącym, artysta już nie na sztuki warunki, ale na obce im wcale warunki użyteczności zważać będzie. Stąd, co obrazem posilnym być miało, stanie się szkicem tylko; co szkicem być miało, rozleje się na blady obraz; stąd czynność (akcya) rozprzęże się częstemi argumentacyami i dogmatycznymi ustępy, będącymi najdobitniejszym dowodem bezsilności pisarza. Bo rozumowanie w powieści celowej jest jak owe papieru wstęgi z ust starych malowanych postaci wychodzące, z napisami: św. Piotr, św. Katarzyna; rozumowanie, nie dowierzając obrazowi, podpisuje pod nim jego znaczenie. Takich rozumowań pełno jest i pełniej niż gdzieindziej w chybionym i słabym Marcinie p. E. Sue. Wszystko, co

wcielić się nie mogło odrębnym niejako procesem i heterogenialną formą, dodatkowo stawi się przed czytelnikiem.

Nikt nie powie, żeby długie rozdziały rozumowań i gadaniny artystycznej wartości powieści dodawać miały. Tam, gdzie celem niejako, jak często u Richtera bywa, okazać zdaje się, dokąd myśl zalecieć może, jak lot jej niepohamowany i niewyrozumowany, tam gdzie fantazya w pełni swobody szerokiemi wznosi się do góry skrzydły, któż zarzuci cały rozdział poetycznych dywagacyi? Ale gdzie jak w Marcinie, w Żydzie, cel całkiem inny, czemuż niewszystek się wcielił, czemuż suche i połamane reszty myśli, co szat cielesnych nie wdziały, walają się obok poetycznych obrazów? Jak w poezyi liczby, tak w powieści uderzają długie rozumowane ustępy. A one są właśnie skutkiem tego, że autor celem swym nie przejęty, nie żyjąc nim, usnuł go tylko w głowie i przylepił do książki.

Mówiliśmy wyżej, jaki cel niejedna powieść i powiastka nieśmiertelnego Jana Pawła mieć się zdaje; mówmy więc, jakie być mają i mogą cele powieści.

Dzisiaj nadewszystko pod tym wyrazem cel rozumieć poczęto, wyłącznie cel moralny, jak w czasach Marmontela, moralny według wieku naszego i jego potrzeby. Jemu nawet, zdaje mi się, wielu teoretyków, jak A. Cieszkowski, nie wahaliby się poświęcić wszelkich innych, a zwłaszcza celu artystycznego.

Chcieliby oni powieść uczynić posługaczem filozofii i nauki socyalnej nowej, nie zważając na to, że powieść, niewiasta, wprzód piękną i powabną dziewicą, nim matką karmicielką być musi. A nawet w matce jest jeszcze instynkt podobania się, jest niewieści wstyd, jest pewne uczucie piękności, której kobieta wyrazem w stworzeniu.

Powiedzą mi zapewne, że przeszły czasy, gdy powieść była dziewczynką, piękną tylko i zalotną, a wesołą, że czas uczynić ją matką, karmiącą przyszłe pokolenie.

Zgoda, lecz nie czyńcie z niej, proszę, ani kucharki, coby wasze pomyje wylewała na ulicę, ani starej baby, wodzącej dzieci na pasku; możecie ją uczynić tem, lecz kucharka i baba przestanie być wyrazem tego, czego objawem jest kobieta na

ziemi. Będzie to machina do czegoś, nic więcej — odbierzecie jej życie.

Starajcie się raczej natchnąć piękną matkę przyszłych pokoleń myślą, któraby je wyśpiewała, jak Korynna zgromadzonemu ludowi.

O tyle więc cel poważny, cel obcy, cel nieartystyczny przystał powieści, o ile on jej wdzięku, bez którego sobą być przestaje, nie psuje i nie zaciera. A całą tajemnicą, jak powiedzieliśmy wyżej, jest, aby owa dziewica nasza nie rozumowała, ale śpiewała z uczuciem. Ona wzruszyć, a nie argumentować powinna. Myśli tu się urodzić mają z obrazów i uczucia. Nie nakazujcie jej, aby to lub owo mówiła, ale każcie jej wprzód przejąć się żywo tem i wziąć do serca, co ma przed wami wyśpiewać.

Jeśli nie chcecie zostawić ją, jak była wprzódy, swobodnem dziecięciem, co zbiera kwiaty na wieniec po łąkach, nie zmuszajcie jej przynajmniej do prania ścierek i wylewania brudów.

Wzory najdoskonalszych powieści pochodzą z czasów, gdy innego celu nad malowanie świata i człowieka powieść nie miała.

W niezrównanym Don Kichocie Cervantesa cel, który żyje w głębi, myśl poważna, co go zrodziła, tak jest podrzędną na pozór i wcieloną w obrazy, że niełatwo ją nawet odgadnie pospolity czytelnik, którego, dana widoczniej, odraziłaby tylko. Tu owo głębokie aksyoma: »że człowiek szlachetniejszy i większy nad wiek swój i tłumy, śmiesznym tylko będzie i wyśmianym don Kichotem«, zdaje się zrazu nie egzystować. Cóż przecie, jeśli nie to powiedział Cervantes? Pocóż-no mu przypisują cel inny, myśl pospolitą; to jedno wytłumaczyć potrafi nieśmiertelność dzieła i jego sympatyczność dla wszystkich.

Myśl ta, wieczna i prawdziwa dla wszystkich czasów i krajów, tłumaczy nam przyjęcie z zapałem Don Kichota do dziś dnia i wszędzie.

Ale zważmy, jak cel ten doskonale wcielony, jak żaden myśli tej szczątek nie objawia się argumentacyą, gadaniną, jak wszystko tu czynem. Może też autor, sam o tem nie wiedząc, wyraził, z czego sobie sprawy nie zdawał; a ten sposób wcie-

lenia myśli jest rękojmią najlepszą silnego jej objawienia. Najwięksi poeci kwitnęli jako kwiaty, nie znający siebie, swej barwy i woni. Dziś, gdy wszystko wyrozumianem być musi, rozumowanie prawie zabija wszystko, co żyło dawniej. Giniemy od tego, czem wojujemy.

Powieść rozumowana, wyrachowana, obmyślona, jest najczęściej płodem ułomnym, biednym i rachitycznym. Autor, któryby czuł to, co myślał, dalekoby lepiej wyrazić potrafił, o co mu chodziło.

Powieść, jak wszelki utwór ludzki, niczem innem nie jest, jak wyrażeniem myśli. Lecz myśl w powieści winna, jak się wyżej rzekło, wyrazić się dla serca i wyobraźni, to jest uczuciem i obrazem.

Uczucie jest myślą bez samowiedzy o niej. Obraz jest myślą także, wcieloną w materyalne szaty.

Myśl sama się znająca, kierująca sobą, nie wchodzi w zakres powieści. Myśl, co się wie i zna, myśl w pełni, jaka po czynie tylko wyradza się, ostatecznym będąc objawem czynu w terminie ducha, nic już nie ma wspólnego z sercem i wyobraźnią.

Żadna powieść bez myśli, a zatem bez celu być nie może. Lecz są powieści, gdzie tyle jest drobnych myśli, a niema jednej głównej, coby je jak matka tuliła do piersi, że powieść wydaje się bezmyślną dlatego, że w niej regulująca wszystko dusza nie odzywa się. Myśl więc główna, ażeby egzystowała, nieuchronnym jest warunkiem. Żadne dzieło doskonałem być, a nawet być i istnieć właściwie bez głównej myśli, bez jednoczącego zarodu nie może.

Piszą, że Walter-Scott, jak sam zeznawał, siadał i poczynał romanse swoje, nie wiedząc nigdy, jak je skończy. Wątpimy bardzo, żeby to prawdą być miało, ale i w takim razie nawet, miasto myśl główną każdej dać powieści, jedną potężną myślą odtworzenia przeszłości żył we wszystkich swych tworach.

Dla dzisiejszej krytyki cel taki naprzykład, jakiśmy romansom Walter-Scotta naznaczyli, już nie wystarcza. Wymagania, z których krytyka zdać sobie sprawy nie umie lub nie chce, nie ograniczają się więc celem, ale celem pewnego rodzaju.

Gdy więc zarzucają pisarzom, czemu celu im braknie, nie chcą się tylko wyrazić jasno, jakby powinni: że cel już istniejący uważają za niedostateczny dla ożywienia utworu, i nie tego rodzaju, jakby go mieć żądali.

Celem zowie krytyka dzisiejsza nie myśl już jakąkolwiek, ale myśl koniecznie społecznej użyteczności. Cele dzisiejsze powieściopisarzy: odtworzenia przeszłości, teraźniejszości, pewnych charakterów, pewnych położeń towarzyskich, analizy uczucia i t. p. dziś uważają się za małe i niedostateczne.

Na to z krytyką się zgodzić nie możemy, bo ona także tłumaczyć się wymownie i oprzeć przy swojem nie potrafi.

Czy powieść celowi utylitarnemu podołać, a raczej czy odpowiedzieć mu może? Nowe pytanie. Na nie inaczej odpowiedzieć nie można, jak wskazując przyszłość i starając się ją odgadnąć.

Gdy wielkie kwestye socyalne tak zaprzątną ludzkość, że dotkną wszystkiego, czem ona żyje, wpiją się w najtajniejsze duchowego jej bytu narzędzia, zdaje się dzikiem, zdaje się niepojętem, żeby jaka czynność umysłowa za obrębem kwestyi tych w obojętności pozostać miała.

Tak dziś w Niemczech poezyę, tę niepodległą i swobodną panią, uczyniono namiętności i myśli politycznych a socyalnych tłumaczem. Nie powiemy, żeby to poszło na korzyść poezyi. Heine, Freiligrath, Herwegh, będą to dla przyszłości dokumenty historyczne, ale nie poeci, i zimny Goethe wyżej stanie od nich wszystkich. Tak samo w powieści zapewne. Romans utylitarny, romans wojujący ze społeczną teoryą, z namiętnościami politycznemi wieku, ciekawym będzie wyrobem dla wnuków naszych, ale obok Don Kichota, Tristrama Shandy, Gil Blasa nie stanie. Cel czasowy, chwilowy, miejscowy, drobny, maleńki, nie da życia utworom, które, dziś zastosowane, zostaną tylko chwilowe, miejscowe i drobne.

Żyje i żyć będzie Molier, malujący człowieka i ludzkość; żyje i żyć będzie Szekspir, który inną stronę jego pojął i wyraził; Goethe, Schiller, każdy ze swego stanowiska zapatrujący się na wiecznie zagadkową ludzkość; ale tłum pisarzy, co służyli namiętności chwilowej, co wyrazili nie człowieka, tylko indywiduum i indywidualne, czasowe fazy ludzkości, zostanie

tylko dokumentem historycznym do poradzenia się dla badacza dziejów.

Co najwięcej to, że najdobitniej stronę wielką, szlachetną i piękną wieku swego wyrażający pisarze ostoją się, bo w niej ludzkość objawia się cała. Lecz ci, co idee przejścia, idee podrzędne, niejako narzędzia życia wystrugają, zginą razem z użytecznością tych narzędzi.

Cel więc powieści uczuty więcej być powinien, niż wyrozumowany, i pisarz żyć ma wprzód myślą, którą do czynu w utworze swoim przeprowadza. Cel powieści winien być najprzód z natury jej wypływający: estetyczne piękno, potem dopiero utylitarna dążność: a to o tyle, o ile ona się pogodzić potrafi z głównym warunkiem, estetycznem pięknem. Cel obcy pierwszemu, nie dodatkiem, nie przyrością, nie chorobliwą superfetacyą być powinien, ale duszą książki, jej żywotem wewnętrznym.

J) Dwa światy (r. 1856).

(Powieść).

Utwór ten rozwija, często przedstawiany przez Kraszewskiego, stosunek arystokracyi do średniej szlachty, przyczem zepsucie arystokracyi odtwarzane bywa w jaskrawych barwach. »Dwa światy« wyróżniają się korzystnie śród wielu na ten temat powieści starannością opracowania, kompozycyą i ujęciem charakterów. Aleksy Drabicki, z drobno-szlacheckiej rodziny pochodzący, pracowity i szlachetny młodzieniec, nawiązuje w uniwersytecie stosunek przyjazny z Julianem Karlińskim, potomkiem chylącego się do upadku możnego niegdyś rodu. Ratując Karlińskich, zakochawszy się w dumnej siostrze Juliana, sam marnuje swe życie i uzdolnienie. Podajemy tu ustęp, malujący te stosunki.

891) Zerby graniczyły z włością Karlina, wieś ta nawet należała niegdyś podobno do rodziny Karlińskich, ale nabyta przez ubogiego szlachcica, rozdzieliła się na kilka części. Na dwadzieścia kilka chat włościańskich było tu sześciu posiadaczy, a jednym z najuboższych był Aleksy i jego rodzeństwo.

Drabiccy mieli tylko trzech chłopków, piętnaście dusz, mówiąc stylem urzędowym, do tego kawałek pola, po trzydzieści morgów w zmianę, kawał dobrej ogrodowej sianożęci, trochę lasu, jakąś cząstkę we wspólnej arendzie i młynie, i najstarszą sadybę we wsi, ocienioną lipami, otoczoną sadem, wyglądającą wcale poważnie. Na to mienie, tak maluczkie, Aleksy, matka i trzech młodszych braci! A jednak rządny i pracowity nasz chłopak wiódł tak dobrze gospodarstwo, matka ze swej strony tak skąpiła i oszczędzała, że im chleba nie brakło, a co dziwniej, długów, niewypłat skarbowi i zaległości nie znali. Sąsiedzi, bogatsi daleko we włościan i ziemie, zapatrywali się z zazdrością na powodzenie Drabickich, i, nie chcąc się uznać nieudolnymi do zarządu, przypisywali je zawsze szczęśliwym jakimś przypadkom.

Nareszcie zaczęli utrzymywać wszyscy zgodnie, że Aleksy miał najlepszy kawał ziemi, że część jego, przywiązana do starego dworu, w najkorzystniejszem była położeniu, i usiłowali ją nabyć nawet, ale Drabiccy sprzedawać jej nie myśleli. Jeden ze współposiadaczy Zerbów wyprowadził ich z tego błędu: cząstka jego uważała się za najgorszą, nic mu prawie nie przynosiła, a że miał większą posiadłość o mil kilka, puścił ją dzierżawą Aleksemu; ten na niej pogospodarowawszy, zdumionym sąsiadom pokazał, że nietyle stanowi majątek sam, który jest materyałem tylko, co ożywiająca go praca. Pola, odłogiem leżące, rodzić poczęły, szlachcic się połakomił i dzierżawę odebrał; w rok znowu nic nie miał z cząstki i powrócił ją Drabickiemu. Nie chcąc mu przyznać więcej, wszyscy powiedzieli sobie: pan Aleksy ma szczęście! — i tak z tem szczęściem pozostał.

Okupywał je też niezmordowaną, wytrwałą i rozumną pracą: to, co przedsiębrał, robił nie na los i traf, ale z wyrozumowaniem i znajomością rzeczy, nie szczędził siebie, nikim się nie wyręczał, niczem się nie zrażał, nikomu zbić się z tropu nie dawał i, choć mu niejeden zazdrościł, nie miał nieprzyjaciół, bo niechęć nawet życzliwością płacić umiał i nią rozbrajał najzaciętszych.

Stary dwór, w którym mieszkali Drabiccy, położony był na końcu wioski; trzy chatki włościańskie, do niego należące,

stały tuż przez ulicę tylko. Obszerny sad i wygodne, choć nieco podupadłe otaczały go zabudowania. Aleksemu nie stało na nowe, ale jakie miał, podtrzymywać umiał. Sam dom był w istocie budową może stuletnią, ale w początku postawiony z dobrego drzewa, mocno i starannie, trzymał się jeszcze, powoli osiadając w ziemię.

Wysoki dach, ganek o czterech słupach, długie a wązkie okna, poważną, staroświecką nadawały mu fizyognomię, a otaczające go drzewa osłaniały zewsząd od natrętnych oczu. Przed nim obszerny dosyć, ze studnią najlepszą we wsi dziedziniec, oficynka, stajnie, loch i czego do gospodarstwa potrzeba; wszędzie płoty porządne, drzewa niepouszkadzane i nigdzie smutnych zwiastunów ruiny, rumowisk, gruzów i łomów. Znać było wszędzie rękę, co ładu pilnowała... ale zato nigdzie starania o wdzięk, o zabawę oka, bo na to czasu nie było w Zerbach. Koryta na środku podwórka przy studni dla trzody, sznury z bielizną od starej lipy do żórawia, na płotach hładysze i garnki, w ganku zapomniane neculki i ceberki... wrota staroświeckie, słomianym pokryte daszkiem, sam dwór poszyty snopkami, choć dawniej miał dach gontowy... na przeciwku dosyć szyb powybijanych i powstawianych nieforemnie. Flamandzki pejzażysta byłby sobie upodobał ten dziedzińczyk z mnóstwem malowniczych szczegółów, ugrupowanych szczęśliwie, ożywiony w ciągu dnia drobiem, chlewnią, bydłem i końmi, osłoniony zewsząd drzewy i dzikimi kwiaty; ale przywykły do wytworności człowiek ze świata innego, ze świata zabawy i spoczynku, odwróciłby się ze wstrętem od gwarliwej tej zagrody, na którą trudno było zajechać większym powozem i stadem koni.

Aleksy, zbliżając się do dworu, wysiadł z bryczki i wstąpił do chaty Tywona, dowiedzieć się, co w polu robią; tymczasem Parfen pobiegł do stajni, bo mu pilno było do dworu, a jak tylko konie zobaczyła w dziedzińcu pani Drabicka, wybiegła się dowiedzieć o syna, o którego już była niespokojną. Za nią wyskoczyli chłopcy i służące, i z ganku ozwały się głosy niecierpliwe:

— A gdzie panicz? a gdzie Aleksy?

Prawie w tej samej chwili gospodarz, nie zastawszy Tywona w domu, wbiegł w bramę i sam się ukazał na dziedzińcu.

Naówczas i bracia, i matka, i stary Kurta, wyszli wszyscy przeciwko niemu z niepokojem i radością.

— Cóżeś to tak długo bawił? — zapytała pani Drabicka.

— Zaraz, zaraz, opowiem, gdzie byłem i co mnie wstrzymało — odpowiedział młody człowiek, całując rękę matki, ściskając braci, witając się z psem, który wszystkich rozpychał, o swoją dopominając się cząstkę.

Pani Drabicka, matka Aleksego, była niemłodą już kobietą, na której twarzy, dosyć pospolitej i niepięknej, praca zatarła wszelki wdzięk, jaki mieć mogła w młodości. Wielka tylko energia i siła duszy zachowały się na obliczu, pokrytem ogorzeliznę i zmarszczkami. Była to jedna z tych twarzy, które nic nie mówią zrazu, w które się wpatrzeć potrzeba, by w nich charakter wyczytać; których rysy zapominają się łatwo, a całość tkwi jednak w pamięci. Włos już siwiejący otaczał skroń, sfałdowaną i żółtą, oczy wielkie, ciemne, miały wiele bystrości i rozumu, całość raczej surową była, niż miłą, ale usta i wyraz ich pełen dobroci łagodził nieco znaczenie rysów, obleczonych smutkiem zarazem i powagą. Nie pociągała ona na pierwszy rzut oka, ani starała się być miłą, ale poznawszy ją bliżej, wiedziałeś, że na serce jej rachować było można. Czułą też nie była, ale czuć umiała głęboko. Jak wszyscy prawie ubodzy, w zapasach z losem i ludźmi, niełatwo wierzyła: pierwszem jej poruszeniem była może nieufność i obawa, ale gdy raz przemogło się to wrażenie, otwierało się serce miłością chrześcijańską, czynną i wielką.

Kobietę tę potrzeba było znać blizko, widzieć ją codzień, aby ją ocenić: obcy zwykle się na niej nie poznawali.

W pożyciu codziennem była to przedewszystkiem matka rodziny i gospodyni, niekiedy nawet za surowa, za mało pobłażająca, ale prosto iść umiejąca do celu, który widziała jasno i zdrowo. Gderliwa, gadatliwa, nie pochlebiając nikomu, robiła sobie nieprzyjaciół słowem zbyt szczerem, a jednak z dobrego pochodzącem serca; obrażona śmiała się i nie pamiętała obrazy, gotowa będąc z pomocą nieprzyjacielowi, ale mu znowu gorzkiej nie oszczędzając prawdy. Dzieci obawiały się jej i kochały ją zarazem; z pomiędzy nich serce jej wyróżniło tylko Alek-

sego, bo na nim i dla reszty budowała przyszłość; tu stosunek matki do dziecięcia zmienił się prawie, tak w nim szanowała głowę domu i gospodarza; wszakże jeśli najstarszy pobłądził wedle jej przekonania, nie wahała się mu powiedzieć, co myślała, nie dobierając wyrazów na obwinięcie potrzebnej nauki.

Trzej bracia Aleksego, z których najstarszy kończył szkoły, a najmłodszy je poczynał, dorodne chłopaki, wychowane surowo i po męsku, i do siebie i do niego wszyscy byli podobni. Nie odznaczała ich ani piękność rysów twarzy, ani szlachetność postawy; ale zbudowani byli silnie, zdrowi, weseli i z oczu ich patrzało nieleniwe pojęcie, dobrze wróżąca ciekawość.

— No! gadaj-że, gdzieżeś ty bywał, Aleksy? — zawołała pani Drabicka — ja się ciebie jeszcze wczoraj spodziewałam, choć to deszcz lał, aleś ty nie piecuch, żebyś się zląkł, kiedy ci trochę za kołnierz naciecze! A tu dziś bez ciebie poszli kopy rozstawiać, kto wie, co porobią, i pszenica przepaść gotowa, gdy porośnie!

— Zaraz, zaraz, matuniu — rzekł Aleksy, wchodząc do domu — a potem...

— A potem? — podchwyciła matka.

— Dziwny przypadek!

— Przypadek! — powtórzyli bracia i matka, obstępując Aleksego — miałeś przypadek?

— Nie wiem, jak to nazwać, spotkanie... Zajechałem był nad wieczór do karczmy traktowej, żeby trochę koniom wypocząć i, choć deszcz lał, mieliśmy z Parfenem ruszać dalej, gdy trafem nadjechał mój dawny znajomy i towarzysz uniwersytecki, pan Julian Karliński.

— Karliński! — wykrzyknęła matka — z Karlina! doprawdy! i cóż?

— Naturalnie, gdyśmy się poznali, nie chciał mnie puścić, musiałem z nim nocować. Tymczasem przyjechał posłaniec, że matka jego...

— Pułkownikowa?

— Tak, pani Delrio zachorowała; pojechałem po Grebera, zawiozłem go do Karlina, i stamtąd dopiero tu powracam.

Matka bacznie spojrzała w oczy synowi, który się mimowolnie zarumienił, i pokiwała głową.

— Otóż masz! — zawołała — ruszając ramionami — wpadliśmy w tę łapkę, której tak długo unikaliśmy... Darmo ci odradzałam, żebyś się temu paniczykowi nie przypominał i stosunków nie odnawiał; los chciał inaczej... Cóż robić! cóż robić! ale to mnie martwi. Pewnie musiał być grzeczny, chwycił Aleksego za serce, ot i gotowa z zamkiem przyjaźń, a to dla nas, szlachty ubogiej, nie do rzeczy...

— Moja matuniu — odparł trochę dotknięty wymówkami Aleksy — mógłżem zrobić inaczej, godziłoż się uciekać lub odpowiedzieć obojętnością na przyjaźń szczerą, jaką ma dla mnie?

— A na co tobie ta pańska przyjaźń? — ofuknęła się pani Drabicka — po co? po co? Głowę ci tylko obałamuci, na wydatki niepotrzebne narazi, rozpróżnujesz się, rozjeździsz, albo on tu ciągle zaglądać będzie i truć nam czas daremnie. Już powiadam ci, że tego nie lubię... co prawda, to prawda.

— Moja droga matko — odpowiedział szybko Aleksy, całując ją w rękę — naprzód, stosunków tych, choć-em ich może pożądał, choć za nimi tęskniłem, nie starałem się odnowić; powtóre, stało się to przypadkiem, a dziś jeszcze nie idzie za tem, żebyśmy żyć z sobą mieli, choć biedny Juliusz bardzo tego zdaje się pragnąć... a to tak dobry człowiek!

— Dobry człowiek!... wszyscy oni dobrzy ludzie, choć do rany przyłożyć — odezwała się matka — ale nam nie żyć z nimi; oni ani czasu ani pieniędzy nie umieją cenić, my się przy nich popsujem, a oni nie poprawią. Żyjmy ze swymi.

— I owszem, kochana matko, żyjmy ze swymi — odpowiedział Aleksy — ale jakże mam począć? radź mi, będę chętnie posłusznym, nie tęsknię za innym światem.

— O, już to bałamucisz, kochanku — zawołała matka — niby ja tego nie rozumiem, że ty musisz, mądrzejszym będąc od nas, wydzierać się do tych, co ciebie lepiej pojmą, i którym głową równym jesteś... ale nie myśl, żebym ja znowu przez miłość własną przykuć cię chciała do naszej strzechy słomianej. Dla ciebie ja to robię, że cię wstrzymuję... nic tam prócz utrapienia nie zyskasz... Choćbyś był nie wiem jak mądry, choćbyś im był równy sercem i głową, nigdy tam ani szczerej przyjaźni, ani braterstwa i równości nie znajdziesz; bawić ich będziesz

musiał, służyć im, poświęcać się dla nich, a za to, gdy czas będą mieli i nikogo lepszego nie znajdą, uśmiechną ci się czasem zdaleka, kiedy ich nikt nie zobaczy. Wierzaj mi, wierzaj... poświęcą cię potem lada błaznowi z uperfumowaną główką i tytulikiem podrobionym...

— Kochana matko, wszystko widzisz czarno... ależ znowu ja nie myślę nabijać się nikomu, nawet Julianowi...

— Co tu gadać, stało się, niema co narzekać, tylko ci powiem szczerze, żem temu wcale nierada. Darmo, Julian tu przyjedzie, bo się nudzi, ciebie pociągnie, poznasz się tam z innymi, będziesz musiał jeździć, będziemy musieli przyjmować i rady gospodarstwu nie dasz, i dom ci obrzydnie, bo się do pańskich wygódek nałożysz! A to tak łatwo! Ale gadaj-że mi choć, jak to było?

Otoczono go kołem i Aleksy z najdrobniejszymi szczegółami opowiadać musiał i spotkanie w karczmie, i rozmowę swoją z Julianem, i przyjęcie na zamku.

Nie pominął widzenia Anny, nie taił się z wrażeniem, jakie na nim bytność u Karlińskich zrobiła, słowem wyspowiadał się szczerze, a matka smutna tylko, słuchając go, poruszała głową, ale już nic więcej nie powiedziała. Przyprowadzono bułanka przed ganek osiodłanego, brat drugi naparł się jechać z Aleksym w pole na małym koniku, którego Parfen mu zaraz podał, i pani Drabicka obu ich wyprawiwszy do gospodarstwa, sama poszła pochmurna do swoich zwykłych zatrudnień.

K) Metamorfozy (r. 1857).

Wpływ wychowania uwydatniony jest w tej powieści w dziejach kilku młodzieńców, którzy już na ławie uniwersyteckiej różnią się od siebie tem właśnie, co z domu wynieśli, a którzy spotykając się z sobą w lat dwadzieścia potem, pomimo zmian, spowodowanych życiem, noszą jeszcze w duszy odbicia wpływów domu rodzicielskiego. Postać Francuza Balarda, który jest nauczycielem jednego z owych młodzieńców, Konrada, przedstawia typ ciekawy emigranta Francuza, a w kraju naszym, zwłaszcza na Wołyniu, nieraz spotykany w początkach XIX stulecia. Podajemy tu wizerunek jednego z tych młodzieńców, wychowańca owego emigranta.

892) Konrad Popiel, wielkiego imienia dziedzic i chłopak bogaty, niedaleki sąsiad Wilna, bo majętność ich o kilka mil od niego położoną była, z rzędu czwartym się liczył członkiem tego studenckiego klubu, niemniej od poprzedzających zastanawiającym. Spojrzawszy nań, widać tylko było pospolitego i przystojnego elegancika, którego mundurek z cienkiego sukna, skrojony był według ostatniej uniwersyteckiej mody, płaszcz podbity karmazynową kitajką, fontaż chustki zawiązany szeroko, a czapka na bakier zawsze włożona z niechcenia. Na twarzy, miłej i arystokratycznego kroju, nic — jak na pustej tablicy, uśmiech małoznaczący, rozbudzona mocno ciekawość, trochę niepokoju o to, jak się będzie wydawać.

Ale zbadawszy strój i powierzchowność, łatwo odgadnął fizyognomista, że Konrad przedewszystkiem myślał i starał się o to, aby się pokazać, zastanowić, zwrócić oczy, ściągnąć uwagę. Wszystkie jego czynności ku temu zmierzały, i może dlatego, że się już wprawił do grania komedyi na świecie, miał czasem minę lichego prowincyonalnego aktora. Często można było wyśledzić u niego brudną rękawiczkę, ale schowaną pod płaszcz, rozdarty surdut misternie utajony — to wszakże, co przeznaczonem było wyjść na wierzch, musiało się świecić i bić w oczy. Łatwiejby się był obszedł bez kawałka chleba, niż bez modnej kamizelki.

Majętny, chciał uchodzić za pana i magnata; dobrze urodzony, dodawał sobie kasztelanów do genealogii, wiodąc ją z królewskiego rodu od Gopła i Kruszwicy; ładny, miał się za Antynousa; dość dowcipny, zapożyczał się w koncepta cudze, aby mieć ich więcej — słowem życie jego stało na tem, aby otumanić ludzi i okazać im, jak on wielki. W gruncie było to dobre, dość pospolite chłopię, poczciwe, ale pełne niepohamowanej próżności, które ta namiętność co chwila popychała w niebezpieczne położenia, skazywała na zgryzoty i, ledwie uratowanego cudem, miotała znowu na niebezpieczne wyprawy.

Wyglądał na pierwszy rzut oka na ładnego chłopca... ale tysiącem figlów nabytą była ta fizyognomia, która baczniejszego nie wytrzymywała rozbioru. Z daleka była to udatna maseczka, z blizka — typ stary i pospolity, choć co zowią dystyngowany; nie podejrzewano go, żeby się bielił, mocno jednak wątpiono,

czy kolory miał naturalne i czy ich nieco nie ożywiał barwą przybraną, gdy niewczas czynił go bledszym, a interesująca bladość nie była mu potrzebną.

Nos jego miał ten kształt pośredni i niepewny, o którym nic powiedzieć nie można, prócz, że gdyby nie to i nie owo, mógłby być pięknym, rzymskim, greckim, a choćby i polskim nosem. Jeżeli nie był piękny, nie był przynajmniej poczwarny.

Oko jedno zezem trochę patrzało, ale ostrożny Konrad drugie tak nastrajał, żeby się z niem posprzeczać nie mogło, a to mu dawało minę człowieka, poglądającego z melancholicznem zamyśleniem w głębiny przeszłości czy przyszłości.

Dla podwyższenia sobie czoła, które do zbytku było nizkie, zdaje się, że je podgalał przy skroniach; miał przytem trochę wypracowanego już częstem użyciem brzytwy, wąsika.

Staranie jego o siebie przechodziło granice, pozwolone mężczyźnie: muskał się, umywał, pomadował, fryzował, i każdego dnia więcej podobno przesiedział nad toaletą i paznogciami, niż nad książką.

W jego pokoju na widoku stał ów przyrząd, innym nieznany, szczotek, flakonów, kosmetyków, pilniczków, nożyczek, proszków i płynów, na wzorzystej rozłożony serwecie, z którego się naśmiewano, choć to nic nie pomagało. Konrad spędzał przy nim, przed owalnem lustrem, parę godzin z rana, parę o południu, a czasem jeszcze z godzinę wieczorem, gdy na bal lub maskaradę się wybierał.

Jakiemi prywacyami okupywał przepyszne fulary, które w kieszeni nosił, coraz nowe chustki, kamizelki, łańcuszki do zegarka, buciki i fantazyjne szlafroczki — nikt nie wiedział, ale się tego domyślić było łatwo, bo nie można przypuścić, żeby rodzice dogadzali tak zachceniom.

Stał jednak osobno, miał służącego i choć żył ze wszystkimi dobrze, sposób jego życia z akademickiem nie zgadzał się wcale. Mieszkanie zakrawało na elegancika miejskiego, apartament, w którym student starannie się ukrywał, jakoby błogiego swego stanu nieco się wstydził. Książki, nawet naukowe, miały u niego minę francuskich romansów, tak ślicznie były poopra-wiane i poukładane w porządku w mahoniowej za szkłem szafie. Nieład, jaki w naszych mieszkaniach panował, w porównaniu

Biblioteka P.A.N. w Krakowie

z tym wyszukanym porządkiem, był prawie rażący, ale znamionował pośpiech pracy, z której wypływał. Nie było tam czasu przybierać mieszkania i krasić, gdzie każda chwila była droga i niepowrotna; nie myśleliśmy wiele o przyjemności dla oka, ale o korzyściach z nauk, które chciwie chwytał każdy.

Konrad w naszem gronie wyróżniał się bardzo, a choć instynkt wiódł go w inne towarzystwo, do którego się wkupywał, Bóg wie, jak drogo płacąc za to, nie opuszczał przecie kolegów i nie gardził nimi.

On to im przynosił wieści z salonów, anegdoty balowe i charakterystykę domów, do których inni uczęszczać nie mieli czasu.

Mówiłem już, że Konrad Popiel pochodził z rodziny znacznej, majętnej i mającej związki z arystokracyą, do której należeć pragnęła; rodzice jego mieszkali na wsi, o kilka mil od Wilna, a syn dosyć dobrze dom ich przedstawiał. Miał on kilka sióstr jeszcze i liczne rodzeństwo, więc choć majątek był znaczny, nie mógł się spodziewać bogactwa; mówił jednak o dobrach rodzicielskich tak, aby dać do zrozumienia, że kiedyś zaćmi wszystkich swem położeniem na świecie...

Wychowanie jego początkowe odpowiadało położeniu towarzyskiemu: bonę miał Niemkę, potem guwernera Francuza, z nim nawet jeździł do szkół, gdyż obawiano się nadewszystko, aby języka w gębie nie zapomniał... Nie był on wcale pieszczony, ale starała się z niego matka zrobić ideał po swej myśli. O nic gruntowniejszego jej nie chodziło, tylko o przyzwoitość, o dobrą manierę, o zręczne przedstawienie się Konrada w świecie, o prezencyę, o prezencyę w salonie, o trzymanie się prosto, o... zgrabność. Musztrowano go cieleśnie, aby nabrał dobrego tonu i miał minę dziecka pańskiego, uczono praktycznie w salonach znalezienia się (bojąc się zapewne, aby, jak drudzy, co chwila się nie gubił) — nastawano mocno na umiejętność języków, zresztą, co do serca i głowy, spuszczono się już na łaskę Bożą i krew dobrą, która szlachetne uczucia zaszczepić miała.

Matka była elegantka i lubiła świat, niegdyś dziwnie piękna, a mimo dwudziestoletniego syna jeszcze bardzo przystojna i usiłująca resztę wdzięków zatrzymać, w przekonaniu, że są uprzywilejowane istoty, które się nigdy zestarzeć nie powinny, —

nie zastanowiła się nigdy inaczej nad człowiekiem, jak ze stanowiska salonowego. Kto nie był przyzwoity, dla niej nie egzystował, nie należał do jej sfery i świata, *n'était point de son bord*; inne ludzkie przymioty ceniła dla oka, ale znalezienie się i pozór — nadewszystko. Wiedziała zapewne, a raczej czuła instynktowo, że w świecie tamtym pozór jest rzeczą główną, że w nim istoty prawie niema, a jeśli się co lepszego znajdzie, to jakimś cudem dane przez Boga, ale nie wypracowane na sobie. O zasady nie troszczyła się wielce, gdyby nawet nieco odmienne były od poprzednich, nie mając nic przeciwko temu, boć i ekscentryczność popłaca. Jeden dowcip chciałaby była wszczepić swojemu dziecięciu, gdyby mogła, ale tego się nauczyć trudno, choć są ludzie, co go udają... To jednak niełatwe młodemu, potrzebuje otrzaskania się i wprawy.

Po bonie, która Konradka piastowała dosyć długo, dano mu nauczyciela Francuza i trafiono niezupełnie szczęśliwie w wyborze.

Pan Balard był eks-furyerystą, eks-sensymonistą, eks-kabetistą, eks-chatelistą, a przy wszystkich eksach pozostał marzycielem utrapionym i stronnikiem reform społecznych, nie powolnych i koniecznych, które czas sprowadza i postęp wyrabiać musi, ale radykalnych i gwałtownych. Fizyognomia starej ludzkości, istniejącej od początku świata, wydawała mu się pospolitą i nudną, potrzebującą koniecznie zupełnego przeistoczenia. Chciał ją przerobić z gruntu i odbudować inaczej, utrzymując, że człowiek się popsuł, a raczej nienajlepiej został stworzony, więc się do niego tak wziąć potrzeba, żeby śladu nie zostało, czem był przez pięć tysięcy lat. Nieprzyjaciel przesądów, nieprzyjaciel konwencyonalnych prawd, pewien był, że się ktoś musi trafić, co wedle nowego systemu zreformuje porządnie szczątki ludzkości i w nowe ją weźmie kluby. Wprawdzie te próby, w których pan Balard uczestniczył, całkiem się nie powiodły, bo w nich zawsze człowiek stary na wierzch wyłaził, ale to dla niego nic nie stanowiło — utrzymywał, że snać jeszcze nie trafiono na właściwą drogę.

Zmuszony uchodzić z Francyi, gdy Felicyan Dawid, późniejszy autor symfonii »Pustynia« uciekał do Algieru, a inni do Ameryki, bo nie mieszczaństwo i episyerstwo górę brało, — nie

mając chleba, przywędrował do nas, poświęcając się nauczaniu tego, czego podobno sam dobrze nie umiał. Pokazało się bowiem, że w języku rodowitym liczne czynił błędy, nazwyczaiwszy się używać go, jak Bóg dał, a wcale nad nim nie pracując. W gruncie rzeczy gramatyka zdawała mu się przesądem, jak inne, i staroświeckiem uprzedzeniem; niekiedy nawet dowodził, że każdy człowiek ma swoją gramatykę wrodzoną i natchnioną...

Zresztą, choć trochę głupi, był to sobie niezły człowiek, spokojny, byle mógł się o reformach wygadać do syta, lubiący deklamować, a przy spartańskich zasadach, nawykły do wygód i smakujący w komforcie i zbytku.

Że powierzchowność jego była miłą, twarz ładną, a maniera, jeśli nie salonową, to oryginalną i wybitnie cudzoziemską, potrafił podobać się matce Konrada, która dlań poprzysięgła najwyższe uwielbienie. Deklamował tak, że gdy go nie zrozumiała nawet, co się najczęściej zdarzało, zasłuchiwała się we wdzięcznej muzyce jego głosu. Miał i ten wielki przymiot, że choć demokrata, panią nazywał *comtesse*, a cały dom uhrabił. Ta inicyatywa jakoś tak była szczęśliwą, że się hrabstwo przywiezione w rękawie z nad Sekwany przyjęło.

Mały Konradek pierwsze swe zasady przejął z ust p. Balarda, który, nie mając często słuchaczów, gdy mu język świerzbiał, wpadał w zapał przed malcem i długimi ogłuszał go monologami. Zasypiał czasem przy nich Konradek, ale coś zawsze pochwycił z tego słów potoku. Balard zaś tak mało zważał na to, czy go kto słucha lub nie, że niekiedy w gorętszych chwilach natchnienia mówił do czterech ścian i stołków, gestykulując dziwacznie. Sam sobie odpowiadał, robił zarzuty, zbijał je zwycięsko i uspokojony nie zamilkł, póki systemu swojego do dna nie wypił.

System ten reformatorski nie był tak dalece nowym, składał się on z różnych okruchów, połapanych po świecie, gdyż Balard, jak wszyscy pseudo-filozofowie francuscy, w zasadzie był eklektykiem i pewien, że prawda nie rodzi się odrazu jedną i całą, ale się skleja z kawałków. Przechodził on z wielką łatwością od jednej opinii do drugiej, a każda nowa reforma znajdowała w nim żarliwego adepta.

W gruncie nietyle mu może chodziło o odbudowanie świata nowego, ile o przewrócenie starego.

Konradek więc, ucząc się niemal abecadła, dowiedział się zarazem, że świat potrzebuje radykalnej kuracyi na zastarzałą chorobę chroniczną; najdziksze utopie, jak obrazki latarni czarnoksięskiej, przesunęły się przed świeżą jeszcze wyobraźnią i odpiętnowały na wrażliwego mózgu tkance. Niedobrze umiał pacierz, i to po francusku, do francuskiego Pana Boga, ale w szkołach już począł na wzór mistrza myśleć o reformowaniu społeczności. Nigdy mu wszakże nie przyszło do głowy, że chcąc coś poczynać, najnaturalniej od siebie — a życie jego codzienne było gwałtowną protestacyą przeciw słowom i ideom.

Fenomen ten spowszedniał dla nas, lecz niemniej zasługuje na uwagę, jak w jednym człowieku teorya może być biała, a czynności czarne; słowo niebieskie, a sprawy karmazynowe? Gdzieś tam, widać, jakaś ściana dzieli w środku komórkę czczych idei i marzeń od skarbonki, z której wychodzą uczynki, i tak jedna połowa patrzy w lewo, druga w prawo — *e sempre bene*.

Całkiem logicznych w życiu i jednolicie zbudowanych ludzi trudno napotkać; są, co gorzej mówią i myślą, a lepiej daleko działają, choć to rzecz jest rzadka, ale najpospolitsi tacy, którzy na języku uchodziliby za świętych, gdyby rąk nie mieli zabrukanych po łokcie.

Czem się to dzieje, nie wiem, ale dziś może w społeczeństwie naszem to rozdwojenie czuć się daje mocniej, niż kiedy. Wszyscyśmy podobni do tego aptekarza, co leczy jakiemś panaceum całe miasto, ale gdy sam zachoruje, udaje się po cichu do doktora; — teorye nasze sprzedajemy drugim, a dla siebie kupujemy wygodniejsze.

Francuz także był nieco w tym rodzaju, mówił ciągle o zwrocie do pierwotnej obyczajów prostoty, potępiał zbytek, pluł na arystokracyę, ale chłopca beształ, że mu śmiał coś odpowiedzieć, a wygody życia cenił wyżej dostojeństwa człowieka.

Co było w mistrzu, powtarzało się w uczniu. Konradek wyrósł na eleganta, na panicza, zdaleka obchodził grube mundury i namulonych unikał dłoni, ale mówić umiał ślicznie o bra-

terstwie ludzi, o równości ich, o szkodliwości wyróżniania się, o potrzebie niwelacyi. Francuz napoił go tak dobrze swojemi doktrynami, tyle mu ich rozmaitych dał do wyboru, że Konrad musiał zostać utopistą — to mu nadało barwę ciekawą i oryginalną. Matka wcale nie była przeciwko temu, czuła bowiem instynktowo, że ta paplanina do niczego nie prowadzi, że Konrad, mówiąc przeciw zbytkom, nie przestanie być elegantem, ani obstając przy narodowościach, nie porzuci francuzczyzny. Najwymowniej nawet dowodził o piękności polskiego w języku francuskim.

Zasady, wszczepione przez Balarda, sprawiły, że w przekonaniu Konradka, co tylko istniało, było złe i do przerobienia. Zaczynał od tego, że ruszał ramionami i śmiał się, a że krytyka zawsze łatwa, gdy przypiął parę łatek, choć nie miał czem później tego, co zburzył, zastąpić, wykręcał się ogólnikami.

Pomimo swej toalety i elegancyi, swych płaszczów i kamizelek, Konrad był surowym także stronnikiem powrotu do obyczajów pierwotnych, do spartańskiej polewki, do odzieży prostej, do komunistycznego pozamykania ludzi w komórkach, na wyważonym chlebie i soli i pewnej ilości wody. Ale te jego reformy i teorye były także płaszczami, podbitymi ponsowo, i kamizelkami w kwiaty, na ulicy zwracał oczy podszewką, w salonie — utopiami.

W szkołach już wielkie czynił wrażenie: miał przy sobie Balarda, dom trzymali na stopie bardzo wygodnej i dostatniej, chodzili do niego chętnie, znudzeni klepaniem jednych lekcyi, profesorowie, i Konradek brał nagrody za to, że śmiało im w oczy patrzał, a zbić się z tropu nie dawał nigdy.

Śmiałość jego, choć w innym rodzaju jak Longina, była zaprawdę uderzającą, a upór miał w sobie coś kobiecego. Przyparty do ściany i przekonany o fałszu, w tejże chwili dowodził w żywe oczy, że on twoją opinię utrzymywał, i od początku ci mówił to, coś ty miał za swoje. Nigdy się nie dał zwyciężyć, bo zawsze wymknąć się potrafił; a gdy już do tego przychodziło, że dalej na stanowisku wytrwać nie mógł, wywijał koziołka i spychał cię w jamę, a sam zostawał na brzegu. W ostatku mocno krzyczał i tak długo, że go przeczekać nie było podobna; dyskusya więc zawsze kończyła się na tem, że

przegadał; a jeśli mu twoja prawda przypadła do smaku, to ją sobie włożył, jak cudzą czapkę, przywłaszczając bez ceremonii.

Czego nie chciał — nie słyszał, co mu nie było potrzeba — nie rozumiał: głuchł i ślepł, kiedy to uznał koniecznem; konceptem się zesztukował, żartem cię odepchnął, a że najmniejszej nie miał logiki, nigdyś go zwyciężyć nie mógł, bo ci skakał z trzeciego piętra na ziemię i z ziemi na poddasze, nimeś go mógł pochwycić za poły.

Zresztą byleby mógł deklamować na wzór Balarda, nie szło mu znowu tak bardzo, jak skończy i przeciw czemu stawać będzie; brał, co z brzegu napadł, a choć niedaleko zaszedł z ciężarem, tyle młynków nawykręcał, że znużył wkońcu najcierpliwszego i pozornie utrzymał się przy swojem.

W domu, jak w szkołach, miano go za mały geniusz w pieluchach. Balard wiele z niego rokował dla barbarzyńskiego kraju, któremu ta gwiazda świecić miała; matka obowiązkiem swym tylko sądziła wstrzymywać i hamować rozwój zbyt szybki umysłu tak znakomitego, zwracając dziecię ku światu, aby zbyt nagle nie wyolbrzymiało. Uwielbienie domowe, panowanie w szkole, pochwały nauczyciela, dały Konradkowi zarozumiałość potężną, chociaż źle mówię: poczciwy Konrad w gruncie przekonany był mocno, że jest oślątkiem i niewiele umie, ale udawał zarozumiałego, jak wielu jemu podobnych, żeby się rozumniejszym wydawać.

Świetne te powodzenia póty trwały, póki ze szkół nie przyszedł czas przeniesienia się do uniwersytetu.. Balard, który kawęczał na podagrę, pozostał na wsi na łaskawym chlebie, a raczej na bułce łaskawej, gdyż chleba naszego nie jadł — a Konradek emancypowany przybył do Wilna.

Matka jego i Balard utrzymywali, że bardzo potrafi sobie dać radę na świecie, ojciec trochę się obawiał niedoświadczenia, ale on tam niewiele znaczył, służył tylko do przyjmowania gości i łajania sług, gdy był ku temu przez samą panią komenderowany. Konradek więc przyjechał do Wilna z kamerdynerem, z kredensem, z toaletą, z dosyć dobrym zapasem pieniężnym i znaną nam już zarozumiałością. Chciał on tu z nią iść dalej nieprzerwanym ciągiem tryumfów i, pierwsze robiąc

znajomości, tak się postawił, jakby się o należne sobie panowanie upominał; ale wszędzie to łatwiej mu pójść mogło, niż między młodzieżą, która ma instynkt świeży i nieomylny, a poznaje człowieka nie wiem jak, rzekłbym węchem, bo pewnie nie z doświadczenia, ale nadzwyczaj trafnie.

Konrad był z kilkuset młodzieży ówczesnej jedynym takim elegantem i paniczem; mieliśmy wprawdzie drugiego w tym rodzaju, ale tamten wcale się z ogółem nie mieszając, na lekcye tylko przychodził, a w ulicy towarzyszów nawet nie poznawał. Konrad, gdyby także w niszy ołtarzowej za firankami pozostał, uchodziłby może za zjawisko ciekawe i istotę wyższą, ale skoro zstąpił z piedestału między prostych śmiertelników, gdyśmy mu pod płaszcz i pod czuprynę zajrzeli, okazało się tam więcej wiatru i nadęcia, niż istoty.

Myślał zaćmić towarzyszów, i zrazu przysłuchiwano mu się uważnie, ale młodość nie ma litości: jak skoro jeden — drugi złapał go na bąku, a z szelestu słów nic się nie dało wycisnąć, urok pękł, i Konrad został zdegradowany na prostą sroczkę wielkiego świata. Choć te zdania, z któremi występował, po większej części obce nam były, — lepiej usposobione umysły oswoiły się z niemi, w ślad pobiegły za reformatorem i, ile razy utknął, okrywały go nielitościwem szyderstwem.

Konrad wprędce postrzegł, że tu komedyi grać niepodobna, że nie omami nikogo, i ostrożniej coraz występował na plac popisu, bo czuł, żeśmy wymacali, jak płytkim był w istocie. Śmialiśmy się, ale że wiele miał dobrego w sobie i serce poczciwe, że się nie gniewał za gorzkie prawdy, a w cztery oczy pokorniał, byle go publicznie nie zbijać, że od nas nie stronił, i owszem, pobity zbliżał się do nieprzyjaciół, podaliśmy mu dłoń serdecznie.

Bawiły nas jego marzenia i ta łatwość, z jaką umiał najdziksze plany reform tworzyć tak szybko, jak domki kartowe; nie trzymało się to długo, ale miało minę czegoś i pozór budowy. Niewyczerpany w opozycyi, przy lada zdarzeniu surowy czynił rozbiór świata i wskazywał smutne jego kalectwa.

W nas wszystkich było potrosze skłonności do idealnego na życie poglądu, każdy sobie świat także przetwarzał, oczysz-

czał, stroił; więc choć Konradek bałamucił, chętnie z nim puszczaliśmy się w te nadpowietrzne podróże, do których młodość dawała nam skrzydła.

A smutny to już wiek, w którym człowiek na utopie i marzenia nie choruje, gdy się pogodzi z kałużą i wygodnie mu w niej, powie sobie: tak mi dobrze, a reszta fraszki! gdy tysiące zawodów wzbudzi w nim niewiarę i pogardę człowieka! Myśmy naówczas jeszcze nie doszli do takiego odczarowania, każdy z nas miał swój ideał świata, wierzył, że go piersią gorącą ożywi, że w nim zaszczepi miłość, zgodę, braterstwo, że poprawi, że wyapostołuje prawdziwych chrześcijan wśród pogaństwa.

Dlatego i ciągle wpadający w niedorzeczność i sprzeczność z samym sobą, zapominający dziś, co mówił wczora, paniczyk-demokrata był nam ukochanym bratem.

Konrad miał to szczęśliwe usposobienie, że się mógł jednoczasowie kochać razem aż w trzech pannach, a póki na stronę jednej z nich nie przeważyła się szala, pałał miłością równą dla wszystkich, zmieniając przedmiot, a trwając stale w uczuciu. Rzucał potem razem wszystkie swe bóstwa, gdy mu nie dopisały, i brał inne, których stawał się wielbicielem na kilka tygodni... Skutkiem szału zapewne, który go wówczas opanowywał, gdy się kochał najgoręcej, najdziwniej kosiły mu się oczy, zapominał pilnować swego zeza i prawie straszno wyglądał.

Nie wiem dobrze, czy pozyskał serce czyje, to pewna, że o mnóstwo ich się starał, a co dla nich w ofierze zbrukał paliowych i białych rękawiczek — niepoliczona. Zawsze wszakże przedmiot jego miłości musiał stać na wysokim szczeblu; najśliczniejsza panienka, jak tylko niebogata i nie mówiąca po francusku, nie zwracała na siebie oczu jego, a w miarę niedostępności ideału, powiększał się szał i miłość ku niemu. W paroksyzmie pierwszym namiętności najmniej trzy lub cztery razy na dzień przejeżdżał pod oknami pani serca swego, której firanki lub służącą tylko miał przyjemność oglądać, gonił za nią do teatru, ścigał na bulwarach, przybliżał się na balach... a po odbytych zalotach niemych, zrażony obojętnością lub tknięty słowem dwuznacznem, opuszczał niewdzięczną...

Próbował kochać się w mężatkach, ale przekonawszy się, że go to do niczego nie prowadziło, bo prawie zawsze dowiedział się potem, że go ktoś cywilny uprzedził, wolał poprzestać przy platonicznej miłości panien, dla których mundur akademicki mniej był wstrętliwy.

Takim był Konrad, *unanimitate* okrzyknięty Morusem, z powodu niewyczerpanych utopii, które miał ciągle na ustach; demokrata w słowach, panicz z pozoru, niewyglądający wcale na to, aby miał wiele skorzystać z pobytu w uniwersytecie. Uczył się tyle tylko, ile koniecznie było potrzeba, żeby stopień otrzymać i przebyć egzamina, a że los stworzył go na obywatela, wybrał sobie oddział prawny, który niby najskuteczniej przygotowywał do życia obywatelskiego, do zawodu urzędnika, jaki go mógł spotkać...

Opuszczał dosyć dużo lekcyi, a gdy inni, czasami grzeszący tem samem, mogli wmówić nieubłaganemu Giedrojciowi i Pietraszewskiemu, że nie dostrzegł ich w tłumie, nieszczęśliwy Konrad ze swym ponsowo podbitym płaszczem i kamizelkami tak bił w oczy, że się wykłamać nie potrafił. Siadał przytem w sali zawsze tak na samym widoku, że gdy go nie było, zaraz brak jego czuć się dawał dobitnie — niedostawało go widocznie. Były to niedogodności, z jego położenia wypływające.

L) Wieczory wołyńskie (r. 1858).

W książce tej roztrząsa Kraszewski pytania, związane ze stosunkami społecznymi Wołynia, a głównie z zajmującą umysły ówczesne kwestyą włościańską. Podajemy tu ustęp o »Zbytku« (Rozdział IV).

893) Gdybyśmy porównali życie nasze dzisiejsze do pradziadowskiego, obyczaj stary do teraźniejszego, potrzeby nasze do maluczkich wymagań dawniejszych, jakżeby to zasromać się wypadało tego zbytku, który nas zjada, rujnuje i niedołężnymi czyni do cokolwiek surowszego żywota.

Nie mamy grosza na poczciwą ofiarę ubóstwu, wychowaniu publicznemu, wymawiamy się od wszelkiego współuczest-

nictwa w dziełach miłosierdzia, a na dogodzenie próżności i rzekłbym rozpuście zawsze się znajduje choćby tysiące. Wiele rzeczy, bez których doskonale umieli się obchodzić ojcowie nasi, nam są dziś tak niezbędne, jak chleb i woda, jak powietrze... a niejeden syn szaraczkowego szlachcica, co sam orał zagon swój za młodu, wyrósł dziś na takiego paniczyka, że żytni chleb go w zęby kole, a domowy dym mu śmierdzi.

Otóż znowu jedna z tych chorób wieku zaraźliwych, pożerających, na któreby potrzeba szukać gdziekolwiek lekarstwa.

Słabość to, w którą nie odrazu i nie dzisiaj dopiero popadliśmy — zaczęło się z góry, schodziło na dół powoli, i dziś dobiera się do dna. Zbytek nie zrodził się u nas, nauczyły go zepsutsze daleko narody zachodnie, do których jeżdżąc po rozum, przywieźliśmy sobie i zaszczepili to kalectwo.

Uśmiechniecie się może, iż i tego grzechu pierwiastek przypisujemy zachodowi, jakby już u nas nic samorodnie złego powstać nie mogło?...

Ale cóż począć przeciw oczywistości? Zachód ma mnóstwo dobrych stron, na które my nie zwracamy uwagi, które na nas nie działają, natomiast wady cywilizacyi, stronę jej ułomną jak najskorsi jesteśmy naśladować.

Widzimy z dziejów obyczaju naszego, że przepych i wystawa upodobane nam były zawsze, ale to wcale co innego. Jest niezmierna różnica między wspaniałością i świetnością, jakąśmy dziwili cudzoziemców, a zbytkiem, jaki dziś nas trawi. Dwory królów i panów, ba, małej nawet szlachty, miały swe skarbce, drogie klejnoty, szaty wspaniałe, sreber stosy i dostatków od święta. Ale to się powoli oszczędnością zbierało, kupowało z uzbieranego grosza zbytecznego i przechowywało od pokolenia do pokolenia. Powszednie życie było niezmiernie proste i skromne; występ miał miejsce w uroczystości kościelne, przy zgromadzeniach obrzędowych, gdy sobie i drugim cześć nim chciano wyrządzić. Od nich w pałacu jak we dworku wracano z uciechą do płóciennego kitla, do czarnej sukni, do krupniku z półgąska i jaglanej kaszy.

Gdzie trzeba było jawnie pokazać, że się nie skąpi na uciechę przyjacielską, nie szczędzono grosza, wina i przepychu; a powszednie życie szło trybem cichym i wcale niewy-

twornym. Nawet po pańskich dworach jadano na cynowych misach kluski z mlekiem i obwarzaną kaszą i barszcz nasz drogi, i kapuśniaczek opieprzony, a panie wojewodzine tak w kartonowych spódnicach z obwiązanemi głowy chodziły koło gospodarstwa, jakby nigdy jedwabiów nie znały.

Po wioskach tryb zwykłego życia był oszczędny i niewytworny, cały naród karmił się niemal jednakowo, i wyjąwszy prowincyonalne przysmaki, ulubione niektórym miejscowościom, wszędzie byłeś pewny jedno zastać na stole.

Zwykle arendarz dostarczał chudego wołowego mięsa, które rozwoził na wózku po sąsiedztwie, świece łojowe robiły się w domu, baran kożucha i pieczeni dostarczał, drobiu — wioska sąsiednia, ryby na piątek — sadzawka pode dworem, a chleba — własne pole. Kuchnia korzennych kondymentów nie wymagała wiele, skromnie ich używano; chrzan zastępował musztardę, pieprzu się nie objadano, koper stał za wanilią, — jedzenie było zdrowe, dostatnie, smaczne, ale niewykwintne, a przysmaki dostępne każdemu. Nie śniły się wówczas nikomu pasztety strasburskie i konserwy francuskie i angielskie pikle, bez których dziś żyć i trawić nie można...

Tak samo było ze strojem i mieszkaniem. Dwór ciepły, jak się patrzy, urządzony wygodnie, nie myślał umizgać się do gościńca i facyatę sobie stroić dla oka ludzkiego, krył się w lipowej ulicy, w kątku, przyparty do ogrodu, nie czwaniąc sobą. W środku sprzęt już to dobrze jeśli kolbuszowskiej był roboty, nie z palisandrów i mahoni, ale z olchy i z dębu, starą fozą, niepozorny, przecież dziś nam piękniejszym od naszych paryskich elegantów się wydaje. Jegomość spał na niedźwiedziej skórze, w wązkiem łóżeczku żołnierskiem, jejmość w kotarze na twardym materacu, dzieci na siennikach i słomie. Wiemy, że odzież wspanialsza przechowywała się, z ojca na syna przechodząc i kilku często pokoleniom służąc do uroczystości. Domowa kapota dała swe imię szaraczkowemu szlachcicowi.

Na codzień więc zimą kożuch był i szaraczek, latem kitel płócienny i pas z klamrą skórzany. Jejmość w spódnicy, z głową chustą związaną, pokryta chustą, nie wstydziła się u kołowrotka siedzieć z czeladzią i kluczów nosić u pasa. Jej

także jubki atłasowe i lamy złociste, w lat dwadzieścia świeże jeszcze, dostawały się córce w posagu.

Na każdy zbytku objaw, zwłaszcza u kobiet, wołali już Kochanowski, Opaliński, ale to tylko dowodzi, jak on w oczy uderzał i jak był niezwyczajny, jak się zarazy jego lękano.

Cóżby to oni, z grobów wstawszy, powiedzieli na nasze obyczaje dzisiejsze, na wymyślone potrzeby, na domy, stroje i stoły? Jakżeby się litowali nad stanem naszym nieszczęśliwym niewolników nałogu, hołdowników mody i kaprysu?...

Od najmniejszego do najwyżej stojącego wszyscyśmy przebrali miarę w zbytku i rozpustowali się, gdyby poganie. Porzuciwszy wszelką pracę, nazwyczaiwszy ciało do pielęgnowania i wygódek bez końca, trwożliwi na zimno, niewytrwali na gorąco, siedzimy zamknięci między czterema ścianami, drżąc od strachu, aby nam nie zabrakło czegoś tak ulubionego, jak starym Rzymianom mureny i pawie mózgi i ptasie języczki. Szukamy, czemby się jeszcze podpieścić, jakbyśmy na to zasłużyli. Z końca w koniec życie nasze to jeden ciąg używania, sybarytyzmu, przemyślań o coraz nowszych rozkoszach... Obowiązki nasze spełniamy tylko o tyle, o ile się pogodzić dają z nałogami, bo o poświęceniu najmniejszej cząstki zbytku dla nich niema już nawet mowy. Każdy zrozumie odrazu, że pan ubogiemu dać nie może, gdy za ten pieniądz potrzebuje sobie dogodzić. Nieborak umarłby bez smażonego imbieru, niech więc inny kona sobie bez chleba. Wielcy ludzie są światu potrzebn

Zbytek nie jest już występem uroczystym i wyjątkową chwilą, przeszedł w życie powszednie i stał się potrzebą.

— Panie — mówił mi z największą powagą pewien obywatel z powodu przygotowującej się zmiany stosunków włościańskich, — potrzeba sobie zawarować, żebyśmy sługi mieli! Możeż to być, bym ja był zmuszony w moim mozajkowanym salonie sam sobie rosół na kominku gotować?

Więc dlatego, żeby pan sam, uchowaj Boże, nie był zmuszony gotować sobie rosołu, trzeba zmusić człowieka do niewygodnego mu służebnictwa i popełnić niesprawiedliwość, poświęcić zasadę, zaprzeć się prawdy! Ale zmiłujcie się... Marszałek i smakosz taki, prażący sobie rosół w mozajkowanym salonie... Czyż można do tego dopuścić! Światby runął natychmiast!

Zbytek i znałogowanie do niego czynią nas równie logicznymi w niejednej okoliczności, nie śmiemy przypuścić zmiany życia, trybu obyczaju, skali, do której przywykliśmy, drżymy o siebie i wolimy popełnić niesprawiedliwość, niż cierpieć odrobinkę... Nie mówię już o tem, jak zbytek nas rujnuje materyalnie, o to mniejsza, jak nas od pracy odwodzi i niezdolnymi czyni do wszelkiego energiczniejszego działania, ale moralnie upadla nas i zabija.

Nie powiadam, żebyśmy do barbarzyństwa powrócić mieli, i oblec się w skóry baranie, ale to, co starczyło pokoleniom i wiekom, czyżby dla nas, zepsutych dzieci, miało być za mało?

Nasz chleb czarny straciłże swe siły pożywne? nasze mięso, wytuczone na łanach bujnych, soki, któremi karmiło? stare domy nie sąż już godne, byśmy pod nie wrócili? Trzebaż nam koniecznie i białej bułki i ryb zamorskich i niemieckich przyprawek i marmoryzowanych pokojów?

Zbytek czyni nas zależnymi, wyradza nałogi, zwiększa potrzeby, a wkońcu sam umysł przyzwyczaja do zapatrywania się na świat z ciasnego stanowiska prywaty, z którego nic prócz siebie dojrzeć niepodobna.

Dzisiejsze życie i obyczaj, porównane do dawnego, rażą zbytnictwem niesłychanem. Dom ubogiego szlachcica urządzony jest i utrzymywany na taką stopę, na jakiej nigdy nie stał nawet pański w dawnych czasach, powszedni żywot zjada to, co na wielkie razy zachować się było powinno. Zamiłowanie w zbytku nie ma nawet wymówki w upodobaniu piękna, gdyż po większej części błyskotliwy sprzęt nasz jest bez artystycznej wartości, drogo przepłacane fraszki świecą się tylko świeżością, a głupia moda przynosi je i wyrzuca.

Dawniej też była pewna miara i rachuba rozsądna, która, choć szlachcic na zagrodzie równy był wojewodzie, nie dopuszczała mu współzawodnictwa przepychu i zbytku ze starszym bratem. Dziś wszyscy żyją niemal jednakowo, i jeśli jeden niedorzeczność popełni, drugi go pewnie naśladować nie omieszka. Zle zrozumiana równość wiedzie do ruiny, i nikt nie chce swoją się pięścią mierzyć, mając za srom być uboższym od kogoś; nikt nie pojmuje, że godnie noszone ubóstwo daje blask, jakiego

żaden nie okryje dostatek. Wstydzą się tego, czemby się pochlubić mogli.

Zbytek to wyrodził największą plagę społeczną dzisiejszych czasów, komedyę w życiu i kłamstwo nieustanne. Udajemy bogatych, choćby z ofiarą przyszłości, udajemy wysoko urodzonych, udajemy wreszcie oświeconych ludzi, i ten snobizm rujnuje nas i upadla.

Nic niebezpieczniejszego nad fałszywe położenie, nic świętszego nad prawdę. Człowiek, który raz słowem lub czynem, postawą czy kieszenią skłamał, wchodzi na drogę, której nie widzi końca i nie domyśla się skutków. Radby później zatrzymać się, lecz musiałby w pokorze przyznać do fałszu, a mało jest ludzi, coby na to siłę znaleźli. Brnie więc dalej i dalej i dalej ku ruinie materyalnej, ruinie ducha i pada ofiarą często jednej nieopatrznej chwili próżności.

Niema wstydu, gdzieby go mieć należało, nie sromamy się wymawiać od najświętszych obowiązków; a fałszywy wstyd ubóstwa, pochodzenia, stosunków, krzywi nam i paraliżuje życie całe.

Niema już dziś tych wielkiego znaczenia ludzi, co mimo ciężkiego położenia i niedostatku w domu, mieli szacunek i poważanie powszechne, co w prostej odzieży wytartej rozkazywali aksamitom i złotu, bo nikt nie czuje się zdolnym walczyć z przesądem majątkowym.

Świecidełka życia stały się dla nas tak niezbędną potrzebą, i bądź naprzód staramy się o nie, wprzódy nawet niż o dostojność charakteru, niż o szacunek i powagę, wprzód niż o poczciwość. Dziwnoż, że z tej słabości korzystali ludzie, że nas spętały okoliczności, żeśmy dziś, udając możnych, istotnie zubożeli.

Stawiąc nowy dwór, nie chodzi nam o to, by w nim żyć wygodnie i zaciszno, patrzym naprzód, by go z traktu widać było, żeby się świecił, potem żeby miał salon pokaźny, żeby nie gorszy był od sąsiedniego pałacyku, a dopiero na ostatku na to, żeby było gdzie łóżko postawić. Ta komedya państwa nikogo przecie nie oszukuje, znamy doskonale jedni drugich, nasze kieszenie i interesa, ale wzajem przed sobą udajemy, żeśmy tem istotnie, czem się okazać chcemy. Straszny to już

znamionuje upadek, gdy ludzie, nie mając czem więcej się chlubić, imieniem i groszem tylko dobijają się znaczenia.

Słabostka też ta więcej mówi, niż się na pozór wydaje, świadczy o tem, jak nizko zeszliśmy w pojęciu życia i dostojności. Nikt charakterem nie dobija się wielkości, wszyscy chcą ją kupić majątkiem. Na groszu więc stoi wszystko — niestety.

W towarzystwach nie pytamy, kto jest ów człowiek i co uczynił, ale ile ma. Pytam, jaka jest możliwa przyszłość społeczności, która na takiej stoi posadzie? Wierzymy tylko w siłę grosza i mienia, jakby już innych potęg i działaczów nie było, a co gorsza sądzimy, że gdzie dostatku niema, tam go fałszywa zastąpić może moneta.

Stary Rzym upadł zniewieściałością, moralne każdego narodu zniszczenie od niej się poczynało; w ruinach państw, których dziś jeszcze dowody, że zbytek je strawił i przygotował ruinę. Od szarych sukni poczynała się era potęgi, na purpurowych kończyła; żelazo zdobywało, trawiło złoto.

Widoczne to i w dziejach naszych, bo z epoką upadku razem poczyna się zbytnictwo. Im głębiej ono schodzi do klas społeczeństwa, które podstawę jego stanowiły, tem bliżej jesteśmy ruiny. Zrazu zbytek krzewi się tylko w pałacach, powoli od nich przelewa się do dworów i szlachty, odejmuje siłę, osłabia, zobojętnia ich, jak Dalila obcina to, w czem była potęga, odejmuje ducha, krępuje. Panowie pierwsi zbytkiem się niszczą, szlachta młoda, co otaczała zbytników, z domów, co dawniej uczyły cnoty spartańskiej, wynosi nałogi miękkości i rozpusty, rozszerza zarazę i przygotowuje zniszczenie. Dla wygodnego życia, do którego się przywyka zrazu, poświęca się godność własną, potem poczciwość...

Jedni nie wahają się frymarczyć i żyć cudzą pracą, drudzy sumienie sprzedają... Podłością nieraz kupiona uczta wspaniała, ostatkiem wiary klejnot, który jutro wydrze rozpusta...

W latach, kończących wiek poprzedzający, patrzymy na sardanapalowskie bankiety ludzi, co jutro i przyszłość zjedli i wypili przez jedną noc szału... Lecz lepsiż my jesteśmy, i czy nas smutny przykład poprawił? Obejrzyjmy się, porachujmy, roztrząśnijmy postępowanie nasze.

Społeczność dzisiejszą na dwa wielkie można rozdzielić

obozy: w jednym jest samo zaprzątnienie zysku i grosza, w drugim — komedya dostatku i zbytek, choroba pieniędzy i zaraza rozpusty. Niekiedy dwie te słabości łączą się w jedną i pierwsza jest tylko przygotowaniem do drugiej.

Pieniądz i jego użycie oto wieku zadanie.

Nic się na to nie patrzy, że grosz zdobywa się kosztem godności, że zbytek kupuje się ofiarą przyszłości; nie mamy jutra i surowsze obowiązki zeszły nam z oczów.

Co gorsza, dorobiliśmy sobie wszelkiego rodzaju teorye do naszego stanu, teoryę utylitarną do handlarstwa i spekulacyi, teoryę estetyczną do zbytnictwa. Dziecię wychodzi z rodzicielskiego domu, wszystkiego się obawiając, rachując na pieniądz tylko, wiedząc z góry, że jeśli go mieć nie będzie, trzeba choćby posiadanie udawać, bo ubóstwo hańbi i wyłącza ze społeczności.

Przychodzą wielkie próby żywota, owe rozstajne drogi bajki, gdzie wybierać potrzeba: w prawo iść z torbami, lub na lewo w arlekińskim stroju; i na zarosłą drogę pracy, poczciwości, walki, nikt ani myśli.

Gdzież bo też siły do walki owej, do Horacyuszowskiego głodu i pragnienia poetów? Jakeśmy do nich usposobieni? Dziecię, miękko otulone, hoduje się w wonnych pieluchach, młodzieniec stroi się i kosztuje już życia, gdy się do niego nie wyrobił jeszcze; dojrzały mężczyzna traci smak do wszystkiego, wiarę we wszystko i zbladły wlecze się drogi ostatkiem, aby do końca tylko, wyszukując nowych wrażeń, których nie ma czem pochwycić. W dwudziestym roku wyżyty i zniszczony, człowiek nie ma dość wiary, by do jakiegoś szedł celu, sam siebie czyni ogniskiem świata i w obrębach dozwolonych poświęcić gotów, co go otacza, dla swej jednostki.

Ł) Dziecię Starego miasta (r. 1863).

Podajemy tu skreślony przez autora obrazek życia Warszawy w czasie pamiętnych wypadków lutowych r. 1861.

894) W ulicach panował spokój, ale zarazem czynność nadzwyczajna; młodzież przelatywała je rozgorączkowana, tryumfująca, ale poważna i pewna siebie. Porządek robiły dzieci, starsi słuchali. Ta władza nowa, której wojskiem i siłą wykonawczą był zastęp ledwo dorosłych chłopaków, tak była szanowaną, jakby rozporządzała niezliczonymi pułkami.

Zaledwie zaświtało, Jędrzejowa utrzymać się nie mogła w domu. Annie towarzyszyć jej nie było wolno; powlokła się do Resursy sama[1]).

Gmach ten zmienił się był na stolicę władzy bez żadnych oznak, które jej zwykle towarzyszą... wyborem wyszłej z ludu i spełniającej swe posłannictwo jako święty i ciężki obowiązek. Stara owocarka łatwo się dobiła do sali, w której kilku zmęczonych nocą bezsenną ludzi siedziało u stołu: duchowny, izraelita, kupiec, obywatel.

— Panowie! ratujcie! — zawołała od progu z wymową serca, najmniej wymownym przychodzącą z boleścią razem. — Chowacie umarłych, ocalajcie żywych; to pilniejsza jeszcze... Oddajcie mi syna! oddajcie mi syna!

— Co się stało z synem pani? — spytał duchowny.

— A, panie! posłuchaj, tyś kapłan... Ci panowie może są ojcami, pojmą... Ja mam jednego, jedynego syna. Na Starem mieście rąbnął go żandarm; zraniony ciężko, krwi stracił ogromnie; a wczoraj zerwał się z łóżka na strzały; poleciał i ranny drugi raz... Ja nie wiem; ludzie mówią, że go do cytadeli powlekli... Dwa razy ranny, czyż jeszcze więzić go trzeba? czyż jeszcze jest straszny?... Panowie! uwolnijcie go! uwolnijcie!

---

[1]) W gmachu Resursy kupieckiej zasiadał Komitet obywatelski, który od 28 lutego do kwietnia r. 1861 czuwał, przy pomocy straży obywatelskiej, nad porządkiem i bezpieczeństwem w mieście.

Wszyscy przytomni obstąpili płaczącą matkę, gorąco biorąc do serca jej prośbę, natychmiast zapisano nazwisko.

— Idź pani — rzekł duchowny — idź i bądź spokojną; syna jej wyprosim, uwolnim; dajcie nam na to tylko trochę czasu.

— Panowie, ależ każda chwila niepewności dla mnie to śmierć, to męczarnia!

— Bądź pani pewna — dodał drugi — że będziemy się starali oszczędzić jej każdą chwilę; zrobimy wszystko, co jest w naszej mocy. Niestety! moc to niewielka!

— Poparta pięciu ofiarami...

Ludzie spojrzeli po sobie i zamilkli. Stara prosta kobieta, z poetyczną swą mową, natchnioną, wydała się im bohaterką, skłonili przed nią głowy.

Ale tu nadciągały inne sprawy. Ludzie się mijali, tłum wypełniał sale, nie było czasu na rozmowy. Jędrzejowa popłakała, i słowem duchownego pokrzepiona, odeszła powoli.

Sama nie wiedziała, dokąd się obrócić, do domu? tam pustka nieznośna, on w cytadeli, oczy jej i dusza zwróciły się ku temu miejscu, ale się już na nogach utrzymać nie mogła, siadła do dorożki, której woźnica poznał, że wiózł nieszczęście — pojechała.

U wrót zatrzymała ją straż — nie wolno było wchodzić, obawiano się wpuścić nawet starą kobietę, bo lękano się wszystkiego.

Wtem, gdy biedna Jędrzejowa kręci się u wnijścia, nadbiegła druga dorożka od miasta z jakimiś urzędnikami. Jednym z nich właśnie był ów wicemundurowy, który przy rewizyi u Jędrzejowej takie dał dowody bystrości umysłu. Rzuciła się ku niemu.

— A! panie! tam jest syn mój!

— Aha! to waćpani już wiesz, gdzie jest? Łatwo się było domyślić, że prędzej, później musi się tu dostać.

— Dwa razy ranny!

— Szkoda, że tylko ranny — odparł bezduszny człowiek, bo pociechy z niego spodziewać się pani nie możesz.

Na te słowa odstąpiła Jędrzejowa, okrucieństwo urzędnika

zamknęło jej usta, poczuła, że prosić takiego szatana o litość byłoby występkiem.

Urzędnik poczuł także, iż zaszedł za daleko, że w imię władzy, którą piastował, obrażając najświętsze uczucia macierzyńskie, popełnił zbrodnię obrazy ludzkości — zmieszał się.

— Jakże pani wiesz, że jest ranny? — zapytał powolniej.

Kobieta już mu nic nie odpowiedziała, pojęła, że mówić z taką istotą, było to odzywać się do ściany. — Urzędnik zawstydził się, któż wie, może wpłynął nań stan ogólny rzeczy i myśl o tem, że naród i ból jego sam nawet rząd poszanował, zdając mu chwilowo władzę.

— Ale cóż to się pani gniewasz — rzekł widocznie skłopotany, usiłując za pierwsze swe grubijaństwo opłacić — mów-że pani, nie wiem, ale mógłbym jej przecie może coś pomódz.

Jędrzejowa spojrzała na niego z gniewem strasznym.

— Słuchaj — rzekła — ja nie wiem, ktoś ty jest, ale nic nie chcę od ciebie, nie masz serca ludzkiego, zraniłeś matkę i uczucie, które sam Bóg szanować przykazał. Jeżeli masz ojca lub matkę, oni cię kiedyś odepchną, jeżeli masz dzieci, one się ciebie wyprą...

Mimo zahartowania biurokrata zbladł jak chusta, drżał, bełkotał, przekleństwo to brzmiało w jego uszach jak wyrok nieodwołalny. Kręcił się, usiłował uśmiechać, ale wargi mu posiniały, a oczy pobladły.

Było to u wrót cytadeli, urzędnik stał jak wkuty, sołdaci, którzy nieco rozumieli, drżeli, patrzyli, czy kto kobiety pochwycić nie każe, ale biuralista zawrócił się, zagryzając wargi, i powoli wszedł przez most, zgnieciony tym anathematem.

Zepsuty, zardzewiały w tej atmosferze niszczącej, miał jeszcze coś ludzkiego w sobie na dnie, i, gdy Jędrzejowa powracała do domu — on powlókł się szukać jej syna.

Franek był w istocie w szpitalu cytadeli. Po strzale, który tyle piersi szlachetnych rozkrwawił, z przestrzeloną nogą upadł biedny na bruk, tracąc przytomność. Rzucili się go ludzie ratować, wniesiono do sąsiedniego sklepu, gdzie mu obwiązano nową ranę, a boleść go ocuciła; ale w tejże chwili policya i żołnierze pochwycili go zaraz, pociągnęli naprzód do zamku, skąd

go później odesłano do tego ogólnego magazynu, który się zowie cytadelą.

M) Rzym za Nerona (r. 1864).

Obrazy historyczne.

Obrazy te kreślone są w formie listów, jakie wymieniają między sobą osoby uczestniczące w akcyi. Podajemy tu list, stanowiący rozdział XIV utworu.

895) Sabina Marya — Zenonowi Ateńczykowi zdrowia.

List twój spokojny, pobłażający, serdeczny, zachęca mnie, bym ci dalsze mojego nawrócenia opowiadała dzieje. Zdaje mi się z niego, jak gdybyś przyznawał nauce, którą poślubiłam, owo Boskie jej pochodzenie, jakiego nosi piętno. Musi ona być istotnie Boską, bo szerzy się przeciwko wszelkim zwykłym prawom i warunkom, jakich inne potrzebowały do wzrostu; zyskuje prostaczków i mędrców. Wśród świata, wyżywionego najwykwintniejszą filozofią i nawykłego do najzręczniejszych sofizmatów, zwycięsko postępuje prostotą swą i wielkością, burząc, co napotka. Żywe słowo i czyn torują jej drogę; mało pisze i mało ma ludzi, coby pisać byli zdolni, lecz gdy natchnieni mówią, czujesz, iż w nich mieszka ów duch, który Sokratesowym demonem za Sokratesa czasów zwano.

Duch to jest z niebios, który człowiekowi daje więcej, niż Herkulesową siłę.

Słuchaj, Zenonie mój, i bądź równie pobłażający, jak byłeś dotąd, na wszystko, co posłyszysz. Zdaje się, że zgromadzenia w domu Gemellusa i Pudensa musiały być postrzeżone; schwytano kilku chrześcijan z poduszczenia kapłanów i zaczęto ścigać innych, na których padły podejrzenia. Musieliśmy więc, unikając zawczesnych ofiar, przenieść się z obrzędami i całem życiem religijnem do arenaryów.

Ponad Apijską drogą, w okolicach Watykanu i w wielu innych miejscach na kończynach miasta, odwieczne istniały wydrążenia podziemne, z których na budowę Rzymu kamień,

piasek i glinę dobywano. Nieraz one bywały schronieniem zbiegłych niewolników i złoczyńców, często nieszczęśliwych ubogich, którzy innego nie mieli dachu. Już w samych początkach prześladowania, dla swobodniejszego odprawiania ofiary i liczniejszego zgromadzania się bez niebezpieczeństwa, obrali chrześcijanie arenarya.

Krótko to wprawdzie trwało, ale one posłużyły za wzór do podziemnych krypt, w których odtąd zwykli się zbierać chrześcijanie, grzebać ciała swych zmarłych i swobodniej naradzać, uczyć, spoczywać. Słyszałam już o tych jaskiniach, bo Rzym wie o nich cały, chociaż ze wstrętem o nich mówi, z obawą się zbliża i omija raczej, niż nachodzi. Wnijścia są skryte, odległe... rozrzucone... Dziś to grobowe państwo śmierci jest światem naszym, tuśmy tylko wolni... Tu leżą zwłoki męczenników, zebrane pobożną dłonią niewiast, tu spoczywają zmarli nasi, tu może będzie kolebka nowego świata, i stąd wnijdzie słońce, które go oświeci.

Pojmujesz, że w baśniach ludu to tulenie się w ciemności i jaskinie musiało dać powód do obwiniania o szkarady; nie szczędzą nam też nieprzyjaciele obmowy.

Niełatwobym ci opisać potrafiła wrażenie doznane, gdym poraz pierwszy zstąpiła w otchłanie, jak Orfeusz bajeczny, idący do piekieł po Eurydykę. I my tu po Eurydykę — duszę naszą — schodzimy, aby wyrwać ją piekłu...

Niedawno poznałam Pomponię Grecynę, matronę rzymską, jak ja nawróconą, z której ogrodu tajemne wnijście, okryte bluszczem i winną latoroślą, prowadzi do Katakumb. Ona mnie razem z Rutą wwiodła w ten nieznany kraj ciemności i grobów...

Wszystkie miałyśmy lampy w ręku... Najprzód spuszczałyśmy się po wązkich schodkach kamiennych, potem zstąpiłyśmy na wilgotną ziemię do galeryi, nieforemnie w ziemi wykutej, i nią doszłyśmy do cmentarza... Ciała chrześcijan nie są palone, ale starym rzymskim i greckim obyczajem składane w ziemi. Nie zamykają ich w kosztowne sarkofagi, bo ciało znikome powinno się stać prochem, nim do nowego życia powróci... Jak w kolumbaryach naszych urny, tu w wyżłobieniach z obu stron galeryi leżą ciała, spowite całunami, a przy nich dla rodziny, aby się modlić mogła, dla wiernych, aby przypo-

mnieć ich zdołali, napisy na tablicach z marmuru, cegły, często na glinie tylko.

Tu są kościoły nasze... ale ich cele szczupłe i niezdobne; nie mamy ani posągów, ani marmurów, ani bronzów, ani kości słoniowej i konch perłowych, ani nic, coby przepych znikomy przypominało... Ofiara odbywa się na grobowcu męczennika lub kapłana, na prostym sarkofagu z kamienia, w małej izbie grobowej. Innych tu wyobrażeń nie znajdziesz nad te, które symbole wiary wyrażają. Ubóstwo i prostota panują wszędzie; kapłan nie wdziewa szat kosztownych, a kielich ofiarny z prostego szkła lub niedrogiego jest kruszcu. Lecz gdybyś widział tych ludzi i słyszał ich modlitwy, pieśni, nauki!... Jaki spokój na tych wypogodzonych twarzach! jaka pogarda cierpienia i niebezpieczeństwa! jaka miłość wszystkich ku wszystkim!

To społeczeństwo, które przygniata nas stopami swemi, po głowach chodząc naszych i urągając się nam, jakże licho i nędznie wydaje się przy ubogim gminie sług Chrystusa!...

Mimo licznego zgromadzenia, które przepełniło wszystkie krypty, bo w nich na kilku miejscach odprawiały się ofiary, cisza była tak głęboka, wielka, majestatyczna...

Ujrzałam tylko podniesione do góry dłonie modlących się i oczy zwrócone ku niebu, które czarne zasłaniało sklepienie. U wnijścia celi stali kapłani i starsi, po jednej stronie niewiasty, po drugiej mężczyźni, dalej bez różnicy stanu, ale wedle wieku tylko, sędziwi, młodsi i dziatki...

Pewnie cię dojdą jakieś o ofiarach i ucztach chrześcijańskich bałamutne opowiadania; nie wierzcie im... Proste to są ofiary, błogosławiony chleb, poświęcone wino, które kapłan kilku słowy wyrzeczonemi, siłą mu nadaną przez następcę Syna Bożego zamienia w krew i ciało Jego, na pamiątkę krwi Jego przelanej za ludzi, ciała umęczonego za nich... Tym chlebem i winem dzielą się wszyscy przytomni na znak braterstwa w Chrystusie, ale oczyściwszy dusze żalem za przestępstwa swoje...

Oto są agapy nasze, oto owe uczty rozpustne, o których tyle mówią... Maczamy usta w kielichu i pożywamy drobny złomek chleba...

Wobec tej uczty równi są wszyscy, byleby czystymi byli.

Nikt do ołtarza przystąpić nie może, skalany nienawiścią i zbrodnią.

Gdym tu poraz pierwszy poklękła, przypuszczona będąc do wspólnego stołu, łzy mi biegły po twarzy... Z jednej strony klęczała Pomponia, senatorskiego rodu matrona, z drugiej Egipcyanka niewolnica, dalej Żydówka i syryjska dziewczyna, i Ruta, i znowu córki Pudensa, na których twarzach szlachetne ich pochodzenie starożytne widoczne było na pierwszy rzut oka.

Wspaniały to był obrząd tych ludzi poraz pierwszy, jak świat jest światem, zrównanych...

Gdyby nowa wiara nasza nic więcej nad to nie przyniosła światu, jużby zaiste złamała barbarzyńskie tysiącowieczne zapory, co rodzajowi ludzkiemu tamowały swobodne jego rozkwitanie. Gdyby skruszyła tylko łańcuchy niewoli, jużby się objawiła Boską posłannicą. Gdyby zamiast prawa siły dała prawo miłości tylko, jużby niem musiała zwyciężyć.

Lecz przebacz mi, że mówię do ciebie, jak gdybyś już do nas należał. Czemuż tak nie jest?

Nic mniej podobnego do siebie nad te dwa światy: stary, szalejący na ziemi, nowy, modlący się pod nią... Człowiek, rodzina, społeczność zupełnie inaczej się tworzą w chrześcijańskim świecie. Tam panuje niewola, tu swoboda, którą tylko hamuje prawo miłości: — Nie czyń drugiemu, co tobie niemiło. Tam są tysiące praw dla stanów, dla ludzi, dla położeń, dla narodów — tu jedno. Tam wyjątki są dla uprzywilejowanych — tu niema ich dla nikogo; ani swobodniejszym jest najwyższy kapłan nasz od najmizerniejszego prostaczka. Co grzechem jest dla niewolnika, grzechem dla najważniejszego; najzupełniejsza równość moralna panuje między nami. Nie wyobrażaj jednak sobie barbarzyńskiej, zwierzęcej społeczności i stada ludzi: — mamy i my zwierzchników, przedniejszych, szlachetniejszych; ale patrycyat nasz daje rozum, cnota i miłość. Dobijać się go potrzeba czynem, nie obleka nim ani ludu okrzyk, ani dekret Cezara, ale męczeństwo, stałość, zasługa, wyższość rzeczywista.

Z pośrodka tego tłumu w chwili natchnienia wynijdzie głos z ust, na których żelazo rozpieczone niedawno upadlające kładło piętno; ozwie się niewolnik nieznany, — a słowo wielkie

czyni go przewodnikiem drugich: czyn miłości jedna szacunek, powagę, posłuszeństwo...

Wielu z pośród nas rozdało swe mienie między ubogich, sami zapragnąwszy ubóstwa, jako probierza cnoty i wytrwałości; inni codziennie się dzielą tem, co posiadają — z bracią. Jakże słodkie są te imiona siostry i brata! jak wiele znaczące! jaki spokój wlewają w duszę!

Po ofierze i podziale chleba, siedzący za ołtarzem na kamiennem krześle wstał, czując w sobie ducha, który mówić mu kazał... Żałuję, że ci słów jego powtórzyć nie potrafię; aleśmy wszyscy przejęci byli niemi i poruszeni do łez. Proroczo oznajmił nam zbliżanie się godziny wielkiej próby i męczeństwa, a razem kary na zatwardziałych w nieprawościach Rzymian i Nerona...

Zdawał się widzieć oczyma duszy zapalone stosy, krwią zlane cyrki, wznoszące się krzyże, i pobroczone miecze, i trupami płynące rzeki... Ale to, co innychby przeraziło, chrześcijan unosiło i rozżarzało, czuli się przeznaczonymi do utwierdzenia wiary, która inaczej niż w boleściach na świat przyjść nie mogła... Łzy mieszały się z wykrzykami radości; niektórzy całowali groby pierwszych męczenników, jakby się z nimi połączyć pragnęli co rychlej... inni ściskali krewnych, jakby przeczuwając pożegnanie, i mówili im: — Do widzenia się w niebie!!

Serce mi biło, Pomponia płakała, a gdy skończył się obrzęd, i wierni różnemi drogami rozchodzić się zaczęli, gdy i my powoli wydobyłyśmy się na światło dzienne, ta godzina modlitwy i ofiary w podziemiach wydała mi się jak sen, jak widzenie dziwne, i wrzawa blizkiego gościńca, płynącego życiem powszedniem Rzymu, uderzyła mnie wstrętliwie... Patrzałam, słuchałam z obrzydzeniem i zgrozą.

Spoczęłam w domu Pomponii, lecz musiałyśmy rozejść się rychło, ona już bowiem posądzona jest o chrześcijaństwo i wydana przez którąś ze swych niewolnic. Lada chwila więc, mimo wysokiego jej rodu, przyjść może oskarżenie, niewola, kara, której srogości za czasów Nerona nikt zmierzyć nie potrafi. Jego dzikość, podobnie jak pobłażanie, nigdy się przewidzieć nie może. Nie widzieliżeśmy go przebaczającego obelgę plującemu w oczy mu prawie cynikowi Izydorowi, a karzącego ludzi, co

mu nigdy nic nie uczynili złego, jak Torkwatus Silanus, który pokrewieństwo swe z Augustem życiem musiał przypłacić!

Poszłyśmy z Rutą do domu, a od tej pory niema dnia, żebym przez Pomponii winnicę lub inne jakie wnijście w naszych kryptach nie bywała. Tu nam najlepiej, tuśmy sami, i oko donosiciela nie wyszpieguje łez i modlitwy.

Otóż nasze c u b i c u l a, nasze biesiadne sale, nasze rozkoszne uczty... I my, jak owi Grecy, stawimy obok kościotrupy, lecz nie na to, aby nam *carpe diem* powiadały w tem rozumieniu, co uczniom Arystyppa, ale iżby znikomość życia przypominały co chwila.

Żegnaj mi, mistrzu mój! Gdybyś był duszy mej nie przygotował nauką swą do przyjęcia światła, nigdyby się dla niego nie otwarła. — Szczęście moje tobie jestem winna...

N) Program Polski.

Myśli o zadaniu narodowem (r. 1872).

Jako próbę poglądów politycznych Kraszewskiego i rad, jakie z okazyi stulecia pierwszego rozbioru skreślił w tym ostatnim swym występie publicystycznym, podajemy cztery ustępy końcowe tej niewielkiej broszury.

896) Zmiana w polityce naszej (jeżeli się to ma zwać polityką?) — jaka zajść powinna w r. 1872, a którą wskazuje usposobienie ogółu — zależy na wyrzeczeniu się protestów i lamentów, na przejściu ze słów do czynu. Tym czynem musi być odrodzenie wewnętrzne, krzepienie bytu, zachowywanie narodowości. Życia naszego na zewnątrz objawiać nie potrzebujemy, ni się godzi, bo ono wywołuje prześladowanie i tłumienie go.

W ciszy uroczystej stójmy na wszystkich wyłomach pracy, każdy tam, gdzie go zdolność powołuje, bo tu i najmniejsze ziarnko ma swą wagę i cenę... Zużyły się czcze manifestacye, wzgardzone protesty — sztucznych pobudzeń, hałaśliwego pa-

tryotyzmu czas minął. Życie nasze całe niemal zamyka się w ognisku domowem, u warsztatu, w pracowni... Skupiajmy siły w sobie, bo ich zanadto nie mamy, na zewnętrzne okazy nas nie stać, kosztują one szafunek ducha i czasu, a nieprzyjaciela budzą.

Wszystko, co polskie, jest dziś wszędzie prześladowanem, zdrowy rozsądek każe unikać ciosów, które pożytku nie przynoszą, a siły wyczerpują. Musimy się prawie taić, że żyjemy, dopóki dzisiejsza Dynamolatria [1]) nie przeminie, a prawda nie odzyska praw swoich.

Wszystkie części dawnej Polski wiąże z sobą język, obyczaj, wspólne wspomnienia; powinnaby też łączyć je miłość braterska. I z tem nie potrzebujemy się popisywać, ani manifestować, ale czynem tej jedności dowodzić... Niech Polak będzie w każdej dzielnicy Polski — odrazu swoim i jak w domu. Ale przybywając tam, niechże się podda kontroli domowego ogniska i karności rodzinnej.

To, co zepsute, zgniłe, rozprożnowane, oszalałe, samowolne, niekarne, musimy ująć w kluby, aby nam szkody i wstydu nie czyniło. Kto się odzywa o prawa braterskie, winien obowiązki przyjąć. Nawet zasługi dla ojczyzny, rany i służba nie uwalniają nikogo od pracy wedle sił i posłuszeństwa. Dla inwalidów cześć i chleb, dla trutniów nielitościwe odrzucenie lub surowy nadzór i poprawa. W obu razach — miłość, bo miłość surową być może, gdy jest prawdziwą i rozumną.

X.

Polska w czasie tysiącoletniego swojego pobytu była przeważnie państwem katolickiem i winna katolicyzmowi głównie cywilizacyę swoją. Katolicka nauka kościoła powszechnego u nas miała na sobie niezaprzeczenie charakter odrębny polski w formach, w jakich się objawiała, w pojęciu i przyjęciu tego właśnie, co w katolicyzmie Boskiem jest i świętem.

---

[1]) Tworząc ten wyraz, zdaje się, żeśmy koniecznej odpowiedzieli potrzebie. Znamionuje on epokę nową. *P. A.*

Nie grzeszył katolicyzm nasz fanatyzmem, a żył w zgodzie i tolerował obok siebie wszystkie inne religie i wyznania, począwszy od mahometanizmu Tatarów, aż do mozaizmu izraelitów, do anabaptystów, antitrinitaryuszów i aryan. Tu wyrosła nauka braci polskich, z której powstała braci morawskich i czeskich. Szukał polski duch w religii najszczytniejszych prawd religijnych i społecznych — katolicyzm ten przetrwał Polski upadek i przyszło mu bronić się syzmie, co go chciała zniszczyć, jako znamię cywilizacyi zachodu; protestantyzmowi, który go prześladował, jako znamię polszczyzny; nareszcie nawet austryackiemu katolicyzmowi, który w objęciach rządu tak się stał bezpłodnym, jak wszystko, czego tylko te nieszczęśliwe dłonie dotknęły.

Sprawa katolicyzmu długo była nierozerwanymi węzłami ze sprawą narodową związana; chociaż od roku 1860 dawna tradycyjna tolerancya polska, nie nadwerężając wiary, rozszerzyła pojęcie narodowości, niezależnem czyniąc od wyznania i dłoń bratnią podając innowiercom.

Zaszły wypadki, które Polski bezpośrednio wcale nie tycząc, dotknęły katolicyzm cały, a odbiły się u nas boleśnie. Kościół wszedł w walkę śmiertelną z wiekiem, dopominając się wyłącznego przywileju kierowania rozwojem ducha jego. Interes władzy świeckiej papieża, uważanej za podporę duchownej, zwichnął kierunek kościoła z drogi koniecznych reform na przebieżone już gościńce wsteczne.

Walka stąd wyrosła przyszła w nieszczęśliwej chwili, gdy my całych sił naszych na obronę własną potrzebujemy — i oderwała nam część ich pod pozorem sprawy religii, na korzyść Rzymu.

Z dobrą i złą wiarą pochwycono sprawę religii, wypotrzebowując ją na rzecz interesów doczesnych, a domagając się, byśmy jej sprawę narodową poświęcili. Przewódzcy kosmopolitycznego ultramontanizmu chcieli i chcą posługiwać się tą sprawą dla swych celów i idei.

Znaleźli opór w zdrowym instynkcie narodu i rozdzielili kraj na nienawistne, wrogie, na roznamiętnione obozy.

Czy religia i kościół zyskał co na wywołaniu wojny, na odepchnięciu pod rozmaitymi pozory tych, którzy panowaniu

jego absolutnemu poddać się nie mogąc, szanowali instytucyę, warując sobie wolność sumienia — przyszłość okaże. Drogą nam była pomoc duchowieństwa w sprawie narodowej, lecz zwierzchnictwu i narzuconemu kierunkowi poddać się nie możemy.

Nie przeto jednak rozdział i syzmę wywoływać, ani zrywać z kościołem. Nie pierwszy to raz przez ludzi wprowadzony na drogę fałszywą, zejść z niej będzie musiał.

Choć odpychani, trwać będziemy w spójni z nim, szanując wiarę i wszystkie jej obrzędy, zrosłe z życiem naszem. Nie skłoni nas to wszakże do zacofania się w ciemności średniowieczne, do wyrzeczenia się postępu, nauki, swobody i tolerancyi.

— Rozum i zdrowa rachuba każą w chwilach prześladowania nie rozdzielać się, ale skupiać, a walki we własnem łonie unikać. Wywoływania jej cała wina spada na tych, którzy, dla źle pojętego interesu kościoła, walczą bronią dla nich samych najszkodliwszą...

XI.

Tak samo jak spuściznę religijną poszanować należy i z kościoła się nie wydzielać — tak samo winniśmy zachowywać troskliwie wszelką inną, obyczajową, pamiątkową, językową, podaniową — od zatarcia, zapomnienia i zagłady.

Najlepszy przykład w tym względzie daje nam Anglia, gdzie dobrze zrozumiany postęp zawsze się opiera na podstawach przeszłości i, jak to dobrze wyrażono, jedną stopą stoi na niej, by drugą stawić na wyższe szczeble. Obyczaj narodowy przenosi z sobą Anglik wszędzie, nie wstydzi się go, nie zrzeka dla dziecinnego szyderstwa obcych, pozostaje sobą i jest tem dumny.

U nas, gdzie systematyczne prześladowanie niszczy wszystko polskie, ośmiewa, trzebi a pali co narodowe, zbrodnią byłoby przez lekkomyślność lub w jakibądź sposób posiłkować nieprzyjacielowi. Pamiątki a zwyczaje nasze są to znamiona instynktów narodowych, są to wskazówki, w których zamknięta myśl często długo leży spowitą, nim ją jaśniejszy umysł rozwinie i ukaże całą jej doniosłość.

Wiek XVIII śmiejąc się za szlacheckim stołem wznosił toast — »Kochajmy się«! głębszego w nim nie upatrując znaczenia, dziś my rozumiemy, że w nim leżało pragnienie przejednania i miłości wszystkich klas naszego społeczeństwa.

Dla nas, co tylko przeszłość przypomina, drogiem być winno z obowiązku — jeśli już dla serca być przestało — wszystko, co cechą polskości jest, co nas wyróżnia, co sobą czyni, zachować powinniśmy choćby tylko pod domową strzechą. Dla ogłady pozornej, dla niewyróżnienia się od ogółu, dla wrzekomego postępu (bo istotny tego nie wymaga) odzierać się z tych cech byłoby lekkomyślnością, szydzić z nich zdradą, ścierać je w dzieciach i nie przekazywać pokoleniom — występkiem.

— Godzi się to, co polskie, z tem, co postępowe i europejskie...

Z drugiej strony jednak, pod pozorem konserwatyzmu, chcieć do średnich wieków nawracać, ciemnocie apostołować, wychwalać czasy patryarchalne, które nigdy wrócić nie mogą, chybaby ludzkość na nowo swe dzieje rozpoczynać była zmuszona — zaślubiać śmierć — przyspieszyłoby tylko zagładę nieuchronną.

Polska w swej przeszłości, głębiej zrozumianej, ma zarody i zadatki przyszłości, które właśnie dziś są zadaniem wieku, a w nas były przeczuciem.

Między radykalizmem kosmopolitycznym, a konserwatyzmem ślepym i zacofanym — średnia a prawa droga stoi szerokim gościńcem.

XII.

Od kierownictwa wychowaniem narodu wszędzie odepchnięci jesteśmy, nie możemy wpływać na nie. Oprócz małego i sparaliżowanego udziału w niem przez Radę szkolną w Galicyi, wszędzie indziej rządy wychowują młodzież dla siebie, nie dla nas.

Cały system edukacyi publicznej wymierzony jest przeciwko nam, celem jego wynarodowienie. Pedagogiczne nawet

względy, zdrowe prawidła poświęcają się dla tego wykoszlawiania młodych latorośli.

Wychowanie więc pierwsze, od kolebki, u ogniska domowego, nabiera dla nas wagi niezmiernej. Lata dziecinne stają się dobą posiewu.

Dom naszą świątynią, przybytkiem, szkołą — pierwszym kapłanem jego matka, najwyższym stróżem ojciec.

Pod tą strzechą, jako mniej przystępną pokuszeniom, tulą się całe skarby nasze, wszystko, co mamy... co nam z rozbicia zostało.

Pod nią zamknięte — wspomnienia, zasady, przekazy przeszłości, prawa, tu stoi nasza arka przymierza...

Dom polski też świętym być powinien, a jakże świętymi winni być ci, co w nim lepszą przyszłość gotować narodowi prześladowanemu są przeznaczonymi!

Potrzebaż powtarzać, jak wielkie — spotęgowane powołanie kobiet naszych — współpracownic drogich, mających siły, jakich nic zastąpić nie potrafi — serca, miłość — uczucie!!

Jeśli często przyszło dziejopisom skarżyć się na niepojęcie zadania swego przez kobiety nasze, przy trupie ojczyzny skaczące w Grodnie z jenerałami krwią zbroczonymi — jakże wiele za to przykładów ofiarności ich dały nam ostatnie lata!

Od kobiety matki zależy dziś niemal cała przyszłość Polski — czystą ona być musi kapłanką; — samoistną, panią siebie, nie dającą się sprowadzić z drogi ani fanatyzmowi ani rozprzężeniu — musi trwać na stanowisku rodzicielki odnowionego społeczeństwa.

W niej matka dzieci, towarzyszka żołnierza, który bojuje, pani domu a opiekunka ludu; pośredniczka w przejednaniu i zgodzie zwaśnionych... być powinna.

Dom, dom dla nas wszystkiem — powtarzamy, świątynią, ołtarzem, szkołą, miejscem rady, warsztatem pracy, szpitalem, ochroną, ogniskiem światła i opinii...

W pięknym swym wierszu »Do matki Polki« Mickiewicz żądał po niej, aby syna uczyła męczeńsko a stoicko umierać; dziś my wymagamy od niej, aby go żyć a walczyć nauczała — a milczeć.

— Spartańsko trzeba uśmiechać się. Skargi tylko sła-

bość piętnują — litości nie żądamy — powinniśmy sobie zdobyć prawo do życia. Poczucie tego obowiązku ma cały ogół.

Jak wychowanie dzieci, tak oświata ludu jest zadaniem domu polskiego — poczynając od sług, a rozszerzając ten krąg, o ile on się tylko da rozciągnąć. Stawiane przeszkody samo życie uczy przełamywać lub omijać. Im mniej w tem form, a więcej serca, tem skutek pewniejszy.

Komu dla nauczania potrzeba formalnej szkoły, budżetu, ławek, tablic i pozwolenia, a bez tego nie potrafi nic — ten też nic nie sprawi. Szkołą być musi powszedni stosunek, dzień powszedni, rozmowa, zabawa, ochrona — szkołą służebnictwo...

Oświata udziela się wszelkiemi drogami, jeśli miłość nią kieruje, a oświata w duchu polskim to cała przyszłość nasza.

— Kto się lęka wykształconego proletaryatu i ratuje przywilej swój, nie pomnąc, że nam liczbę pracowników mnożyć potrzeba — ten Polakiem nie jest, ale zacofanym szlachetką.

— Szlachty zadanie dziś uszlachcać.

Obok oświaty idzie potrzeba stowarzyszeń wszelkiego rodzaju, które pracę ułatwiają, wiążą nas, zbliżają stany i ludzi, wspólność gruntują. W Prusach najniewinniejsze spółki już są prześladowane pod pozorem propagandy polskiej; bo tu propagandą i agitacyą zowie się, co tylko Niemcom zawadza, co nas utrzymuje przy życiu — a kto nie zabija, ten w oczach ich winien sądu.

Niech to będzie wskazówką obowiązku. Na usiłowania nieprzyjaciół patrząc, uczmy się, co zachować należy i co krzewić. W co oni uderzają, tego nam bronić potrzeba.

Stowarzyszenia, które nie jedną klasę, ale różne słoje społeczne łączą, największej są doniosłości. Cel jakikolwiek finansowy, handlowy, przemysłowy, gospodarski — to rzecz obojętna — główna, aby się ludzie zbliżali, łączyli, nawykali do uważania solidarnymi, a obowiązanymi do karności i ładu.

Na ładzie i porządku zbywało nam zawsze, małośmy się ich nauczyli smutnem doświadczeniem; jednostki butne gotowe były prowadzić choćby na niebezpieczeństwo, wstręt miały iść posłuszne, choćby do tryumfu. Fantazye osobiste wyrastały u nas do potwornych rozmiarów, z niemi rosło warcholstwo

ambitne; *liberum veto* wpiło się w życie i obyczaje, wyrugować nam je i wytępić należy. Niech każdy członek społeczności umie się poddać dla dobra ogółu woli ogółu...

Mnożyć rozdwojenia przez miłość własną, dla fantazyi, popisu, rozgłosu — to zdradzać sprawę. Opinia surową być musi.

* * *

Cóż więcej.

To cośmy tu w jak najkrótszych starali się zebrać słowach, starczy, jeżeli ich znaczenie do serca wziąć zechcemy. Zakres pracy naszej na oko szczuplejszy, cały we wnętrzu ukryty — ale ona ma nas organicznie przetworzyć, odrodzić, uczynić z nas jednolity naród, karny zastęp, — wojsko zdrowe i silne. Pracujmy na to, by — żyć — przyszłość dokona reszty.

Drezno, 5 sierpnia 1872 r.

O) Morituri (r. 1872).

Podajemy tu z tej znakomitej powieści obraz rodziny książąt Brańskich, których ruina, wywołana niezdolnością przystosowania się do nowych warunków ekonomicznych i społecznych, jest przedmiotem utworu. Rzecz dzieje się w r. 1850.

897) Wyczekawszy z pół godziny na samotnem rozmyślaniu, Hartknoch doczekał się nareszcie razem ze świecami, które służący wniósł w srebrnych staroświeckich lichtarzach, powrotu plenipotenta, oznajmującego uprzejmie, iż książę Robert i całe towarzystwo oczekuje pana mecenasa. Herbata miała być razem z wieczerzą około ósmej, godzina ta się zbliżała, a wieczór był piękny i pogodny. Gozdowski zaproponował małą po ogrodzie przechadzkę. Wyszli tedy. Tuż za dworkiem ozdobna furtka w murze, od której klucz miał plenipotent,

wprowadziła ich do rozległego, na pół francuskiego, pół angielskiego pałacowego ogrodu, pełnego szpalerów, przepysznych starych drzew i cieniu... Stąd już tylną facyatę pałacu, przerobionego za czasów Stanisława Augusta, widać było. Wznosił się on na wzgórzu, z kolumnadą wspaniałą, galeryami, posągami, i wazonami na szczytach, patrząc na zieloną łąkę, rozścielającą się u stóp jego, a dalej na ogromny i piękny staw, poza którym ciągnął się jeszcze park, później założony, z wcielonym do niego lasem. Kilka posągów, zepsuta fontanna, ławy i stoły kamienne przyozdabiały ogród rzeczywiście wspaniały, ale już nie tak utrzymany, jakby jego piękność wymagała. Trzymał się on tem, że ścieżki, wydeptywane przez wiek cały, niebardzo zarastały, a suche gałęzie drzew, opadające na trawniki zdziczałe, wybierano na kuchnię. Wszystko, co ładu wymagało — opuszczone było i jakby zapomniane. Wszakże bliżej pałacu rosły jeszcze świeżo znać posiane piękne kwiaty, ganek obstawiony był ogromnemi drzewy pomarańczowemi, laurowemi i granatami. Czoło pałacu z kilkudziesięcią oknami od tej strony oznajmowało gmach bardzo obszerny, już nieco zabrukany i z tynków odarty, ale cały zamieszkany... Pomimo, że na dworze jeszcze było dosyć jasno, w oknach, pierwszego piętra szczególniej, gorzały już światła rzęsiste. Około pałacu kręciło się mnóstwo służby, niezbyt potrzebnej, bez której żaden dwór większy obejść się nie umiał. Gozdowski, oprowadzając gościa i umiejętnie pokazując mu piękności rezydencyi, badał wrażenie, jakie ona czyniła na nim, i starał się je zwiększyć swem opowiadaniem o książęcym dworze.

— Wszystko to, jak pan dobrodziej widzisz — mówił — choć jeszcze wspaniale wygląda i na pańską stopę jest utrzymywane, niczem jest przy tem, co książęta mieli dawniej i czem dawniej byli. W tym majątku dopiero od stu lat mieszkają, straciwszy przez nieszczęśliwy skład okoliczności prywatnych i publicznych ogromną fortunę. Są to tylko resztki — dodał — ale, wedle przysłowia — pańskie ostatki lepsze niż szlacheckie dostatki. W Bogu nadzieja, że się z chwilowych trudności podźwigniemy — bo, i to dobre przysłowie, że więcej ma Pan Bóg, niż rozdał. Ażebym panu dobrodziejowi — mówił ciągle dalej — ułatwił poznanie osób, w których towarzystwie wieczór

spędzić mamy, nie zawadzi, gdy mu do rodziny należące wyliczę. Głową rodu, jak panu wiadomo, jest nasz szanowny i czcigodny książę Norbert, niegdy szambelan J. K. M. już osiemdziesięcioletni starzec, choć mu, spojrzawszy nań, niktby tego wieku nie dał. Naszą anielską księżnę jejmość straciliśmy już od lat wielu. Książę szambelan nie zajmuje się już niczem, zdawszy na syna wszystko... Zatem idzie młody książę Robert, nasz dziedzic i pan, który służył wojskowo, a teraz po trosze się zajmuje bieżącemi sprawami, w czem ja mam mu honor dopomagać. Mamy też gwiazdę naszą, siostrę księcia Roberta, księżniczkę Stellę, anioła piękności i dobroci... warta tronu — dorzucił z zapałem Gozdowski. Z braci starego księcia zamieszkuje przy nim pan generał Hugon, kawaler maltański, którego pan wieczorem zobaczy, a jest też przybyły w gościnę j. m. ks. sufragan, świątobliwy kapłan... To są panowie nasi, dworu zaś nie będę wyliczał, chyba panu przy sposobności moich przyjaciół przedstawię.

— O! panie dobrodzieju! — odezwał się mecenas — ja tu bawię tak krótko, iż mi trudno będzie korzystać z jego uprzejmości.

Domyślając się poniekąd formalności, jakie go tu spotkać mogą, mecenas, zważywszy spóźnioną porę, wziął był szczęściem frak, a białe rękawiczki miał zawsze na pogotowiu w kieszeni, i to go wyratowało, bo nawet Gozdowski przenoszone, popielate wydobył zawczasu. Godzina się zbliżała, podeszli więc ku pałacowi, lecz że Gozdowski szedł z nieznajomym, etykieta mu nie dozwoliła wnijść od ogrodu, musieli więc okrążyć gmach i paradnem wejściem po szerokich kamiennych wschodach dostali się do przedpokoju.

Służby wszędzie było mnóstwo, w liberyi z herbownymi pasami, w trzewikach i pończochach.

Tłumaczył to wprawdzie ów dzień uroczysty. Z przedsienia weszli do wielkiej sali białej ze złotem, w której jeszcze było pusto; głosy gości dochodziły z prawej strony, gdzie już wszyscy w mniejszej bawialni byli zgromadzeni. Pokój ten, a raczej salon z zielonem obiciem, przedstawiał w tej chwili obrazek, jakby z dawnych, lepszych czy gorszych, lecz wcale innych czasów. Sprzęty wszystkie były tu z XVIII wieku, pięk-

nie utrzymane, ale dosyć wytarte. Za stołem, okrytym wspaniałą mozajką florencką, siedział w fotelu z poręczami stary książę z ks. sufraganem. Wysoki, słuszny, sztywny mężczyzna, z włosami białemi, długiemi, na tył zaczesanemi, w surducie czarnym, bardzo wykwintnie zrobionym i z kilką wstążeczkami orderowemi u guzika, przechadzał się, ręce trzymając w kieszeni, wzdłuż salonu. Był to kawaler maltański, generał Hugo.

Fizyognomie wszystkich trzech zgromadzonych tu braci miały do siebie wielkie familijne podobieństwo. Najpiękniejsza z nich jednak była twarz blada, poważna, o rysach nadzwyczaj delikatnych i szlachetnych, księcia szambelana Norberta. Rysy jego oblicza odznaczały się tem, cośmy arystokratycznem zwykli nazywać. Czoło obnażone, białe, lśniące jak kość słoniowa, nos rzymski, suchy, usta, mimo wieku, ślicznego rysunku, którego lata zepsuć nie mogły, owal twarzy regularny, oprawa oczu przepyszna, całość wreszcie, jakby dla malarza stworzona, ściągały wzrok i obudzały mimowolny jakiś szacunek i poważanie. Starzec ten, znać to było, sam się bardzo szanował i dbał o to, aby go szanowano. Ubranie szambelana, mimo późnego wieku, staranne było bardzo i ze smakiem dobrane do twarzy i postawy; suknie miał czarne, chustkę białości śnieżnej i takąż kamizelkę, a przy rękawach koszuli świeciły wielkie guzy ametystowe. Podobne oblicze, ale ogorzałe nieco, więcej marsowego wyrazu, chmurniejsze, ostrzejsze, mniej delikatnie narysowane, miał brat szambelana, kawaler maltański, generał Hugon, w którego obcisłym stroju, chodzie, ruchach znać było żołnierza. Wąs poczerniony, podkręcony do góry, czarne brwi, przy siwych, do góry podczesanych włosach, nadawały mu postać marsową. Chodził też bez ostróg, jakby chciał ostrogami brzęczeć, zwracał się całym sobą i sztywny był, jak młody rekrut. Najmniej podobnym do obu braci, choć z fizyognomią tego samego stylu i kroju, był ks. sufragan, siedzący w fioletach przy szambelanie... niższy od starszych swych, nieco ułomny, bo jedno ramię miał wyższe; na twarzy smutnej wyraz miał trosk przebytych i walki z życiem, cerę żółtą, oczy zgasłe... Utrata zębów zmieniła mu kształt ust i skróciła twarz. Roztargniony, zamyślony, posępny, potrzebował nieustannych powtórzeń i przypomnień, aby toku rozmowy nie zgubić.

Oprócz tych trzech osób znajdował się w salonie spadkobierca jedyny imienia książąt Brańskich, były rotmistrz huzarów, nadzieja rodziny, książę Robert. Postać ta ze wszech miar zasługiwała na baczne wejrzenie, już pięknością swą i szlachetnym wyrazem, już powagą niezwykłą i inteligencyą, która z jej oczu błyskała. Typ był to ten sam, jaki starsze przedstawiało pokolenie, lecz ożywiony, oświetlony wyższem wykształceniem i twardszemi zadaniami życia, z któremi łamać się musiał. Pewien rodzaj spadkowej dumy, ale spokojnej i zamkniętej w sobie, otaczał ją aureolą — nosił ją książę raczej z obowiązku i jako ciężar włożony na ramiona, niż z własnego poczucia jej potrzeby. Pomimo dobiegających lat czterdziestu, był to jeszcze piękny, młody, żywy, pełen ognia człowiek, którego wychowanie uczyniło nie salonową lalką, ale można było rzec — ideałem wyższego świata. W tej postaci całej napróżnobyś szukał nuty fałszywej, dźwięku jakiegoś niesfornego; co w niej było słabością ludzką, pokryło się tym werniksem ogłady, poza którym nic dostrzedz nie można. Książę Robert na pierwszy rzut oka podobać się musiał, i nikt się nie dziwił, że o jego powodzeniach w wielkim świecie stolicy prawiono cuda. Zbudowany jak Antinous, z twarzą Apolina belwederskiego, wychowany w domu, w wojsku i na pierwszych salonach europejskich, do wszystkiego, cokolwiek spotkać go mogło — zdawał się męskiem obliczem wyzywać losy, by mu odebrały ten spokój i pogodę, którą świecił i uśmiechał się zwycięsko. Wszystko, co włożył, wydawalo się na nim wytwornem i pięknem, w najprostszem ubraniu odznaczał się elegancyą i smakiem — słowem była to jedna z tych istot wybranych, któremi arystokracya krwi poszczycić się może. Co więcej, powierzchowność ta nie kłamała, jak utrzymywali ci, co go znali; książę Robert był w swoim rodzaju, ze swemi pojęciami, teoryami, przesądami nawet, niepospolitym człowiekiem. Ani go porównać można było do innych typów, blizko pokrewnych ślepem naśladownictwem, wyrobionych twardym młotem pracowitego wychowania — książę Robert był sobą, miał coś odrębnego i samoistnego, co go wśród tysiąca odznaczało, lecz razem z tem widać w nim było zupełne życiem złamanie i zobojętnienie — uśmiechał się bez wesela, mówił nie rozgrzewając, ubolewał bez bólu — zda-

wał się znudzonym i dźwigał się tylko z obowiązku. Mało co go obchodziło w istocie, choć wszystkiem przez grzeczność zajmować się zdawał. Gdzieindziej była dusza jego i myśli.

Gdy pan Gozdowski wszedł, prowadząc mecenasa za sobą, Robert, który zdawał się oczekiwać na ich przybycie, zbliżył się pierwszy na powitanie gościa i z wyszukaną grzecznością pańską sam poszedł go ojcu, ks. sufraganowi i stryjowi generałowi przedstawić. Szambelan podniósł się nieco z krzesła, skłoniwszy protekcyonalnie głową, ks. sufragan pozdrowił ręką, generał skłonił się zdaleka. Mecenas, mimo nawyknienia do ludzi, po tym wstępie uczuł się jakoś zmieszanym, poczuł bowiem, że w towarzystwie, do którego wszedł, musi pozostać obcym, choćby nawet trochę zuchwale głębiej się w nie chciał wcisnąć. Oczy trzech braci patrzyły nań wyraźnie, jak na przybysza i natręta, którego cierpieć się musi do czasu... Szambelan, dopełniając obowiązków grzeczności, zapytał, co słychać w stolicy, nie dosłuchał odpowiedzi, i rozmowa przerwana z ks. sufraganem o dawnych czasach ciągnęła się dalej. Robert tylko z panem Gozdowskim w odwodzie stał przy panu mecenasie, nie opuszczając go, a po chwili zbliżył się do nich generał.

Rozmowę jednak zawiązać było ciężko. Trzej starsi panowie należeli do innego wieku i świata... Mecenas był tu cudzoziemcem, nie umiejącym języka i nie znającym obyczaju. Parę razy zagadnął go książę Robert, dodał coś Gozdowski, aby rozmowę ogólną uczynić, ozwał się i mecenas z wielką pewnością siebie, ale sam, słuchając tego, co powiedział, zrozumiał, iż śpiewa nutą fałszywą — zamilkł więc.

Położenie stawało się dosyć przykrem dla wszystkich, szczęściem otwarły się drzwi zamknięte bocznego salonu, zwanego małą salką jadalną — podano herbatę, i całe towarzystwo sposobiło się przejść do stołu... to ocaliło mecenasa. Szambelan, uśmiechnąwszy się i skinąwszy grzecznie głową gościowi, jakby go chciał przeprosić, wziął sufragana pod rękę, wiodąc go przodem, Robert zbliżył się do mecenasa, stając z nim w parze, nareszcie Gozdowski, który się był zagadał z generałem — nieco opodal i spóźniony za towarzystwem pociągnął. Otwarte szeroko podwoje do rzęsiście oświetlonej salki owalnej z kolumnami

dokoła dozwalały wchodzić parami, co uwalniało od ceremonii na progu.

W salce marmoryzowanej ludniej było niż w pierwszym pokoju — mecenas ciekawe oczy zwrócił na znajdujące się tu osoby i zrozumiał, że bez tłumacza a przewodnika zoryentować się nie potrafi. Odgadł tylko jedną księżniczkę Stellę, której został przedstawionym przez brata, reszta osób była dlań zagadką.

Nie przesadził wcale pan Gozdawa Gozdowski, zowiąc Stellę gwiazdą... była to nawet jedna z gwiazd pierwszej wielkości, jakie się rzadko na horyzoncie chmurnych czasów naszych w całym blasku zjawiają. Jak książę Norbert był znakomitym typem arystokracyi rodu, bez najmniejszej skazy i śmieszności, które często wybranym towarzyszą — tak księżniczka Stella wydała się mecenasowi czemś nadziemsko pięknem i idealnem. Słusznego wzrostu, kształtna, pełna wdzięku w ruchu każdym, twarzą przypominała księżniczka angielskie illustracye do dramatów Shakespeara, była nieprawdopodobnie piękną.

Ale piękność taka regularna, klasyczna, nie opisuje się, i gdyby nią tylko odznaczała się siostra ks. Roberta, niby już o niej więcej powiedzieć nie można; piękności rysów wszakże towarzyszył tu wdzięk i urok pełen dobroci i słodyczy, — na pierwszy rzut oka poznać było można, iż nie była młodziuchną, ale jeszcze w kwiecie dziewiczej młodości... Coś smętnego w oczach i ustach pociągało ku niej bardziej jeszcze. Cichy, harmonijny głos, którym przywitała mecenasa, do reszty mu głowę zawrócił. Śmiały zwykle i w żadnem towarzystwie nie czujący się obcym Hartknoch, z upokorzeniem własnem — gniewając się sam na siebie — czuł, że tu musiał się straszliwie plebejuszowsko i gminnie wydawać. Ruchy jego, zwykle zuchwale swobodne, stały się sztywne i śmieszne... sam to rozumiał. Jakkolwiek ciekawy przypatrzyć się zblizka temu dworowi zaczarowanemu, jakby z bajek tysiąca nocy wydartej karcie — Hartknoch myślał, że im prędzej się stąd wyrwie, tem będzie lepiej... Jątrzyło go to, iż się znalazł na świecie kątek, w którym on — co się miał za równego wszystkim, mógł tak się czuć nie swoim. Radby był zaprzeczył temu, czego doznawał, ale rzeczywistość cisnęła

go żelazną ręką... W chwili, gdy najmniej wiedział, co ma robić z sobą, z kapeluszem, z nogami, głową... nawet z językiem, Gozdowski wziął go pod rękę, począł rozmowę cichą i wyratował z tej toni... O trzy kroki odszedłszy, mecenas czuł się już na lądzie i bezpiecznym.

Dopiero powiódł wzrokiem po reszcie towarzystwa. Zasiadano do stołu i herbaty, osób było sporo, prócz już wymienionych — Gozdowski podjął się sumarycznie obeznać pana Hartknocha z tym światem. Przy księżniczce Stelli, bardzo piękna także panienka jej wieku zajmowała się gospodarstwem. Przypadała ona do tego towarzystwa, a jednak nie można było powiedzieć, żeby do niego należała. Coś było poufalszego, bardziej ziemskiego, zrozumialszego w pięknej jej, ożywionej twarzyczce, bystro patrzących oczach, uśmiechu, białych ząbkach, rozmowie śmiałej, zręcznej i jakby obowiązkowej, którą wszystkich zabawić się starała. Mówiła za siebie, za księżniczkę, interpelowała, począwszy od ks. sufragana, wszystkich, rzucała pytania, dawała odpowiedzi, słowem wzięła na siebie urząd mistrza ceremonii przy herbacianej rozmowie. Jedną ręką podawała filiżanki, drugą dawała znaki, usta się jej nie zamykały, oczy biegały po przytomnych; niezmordowana, wyręczała, podpowiadała, pomagała każdemu.

Mecenasowi łatwo się w niej było domyślić towarzyszki księżniczki, obytej z domem i ostrzelanej z jego etykietą, spytał jednak, kto była ta śliczna i tak miła panienka.

— Patrzaj no pan tam dalej, poza generała — rzekł Gozdowski — zobaczysz tłustą, poczciwą, rumianą twarz szlachcica z długimi wąsami, który sobie pot z czoła ogromną chustą ociera, poglądając z zachwyceniem na naszą pannę. Jest to rodzony ojciec panny Antoniny, od lat dwudziestu dzierżawca części dóbr książęcych, pan Grzegorz Zubra... Panna Antonina wychowała się z naszą gwiazdą razem i od niej tego nabrała blasku. Tuż za ojcem masz waćpan chmurnego młodzieńca, rodzonego jej brata, pana Zenona Zubrę, doktora praw i administracyi... wielce uczonego jegomości, który tu z nami dlatego może gadać nie raczy i zawsze nam taką twarz pochmurną przynosi.

Jestem pewny, że gdyby go tu ojciec gwałtem nie przywiózł, z dobrej woliby nie przyjechał...

Mecenas, widząc, że trafił na drażliwą materyę mimowoli, zamilkł, nic nie odpowiadając, ale spojrzawszy na owego pana Zenona, poczuł w nim jakby brata i sprzymierzeńca. Obaj do tego świata nie należeli. Obiecał sobie po herbacie zbliżyć się do niego i zapoznać. Oprócz dwóch panien, starsza od nich, zakonnie jakoś wydająca się, w sukni czarnej pod szyję, już niebardzo młoda, stała milcząca trzecia kobieta, twarzy dość przystojnej, surowego wyrazu, pochmurna. Pomagała ona nieco przy gospodarstwie herbacianem, ale jakby roztargniona i z obowiązku.

— Ta panna — rzekł, wskazując Gozdowski — to krewna książąt, wprawdzie daleka i uboga, lecz zawsze należąca do familii.

Dobra bardzo osoba ta panna Marcyanna; ona się tu opiekuje szpitalami, apteką, chorymi i kaplicą. Bardzo pobożna, księżniczka ją ceni i kocha.

Męska strona stołu obsadzona była jeszcze wielu figurami, w których mecenas bez komentarza domyślił się łatwo rezydentów wszelkiego rodzaju, bez których żaden dwór większy istnieć nie mógł. Pierwsze tu miejsce zajmował milczący, rumiany, nieśmiałych ruchów i wejrzenia kapelan-Bernardyn, ks. Serafin. Nie odznaczał się on niczem tak dalece, chyba zdrowiem, którem okrągła twarz jego tryskała... Gdy drudzy zajęci byli wstępną rozmową, ks. Serafin chleb swój rozkroił, masło przysunął i zabierał się smarować kromkę, na którą miał apetyt. Za nim siedziała, głową od niego wyższa, z szyją niezmiernie długą, suchą, kościstą, figura Don Kiszotowska, z wąsami miotlastymi, na dwa świata przeciwne bieguny zaczesanymi, nieco łysa, długoręka, wyprostowana, żołnierska... Kresa przez czoło biała, jedno oko zmrużone na wieki, mówiły o przeszłości spędzonej czynnie i żwawo. Był to pan Polikarp Wincentowicz, który się długo błąkał po świecie, dopóki się tu na łaskawy chleb nie dostał. Powierzony on sobie miał departament łowiectwa, psy, konie, myśliwstwo i najczęściej do stołu nie przychodził, tak był zajęty lasami i dzikiemi zwierzęty — ale na dziś uczynił wyjątek, bo to był dzień uroczysty. Robił też czasami

fajerwerki ku uciesze dworu i miał się za pierwszego w Europie mistrza ogniów sztucznych.

Na ostatek siedział na szarym końcu, nie dobijając się lepszego miejsca, człek niepozorny, ubrany ubogo, ze wstążeczką legii honorowej u guzika... Nikt na niego nie patrzył, i on raczej się zdawał unikać wzroku, nie chcieć go ściągnąć na siebie. Był i to też stary żołnierz jakiś, któremu dom otwarto, gdy żadnego nie miał.

Tak złożone towarzystwo zasiadło do okrągłego stołu, rozdzielając się na kilka gronek prowadzoną rozmową. Szambelan wciąż jeszcze opowiadał coś ks. sufraganowi, który pochylony nad stołem, słuchał go, zdając się niesłyszeć i nie rozumieć; generał zaczepiał pannę Antoninę, Stella wypytywała brata o coś po cichu. Wszystkich oczy z kolei biegały ku nieszczęśliwemu mecenasowi, zdając się pytać, kto to był i co tu robił — bawił go jeden tylko Gozdowski, który może umyślnie do niego się przysiadł... Rozmowy niepodobna było uczynić ogólną, bo głowa domu nieprzerwanie po cichu zabawiała opowiadaniem ks. sufragana.

— Wszak pan wprost jedzie z Warszawy? — odezwała się, rozdawszy herbatę i siadając do swojej filiżanki, panna Antonina, której miejsce przypadło wprost naprzeciw mecenasa.

— Tak jest, pani — odpowiedział wyzwany, — ale zatarł mi się obraz stolicy najprzód widokiem kraju, którego dawno nie widziałem, potem pobytem w Lublinie, chociaż bardzo krótkim...

— I zapomniałeś pan tak zupełnie — przerwała panna Antonina — że nam nic o niej powiedzieć nie potrafisz?

— Nic — oprócz tego, że w lecie jest pustą, bo my mamy zwyczaj wszyscy wyjeżdżać na wieś lub za granicę, a miasto w lecie stoi zwykle pustkami. Tylko tacy jak ja niewolnicy interesów skwarzą się w murach przez kanikułę.

Panna Antonina, snać spodziewająca się bardziej ogólnikowej odpowiedzi, spojrzała z uwagą na mecenasa, a oko jej zaczęło go baczniej wybadywać. Widać było, iż z kilku tych słów lepszego o nim nabrała wyobrażenia, ale rozmowa tak niefortunnie poczęta przerwała się, i oczy ją tylko przeciągnęły dłużej nieco.

Gozdowski znów podjął się gościa zabawiać — szambelan wreszcie długie opowiadanie swe cichem jakiemś zwierzeniem do ucha ks. sufraganowi dokończył i zwrócił oblicze pogodne ku dworowi i gościom. Wszyscy umilkli, domyślano się, iż stary będzie kogoś interpelował.

Począł od ks. Serafina.

— Dziękuję ojcu za szczupaka — rzekł — co szczuka, to szczuka, niełatwo o takiego teraz... Dawniej, pamiętam, trafiały się olbrzymie, dziś to wszystko zmarniało...

Bernardyn się rozśmiał.

— Niema za co — zawołał — *de tuis donis tibi offerrimus*; toż to z książęcych wód tak mi się go w porę pochwycić udało... ale że nieszpetny był, to prawda, i o mało mi niewodu nie rozerwał... Ledwieśmy go na brzeg wydobyli.

— Osobliwość rzeczywiście na teraźniejsze czasy — dodał książę szambelan; — dziś ani porządnego szczupaka, ani kozła rogacza nie napotkasz w lesie. Nieprawdaż, panie Wincentowicz? — rzekł, zwracając się do wąsacza. — Dawniej u nas jelenie bywały, budowano dwory i kościoły modrzewiowe, łosie chodziły stadami, a dziś... a dziś wszystko drobnieje, marnieje, schodzi i ginie.

Nikt nic nie odpowiedział, tylko generał, pokręcając wąsa, zaśpiewał cienkim jakimś głosem, osobliwie odbijającym od jego marsowej postawy.

— Niech sobie co chcą gadają, *ma foi*, świat materyalnie i moralnie w upadku, to nie potrzebuje dowodzenia. Ludzie mówią o postępie, gdzie postęp? jaki? co? Odkopujemy mamuty i słonie tam, gdzie teraz o cielaka trudno, ludzie drobnieją i z pozwoleniem, parszywieją (wyraz ten powiedział po cichu), wszystko do góry nogami! — Ruszył ramionami generał... — Koniec świata! koniec świata!

— To pewna — szepnął Bernardyn — że z Apokalypsy i ze wszystkich przepowiedni, ze wszech znaków przyjście antychrysta blizkie.

Antychrystem tym wszystkim usta zamknął, i nikt się nie sprzeciwił.

— Gdyby co weselszego udało się wprowadzić w rozmowę — szepnęła księżniczka, mrugając na brata.

Książę Robert ramionami ruszył. Nastąpiło milczenie. Szambelan dopiero teraz, obwodząc oczyma po stole, baczniej począł się wpatrywać w mecenasa. Instynktowo jakoś i twarz ta i jej wyraz mu się nie podobały. Obcy ten żywioł nie dawał mu ze zwykłą swobodą nacieszyć się rodziną i domownikami, gościnność wszakże znieść go, a nawet przyjąć mile nakazywała. Obowiązkom jej nigdy książę nie chybił. Nie zdawał sobie tylko sprawy, co to był za jeden i po co się tu niespodzianie zjawił. Skinął na syna, który natychmiast ku ojcu pośpieszył. Poczęła się żywa na ucho rozmowa.

— *Mon cher*, cóż to za jeden ten Hart... jakże Hart-burg, Hart-berg, czy jak tam? Mecenas? cóż to, interes znowu jaki?

— Tak jest, kochany ojcze, przyjechał z interesem, który jutro załatwimy — rzekł syn — grzeczność sama kazała go tu zaprosić.

— A bardzo dobrze — rzekł stary książę — nic nie mam przeciwko temu. Czy szlachcic? — dodał na ucho.

— Tego to prawdziwie nie wiem — odparł książę Robert — ale sądzę... zdaje mi się, że to stara szlachta pruska... Hartknoch. Jeden tego imienia napisał kronikę.

— A no! chwała Bogu, jest wiele starożytnej szlachty w Prusach! Hilzen, ale nie! Hilzen pisał o Inflantach, a inny jakiś o Prusach. — Szambelan potarł czoło. — Wolałbym wszakże, żeby innego dnia przyjechał — dodał — jakoś nam z nim obco.

— Ale bo zważać nie trzeba na niego, mości książę — przerwał syn — niech się ojciec nim nie kłopocze... Gozdowski go zabawi.

— Zawsze mi jakoś dolega! — odezwał się stary — nie lubię nowych twarzy... stary jestem. — Westchnął.

Gdy w jednym końcu stołu tak szeptano, w drugim udało się panu Zubrze zawiązać żywą rozmowę, która się stała ogólną. Mówiono o zwierzu, polowaniach i dawnych sławnych łowach. Wincentowicz, wyciągnąwszy dwie swoje miotły, aby mu ust nie zakrywały, zaczynał jakąś historyę myśliwską nieprawdopodobną, z której O. Serafin śmiał się zawczasu, bo ją znał i najmniej dziesięć razy słyszał... Była to powieść o łosiu, który zabity, rozciągnięty, nieżywy, nagle, gdy nań wsiadł myśliwy, zerwał się, kopnął biednego łowca, zaniósł gdzieś na grzbiecie

na trzęsawiska, z których się ledwie wyratował, bo potem za uciekającym całe stado rozjuszone gonić miało.

Cichusieńko siedzący obok stary żołnierz z legią honorową kiwał tylko głową i powtarzał jakby sam do siebie:

— Ale — ale — jeszcze czego! — jeszcze czego!... aż się za nim kurzy!... otóż przyjechał na łosiu ha! ha!...

O. Serafin trząsł się ze śmiechu...

Piękna księżniczka, wsparta na łokciu, zadumana, jakby na innym świecie przebywała myślami — utopiona w marzeniu jakiemś, zdawała się zupełnie obcą temu, co ją otaczało. Z tego snu budziło ją tylko ciche, rzucone czasem słowo Antoniny, na które odpowiedziawszy uśmiechem, zamyślała się znowu.

Mecenas, o ile przyzwoitość dozwalała, oczu z niej nie spuszczał... Tak pięknej twarzy, tak smutnej razem, nie widział nigdy w życiu... Na czołach brata i siostry czytało jego oko wyrok przeznaczeń nieuchronny... były to istoty bez przyszłości, ostatnie z rodu i ducha... *Morituri*, szepnął mimowolnie mecenas... Przykro mu się zrobiło — po raz pierwszy w długim zawodzie — być tu narzędziem Opatrzności, siedzieć przy tym gościnnym stole skazanych z wyrokiem zguby i zniszczenia! W prawniku zwykle zimnym, któremu się zdawało, że jest zbrojny przeciw wszelkiemu uczuciu, odezwało się miłosierdzie ludzkie. Na ten raz wolałby był może nie mieć tu tego posłannictwa, nie widzieć jasno, co tę rodzinę, tak swobodnie, nieopatrznie ucztującą godzinami życia — czekało w bardzo bliskiej przyszłości...

P) Polska w czasie trzech rozbiorów (r. 1872).

Studya do historyi ducha i obyczaju.

Podajemy tu z tego trzytomowego dzieła, obejmującego opowieść, utkaną z różnorodnych świadectw i szczegółów, charakteryzujących stan Polski w latach od r. 1772—1779, rozdział IV tomu I.

Sejm i Delegacya (1773—1775).

898) Cała historya ludzkości jest nieustannym pochodem ku zdobyciu prawd coraz wyższych, ale droga, którą ku nim idziemy, świadczy o słabości człowieka. Przerzuca się on,

goniąc za niemi, z jednej w drugą ostateczność; dwie cechy na przemiany znamionują ruch ten postępowy. Są chwile, które tworzą, organizują, stawią prawdy, jako źródła nowego życia; po nich idą następstwem koniecznem epoki negacyi, które burzą i obalają to, co się zużyło i przeżyło, aby gruzy zgotować do nowej budowy. W tych momentach negacyi, które równie się do ogólnego rozwoju przyczyniają, jak twórcze doby — rozprzęgają się gwałtownie węzły, spajające społeczność, które wiara i tradycye zadzierzgnęły.

Doba reform i burzenia w okresie naszej cywilizacyi rozpoczęła się wyraziściej z XVI wiekiem, dotknęła najprzód prawd religijnych, usiłując zdobyć swobodę sumienia. Przedłużyła się ona aż do XVIII wieku, w którym reformatorski duch rzucił się na sam organizm społeczeństwa, na jego części składowe, na to, co ład i porządek dawny trzymało. Nie mogło to przejść bez wpływu na obyczaje. Jak w Rzymie — gdy Jowisza zrzucono z tronu, a augurowie ze śmiechu przy wieszczbach utrzymać się nie mogli — współcześnie rozpasało się, co żyło; tak w XVIII wieku z zachwianiem religijnych zasad, obyczaje skaziła rozwiązłość i swawola. Zużytkowano najprzód negacyę idei, łączących rodzinę i społeczność, dla osobistej swobody bez krańców. Tem swawoleństwem, wyzwalającem się z pod wszelkich praw moralnych, wionęło po całej Europie.

Zepsuciu też w Polsce dziwić się nie należy, zestawiając je ze zgnilizną od góry idącą wszystkich dworów, stolic i narodów Europy, zwłaszcza, że u nas to zepsucie nigdy pod wyższe warstwy społeczne nie przesiąknęło... Dosyć wspomnieć we Francyi rejencyę i panowanie Ludwika XV, w Niemczech dwór saski i pomniejsze niemieckie książęce dwory, których wizerunek kreśli Pöllmitz w swych pamiętnikach. Najwykształceńsza klasa, ta, która się za najoświeceńszą miała, najrozpasańszej rozpusty świeciła przykładem; od niej swawola ściekała i przenikała do warstw najniższych. Po ascetyzmie postnym wieków średnich sprawiono sobie szalone zapusty.

Obchodzono je i w Polsce — ale nie całej: wierzchnie tylko jej sfery europejski polor i zepsucie przyjęły. Dwa panowania, prawie dwie trzecie wieku trwające, starczyły na wyszpecenie starego oblicza rzeczypospolitej. Rycerstwo polskie,

które ostatnią swą krzyżową wyprawę odbyło z Janem III pod Wiedniem, darło się już potem tylko na sejmikach i szalało na ucztach. Przodem szła starszyzna, powtarzając przysłowie, że Polska nierządem stoi, lecz Europa upaść jej nie da...

Napróżno trzeźwiejsze głosy proroczemu Skargi głosowi wtórowały; próżno w przededniu Stanisławowskiego panowania Konarski wołał o reformy konieczne. Szlachta nie chciała ani z praw swych nic na korzyść ogółu ustąpić, ani sama jąć się pracy, wierząc, że tym dla niej wygodnym nierządem Polska stać musi, jak stała.

Wśród tego zaślepienia i apatyi nadeszła chwila stanowcza, groźby Skargi, Jana Kazimierza i Konarskiego spełnić się miały, a jeszcze niebezpieczeństwo dla ogółu widzialnem nie było.

Już Prusy układały się potajemnie z Rosyą, już potrafiły wciągnąć Austryę, już wojska obce, do których Rzeczpospolita nawykłą teraz była, zalewały nadgraniczne prowincye, a jeszcze uwierzyć się wahano w straszną rzeczywistość.

Dnia 5 sierpnia spisany został traktat, główne zarysy podziału określający, we wrześniu wyszły wywody mniemanych praw i manifesty okupacyjne, o których nawet troskliwszą redakcyę się nie starano — ze strony polskiej żadnych nie przedsiębrano środków ku obronie.

Fryderyk W. doskonale tę bezsilność przewidział. Polska nie miała wojska, była zakłóconą, wycieńczoną, brakło jej ludzi, sprzymierzeńców i obrońców. Wiadomość spadła jak piorun na nieprzygotowanych.

Jednocześnie wojska pruskie, dla przyśpieszenia ostatecznego rozwiązania, jęły dokazywać w Polsce, aby poddaniem się przemocy okupiono spokój i bezpieczeństwo. Do cesarzowej o pośrednictwo i opiekę udać się nie było można, gdyż trwała w gniewie, rozbudzonym Konfederacyą Barską, a król nawet był w niełasce. Wojska rosyjskie i austryackie, dla zajęcia swych działów, jeszcze stanowczo nieoznaczonych, posuwały się w głąb kraju. Nikt nie pomyślał nawet o oporze; przeciw tej sile — był niepodobnym. Saldern, którego nareszcie odwoływano z Warszawy, w ostatnich rozmowach swoich smutną zapowiadał przyszłość, usiłując winę jej zrzucić na Polskę samą.

Biedna rzeczpospolita, którą Fryderyk W. szacował, że więcej siedmiu tysięcy żołnierza utrzymać nie może, a której Wołkoński więcej nad sześć trzymać dozwolić nie chciał, nie miała, dzięki klęskom doznanym, ani wojska, ani wodza, ani dyplomacyi, ani samoistnego rządu — panował w niej oddawna ambasador rosyjski, a król był dla parady, opuszczony i wzgardzony. Interesa odprawiały się u Salderna, na zamku koncerty. Urządzono balet i operę, aby rozbawić króla, który od lat kilku stracił humor, posmutniał, i wedle wyrażenia pani Lhullier, u której spędzał wieczory, był »nie do rozbawienia«.

Prawie obojętnie zrazu przebrzmiała zapowiedź podziału: wzięto ją może za groźbę tylko, która się da odwrócić.

Salderna zastępował nowy poseł, mianowany na jego miejsce, Otto Magnus baron Stackelberg, rodem Kurlandczyk, z tych prowincyi, które tylu dyplomatów Rosyi dostarczyły, człowiek znany z niepospolitych zdolności, jakich dał dowody, będąc posłem w Hiszpanii, ceniony przez cesarzową i mający przynajmniej obyczaj cywilizowanego człowieka... Essen pisze, iż po Saldernie wydał się miłym i łagodnym, przyznaje mu uczciwszy charakter, oględność większą w postępowaniu i talent dyplomatyczny. Skądinąd wiemy, iż dumą nie ustępował Repninowi, a sarkazmem nieznośnym pastwić się lubił nad bezbronnymi.

Saldern w ostatnich czasach poróżnił się był z naczelnym dowódcą wojsk rosyjskich w Polsce, Bibikowem, któremu w doniesieniach swych zarzucał, iż go polskie panie usidliły, że nim władała księżna marszałkowa Lubomirska i pani hetmanowa Ogińska.

Dziwnym trafem czy obrachowaniem posłowie łagodni zawsze miewali ostrych dowódców przy sobie, a ostrzy łagodnych: tak z Repninem gwałtownym i absolutnym stał obok Kajserling wyrozumiały i dobry, przy powolniejszym Wołkońskim dowodził nieubłagany Wejmarn; z Saldernem szalonym przysłano zalotnego i lubiącego się bawić Bibikowa. Jednakże łagodność początkowa posła ustąpiła prędko miejsca obowiązkowej niejako surowości dla króla. Obchodził się ze Stanisławem Augustem jak poprzednicy [1]). Gdy na pokoje przychodził, bez ceremonii prze-

[1]) Mehée — Histoire de la révolution de Pologne.

ciskał się przed krzesłem króla i stawał tyłem obrócony do komina, zakasawszy poły. Raz gdy król, przybywszy do niego, zastał go ciągnącym Faraona, nie wstając nawet, lekko głową go pozdrowił i wskazał mu fotel. — »Najj. Panie, proszę siadać« — rzekł, i grał dalej. Jak wszyscy niemal poprzednicy, jak Repnin, Kochowski, Bibikow, Stackelberg wkrótce ujęty został wdziękami pani Ożarowskiej, kasztelanowej wojnickiej (której mąż został później hetmanem), i cały świat wiedział o tym czułym stosunku.

Ze Stackelbergiem razem przybywał baron Rawitzky, jako posłannik Austryi, człowiek uczony, szczególniej słynny oryentalista, spokojny i przeznaczony grać rolę podrzędną w komendzie Stackelberga. Benoit, rezydent pruski, nikczemna, niecierpliwa figura, dopełniał tej trójki. Żył z małej pensyjki tysiąca talarów i lichą w Warszawie grał rolę. Widywano jego długą i chudą postać, w szarych sukniach, ze szpadką stalową u boku, ciągnącą na obiadki do garkuchni Gröbla na Marywillu, lub najemną karetką stawiającą się na zaprosiny do posła. Dodany mu był generał Lentulus, człek niemłody, hardy bardzo, długi i chudy, a mimo powierzchowności smutnej, zalotny. Dnia 18 września wszyscy trzej złożyli razem ministeryum rzeczypospolitej oświadczenie trzech mocarstw o podziale zawyrokowanym. »Stronnicy królewscy — pisze poseł w swym raporcie — zaczęli częste u króla miewać schadzki. Skutkiem ich było postanowienie wszystko znosić cierpliwie, dobrowolnie się na nic nie zgadzać, wszystko zmuszać wykonywać siłą, odwołać się o pomoc do dworów europejskich, zwlekać o ile możności, uwikłać mocarstwa w formalności i drobne trudnostki. Król — mówi dalej poseł — przed jednymi deklamuje przeciwko Rosyi, innym zaś daje do zrozumienia, że cesarzowa zezwala na zawiązanie konfederacyi przeciwko podziałowi. Powiedział to nawet posłowi austryackiemu, ażeby między mocarstwa sprzymierzone rzucić kość niezgody«.

Zmusiło to Stackelberga do wyraźnego oświadczenia, iż Rosya królem się wcale opiekować nie myśli, ani go podtrzymywać.

Około króla niebezpieczeństwo wspólne, chęć usłużenia Rosyi, skupiły garstkę ludzi. Część ich, jak Młodziejowski, starała

się wcisnąć w zaufanie, ażeby z każdego słowa zdawać sprawę posłowi. W otoczeniu króla widzimy naówczas obok poczciwego, skromnego a nieśmiałego podkanclerzego Chreptowicza, zacnego exkanclerza Zamojskiego i Lubomirskiego, marszałka koronnego — takich ludzi, jak: Młodziejowski, Gurowski i Massalski, — Rosya traktowała króla w sposób poniżający, na listy do cesarzowej Panin tylko odpowiadał. Pełne one były użaleń i skarg na Polskę, na naród niewdzięczny za poświęceń tyle, a wreszcie próśb o pomoc w interesach osobistych, w których uciekał się do Panina »dobroczynnej ludzkości« (humanité bienfaisante). Najzdolniejsi doradcy dawniejsi króla, Czartoryscy, kanclerz i wojewoda ruski, zmuszeni byli do usunięcia się z Rady i czynnego wpływu na sprawy kraju. Od r. 1767 książę kanclerz postrzegł się w błędnej swej polityce, chociaż wahał się jeszcze ustąpić całkowicie. Jemu przypisywano, że Zamojski pieczęć złożył, chociaż on sam tego nie uczynił. Widząc później, co się działo w kraju, miał często przed zaufanymi powtarzać: Ja te drewka nosiłem, a kto inny i w innym celu je podpalił [1]). Osamotniony, straciwszy na wziętości, nawet u króla, pracował tylko w sądach asesorskich (zadwornych) w sprawach królewszczyzn i przywilejów. Książę August Czartoryski, wojewoda ruski, starszy brat kanclerza, ojciec generała ziem podolskich, cnotliwy i zacny w życiu prywatnem, najbogatszy z rodziny, najrządniejszy w zbieraniu grosza, miał znaczny krąg przyjaciół, którymi zawsze prawie był otoczony, po pańsku ich przyjmując — ale i on politycznych spraw unikał.

W lutym wysłane zostały listy i protestacye do dworów: angielskiego, francuskiego, szwedzkiego i hiszpańskiego, błagające o odwrócenie losu, który Polsce zagrażał; odwoływano się w nich do ostatnich traktatów, które całość rzeczypospolitej w takich granicach, jakie po pokoju Oliwskim i Andruszowskim utrzymane zostały, poręczały. Był to ostatni ratunek, raczej dla uspokojenia sumienia, niż z wiarą w skutek użyty. Żadne z państw nie chciało narażać się na wojnę i skutki koalicyi trzech dworów; Anglia obawiała się utraty handlowych korzyści, które z Rosyi ciągnęła, i w czasie sprawy podziału zachowała

---

[1]) Pamiętnik M. Zaleskiego Rpm.

się neutralnie, a w wojnie Rosyi z Turcyą dostarczała nawet prowiantów dla wojsk rosyjskich. Starano się, widząc wzrastającą potęgę, o zawarcie ściślejszych stosunków.

Jedyny może z panujących Klemens XIV wziął sprawę Polski do serca. Starał się on usilnie zapobiedz jej rozbiorowi, ale napróżno. Dnia 30 marca 1772 roku polecił nuncyuszowi apostolskiemu w Wiedniu przedstawić to gorąco cesarzowej i cesarzowi. Nuncyusz do Polski wysłany po Durinim (nieprzyjaznym królowi, a opłacanym przez Potockich, którzy mu probostwo w Dukli ofiarowali), Garampi, przejeżdżając przez Wiedeń, miał polecenie zatrzymać się tam dłużej i w imieniu papieża gorąco się wstawiać za Polską. Poprzednio już (dnia 15 kwietnia 1772 roku) pisał był Klemens XIV do cesarza i cesarzowej w tym przedmiocie[1]). »Znasz dobrze — odzywał się w liście do Józefa II — jak kościół polski i wiara katolicka w tem królestwie utrapione są, i na jakie narażone niebezpieczeństwa. Potrzebują one pomocy waszej, błagają waszego ratunku. Klemens XIII ś. p. poprzednik mój, już listownie w tych sprawach znosił się z wami i w pobożności waszej większą część nadziei swych pokładał, iż mu będziecie pomocą«. W tymże czasie pisał Klemens XIV do króla polskiego, prymasa i metropolity wschodniego kościoła, biskupów i senatorów, zachęcając ich do pracy około jedności, pokoju i ratowania ojczyzny.

Cesarzowa odpisała Ojcu św., iż »w obrzydzeniu ma nieszczęśliwy ów podział Polski, ale zapobiedz mu nie jest w jej mocy, i zmuszoną jest wziąć w nim udział, aby się nie dać przez to powiększać zbytnio Prusom i Rosyi«. Jedną z przyczyn było, że Szwecya, Dania, Anglia i Francya wcale się za Polską ujmować nie myślały. Austrya (wedle doniesień Sackena z Petersburga) w maju myślała jeszcze zachować Polskę w całości, oglądając się na poparcie Francyi i Choiseula, ale upadek tego ministra zniewolił ją do odstąpienia tej myśli.

Król Stanisław oznajmił Ojcu św. w dwóch listach o rozstrzygającym się losie Polski (23 i 26 września 1772 r.), dziękując za przysłanie nowego nuncyusza i prosząc o pośrednic-

[1]) Theiner, Clemens XIV Epistol. 199, 200, p. 222.

two. Powtórzył król listy swe do mocarstw obcych w październiku, nie omijając nawet rzeczypospolitej Helweckiej. W Rzymie wszakże, wedle wyrażenia nuncyusza, wszystkie te żale króla uważano za »łzy krokodyle«. Nie mogąc zapobiedz, starał się przynajmniej Klemens XIV, aby w prowincyach zabranych katolicy uniknęli prześladowania, ku czemu użyto pośrednictwa dworu wiedeńskiego. W końcu 1772 r. (5 grudnia) list w tym przedmiocie do cesarza Józefa II świadczy, iż pierwsze zapewnienia Prus już naówczas pogwałcone były.

Powtórzone odezwy do państw Europy wywołały nieukontentowanie Rosyi. W listopadzie odczytał Stackelberg królowi notę swojego dworu, groźną i wymówek pełną, z powodu jego postępowania [1]). Pisano w niej: »Niezgadzanie się na rozbiór pozorne i umiarkowane, dla oczu narodu, względem postępowania trzech dworów mogło być wytłumaczonem i przebaczonem królowi, ale całą Europę podżegać, szukać podpory za granicą, wyżebranemi zwłoki opierać się zwołaniu sejmu, było rzeczą nadzwyczaj przykrą i obudzającą gniew imperatorowej«.

Na ten raz Stanisław August miał odpowiedzieć bardzo energicznie, iż choć wzniesienie swe winien był carowej, więcej jeszcze miał obowiązków względem Boga, siebie i narodu, i spełniać musiał swą powinność: że cokolwiekby go najstraszniejszego spotkać miało, zawsze mniejszem dlań będzie, niż przebyte już niebezpieczeństwa, że raczej gotów był cierpieć więcej jeszcze, niżby miał zdradzić lud swój i godność swą sponiewierać.

Stackelberg, znając charakter króla zmienny, usiłował go zwrócić ku pojednawczym ideom, dowodząc mu między innemi, iż jakkolwiek chwalebne były chęci jego w utrzymaniu całości Rzeczypospolitej, dalszy opór stałby się szkodliwym, że opór bezwzględny mógłby państwo wystawić na nowy rozbiór, nowe zamieszki, nowe podziały — zachęcał więc do niezwłocznego zwołania rady senatu przedsejmowej (której trzy dwory żądały) i poprzestania jątrzenia, które pogarszało tylko sprawę Polski [2]).

---

[1]) Nuncyusz papieski do kardynała Pallaviciniego 14 listopada. *Theiner.*

[2]) Schmidt. Materyały, II.

Stackelberg, niemniej dumny od Repnina, niemniej absolutny od Salderna, więcej miał w obejściu się i postępowaniu umiejętności, formy przyzwoitsze, nie popełniał okrucieństw daremnych, groźbami nie szafował. Długi pobyt za granicą starł z niego szorstką powłokę. Jedyną jego wadą było nieznośne szyderstwo i ironia, której na cierpliwych ofiarach się dopuszczał, potrzebując zawsze kogoś, coby mu służył za cel jego pocisków. Miał on polecenie swego dworu dokonać podziału co najprędzej; Benoit, poseł pruski, przeciwnie rachował, że na oporze i zwłokach coś zyska, i nietylko nie naglił, lecz Stackelberga wstrzymywał [1]). Grożono, że w razie nieposłuszeństwa i oporu mocarstwa zaleją kraj cały, zabiorą wszystko i rozszarpią Rzeczpospolitą... Groźby te powtarzały się ciągle — straszniejsze coraz, przymuszające króla do prędkiego zwołania sejmu, któryby rozbiorowi dał sankcyę legalną i pozór przynajmniej dobrowolnego ustępstwa.

Gdy Stackelberg słał notę za notami, domagając się o radę senatu i sejm, Benoit szeptał mu niezadowolony: Daj im pokój, tem lepiej dla nas, więcej weźmiemy.

---

[1]) Prusy zyskiwały ze wszech miar na zwłoce. Tymczasem mogły swobodnie ludzi zabierać i zalewać kraj fałszywą monetą. Galser, sekretarz gabinetowy króla, w czasie tego podziału kazał bardzo tajemnie wybić za piętnaście milionów bardzo pięknych dukatów, w których trzecia część była aliażu. Te poruczono jednemu z synów Efraima, zwanemu Holendrem, bo mieszkał niegdyś w Holandyi, póki go do ucieczki stamtąd nie zmuszono.

Efraim, pełne mając kieszenie, przybrany w suknie galonowane, włosy z harcapem, ze szpadką u boku, pojechał do Polski z pięknie brzmiącym tytułem p. radcy de Simonis. Tu kupował, płacąc gotówką i natychmiast rozkazując wywozić, zboże, klejnoty, srebra, co tylko mógł znaleźć na sprzedaż. W kilka miesięcy rozsiał w Polsce te pieniądze. Dopiero nierychło opatrzyli się Polacy, że jedną trzecią wartości stracili. Puszczano dukaty dalej, kupując u Rosyan i płacąc nimi. Doszło to do wiadomości cesarzowej Katarzyny, która doniosła Fryderykowi, co się stało, żądając wymiany fałszywego złota.

Barrière, który o tem pisze w swych pamiętnikach, dodaje, że król zrzucił całą winę na Galsera i posłał go dla pokrycia własnego szalbierstwa do Spandau. Po roku wypuszczono go z więzienia i internowano w jakiejś wioseczce w Meklemburskiem. Trzeba było, ażeby ktoś padł ofiarą. Rosyi wymieniono dukaty.

Postępowanie Prus, nacechowane zdradliwem, tajemniczem knowaniem, wydać się musi wstrętniejszem jeszcze, bardziej oburzającem, niż gwałty. Listy Fryderyka W., jego instrukcye, depesze posłów, przedstawiają polityczną tę intrygę Prus z cynizmem bezprzykładnym. Nikt nad niego nie stawał żarliwiej przeciwko wszelkim reformom, które mogły Polskę podźwignąć i odrodzić, od chwili elekcyi Poniatowskiego nikt żarliwszym nie był obrońcą elekcyjnego tronu i *liberum veto*. Gdy podział został dokonany, Prusy szczyciły się nim, jako wiekopomnym tryumfem polityki bezwstydnej. Książę Henryk pruski, który tak skutecznie pośredniczył w Petersburgu między Fryderykiem a cesarzową, w liście pisanym do Solmsa domagał się później przyznania sobie jedynej nagrody, jakiej żądał — własnoręcznego świadectwa Katarzyny — stygmatu, że on był twórcą podziału Polski. Cesarzowa, zadość czyniąc tej prośbie, odpowie« działa mu listem: »Po objęciu w posiadanie zachodnich rosyjskich prowincyi, czuję się powinną oświadczyć W. Ks. Mości, jak wielce Mu jestem obowiązaną za wszystkie starania, podjęte przezeń dla doprowadzenia do skutku sprawy tak wielkiej wagi, której pierwszym twórcą, W. Ks. Mość, uważać się możesz« [1]).

Noty mocarstw, oprócz zaboru prowincyi ogromnych, bo do 4000 mil kwadratowych, z pięciu milionami ludności zawierających — z których dział największy przypadał dla Austryi (zapewne jako wynagrodzenie kosztów, na wojnę z Turcyą poniesionych) — narzucały też Rzeczypospolitej reformę ustawy w duchu swym tak radykalną, iż ją za groźbę chyba, nie za rzeczywiste wymaganie uważać było można. Jakoż później znacznie zmodyfikowaną została. Projektowana ta zrazu reorganizacya resztek Rzeczypospolitej tykała tak niezbędnych życia jej organów, tak ją miała przetworzyć i przeistoczyć, iż paniczny strach wywołała. Z myślą oderwania prowincyi łatwiej się może naówczas pogodzić umiano, niż z oswobodzeniem włós-

[1]) Jednakże Sacken w depeszy z Petersburga (Maj 1772 r.) donosi, iż cesarzowa sama dobrowolnie (aus freien Stücken) oświadczyła ks. Henrykowi, iż za przyczynienie się do uspokojenia Polski chce królowi pruskiemu dopomódz w planach — otrzymania jakiejś części tego kraju.

cian i redukcyą szlachty, a ruiną majętności. Były to punkta w nocie zawarte.

Wśród narzekań i protestacyi próżnych, radzili także ludzie serca i sumienia, lecz cóż znaleźć mogli w tej chwili, nad jedyny środek: nie zwoływania i nie dopuszczania sejmu. Sołtyk, świeżo uwolniony z wygnania, jawnie zapowiadał ambasadorowi, iż tego środka użyje i aby sejmu nie dopuścić, sejmiki zrywać będzie, — tegoż chciał biskup Krasiński i wszyscy ludzie, znający kraj, a wiedzący, że w sejmie pod bagnetami opór już będzie daremnym.

Tych ludzi, gotowych jeszcze do ofiar, niestrwożonych i niezaprzedanych, garść była szczupła, gdy pensyonowanych, intrygantów, wreszcie słabych i zastraszonych zastęp znaczniejszy krzątał się czynnie i wysługiwał bezwstydnie, myśląc tylko o własnych korzyściach...

Saldern, który był po Wołkońskim objął komendę nad stronnictwem moskiewskiem, ochrzczonem imieniem »związku patryotycznego«, znając dobrze wartość tych, którymi się posługiwał, najlepiej ich odmalował... W doniesieniach swych taki obraz kreśli głównych naczelników: »Podoski prymas (ten już był zbiegł za Eminkową do Gdańska, a potem tułał się do śmierci zagranicą) — nieprzyjaciel króla, a zwolennik Sasów, nieprzebłagany wróg Czartoryskich, potrzebujący cudzych pieniędzy, jest naszym najlepszym przyjacielem. Nie ma on ani znaczenia, ani zaufania, ani wziętości, wzgardzony od narodu, pogardzony od magnatów, nie szanowany nawet przez podwładnych. Jedyną w nim dobrą jest stroną, iż uczciwie zeznaje: »Jeśli nie będę mógł na tronie posadzić Sasa, niemniej przez wdzięczność dla Cesarzowej JMci woli Jej będę posłusznym«. Zresztą jest to człowiek, któremu żadnej tajemnicy powierzyć nie można, ani mu samoistnie dozwolić działać, bo żaden uczciwy człowiek razem z nim nie pójdzie«.

»Biskup wileński Massalski — umysł bystry i przenikliwy, ale płochy jak *abbé petit-maître*, zarozumiały i próżny, godnością swą i zdolnościami nadęty, pnący się do zwiększenia wpływu swego i znaczenia, niecierpliwie dążący do podniesienia się kosztem upadku Czartoryskich. Nadzieja, że z pomocą naszą potrafi silne wytworzyć stronnictwo, w ręce go nasze od-

dała. Człowiek chytry i nieufny. W Litwie ma pewną wziętość, ale tylko u ludzi małego znaczenia«.

O Flemingu, wojewodzie pomorskim, mówi jako o człowieku godnym zaufania, stałego umysłu i przyjacielu Rosyi z przekonania; o wojewodzie podlaskim (Gozdzkim), że bierze pensyę i za pieniądze jest im oddany, »gdyż jedynym Bogiem jego pieniądz. Krzyczy tęgo, gdy potrzeba«.

O wojewodzie kaliskim (Twardowskim), kreaturze Mniszcha, powiada, że jest tchórzem bez przekonania, równie jak zięć jego Rogaliński.

»Młodziejowski, w. kanclerz koronny, biskup poznański — mówi dalej — polski Machiavel (nadto honoru!), który się sprzedaje więcej dającemu, nie ma ani szacunku, ani wziętości w kraju. — Biskup kujawski (Antoni Ostrowski) — równy mu we wszystkiem, tylko mniej mądry... Wielki kuchmistrz koronny Poniński bierze pensyę, lekkomyślny, lubiący wielką odgrywać rolę, do rozsiewania wiadomości przydatny, niepospolicie ruchawy«.

»Marszałek litewski Gurowski — chytry, nie bez zdolności, ale bez iskierki honoru. Potrzebnym był dla zbadania tajemnic i myśli obcych«.

Tych ludzi, tak samo jak Saldern, sądziła opinia publiczna. O przyjaciołach króla pisze Saldern: »Wojewoda ruski odznacza się i celuje nad wszystkich wielkiemi zdolnościami. Zdaje mi się, że mocno starzeje. Mimo to on jeszcze wszystko w Rzeczypospolitej prowadzi. Oświecony, rozumny, przenikliwy, świat zna, Polskę do gruntu przenika, przyjaciele i nieprzyjaciele go szanują. W postanowieniach wytrwały i ostrożny. Z niezmierną zręcznością umie sobie pozyskiwać serca, przebiegłością wielką ludzi waśnić, wymową przejednywać i kojarzyć. Przenika innych, sam się przeniknąć nie dając. Wojewodzie udało się króla nakłonić do odstąpienia od Rosyi, król czyni, co on chce«.

»Brat wojewody, kanclerz, człowiek rozumny, wielce w intrygi wdrożony, dziś zestarzały i narzędziem brata będący, lubiony zresztą od narodu i nie bez przyjaciół w kraju — szczególniej na Litwie«.

»Książę Lubomirski, marszałek koronny, zięć wojewody ruskiego, ruchomy, ochotny do przedsięwzięć człowiek, zdolności

miernych, działający tylko, gdzie mu starsi nakażą. Nienawidzi króla, mimo pokrewieństwa; dla Rosyi nieprzydatny«.

Wspomnieni są jeszcze dwaj satelici Czartoryskich, podkanclerzy koronny Borch i litewski Przezdziecki, których Saldern nazwał lichymi politykami bez wziętości i szacunku. Zato o Branickim, powstrzymując się od jego charakterystyki, świadczy jak najlepiej. O królu samym wyraził się: »Serdecznie poczciwy, ale niepojęcie słaby... Rozum ani obejmujący wiele, ani pewny siebie, niezdolny do sądzenia i tamowania swej wyobraźni. Ktoś go zawsze prowadzić musi, narzucać mu postanowienie i do wykonania przynaglić«.

Taki obraz smutny, ale w głównych rysach prawdziwy, kreśli ambasador ówczesnych czynników i świeczników polskiej sprawy... Zapomina o jednym tylko, o sprężynie, która w owym czasie wiele z tych figur w ruch wprawiała i której wpływ, zdaniem wszystkich współczesnych, był wielkiego znaczenia — o kobietach.

Odgrywały one rolę mniej widoczną, ale niezmiernie ważną we wszystkiem, rolę, którą się poszczycić nie mogły... Smutno się nam one przedstawiają na dworze Stanisława Augusta i w stolicy. Kwiat ówczesnej arystokracyi lgnął do Repninów, Bibikowych, Saldernów i Stackelbergów... W wielkim świecie Kreczetnikowy, Kochowscy, posłowie i generałowie szczycili się publicznie najczulszymi względami pań pierwszych imion i najpiękniejszego wychowania. Stosunki te były jawne, cały świat o nich wiedział, chlubiono się niemal nimi. Maluje to najlepiej zepsucie wieku, zobojętnienie na losy kraju w społeczeństwie, które ton dawało stolicy... Żadne imię, żaden dom pański w Rzeczypospolitej nie był prawie wolen od tej skazy. Posługiwano się paniami temi, aby dobra od żołnierza uwolnić, zyskać łaski posła lub wyrobić order u cesarzowej, która się na natrętne o nie ubieganie uskarżała. Rosyjscy generałowie i ambasadorowie mieli tylko trudność wyboru wśród niezliczonego kandydatek grona.

Naleganiom Stackelberga ulegając, król zwołał nareszcie radę senatu na dzień ósmy lutego. Ze stu dwudziestu i trzech senatorów zwołanych przybyło trzydziestu i jeden; pomiędzy nimi i Lubomirski marszałek, Młodziejowski, podkanclerzy Borch,

hr. Wessel, podskarbi koronny, Gurowski, marszałek koronny, Ostrowski, biskup kujawski i Massalski wileński. Co poczciwszego unikało narady; Czartoryskim groźbą wzbroniono wszelkiego udziału w sprawach publicznych...

Wojewodom: witebskiemu i ruskiemu i kasztelanowi elbląskiemu Przebędowskiemu, którzy się osobiście znajdowali w Warszawie, jako należącym do krajów zakordonowanych, zagrożono konfiskatą dóbr, jeśliby senatorskie krzesła zająć chcieli.

Nowemi groźbami zmuszono zwołać sejm na dzień 19 kwietnia. W czerwcu najdalej podpisane być miały układy. W wydanych na sejm uniwersałach nie powiedziano wcale, ażeby miał się odbywać pod konfederacyą, wybierano więc posłów jak do zwykłego sejmu ordynaryjnego.

Łatwo sobie wystawić, iż na wybór posłów zwrócono szczególną baczność, sypiąc pieniędzmi. Wierni krajowi obywatele starali się tylko zrywać sejmiki i wyboru nie dopuszczać; trzydzieści i kilka zerwano. Przyczynił się do tego Sołtyk, zawczasu zapowiedziawszy, iż on i z nim trzymający tego środka użyją... Cnotliwsi uchodzili, aby nie być wybranymi, nie chcąc się ani słabością zmazać, ani narażać na zemstę — ubogich i łakomych ściągał Poniński i inni agenci ambasadora.

Sołtyk widząc, że pomimo zabiegów wszelkich, sejm przyjdzie do skutku, dnia 6 kwietnia pożegnał Stackelberga, z którym osobiście był w dosyć dobrych stosunkach, listem następującym, wyjeżdżając do dóbr swoich:

»Wolałbym ostatek dni moich spędzić w ciemnym lochu, mieć ręce obcięte, utracić raczej nawet życie, niż podpisać wyrok podzielenia mojej ojczyzny.

»Nie mogąc być mojemu krajowi użytecznym, nie chcę przynajmniej katem jego zostać.

»Polak, któryby zezwolił na rozbiór swego kraju, zgrzeszyłby przeciw Bogu, — my, senatorowie, potwierdzając go, stalibyśmy się krzywoprzysiężcami...« [1]).

[1]) Theiner.

R) Hrabina Cosel (r. 1873).

Podajemy tu rozdział IX powieści, charakteryzujący główną postać.

899) Któżby się, wpośród tych wszystkich płochych zabaw i sieci intryg domyślić mógł nawet odegrywającego dramatu, w którym August II tak nieszczęśliwą i smutną grał rolę? Były to właśnie lata najazdu szwedzkiego na Polskę, lata zwycięstw Karola XII, a miłostki króla pocieszały go po przegranych bitwach na chwiejącym się tronie. Wśród tych nieszczęść czarne oczy hrabiny (mianowana już była nią przez cesarza Józefa I) pocieszały Augusta... sypiącego krociami na budowanie pałacu dla ulubienicy, gdy wojsk nie było czem utrzymać.

Wśród szałów i hulanek walił się ów gmach dwóch państw, których gruzy herkulesowych ramion króla ugiąć ani humoru jego zachmurzyć nie mogły... Saksonia wycieńczała się na utrzymanie Polski, której zrzeczenie się ostateczne z każdą chwilą było konieczniejszem.

Pomiędzy dwiema bitwami wydawano bale i maskarady, król wracał do Drezna i szukał w tych szałach zapomnienia swych strat i upokorzeń...

Przy muzyce balowej dawano instrukcye tajnym posłom, szpiegom i intrygantom, którzy na rzecz Augusta starali się napróżno sprzymierzeńców pozyskać. Nadzwyczajna siła owego saskiego Herkulesa nie objawiała się najgłówniej w kręconych sztabach i łamanych podkowach; największą siłę okazywał pewnie, mogąc podołać nieszczęściom, które nań spadały, intrygom, ucztom, płochym miłostkom i zamętowi, jaki go otaczał. Z pola bitwy powracał do Cosel, od Cosel uciekał do gabinetu, gdzie się tajne krzyżowały depesze, balowano wieczorem, ucztowano nocą. Aby długie lata życiu takiemu bez chwili spoczynku starczyć duchem i ciałem, trzeba było niechybnie wyjątkowych sił, jakiemi August był obdarzony.

Z pogodną zawsze twarzą okazywał się zdziwionym tłumom, i największe niepowodzenie nie zarysowało jednej na czole jego zmarszczki.

Panowanie pięknej Cosel, które miało trwać krótko, za-

niosło się na długie lata. Hrabina uważała się, otrzymawszy od króla obietnicę ożenienia się na piśmie, za drugą, za prawdziwą jego żonę. Postępowanie jej stosowało się do tego... Na jedną chwilę prawie nie odstępowała Augusta, była z nim zawsze i wszędzie, gotowa w podróż i na wojnę. Żadne niebezpieczeństwo jej nie odstraszało...

Wprędce umiała poznać charakter Augusta i dojrzeć sieci snujących się intryg dokoła; ze spokojem umysłu i wesołością, niezachwianą niczem, bawiła go, rozrywała, rządziła nim i z każdym dniem większą uzyskiwała władzę.

Jawnem wkrótce było dla wszystkich, iż z Cosel wojować nikt nie mógł, ani pomyśleć przeciw niej działać. Jeśli płochy król na chwilę zapomnieć o niej potrafił i ostygł oddaleniem, Cosel umiała przyśpieszyć spotkanie i w kilka godzin władzę swą dawną odzyskać... Piękność jej szczęściem zdawała się spotęgowaną. Napróżno oczy zazdrosnych kobiet śledziły w niej zmiany, znużenia, przekwitu; jakby nieśmiertelną obdarzona młodością, kwitła coraz piękniejsza.

W następnym roku zaraz król obok zamku kazał wznieść pałac dla hrabiny. Było to cudo i arcydzieło... Zwano go pałacem czterech pór roku. Na każdą z nich osobne przeznaczono tu pokoje: chłodne na lato, ciepłe, wesołe i słoneczne na zimę... Pierwsze z nich ubrano w marmury, drugie wysłano kobiercami. Sprzęty i ściany świeciły od złota, chińskich lak, jedwabiów, koronek, co tylko najwykwintniejszego i najdroższego znano naówczas w Europie. Wojsko było niepłatne, lecz pałac cudowny...

Świetnym balem otwarły się jego podwoje, a Cosel, okryta brylantami, zwycięska, piękna jak bogini, białą rękę podała temu na znak wdzięczności, którego mężem po cichu zwała. Płochy August, choć sobie zawsze pewnych słabostek pozwalał, w Cosel był najmocniej zakochany... Czarem płonęły jej oczy, a cudzoziemcy, co ją na szczycie chwały i wielkości widzieli wówczas, z zachwytem mówili o niej.

Z niezmierną zręcznością Cosel rozpościerała swą władzę, jednała przyjaciół, zawiązywała stosunki, lecz nie mogła uniknąć obudzenia niechęci, zazdrości, obawy w ludziach, którzy wszechmocy jej trwożyć się mieli prawo... Chwila działania prze-

ciw tej, którą wprowadzono na tron, lękając się spokojnej i łagodnej księżnej Teschen, nie wybiła jeszcze...

Każdy dzień nowym był dla niej tryumfem... Napróżno duchowieństwo, zgorszone tem jawnem króla przywiązaniem, poczęło, z namowy niektórych dworaków, grzmieć z kazalnic przeciwko pięknej Betsabe... Gerber, sławny naówczas kaznodzieja, jednego dnia odmalował ją tak wiernie ludowi, iż szmer się wszczął w kościele, w którym przebrzmiewało jej imię.

Przez cały dzień nie mówiono w mieście, tylko o Cosel Betsabe... Wieczorem doniesiono królewskiej ulubienicy o napaści kaznodziei. August, przychodząc do niej wesół, zastał ją we łzach...

— Co ci jest, moje śliczne bóstwo? — zawołał, chwytając ją za ręce.

— Sprawiedliwości królu! — zaczęła, łkając i zanosząc się od płaczu — mówisz, że mnie kochasz... Gdybym miała twe serce, broniłbyś nieszczęśliwej... Publicznie obelgami mnie obrzucają...

— Cóż się stało? — począł król niespokojny.

— Żądam ukarania Gerbera! trzeba przykładu przeciw zuchwalstwu, które nic, nawet korony poszanować nie umie.

Rzuciła się na kolana przed panem.

— Gerber z kazalnicy opisał mię, jako Betsabę...

Król się uśmiechnął.

— Ja nią nie jestem, ja nią być nie chcę! jam prawdziwą żoną twoją, panie mój! — wołała Anna, obejmując go — ukarz go, uczyń przykład...

Na ten raz August nie wziął do serca urazy pani Cosel.

— Kapłan ma jedną w tygodniu godzinę — rzekł — w której mu wszystko, co chce, mówić wolno; ja przeciw niemu nic nie mogę. Gdyby zszedłszy z ambony, szepnął jedno słowo, byłby ukarany niechybnie... Tam miejsce go broni...

Gerber pozostał nieposkromionym, jednakże więcej historyi o Betsabie nie powtarzał.

Wśród największych klęsk, jakiemi były odznaczone te lata, rozwijała się ta miłość królewska...

Dziki Karol XII, z ostrzyżoną krótko głową, w ogromnych butach za kolana, żołnierz surowy i bezlitośny, niesprawiedli-

wością jakąś losu gnębił pięknego króla w koronkach, aksamitach, harcującego pod złocistą zbroją przeciw niemu. Opowiadano o nim bajeczne dzieje... August słuchał i milczał. Gwałtem pędzone do pułków gromady Sasów dawały się bić i rozpierzchały... W Polsce mimo Flemmingów, Przebendowskich i Dąbskich, słabł urok króla najwspanialszego w Europie, który z zaciętemi usty myślał tylko, jakby kość swą całą z niebezpiecznej gry wycofać... Dawna kochanka pana, hrabina Königsmark, wysłana w potajemnem poselstwie, nic dokazać nie mogła... Karol XII mówić z nią i z nikim nie chciał...

Szczęście z każdym dniem opuszczało Augusta II... Böttiger złota nie mógł zrobić, Hoym go dostarczyć, a Cosel milionów potrzebowała. Ludzie zbiegali w góry i do wojska się zaciągać nie chcieli... a Gerberowie z ambon krzyczeli przeciw rabunkowi ludzi i gwałtom.

Szlachta z największą w świecie pokorą nie chciała się ze skóry dać obdzierać.

Często biedny król musiał być w bardzo złym humorze... Trwało to jednak krótko. Cosel się uśmiechała... wesołość wracała na pańskie oblicze...

Wieczorem cztery części świata tańcowały kadryle w pałacu czterech pór roku... August z Cosel Azyę przedstawiali... Dawne przyjaciółki pięknej pani, które spodziewały się przed nią panować i rządzić, wszystkie prędko bardzo podejrzanemi się jej stały, potem nienawistnemi. Hrabina Reuss, Hülchen, nawet zręczna Vitzthum... dostały odprawę. Cosel nie chciała sprzymierzeńców, nie potrzebowała ich, czuła się silną i silniejszą nad wszystkich.

Strach ogarniał dwór cały.

Jeden tylko Vitzthum pozostał w łaskach u pana i w łaskach u pani; Vitzthum, który nie zajmował się polityką, nie dobijał się urzędów, a króla kochał jak brata.

Lata biegły niepostrzeżone, pełne mnogich przygód, niepowstrzymane w pędzie... Fortuna, której zmiany spodziewano się co chwila, która powinna się była znużyć prześladowaniem najwspanialszego z monarchów, nie dawała mu chwili pokoju... Szwed zwyciężał, gnał, pędził i groził już zrzuceniem z tronu...

August bronił się, bolał, bawił i przeciwności losu zalewał wesołością i winem... Po cichu intrygowano.

Łowy, biesiady, maskarady, bale, teatr... wszystko nakoniec przerwała wieść... o zbliżających się do Saksonii Szwedach. Karol XII gnał nieprzyjaciela aż do jego gniazda. Popłoch stał się straszliwy.

Po przegranej pod Frauenstadt, zjawiały się luźne gromady rozpierzchłych zbiegów, które chwytano, wieszano i strzelano za niedopełnienie obowiązków... Nieład opanował wszystko... Dnia pierwszego września Szwedzi pokazali się w Saksonii... August nakazał mieszkańcom z dobytkiem chronić się w góry, na Śląsk, do Czech, ale już było zapóźno. Karol XII we dwadzieścia tysięcy ludzi wtargnął, zapowiadając bezpieczeństwo życia i mienia...

Bronić się nie było podobna, musiano karmić. Szwedzi rozlali się po całym kraju, garstka pozostałych wojsk Augusta ścigana, uchodziła aż pod Wirzburg. Drezno, gdzie dowodził Sinzendorf, twierdze Königstein i Sonnenstein starały się utrzymać i miały załogi saskie.

Z Karolem razem nowy król polski, Stanisław Leszczyński, przybył do Saksonii... Z Drezna pouchodziło, co żyło... Królowa do rodziny w Beyreuth, matka jej z wnukiem do Magdeburga, a później do Danii. Lipsk ze strachu łupieży wypłynął cały i stał się pustynią; wywieziono towary, a sam ich transport beczki złota kosztował. Dopiero zapewnienie Karola XII dozwoliło jarmark święto-Michalski otworzyć.

Karol zwołał sejmik saski do Lipska, aby z niego kontrybucyę wycisnąć.

Szlachta, chcąc się od niej uwolnić, przedstawiła królowi szwedzkiemu, że oprócz obowiązku stawienia się z koniem na wojnę, innych ciężarów nie była obowiązaną ponosić.

— A gdzieżeście byli z waszymi rycerskimi końmi, kiedy ja wchodziłem? — spytał Karol XII. — Gdyby szlachta swój obowiązek spełniła, mnieby tu nie było... Gdy na dworze uczto-wać trzeba i hulać, nie brak ani jednego szlachcica, a gdy za kraj walczyć, siedzą w domu... Tylko od was, panowie szlachta, żądam kontrybucyi; możecie ją sobie wziąć, skąd chcecie... ale inni będą wolni...

Po zrzeczeniu się zupełnem korony polskiej na rzecz Leszczyńskiego, podpisany został traktat altranstadzki 1706 roku, a tymczasem w Polsce się jeszcze bito... i August nie przyznawał się do tego, co podpisał... Udawał, że wysłani dla zawarcia układów, Imhof i Pfingsten przekroczyli dane im pełnomocnictwo i ratując honor swój, zasadził ich do więzienia.

August, który wistocie pokój ten, ocalając resztki, zawrzeć musiał, zapierał się go potem zupełnie, gdyż w świecie surowo go bardzo sądzono; upadek był straszny, a wydanie Patkula dobijało go w oczach wszystkich... August sam czuł, że dźwignąć się będzie bardzo trudno i głuszył w sobie wspomnienie tego haniebnego ratunku.

Mimo obietnicy opuszczenia Saksonii po zawarciu pokoju, Szwedzi przez rok cały pozostali tutaj.

Tryumfujący Karol XII przyjmował tu posłów wszystkich państw niemieckich i Anglii. August, który na placu boju zrazu był w Polsce, i po wygranej pod Kaliszem, ożywiony nadzieją, że się poprawią sprawy, zwoływał znowu szlachtę, wkrótce jednak zmuszony był opuścić Warszawę, Kraków i wracać do Saksonii.

Pani Cosel, która zrazu towarzyszyła królowi w bitwach, obozie, wśród niewygód kampanii, poprzedziła go do Drezna. Taka była wola króla. Zaklinała go, aby jej dozwolił przebrać się po męsku i walczyć przy swym boku. Na to August odparł grzecznie, iż z dwóch najdroższych mu rzeczy: korony i Cosel, chce choć jednę ocalić i widzieć bezpieczną.

Zaklice, który na krok nie odstępował swej pani, powierzył król odprowadzenie jej do Drezna...

Rajmuś nie spał, nie jadł i z zapałem zakochanego spełniał więcej własne swe natchnienia, niż rozkazy. Cosel rzadko nań nawet okiem rzuciła. Chora i smutna wracała do stolicy. Lecz raz tu przybywszy, chwyciła władzę w białe rączki i silna królewską miłością, rządzić się poczęła, jak królowa, wbrew Fürstenbergom, namiestnikom i wszystkim, którym król jakieś powierzył zwierzchnictwo. Pomnożyło to liczbę jej nieprzyjaciół.

Wśród wojny i krwawych scen jej, August nie przestał

być sobą: miłość zawsze w jego życiu zajmowała najważniejsze miejsce... Tracił królestwo, ale zdobywał serca...

Panowanie hrabiny Cosel urozmaicało się epizodami, wśród szczęku broni odegrywanymi. Namiętność do niej żyła jeszcze w sercu króla, lecz ile razy się od niej oddalił, wracał do płochych swych obyczajów. Biedny, zwyciężony, teraz więcej niż kiedykolwiek potrzebował się bawić, a dworacy, dla których Cosel była straszną, sprzyjali chętnie wszystkiemu, co go dla niej oziębiać mogło...

Odsunięty przez nią Fürstenberg, hrabina Reuss i cała klika nieprzyjaciół, szukała już środków, jakby władzę Cosel podkopać i obalić ją mogli. Anna ufała nazbyt w swe wdzięki i przewagę, by się o to troszczyła zbytnio. Donoszącym jej o tem odpowiadała niedowierzającym uśmiechem. Węzeł, który ją łączył z królem, wzmocniło przyjście na świat dwóch córek. Dumna pani mówiła sobie, iż drugiej jej podobnej August znaleźć nie może; ona jedna mogła podzielać wszystkie jego zabawy i nie wzdrygnąć się ani igrzysk, ani strzałów, ani szalonej jazdy, ani obozować pod gołem niebem...

A jednak już w czasie pobytu w Warszawie serce jej mówiło nienadaremnie, że została zdradzoną. Król wykradając się przed nią, zawiązał był stosunek z córką francuskiej kupcowej, do której sklepiku na wino uczęszczali oficerowie... Anna groziła, dowiedziawszy się o tem, królowi, że mu z pistoletu w łeb wypali, król śmiał się, całował jej rączki i przebłagać potrafił.

W istocie, mimo tych zalotów, kochał ją; ze wszystkich ulubienic tronu była mu najmilsza; ona jedna bawić go nieustannie umiała... z nią jedną był szczęśliwym!

Niespokojna o króla, wróciwszy do Drezna, Cosel pocieszała się tem jedynie, że otoczona własnym dworem wielbicieli na których jej nigdy nie zbywało, choć się z nich wyśmiewała nielitościwie, dokuczała wymaganiami swemi namiestnikowi Fürstenbergowi... Wojna, wydatki, zniszczenie kraju, stracona korona, nie zmieniły bynajmniej życia Cosel, nie zmniejszyły zbytków... Utrzymywano po królewsku hrabinę, pieszczono Böttigera, który lada dzień miał zrobić złoto. Fürstenberg jeździł otoczony gwardyą, śpiewacy i kapela włoska kosztowały tysiące,

a tymczasem Karol XII zajmował Saksonię... i Patkula wydawano na śmierć męczeńską.

August wśród tych klęsk z wypogodzoną twarzą grał rolę półboga.

Wśród szczęku oręża, podpisawszy traktat, hańbę swą, August II powrócił do stolicy; a zaledwie powozy stanęły w dziedzińcu zamkowym, wprost udał się do pałacu hrabiny Cosel.

U drzwi jej apartamentu zastał wiernego Zaklikę, który oparty na poręczy krzesła, w głębokiej zadumie był zatopiony. Ujrzawszy króla, Rajmuś się porwał, wstrzymując Augusta.

— Najjaśniejszy Panie! hrabina chora... lekarz co chwila spodziewa się... przyjścia na świat...

Zlekka odepchnąwszy go, król wszedł... W pokojach głęboka panowała cisza... U drzwi sypialni usłyszał płacz dziecięcia August.

Cosel biała jak marmur, wysilona cierpieniem, nie mogąc przemówić słowa, wyciągnęła obie ręce, wskazując mu dziecię, które staruszka trzymała na ręku.

Król wziął je i pocałował, zowiąc swojem... Potem przystąpił do łoża i usiadł, czoło kryjąc w rękach.

— Anno — rzekł — świat mną wzgardzi i ty mnie kochać nie będziesz. Szczęście opuściło Augusta, jestem zwyciężony... pobity... wyzuty ze wszystkiego.

— Auguście — z płaczem odezwała się Anna, łamiąc ręce — biednego i nieszczęśliwego, gdyby był kajdanami obciążony, mocniej jeszcze kochać będę...

— A! potrzebuję tej pociechy — dodał król ponuro — nieprzyjaciel aż tu mnie ściga, sprzymierzeńcy są bezsilni... Zwycięzcy nikczemnie kłania się świat cały... on tu panuje, nie ja... Jestem najnieszczęśliwszym z monarchów...

Na takich żalach zbiegła godzina pierwsza pobytu w Dreźnie; chora potrzebowała spoczynku, królowi go dać nie mogli już zbiegający się zewsząd wojskowi, dowódzcy i urzędnicy... W korytarzu, wiodącym do pałacu czterech pór roku, zastał ich: Flemminga, namiestnika Fürstenberga, Pfluga, Hoyma i całą gromadę przerażonych klęskami, które na Saksonię spadały... Otoczono go kołem. Wszyscy szukali w twarzy jego oznak bo-

leści i znękania: król był tylko nieco zmęczony i znudzony. Ani postawa, ani wejrzenie nie zdradzały nieszczęścia, jakiego doznawał... Egoizm w nim głuszył wszystko... dopóki sam czuł się całym, nie bolało go nic... nie rumienił się niczem...

S) Ostatnie chwile księcia wojewody (r. 1875).

Opis ostatnich chwil życia Karola Radziwiłła Panie Kochanku stanowi tylko ramy, w które wprawiony został obrazek z czasów pierwszej burzliwej młodości jego, kiedy nie znosząc żadnego oporu, chciał przemocą zdobyć Wojzbunównę, córkę ubogiego, ale umiejącego cenić godność swą szlachetki. Podajemy scenę pierwszego widzenia się z panną w domu Zabiełły, który dla dogodzenia młodemu księciu sprosił do siebie mnóstwo szlachty, a wśród niej i Wojzbunów; oraz scenę napaści na dworek tych ostatnich. Opowiadającym jest dworzanin księcia, Wiśniowski.

900) Uradowany Zabiełło zebrał prawdziwe pospolite ruszenie na mil dziesięć dokoła. Dom mieli spory, stary, drewniany, sal w nim dużo, choć nizkich, ale wcale obszernych; na tę jednak uroczystość choćby dwa razy większy dwór nie starczył. Poopróżniano więc i pobielono na nowo izby, z których wyrzucono łóżka i pościele, aby tych gości jako tako pomieścić. Kapelę Zabiełło sprowadził ze Słucka, cztery moździerze wystawiono w dziedzińcu i od ogrodu, dla ogłaszania wiwatów. Skąd na ten występ pieniędzy sędzia wziął, Bogu tylko i Żydom było wiadomo. Dosyć, że paradnie się dzień ten obchodzić zabierano.

Mróz był trzaskający, ale we dworze, jak w łaźni; izby pełne, że się drzwi zamykały z trudnością. Opisywać to ciężko i nie ma po co, boć waszeć nieraz godów takich świadkiem bywał. Dla tego samego, że Radziwiłł miał przybyć, szlachta się zbiegła, on też jechał z dworem znacznym.

Gdyśmy przybyli pod obiadową godzinę, czekali gospodarstwo w ganku, mimo zimna, a moździerze oznajmiły radosną nowinę. Nie obeszło się bez mowy jednej, którą miał sam sędzia, a drugą rejent Pacewicz, nie licząc przydłuższych i wyuczonych komplimentów.

Biblioteka P.W.S.Z. w Krakowie

Tłok i ścisk, że się ledwie można było za księciem tam dobić. Kobiet co najpiękniejszych było mnóstwo, a naprzód dwie sędzianki hoże i śliczne, gdyby róże, ale to wszystko gasło przy Felisi Wojzbunównie, która po prostu była ubraną, a po niej na żadną spojrzeć się nie chciało. Książę wszedłszy, zaraz ją zoczył, lecz zbliżyć się nie mógł. U stołu go posadzili przy starej gospodyni, a z drugiej strony infułat. Wojzbunówna siedziała opodal. Uważałem jednak, iż mało co jedząc, ciągle oczyma ku niej strzelał, o czem ona zdawała się ani wiedzieć, ani suponować nawet.

Pierwsze zdrowie księcia miecznika z trąbami i moździerzami się ozwało, potem poszły i inne. Wzięła się ochota okrutna, że na klęczkach potem pito zdrowie jedne po drugich na zabój, i końca temu nie było. Książę się chciał wymknąć, ale koło niego się wszystko skupiało, więc do późna go nie puszczono. Dopiero gdy polskiego zagrała kapela, gospodynię wziąwszy, wstać mógł, aby tańce rozpocząć. Po pierwszym nastąpiły wnet inne, od których się już miecznik wymówił, ale od kieliszków, któremi go obsedowano, nie mógł. Drugi i trzeci raz powtórzono zdrowie jego, za wszystkie dziękować musiał, i to wielkim puharem, któremuby inny rady nie dał. Ale naówczas!! nam się to naparstkami wydawało.

Nierychło go wyzwolił Wołodkowicz i ja, żeśmy trochę mogli się przejść pomiędzy gości. Wszędzie tłum był na biedę taki, iż sobie z trudnością drogę musieliśmy torować. Drąc się, jakby przez gęstwinę w lesie, dobiliśmy się tam, gdzie stała Felisia Wojzbunówna, a koło niej panien kilka. Za wrzawą rozmawiać nawet było trudno, musieliśmy czekać, aż się muzyka uciszy, i tancerze odpoczywać będą.

Musiano pewnie Wojzbunównie powiedzieć co o księciu, jak to ludzie zwykle plotą i powtarzają, że się kilka razy odzywał: »niema, jak Felisia Wojzbunówna!« bo gdy się ku niej zbliżył, dziewczynie lice krwią całe zapłynęło, i z oczu poznać było można, iż w sobie gniew hamować musiała.

Nie przedstawiano księcia, bo go tam wszyscy znali, ani panny, bo jej piękność już ją zalecała wszystkim.

Zbliżył się więc książę miecznik, wąsa pokręcając, i odezwał:

— Nigdy w życiu nie tańcuję i nie mam ochoty do innego, chyba do tatarskiego tańca; ale gdybym miał szczęście z panną Wojszczanką pójść, gotówbym nietylko w tany, ale choć do piekła...

Spojrzała nań wielkiemi temi czarnemi oczyma zagniewanemi, pomilczała chwilę i odezwała się tak śmiało, jakby do lada szlachcica mówiła:

— Niepospolity to honor dla mnie, że w. ks. mość raczyłeś na ubogą szlachciankę zwrócić oczy... ale ja też tańcuję mało i to tylko z tymi, których znam blizko... a choćby z największym panem i choćby do nieba nie poszłabym dla fantazyi...

Książę, który się takiej hardej nie spodziewał odpowiedzi, zamilczał chwilę. Nierychło dopiero zaczął ciszej:

— Rzadko się to Radziwiłłom trafia, żeby ich z kwitem odprawiano; dla osobliwości przyjmuję ten despekt, jaki mi panna wojszczanka wyrządziła, ale w sercu pamięć o nim zachowam.

— Nie jest to despekt żaden, — zimno odezwała się Wojzbunówna, która całą zachowała przytomność — jeśli książę masz fantazyę dziś poskoczyć, toć jest w czem wybierać sobie do pary.

— Właśnie mościa panno, jam z tych, co im, panie kochanku, najlepiej smakują zakazane owoce — odezwał się Radziwiłł — no i z tych, co się nie lękają sięgnąć po nie, choćby je ciężko zdobywać przyszło.

Pomilczała trochę Wojzbunówna, a dziwnie jej pięknie było z gniewem, którym pałała... Ruszyła ramionami.

— Nie rozumiem, w. ks. mość — rzekła.

— A jakże mówić mam, byś mnie waćpanna chciała zrozumieć? — odparł Radziwiłł.

— Nie tak, jak w pałacach do pięknych i wyuczonych pań mówią, ale tak, jak do nas, prostych szlachcianek, bracia nasi mówić nawykli.

— Tego języka mi się, panie kochanku, uczyć nie trzeba — odezwał się książę, ożywiając coraz — myśmy też szlachta z kośćmi i skórą, a nie żadna cudzoziemska dzicz...

— Co Radziwiłł, to nie my, drobna szlachta — mówiła

wojszczanka — każdy ma swe miejsce na świecie i swojego pilnować powinien. Kanarki z wróblami nie idą w tany... a my... szare wróble.

Księciu się policzki zarumieniły.

— Strasznie mnie panna wojszczanka chłoszczesz za nie moją winę — odezwał się — a gdybym jej chciał posłuchać i żyć tylko ze swymi, toćbym chyba do grobów familijnych zstąpić musiał, gdzie pradziadowie leżą. Tego sobie jeszcze nie życzę, panie kochanku... a według mojego zdania, piękność w kobiecie choćby tronu ją godną czyni. Pannie Felicyi w koronieby chodzić.

— Wolne żarty, mości książę, ja ani mitry nawetbym nie chciała — zawołała Wojzbunówna — cierniowe to korony...

Książę się obejrzał do Wołodkowicza i szepnął:

— Z tą niełatwa rozmowa...

Wojzbunówna, jakby odejść chciała i uniknąć dalszych zaczepek, posunęła się krok; miecznik jej zastąpił drogę.

— Czyśmy się już z panem Wołodkowiczem tak waćpannie naprzykrzyli, że od nas zamyślasz uciekać? Namby też na słońce się popatrzeć chciało...

— Mości książę — przerwała Wojzbunówna — wielki to honor dla mnie bawić w. ks. mość, ale ja się nie czuję na siłach, ani w humorze...

— A cóż humor popsuło? — spytał miecznik — chyba za kim tęsknota?

— Mogłoby to być — odezwała się szybko wojszczanka — ale nie wiem, czy w zapusty obowiązana jestem do spowiedzi.

Zagryzł miecznik usta.

— Dosyć — rzekł — że w tym gościnnym domu sędztwa jedna panna wojszczanka niełaskawa na mnie...

— Ani łaskawa, ani niełaskawa — odezwała się Wojzbunówna. — Książę mnie po raz pierwszy widzisz, ja w. ks. mość znam tylko przez ludzi, skądżeby łaska albo niełaska urodzić się miała?

— A jakże mnie asińdźka przez ludzi znasz, panie kochanku? — spytał książę — źle, czy dobrze?

Wojzbunówna śmiało mu spojrzała w oczy...

— Nie zwykłam ludziom zbytnio dowierzać — rzekła.

Księcia coraz bardziej mieszały te śmiałe odpowiedzi, głową kręcił i wąsa targał.

— Znać to z mowy, że mnie przed asińdźką obgadano — mówił dalej — nie byłabyś dla mnie tak — tu się książę zaciął i, wyrazu stosownego nie znalazłszy, dołożył — tak... okrutną.

Wojzbunówna, posłyszawszy to, rozśmiała się chłodno, a miecznik, zmieszany coraz bardziej, nasrożył się.

— Księciu ani o moją grzeczność, ani o prostactwo niewiele chodzić może — odpowiedziała — nie zabawi chwili a wszystko się to zapomni.

— Nie tak to łatwo! panie kochanku! o! nie tak łatwo — zawołał miecznik — jeszczeby się dobre słowo mogło rychlej wygluzować z pamięci, ale ostre... nigdy...

— Ostregom też nie powiedziała! — zawołała wojszczanka.

— A jeszczeż mało? — zapytał miecznik.

— W. ks. mość nawykłeś zbytnio, że przed nim na twarz padają, a my tego nie uczeni... nie potrafimy.

Ruszyła ramionami, znowu chcąc odejść — miecznik nie puszczał.

— I tak mnie waćpanna chcesz odprawić, bez dobrego słowa? — rzekł.

Tu popatrzała nań...

— Jeśli starczy: pokorna sługa w. ks. mości.

To mówiąc, nizko się pokłoniła, oczy podniosła i szydersko nieco dodała:

— Stopy całuję w. ks. mości...

Gdy to rzekłszy, ruszyła się iść, już jej miecznik nie zatrzymywał, ale my, cośmy go znali, po licu-śmy poznać mogli, iż strasznie był wzburzony. Wkrótce potem, mimo usilnych próśb Zabiełłów, mimo zaklęć gości, co go otaczali, uparł się jechać, a na odjezdnem poszedł Wojzbunównę szukać dla pożegnania. Gdy go zobaczyła zbliżającego się, gniewem jej twarz zapałała.

— Nie chcę odjeżdżać bez pożegnania — rzekł książę — a na odjezdnem chciałbym pannę wojszczankę upewnić, że choć

niełaskawa na mnie, ja się odprawić tak nie dam i dokuczać jej będę, aż się doproszę, panie kochanku, lepszego przyjęcia.

Skłonił się nizko.

— Ja w. ks. mość upewnić mogę, iż jaką mnie dziś widzisz, taką będę zawsze... bo jestem uparta...

— A ja też! a ja też! — podchwycił Radziwiłł — i niełatwo się mnie zbyć.

Wojszczanka dygnęła i co żywiej ustąpiła. Ledwieśmy siedli do sań, bośmy we czterech jechali razem ogromną budą na gryndżach, książę krzyknął:

— Gotów-em na wszystko, a tę dumną jejmościankę trzeba poskromić! Piękna, jak bogini, ale też tony sobie daje... Nie będę miał pokoju, póki na swojem nie postawię!

. . . . . .

Braliśmy się do strzemion, co rychlej, gdy wojski, ochłonąwszy nieco, strzelbę wlokąc za sobą, szablę podniósłszy, blady, drżący, słaniając się, wybiegł przed ganek, jak wściekły.

— Słuchaj, ty, mieczniku litewski, ty, co swojemi szałami poczciwe kalasz gniazdo, młokosie ty opętany, jeśli się nogą ośmielisz stąpić na mój grunt, tak mi Boże dopomóż i Najświętsza męko Jego, jak psu w łeb ci strzelę!

Słysząc to, u nas wszystkich życia zabrakło niemal, wiedzieliśmy, że książę takiego despektu nie zostawi niepomszczonym, było to wyzwanie, którego skutki łatwo nam przewidzieć było.

Książę się rozśmiał, a raczej ryknął, jak niedźwiedź raniony. Drugi raz w życiu słyszeliśmy z ust jego taki głos, pierwszym razem, gdy szlachcica pakułą zabił.

— Stara pałko bez mózgu — zakrzyknął — zapłacisz ty mi to, zapłacisz sowicie. Do miłego i prędkiego zobaczenia, do zobaczenia...

Myśmy parli za nim.

Lecieliśmy tak, jak opętani, bez drogi, może jaki kwadrans, jeden hajduk z koniem razem w rów wpadł; dopiero wśród pola miecznik konia osadził nagle, aż mu pysk zakrwawił i tylne nogi w piasek po pęciny się zaryły. Stanęliśmy; książę pot ocie-

rał z czoła, śmiał się dziko, niezdrowym śmiechem, zębami zgrzytając.

— Słyszeliście, ze psy mnie odprawił — zawołał — i toby jemu i jej płazem ujść miało?... jak Bóg żywy, panie kochanku nie może to być, nałożył, a staremu gębę stulę na wieki wieczne.

Spojrzał po nas, jakby chciał, byśmy mu potakiwali; ale się nie odezwał nikt, milczeli wszyscy. Co za dziw! mój dobrodzieju, każdy z nas swoją chatę, swojego ojca starego i siostry przypominał.

— Stary łbem to przypłaci — mówił książę rozwścieczony — takiej odprawy nie zniosę! To mu nie ujdzie na sucho, lub nie będę Radziwiłłem. Marszczcie się na mnie, czy nie — dodał do nas — to mi wszystko jedno, nie pójdziecie wy za mną, spędzę tysiąc ludzi na tego zuchwałego warchoła i...

Jeden stary Parczewski ośmielił się przez zęby wycedzić:

— Wolne żarty, mości książę, szlachcic językiem mełł, to tam jeszcze nic tak wielkiego, ale się porwać na dom, to wieżą pachnie.

— Choćby i pieńkiem, panie kochanku — podchwycił miecznik — kto kocha Radziwiłła, ten go nie opuści, a kto parszywa owca, niech do domu idzie spać, pal was dyabli!

I konia batem ściągnąwszy, puścił się znowu.

Milcząc, potrwożeni, jechaliśmy za nim aż do obozu. Tu jeszcześmy z konia nie zsiedli, gdy książę kazał zwijać tabor i do drogi do Nieświeża się sposobić.

Nim jednak zatrąbiono raz i drugi na zbór, nim się to wszystko pościągało, nim konie z paszy wzięto, wozy uładowano, namioty poskładano, zaczęło się na dobre zmierzchać.

Wszyscy chodzili, jak potruci, nikt słowa nie śmiał rzec, patrzyliśmy w oczy jeden drugiemu, każdy ważył, co ma począć, i co go spotkać może.

Wtem książę wina kazał podawać, choć nikomu pić się nie chciało, bośmy i tak byli, gdyby pijani. Z nim jednak teraz spierać się nie było sposobu; gdy kielichy ponalewano, musiał każdy rad nie rad chlipać. Jakoś to nas poniewoli orzeźwiło, dodało męstwa i poczęliśmy z sobą się naradzać, a bąkać, co robić? Starzy zaklinali, aby mu się nie sprzeciwiać i już go nie

jątrzyć, bo znali tę naturę i krew Radziwiłłowską, że gdy jej tamy stawią, groble wyrywa.

Mówili: wyszumi się... Tymczasem, co który do niego zagadał, usta mu zamykał, powtarzając nieustannie:

— Despekt Radziwiłła spotkał!... Trzeba szlachcica rozumu nauczyć! Powiada Parczewski o wieży; wolę wieżę siedzieć *in fundo*, niż oplwany chodzić.

Kazał tedy pić i wypróżniać i nalewać coraz, a gdy mu się opierali i wypraszali niektórzy, do tego przyszło, że podochocony, pistoletem groził, taki go był szał opanował.

I nam też w głowach szumieć poczynało.

Wino bywa dobrym doradcą, ale bywa i najzdradniejszym. Obóz już był zwinięty, a my na kłodach siedząc przy rozłożonem ognisku, piliśmy i pili. Co którego gąsiora dokończono, książę go o pień kazał trzaskać, a sam kielichy w garści dusił, drugimi ciskając, gdy je dopił, tak, żeśmy myśleli, iż szkła zabraknie.

Około północka książę wstał, łowczemu coś począł szeptać, ludzi z obławy natychmiast kazał rozpuścić, dając po tynfie na głowę. Myśliwych dworu, przyjaciół, służby zostało może głów do pięćdziesięciu.

Noc poczynała być zimna, ale po winie mało się tego czuło; gwiazdy świeciły niby, choć mimo to ciemno było, jak w rogu, bośmy księżyca nie mieli. Nagle kazano konie siodłać i hasło w drogę!

— Co ja mam długo czekać i truć się tą obelgą, i nosić ją, jak kamień za pazuchą? — począł miecznik — kto ze mną trzymać chce, niech jedzie ze mną; kto mnie dziś odstąpi, niech mi się nigdy więcej nie pokazuje na oczy. Wóz lub przewóz wolny każdemu, panie kochanku, droga otwarta, jak sobie kto pościele, tak się wyśpi.

Ze dworu księcia nikt mu ani myślał stawić oporu; czeladź, hajduki, dwornia, wszystko to byli ludzie zapamiętali, determinowani z nim i za niego w wodę i ogień! Dla nich to była gratka i satysfakcya iść na awanturę, bo po niej zawsze się coś za guzy dostało.

My, szlachta i przyjaciele Radziwiłłowscy, samiśmy nie wiedzieli, co począć. Odstąpić go hurmem i dać mu samemu

z tą hałastrą jechać, zdawało się najniebezpieczniejszem. Każdy z nas wyobrażał sobie, że go jeszcze potrafi od ekscesu powstrzymać.

Chwila dla nas była, Bóg widzi, straszna, jakiej w życiu nie pamiętam. Głowy podchmielone, trwoga jakaś, niepewność, a razem szał i zapamiętanie. Dworacy i służba poczęli wołać:

— Choćby w piekło z księciem!

— Prowadź nas, my z tobą!

— Górą Radziwiłł!...

— Górą nasi i t. p.

Jeden tylko Rejten młody ośmielił się wystąpić. Lubił go miecznik bardzo. Na koniu już między nami stał, ale konia, bułanego mierzynka, jak dziś pamiętam, zmusił się cofnąć na kilka kroków. Jakbym go jeszcze widział: maleńka, czupurna figurka, łeb wysoki, wąsik czarny, zakręcony do góry, oczy wypukłe, czapka na bakier, rękę do góry podniósł i począł wołać:

— Książę mieczniku, na rany Pańskie, co czynisz! opamiętaj się! Najazd na dwór, czy to Radziwiłłowska sprawa? Pójdę za tobą w ogień i w wodę, ale nie w błoto, ale nie na rozbój przeciwko bezbronnym. Co ci jest! książę! opamiętaj się! zlituj!... Szlachcicowi, pogodną godziną, spokojniusieńko damy sto batów: ale na dwór, wara! Dziś na jego dom najedziesz, a jutro na mój, ja w to ręki maczać nie chcę i nie będę.

— A! ty! skóro bycza! — krzyknął miecznik, do szabli się biorąc — i ty się śmiesz nazywać moim przyjacielem, a nie chcesz, żebym mojego honoru bronił?

— Nie pozwalam, abyś go kalał — odparł Rejten — wyzwij na rękę wojskiego, pójdę z tobą, dam się zasiekać, ale od kobiety wara!

Książę podbiegł wprost na niego z koniem, z szablą dobytą; Rejten ani drgnął, stał.

— Bij, siekaj, to ci wolno! to zniosę od przyjaciela; ale z tobą na rozbój nie pójdę, a dopóki mi sił i głosu stanie, hamować cię będę, bo... tak mi sumienie każe.

— Skurczypałko ty jakiś! — począł książę wymyślać, unosząc się coraz więcej gniewem i grożąc mu ciągle szablą.

Ale poskoczyli drudzy i zasłonili Rejtena, a księcia pohamowali.

Rejten powoli konia zwrócił i, milcząc, na bok stępią odjechał.

Miecznik szablę do pochew schował i, mrucząc, umitygował się nieco, nie spozierając już nawet w tę stronę, kędy Rejten mu zszedł z oczu.

— Za mną, kto z Radziwiłłem trzyma! — krzyknął i puścił się przodem, za nim wszyscy.

Rejten, jak był, tak sam jeden w lesie na obozowisku pozostał i do domu pojechał.

Co się później działo z nami, trudno mi opowiedzieć. Cały ten wieczór pomieszał mi się tak w głowie, że mało co szczegółów pamiętam. Dworaków, hajduków, leśnictwa i posłusznego na skinienie księcia tłumu tego napół pijanego, rozgorzałego, cztery razy tyle było, co nas, przyjaciół miecznika. Wszyscy oni wraz otoczyli go i z wrzaskiem a odgróżkami puścili się ku Rabce Czerwonej.

Nie było sposobu tak go odstąpić, żeby choć największemu nieszczęściu i szaleństwu zapobiedz. Tętniła ziemia pod kopytami koni, lecieliśmy, jak opętani; niejeden się z koniem przewalił, niejednego stratowano, na oślep się tak darło przez noc czarną, a konie smagano batami. Hałastra pokrzykiwała.

Zdala wreszcie zamajaczyła nam ta nieszczęśliwa Rabka; bo choć noc była późna, świeciło się jeszcze we wszystkich oknach i w dziedzińcu widać było ludzi, przesuwających się z latarkami.

Zbliżając się do dworu, zwolniono kroku, ale się miecznik nie opamiętał; kto mu słowo śmiał rzec, to go popchnął; łowczemu kazał naprzód dwór obstawić dokoła po cichu, jak na wilki polując, ażeby się żywa dusza wymknąć nie mogła.

Z tego, co widać było na dziedzińcu i w domu, łatwośmy się domyślali, że wojski nastraszony, musiał się z córką w drogę do Słucka lub jakiego innego miasteczka wybierać, wiedząc już, co go czeka.

Tak było w istocie. Pakowano wozy, gdyśmy się do parkanu i dziedzińca przybliżyli.

Miecznik sam, dysząc i klnąc, jechał przodem. Aż pod wrota same postępowano w milczeniu, wtem nagle, dokoła roz-

legły się krzyki dzikie, ludzie książęcy ze wszystkich stron się w podwórze i na dworek rzucili.

Czeladź bezbronna, która przy wozach się kręciła, garstka mała, przestraszona, pierzchać zaczęła, gdzie kto mógł: do obór, do dworu, w krzaki. W ganku tylko pokazał się wojski z szablą na ręku i ze strzelbą. Za nim córka stała z pistoletami. Oficyalista jakiś mknął pod ławę na ganku i na czworakach się trzymał.

Bramę wyłamano natychmiast, tak, że jedno skrzydło z trzaskiem na ziemię runęło, płoty też walić zaczęto i ludzie wdzierali się ze wszech stron, pieszo, konno, aby prędzej.

Nie zważając na strzelbę w ręku Wojzbuna, który się już przymierzył i celował, książę z koniem dotarł aż ku niemu. Wtem, słyszę, rozległ się strzał; dym mi księcia zasłonił, a ludzie wrzasnęli przeraźliwie. Myśleliśmy, że, uchowaj Boże, trafiony był miecznik, bo się na siodle pochylił. Ale nie, patrzę, skoczył z konia i z szablą wprost na wojskiego, za nim drudzy, czy hamować, czy pomagać, Bóg wiedział.

Jeszczem widział, jak Wojzbunówna, ręką niepewną podniósłszy pistolet, strzeliła, napróżno, i jak na Wojzbuna cisnęli się ludzie z szablami, płatając go. Zasłaniał się im, aż... słyszę:

— Jezus, Marya! — upadł na ziemię i wszystko się w ganku zwinęło, skłębiło w kupę, ani poznać przyjaciela od nieprzyjaciela, tylko wrzask uszy rozdziera.

Sądny dzień tam nastał...

Ten i ów, jak szalony strzela, bije, wywleka ludzi, rwie się, krzyczy.

Wojzbunówna przypadła do leżącego na ziemi we krwi własnej ojca; patrzę, a tu ją z jednej strony miecznik, z drugiej strony łowczy chwytają wydzierającą się, krzyczącą, lamentującą, i niosą gwałtem ku koniom.

Zamęt się wszczął, żeśmy jeden drugiego nie widzieli i opamiętać się nie mogli, co się z nami dzieje. Jam z konia nie zsiadł, ale potrącany, pchany, głowę straciłem, mój też kary począł, nie patrząc kogo, tylnemi nogami bić. A tu dwornia i czeladź, rozpasawszy się, dokazuje, dom rabują, niosą, co kto chce, tłuką znalezionych ludzi.

Nie mogłem już na to dłużej patrzeć; wstręt, żal, ból mnie porwał okrutny, począłem się z koniem wyciskać z tłumu... i obrzydzenie mając do tych okropności, posunąłem się do bramy, żeby uciec z tego dyabelstwa i nie patrzeć na nie. Żal mi było tych ludzi, ale żal i poczciwego księcia naszego, który się uniósł tak fatalnie. W oczach mi się ćmiło, w głowie zawracało, łez miałem powieki pełne, sam nie wiedziałem długo, co czynię, anim też się postrzegł, jak koń mnie, czy ja konia wyprowadziłem na pagórek za dwór, gdziem dopiero przystanął odetchnąć.

Nie rychłom się rozpatrzył, że nie wiedząc jak, wjechałem na mogiłki, między krzyże, i nuż się z cmentarza dobywać napowrót na pole. Zły to był *omen!* W tym samym momencie, czy od kłaków i strzelania, czy od umyślnie podłożonego ognia, zaczął się z jednej strony palić dworek, a z drugiej zabudowania folwarczne. Wiatr dął, a że to wszystko stare było, drewniane, suche, jak pieprz, więc we trzy pacierze może stało całe w płomieniach! Ja stoję, a stoję; widzę na tej jasnej łunie, jak szatany czarne uwijają się cienie, już nie wiem, rabując, czy ratując.

Miał widać wojski zapas prochu gdzieś w izbie, więc nagle jak strzeli i buchnie! Jezus! Marya! iskry się podniosły na budynki, głownie całe porozlatywały, ludzie wrzasnęli. Kiedyniekiedy krzyk, aż się krew w żyłach ścinała. Zwiesiwszy głowę, puściłem już koniowi cugle — idź, nieś, dokąd chcesz.

Gdym się rozglądać począł, księcia miecznika nie postrzegłem już nigdzie, anim mógł zmiarkować, co się z nim stało.

Goryczą i żółcią zapływało we mnie wszystko; największą miałem złość do tych, co głupiem drażnieniem, przypominaniem, podżeganiem do tego nieszczęścia doprowadzili. Wiedziałem dobrze, iż choć Radziwiłłowi wiele ujść mogło bezkarnie, nietylko szlachta, ale panowie Sapiehowie, Ogińscy, Tyszkiewicze, Massalscy, płazem mu tego nie puszczą.

Ani wiem sam, jak mnie mój kary, rozumniejszy naówczas ode mnie, wywiódł na drogę i, sam ją sobie wybierając, bom się na niego zupełnie spuścił, wyprowadził do folwarku, na Sierzputowszczyznę. Prawda, żem tam często jeździł,

z dzierżawcą, niejakim Szyłejką, będąc od dzieciństwa w przyjaźni.

T) Stara Baśń (r. 1876).

Utwór ten, rozpoczynający wielki cykl powieści historycznych z dziejów Polski, doprowadzony do połowy w. XVIII, odznacza się bogactwem artystycznie odtworzonych obrazów, przedstawiających stan kulturalny Polan nadgoplańskich w okresie przedhistorycznym. Podajemy tu jeden z najpiękniejszych, mianowicie obrządek żałobny i spalenie zwłok starego wojownika Wisza.

901) W świetlicy na posłaniu swem leżał trup starca blady, ręką jeszcze ściśniętą trzymając złamane drzewce, które tkwiło mu w piersi, oblanej zastygłą krwią czarną.

Łuczywo paliło się na ognisku, dwaj synowie siedzieli i płakali. Nie było nawet komu o pogrzebie pomyśleć, bo niewiasty wszystkie jeszcze były w lesie.

Dano im znać, pobiegł Sambor, hukając w umówiony sposób, lecz nim mu na głos odpowiedziano, nim nadeszła żona, córki, synowie, sługi i wnuk, noc już była w połowie.

Wśród ciszy lasów zdala ten pochód żałobny słychać było.

Szły płacząc, rycząc, śpiewając, zawodząc, włosy rwąc z głowy, a puszcza jękiem rozlegała się daleko.

Przodem szła stara Jaga, siwe włosy rozpuściwszy na ramiona, z rękami załamanemi, z zamkniętemi powieki. Pod ręce wiodły ją córki, zrzuciwszy z głów wianki, rozplótłszy kosy, podarłszy odzież na sobie. Tylko Dziwa szła milcząc i jakby martwa.

Lament ten, płacz i razem pieśń lękliwa, wszystkich przejęły smutkiem i grozą... Mężczyźni wtórowali. Otwarły się drzwi, i cały ten orszak niewieści wtoczył się, jak pijany rozpaczą, biegnąc aż do zwłok starca. Tu popadały na ziemię wszystkie i tarzać się poczęły.

Ogień przygasł był na kamieniach, przyrzucono pęk łuczywa i w blasku jego przedstawił się obraz ten tak straszno, tak boleśnie, że ci, co już płakali dzień cały, na nowo ryczeć poczęli. W podwórzu wyły psy, w szopach odzywało się strwożone bydło, konie rżały.

Nareszcie Dziwa wstała z ziemi. Stara Jaga ruszyła się za nią, płaczki tylko zostały, zawodząc i śpiewając pieśni... Matka i córka szły zmarłego do mogiły odziewać.

Żalnik i zgliszcza dosyć były oddalone, znajdowały się w lesie, na piaszczystej polance. Poszli więc parobcy drzewo przysposobić na stos, kamienie gotować do grobu, bo ciała nie chciano długo trzymać niespalonem, ażeby duch mógł prędzej wzlecieć do ojców i braci.

Noc to była znów bezsenna i łzawa... Nad rankiem już stary Wisz siedział na ławie, podparty tak, aby się żywym niemal mógł zdawać jeszcze. Najlepszą odzież nań włożono, najpiękniejszą broń przypasano do pasa, czapkę z kitą miał na głowie, łuk na plecach, procę, kamienny topór ojców i młot z krzemienia.

Siwy koń, na którym ostatnią podróż odbywał, stał przeznaczony, aby z nim spłonął na stosie...

U nóg nieboszczyka, na ziemi siedziała Jaga, z głową spuszczoną, ubrana w najpiękniejsze swe suknie, w sznurach bursztynu i świecących naramiennikach; siedziała i jęczała po cichu...

Dalej płaczki z rozrzuconymi włosy, bijąc w dłonie, drapiąc twarze i piersi, śpiewały pieśni rzewne... W głębi synowie stali, na rękach podparci, łzy ocierając po cichu...

— Odszedłeś od nas — wołały płaczki — niema cię, panie, ...osierociłeś nas biednych... Poszedłeś, panie, do ojców swoich, do duchów jasnych, wojować z czarnymi duchy... Wszystkoś na ziemi miał, czego dusza zapragnie... Ziemie rozległe, zwierza dostatek, trzody bez liku, zboża zasieki, ulów tysiące, chleb i miód biały... I miłość miałeś u ludzi... Żonę ci wierną, dzieci posłuszne, czeladź pokorną i konie rącze... Rzuciłeś wszystko... i nas... i dzieci... i nigdy do nas nie wrócisz... Patrz na sieroty... włosy rwą z głowy, słyszysz ich jęki... otwórz powieki... Wiszu, wojaku niezwyciężony, wróg na cię napadł zdradliwie... krew twa nie pomszczona, zemsta niesyta; z twojego rodu pójdzie ostatni mścić ją, dopóki stanie zabójców plemienia...

Śpiewy te żałobne powtarzały się bez końca. Dzień już był, gdy dano znać od lasu, że na zgliszczu stos gotowy. Sąsiadom parobcy znać dali, prosząc na chleb żałobny.

Cały pochód ruszył z zagrody. Czterej parobcy nieśli siedzące zmarłego ciało, za nimi wiedziono konia, prowadzono psy, niesiono broń i szaty. Płaczki kołem otaczały zwłoki, pieśni ciągle zawodząc nowe i przeraźliwe wydając jęki. Za nimi szedł guślarz Słowan ze spuszczoną głową i Jaga, którą wiodły córki pod ręce; cała ludność aż do dzieci wysypała się ze dworu, który pustką otwartą pozostał.

Do zgliszcza trzeba się było przez las przedzierać, leżało bowiem na wzgórzu, wśród gęstego boru, który doń bronił przystępu. Miejsce było piaszczyste, gdzieniegdzie dziewannami i piołunem białym porosłe. Trochę trawy wyschłej zieleniało wśród kamieni starych, których rzędy oznaczały dawne mogiły.

U wnijścia, na ubitem tokowisku, wznosił się ogromny, szeroki stos z bierwion sosnowych, który cztery grube pale, wbite po rogach, utrzymywały. Niedaleko od niego widać było przygotowane popielnice, garnki, miski i drobne gliniane naczynia, w które popioły i ofiara obecna mieścić się miała: — chleby, kołacze, mięsiwa, piwo i miód, na tryznę przygotowane. Piękne słońce majowe i niebo jasne dodawały uroczystemu obrzędowi powagi i spokoju, jak gdyby duchy dobre cieszyły się przyjęciem dobrego kmiecia.

Niewiasty wszystkie kołem otaczały Jagę, milczącą, ubraną jak na weselne gody i po kolei całującą dzieci swoje, jakby je na wieki żegnała. Nie mówiła nic, ale wszyscy czuli i wiedzieli, że na stos pójdzie za towarzyszem życia i pozostać sama osierocona nie zechce na ziemi.

Wśród jęków płaczek wniesiono na stos ciało, umieszczając je w pośrodku; przy niem składano z kolei wszystko, czego potrzebował za życia do pracy i łowów. Kłody sosnowe, poukładane jedne na drugich, wiodły jakby schodami do góry, gdzie stał trup Wisza, otoczony orężem i odzieżą.

Jeszcze go przymocowywano, gdy Jaga, pocałowawszy w głowę Dziwę, krokiem powolnym ruszyła do stosu. Przypadli do niej synowie, powstrzymując, ale ich odtrąciła zlekka; przystąpiły córki, jeszcze dała im znak, aby uszły z drogi; rzuciły się z płaczem wnuczki, wołając na nią, wskazała matkom, aby je wzięły na ręce... Szła tak aż do stosu, stanęła chwilę, popatrzała na stojących, na biały świat szeroki

i śmielszym krokiem wstępować zaczęła po drzewach coraz wyżej, na szczyt sam, aż tu padła u stóp męża i objąwszy nogi jego rękami, nieruchomie przy nich została...

Jęk płaczek wznosił się coraz przeraźliwszy. Przyprowadzono Siwego i na stosie uwiązano go u słupa, skrępowawszy mu nogi. Przy nim postawiono psy ulubione... Płaczki zaczęły obiegać stos dokoła, jakby w szalonych skokach, miotając się i krzycząc. Nareszcie po czterech rogach ogromne kupy łuczyny smolnej, której pod spodem i po bokach nagromadzono niemało, zażegnięto razem. Podpalone zaledwo, zajęły się nagle, szybko, płomieniem jasnym, i w mgnieniu oka drzewo, przepojone smołą, stanęło jednem ogniskiem ogromnem. Dym i płomienie zakryły zwłoki.

Jęki zmieniły się w krzyk rozpaczliwy, dym wił się kłębami sinymi dokoła, obejmując stos z boków, od spodu, i buchając z pomiędzy kłód, około których się obwijał. Niekiedy mignęły tylko jeszcze siedzące zwłoki i u nóg ich leżąca niewiasta, to koń, który się rwał, napróżno siląc uwolnić... Ogień z chciwością stos pożerał... a na chwilę wiatrem lekkim przytłumiony, powracał z podwójną zajadłością po swą pastwę, wciskając się wszędzie, sycząc, pryskając i zdając chłonąć stos, sobie przeznaczony, jak wygłodzona jakaś istota... Łuczywa już przezeń zjedzone opadły czarnemi drzazgami, grube kłody paliły się całe, rubinowymi okrywając węglami. Wiatr, jakby umyślnie zesłany, zrazu lekki, wzmagał się i podżegał jeszcze ten pożar, na który wszyscy patrzyli z uroczystem przejęciem i trwogą. Zdawało im się, że ujrzą ze stosu ducha, ulatującego w górę.

Była też to chwila, w której odegnać należało złe siły, czarne bogi, i czterech parobków na koniach, z dzidami w rękach, poczęło szybko obiegać stos dokoła, z wrzaskiem wywijając niemi... Wtórowali im wszyscy przytomni, bijąc w dłonie, podnosząc ręce, podrzucając w górę oszczepy.

Stos płonął ciągle. Z za kłębów dymu, z za jasnych płomieni widać jeszcze było sczerniałe zwłoki, i u stóp ich wyciągniętego trupa, na którym odzież płonęła; to znowu osłaniały je dym i ogień, wybuchające od dołu, aż bale kruszyć się i opadać zaczęły. Oba ciała osunęły się w ognistą, żarzącą głębię i znikły... Stos stał rozżarzony, jak jedno płomię ogromne, w któ-

rem tylko sterczące pale rozeznać było można. Pieśni ucichły, duchy wzleciały... Dzieci rzucały jeszcze w płomienie, co które miało najdroższego, co ojcu na drugim świecie służyć mogło... oręże... kawałki kruszcu... kamienie...

Tymczasem służebne napełniały misy, niecki i garnki strawą i objatami [1]) dla żywych i umarłych, grobową dla duchów ofiarę.

Zarzewie na zgliszczu, coraz się zmniejszając, z wielkiego stosu stało się małem ogniskiem, kupą węgli czarnych i popiołu. Zsuwano głownie, aby dogorywały, czekając, aż ogień święty sam przygaśnie...

Słońce już zapadało, gdy nareszcie dogorzały reszty, a zgliszcze wodą, przyniesioną ze świętego zdroju, zalewać poczęto.

Natenczas przystąpiły niewiasty, niosąc popielnicę glinianą, aby w nią zgarnąć niedogorzałe resztki kości, węgla i wszystkiego, co razem ze zmarłym przez ogień zniszczone, poszło z nim na świat drugi, aż do najdrobniejszych szczątków i prószyn zmieciono węgle, popioły, okruszyny, niedogorzałe kostki, niedopalone sprzętów obłamki.

I ruszył znowu orszak żałobny, niewiasty, mężczyźni, dzieci, niosąc popielnice, garnuszki i ofiarne miski ku miejscu, gdzie miano sypać mogiłę, obok ojców i braci Wisza. W pośrodku z urną stanęły zebrane szczątki, dokoła przy niej miski ofiarne. Popielnice pokryto wiekiem. Dzieci cisnęły się, aby każde mogło swą drobną pomieścić dań na grobie... Wśród nowych zawodzeń i pieśni zaczęto z pośpiechem sypać ziemię na mogiłę.

Niewiasty siedziały kołem, zawodziły i płakały, lecz pieśni już były spokojniejsze: duch uleciał... Noc zapadła, gdy żółty pagórek wzniósł się nad popiołami Wisza.

Na żalniku zapalono stosy łuczywa i rozpoczęto ucztę żałobną.

Ludzi zgromadziło się wiele z okolicy, ugaszczano wszystkich, do wszystkich przepijano... Stały otwarte kadzie z piwem i miodem, którym się krzepili znużeni i pragnienie gasili pracujący u mogiły. Około mis i niecek z mięsiwem siedziały kupy gości, oddzielnie mężowie, osobno i zdala niewiasty.

---

[1]) Objaty — ofiary.

Wtem gęśla zabrzęczała i cisza nastała wielka, gałęźmi tylko wiatr szumiał zdala... Słowan dobywał z piersi głosu:

»Pusty w lesie dwór stoi, dzieci twe ojca nie mają... Poszedłeś stary do swoich, na miód biały i biesiadę... Stary woju... woju stary... włosy miałeś jak śnieg białe, ale młode jeszcze dłonie... Któż policzy, kto wyśpiewa, coś ty zostawił na ziemi... ile z rąk twych padło zwierza, ileś rojów wypiastował, ile wrogów ty zabiłeś, iluś nakarmił ubogich... Wiszu stary, Zboja synu, już nie wrócić ci do świata... Ziemiączmy cię przysypali, popiół twój łzami poleli, poszła z tobą żona wierna, koń twój miły, róg twój głośny... Wiszu stary, Zboja synu, nie powracać ci na ziemię, a po jasnem latać niebie... młotem Niemców zbijać duchy... Stos ci wielki zapalili... objaty ci nie skąpili... O Ładо! Ładо! Ładо!

Za starym wszyscy wołali: Ładо! i rozległo się wołanie po zgliszczu, żalniku i lesie. Ludek też zawodził, pół śpiewając, pół mówiąc, pół płacząc, a kubek z miodem trzymając w ręku.

»Ojcze dobry! Wiszu panie, za krew twoją mścić się będziem. Krew za krew muszą dać, życie muszą dać za życie! Krew za krew!...

Cała męska rodzina zmarłego krzyknęła jednym głosem, ręce podnosząc do góry: Krew za krew!...

Za Ludkiem stał przybyły Doman i podniósłszy też kubek w górę, głośno zawołał:

— Krew za krew!...

U) Z dziennika starego dziada (r. 1879).

Starzec samotny, niegdyś ziemianin, następnie wojskowy, żyjący ze skromnego bardzo funduszu, zamieszkały w rynku Starego Miasta w Warszawie, około r. 1830, notuje w dyaryuszu, przeplatanym jeszcze łaciną, swe czynności, spostrzeżenia i myśli, malujące jego duszę, a zarazem życie biedaków, z którymi się styka.

902) ...Samiuteńki jeden, jak palec, na świecie całym! siedem krzyżyków, zgarbione plecy, włosów omal, sił nie wiele, snu mało, wspomnień do zbytku, pieniędzy odrobina —

a w sercu pustki? — Nie. Gdy się nie może żywych, kocha się umarłych, a ci żywi, jak mi Bóg miły, nie tak są znowu źli i czarni, jak ich tam malują!

U Kasi, dokąd chodzę na kawę, gdy się czasem rozgadam ze wspomnieniami mojemi, a rozgrzeję, ten i ów mi powiada: ale bo, panie, mości — poruczniku — lub t. p., powinienbyś asindziej spisać te różne historye przeszłości, zawszeby się to na co zdało! Zapewne! choćby na zawijanie pieprzu lub sera, albo pod placki!

Albo się to nie wiedziało tego, co za los czeka papier zapisany! Jeszcze dziś pół biedy, papier, gdy stary, nauczono się szanować, a no dawniej, jak tylko nie dokument, nie oblig, w piecu tem palono! albo i gorzej — tymczasem, miły Boże! co z życia zostaje? kawałek papieru — albo nic...

W dziesięć lat po śmierci człowieka gadają o nim, jak o żelaznym wilku; wnuki nie wiedzą o dziadku więcej, niż o królu Gwoździku i bracie jego, Cwieczku. Ja, com żył, napatrzyłem ci się tego, nasłuchałem gadania o tych, z którymi poufale przestawałem. Jeszcze grzeszne ciało nie zbutwiało, a pamięć się ulotniła, jak woń, albo za pozwoleniem, smród w powietrzu.

A choć papier — *habet sua fata*, poczciwy to przyjaciel, z którym pogawędzić miło.

Siedem krzyżów, stare dzieje, a dorachowawszy do tego, że się znało i żyło z tymi, co też mieli po siedem, mając sam jakie lat dwadzieścia, to się prawie półtora wieku ma z żywych ust, *de auditu et visu*, no — może i więcej.

Znałem ci ja takich, co czasy Augusta III-go pamiętali, a opowiadali o ojcach, co żyli za Sobieskiego.

Kaduk wie, jest w tem jakaś tajemnica, że, kto o tych czasach z papieru tylko wie i uczył się ich z książek, całkiem inaczej je rozumie i czuje... Ale co o tem pisać, nie moja sprawa. Jam wcale nie filozof, ale *simplex servus Dei*.

16 maja. Przystąpiło tedy do mnie pisanie; wczoraj się kawałek nasmarowało, chce się zaraz i dzisiaj tego samego. Można się przyzwyczaić, nie przymierzając, jak do wódki, i nałóg sobie zrobić z tego: *quod Deus avertat.*

Osobliwe bo teraz moje życie. Wszystko mnie odumarło —

a mnie wola Jego przenajświętsza przytrzymała na tym świecie, abym sobie *liber baro* pobaraszkował...

U Potockich mam kapitału półtora tysiąca czerwonych złotych całego mienia, prowizyi biorę pięć od sta, co czyni siedemdziesiąt i pięć czerwonych złotych, czyli złotych naszych półtora tysiąca. W sepeciku gotówką, na wypadek choroby lub czegoś ekstraordynaryjnego, złotych tysiąc w dukatach obrączkowych. Garderoba siaka taka...

Z precyozów: dwie obrączki ślubne, sygnet pradziadowski z krwawnikiem, zegarek bregietowski, który idzie jak słońce! Bielizny ni nadto, ni za mało. Czego chcieć?!

Czym dobrze zrobił, że się przeniosłem do miasta, po dziś dzień nie wiem jeszcze, ot, już rok, jak mieszkam w kamienicy na Starem Mieście, drugi się poczyna w czerwcu na święty Jan, a sam Bóg widzi, nie wiem, czym dobrze zrobił, czy nie, że się przeniosłem. Na wsi, w komornem niema się gdzie staremu dziadowi pomieścić, a drugim człek zawada, i sam nic nie robi. Miasto dla próżniaka ma więcej dystrakcyi.

Dystrybucya dnia doskonała. Zregestrujmy ją. Godzina siódma zimą i latem budzi się człek; jeżeli nie spał, nie potrzebuje się budzić i wstaje. Tandem wszystko nagotowane i stoi z wieczora do rannej kawy na machince, nawet garnuszek śmietanki już sprażonej, tylko odegrzać, i para sucharków. Westchnąwszy do Boga i umywszy się dla siebie a ludzi, jeżeli zima, sam pan, sam sługa w piecu sobie zapalam. Na stole już się kawa gotuje... Jeżeli lato lub wiosna, okno się otwiera. — Z okna widok nie osobliwy. Dachy, dachy, dachy, a za dachami nad piaskiem czuprynki lasu. Ale górą jaskółki, pod oknem wróble, czasem sroka się przesunie, a na dachach kot, spacerujący, psia jucha, za wróblami — robi paskudną dystrakcyę.

Powietrze na tych wysokościach — jeżeli z kominów sąsiednich dymem nie zawiewa — niczego. Nie to, co na wsi, bo czego to z niem w mieście człek się nie nałyka!! jednak niem ludzie żyją.

Kawa, — kawałeczek cukru rzuca się na ziemię w kąt dla znajomej myszy, która po niego regularnie przychodzi. A taka śmiała, że, gdybym zapomniał, to się ryzykuje z pod krzesełka ku środkowi, upominając o daninę. Resztki sucharków lub chleba

sypię wróblom za okno. A i te zbereźniki tak się uzuchwaliły, że gdy okno zamknięte, w szybę dziobią. Otóż to tak, gdy się kogo nazwyczai, że mu się służy!

Tandem miasto się rucha na dobre — idę na mszę do księży Dominikanów, dziad znajomy częstuje tabaką zieloną i dostaje grosz, więcej nie mogę dać — ale ten go regularnie dochodzi, jak cukier moją mysz. Na tej mszy przed ołtarzem Matki Boskiej bywa nas krągło osób pięć, nie licząc księdza, serwitora i służby kościelnej.

Stara jejmość w czarnym kapturku z ogromną książką i workiem, w okularach, która wzdycha na kościół cały, wdowa po rzeźniku z Długiej ulicy. Item, o kiju staruszek w kapocie, suponuję, woźny być musi, modlący się przykładnie z rękoma złożonemi i oczyma podniesionemi. Item stara panna, loki rude przyprawne; musiało to kiedyś być piękne, formalnie kokietuje Pana Boga, tak się mizdrzy... Item staruszka, której się ręce okrutnie trzęsą i głowa takoż, a podnieść jej już niebardzo może — ta się modli z pamięci, bo niedowidzi nieboga.

Item, ostatnia dziewczyna jakaś z różańcem u ręki, blada, oczy jakby wypłakane, koszyk przy niej. Sługą być musi, pobożna jakaś bardzo. Może też, oprócz Panu Bogu, nie ma się komu poskarżyć.

A szósty pan Gabryel Kalasanty Rzempiński, sługa wasz, ongi porucznik, niegdyś kawałek obywatela, ale to wszystko *praeteritum plus quam perfectum.*

Godzina dziewiąta, zimą czy latem, dlatego żeby nie zardzewieć i nie skostnieć, człek lokomocyi używa *per pedes apostolorum*, bo na inny rodzaj kieszeń nie pozwala.

O wierzchowej jeździe, choćby człek i mógł jeszcze na siodle się utrzymać, mowy być nie może, a o powozie — ani myśleć. Ale po trotoarach, gdy niebardzo ślizko, gdy nie bardzo błotno, gdy niema śniegu, gdy niema tłumu, spacer ku ogrodowi Saskiemu lub Krasińskich, lub w aleje — wcale wygodny. Czego chcieć? — ławka się gdzieniegdzie znajduje.

Tu tedy spektakl gratis. Prawie nikogo nie znam, mnie też tak, jak nikt, mogę sobie swobodnie bąki strzelać i napatrzyć się dowoli na to, co mnie spokusi.

A w mieście, dalipan, jest bo na co patrzeć. Tać to są

żywe komedye chodzące, jeśli nie tragedye, ci ludzie, co się po ulicach kręcą. Czasem się i smutna farsa trafi. Już mi się zdarzało, jako wiekowemu człowiekowi, widzieć w karetach takich, co zapałki roznosili, i w dziurawych butach tych, co paradowali poszóstno...

Spacer trwa z rozmaitemi waryacyami do obiadu. Jadam zwykle w traktyerzyku na Długiej u Holkiewiczów, ludzie nieźli, chociaż zupę dają przebrzydłą, ale za ten grosz, który się tam płaci, trudno pulpetów i bażanta wymagać, a ludziska też zarobić muszą. Ja się dziwuję zawsze, jak oni i to mi dać mogą za te niespełna dwa złote, co się im płaci. Jadło się niegdyś lepiej; a na starość, na starość i apetyt niewielki, i byle co starczy. Siłami się nie szafuje. Byle iskierkę tlejącą czemkolwiek podsycić, by nie zgasła.

Holkiewicz czasem do obiadu, zamiast przystawki, plotkę jeszcze jaką miejską da.

Zły to pono zwyczaj, że się po obiedzie przedrzemać muszę, ja to wiem, ale się nałogiem stało. Muszę się więc wdrapać na trzecie piętro i, siedząc na sofce, trochę chrapnąć. Budzę się regularnie, gdy gdzieś na nieszpór dzwonią, i, otrząsnąwszy się, do Kasi. Kawiarenka nieosobliwa, ale się do niej nawykło, ma się tu swój stołek, swojego »Kuryerka«, »Gazetę Warszawską« i filiżankę kawy, nie takiej, jak ranna, co ją sam robię, z cykoryą — ale to tam mniejsza. Kilku znajomych zawsze się znajdzie; czas, jak z bicza trzasł, zejdzie do wieczora. Co tu robić? Staremu po teatrach i ogródkach się nie włóczyć, bo i niema za co — więc spacer znowu, ale po mieście i z gawronadą. Od Starego Miasta do świętego Aleksandra — nim się dojdzie, napatrzy się człek do syta, wesel i pogrzebów, pijaków, kłótni, ekwipażów, łobuzów i — czasem ekstraordynaryjnych ewenementów.

Otóż i wieczór; zwrot ku domowi powoli i na górę, porządkuje się nieco gospodarstwo, ściele łóżko, pacierze mówi, pomyśli o przeszłości i kładzie na spoczynek. Gdy sen sklei powieki, Panu Bogu dziękuję.

17 maja. Myszy mojej dziś nie było ani słychać, ani widać, kawałek cukru leży pod stołkiem nietknięty. Czy niezdrowa,

interesa jakie familijne, czy, uchowaj Boże, ten kot bury gdzie ją schrupał.

Nie mogę cierpieć tego szelmy, bo to zbójca prawdziwy, poluje na wróble, dobiera się do gniazd jaskółczych, stacza boje ze szczurami, a myszy łyka, jak kluski. I że to tego kto nie zabije — bo to jest zwierzę szkodliwe i paskudne, już spojrzawszy nań, obrzydliwość bierze. Koty bywają zwykle czyste, myją się, czeszą; ta bestya najeżona, poopalana, brudna, ucho jedno gdzieś ucięte, a z oczów mu patrzy łotrostwo. Ale nie może być, żeby moja mysz miała się eksponować na dachy, po których on poluje. Po co? daje się jej cukier, bułka... czasem i co w dodatku.

Raz już tak było, że jej nie widziałem trzy dni, i myślałem, że się co stało biednemu zwierzęciu — aż czwartego dnia jest! A ja ją znam! i z twarzy, i ze śmiałości poznałbym ją zawsze, a kiedy z sobą raz przyprowadziła jakąś kompankę, zaraz wiedziałem, która obca. Niema nic w świecie pocieszniejszego, jak gdy, wlazłszy w sam kątek, siądzie na tyłku, w przednie łapki cukier chwyci i tymi białymi ząbkami chrup, chrup. Czysta wiewiórka, i tak elegancko wygląda!

Coby się jej stać mogło! Zdechnąć nie miała przyczyny, wyglądała żwawo i zdrowo... Okaże się jutro.

Wróble się stawiły do apelu wszystkie. To miejskie wisusy, czyste łobuzy uliczne. Na wsi, pamiętam, cale to inaczej wyglądało, czyściej, trochę dziko, ale nie miało to tego urwiszowstwa w sobie, co tutejsze. Miasto działa na wróble. Gdzieś się to brucze, pióra nie w porządku: jedno się nastawiło, drugie nadłamało, trafiają się kulawe, a widziałem jednego, co mu tylko jedno oko zostało; ale proszę tylko patrzeć, jak się to tłucze, czubi, a wrzeszczy, a wierci. Satysfakcya na to patrzeć. Mówią, że Trembecki, szambelan, wszystkie wróble, co do niego chodziły, znał, i ich genealogię! ale ba! — gdzie u nich genealogie? albo to pyta ojca i brata?... Jedna tylko ekscepcya: sam to eksperymentowałem. Gdy matka ze smarkaczem przyleci, co dopiero niedawno się nauczył siakotako ruszać skrzydłami, sama nie je, a jego karmi. Czasem, z pozwoleniem, durniowi pakuje w gardło i tak go ocka, ocka, że się ledwie potem ruszy. A bury na to czeka... Nie! ten bury, ten bury! Słowo daję, dałbym zło-

tówkę, żeby go kto jakim sposobem sprzątnął, bo tu się nic dalej żywego przed nim nie utrzyma.

18 maja. Myszy, jak niema, tak niema. Coś zaszło — coś w tem jest. Szkoda mi jej. Ale kto wie? Może nie wychodzi z dziury dla słabości i gotowa w niej zdechnąć z głodu.

19 maja. Dziś miałem ekstraordynaryjną przygodę. Stróż Demko zachorował, który mi nosi wodę na górę, no, i czasem przymiecie i śmiecie zabiera. Nic osobliwego pójść ze dzbankiem do studni, bo ja się tam tego nie powstydzę, ale na trzecie piętro, na moje nogi, jest subiekcyi trocha. Czuję potem w kolanach, bo się i tak spuścić trzeba i wdrapać razy kilka. Wszyscy na tego gospodarza krzyczą, że zdzierca i kłótnik, a ja tego z nim nie doświadczam, bo oto, wiedząc, iż niema komu mi wody przynieść, sam się o chłopca postarał i przysłał mi go. Skąd on go wziął — Bóg go wie, gdzieś z rynsztoka, bo to dopiero łobuz nad łobuzami, co się zowie!! Jakem go zobaczył, a! Jezu miłosierny! choć go za biletami pokazywać. Buty, poczynając od nich, gdzieś ze śmietnika chyba wziął i dwa razy większe, niż jego niemożliwe łapy... Spodnie na jednej szelce, obszarpane a zatłuszczone. Spencerek, dam dukata, kto mi powie, jakiego koloru; twarz zamorusana, włosy jak szopa. A we łbie tym dwoje oczu jak węgle czarnych.

Gdy mi się zjawił na progu, myślałem, że przyszedł po jałmużnę, i jużem się gotował z trzygroszniakiem i z kazaniem — aż tu, nie pytany, obejrzał się i do dzbanka.

— A tobie co do niego?

— A kiedy gospodarz mnie przysłał, bez to, że Demko chory.

Więc rozmowa.

— Cóż Demce?

— Kto to może wiedzieć? leży, a zębami dzwoni.

Ani chybi, febra — pomyślałem.

— A ty się jak zowiesz?

— Na chrzcie, to ja wiem, że Józkiem mnie nazwali a tak — mnie prześladują Czupurnym.

Zacząłem się śmiać.

— Czekaj, a skądżeś ty?

— A znikąd, proszę pana.

— Co u licha, a skądżeś się wziął?

— Byłem u majstra, u szewca, co prawda, ale jak się spije, to tak wali, że kości łamie, tom uciekł i służę do latania po sklepach, i ot tak, jak się zdarzy.

— Nie masz rodziców?

— Gdzie? kiedy ich już nie stało! — rzekł Czupurny.

— Gdzie legasz, ha?

— Śpi się to tu, to tam. — I począł się dobierać do dzbanka.

— Patrz-że — rzekłem — żebyś nie stłukł, a popłucz i palców w niego nie maczaj.

Rozśmiał mi się, pokazując zęby białe, i furknął. Mój miły Boże, co to z tego wyrośnie! Na gałąź! Aż żal. Bo nawet zdaje się sprytne.

Gdy ze dzbankiem powrócił, dałem mu trzy grosze. Setnie mi się go żal zrobiło, i byłbym go po głowie pogłaskał, ale go ani dotknąć, taki brudny.

Pocałował mnie w rękę.

Pytam go:

— A co to z ciebie będzie?

Rozśmiał się i podrapał za ucho.

— Abo to ja wiem.

— Uczyćby cię czytać — odezwałem się.

— A mnie się to do czego zdało! — rozśmiał się. Ale drapnął mi zaraz.

Jeżeli przyjdzie drugi raz, lepiej się z nim rozgadam, bo to żal: zwala się.

20 maja. Mysz tedy jest, wróciła wczoraj. Co jej było, trudno dociec. Przyszła szparko bardzo po swoją daninę i jadła, jak zgłodzona. Kruszynki nie zostało. Zdaje mi się, że kawałeczek z sobą poniosła. Kto to może wiedzieć? może matka dzieciom? Jak tam to biedactwo podrośnie, ona je pewnie przyprowadzi.

Wróble nagwałt jeszcze gniazda ścielą, bo widzę, że gdzie było jakie piórko, słominka, puszek, wszystko chwytają i po dziurach zawłóczą. Jaskółki też bardzo czynne. Wszystko to pracuje i po swojemu Pana Boga chwali. Nie wiem, dlaczego nietoperzów nie lubię. Jak tylko zmierzch, to te włóczęgi biorą

się, skądciś nie wiem, i głupio latają. Muszę okna zamykać, bo jeszczeby mi który wpadł do izby, a mówią, że jak się to we włosy wkręci... Prawda, że u mnie ich mało, ale jeszcze gorzej, gdyby takiemu jegomości ubrdało się siąść na łysinie. Z tego może być choroba nawet. Do czego się to zdało na świecie te nietoperze! jednemu Panu Bogu wiadomo.

Miałem tedy znowu wizytę Czupurnego. Dziś już był u mnie, jak w domu, a ze mną, jakbyśmy się znali od wieków. Jucha sprytna, łobuz prawdziwy, zabawiał mnie anegdotami brukowemi: że staruszkę powóz na Dziekanii przejechał; że się u Panny Maryi jakoby u dzwonu serce urwało, co ludzie różnie tłumaczą. Spytałem się go o Demka, bo mi go żal, choć napija się; mówi, że leży i stęka. Gospodarzby też powinien posłać i po doktora, bo się to tak biednemu człeku dać zdychać nie godzi.

Gdyby Czupurny chciał się uczyć czytać? Nie mam tak dalece co robić, chętniebym mu się o elementarz postarał i pokazał, ale gdy mu wspomnę o tem, drapie ze strachu.

21 maja. No i Demkowi się zmarło. Zdawał się człek pilny, tylko, że się zakrapiał. Chwycił gdzieś febry wiosennej, nic łatwiejszego, wódka go rozgrzała i nie czuł. Powiadał mi gospodarz, że, gdy przyszło do rewizyi łachmanów i siennika, jak zaczęli chodzić po węzełkach, złotych ze trzysta się znalazło samemi dziesiątkami i berlinkami. Nie do wiary. Jakaś baba teraz się przyznaje, że była jego żoną, i rości prawo do sukcesyi, a gdy żył, nigdy jej tu widać nie było. Dopiero mi rozpaczać zaczęła, gdy już leżał martwy — i trzysta złotych się znalazło.

Mysz znowu regularnie przychodzi. Co jej było, podobno nie odgadnę.

Z Czupurnym jesteśmy za pan brat. Ryzykuje się od progu do pół pokoju i wszystko ogląda — oczyma sznurkuje. Takie to ciekawe a rozgarnięte — a takie brudne. Straszniem się śmiał, gdy mi dziś z pychą oznajmił, że gospodarz go przyjął w miejsce stróża. Słyszę, nie chciał na żaden żywy sposób, a ten mu po nogach pełzał, żeby na próbę go tylko, na tydzień choćby przyjął, i zaklina się, że domu nie odstąpi i że wszystkiemu radę da. Ciekawym. Gospodarz przez kalkulacyę gotów go za-

trzymać, a to się na nic nie zdało. Dziecko się zamęczy, no, i niczego się nie nauczy i na wiek wieków zostanie przy miotle i cebrze.

23 maja. Znowu myszy mojej niema. Prowadzi życie nie regularne, tegom się po niej nie spodziewał, bo minę ma uczciwą, a bałamuci się. Nie spodziewam się, żeby ją jakie nieszczęście spotkało.

Że dziś deszcz padał, nie rychłom wyszedł. O niezwykłej godzinie patrzę, z dziury, którędy ona przychodzić zwykła, wyłazi pyszczek, ale nie jej. Dowodnie wiem, że nie jej. Ta wchodzi śmiało, a ten intruz oglądał się i oglądał, więc jak nie tupnę nogą — a nie pójdziesz ty mi precz! Dosyć, że się już i inne o tym przesmyku dowiedziały. Ale zasię! miejsca jeszcze wakującego niema, a ja kilku myszy żywić nie mogę, zwłaszcza, że ten Czupurny, no — nie można się nie ulitować, a bywa, jak powiada, głodny. Jużci nie kłamie.

24 maja. Teraz, gdy przychodzi po dzbanek, a nie ma co robić, czasem się zagadamy. Spytałem go, ile ma lat.

— Tego to ja nie wiem, proszę pana. Jak matusi się zmarło, to mnie Izydorowa, przekupka, wzięła z miłosierdzia, com siedział, ja tam nie wiem, coś lat dwa przy straganie. Razem jej bułkę zwędził; czegoś zła, zła — i precz — a że mnie szewc Sawikowski widywał, poszedłem do niego. Wzion mnie. Myślałem, co mnie swego rzemiosła uczyć będzie, a on, za uszy wytargawszy, powiedział, żem smarkacz, że mi jeszcze zawczasu. Tom po to u niego był, żeby się znęcali nade mną, kto żyw? Majstrowa sobie, Sawikowski sobie, a szelmy chłopcy, to łaska Boża, żem wyszedł z duszą. Bywało, od serów na głowie guz na guzie, a sińców to ani zliczyć. Napije się majster, to, bylem pisnął, to wali pociągaczem, bo to u niego był zwyczaj i po trzeźwemu, żeby rozumu nabijać, dostawało się i drugim. Takem go i porzucił.

— Cóż z ciebie będzie? — spytałem.

— Jak Pan Bóg da, stróżem będę; a na co mnie więcej. Demko, słyszę, strach, co pieniędzy nazbierał.

Roześmiałem się.

Powiedział mi nazwisko straganiarki, u której był, ciekawość wzięła u niej o chłopca popytać.

Baba Herod czysty, spasła okrutnie, a mała, trochę wąsów, a wyszczekana i no! Jużem ją przywitał, jak nie można grzeczniej. Zrazu zrozumieć nie chciała, po co przychodzę, a gdym o Józku zagadał, poczęła jak pytel:

— A bo to jucha! skurczypałka! nic dobrego! Łasował a łasował, i w miejscu go nie było utrzymać; gdzie się dwóch łobuzów tłukło, on pewnie już tam trzecim musiał być. Toby jeszcze było nic, bo to młodość — trudno, ale ja go, bywało, po macierzyńsku, w mordę chlasnę, to mi zaraz nogi za pas i ucieka. Słyszę, że i u szewca nie wytrwał.

Poczęła wróżyć gałąź i szubienicę; a jednak jawnie go jej żal było. Spytałem, czy nie wiedziała co o rodzicach.

— Jakżeż nie, tomci ich znała: ojciec się zapił, ale to bodaj nie był ojciec, bo się z nią ożenił, gdy ten już był na świecie. Matka była zbytnica, ot też i skończyła marnie. Jabłko się nie odtoczy od jabłoni.

Gdym odchodzić chciał, poczęła pytać o chłopca — tak go jej było żal.

25 maja. Myszy niema, prawdopodobnie już nie wróci. Wróble też pono jadła nie potrzebują, jak w zimie i w ciężkie czasy, zdezertowały; jeden Czupurny mnie się trzyma. Przynoszę mój chleb, co go nie dojem przy obiedzie, a czasem i jaką polizówkę. Chłopiec się do mnie przywiązał i spoufalił się, że już do stolika przychodzi, oprze się łokciami na nim i tak ze mną gawędzi.

Muszę mu choć na tandecie buty kupić, bo na te poczwarne, ogromne chodaki patrzeć nie mogę; ale mu nie dam, chyba się zacznie uczyć czytać ze mną. Ma taki wstręt do elementarza, że, jak go zobaczy, bom już kupił umyślnie — drapie, jak dyabeł od święconej wody! Ale figlem go podejdę.

26 maja. Nigdym się nie spodziewał, mysz z wojażu powróciła. Jest! jest! ta sama. Nie znam obyczajów tych stworzeń, lecz po co ona, mając to, co do życia potrzeba, włóczy się gdzieś po dziurach? Może na pułapkę trafić.

Czyby też i myszy miały fantazyę mieć? — wszystko to być może.

Doktór Sulzer, człek stateczny i uczony, chociaż mu się znać nie wiedzie — spotykam go u Kasi — powiada, że bo-

dajby się na wojnę nie zebrało. Prorokuje drożyznę wiktuałów. Byle Holkiewiczowie nie podnieśli ceny obiadów, bobym musiał zredukować się. Ale zresztą! co mi tam!

27 maja. Czupurny się uczy, ale dla butów; pokazuję mu je, ale nie daję, aż alfabet pozna. Pojętny nadzwyczaj, a leniuch! Ja mu pokazuję litery, ten zagaduje, co się na ulicy działo, co w kamienicy. Kucharka z dołu opuchła, suponuje, że pani ją tak utraktowała. Na drugiem piętrze jejmość z jegomością tak się kłócili, że wszyscy powybiegali słuchać, bodaj czy do kułaków nie przyszło, bo wkońcu jejmość się rozbeczała. Ale ten Czupurny powiada, że, ile razy męża wytłucze, potem sama płacze. Oboje pono nieszczególni ludzie. Ja mu A, B, C, a ten licho wie, co...

1 czerwca. Nareszcie alfabet umie — i buty wziął. Do sylabizowania trzeba stare spodnie odłożyć; za darmo się uczyć nie będzie.

Doktór Sulzer, czarno patrzący na świat, przewiduje w tym roku tyfus, a uchowaj Boże, wojny, zarazę morową. Przydałoby mu się oboje, bo klientów niema, a człek widocznie bardzo uczony. — Studnia najrozmaitszych wiadomości, cóż z tego, gdy mu się nie wiedzie. Jada on także u Holkiewiczów, praktykę ma bardzo skromną. Czarno patrzy na świat. Inaczej nie może być. Powiada, że wszyscy doktorowie, oprócz niego, osły. Uczeń Franka. Rozmaitych u niego historyi pełno. Lubię go słuchać, ale, gdybym chory był? — hm! — nie wiem, posłałbym po innego. Gdy się komu nie powodzi, trudno w niego wierzyć — taka ludzka natura.

2 czerwca. Ja z tym chłopcem rady sobie nie dam — coraz mi bardziej się rozwydrza, a jużem go złapał na łasowaniu. No cóż? wyszczerzył zęby, począł się śmiać, pocałował w rękę, zaręczył, że tego więcej nie będzie. Prawdę rzekłszy, nie było go tam tak bardzo o co pozywać. Kawałek szynki, com sobie przyniósł na podwieczorek, bo kolacyi nie jadam.

Sylabizować poczyna. — Ale mam wątpliwości, bodaj, czy nie umiał on już wprzódy i alfabetu i sylabizowania, a udawał tylko dla butów i spodni, że się uczy! Minę ma taką figlarną, i tak mu to idzie chwilami łatwo... Ale, przypuściwszy nawet, żeby tak było! Jestże to znowu grzech tak wielki? Chłopię

straszliwie biedne, w nogi mu było zimno. Sądził, że darmo nie dostanie okrycia. Przytem, to są domysły, dowodu nie mam. Katechizmu go pono nikt nie uczył, a natura i instynkt każą się ratować — choćby sprytem. Innemuby to było nie do przebaczenia, jemu — odpuszczam chętnie.

Zdaje mi się, że stary surdut tabaczkowy, gdyby go przerobić, jeszczeby mu mógł służyć wyśmienicie.

3 czerwca. Chłopiec mnie codzień więcej zajmuje, prawdę rzekłszy, przez egoizm — paskudna ludzka natura. Nie mam się do kogo przywiązać. Mysz mi zginęła, wróble się absentują — chłopak daleko mi więcej robi satysfakcyi, zwłaszcza, że roztropny.

Chodziłem na zwiady do przekupki, u której teraz bułki sobie kupuję; dopytałem nazwiska domniemanego ojca, matki; po tej nici do kłębka dojdę i genealogię Czupurnemu wysztyftuję i metrykę mu wynajdę, bo jużci gdzieś chrzczony był.

W) Wspomnienia i fantazye (r. 1885).

Wypowiedzenia się te cierpiącego, uwięzionego starca, kreślone w czasie pobytu w Magdeburgu, ukazały się dopiero po jego śmierci w »Tygodniku Illustr.« początkowo pod tyt. »Noce bezsenne«, a następnie w r. 1889 pod zmienionym tytułem jako »Wspomnienia i fantazye«. Podajemy tu ustęp z tego drugiego ciągu.

903) Ze wszystkich ofiar w życiu najboleśniejszą zawsze było dla mnie pozbywanie się kochanych starych moich książek... A ileż ich przeszło przez ręce moje cennych, najcenniejszych! — aż do »Panoszy« Paprockiego, aż do pierwszych wydań naszych poetów... — często nierozważnie na wagę złota nabywanych, a potem w ciężkiej potrzebie za bezcen pozbytych...

Niema pono ani jednej biblioteki polskiej, ani jednego zbioru rękopisów i zabytków, gdzieby nie miano czegoś ode mnie. Zbiór rysunków i sztychów w Suchej cały powstał z mojego! mają ode mnie wiele książęta Czartoryscy, miał ś. p. Świdziński. To smutna, że najczcigodniejszy ów zbieracz, wiekuiście roztarg-

niony, zapominający się, wiele rzeczy cennych tak pozarzucał, pochował, rozposażył, iż po nim doszukać się trudno tego, co wiemy, iż z pewnością posiadał...

Z nabytych ode mnie rękopisów wprawdzie ocalał »Gulistan« Otwinowskiego (wydała go Biblioteka Ordynacyi Krasińskich); ale rękopis dramatów polskich religijnych, z którego jeden tylko przedrukowałem — zaginął pono i wynaleźć go nie można. W bibliotece Krasińskich napróżno go szukano.

Dziś u mnie pozostały jedynie szczątki zbiorów dawnych, ale wśród nich są rzeczy cenne. Gdzie się ja z tem teraz podzieję?

Najnaturalniejszą byłoby rzeczą na starość pomyśleć o powrocie na jakiś zagon ziemi własnej; ale do jednych przystęp jest niemożliwy, do drugich losy tych, którzy w nich osiedli, przenosząc z innych prowincyi — odstręczają...

Ziomkowie niezawsze przyjmują po bratersku; a nazwa »przybłędy« dawała się słyszeć zbyt często, więc i w sercu się odbiła i pozostała w pamięci.

Być wygnańcem i czuć się nim — to już lepiej u obcych, bo tym wiele przebaczyć można; ale powrócić na ziemię rodzinną i na niej być wytykanym, jako »przybłęda«, w niej czuć się wygnańcem i niemiłym gościem — byłoby nadto boleśnie...

Lepiej więc pójść między nie swoich, aby swoim nie mieć nic do wyrzucenia i módz ich kochać zdaleka.

Oprócz tego, w okolicach, które najłatwiej przystępnemi być mogły, w Galicyi, nasze społeczeństwo dzieli się na tak nieprzyjacielsko stojące przeciwko sobie obozy, że ten, kto do żadnego z nich przypisać się nie może i z przekonania musi stać pośrodku, jest przez to wystawiony na pociski ze stron obu. Nie można zaprzeczyć temu, iż skupienie się w obozy i szeregi, pewna karność, której podlegają ci, którzy je składają, ma swe korzyści. Ale, bądź co bądź, potrzeba zawsze dla należenia do nich ofiary inteligencyi, zaparcia się lub przemilczenia przekonań, poddania się ślepego regulaminowi — a sumienie niezawsze się na to godzi.

Lepiej więc pozostać »dzikim« na stronie, osamotnionym, ale panem siebie. Całe życie moje upłynęło w takiem osamot

nieniu dla niezależności; — więc też w dniach najsmutniejszych pozostałem opuszczony i zaparto się mnie milczeniem... ignorowaniem...

Gromadki podtrzymują tylko swoich, tych, którzy trzymali z niemi; — ja do żadnej nie należę, tylko jako ziomek, nie miałem prawa do niczego...

Wiele na tem cierpiałem i szkodowałem, żem do żadnej szkoły, kupki i obozu nie przystawał; ale gdybym żył po raz drugi, zdaje mi się, że nie zmieniłbym postępowania. Rozumiem to dobrze, że i sąd o mojej działalności literackiej wiele na tem ucierpi, iż pozostałem tak na stronie odosobniony, ale niema na to rady.

W tem także była predestynacya...

Z) W oknie (r. 1886).

Poemat żałobny.

Napisany w r. 1886, ukazał się już po zgonie autora, w »Biesiadzie literackiej« z r. 1887, przedrukowany w Zbiorze drobnych utworów, ułożonym przez P. Chmielowskiego, stanowiącym oddział VI Wyboru pism.

904) Naprzeciw mojego domku w ... miałem długo plac pusty, zagrodzony deskami, i dotąd niezabudowany, chociaż dokoła już stały dosyć pokaźne kamienice.

Ale pośpiesznie, jak grzyby, powyrastały one z ziemi w tej części miasta, odległej od głównego ogniska, która życia jeszcze nie miała i spodziewała się je pozyskać. Zbyt świetne nadzieje zawiodły spekulantów, i o ów nieszczęsny plac nikt się już nie kusił.

Widok z okien moich wcale miłym nie był. Zaniedbany grunt służył tymczasowo właścicielowi i sąsiadom na rodzaj śmietniska, na które wywożono wszystko, co gdzieindziej zawadzało. Oprócz tego, ponieważ plac był piaszczysty, kopano doły i dobywano piasek w potrzebie, który masami stąd zabierano.

Nie można sobie wystawić nic smutniejszego nad ten opuszczony, zapomniany kawałek ziemi.

Powierzchnia jego nierówna, poryta, porosła w lecie zielskiem nędznem, brudna — w jednym końcu garbiła się górami śmieci, w drugim zapadała w doły po deszczach, pełne gnijącego błota. Boki tych śmietnisk świeciły wszelkiemi resztkami i łupinami żywota, jakie tylko sobie wyobrazić można: skorupami garnków, szczątkami butelek, obłamkami talerzy, zrzynkami gnijących papierów, poszarpanem obuwiem, kośćmi zżółkłemi, popiołem i węglami.

Zsiadało się to w jedną masę dla przyszłych badaczów i archeologów, a drugiego roku już z nasion, które wiatry przyniosły, coś kiełkowało i zieleniało. Uważałem przez lat kilka, że zawsze prawie jedne i też same rośliny rozpoczynały wegetacyę, a po nich przychodziły i następowały szeregiem inne — w porządku niezmiennym.

W drugim końcu placu rosła jedna jedyna, stara, obłamana akacya, mizerna, biedna, u góry tylko zieleniejąca w lecie, rozpłatana na pół od wiatru.

Jak i czem ona tam żyła — jest jej tajemnicą. Popod nędznem ogrodzeniem, gdzieniegdzie rosły jakieś krzewy, których rozpoznać nie umiałem. Plac miał też swych lokatorów, do których należały krety, myszy i szczury — nieliczne ptactwo.

Kiedyniekiedy otrzymywał ktoś pozwolenie złożenia tu desek, tarcic, opiłków, cegły; wówczas otwierały się wrota — plac zmieniał swą jednostajną fizyognomię, nudną i smutną.

Unikałem, o ile mogłem, wyglądania przez okno w tę stronę, i długi czas jakoś plac pusty wcale mojej nie zwrócił uwagi. Jednego dnia, przypadkiem rzuciwszy okiem, dostrzegłem ogromne stosy cegły, ustawione od ulicy i, co mnie najmocniej zdziwiło, kilku ludzi, którzy kopali.

Kupy żółtawej ziemi wznosiły się już na prawo i na lewo. Domyśliłem się łatwo, iż naostatek ktoś na osieroconym tak długo placyku budować się ośmielił. Było to razem pociechą dla mnie i mogło trwożyć, bo sąsiedztwo domu stawiło zagadkę, co w tym i z tego domu być miało.

Niekażda kamienica jest miłą pod bokiem.

Nie dziw, że potem z wielką ciekawością śledziłem cały postęp w budowaniu nowego domu.

Z fundamentów nic wnieść nie umiałem; bardzo szybko i niezbyt, jak mi się zdawało, starannie uwinął się z nimi budowniczy; dom jak grzyb do góry się podnosić zaczął. Nie wielki, miał tylko pięć okien od frontu, a formy jego architektoniczne dość zwyczajne domyślać się kazały, że jak najoszczędniej murowano — prostą kamieniczkę dla dochodu.

Pierwsze belki, które przywieziono z drzewa niebardzo suchego, cienkie, jeszcze mocniej mnie utwierdziły w przekonaniu, że dom ozdoby naszej części miasta nie przyczyni.

Mur z cegieł był cienki, cegła rozsypująca się i nieosobliwa. Starania nie widać było o nic, oprócz, aby to stanęło jak najtaniej, a może jaknajprędzej.

Przed jesienią też dom był pod dachem, z takich cieniuchnych krokiewek skleconym, że mi się wierzyć nie chciało, iż dachówkę utrzymać potrafią.

Gdy do wykończenia przyszło, — przekonałem się, że to będzie mieszkalne pudełko bez żadnych ozdób i najmniejszego starania, aby oko mile na niem spoczęło. Szła za to budowa niewypowiedzianie szybko, a nim zaczęto tynkować, już na płocie wisiała karta z napisem — »Do najęcia«.

Zima się w tym roku spóźniła tak, że domostwo przed mrozami stało już z zapadniętemi oknami, gotowe... na przyjęcie tych, co się w niem zamieszkać odważą.

Jednego ranka zjawiła się na dole tablica, niewytwornie malowana, zwiastująca: » *Wyszynk rozmaitych trónkuw, wudek, pywa i t. d.*« Niewiele to było obiecującem — a sąsiedztwo takiego szynku bywa prawdziwem utrapieniem. Nie chciało mi się już patrzeć w tę stronę.

Wiedziałem tylko, iż w ciągu zimy, oprócz szynku na dole, nikt się do domu nie wprowadził.

Pośpiesznie nalepione tynki, od pierwszych mrozów popękane, stały się obrzydliwie plamiste; dom, choć nowy, powierzchowność miał odrażającą.

Deszcz, śnieg i pluchy zmywały napróżno wywieszone karty, oznajmujące, iż wszystko było w porządku.

Nadeszła wiosna, właściciel trochę ściany pomazał na nowo, zabrano się do uporządkowania podwórka i ogrodzenia, placyk przybrał nową fizyognomię — niełądną, ale znośną.

Kwiecień się już rozpoczął, gdy jednego dnia rano spostrzegłem znanego mi z migdałowego surduta wyszarzanego właściciela nowej kamieniczki, który prowadził z sobą kobietę średniego wzrostu, otuloną wielką, wyblakłą i wynoszoną chustką.

Gdy się zwróciła, mogłem tylko rozpoznać młodą i bladą twarzyczkę. Ubranie było ubogie, ale chędogie.

Trwożliwie, pośpiesznie dziewczyna z właścicielem weszła do wnętrza, i w chwilę potem ujrzałem gospodarza, otwierającego okna drugiego piętra. Pokazywał i zalecał część mieszkania, tam się znajdującego.

Oględziny domu trwały dosyć długo, poczem kobieta sama już wybiegła szybko i rzuciwszy okiem na dom raz jeszcze, bardzo przyśpieszonym krokiem puściła się ulicą i z oczów mi znikła.

Mogłem się jej teraz lepiej przypatrzyć. Twarzyczkę miała dosyć przystojną, lecz troski życia wyryły się na niej tak straszliwie, tak dobitnie, iż los nieszczęśliwy odrazu z niej wyczytać było można. Szła jakby przestraszona i nieprzytomna, — zatopiona w myślach.

Ubiór czysty był niezmiernie ubogi, począwszy od obuwia do okrycia głowy. Nie widać w nim było najmniejszej kokieteryi, która nawet przy ubóstwie objawiać się umie; pomimo to wyglądała przyzwoicie, i nie było zaniedbania rozpaczliwego w ubraniu.

Zagadką było dla mnie, czy mieszkanie zostało najęte, ale po południu rozwiązała się ona, bo stróż zaczął myć okna, zamiatać i oczywiście przygotowywać pół pięterka na przyjęcie lokatorów.

Przez cały dzień następny trwały te przygotowania; trzeciego rano zajechał wózek biedny, ciągnięty przez dwóch ludzi, starego w łachmanach i chłopię bosonogie. Pełen on był sprzętów, na które rzut oka starczył, aby poznać, że należały do ludzi nietylko ubogich ale najuboższych.

Były to nieodzownie potrzebne szafeczki sosnowe, stoły, stołki, łóżka, od siekiery przed laty wyciosane, połamane, łatane — sczerniałe... biedne nad wyraz wszelki... Wśród nich leżały węzełki, pościel, łachmany i strzępki różne, których użytku

odgadnąć było trudno. Rozpoznałem części krosienek, deski obszyte suknem do prasowania, wałki do maglowania, kuchenne naczynia.

Wszystko było stare, poszczerbione i zużyte.

Zaczęto wnosić te ruchomości na górę, wózek potoczył się nazad i raz jeszcze przywiózł ładunek podobny. Tu już i para skrzynek, i kufer odarty ze skóry się mieścił.

Za tym wozem można się było i lokatorów spodziewać. Jakoż niebawem ukazała się młoda owa dziewczyna, tak samo przyodziana jak pierwszym razem. Na nędznem, starem krześle z kółkami obok niej ciągnięto, a ona popychała też — siedzącego, skurczonego, obwiniętego kołdrą pstrą i dywanikiem podartym staruszka, który głowę miał na piersi bezwładnie zwisłą, tak, że twarzy jego wcale widać nie było i nic, oprócz żółto-siwych, długich, okalających ją włosów. Chustka kobieca otaczała jego ramiona.

Z jednej strony wózka tego była dziewczyna, z workiem dużym w ręku, z drugiej stara kobieta, która także usiłowała popychać, — okrywały ją niemal łachmany. I ona trzymała torbę w ręku, a zawiniątko jakieś pod pachą.

Z wielkim trudem wtoczyło się to na podwórko, a tu dopiero rozpoczęto dobywanie starca z krzesła, którego prawie na rękach do domu wniesiono. Jak później dostał się na drugie piętro, anim mógł, ani chciałem się przyglądać, tak mnie widok tej niedoli głęboko poruszył.

Wieczorem w jednem z okien zabłysło poraz pierwszy światełko, a cień na storze plamistej przesuwający się — przypomniał postać dziewczęcia.

Przez długi czas nie miałem odwagi, przyznam się, spojrzeć na okna kamienicy. Nic też tam do widzenia nie było; nie przyozdobiono ich niczem, nie ukazał się ani wazonik, ani kwiatek, ani firanka.

W kilka dni później dostrzegłem tylko przy ostatniem oknie głowę dziewczęcia pochyloną tak, że się domyślić było łatwo, iż w krosnach nad jakąś robotą pracowała.

Na ciemnem tle profil malował się bardzo wyraziście, jakby w dwubarwnej kamei; rysy były regularne, piękne, ale oblane niewypowiedzianym smutkiem.

Godzinami siedziała tak nieruchomie nad robotą; czasami znowu zrywała się co chwila, odwoływana od niej, i jakby każda minuta była jej drogą, powracała z pośpiechem, aby natychmiast oderwać się znowu.

Zaledwie siadła — już niespokojnie podnosiła głowę i biegła. Znikała, ukazywała się niespokojna. Wszystko tam musiało być na jej rękach.

Na twarzy wyraz się nie zmieniał — nie widać było zniecierpliwienia — niepokoju, rysy jak skamieniałe, nieporuszone, ani uśmiech rozjaśnił, ani zniechęcenie ich nie zmarszczyło. Starca ani staruszki w tem oknie ani w innych nie widać było nigdy.

Czasami w południowych godzinach dziewczyna, zawsze jednakowo ubrana, wyrywała się z domu pośpiesznie z jakiemś pudełkiem w ręku, i bardzo żywo biegnąc ulicą, znikała z oczu, tak samo śpiesząc, gdy później wracała.

Można było odgadnąć z tych niewielu oznak życie smętne i biedne, jakie tam prowadzono, którego dziewczę stanowiło jedyną podporę.

Ubóstwo nie ma przyjaciół, ludzie się do niego zbliżyć lękają, niezawsze z obawy, aby mu nie potrzebowali przyjść w pomoc, więcej dlatego, że widok tej walki o byt jest smutny.

To też do nowych lokatorów przez czas długi nikt nie przychodził, zresztą gości, jakich oni przyjmować mogli, trudno było rozróżnić od tych, którzy szynk na dole odwiedzali.

Upłynęło kilka miesięcy, lato nadeszło, a oprócz otwierających się teraz okien, w mieszkaniu żadna zmiana nie zaszła. W lipcu wszakże dziewczę mniej u krosien siedziało, nieustannie od nich odrywane, a po kilku tygodniach już tylko przemykające się pośpiesznie przez izdebki niekiedy się ukazywało.

Raz dostrzegłem znajomego mi dobrze doktora ubogich, który wsunął się do kamienicy naprzeciwko. Czatowałem na niego, gdy powracał, aby się coś dowiedzieć, bo mnie to ciche ubóstwo mocno zajmowało.

Pochwyciłem wychodzącego — aby spoczął u mnie.

— Masz, widzę, praktykę w sąsiednim domu — rzekłem, sadzając go w biblioteczce.

— Dopiero od dziś — odparł smutnie — biedna to praktyka, bo ja tam nic pomódz nie będę mógł, a...

Nie dokończył.

— Domyślam się wielkiego niedostatku, — wtrąciłem.

— Nie mylisz się — rzekł doktór, zapalając cygaro i wzdychając.

— Potrzeba koniecznie duszę jakąś miłosierną tam posłać, — ale z temi ludźmi trudno będzie, bo duma ich równa się ubóstwu... Nic od nikogo przyjąć nie zechcą. Byli niegdyś zamożni, a z przeszłości pozostało im uczucie godności, które nie dopuści ręki wyciągać. Panna Adela, pracując, zabija się, ojciec dogorywa, matka rękami pokurczonemi od reumatyzmu pończochy wełniane robi — głodem mrą, a przyjąć pomocy nie chcą.

— Znam ich oddawna — dodał doktór — ale mi, wyniósłszy się tu, znikli z oczu. Poczciwi, zacni ludzie; na nieszczęście, które ich dotknęło, wcale nie zasłużyli, znoszą je, nie szemrząc. Widok ten serce rozdziera...

— Nie mają? rodziny? nikogo?

— A! rozrodzoną bardzo i majętną — dodał doktór — ale bez serca. W takich warunkach przyjąć pomoc, w jakich ją ofiarowano, nie dozwalało poczucie godności własnej. Wszystko to smutno się skończy.

— Mój Boże — przerwałem doktorowi — przecieżby też jakiś środek pomożenia w sposób delikatny mógł się znaleźć.

Lekarz ruszył ramionami i milcząco potrząsnął głową.

— Żal dziewczęcia, które się tak zmarnuje i zamęczy — dodałem.

— Żal — potwierdził doktór zadumany — tembardziej, że takiego poświęcenia dla rodziców, takiej cichej, spokojnej ofiarności dziecięcia — trudno drugiej znaleźć na świecie.

Niewiele mając czasu, doktór spojrzał na zegarek i pożegnał mnie.

Ciekawość, podbudzona teraz żywiej jeszcze, prowadziła mnie często do okna.

Nadeszła jesień, naprzód ta urocza, która czasem wiosnęby przypominała, gdyby liście z drzew nie opadały; potem słotna, zimna i dla starych a chorych zabójcza.

Okna naprzeciwko stały zamknięte; nic widać nie było przez nie.

Z rana raz w dzień wichru i pluchy wbiegł do mnie doktór ubogich, jak powiadał, aby się ogrzać trochę. Siadł u komina i zadumał się smutny. Domyślałem się, że wracał z przeciwka. Na twarzy jego poczciwej malowało się to współczucie bezsilne, które przejmuje serce wobec nieszczęścia bez ratunku.

Nie śmiałem go rozpytywać, a on sam nie śpieszył wygadać się przede mną.

Napoiłem go herbatą. Kilka razy podchodził do okien zobaczyć, czy się nie wyjaśniło, ale prawdziwie jesienna słota bez nadziei szarym, wilgotnym płaszczem pokrywała wszystko. Świat stał mokry, zmarzły — zbiedzony jak ludzie, drzewa ogołocone z liści zdawały się trząść od zimna.

— Byliście naprzeciwko? — spytałem.

— Tak jest — westchnął z cicha. — Staruszek nocy nie dożyje.

— Niema na to ratunku? — spytałem.

— Żadnego; było to przewidziane oddawna — rzekł doktór. — Kto wie, może to lepiej; przestanie się męczyć...

Nie dokończył, zatopiwszy się w myślach.

Gdym po wyjściu doktora poszedł do mojego okna wieczorem, spostrzegłem, że jedno naprzeciw było otwarte. Co to znaczyło, domyśliłem się łatwo...

Stary, którego widziałem niesionego w krześle, nie żył. W nocy kilka świeczek płonęło przy łożu, na którem spoczywały zwłoki, oczekując na trumnę. Okryta wyszarzaną narzutką dziewczyna biegała ciągle, nie mając czasu płakać. Na niej jednej leżało wszystko, pogrzeb, przygotowania do niego, wydatki, oznajmienie urzędowe o śmierci, formalności... Aż do późna widziałem ją z pośpiechem, zdyszaną, wymykającą się z domu, powracającą samą lub z kimś potrzebnym... a w nocy na piętrze widać było ruch nieustający.

Nim się rozwidniło, przyniesiono prostą trumnę.

Staruszki nie widać było; musiała bezsilna leżeć zapewne, a córka dzieliła się pomiędzy zmarłym ojcem, a rozpaczającą matką.

Litościwi ludzie z dołu pomagali jej potrosze. Pogrzebu

aniśmy w ulicy posłyszeli ani postrzegli; był to pogrzeb nędzarza, na który się nikt nie ciśnie, bo nie ciekawym jest człowiek podobnego obrzędu. Z urzędu i obowiązku przybywają ci, co muszą.

Przez cały ten dzień jeszcze okno pokoju, który stary zajmował, stało otwarte. Córka, z pogrzebu powróciwszy, nie ukazała się już, była przy matce. Pracującej przy oknie nie widziałem przez dni kilka, bo musiała zapewne siedzieć przy chorej. Doktór mój znajomy parę razy zachodził tu, co mnie utwierdziło w przekonaniu, że matka chorować musiała. Nie wstępował jednak do mnie, aż zapukałem w szybę raz i dałem mu znak, że go proszę. Spojrzał na zegarek, bo czas miał wymierzony poczciwy staruszek, i szybko wszedł do mnie, nie zrzucając paltota.

— Nie chcecie nawet spocząć? — spytałem.

— Czasu nie mam — odparł, witając się — jesień zawsze roboty nam przysparza, szczególniej pomiędzy ubogimi. Dnia zamało, aby obowiązkom podołać.

— Stary umarł! — dodałem — a jednak zachodzicie tu.

— Teraz kolej na staruszkę — odezwał się doktór, siadając na chwilę. — Ci, których nędza do jednego przykuła łańcucha, najczęściej, gdy śmierć porwie towarzysza, przeżyć go nie mogą. Wątpię, ażeby staruszka długo pociągnęła. Nie wstaje już z łóżka. Strach pomyśleć, co się stanie z osieroconem dzieckiem, które też ostatkiem sił goni... Pogrzeb ojca wyczerpał grosz, zapracować go niepodobieństwo.

— Ale czyż nikt w pomoc nie przyjdzie? — zapytałem.

— Pomoc przychodzi — szepnął lekarz — ale ona upokarza i dobija, a harda dziewczyna uważa ją za pożyczkę tylko, którą zwrócić jest obowiązaną.

W kilka dni potem sprawdziła się przepowiednia doktora: staruszka skończyła życie. Pogrzeb był tak cichy i biedny, jak pierwszy...

Wieczorem w jednem oknie się świeciło, czuwała za niem biedna sierota.

Znając zacnego doktora, który nietylko lekarstwami, ale radą i opieką służył swej ubogiej klienteli, byłem pewny, że nie opuści dziewczęcia, którego rodzinę znał; stosunki w mieście

liczne dozwalały mu łatwiej niż komukolwiek znaleźć środki nieupokarzające — zaopiekowania się sierotą. Ale z doktora dobyć coś nie było łatwo, bo się chwalić i mówić o tem, co czynił, nie lubił.

W kilka dni po pogrzebie staruszki w oknie zjawiła się blada twarzyczka dziewczęcia pochylona nad robotą. Teraz ją nic po całych dniach nie odrywało od niej. Nie wychodziła prawie z domu i domyślałem się, że w szynku na dole żywić się czemś musiała.

Zrana, jak tylko dobrze rozwidniało, siadała do krosien, nie wstawała do południa, przerywała pracę na czas bardzo krótki i wracała do niej; siedziała do wieczora, a potem przy zapalonej lampce prawie zawsze do późnej nocy.

Można było dostrzedz niekiedy, jak szybko ocierała łzy z oczu, aby na to czasu nie tracić.

Nieruchomy ten profil ze swym wyrazem smutku skamieniałego robił takie wrażenie przejmujące, iż długo mu się przypatrywać nie było można. Co dni kilka wybiegało dziewczę na miasto z pudełkiem w ręku i niedługo zabawiwszy, powracało. W stroju, w ruchach — w obliczu nic się nie zmieniło. Zdawała się tylko oswojoną z tym bytem, i jakby bezmyślną; duszą była gdzieindziej.

O ilem mógł dostrzedz, do niej nie przychodził nikt przez całą zimę; i aż do wiosny lampka się paliła do późna, dziewczę wstawało ze świtem, a pracowało, gdy gdzieindziej wszyscy już spali.

Wrzawy i hałasy, które często całemu sąsiedztwu bardzo się niemile czuć dawały, bo szynki nocami napełniała gawiedź i włóczęgi — jej zdawały się nawet nie zwracać uwagi.

Z nadchodzącą wiosną, gdy się rok kończył mieszkania, jednego dnia nadszedł właściciel kamienicy.

Okna w mieszkaniu dziewczęcia pootwierano — ruch jakiś widać było, i drugie piętro opróżnione zostało.

Ponieważ nie widać było, aby sprzęty wynoszono, domyślałem się, iż biedna pracownica przeniosła się na poddasze.

Tak było w istocie, puste dotąd nędzne izdebki na strychu ożywiły się tu twarzyczką, która w jednem z okien zasiadła

u krosien i na nowo poczęła swą pracę Penelopy nieskończoną.

Jak sobie sama starczyć mogła, usłużyć, wydołać wszystkiemu, czem żyła — zaledwiem się umiał domyślać.

Z dala twarz, oddawna wychudzona i zmizerowana, wydała mi się jeszcze bledszą i smutniejszą niż kiedy, ale godziny pracy się nie zmieniły.

Niekiedy tylko widać ją było podpartą na ręku i zadumaną — z oczyma wlepionemi w ścianę. Nagle po takiem zapomnieniu się, chwytała za igłę i z podwojonym pośpiechem i gorliwością do roboty powracała.

W czerwcu na mieście spotkałem się z dawno niewidzianym doktorem ubogich, który się tak śpieszył, jak zawsze. Zatrzymałem go.

— Nie bywasz już na mojej ulicy? — zapytałem — nie chcesz nawet przyjść na chwilę spocząć u mnie.

— A! — odparł doktór — właśniem chciał was spytać, co się stało z tą sierotą z naprzeciwka? Mieszka ona tam jeszcze?

— W tym samym domu, ale pod strychem — odpowiedziałem — i tak pracuje, jak dawniej. Mówiliście o rodzinie i krewnych zamożnych, żeby też kto z nich nie dał jej przytułku!!

— Ofiarowano go — rzekł — ale nie przyjęła. Może miała słuszność — jest biedną, ale swobodną i nie potrzebuje się rumienić za to, że żyje na łasce rodziny.

— To zależy od... rodziny — odezwałem się. — Wy, co ją znacie, powinnibyście choć inne zajęcie znaleźć dla sieroty, która się niewdzięczną igiełką zamęcza, ledwie mogąc pewnie na kawałek chleba zarobić.

— I to trudno — odparł doktór. — Dumna jest, a przytem...

Machnął ręką, ale z miny tej i ruchu odgadnąć nie umiałem, co miał na myśli.

Po krótkim przestanku, stary szepnął niewyraźnie:

— Nie będzie się męczyć długo!

Pożegnał mnie i poszedł.

Przypomniałem sobie wychudzoną twarz, zapadłe oczy, ręce białe, które zdala nawet wydawały się jakby wyschłemi.

Wiosna nie odżywiła biednej. W miarę, jak się wzmagało gorąco, uważałem, że częściej opadały jej ręce bezwładnie. Dłużej siadywała zadumana, chusteczką ocierała twarz, ciągle okrywającą się potem. Wydawała mi się chorą i osłabioną.

Za pierwszem spotkaniem z doktorem, doniosłem mu o swojem spostrzeżeniu.

— Jutro muszę być u niej — odparł mi krótko i zanotował sobie w książeczce.

Jakoż nazajutrz, czatując, pochwyciłem go, gdy wychodził z przeciwka i zaciągnąłem na spoczynek do mnie.

— Jakżeście ją znaleźli? — zapytałem.

Nie odpowiadając mi, doktór począł chodzić po pokoju, krzywiąc się.

Odwrócił się potem ku mnie.

— A cóż? — rzekł — jest źle, ale ja na to nic nie poradzę. Gdyby była wielką panią i miała ochotę do życia — czasby jeszcze może ocalił ją i przedłużył... egzystencyę. Gdym się jej dziś począł rozpytywać o zdrowie, uśmiechnęła mi się smutnie.

— Jestem w istocie chora, słabnę, wieczorami mam gorączkę, w nocy się ona wzmaga — ale — tem lepiej, krócej się męczyć będę. Żyć nie mam ochoty.

— Starałem się jej dowieść, że utrzymanie życia jest obowiązkiem.

— Tak, rzekła spokojnie, gdy człowiek jest na coś światu potrzebny, ale istota jak ja, będąca sobie ciężarem, a drugim zawadą — poco ma żyć? Nie mam już na świecie nikogo, a dla mnie spocząć, zasnąć na wieki — będzie największem szczęściem. Nie próbujcie mnie leczyć — dodała — naprzód dlatego, że leczenie się z mojem życiem nie da pogodzić, powtóre, że — mnie tem nie uczynicie przysługi.

— Chciałem ją przekonać, że powinna była przyjąć od krewnych pomieszczenie na wsi, gdzieby odżyć mogła.

— A! nie! nie! — zawołała — wolę tu sobie umrzeć spokojnie, nie widziana, niż tam być ludziom widowiskiem wstrętliwem. Wyjść z tego położenia, w jakiem zostaję, najusilniejszą

pracą niepodobna — dodała. — Zarabiam tyle, aby z głodu nie umrzeć i zostawić na pogrzeb...

— Na tem się rozmowa skończyła — dodał doktór. — Nie widzę sposobu wyrwania jej — nieuchronnej śmierci. Może pociągnąć tak rok, półtora — ale, jeżeli nie zmieni myśli, nie zapragnie sama uratować się, nie pokocha życia...

Nie mówiliśmy więcej, bo nam przeszkodzono. Opowiadanie lekarza uczyniło na mnie tak bolesne wrażenie, żem długo potem na okno w poddaszu nie spoglądał.

Jesienią już, podniósłszy oczy przypadkiem, w oknie ujrzałem naprzód profil znajomy dziewczęcia, a naprzeciw niego nową twarz męską... młodego człowieka, bladego jak ona, smutnie się w nią wpatrującego. Rysy twarzy miał sympatyczne.

Ciekawość, obudzona tem we mnie, zatrzymała dłużej w oknie, chciałem widzieć niespodzianego gościa tego, gdy z domu będzie wychodził, i odgadnąć stosunek, jaki mógł łączyć tę niedawno rozpaczającą istotę z tym kimś — jej obcym.

W dobre pół-godziny dopiero znikła twarz mężczyzny w oknie, a ukazała się we drzwiach domu. Nieznajomy ubrany był ubogo, ale czysto... cała postać zwiastowała w nim wykształcenie i wyszlachetnioną naturę.

Nie miał lat trzydziestu... Wyszedł powoli, upojony i zadumany z tego domu, niepewien, gdzie się zwróci; postał trochę w progu i zwolna pociągnął ku miastu.

Z okna dziewczę wyjrzało za nim i znikło.

Miałaż to być opatrznościowa do życia zachęta?

Następnych dni kilka nie zjawił mi się ów gość, a dziewczę siedziało przy krosienkach. Zdala twarz zdawała się nie tak bladą i jakby leciuchnym okraszoną rumieńcem.

Wstąpiłaż w nią nadzieja?

W sobotę następną wieczór był piękny i pogodny, młody gość zjawił się u drzwi. W kwadrans potem razem z nim wyszło dziewczę. Z blizka je zobaczywszy, przekonałem się, że ów rumieniec i odrodzenie zrozpaczonej było złudzeniem. Twarz wprawdzie idealnego nabrała wdzięku, ale piętno śmierci już na niej było wyryte.

Szła nadzwyczaj powoli, z widocznym wysiłkiem, niekiedy rękę przykładając do piersi i stając, aby odetchnąć. Naówczas

towarzysz jej zatrzymywał się także, zwalniał kroku, pochylał się troskliwie, i szli znowu dalej.

Kawałek ulicy, który z okna mojego widać było, przeszli tak wolnym krokiem, iż długo mogłem się im przypatrywać. Mężczyzna był nadzwyczaj zajęty swą towarzyszką, ona też niby udawała ożywioną i wesołą. Znikli mi z oczu.

Doktór, z którym co kilka dni się zawsze prawie gdzieś spotkałem, gdym go zapytał o sierotę, smutnie się uśmiechnął.

— Gorzej jest — rzekł krótko.

Opisałem mu to, com z mojego obserwatoryum mógł postrzedz.

— Wiem o tem — rzekł. — Młody, poczciwy, ale nieszczęśliwy... bez przyszłości... w niej się rozmiłował... Gotów się żenić, ale ona zna swój stan, czuje, że żyć nie może i wyjść za niego nie chce. Fantazya poprostu. Małżeństwo, jeśliby życia nie ocaliło, mogłoby je przedłużyć... Bywały wypadki... Ale dziewczę uparte i dziwnie rozmarzone!...

Zmuszony wyjechać na kilka miesięcy, w podróży zapomniałem o tym dramacie, który się przed oknem mojem odegrywał. Tyle ich przechodzi ciągle przed oczyma naszemi, których widzimy tylko pierwsze sceny lub ostatnie.

Wiosna była znowu, gdy szukając czegoś w pokoju, usłyszałem śpiew w ulicy, jakby żałobny... Wyjrzałem...

Przed domem stała spora ludzi gromada i wóz z karawanem o dwóch koniach; w tej chwili właśnie wynoszono trumnę otwartą, w której wieńcami i kwiatami okryta spoczywała marmurowa twarzyczka sieroty z idealnym wyrazem, jaki śmierć rysom człowieka nadaje, nim się one w proch rozsypią. Leżała w białej sukience, w zasłonkach, ukwiecona, jakby szła do ołtarza, do ślubu.

Tuż przy trumnie szedł blady, z wypłakanemi oczyma przyjaciel ostatni. Miał tyle męstwa, że sam kierował wszystkiem i dźwigał na wóz zwłoki. Pot ciekł mu z bladego czoła.

Gdy wóz ruszył z przed kamienicy, on jeden poszedł za trumną dalej. Ludzie się powoli rozpływać zaczęli. Ksiądz zaśpiewał... zaturkotało, i karawan pociągnął ku cmentarzowi.

Okna na strychu stały szeroko pootwierane. W jednem

z nich wazonik zielony sam pozostał, a zdawał mi się z daleka pączkiem mirtu spóźnionym...

* * *

Nazajutrz przyszedł mnie doktór odwiedzić i zaledwie stąpił na próg, ręką wskazał w stronę kamienicy.

— A co? — rzekł z tym spokojem, jaki częsty widok śmierci daje wszystkim lekarzom — a co? dramat skończony, jak przewidywałem. Sierota poszła na cmentarz, a ostatnie jej dnie promyk złoty oświecił.

— Na tak krótko! — rzekłem.

— A komuż on przyświeca stale i długo? — rzekł lekarz. — Nie doznała zawodu; biedny chłopiec kochał ją tem gorącej, że miał utracić. Dłoń jego zamknęła znużone powieki.

Doktór zadumał się trochę i nagle zwracając ku mnie rzekł żywo:

— Nie jest-że to poemat?

Opracował BR. CHLEBOWSKI.

CXIX.

RZEWUSKI HENRYK.

(1791—1866).

W pamiętnym dniu 3 maja r. 1791 w Sławucie na Wołyniu przyszedł na świat ten powieściopisarz i publicysta, którego cała działalność skierowana będzie przeciwko duchowi, ożywiającemu wielką ustawę konstytucyjną, który wbrew najwymowniejszej rzeczywistości, nigdy nie uzna zasadniczych zmian zaszłych w życiu społecznem Europy i własnego narodu, a przeciwstawi im jako ideał i wzór umiłowane przez się czasy saskie, będzie najskrajniejszym i najkonsekwentniejszym z zachowawców, wywoła zachwyt ogólny swoim talentem pisarskim, niemniej ogólne oburzenie jaskrawością i paradoksalnością swych poglądów społeczno politycznych i pozostanie w pamięci potomnych jako dziwny i niewytłumaczony zbiór najostrzejszych przeciwieństw i sprzeczności nie do pogodzenia.

Był synem Adama Wawrzyńca, mówcy i poety, początkowo rotmistrza kawaleryi narodowej, posła na sejm z województwa nowogródzkiego, później kasztelana witebskiego — wreszcie po upadku Rzeczypospolitej, marszałka gubernialnego kijowskiego i senatora rosyjskiego. Matka, Justyna z Rdułtowskich, była podkomorzanką nowogródzką. Pierwszych pięć lat życia spędził Rzewuski u swojej babki, rodzonej siostry Tadeusza Rejtena. Pierwszym jego nauczycielem był niejaki pan Zar..., elegant staropolski, a przytem oszust i krzywoprzysiężca. Nauczył młodego Henryka dobrze czytać i cenić ponad wszystko swój strój staropolski. W r. 1796 zawiozła go matka do Sławuty, majętności księcia Hieronima Sanguszki, gdzie spędził dalsze trzy lata w towarzystwie, między innemi, generał-gubernatora bracławskiego Bergmana, najlepszego przyjaciela jego ojca. Po trzech latach oddano ośmioletniego »chorążego regimentu Potockich« do konwiktu księży Karmelitów w Berdyczowie. Niedługo tu jednak bawił, rychło przerwał nauki z powodu słabego zdrowia. Pomimo krótkiego pobytu

w szkole zdołał się jednak odznaczyć zamiłowaniem do historyi świętej i praktyk religijnych, a tępotą do arytmetyki. Z Warszawy, dokąd się udał z ojcem dla zasięgnięcia porady lekarskiej, pojechał znowu do babki w Mińskie, w towarzystwie nowego guwernera ks. Garnier, młodego emigranta francuskiego i zwolennika Jezuitów. Powróciwszy do zdrowia, podobno dzięki kuracyi prostej baby-znachorki, kształcił się dalej pod nowym kierunkiem i rozczytywał w autorach takich, jak pani de Genlis, Berquin, historyk Millot i t. p. Posiadł doskonale język francuski, a ta przewaga francuszczyzny w nauce elementarnej wpłynęła niekorzystnie na język i styl przyszłego powieściopisarza. Pod koniec r. 1800 opuścił dom babki i oddany został do instytutu wychowawczego ks. Nicole w Petersburgu, prowadzonego w duchu ściśle katolickim. Na dokończenie studyów wyjechał do Krakowa, gdzie bawił w latach 1806—1807.

Szczupłość materyału biograficznego, dotyczącego tej, jak i innych epok życia Rzewuskiego, nie pozwala na dokładniejsze skreślenie obrazu jego rozwoju duchowego. Z tego, co wiemy, nietrudno jednak wywnioskować, że wykształcenie, jakie odebrał, było powierzchowne i niesystematyczne, w wychowaniu zaś, którego kierunek powierzany był coraz to innym rękom, przeważały elementy cudzoziemskie i ultramontańskie. W czasie, kiedy kraj poszczycić się mógł takimi zakładami naukowymi, jak Liceum Krzemienieckie i Uniwersytet Wileński — Rzewuski, jak i wielu innych młodych magnatów, kształcił się pod kierunkiem Francuzów i Niemców. Nie mogło to pozostać bez wpływu, nietylko na jego stosunek do szkolnictwa polskiego początku wieku XIX [1]), ale i do całokształtu spraw polskich, tak jak się one wzrastającemu wówczas pokoleniu przedstawiały.

Jako 17-letni młodzieniec, powraca Rzewuski do kraju i wybrany zostaje zastępcą do sądu ziemskiego; po utworzeniu Księstwa Warszawskiego, wstępuje do służby wojskowej w armii warszawskiej i odbywa kampanię 1809 roku. O jego czynach wojennych nie doszła nas żadna wiadomość. Nie musiał się jednak odznaczać zbyt wojowniczym duchem, kiedy po ukończeniu wojny austryackiej, jako porucznik, podał się do dymisyi i powrócił do stron rodzinnych. Były to czasy, kiedy dla ludzi młodych, zdolnych, przejętych ogniem zapału i poświęcenia otwierało się piękne pole służby publicznej, bądź to w armii Księstwa Warszawskiego, bądź w jakimkolwiek innym zawodzie. Rzewuski ani potrzeby takiej pracy nie odczuwał, ani ochoty do niej najwidoczniej nie okazywał, pędzić bowiem zaczął życie próżniacze przeciętnego arystokraty wśród ciągłych podróży i rozrywek. Wyjechał więc naprzód do Szwajcaryi, gdzie przebył 8 miesięcy. Powracając stamtąd do kraju, ugrzązł w Krakowie i przesiedział tam całą zimę r. 1811. W przeddzień »wiosny nadziei«, w chwili, gdy goto-

[1]) Stosunek ten jaskrawo wrogi ujawnił się, między innemi i w »Mięszaninach obyczajowych«.

wały się zapasy Napoleona z Rosyą, gdy kraj cały z zapartym od dechem śledził tryumfy cesarza i przygotowywał się do wielkich wydarzeń dziejowych, Rzewuski »jadł, pił i tańcował do upadłego« w Krakowie. Miasto to nazywa »rajem w owej porze«. Nie ma dość słów zachwytu dla towarzystwa krakowskiego, wśród którego się obracał (prefekt krakowski Wodzicki, jenerał Mokronowski, Włodzimierz Potocki, Jacek Przybylski, pani Grodzicka i t. d.), a które bawiło się świetnie w rozmaite gry towarzyskie, jak sekretarza, szarady w pantominach, w ślepą babkę, cenzurowanego i t. p.[1]). Bawiono się również w opowiadanie sobie różnych cudownych historyi fantastycznych; z opowiadających musiała Rzewuskiemu utkwić w pamięci postać pana Soplicy, cześnika parnawskiego, kiedy go później w najlepszym swoim utworze unieśmiertelnił[2]). Dalszych pięć lat przebywa kasztelanic witebski w kraju. Co przez ten czas robił — niewiadomo. To pewna, że rok 1812 nie stanowił epoki w jego rozwoju duchowym (jak to miało miejsce u wielu wybitnych jednostek młodego pokolenia), ani też w niczem nie wpłynął na tryb jego życia. W ciągu tego czasu nieraz zwiedzał Petersburg, a po upadku Napoleona i zapanowaniu nowych stosunków w Europie, wyjechał w r. 1817 znowu w długoletnią podróż zagranicę. Zwiedził Niemcy, Francyę, Włochy, Anglię i Turcyę. Najdłużej, bo przez trzy lata (do r. 1822) zatrzymał się w Paryżu, gdzie uczęszczał na wykłady filozofii, prawa i literatury, głównie Cousin'a i Villemain'a, zawierał znajomości wśród arystokracyi francuskiej, a nawet zawiązał podobno bliższe stosunki z baronem Turckheim'em, deputowanym z Alzacyi[3]). Ten trzyletni pobyt w Paryżu, ocieranie się o żywy ruch literacki, musiało wpłynąć na pewne pogłębienie się i rozszerzenie horyzontów umysłowych Rzewuskiego, jak również rozbudzić w nim zamiłowanie do studyów historycznych głównie i literackich.

W r. 1822 odbywa pierwszą swą podróż do Włoch, o której również nie mamy prawie żadnych wiadomości. W r. 1823 powraca na Wołyń, ale ponieważ żadne zajęcia ani obowiązki nie łączą go z krajem, więc rychło wyjeżdża znowu i w r. 1825 towarzyszy Mickiewiczowi w wycieczce na Krym. Wycieczka ta, o ile natchnęła Mick. do wspaniałych »Sonetów krymskich«, o tyle w twórczości późniejszej Rzewuskiego nie pozostawiła żadnych głębszych śladów. Również i to pierwsze spotkanie się z Mickiewiczem nie wywarło na nim głębszego wrażenia. W pięć lat później dopiero zbliży się doń bardziej, oceni jego geniusz, pobudzony zostanie przezeń do twórczości literackiej, zawsze odzywać się będzie o nim z uwielbieniem, przejmie się nawet

---

[1]) Zobacz H. Rzewuski »Nie-bajki«. Petersburg 1851.

[2]) Wspomina o nim w »Nie-bajkach«. Czy była to rzeczywiście postać historyczna, czy tylko wytwór fantazyi Rzewuskiego — trudno dziś sprawdzić.

[3]) Przypiski do »Łaski i przeznaczenia« tom II; cyt. u Chmielowskiego »Nasi powieściopisarze« Kraków 1887 str. 148.

niektóremi teoryami, wygłaszanemi w »Kursie literatur słowiańskich« ale w rezultacie, nie zrozumie ani nie odczuje zasadniczej treści ducha Mickiewicza, pójdzie własną drogą, a idee przejęte z Mickiewicza częstokroć wykoślawi i sfałszuje nie do poznania.

W tymże roku, 1825 utracił Rz. ojca, który umarł w Pohrebyszczach na Wołyniu. W dwa lata potem (1827) wstąpił w związek małżeński z Julią hrabianką Grocholską i wyjechał na dwuletni pobyt do Petersburga. Kolonia polska w Petersburgu była podówczas dość liczna i posiadała takich ludzi, jak znany mistyk Oleszkiewicz, znakomity malarz Orłowski, czasowo bawiący tam Mickiewicz, znany historyk Mikołaj Malinowski, przyszły redaktor »Tygodnika Petersburskiego« Józef Przecławski, ks. Hołowiński i inni.

Chmielowski w cytowanej już rozprawie o Rz. przypuszcza dwojaki wpływ, jakiemu on uległ w Petersburgu: przedewszystkiem grona Polaków, »którzy częściowo lub całkowicie stali się z języka i ducha pisarzami rosyjskimi« jak Bułharyn, Sękowski, Przecławski — oraz wpływ mistyków, z Oleszkiewiczem na czele. Na pierwszy z tych wpływów można się bez kwestyi zgodzić. Co się jednak tyczy oddziaływania Oleszkiewicza , to Rz. nie uległ mu niewątpliwie ani w części tak silnie, jak np. Mickiewicz. Bywał wprawdzie Rz. na t. zw. sesyach Oleszkiewiczowskich, sama postać Oleszkiewicza i jego teorye musiały na nim zrobić pewne, może głębokie nawet wrażenie, ale nie wpłynęło to bynajmniej w sposób decydujący na ukształtowanie się jego poglądów. Mistycyzm bowiem, a zwłaszcza tak szlachetnie i wzniośle pojęty jak u Oleszkiewicza, nie stanowi organicznej, zasadniczej cechy poglądu na świat Rz., a tem mniej nie występuje u niego jako określony, zwarty i konsekwentny systemat myślowy lub prawda życiowa. Można co najwyżej mówić o pewnem zabarwieniu mistycznem niektórych jego poglądów, niektórych stanowisk myślowych, jak np. lekceważenie rozumu, wiara w potęgę intuicyi, w objawienie jako kryteryum prawdy i t. p. Ale takie poglądy przechodzą u Rz. nietylko bardzo często w grube zabobony, przesądy, nic wspólnego z żadnym mistycyzmem nie mające — ale także obok nich figurują teorye skrajnie racyonalistyczne jak np. cześć dla siły materyalnej Rosyi, niewiara w odrodzenie ducha narodowego i t. d. Nie same jednak te przekonania przeczą jakiemuś wydatniejszemu wpływowi Oleszkiewicza. Cały charakter i usposobienie Rz., jego przywiązanie do wszelkich form zewnętrznych, jego kult dla pewnych form ustroju państwowego, jego materyalizm życiowy, waga, jaką przywiązuje do wszelkich obrzędów, — są wprost zaprzeczeniem tej idei duchowości i bezcielesności, lekceważenia form, a doszukiwania się ducha, jakie było znamieniem poglądów i życia wszystkich wielkich i szczerych mistyków.

W r. 1829 wyjechał Rz. z żoną do Włoch i przepędził tam blizko cztery lata, zjeżdżając na zimę do Rzymu. W r. 1830/31 przebywali tam oprócz Ankwiczów, których dom był miejscem zebrań towarzystwa polskiego, Mickiewicz z Odyńcem, ks. Stanisław Choło-

niewski, Stefan Garczyński i wielu innych. Teraz właśnie nastąpiło większe zbliżenie się z Mickiewiczem, w którym dokonywał się wówczas zasadniczy przełom religijny. Rzewuskiemu mogło się zdawać, że istnieje jakaś wspólność pomiędzy nowym poglądem na świat poety, a jego własnemi przekonaniami religijno-politycznemi. To, jak również niewątpliwie bliższe zapoznanie się teraz z pismami Mickiewicza, z drugiej strony zaś oryginalny talent krasomówczy Rzewuskiego i zainteresowanie, jakie budził swojemi opowiadaniami o dawnych czasach i ludziach, stało się podstawą zbliżenia się tych dwóch ludzi i zdecydowało podobno o karyerze literackiej Rz. Istnieje wersya ogólnie powtarzana, że Mickiewicz zachwycony opowiadaniem Rz., miał mu powiedzieć: »Pisz, jak mówisz, a będziesz pierwszym autorem Polski«. Sam Rz. pisząc o tych czasach i pierwszych próbach swego pióra nie wspomina o tych słowach Mick. (może przez skromność, a może ze względów cenzuralnych), a rzecz całą w ten sposób przedstawia:

»W roku 1830 znajdując się w Rzymie, zbliżyłem się do kilku rodaków uczonych, znajdujących się w temże mieście i otworzyłem (tak!) z nimi towarzyskie stosunki. Pokój, w którym świat zostawał, a którego przerwy nic zwiastować nie mogło, dozwalał nam swobodnie oddawać się naukom. Ułożyliśmy między sobą w bibliotece watykańskiej dawnej polskiej szukać pamiątki. Przyszła mnie natenczas myśl żartobliwa podkraść się pod styl staroświecki, by kilka obrazów świeżo utworzonych napisać dla rozrywki towarzystwa, jako wypis ze starego rękopismu. Uczeni rodacy poznali się na żarcie, ale te obrazki, które nigdy do druku przeznaczone nie były, poprzepisywali między sobą« [1]). Tak się przedstawia relacya własna Rzewuskiego Cokolwiek jednak było pobudką do spisania tych utworów, czy słowa Mickiewicza, czy też owa »myśl żartobliwa« podejścia rodaków, w każdym razie ze słów Rz. wynikałoby, że nie miał wówczas zamiaru na seryo poświęcić się zawodowi pisarskiemu. Świadczyć zresztą o tem może i 9-letni okres czasu, jaki dzieli te pierwsze rzuty »Pamiątek Soplicy« od ogłoszenia drukiem ich całości w r. 1839.

Jak r. 1812, tak i r. 1831 nie wstrząsnął zapewne Rz. i nie wywołał jakiegoś przełomu w jego życiu. Podczas całego powstania przebywał we Włoszech, stykając się zapewne z księżmi Lamennais'm i Lacordaire'm oraz z hr. Montalembert'em, którzy bawili wówczas w Rzymie w sprawie uzyskania aprobaty papieskiej dla kierunku redagowanego przez nich organu katolicko-liberalnego »L'Avenir«. I od nich musiał wiele skorzystać Rz., ale i tutaj dalekim był od zrozumienia i przejęcia się żarliwością religijną i liberalizmem społecznym Lamennais'go, jego śmiałą, szerokie horyzonty obejmującą koncepcyą związania sprawy ludów ze sprawą kościoła.

W r. 1832 powrócił wreszcie Rz. do kraju na stałe. Niewia-

[1]) »Tyg. Petersburski« 1840, nr. 75. Chmielowski op. cit. str. 155.

domo czy z przebudzonego poczucia obowiązku, czy też dla posiadania jakiegoś tytułu, przyjął wybór na marszałka szlachty powiatu żytomierskiego. Urząd ten sprawował przez lat cztery. Teraz dopiero nasunęła mu się sposobność poznania dokładniejszego swojej rodzinnej prowincyi, życia domowego i publicznego szlachty tamtejszej, jej obyczajów i zwyczajów, stosunków polityczno-społecznych, w jakich znajdował się kraj, i ruchu umysłowego, jaki się w nim budzić zaczynał wśród ogólnej apatyi i przygnębienia w pierwszem dziesięcioleciu po upadku powstania listopadowego. Wyniki tych obserwacyi i doświadczeń były skrajnie pesymistyczne, tendencyjnie uogólniające, pełne zgryźliwości, nienawiści i pewnych teoryi ogólnych, godzących w samą zasadę istnienia narodowego. Zebrane są te wyniki w dziełach takich jak: »Mieszaniny obyczajowe«, »Teofrast polski« częściowo »Paź złotowłosy« — w licznych artykułach, polemikach i w niezliczonych uwagach do wszystkich powieści. Zanim jednak dzieła te zostały opracowane, musiało w Rz. dojrzeć postanowienie porzucenia dotychczasowego trybu życia i rozpoczęcia pracy literackiej. Co przedewszystkiem na to postanowienie wpłynąć mogło? Jakie były powody tego, że człowiek ten nagle, w 48 roku życia, bierze się do pióra i odrazu staje w rzędzie najwybitniejszych pisarzy współczesnych? Gdybyśmy tu mieli do czynienia z jakimś drugo lub trzeciorzędnym, słabym i ubogim w zdolności autorem, moglibyśmy przypuścić, że na wystąpienie jego na arenie literackiej wpłynęły te lub owe pobudki zewnętrzne. Ale utwory takie, jak »Pamiątki Soplicy« i »Listopad« (że weźmiemy tylko te dwa najwybitniejsze pod uwagę), utwory oryginalnego, świeżego, chwilami świetnego talentu nie powstają tak sobie, ni stąd ni zowąd, dla zadowolenia jakiejś drobnej ambicyi, lub próżności, dla polemiki lub propagandy. Pierwiastek wewnętrznej konieczności, potrzeby nieprzepartej wypowiedzenia nagromadzonych w duszy myśli, uczuć i obrazów, musi być w danym wypadku, jak i wszędzie tam, gdzie chodzi o rzeczywistą twórczość, uznany za decydujący. Że ta potrzeba wewnętrzna zjawia się u Rz. stosunkowo dosyć późno — to postaci rzeczy nie zmienia; wszak znamy w historyi literatury powszechnej niejednego poetę i pisarza, który w późnym wieku dopiero odczuł swe właściwe powołanie. A że właściwem powołaniem Rz. była literatura, o tem nikt chyba wątpić nie może. Tak postawiwszy kwestyę, nie należy jednak lekceważyć i innych, mniejszej zapewne wagi, ale niemniej rzeczywistych bodźców, które wpłynąć mogły na decyzyę Rz. Obok poczucia własnych sił i zdolności, musiała tu odegrać pewną rolę i chęć zajęcia jakiegoś wybitniejszego stanowiska w społeczeństwie, a niemożność zdobycia takiego stanowiska na innem polu, bądź to z przyczyn wewnętrznych i osobistych (niechęć i obrzydzenie niemal do współobywateli), jak i ogólnych warunków politycznych; pozatem ponury obraz życia narodowego współczesnego, jaki wytworzył sobie w duszy Rz. musiał budzić mimowolną tęsknotę do dawnych lepszych czasów, które znał z opowiadań ojca i studyów historycznych, czasów,

których tradycya w nim żyła, których czuł się nieodrodnym synem i które barwnością, krzepkością, zamaszystością i bujnością życia, przyciągały wyobraźnię, znużoną bezbarwnością i szarzyzną dnia dzisiejszego. Te wszystkie warunki i okoliczności złożyły się na to, że kiedy w r. 1839 ogłoszono w Paryżu, z jego wiedzą czy bez jego wiedzy »Pamiątki Soplicy«, autor ich stawał przed społeczeństwem jako skończony już człowiek, świadomy celów, do których dąży, i środków, jakimi rozporządza [1]). I odtąd rozpoczyna się jego wytężona działalność pisarska, trwająca niespełna 20 lat, w ciągu których wydaje przeszło 30 tomów pism najrozmaitszej treści, nie licząc artykułów przygodnych, drukowanych po najrozmaitszych czasopismach. Bogatą tę spuściznę podzielić można na dwa główne działy: pierwszy wypełnią powieści, drugi zaś publicystyka, podawana w rozmaitych formach, bądź to szkiców obyczajowych, bądź utworów satyrycznych, polemicznych, pamfletów i paszkwilów, bądź wreszcie rozpraw pseudo-naukowych i pseudo-filozoficznych. W tym drugim dziale wyróżnić można pisma, których treścią jest krytyka stosunków i społeczeństwa współczesnego, obok takich, w których Rz. stara się dać spokojny i systematyczny wykład swoich doktryn filozoficzno-historycznych.

Wrażenie wywołane przez »Pamiątki Soplicy« było wielkie. Składały się na to zarówno sam wybór tematu, odpowiadający historycznemu i restrospekcyjnemu kierunkowi epoki, jak i opracowanie go z talentem, który podbił wszystkich bez wyjątku. Ogół polski, przywykły do patrzenia na wiek XVIII i czasy saskie pod kątem literatury reformatorskiej końca XVIII i początku XIX w., ujrzał teraz czasy te w zgoła nowem i niespodzianem przedstawione świetle. Znikły, zdawałoby się, zupełnie ciemnota, obskurantyzm, ciasne pojęcia moralne i polityczno-społeczne, lenistwo umysłowe, dewocya bezduszna, pycha i buta niepohamowana i wynikające stąd nadużycia i swawole, egoizm stanowy, illuzoryczna równość szlachty z wojewodami, która w praktyce zamieniała się na bezwzględną zależność uboższej szlachty od magnatów i niemniej bezwzględne uleganie jej woli, znikło jakoby to życie bez troski, pędzone wśród pijatyk i burd, wśród najdzikszych objawów barbarzyństwa, niezamącone myślą o dobru ogólnem i kardynalnych wadach ustroju Rzeczypospolitej. W miejsce tego występował w »Pamiątkach Soplicy« cały szereg ludzi prostych wprawdzie i nieuczonych, ale rozsądnych i dzielnych życiowo, nie rozprawia-

[1]) Kwestya czasu powstania poszczególnych opowiadań, które złożyły się na »Pamiątki Soplicy«, jest dotychczas nierozstrzygnięta — wobec zupełnego braku świadectw. Nie wiemy, ile i które z nich powstały w roku 1830—1831, które zaś później i kiedy mianowicie. Tak samo i sprawa autentyczności wydania pierwszego jest niejasna. Rzewuski protestował przeciwko niemu i twierdził nawet, że niektóre opowiadania nie są jego pióra. Czy czynił to wyłącznie tylko z obawy narażenia się rządowi — również trudno rozstrzygnąć. Może pewne światło na tę kwestyę i na genezę »Pamiątek« rzuciłoby porównanie wydania z r. 1839 z wyd. lwowskiem z r. 1852, dokonanem podobno na podstawie autografów.

jących o kwestyach religii, ale głęboko religijnych; noszących wysoko godność swego herbu szlacheckiego, ale dobrych i miłościwych dla swych poddanych; pozwalających sobie czasami na pewne wybryki fantazyi i temperamentu, ale umiejących poczciwie przyznać się do grzechu i żarliwie zań odpokutować; otaczających wielkim szacunkiem sądy i ich wyroki, służących wiernie swoim panom w najgłębszem przekonaniu, że służą tem samem pośrednio Rzeczypospolitej, zajętych uprawą roli i zbożnem ciułaniem grosza, nie mędrkujących i nie rozprawiających, lecz spuszczających się we wszystkiem z wiarą i ufnością na Opatrzność Boską. Taki obraz w. XVIII i jego spraw pragnął zasugerować swoim czytelnikom Soplica. A opowiadał tak zajmująco i barwnie, z tak nieporównaną plastyką opisywał ludzi i wypadki, jego humor był tak szczery i niewymuszony, jego język i styl tak bogaty i oryginalny, tok mowy tak swobodny i oryginalny, gawędziarstwo i rozwlekłość nawet tak miła i swojska, że wszyscy byli oczarowani. Ale niewszyscy uwierzyli mu na słowo. Uznając jego pierwszorzędny talent. rozkoszując się subtelną, ledwie dostrzegalną ironią, unoszącą się nad całem dziełem, zarzucali mu jednostronność, idealizowanie przeszłości, zbytnią wyrozumiałość dla pewnych, niewątpliwie ciemnych stron epoki, a niezrozumienie tego, co stanowiło jej istotną wartość, tendencyjne przedstawianie faktów historycznych, a częstokroć nawet fałszowanie znanych postaci historycznych, jak np. ks. Karola Radziwiłła, stawianie za wzór obywatela-patryoty tego opoja i barbarzyńcy i podobnych mu Wołodkowiczów, Borowskich i całej tej osławionej »bandy albeńskiej«. Wszyscy wybitniejsi krytycy tej książki, jak Goszczyński, Kraszewski, Wróblewski, Rejten (z wyjątkiem Grabowskiego) takie krytyczne wobec niej zajęli stanowisko. Bądź co bądź jednak sukces Rz. był zupełny i gdyby był dalej w tym kierunku pisał, przebaczonoby mu zapewne niektóre jego wady, usterki, skłonności i sympatye.

Niestety jednak, Rz. zapragnął być nietylko malarzem przeszłości, ale i sędzią współczesności. Jako sędzia wystąpił też w »Mieszaninach obyczajowych« (1841—43). A do tego brakło mu zupełnie kwalifikacyi. Miał niewątpliwie bystry zmysł obserwacyjny, zacięcie satyryczne, ostry i zjadliwy dowcip, ale brakło mu tej wewnętrznej powagi i uprawnienia, jakiego potrzeba satyrykowi-moraliście, aby go słuchano i poważano. Pozatem zakres jego widzenia był dosyć szczupły i ciasny, poglądy skrajnie reakcyjne, osobiste niechęci i antypatye bardzo widoczne, zgryźliwość i zaciętość nieopromieniona żadnem cieplejszem uczuciem, zupełny brak zrozumienia różnorodnych i skomplikowanych zjawisk życiowych, a przykładanie do wszystkiego jednej miary, bardzo zaściankowo pojętej zachowawczości, klerykalizmu i lojalności. Wszystko to sprawiało, że Rz. nie mógł być nawet głębokim satyrykiem, a cóż dopiero wodzem duchowym choćby tylko swojej prowincyi. A prowincya ta przykryła mu sobą nietylko całą Polskę, ale niemal świat cały. Znał ludzi i stosunki wołyńskie i o nich właściwie tylko pisał, ale pisał w ten sposób, jakby to się odnosiło

do wszystkich ziem polskich i całego narodu. A naród został tam skwalifikowany jako umarły i zgniły, literatura jego jako ostatni błysk dogasającego ducha, a takie »pokątne stowarzyszenia« jak Filareci, Promieniści, związki patryotyczne i t. p. nazwane »robactwem, toczącem ciało społeczne po ulotnieniu się ducha, chcącem napróżno zatrzymać ten żywot społeczny, ulotniony z dostojnego ciała«.

Nic więc dziwnego, że opinia publiczna zaprotestowała silnie przeciwko »Mieszaninom«. W protestach tych, zarzutach, obmowach i oszczerstwach, wymierzonych przeciwko Rz. było naturalnie niemało podrażnionych ambicyjek, dotkniętych próżnostek (bo Rz. nie oszczędził nikogo, ani niczego), ale był też zdrowy odruch oburzenia i poważna odprawa, dana pewnym teoryom i pretensyom autora »Mieszanin«. Głosy Gustawa hr. Olizara, Karola Kaczkowskiego, Tytusa Szczeniowskiego, wreszcie Feliksa Zielińskiego [1]) świadczyły o tem, że poznano się mniej lub więcej dokładnie na jego tendencyach, a nawet na wątpliwej wartości jego hipotez i paradoksów, znamionujących człowieka niewykształconego systematycznie i, jak się wyraził Zieliński, »naukowo nieodrodzonego«. Poza tem zaczęła się już wówczas tworzyć wśród młodzieży polskiej w kraju zabranym opozycya przeciwko teoryom Rzewuskiego, Grabowskiego i Przecławskiego, których organem był »Tyg. Petersburski«, opozycya, która później założyła własne swoje czasopismo »Gwiazdę«. Rz. oczywiście od przekonań swoich nie odstąpił, przeciwnie nawet, zapalczywością jakąś i zawziętością wiedziony, jakby naumyślnie i na złość wszystkim, szedł konsekwentnie dalej w tym samym kierunku, nie przestawał rozrzucać paradoksów, obelg i oszczerstw na współczesnych ludzi i współczesne stosunki w każdem ze swoich dzieł, czy było ono powieścią historyczną, czy też rozprawą filozoficzną. Obyczajowości zaś współczesnej poświęcił jeszcze jedno całe dzieło, a mianowicie »Teofrasta polskiego«, który jakkolwiek ukazał się o 10 lat później (1851), to jednak pod względem rodzaju łączy się ściślej z »Mieszaninami obyczajowemi«, niż z jakiemkolwiek innem pismem Rz. W »Teofraście« bowiem, tak samo jak w »Mieszaninach«, widział w społeczeństwie współczesnem prawie wyłącznie tylko ciemnotę, brak religijności i moralności, grubiaństwo, zarozumiałość, pychę, chciwość, brak poczucia godności, pomimo wielkiej ilości »spraw honorowych« (załatwianych ku boleści autora polubownie), wreszcie obmowy wzajemne, oszczerstwa i plotki. Postacie graczów, szulerów, rozmaitego rodzaju »baragołów« kreślone w »Teofraście«, jakkolwiek niewątpliwie zaczerpnięte z rzeczywistości, były jednak sztywne, nienaturalne i bez życia, w przeciwieństwie do czerpanych z fantazyi figur »Pamiątek Soplicy«. Najwidoczniej Rz. nie umiał tworzyć nietylko w epokach wcześniejszych od wieku XVIII, jak mu to przepowiedział z racyi »Pamiątek Soplicy« W. Wróblewski [2]),

[1]) Zob. Bibliografię.
[2]) Ateneum 1846, t. VI, str. 226.

ale i życie współczesne nie przedstawiało dlań materyału, który potrafiłby opracować artystycznie. Zanim jednak opuścił wiek XVIII, dał jeszcze jedną kapitalną powieść, poświęconą tym czasom, a mianowicie »Listopad« (1845—46). Tutaj znów poczuł się autor na swoim gruncie, wśród tego społeczeństwa pobożnego i cnotliwego, które uważał za »maximum tego, czego ludzkość w porządku cywilizacyjnym dostąpić powinna. Tak niegdyś Rousseau na łonie paryskiego towarzystwa, z zapałem nieudanym rzucił wymowną klątwę na sztuki, nauki' i z taką samą lubością rozmyślał o rzepie, którą jadał Fabrycyusz z jaką nam Rz. wspomina piwo grzane, grzanki i czosnek, przysmak ulubiony generała Kunickiego« [1]). Nie samo jednak społeczeństwo staroszlacheckie było tematem tego nowego romansu. Zamiary Rz. sięgały dalej. Chciał on zobrazować walkę dwóch cywilizacyi, dwóch światów, dwóch kultur, uosobionych w sarmatyzmie i w tej warstwie społeczeństwa polskiego, która szła już nowemi drogami i starała się dźwigać swój naród na poziom życia zachodnio-europejskiego. Wszystkie świetne cechy talentu Rz., znane nam już z »Pamiątek«, zajaśniały tu na nowo i złożyły się na dzieło, które stanowi niewątpliwie epokę w rozwoju naszej powieści historycznej. Ideologia była tu ta sama, co i w poprzednich, przypiski do poszczególnych scen i rozmów tak samo drażniące i uszczypliwe. Pozatem jednak ukazał »Listopad« pewne wady artyzmu Rz., które rozrósłszy się z biegiem czasu, odbiły się w sposób ujemny na całej jego późniejszej działalności powieściopisarskiej. Taką wadą była przedewszystkiem niezdolność tworzenia większych całości. Rz. pozostał właściwie zawsze gawędziarzem, zarówno w powieści, jak w satyrze i filozofii. O ile jednak to gawędziarstwo, ciągłe odbieganie od tematu, wtrącanie w bieg opowiadania mnóstwa epizodów i dygresyi, przerywanie toku różnemi sentencyami i morałami, stanowiło nawet zaletę i urok »Pamiątek Soplicy«, które miały z góry zamierzony charakter gawędy, żywego i bezpośredniego opowiadania, nieujętego w żadne ramy kompozycyjne, o tyle ujawnienie się tych samych cech w większej powieści wpłynęło rozsadzająco na jej kompozycyę i układ. W »Listopadzie«, jaka taka jednolitość i zwartość kompozycyi uratowana jeszcze została dzięki dwom zasadniczym osiom całej akcyi t. j. stosunkowi dwóch braci Strawińskich do Zofii Kunickiej i Konfederacyi barskiej, choć i tutaj mamy właściwie w jednej powieści dwie. Następne jednak utwory powieściowe stały się zbiorem luźnie ze sobą powiązanych epizodów, pełnych gadatliwości i rozwlekłości, a postacie drugo- a nawet trzeciorzędne wybijały się na pierwszy plan, zasłaniając sobą głównych bohaterów i główną akcyę. Pozatem i język Rz. zaczął się już psuć w »Listopadzie«. Przewaga francuszczyzny w wychowaniu i wykształceniu początkowem Rz. odbiła się tu w sposób wyraźny, w pewnych stale

[1]) Ateneum 1846, t. VI, str. 233.

używanych zwrotach, obcych polszczyźnie, w błędach składniowych i dziwacznych nowotworach.

Wszystkie te cechy wyraźniej jeszcze ujawniły się w następnej powieści Rz., w »Zamku krakowskim« (1847—48). Tu już zszedł Rz. z gruntu czasów St. Augusta, na którym czuł się najswobodniej, i zapragnął dać obraz historyczny w. XVI. Bogaty w doniosłe wypadki, w silne i piękne postacie, znamienny ruchem literackim, politycznym i reformacyjnym materyał dziejowy czasów Walezyusza i Batorego, został tu słabo wyzyskany. Luźność budowy powieści i brak skupienia akcyi około jednego lub kilku głównych motywów sprawiły, że trudno się zoryentować, co właściwie stanowić ma główną oś utworu: tragiczne dzieje Samuela Zborowskiego, początkowo atamana kozackiego, uwikłanego później w nieszczęsną sprawę z Tęczyńskim i Wapowskim, skazanego na banicyę i zmuszonego wreszcie uledz surowemu poczuciu obowiązku kanclerza Jana Zamojskiego — czy dzieje Ezechiela Zdory, walecznego a tępego rycerza, kryjącego w swym charakterze wszystkie zalety i wady przeciętnego szlachcica czasów saskich, a którego losy zajmują w powieści prawie tyleż miejsca, co i losy Zborowskiego — czy wreszcie miał to być obraz ogólny społeczeństwa polskiego w. XVI, obraz walki katolicyzmu z protestantyzmem, szlachty z możnowładztwem, z rzuconemi na to tło potężnemi postaciami Zamojskiego i Batorego. Zamiarem autora było, zdaje się, przedstawienie sprawy Zborowskiego na ogólnem tle historyczno-socyologicznem. Zborowski jednak nie jest postacią najżywszą i najplastyczniejszą tej powieści. Traktowany jest szkicowo, bez pogłębienia psychologicznego, czyny jego nie są wypływem jakiejś wewnętrznej konieczności, ale raczej wynikiem przypadku, a co najwyżej chwilowych uczuć i nastrojów. Pozbawia go przez to autor wszelkich cech bohaterstwa — a sprawę jego wszelkiego tragizmu. Co się zaś tyczy tła ogólnego, na którem występuje, to składają się na nie postacie i sprawy, w przeważnej mierze nie odbijające w sobie najznamienniejszych prądów epoki. Są one zaledwo poruszone w powieści, jak np. sprawa kozacka, walka króla z możnowładztwem, trybunat szlachecki Zamojskiego, ścieranie się katolicyzmu z reformacyą. Wojna z Moskwą pominięta jest zupełnie. Najżywiej natomiast i najplastyczniej występują przedstawiciele przeciętnego tłumu szlacheckiego, jak Zdora, »jenerał« Humiecki, właściciel winiarni Falendysz, wyższy od nich rozumem i sercem Kazimierz Mroczek i t. p. Górujące postacie epoki, jak Batory, Zamojski, dalej postacie niewieście, jak Gryzelda Batorówna, wychodzą mniej lub więcej blado i bez życia. Widoczna już w »Listopadzie« nieumiejętność malowania uczuć miłosnych i kreślenia żywych a »idealnych« postaci niewieścich — okazała się tutaj jeszcze silniej w stosunku Samuela do Gryzeldy i w charakterystyce tej ostatniej. Największą jednak wadą powieści jest to, że ludzie tu występujący nie są bynajmniej ludźmi wieku XVI. Są to poprzebierane tylko w inny strój postacie z »Pamiątek Soplicy« i z »Listopada«, żyjący myślami i uczu-

ciami, mówiący nawet językiem szlachty początku wieku XVIII. Brak nietylko wżycia się i wczucia w epokę historyczną, ale nawet zapoznania się dokładnego z jej historyą zewnętrzną ujawnił się w całym szeregu błędów i anachronizmów, widocznych dla każdego, powierzchownie choćby tylko obeznanego z życiem polskiem w. XVI. Talent Rz. nie wyczerpał się naturalnie jeszcze zupełnie, potrafił błysnąć jeszcze w niektórych opisach, scenach, charakterystykach, ale świecił już jakby światłemi przyćmionem, jakby odbitem tylko od słonecznych prom eni »Pamiątek Soplicy«.

Jest tego światła jeszcze stosunkowo wiele w »Adamie Śmigielskim« (1851). Ta fantastyczna trochę historya świetnej karyery i wyniesienia się młodego chłopca, dzięki wrodzonym zdolnościom, męstwu i energii, jego brawurowe czyny wojenne, zdobywane lekko i jakby bez wysiłku najwyższe odznaczenia, jego miłość stała i wierna dla pięknej wojewodzianki, znakomite typy takie, jak ojciec Adama, Zacharyasz, wiecznie wystraszony i zafrasowany, jak jego matka i babunia, udatnie wprowadzony »błędny poeta« Kukawski, żołnierz starego typu Dunikowski, a nawet szkicowa ale wyrazista sylwetka Karola XII — wszystko to posiada ruch, życie i urok opowiadania, które nie liczy się wprawdzie z wymaganiami prawdy historycznej i psychologicznej, nie troszczy się o układ kompozycyjny, ani zagłębia zbytnio w dusze przedstawianych postaci, ale zajmuje, a czasami nawet przykuwa. Zarazem jednak jest to ostatnia powieść Rz., przedstawiająca jaką taką wartość artystyczną. Wszystkie następne ujawniają już wyraźny, coraz bardziej postępujący zanik świeżych, zdrowych cech talentu Rz., zanik artyzmu i zmysłu kompozycyjnego na korzyść pewnych, rozwijających się z wiekiem, a nie powstrzymywanych przez intensywniejszą pracę nad sobą nałogów i przyzwyczajeń, które stają się wreszcie drugą naturą i roztapiają wszelkie wartości w niepohamowanem gadulstwie, rozwlekłości nużącej, zaniku smaku estetycznego, niedbalstwie kompozycyjnem i zepsuciu języka. Tak jest z »Rycerzem Lizdejką« (1852) tym — jak powiada Chmielowski — konwencyonalnym typem zacnego kawalera, stałego kochanka, dzielnego, cnotliwego, pełnego zaparcia się młodzieńca — tak z »Zaporożcem« (1854), którego już właściwie nie można nazwać powieścią, ale zbiorem różnych, mniej lub więcej ciężkich i rozwlekłych opowiadań o rodach Sołomereckich, Kierdejów, Skoropackich — tak wreszcie z ostatnią powieścią Rz. p. t. »Paź złotowłosy« (1858), utworem fantastycznym, który dzisiaj interesować może chyba tylko pewnemi ukrytemi aluzyami politycznemi i obrazem społeczeństwa wołyńskiego, przedstawionego w »Arcypelagu Skotostańskim«.

Pozostaje jeszcze do omówienia ten dział pism Rz., które mają charakter teoretycznego wykładu jego poglądów filozoficznych, historycznych, literackich i polityczno-społecznych. Zaliczymy tu prace takie jak: »Głos na puszczy« (1847), »Wędrówki umysłowe« (1851), »O dawnych i teraźniejszych prawach polskich« (1855), »Pamiętniki

Bartłomieja Michałowskiego« (1857) i wreszcie po śmierci autora wydane »Próbki historyczne« (1868). Chmielowski starał się w swem studyum o Rz. dać systematyczny wykład jego »filozofii«. Była to oczywiście praca żmudna i bezpłodna. O żadnym systemacie bowiem i o żadnej filozofii nie może być mowy tam, gdzie na każdym kroku jest pełno sprzeczności, gdzie zasadniczą cechą jest brak wszelkiej systematyczności i konsekwencyi, gdzie poglądy nie wysnuwają się z siebie logicznie i konsekwentnie, nie postępują w pewnym określonym kierunku, ani układają się w pewną zwartą całość, lecz zależne są od pobudek czysto przypadkowych, zewnętrznych, jakichś bardzo poziomych próżności, ambicyjek, jakichś zmiennych sympatyi i antypatyi, gdzie myśli brak bezinteresowności, bo nie może się nigdy oderwać od bardzo ziemskich i bardzo materyalnych pożądań, gdzie wreszcie zasadniczo panuje niechęć i pogarda dla wszelkiej konstruującej, organizującej i systematyzującej myśli filozoficznej.

Z temi zastrzeżeniami jednak można niewątpliwie mówić o pewnym poglądzie na świat Rzewuskiego i starać się ustalić jego ogólną linię oryentacyjną. Znać w nim wyraźny i wielki wpływ filozofii ultramontańsko-katolickiej de Maistre'a, Bonalda, Lamennais'go, z pierwszego okresu jego działalności, i wreszcie wykładów Mickiewicza z Collège de France. Z myślicieli tych przejmuje Rz. pewne teorye, inne odrzuca, przekształca lub nawet zmienia do niepoznania, wszystkie zaś przenosi na swój partykularz wołyński i zastosowuje do swoich własnych tradycyi polityczno-społecznych. Tylko w tem znaczeniu można mówić o jego oryginalności i samodzielności. Poglądy jego na objawienie, kryteryum prawdy, rozum indywidualny i powszechny, znaczenie tradycyi i podań narodowych, na wartość cnoty i natchnienia w dziedzinie poznania i t. p. są niemal identyczne z poglądami Mickiewicza, a w wielu punktach zbliżone do systemów de Maistre'a, Bonalda i Lamennais'go. Założenia i sformułowania ogólne są te same, a więc: jedynem źródłem wszelkiej wiedzy jest objawienie, dochodzi się do niego nie ćwiczeniem rozumu, ale ćwiczeniem cnoty, (mędrcy, a ludzie cnotliwi znaczy to samo), organem prawdy objawionej jest nie rozum indywidualny, ale powszechny, uosobiony w tradycyi i podaniach narodowych, rozum ludzki więc nic nie tworzy, ale tylko przechowuje i przekazuje dalej prawdy objawione, które znowu o tyle tylko są prawdami, o ile powszechnie za takie są uznane i t. d. i t. d. Rozwinięcie jednak tych założeń u Rzewuskiego, wnioski historyczne i życiowe, jakie z nich wyciąga, odbiegają daleko od wniosków jego mistrzów. Niema w nim nic z surowej powagi i żelaznej konsekwencyi myśli de Maistre'a, niema nic z szerokich horyzontów i żaru uczuciowego Lamennais'go, nic z prometejskiej woli potęgi Mickiewicza. Założenia, które z tamtych ludzi czynią pionierów nowego świata ducha — doprowadzają Rzewuskiego do krańcowego zacofania i obskurantyzmu, do hołdowania wszelkim przesądom i zabobonom, do uwielbienia najbardziej materyalnych potęg ziemi, do zaprzeczania niemal

wszelkich praw ducha, w konsekwencyi do zaprzeczenia tych podstaw myślowych, z których sam jakoby wychodzi. Nie możemy tutaj na poparcie powyższego cytować obszernych ustępów, ale można je znaleźć niemal na każdej karcie pism Rzewuskiego powyżej wymienionych. Dla przykładu wystarczy wymienić jego nienawistne aż do śmieszności inwektywy i napaście na »rozum«, jego wymyślania na wszelkich filozofów i ich systematy, które zna przeważnie ze streszczeń i podręczników, jego uwielbienie dla czasów saskich, w których uosobiło mu się objawienie narodowe i tradycya narodowa, jego przyziemną niechęć do pojęcia ludzkości, (które dla tamtych myślicieli stanowiło najkonkretniejszą rzeczywistość i ośrodek wszelkich dążeń), jego stosunek do aspiracyi porozbiorowych narodu i do bytu narodowego samego w sobie, jego lekceważenie oświaty narodowej w imię fałszywie pojętej moralności i tradycyi, jego nienawiść do Sejmu czteroletniego i Konstytucyi 3-go maja, a apoteozę Targowicy (»Pamiętniki Michałowskiego«), pogardę dla wszelkich dążeń demokratycznych, które piętnował mianem aberracyi, wreszcie idealizacyę średniowiecza z jego okrucieństwami, inkwizycyami i cenzurami, jako ekspiacyi za grzechy. Wszystko to znaleźć można w pismach Rzewuskiego, jakkolwiek obok takich poglądów i zapatrywań zjawia się nierzadko obrona kościoła katolickiego i religii, troska o zachowanie narodowości, oburzenie na występki, złość i zbrodnię, na całą tę bezcharakterność życia prowincyi polskich, tęsknota do ludzi wielkich i silnych.

Jak te sprzeczności w pismach i życiu Rzewuskiego zrozumieć i jak je pogodzić? Jak mogą współistnieć w jednej duszy uwielbienie dla przeszłości i uznanie rozbiorów, cześć dla Paszkiewicza i Mickiewicza, wierne stanie przy katolicyzmie obok najskrajniejszego panslawizmu, tendencye moralizatorskie obok stale głoszonego przekonania o zgniliźnie i beznadziejnym rozkładzie moralnym i fizycznym narodu, rwanie się do pracy publicystycznej i służba przy ks. Paszkiewiczu? Rozmaici biografowie Rzewuskiego rozmaite na te pytania dawali odpowiedzi. Zdaje się jednak, że wszyscy popełniali jeden zasadniczy błąd, a mianowicie brali poglądy Rzewuskiego zbyt na seryo, traktowali je za poważnie, zbyt mu zawierzyli, że wszystko, co mówi, jest wynikiem głębokiego, szczerego przekonania. Stąd naturalnie nie mogli rozwiązać zagadki tego nagromadzenia, niedających się pogodzić sprzeczności i przeciwieństw. Szczerość bowiem na dwa fronty musi tu być absolutnie wykluczona: albo nie wierzy w jedno albo w drugie, lub wreszcie ani w jedno ani w drugie, jest się zasadniczym sceptykiem. I tu jest klucz do zrozumienia zagadki Rz. Jeden Kraszewski był na dobrej drodze do jej rozwiązania, twierdząc, że był to »w duszy sceptyk i szyderca, (a) należał do obozu i chorągwi, która mu religijnym i uznającym powagę być nakazywała« [1]) — nie umiał jednak przemyśleć tej swojej hipotezy do końca i wyciągnąć z niej ostatecz-

[1]) Rachunki 1866, str. 360.

skiego«, tomów II. Wilno 1844—1845; »Opowiadania starca przez ....«, tomów II, Warszawa 1854; »Pan Soplica. Opowiadania starego szlachcica«. Tomów II. Drezno 1857. »Pamiątki I. Pana Seweryna Soplicy«. Wyd. III. sprostowane i pomnożone według własnego rękopismu autora. Tomów II. Lwów 1852. (Biblioteka polska I). Pod tym samym tytułem, Lipsk, Brockhaus, 1868. Toż. Paryż 1868. Bibl. ludowa polska. Toż. Przekład niemiecki. Reclam, 1876. »Les récits d'un vieux gentilhomme polonais«, Paris 1866, przekład Wład. Mickiewicza. W nowszych czasach ukazały się: »Pamiątki starego szlachcica litewskiego«, 3 tomy. Warszawa (»Gazeta polska«) 1900. »Pamiątki I. Pana Seweryna Soplicy«, Lwów—Złoczów, Zuckerckandel, bez daty. »Mięszaniny obyczajowe« przez Jarosza Bejłę, 2 tomy, Wilno 1841—1843. »Listopad«, 3 tomy, Petersburg 1845—1846; Toż samo wyd. nowe, poprawione, 2 tomy, Wilno 1848. Toż wyd. III, 2 tomy Wilno 1862; przekład czeski, Praga 1854; Toż, tamże 1872; przekład rosyjski, Petersburg, 1873; przekład angieiski, według przeróbki niemieckiej 1857. »Głos na puszczy«, wyd. Red. »Tyg. Petersb.« 1847. »Zamek krakowski«, romans historyczny z w. XVI, 3 tomy, Petersburg 1847—1848; toż, wyd. II, 2 tomy, Petersburg 1853; toż, przekład niemiecki przez Bachmanna w Berlinie; toż, przekład rosyjski 1875; »Pisma zbiorowe«, Petersburg 1851, 7 tomów (T. I i II: »Wędrówki umysłowe«. T. III i IV: »Teofrast polski«. T. V i VI: »Adam Śmigielski«. T. VII: »Niebajki«. Powieści luźne). Jako osobne odbitki z tych »Pism« wyszły: »Teofrast polski«, Petersburg 1851; »Adam Śmigielski«, tamże, 1851 i »Niebajki«, tamże 1851. W tymże roku wyszła w Warszawie 2 tomowa powieść p. t. »Łaska i przeznaczenie« którą Estreicher przypisuje Rzewuskiemu. Jest to jednak właściwie powieść Kaliksty z hr. Rzewuskich księżny Teano, Rzewuski zaś był tylko wydawcą, komentatorem, a może i tłómaczem (zob. Chmielowski »Nasi powieściopisarze«, Kraków, 1887 str. 240). »Rycerz Lizdejko«, Warszawa 1852; toż w »Bibl. najcelniejszych utworów«, Warszawa 1877. »Zaporożec«, powieść, 4 tomy, Warszawa 1854, (Przedruk z »Dziennika warszawskiego«). »O dawnych i teraźniejszych prawach polskich«, Kraków, 1855. »Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego«, 3 tomy, Petersburg 1857; toż, 5 tomów, Warszawa 1857. »Paź złotowłosy czyli wieczory Sułtana«, 2 tomy, Lwów, 1858 (przedruk ze »Świtu«). »Próbki historyczne« (wyd. pośmiertne z przedmową Bolesławity), Paryż 1868; toż tamże, bez daty.

Literatura. T. Goszczyński: »Pamiątki I. Pana Seweryna Soplicy«, »Demokrata polski« 1841, t. IV. J. I. Kraszewski o »Mięszaninach«, »Tygodnik petersburski«, 1841, Nr. 26. Tenże w »Athenaeum« 1845 nr. 6. Tenże o »Listopadzie«, »Bibl. warsz.« 1845, t. IV. Tenże »Gawędy o literaturze i sztuce«, Lwów 1857. Tenże: »Henryk hr. Rzewuski«, »Rachunki« 1866 (to samo w przedmowie do »Próbek historycznych«). Tenże: »Wspomnienia o Rzewuskim«, Drezno, 1866. Michał Grabowski o »Mieszaninach« »Tyg. petersb.« 1841—2. Tenże

w »Korespondencyi literackiej« Wilno 1842—3, t. I i II. Tenże: »Graf Genrich Rzewuskij«, (po rosyjsku), Moskwa 1858. Feliks Zieliński: »Mieszaniny« »Bibl. warsz.« 1842, t. I; 1843, t. III. Tytus Szczeniowski: »Bigos hultajski« 1844—49. St. Reytan: »Papiery p. Ambrożego (Weyły)«, »Athenaeum« 1845—46 W. W(róblewski): »Pamiątki Cześnika«. Tom I. »Listopada«. »Mięszaniny«, »Athenaeum« 1846—1848. Olizar: »Pomieszanie Jarosza Bejły«; »Recydywa Jarosza Bejły«... Ks. St. Chołoniewski: »Dewocya p. Gienerała Kunickiego«. »Bibl. warsz.« 1846, t. II. A. Tyszyński o »Listopadzie« w »Rozbiorach i krytykach«, t. III-ci, Petersburg 1854. Wilkoński: »Wspomnienia«... L. Siemieński: »Roztrząsania i poglądy literackie«. Poznań 1869, W. B. »Jak powstały Pamiątki Soplicy«, »Czas« 1866, Nr. 67. P. Chmielowski: »Nasi powieściopisarze«, »Niwa« 1877—1878 (i osobno Kraków 1887). St. Tarnowski: »Henryk Rzewuski«, Lwów 1887. Jeske Choiński: »Historya powieści polskiej« (»Bibl. dzieł wyborowych«), Warszawa 1899. Plenkiewicz w »Albumie zasłużonych Polaków« t. II. Tadeusz Bobrowski w swoich »Pamiętnikach«. Lwów 1900.

A) Pamiątki I. Pana Seweryna Soplicy, Cześnika Parnawskiego.

(Paryż, t. I i II, 1839; t. III i IV, 1841).

Z pośród dwudziestu kilku opowiadań, zawartych w tym zbiorze, a charakteryzujących wszechstronnie życie szlachty polskiej na Litwie w połowie w. XVIII, podajemy poniżej dwa obrazki, z których można sobie wyrobić pojęcie ogólne o dodatnich i ujemnych stronach tego życia, jak i o charakterze talentu autora.

Xiążę Radziwiłł Panie Kochanku.

905) *T. I. Str. 43—81.* Rok 1781 był pamiętny dla Nowogródka; w tym roku bowiem był sejmik bardzo forsowny: kilka tysięcy szlachty zjechało się na wybory pisarza ziemskiego. Po śmierci Pana Tadeusza Danejki, Xiążę wojewoda Wileński prowadził Pana Rejtena, brata owego wielkiego Tadeusza, powszechnie w województwie lubionego; a że zwykle u nas wybory były jednomyślne, nikomu przez myśl nie przeszło,

ażeby ktokolwiek mógł z nim o ten urząd emulować. Przecież zrobiło się inaczej. Przykro było JW. Niesiołowskiemu i JW. Jeleńskiemu, jednemu wojewodzie, drugiemu kasztelanowi Nowogródzkim, że najmniejszych wpływów w sejmikach ich województwa nie mieli, i że dla zachowania jakiejsiś powagi, radzi nie radzi, musieli się Xięciu Radziwiłłowi kłaniać. A że Rejteny z licznymi swoimi koligatami rej wodzili w partyi Radziwiłłowskiej, usiłując JW. Niesiołowski ją rozdwoić, namówił Pana Kazimirza Haraburdę, męża rodzonej siostry Rejtenów, aby oświadczył się o ten urząd dla siebie: co nie mało zgorszenia przyniosło województwu, okazując szwagrów zawziętych, jeden drugiemu szkodzących. Starali się obu stron przyjaciele namówić Pana Haraburdę, ażeby tej krzywdy szwagrowi nie robił, kiedy już tamtego pokilkakrotnie pito zdrowie jako przyszłego pisarza; że on sam z początku nie był mu przeciwnym, że ta braci niezgoda wszystkich gorszy; a nakoniec, że niema podobieństwa ażeby przeciw Pana Michała się utrzymał. Wszelka usilność była daremną; gdy obywatele zjechali się w Nowogródku do klasztoru Bernadyńskiego na Porcyunkułę, a między nimi znajdowali się oba szwagrowie: tam starano się ich pojednać; ale jak zaczął Pan Haraburda wyrzucać szwagrowi, to że go ukrzywdził w wypłacie posagu, to że prawa nie zna i że jemu przystoi nad kartami siedzieć, a nie mozolić się nad dokumentami, to że choć Pan Michał zausznikiem Nieświeskim, on nie traci nadziei w swoich nikomu niepodległych przyjaciołach, Pan Michał porwał się do szabli, i gdyby Bernardyni nie byli wyprowadzili Pana Haraburdy, podczas gdy Pana Michała reflektowała szlachta, refektarz zostałby skrwawiony. Już tedy nie było podobieństwa ich pogodzić, a czas sejmikowania nadchodził; właśnie wypadła okoliczność, z której JW. wojewoda Nowogródzki wielką sobie robił nadzieję, i która nieomal przyczyniła się do uczynienia twardym Pana Haraburdę. A to był postępek Xięcia wojewody Wileńskiego z wielmożnym Józafatem Tryzną, strukczaszym Nowogródzkim, który to postępek wielu gorliwych przyjaciół Radziwiłłowskich oburzył, z czego zręcznie umiała korzystać partya Xięciu Radziwiłłowi przeciwna. Tryzna był ubogim, ale ostatnim potomkiem starożytnego domu, z Radziwiłłowskim nawet skoligaconego. Wszakże to Naliboki Tryznianka w dom

Radziwiłłowski wniosła, a większa część funduszów klasztoru Żurowieckiego była darem Tryzny, antenata Strukczaszego. W kantyczkach żurowieckich jest o nim wzmianka:

Któż nie przyzna,
Że pan Tryzna
Był mąż świętobliwy.

Otóż Pan Strukczaszy, prócz summy zastawnej na Radziwiłłowskim Kołdyczowie, nic nie miał; zastawa była jak może być najtańszą, i kto inny mógłby z niej na szerokie wyleźć dziedzictwo; ale Pana Tryzny pieniądz się nie trzymał, (Maciek zrobił, Maciek zjadł), a często więcej zjadł, jak zrobił. Już to tam i moich parę tysięcy na tamten świat z sobą zaniósł; ale na ostatnim sądzie pewnie upominać się nie będę, bo z nim i beczkę soli zjadłem i więcej jak beczkę wina wypiłem. Że on nie miał prócz jedynaczki córki żadnego potomstwa, że na nim dom się kończył, a że panna z urodą i tak dobrego gniazda nie potrzebowała posagu, aby się w dobrem małżeństwie usadowić, jakoż później za bardzo możnego Witebczanina Syrucia, starostę Czuchłowskiego, wyszła: więc poniekąd był wymówionym nasz Strukczaszy, że się na przyszłość nie oglądał. Pan Tryzna był ludzki, wesoły, ale czasem popędliwy. Razu jednego, w same żniwa, Xiążę Wojewoda Wileński, nie uprzedziwszy go, właśnie jak piorun wpadł z licznem myśliwstwem, aby spolować lasy Kołdyczewskie. Pan Tryzna dawał rozporządzenia podstarościemu, by żniwiarzy naglił do roboty, i sam się w pole wybierał, kiedy wpadli dojeżdżacze Xięcia, wymagając, by natychmiast obławę do lasu posłał; a że to byli ludzie prości i nieroztropni, jakoś tam cierpko dopominali się u niego, iż go zniecierpliwili. Odmówił im ludzi, ofuknął ich i miał niby powiedzieć wedle ich relacyi: że kto w czasie żniwa poluje, temu piątej klepki nie dostaje. Jak wrócili dojeżdżacze, a ich relacya zaczęła biedz po szczeblach dworskich, a ciągle rosnąć: ile że Pan Mikuć, sekretarz Xięcia, miał żal do Pana Tryzny, z powodu iż konkurując o jego córkę, w jego domu był traktowany harbuzem, więc dogadzając zemście, udał go przed Xięciem. Xiążę tak mocno to uczuł, że jak mnie twierdzili przytomni, przez kilka Zdrowaś Marya mowa mu była odjętą, a potem jak zaczął ry-

czeć, to się lasy kołdyczowskie zatrzęsły, a w niepohamowanym popędzie rozkazał natychmiast odebrać posłuszeństwo Panu Tryźnie i wypędzić go z majątku. To się natychmiast dopełniło, nawet z nieludzkością, bo aż lękając się o skórę Pan Tryzna, uciekł z tem tylko, co miał na sobie; to jeszcze szczęście, że wielmożna Strukczaszyna z córką były wyjechały na odpust do Pińska uczcić błogosławionego Bobolę: zgoła, że piechotą gospodarz umknął i aż w okolicy Raców się oparł, a stamtąd dostawszy podwodę, udał się do Nowogródka, gdzie manifest zaniósł przed grodem, a razem i pozew po Xięcia o irrytacyę kontraktu i ekspulsyę.

Kiedy przyszło do sprawy, musiałem attentować od Xięcia, i przed Strukczaszym samym łzami się zalałem, błagając go, że tak powiem, aby mnie odpuścił, że z obowiązku muszę o jego krzywdę się starać, bo znałem dobrze, że nasza sprawa była nic potem. Ale cóż? Czyj się chleb je, tego bronić trzeba. Jakoż Pan Strukczaszy nie miał mi tego za złe, i gdy się wszystko skończyło, nie przestał mnie zaszczycać swoją przyjaźnią, a może i podwoił dla mnie szacunku, widząc, jak dla wywiązania się mojemu panu i dobroczyńcy, z własnego przekonania czyniłem ofiarę. A i przekonaniu umiałem zadość uczynić: bo przytomny będąc konferencyi, poprzedzającej kroki prawne, odezwałem się przed wielmożnym Radziszewskim, Chorążym Starodubowskim, a jeneralnym Xięcia plenipotentem, że niewiele mam ufności w prawności naszej; jeno on mnie zaraz zwrócił na drogę, mówiąc: WCPana rzecz attentować i bronić sprawy Xięcia, a nie jej przyganiać, i na to jesteś płatny. A tem mnie zamknął gębę. Kiedy przyszło do sprawy, nam o to szło, aby ją wprowadzić do Ziemstwa, bo Gród Nowogródzki był Jurysdykcyą Wojewody, który w nim przez swoich subdelegatów sądził; a jakie takie nadzieje mogliśmy mieć w Ziemstwie. Ale nie było sposobu wyrwać ją z Grodu, gdyż do niego poszły pozwy powodowe; a nakoniec sprawa expulsyjna, uczynkowa, w samej rzeczy do jurysdykcyi grodzkiej należy; i lubom stawał na tem, że już została z naszej strony podana illacya do trybunału *pro determinatione fori*, nie zważając na to sąd Grodzki, kazał sprawę wprowadzić. Jam odstąpił, a Pan Strukczaszy zyskał na Xięciu Radziwille kondemnatę. Ale cóż?

Cieszył się kondemnatą nieborak na bruku osadzony, a Xiąże jak zajął Kołdyczów, tak go trzymał. Na następnej kadencyi, widząc, że niema sposobów utrzymania się w zaprzeczeniu *forum*, innego skoku próbowałem. Chcąc zerwać komplet, podałem obmowę na jednego z członków sądu, zadając mu, iż jest krewnym strony powodowej. Pokrewieństwo było dalekie, bo Pan Kajetan Uzłowski, sędzia Grodzki, na którego podałem obmowę, miał żonę Ancutównę, a nieboszczka krajczyna Tryznina, macocha Strukczaszego, *primo voto* była za Ancutą. Jednak takowa obmowa była dostateczną dla zerwania kompletu, bo Pan sędzia oświadczył: że ponieważ Xiążę Wojewoda w nim ufności nie ma, a obok tego nie wypiera się zaszczytu koligacyi jemu zarzuconej, więc sądzić nie będzie, i ustąpił z swojego miejsca; a że już kompletu nie było, sprawa poszła w *non sunt* i kadencya spełzła. Było trochę krzyku za to na Sędziego, i Strukczaszy mu na ustępie wymówił, że dlatego uchylił się, bo Sędzina chce być na św. Karol w Nieświeżu, ażeby córki produkować. Mówiono także, że Pan Leon Borowski ofiarował mu za to szubę rysią w imieniu Xięcia; ale pokazało się później, że to była potwarz.

Aż tu nadszedł Sejmik na Pisarstwo Ziemskie, na który Xiąże Wojewoda wedle zwyczaju swego zjechał; tem więcej, że chciał utrzymać Pana Michała Rejtena, co był Radziwiłłowskim z duszą i ciałem. Zjechał Xiąże w trzydzieści pojazdów do klasztoru Bernardyńskiego, którego był Syndykiem, i całkowity swoim dworem zajął, oprócz kilku cel, w których jak mogli cisnęli się zakonnicy. Sam Xiąże stał w celi gwardyana, jako najobszerniejszej; ale w nocy kotowi w niej ledwo przecisnąć się można było: bo oprócz Xięcia, pokotem leżał: Pan Michał Rejten, Bukowski szatny, i ojciec Idzy, co był wielkim egzorcystą; a że Xiąże złych duchów się obawiał, wymówił sobie, aby w celi blizko niego spał, i do tego Nepta, ogromna wyżlica, faworyta Xięcia. Opowiadał nam Pan Rejten, że przez cały czas sejmiku oka nie zmrużył, takie okropne było chrapanie Xięcia, ojca Idzego i Nepty. Szlachta okoliczna, co za Xięciem piechotą przyszła, spała na dziedzińcu klasztornym, na którym stało kilkadziesiąt fur z krupami, mąką, słoniną i gorzałką; ciągle kurzyły się kotły na dziedzińcu, a w rzeźni co

dzień dla Xięcia dwa woły rżnięto. Xiąże dwa razy na dzień obiadował; raz ze szlachtą na dziedzińcu z kotła zajadał krupnik i flaki; a potem w refektarzu z obywatelami, których u siebie częstował, albo u jakiego urzędnika, do którego się zaprosił.

Pan Michał, coby rad widział koniec interesu z Tryzną (bo szlachta taki na to krzyczała), a sam nie śmiał przed Xięciem z tem się odezwać, namówił ojca Idzego, aby przy pomyślnej okoliczności jakoś bąknął Xięciu, aby dał się przekonać i był sprawiedliwym dla Pana Tryzny. Jakoż się wziął do tego Bernardyn, i to co napiszę, jest to co do słowa, co mnie P. Bukowski szatny opowiedział, jako naoczny świadek. — Po odbytych pacierzach, gdy się wszyscy pokładli i czas niejaki panowało milczenie, Xiąże odezwał się: Ojcze Idzy, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — Na wieki wieków; co Xiąże rozkaże? — Czy nie słyszysz waszeć, jak moja Nepta warczy? Zapewne nieboszczyk Wołodkowicz mnie nawiedza. — Na to P. Michał Rejten, przeżegnawszy się: Co też się marzy Waszej Xiążęcej Mości? Ludzie się szastają po korytarzu, a Nepta warczy na nich; już zaraz ma być Pan Wołodkowicz? — Milczałbyś, panie kochanku! że umiesz grać w francuskie karty, to już siebie masz za mędrka. Ja nie do Waści mówię, ale do ojca Idzego. Ojcze Idzy, wszak prawda, że dusze z czyścu wychodzą, aby krewnych i przyjaciół o ratunek prosić? Żeby temu przeczyć, trzeba być Xięciem biskupem Massalskim, albo Marcinem Lutrem. — Tak jest, JO. Xiąże! bywa to, bywa. — Słyszysz, Panie Michale? — Aż miło spać z teologiem, bo i oświeci i uspokoi. Ojcze Idzy, zawsze nieboszczyk Wołodkowicz stoi mi w oczach; co to był za przyjaciel! Żebym go mógł wskrzesić, oddałbym co mam, a sam do was na braciszkabym wstąpił. Za życia nieboszczyka Xięcia najechałem po pijanemu pana Piotra Kotwicza i dom mu podpaliłem. P. Kotwicz na mnie namalował sto tysięcy pretensyi, i kazał mi oświadczyć, że jeżeli mu ich nie odliczę, to mnie zapozwie. Ja byłem goły, bo nieboszczyk Xiążę był skąpy, a do tego tak groźny, że raz kazał mi dać pięćdziesiąt batogów, chociaż już byłem Miecznikiem Litewskim i orderowym Panem; a jakby się o takim zbytku dowiedział, możeby mnie był ubił pod batogami. Co tu było robić? — A mój Wołodkowicz dwa folwarki swoje własne zasta-

wił i zagodził Kotwicza (tu słychać było, jak książe zaszlochał). I czy to raz za mnie się poświęcił? — Kiedyś to mnie, jakby przeczuwał, że niedługo będziem z sobą, powiedział: Xiąże Karolu! ty dłużej ode mnie żyć będziesz; jak umrę, pamiętaj o mojej duszy. Otóż kiedy partya, którą ten łotr w infule, ten szuler Massalski prowadził, podstępem i zdradą porwała Wołodkowicza, a potem rozstrzelała go tu w Nowogródku, gdzie tego samego wieczora przybyłem, ale zapóźno, przysiągłem pomścić jego krwi na głowie niegodziwego biskupa i chciałem ruszyć do Wilna, aby mu *sacrę* zdjąć na pierwszej sośnie za miastem; a potem pojechałbym do Rzymu, przeprosić Ojca Świętego. Już szedłem ku Wilnowi, ale na pierwszym noclegu we śnie pierwszy raz pokazał mi się Wołodkowicz, prosząc mnie za biskupem, i wyraźnie mi powiedział: że jak biskupa powieszę, to mu będzie gorzej na tamtym świecie. Ojcze Idzy, wszak prawda, że on dotąd w czyścu? — A któż to przeniknie Sądy Boże, Xiąże Panie? I sprawiedliwość i miłosierdzie wielkie u Niego. To tylko wiemy, że jak się dusza rozstanie z ciałem, Bóg natychmiast ją odsyła do nieba, albo do czyśca, albo do piekła — uchowaj nas od tego Jego miłosierdzie. — Jużci Wołodkowicz do piekła nie poszedł, Panie Kochanku! Daj Boże wam wszystkim zakonnikom być tak gorliwymi jak on w wierze. On jeszcze za życia nieboszczyka Xięcia trzech popów w Słuczyznie do unii nawrócił, a czwarty uparty pod batogami umarł. To było, nim ta przebrzydła konfederacya Słucka i Toruńska przywileje wytargowała dla dyssydentów; za które ja, jako pierwszy senator Prowincyi Litewskiej, Panu Bogu nie odpowiem, bo z bronią w ręku siedm lat temu bluźnierstwu się opierałem. Ale Panu Bogu tak się do czasu podobało, nie dał nam szczęścia. To co ja, Ojcze Idzy, za spoczynek Wołodkowicza robiłem, toby wystarczyło, aby całkowity czyściec wypróżnić. Grzebałem na Wołoszczyźnie trupy z dżumy poległe własnemi rękami na jego intencyę, a rocznicę jego śmierci suszę. Wieś dałem Dominikanom Wołkowyskim, u których groby Wołodkowiczów; a co mszy, egzekwiów, jałmużn, lamp, to tego i Pan Michał Rejten, choć wielki rachmistrz, nie policzy; a jednak dusza jego nie przestaje mnie nawiedzać. Moja Nepta tak jego zna, że jak tylko się zbliży, odzywa się do niego, jak na grubą zwierzynę. Ojcze Idzy, daj

dzień dla Xięcia dwa woły rżnięto. Xiąże dwa razy na dzień obiadował; raz ze szlachtą na dziedzińcu z kotła zajadał krupnik i flaki; a potem w refektarzu z obywatelami, których u siebie częstował, albo u jakiego urzędnika, do którego się zaprosił.

Pan Michał, coby rad widział koniec interesu z Tryzną (bo szlachta taki na to krzyczała), a sam nie śmiał przed Xięciem z tem się odezwać, namówił ojca Idzego, aby przy pomyślnej okoliczności jakoś bąknął Xięciu, aby dał się przekonać i był sprawiedliwym dla Pana Tryzny. Jakoż się wziął do tego Bernardyn, i to co napiszę, jest to co do słowa, co mnie P. Bukowski szatny opowiedział, jako naoczny świadek. — Po odbytych pacierzach, gdy się wszyscy pokładli i czas niejaki panowało milczenie, Xiąże odezwał się: Ojcze Idzy, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — Na wieki wieków; co Xiąże rozkaże? — Czy nie słyszysz waszeć, jak moja Nepta warczy? Zapewne nieboszczyk Wołodkowicz mnie nawiedza. — Na to P. Michał Rejten, przeżegnawszy się: Co też się marzy Waszej Xiążęcej Mości? Ludzie się szastają po korytarzu, a Nepta warczy na nich; już zaraz ma być Pan Wołodkowicz? — Milczałbyś, panie kochanku! że umiesz grać w francuskie karty, to już siebie masz za mędrka. Ja nie do Waści mówię, ale do ojca Idzego. Ojcze Idzy, wszak prawda, że dusze z czyścu wychodzą, aby krewnych i przyjaciół o ratunek prosić? Żeby temu przeczyć, trzeba być Xięciem biskupem Massalskim, albo Marcinem Lutrem. — Tak jest, JO. Xiąże! bywa to, bywa. — Słyszysz, Panie Michale? — Aż miło spać z teologiem, bo i oświeci i uspokoi. Ojcze Idzy, zawsze nieboszczyk Wołodkowicz stoi mi w oczach; co to był za przyjaciel! Żebym go mógł wskrzesić, oddałbym co mam, a sam do was na braciszkabym wstąpił. Za życia nieboszczyka Xięcia najechałem po pijanemu pana Piotra Kotwicza i dom mu podpaliłem. P. Kotwicz na mnie namalował sto tysięcy pretensyi, i kazał mi oświadczyć, że jeżeli mu ich nie odliczę, to mnie zapozwie. Ja byłem goły, bo nieboszczyk Xiążę był skąpy, a do tego tak groźny, że raz kazał mi dać pięćdziesiąt batogów, chociaż już byłem Miecznikiem Litewskim i orderowym Panem; a jakby się o takim zbytku dowiedział, możeby mnie był ubił pod batogami. Co tu było robić? — A mój Wołodkowicz dwa folwarki swoje własne zasta-

wił i zagodził Kotwicza (tu słychać było, jak książe zaszlochał). I czy to raz za mnie się poświęcił? — Kiedyś to mnie, jakby przeczuwał, że niedługo będziem z sobą, powiedział: Xiąże Karolu! ty dłużej ode mnie żyć będziesz; jak umrę, pamiętaj o mojej duszy. Otóż kiedy partya, którą ten łotr w infule, ten szuler Massalski prowadził, podstępem i zdradą porwała Wołodkowicza, a potem rozstrzelała go tu w Nowogródku, gdzie tego samego wieczora przybyłem, ale zapóźno, przysiągłem pomścić jego krwi na głowie niegodziwego biskupa i chciałem ruszyć do Wilna, aby mu *sacrę* zdjąć na pierwszej sośnie za miastem; a potem pojechałbym do Rzymu, przeprosić Ojca Świętego. Już szedłem ku Wilnowi, ale na pierwszym noclegu we śnie pierwszy raz pokazał mi się Wołodkowicz, prosząc mnie za biskupem, i wyraźnie mi powiedział: że jak biskupa powieszę, to mu będzie gorzej na tamtym świecie. Ojcze Idzy, wszak prawda, że on dotąd w czyścu? — A któż to przeniknie Sądy Boże, Xiąże Panie? I sprawiedliwość i miłosierdzie wielkie u Niego. To tylko wiemy, że jak się dusza rozstanie z ciałem, Bóg natychmiast ją odsyła do nieba, albo do czyśca, albo do piekła — uchowaj nas od tego Jego miłosierdzie. — Jużci Wołodkowicz do piekła nie poszedł, Panie Kochanku! Daj Boże wam wszystkim zakonnikom być tak gorliwymi jak on w wierze. On jeszcze za życia nieboszczyka Xięcia trzech popów w Słuczyznie do unii nawrócił, a czwarty uparty pod batogami umarł. To było, nim ta przebrzydła konfederacya Słucka i Toruńska przywileje wytargowała dla dyssydentów; za które ja, jako pierwszy senator Prowincyi Litewskiej, Panu Bogu nie odpowiem, bo z bronią w ręku siedm lat temu bluźnierstwu się opierałem. Ale Panu Bogu tak się do czasu podobało, nie dał nam szczęścia. To co ja, Ojcze Idzy, za spoczynek Wołodkowicza robiłem, toby wystarczyło, aby całkowity czyściec wypróżnić. Grzebałem na Wołoszczyźnie trupy z dżumy poległe własnemi rękami na jego intencyę, a rocznicę jego śmierci suszę. Wieś dałem Dominikanom Wołkowyskim, u których groby Wołodkowiczów; a co mszy, egzekwiów, jałmużn, lamp, to tego i Pan Michał Rejten, choć wielki rachmistrz, nie policzy; a jednak dusza jego nie przestaje mnie nawiedzać. Moja Nepta tak jego zna, że jak tylko się zbliży, odzywa się do niego, jak na grubą zwierzynę. Ojcze Idzy, daj

mi na to radę, a ja za to wasz klasztor gdańską dachówką pokryję. — Niech Bóg odpłaci Waszej Xiążęcej Mości jego wspaniałość dla nas; każdy dar jest Panu Bogu miły; ale im większa ofiara, tem skuteczniejsza. Niech Xiąże Pan zrobi na intencyę nieboszczyka jaką ofiarę z gniewu; naprzykład: niech poda rękę takiemu, co go obraził, a tem najlepiej uwolnisz duszę przyjaciela. — Otóż już do mnie waszeć mówisz językiem xiędza Kantembrynga, co całe życie u mnie za lada sprawami patronuje. Tamtego tygodnia najlepsza moja charcica Wiatrówka zdechła z niepilności Grzesia psiarza; kazałem go był zabić w łańcuchy; po sprawiedliwemu warto było go ze skóry obedrzeć. A xiądz Kantembryng jak mi zaczął prawić antyfony z ojców świętych, a prosić, a straszyć, a kruszyć; a dyabli mi nadali, że ktoś mnie wmówił, że on wielki teolog; to choć powiedziałem: nie odpuszczę, jakem Radziwiłł, tyle mi nadokuczał, że puściłem chłopca bezkarnie. Ale przynajmniej dobrze złajałem xiędza Kantembrynga; onby rad, żeby mnie we własnym domu rozbijali. To już i waszeć tą drogą zachodzisz? To już i Bernardyni filutują jak Jezuity? — Tylko tego przed księdzem Kantembryngiem nie paplaj: ale szczęście, że u mnie furdyga pusta i na nikogo się nie gniewam. — Jabym się odezwał z czemś, ale nie śmiem. — Mów śmiało, mów śmiało, ojcze Idzy, wszak na swoim dziedzińcu i wiory biją, a ja u was na gościnie: mnie o waszą łaskę, nie wam o moją dbać; a potem swemu syndykowi trzeba prawdę mówić. — Kiedy mnie Xiąże Pan pozwala tyle śmiałości, to niech Wasza Xiążęca Mość sobie przypomni, czy kogo nie ukrzywdził? — Ja, panie kochanku, nikogo nie ukrzywdził: mnie wszyscy krzywdzą, a ja im dla miłości Pana Boga odpuszczam. Ja nikogo nie podrapał, chociaż mnie ta małpa poznańska, ten Kaszuba Sułkowski, nazywa w Warszawie niedźwiedziem litewskim; ale podrapię jego dobrze, jak do Grodna na Sejm przyjedzie. Ale to do Waszeci, Ojcze Idzy, nie należy, bo Waszeć nie Wielkopolski Bernardyn. A w Litwie kogo ja ukrzywdził? Ja pokorny jak dziecko, panie kochanku, xiądz Kantembryng ciągle mi z ambony przymawia, a ja się na niego nie krzywię; a Pan Leon Borowski mało mi figlów napłatał? a Pan Jerzy Białopiotrowicz mało mi się worał w moje grunta? a Pan filozof, co tu śpi, Michał Rejten, mało

mi niedźwiedzi wybił w Nalibokach i bobrów wyłowił w Łachwie? A ja się nie odzywam, tylko przed Panem Bogiem czasem zapłaczę. Na nikogo złości nie mam, na nikogo; mnie wszyscy krzywdzą, ja nikogo. Ojcze Idzy, wystrzeliłeś, aleś spudłował. Słuchaj, Bernachu, tobie się podobał mój pas, com go miał wczoraj na sobie; mówiłeś, że byłby z niego ornat, jakiego w Wilnie w zakrystyi katedralnej niema; jeżeli mnie dokażesz, że mam na kogo gniew (rozumie się w Litwie), to ci go dam; a jak nie dokażesz, to dasz sobie pięćdziesiąt dyscyplin na intencyę Wołodkowicza. — Zgoda, Xiąże Panie! pas będzie nasz, a ja taki dyscyplinować się będę na intencyę nieboszczyka: tylko boję się odezwać, bo nuż Xiąże Pan się obrazi? — Mów śmiało, nie będę się gniewał, jakem Radziwiłł. — Kiedy mnie Xiąże Pan ośmielasz, to powiem, że był zacny obywatel, który przed rokiem wiele nam świadczył. Bywało fury z jego spichrza idą do klasztoru, a teraz n. musimy udzielać mu z jałmużn, bo z głoduby umarł, a to dlatego, że Xiąże Pan wypędzić go kazał z zastawy i prawie w jednej koszuli do Nowogródka uciekł. Pozywa się teraz z Xięciem, a kawałka chleba nie ma Pan Strukczaszy Tryzna. — Tu mu przerwał Xiąże: Co ty się wtrącasz, klecho, w nieswoją rzecz! Ja cały majątek stracę, a na swojem postawię. On, okryty mojemi dobrodziejstwy; on, co prawie darmo Kołdyczów trzymał, odmówił mi ludzi na obławę; sług moich z błotem zmięszał i mnie głupcem nazwał! Albo ja albo on z torbą pójdzie. — Już on poszedł z torbą, Xiąże Panie; ale niech WXM. przypomni sobie, że przynajmniej dwa razy na dzień mówisz Panu Bogu: »I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom«. — Otóż ja odtąd wolę pacierza nie mówić, a taki nie odpuszczę. — Ale Xiąże... — Cicho mnie zaraz! precz stąd, Bernachu! nie suszyć mi głowy! — (Tu milczenie przez chwil kilka nastąpiło, aż dały się słyszeć kroki). — Wszelki duch Pana Boga chwali! — odezwał się Xiąże. — I ja go chwalę! To ja! Xiąże Panie, wychodzę na rozkaz WXM.; a to trepki moje, co z przeproszeniem jego uszów, troszkę hałasu narobiły. — Proszę waszeci, Panie kochanku, nie odchodź z celi, śpij ze mną: bo jak do mnie przyjdzie Wołodkowicz, bez ciebie, mój Xięże, zachoruję z żalu Ja z tym heretykiem Rejtenem, co z upiorów żartuje, sam na

sam nie chcę być w nocy, a Bukowski śpi jak zabity. Kładź się, ojcze Idzy, i nie gniewaj się. Żeby się przynajmniej Tryzna upokorzył? Ale taki z tego nic nie będzie. — Potem wedle relacyi P. Bukowskiego nastąpiła cichość, a zaraz potem zwykły koncert Xięcia, ojca Idzego i Nepty. Ale P. Bukowski, co znał Xięcia na pamięć, a dobrze życzył P. Strukczaszemu, i P. Michał Rejten, już mieli dla niego dobrą nadzieję; tylko szło o to, aby P. Tryznę namówić, by jakiś krok do Xięcia zrobił, co nie było łatwo; bo choć podupadły, znał siebie być magnatów kolligatem i do naginania się nie był skłonnym. Ale jakoś dobrze się nakartowało: bo nazajutrz po tej rozmowie, o której Pana Tryznę P. Michał Rejten i podobno sam ojciec Idzy uprzedził, kiedy zagaił sejmik JW. Rdułtowski, chorąży Nowogrodzki (bo JW. Niezabitowski, podkomorzy, będąc zapozwanym *de male gesto officio* przez JW. Wojewodę Niesiołowskiego, pod procederem takowego gatunku nie mógł urzędowania dopełniać), po zagajeniu zaprosił zwykłym trybem urzędników ziemskich, grodzkich, rycerstwo i szlachtę księstwa Nowogródzkiego do obierania marszałka sejmiku, po całym kościele huknęły głosy: JW. Xięcia Wojewodę Wileńskiego prosimy na Marszałka! — Zgoda! zgoda! zaczęła krzyczeć szlachta: aż tu P. Kazimierz Haraburda przybliżywszy się do koła: Niema zgody! Lubo nadto byłbym szczęśliwy przyczynić się moim głosem do zaszczycenia Województwa tak wielkim i świetnym marszałkiem, jakim jest JO. Xiąże Wojewoda: ale sumiennie skłonność własną woli prawa poświęcić muszę; a prawo mówi wyraźnie: że obywatel pod kondemnatą będący żadnego urzędu sprawować nie może. — Na to my wszyscy, słudzy i przyjaciele Xięcia, dobyliśmy szabel i bylibyśmy w puch rozbili partyę P. Wojewody Nowogródzkiego, ale P. Jerzy Białopiotrowicz, co był powszechnie szanowany, uprosił nas, aby pochować szable, i ażeby koło rozstrzygnęło zarzut pana Haraburdy. Zaczęliśmy wołać: Prosimy Pana Haraburdę, aby złożył kondemnatę, jaką uzyskał na Xięciu Wojewodzie! — Na to on: Ja nie otrzymałem kondemnaty, i tegom nigdy nie mówił; ale W. Tryzna, nasz Strukczaszy, co w tem kole zasiada, otrzymał ją w Grodzie. — P. Michał Rejten rozgniewany, odezwał się do Pana Haraburdy: Jeżeli kondemnata do W. Pana należy, złóż na nią ustępstwo od W. Tryzny,

a jeżeli jego nie masz, z cudzą kondemnatą się nie popisuj i milcz! — Waćpan sam milcz, kiedy ci język nie świerzbi! a nie ucz rozumu tych, co go mają tyle, ile Waćpan. Ja z mojego miejsca dopraszam się, aby W. chorąży raczył od P. Tryzny zażądać, aby złożył kondemnatę, jaką ma na Xięciu. — Tu zaczęliśmy wszyscy krzyczeć: że wniesienie Pana Haraburdy nieprawne, bo Pan Tryzna sam wie, co jemu należy i o swoje upomnieć się potrafi. — Xiąże pomiędzy nami stał mocno poruszony i wąsa do góry nakręcał; aż tu W. Tryzna, który jako Strukczaszy w kole zasiadał, a dotąd milczał, powstał i głosem drżącym, w którego dźwięku głęboki żal się okazywał, powiedział te słowa: Mamci wprawdzie kondemnatę na JO. Xięciu Wojewodzie Wileńskim i tu onę składam; krwawo czuję się być uciśnionym: ale jako obywatel obowiązany jestem moje prywatne uczucia ustąpić dobru publicznemu; a przekonanym będąc, że nic nie może być lepszem dla naszego Województwa, jak poruczyć przewództwo naszego Sejmiku JO. Xięciu, który go do pomyślnego kresu doprowadzi, na boku zostawując moją krzywdę i mimo siebie puszczając, ile uciążliwych przewłok dla mnie wyniknąć może, oświadczam się, że JO. Xięcia Wojewodę z otrzymanej nad nim kondemnaty kwituję. — Xiążę Wojewoda przybliżył się do koła i tak był rozczulony, że nie mógł więcej powiedzieć, tylko: Chociaż żal czuję do W. Strukczaszego, ale ten krok jego życzliwości i zaufania będę się starał wywdzięczyć. — Po całym kościele dały się słyszeć licznie powtarzane okrzyki: Niech żyje Xiążę, marszałek sejmiku! Wiwat Tryzna, Strukczaszy! — Xiążę rozpoczął swoje urzędowanie, ale że już było koło pierwszej z południa, więc solwował sesyę do ósmej zrana na dzień jutrzejszy, a sam na obiad poszedł do chorążego Rdułtowskiego, gdzie na dziedzińcu było mnóstwo stołów pozastawianych i liczna szlachta tam się zebrała. Był i P. Strukczaszy i przy kielichach zaczęto godzić go z Xięciem. Xiąże powiedział: Ja Pana Józafata kocham; to krew, nie woda, Panie kochanku; mego pradziada Tryznianka rodzi. Oddaję Kołdyczów natychmiast, a pretensye, jakie mieć może za irytacyę kontraktu, niech przyjaciele rozsądzą. Ale mam żal do niego osobisty. On moich sług zbeształ i kazał mi powiedzieć: że mnie piątej klepki niedostaje. My oba szlachta, zatem

niech nas szabla rozprawi, i to natychmiast. — Napróżno się tłumaczył pan Tryzna, że tego nigdy nie mówił, a pan Chorąży i pan Sędzia Rewieński perswadowali: musiał pan Tryzna dobyć szabli i bić się zaczęli w naszej przytomności. Panu Tryznie pękła klinga, tak silnie uderzył po niej Xiąże wojewoda: a pan Sędzia pana Tryznę rozbrojonego złożył swoją szablą. Xiąże odezwał się: Mam zupełną satysfakcyę — i ucałował Tryznę; przeglądał szablę i powiedział: To szabla moja, bo ja ją krwią moją zdobyłem, przyznaj, panie Józefacie, że umiem się składać. Potem dawaj pić na zgodę. — Xiąże był w przecudnym humorze. — Panie Michale, mówił, bądź spokojny o pisaryę ziemską; ja sam jeden z moją batorówką całą partyę Wojewody Nowogródzkiego rozpędzę. — Xiąże i Pan Tryzna zapisali się na kompromis na Pana Białopiotrowicza, i już tylko sejmikiem byliśmy zajęci.

Szlachta ucieszona postępkiem Xięcia, nie mogła do siebie przyjść z radości. Słychać było jak między sobą rozprawiali: A co nasz Xiąże, czy nie tęgi rębacz? Klingę jak masło przeciął. A i Pan Tryzna przecie gracz; dwanaście świec łojowych od jednego zamachu ścina, ale kto naszemu Xięciu da radę? — Już to trzeba wiedzieć, że Pan Tryzna miał szablę turecką z miękkiego żelaza, bo bić się nie spodziewał; ale na tym pojedynku źle nie wyszedł, bo Xiąże bardzo go polubił, i bywało zawsze potem powtarzał, prześladując: że gdyby nie Pan Ignacy Rewieński, byłby mu głowę odciął.

Po obiedzie poszliśmy wszyscy na dziedziniec Bernardynów, gdzie lubo wszyscy byliśmy pod dobrą datą, *de noviter reperta* piliśmy. Już tam była mieszanina. Urzędnicy i szlachta, magnaci i zaścianki, byli brat za brat. Xiążę napotkawszy jakiegoś szlachcica w obdartej czapce, zdarł ją z niego, na swoją głowę ją włożył, a oddał mu swoją aksamitną. Na to hasło zaczęliśmy mieniać między sobą czapki, a pić, ale tak, że w momencie każdy z nas inną czapkę miał na głowie. Potem Xiąże dobrze pijany, zaczął się rozbierać, besztając szlachtę z dobrego serca. I tak jednemu dał złoty pas, mówiąc: daruję ci, ...: — drugiemu kontusz: masz, ...! — temu szpinkę brylantową: trzymaj, ...! — a innemu żupan: weź, ...! — tak, że został w hajdawerach amarantowych i w koszuli, na

której wisiał ogromny szkaplerz, i tak wlazł na wóz, na którym była kufa napełniona winem. On siadł na kufie, a wóz szlachta ciągnęła po ulicach Nowogródka. Wóz co kilka kroków zatrzymywał się, a kto chciał, kielich lub garnek nastawiał, a Xiążę czop od kufy odtykał i perorował, prosząc szlachtę, by mu dopisała, żeby Pana Michała Rejtena na pisaryi utrzymać, a nie dać Radziwiłła na pastwę nieprzyjaciół: »Panie kochanku — mówił — widzicie ten mój szkaplerz, ja go w sukcesyi noszę po moich antenatach. Lizdejko, mój protoplasta, nosił go wprzódy jeszcze, nim rewokował Władysław Jagiełło. Sierotka z nim do Betleem chodził. Szkaplerz jest wielki, bo w nim zaszyta jest Unia Litwy z Koroną. Ja kocham naszych braci koroniarzów, Panie kochanku, ale niema jak nasza Litwa. Ja i w Koronie mam kawałek ziemi, ale dyabełby w niej siedział. Tam łatwiej o kuśnierza niż o dojeżdżacza. Kiedy my niedźwiedzie bijem, to tam z rozjazdem na przepiórki chodzą. U koroniarzów susły to gruba zwierzyna. To Panie, jak zaczął mnie prześladować Xiążę Biskup Wileński, szwagier Wojewody Nowogródzkiego, który się usadził teraz na nas, aby nie Pan Michał Rejten, ale Pan Kazimierz Haraburda dekreta nam pisał, to już z rozpaczy chciałem dla Korony Litwę opuścić, i tam intratne opactwo mnie dawano, za to, że wiersze pięknie piszę. Już byłem osiadł na Rusi; ale razu jednego, kiedym się zaczął modlić Panu Jezusowi w Boremlu, on się do mnie odezwał: Radziwille, wracaj na Litwę, bo tu nic nie wskórasz, tu szlachectwo śmierdzące. *Ostende patrem patris*, to wielka filozofia u szlachty tutejszej, nie tak jak w naszej Litwie (bo moja prababka była Litewka), co od dziadów i pradziadów każdy na swoim gruncie siedzi. Wracaj tedy na Litwę i kłaniaj się szlachcie nowogródzkiej ode mnie. — A ja mu na to, padłszy krzyżem o ziemię: Panie! a jak ja powrócę na Litwę, kiedy mnie Twój Biskup prześladuje! — A on mnie: To nie mój Biskup, to hultaj; ale on naprzeciw ciebie nic nie dokaże. Wracaj, Radziwille na Litwę, a niech mnie... jeśli ty nie będziesz Radziwiłłem po dawnemu, a on jak był ...., tak i będzie ..... — Otóż Panie kochanku, ośmielony obietnicą Pana mojego, do was wróciłem, i Pan mój nagrodził moją wiarę, bo nigdy nie wątpiłem w Jego słowach; a moich wierszy odstąpiłem xiędzu Naru-

szewiczowi, bo on krew i czeladka Radziwiłłowska, i za moje wiersze dostał Biskupstwo Smoleńskie«.

A tu szlachta jak zaczęła się gromadzić, a nadstawiać uszy i rozdziawiać gębę, ba! nie tylko nasza, ale i partyi przeciwnej, nawet zaścianki, co samej Worończy dotykają: można było widzieć, że wygrana nasza, i że darmo poszły ekspensa Senatorów Nowogródzkich.

Do dziewiątej w nocy tłumy asystowały Xięciu, pijąc, hulając po ulicach i śpiewając, że przyjaciele Wojewody Nowogródzkiego bali się, by ich nie podpalono. Ale wszystko odbyło się porządnie, i nikt gwałtu nie doświadczył. Odprowadziliśmy Xięcia zawsze na kufie, ale już próżnej, do klasztoru, gdzie on jeszcze na dziedzińcu dokazywał: a stanąwszy przy studni, zdjął szkaplerz, zrzucił hajdawery i koszulę, a kazał się zlać wodą. Czem wytrzeźwiwszy się, poszedł do celi, gdzie podkurka zjadłszy i z ojcem Idzym pacierze odmówiwszy, spać się położył, pamiętny, że na ósmą z rana trzeba mu być w kościele.

O samej ósmej nazajutrz zebraliśmy się do sejmikowania, a Xiążę zaprosiwszy wszystkich urzędników ziemskich i grodzkich do koła, zagaił sejmik temi słowy: »JJOO. JJWW. i WW. nasi wielce mości Panowie i kochani bracia! Z rozkazu waszego objąwszy przewodnictwo Sejmiku, w celu wyboru pisarza ziemskiego, mam honor was uwiadomić: dwóch kandydatów jest wam podanych. Jeden Pan Michał Rejten, szambelan JK. Mości, niegdyś nasz Deputat na Trybunale Litewskim. Drugi Pan Kazimierz Haraburda, Starosta Wiladymowski. Zatem Panowie bracia, raczcie oświadczyć, którego z nich życzycie sobie na pisarza ziemskiego«. — Pana Michała Rejtena prosimy! — odezwali się Odyńcowie, Mickiewicze, Siemiradzcy, Czeczoty i my wszyscy. — Zgoda! zgoda! — odpowiedziała szlachta z wielu zaścianków — Pana Rejtena prosimy! — Niema zgody! — krzyknęli Jeśmiany, Słuszkowie, Kobylińscy — Pana Haraburdę prosimy! Ale głosy były słabsze. Nikt z naszych szabli nie dobył, bo Xiążę wszystkich nas zaklął, aby żaden do gwałtu nie dał pobudki, chcąc swoje urzędowanie odbyć w największym porządku. Zatem powstawszy Xiążę, powiedział: Bywał zwyczaj w naszem Województwie: *unanimitate* wszystko się robiło, ale *nemini vox deneganda*; zatem zapraszam Panów braci do

wotowania. Szlachta zaczęła głosować, ale wkrótce się upewnił Pan Haraburda, że niepodobieństwo się utrzymać, i że wszystkie zaścianki go zawiodły; więc nie chcąc objawić słabości swojej partyi, przybliżył się do koła i zabrał głos, w którym oświadczył: iż nie chcąc nikomu być na przeszkodzie, odstępuje. I zaraz wyszedł z kościoła i wyjechał na wieś, nie bez żalu na JW. Wojewodę Nowogródzkiego, iż go zaryzykował. Ale wkrótce potem tenże Wojewoda instrumentował go Sędzią Grodzkim. Lepszy rydz jak nic, i tem go ukoił — a Pan Michał Rejten został pisarzem ziemskim.

Jeszcze sześć dni niby trwał sejmik; ale w istocie już była tylko hulanka. Jednak i ta hulanka nie była bez pożytku: więcej albowiem trzydziestu spraw, za namową szczególnie Xięcia Wojewody, poszło pod sądy kompromisarskie; a były niektóre zadawnione i bardzo zawzięte. Większej części superarbitrem był Pan Jerzy Białopiotrowicz, istotny pacyfikator Województwa.

Tadeusz Rejten.

906) *[T. II. Str. 29—67].* Śmieją się z nas starych, że my radzi zawsze mówić o dawnych czasach i o dawnych ludziach. Ależ kiedy bo i czasy i ludzie, wszystko to było lepsze niż teraz! Wielkie sądy Boże! Pan Bóg Sodomie był gotów odpuścić, gdyby się w niej przynajmniej dziesięciu sprawiedliwych znalazło; czyż już i tak małej liczby u nas nie stało, aby Ojczyznę ocalić? Na to nigdy nie pozwolę: widać, że nasz upadek tylko chwilowy, że to jest zawieszenie bytu, ale nie zagłada, omdlenie, ale nie śmierć; poczem życie silniejsze i świetniejsze wrócić się koniecznie musi, jako z ziarna, co w ziemię rzucone przegniwa, potem dziesięcioronasób obfitszy plon wychodzi. Nędza i ucisk częstokroć bywały zwiastunami wielkich pomyślności. Dlatego ludzie mądrzy w naukach Boskich, których zgłębić nie można, jeno przez wielką niewinność serca, w mocnej są obawie, gdy wszystko im się dobrze wiedzie, jęczą, że tak powiem, pod niezmordowaną pomyślnością i radzi są kiedy jaki niespodziany frasunek przerwie im cokolwiek pasmo, snute przeznaczeniem ciągle przyjaznem.

Takim był JW. Rejten, Podkomorzy Nowogrodzki, którego

w młodości mojej często miałem szczęście oglądać, chodząc do szkół ze wszystkimi jego synami, oprócz Pana Michała, co się wychował w Nieświeżu z Xięciem Karolem Radziwiłłem, Hetmanowiczem Wielkim Litewskim. JW. Podkomorzy był urzędnik, jakich i dawniej nawet niewiele bywało; bo i rozum nadzwyczajny i sprawiedliwość jego ledwie nie wyrównywały wzorowi, zostawionemu nam w świętych Sędziach ludu Bożego. A pobożność i wiara! że gdyby nie pokora, umarłychby wskrzeszał. On to był szczególnym dobrodziejem OO. Jezuitów w Nowogródku, a ubogi tameczny klasztor Dominikański przez jego szczodrotę został jednym z bogatych na Litwie. Bywało, co miesiąc sprowadza zakonników do Gruszówki, by z nimi rekolekcye odprawiać, i wtedy dyscypliną chłoszcze się jakby jaki winowajca; nietylko on, ale cała czeladź. »Mój chleb jecie — prawi — pokutujcie więc ze mną«. Strach w całym dworze, kiedy się jaki Dominikanin lub Jezuita pokaże: a żaden sługa go nie opuścił, starzeli się i umierali u niego, i byli przywiązani, że w ogieńby za niego skoczyli, chociaż był groźny, że nie tylko słudzy, ale żona i dzieci byli czuj-duch przed nim. Nadzwyczajne miał on szczęście: z rodziców już bogaty, majątek powiększał ciągle, lubo zdawało się, że o niego nie dbał. Ani się spyta, co się na poletkach dzieje, dyspozytory jak chcą rządzą, a on powiada: »U mnie Pan Jezus gospodarz, Najświętsza Panna gospodyni«. Jakoż zdawał się na nich tak dalece, że miał dobra Berezdów w Województwie Połockiem, niedaleko Wielkich Łuk, do których przez całe życie swoje raz tylko na parę tygodni zawitał; a przecie kiedy je objął po ojcu, sześć folwarków tam było, dzieciom zaś zostawił piętnaście. Miał on jeszcze po ojcu Gruszówkę, w której mieszkał, trzysta chat w Mozyrskiem z własnego nabycia i dożywocie na Rubieżewiczach od Xiężnej Kanclerzyny Radziwiłłowej, która za jego dobremi radami miliony ocaliła. Nie znał wszakże zabiegów, o nic nie prosił i o własne się interesa nie troszczył. Na zaszczyty rów nie był obojętny. Dwa razy obrano go Deputatem, raz Posłem, potem Sędzią Ziemskim, nakoniec na najpierwszy urząd woje wództwa wyniesiony został; a na żadnym z tych sejmików się nie znajdował. Każde laudum i każdy przywilej szukały go w Gruszówce, a nie on ich w Nowogródku albo w Warszawie.

Frasował się nieraz, że tak ciągła pomyślność nigdy się nie przerywa. Razu jednego zgorzał mu magazyn wódczany, w którym kilkoletni zapas był złożony: nic z niego nie uratowano, na trzydzieści tysięcy przeszło poniósł szkody, cały dom był w smutku, on jeden wesół rzekł: »Przecież choć raz się nie powiodło. Sobiem rad, bo Pan Bóg o mnie pamięta«. A to był jak żarcik Opatrzności: bo doby nie minęło, aż odbiera przywilej na Starostwo Krzyczowskie w Mścisławskiem, które na rok przynosiło więcej, niż co dopiero utracił. Wszyscy się w domu cieszyli, prócz niego. To mu spadło jak kamień z nieba, bo ani się starał, ani stosunków nawet nie miał u Dworu. A w pożyciu domowem jaki szczęśliwy! Żona to był anioł w ludzkiem ciele, tak cnotliwa i piękna; syny, kawalerowie wzięci, że każdy ojciec ich mu zazdrościł; a córek było trzy: piękne panny, co wyglądały jak młodsze siostry przy matce. Za życia powydawał je za potomków pierwszych domów naszego województwa. Jednę wziął pan Paweł Jeśman, Chorąży Słonimski, którego przodek był Wojewodą Smoleńskim; drugą wydał za pana Kazimierza Haraburdę, Starostę Wiladymowskiego, którego ród w całej Litwie nie ma nad sobą starożytniejszego; trzecia poszła za pana Joachima Rdułtowskiego, Kasztelana Nowogródzkiego, co po śmierci teścia został Podkomorzym naszym. — A do tego taki był zdrów, że już mu było niedaleko ośmdziesiąt lat, a lekarstwa nie znał. To kiedy zapadł na słabość, która go przez cztery lata w łóżku trzymała i nakoniec życia pozbawiła, będąc okryty ranami i wielkie boleści cierpiąc (jak lekarze mówili, bo po nim tego nikt się nie mógł domyśleć), gdy wszyscy płakali, on weselszy niż kiedykolwiek, powtarzał: »Oto mi teraz dobrze, że Bóg przecie do żywego mię dotknął«, dopiero zaczynam dobrze tuszyć o moim przyszłym losie, kiedy mnie tu boli; dawniej sam siebie musiałem chłostać, a teraz mój Pan łaskaw mię chłoszcze«. To też Pan Bóg, jako zapewne duszę jego zabrał do swojej chwały, tak i na ziemi pobłogosławił jego pamięci, między tylu godnemi dziećmi dawszy mu Tadeusza, jednego z największych mężów naszej Ojczyzny.

Gdyby najznakomitsza cnota ludzka mogła przeważyć wyroki Najwyższego, Pan Tadeusz jedenby Ojczyznę ocalił. A jakkolwiek, pozornie biorąc rzeczy, nie powiodło się jemu — co

jest niezawodnem, to pokąd ostatniego Polaka serce bić będzie, pamięć jego nie zaginie. On to nas postawił w tym stopniu, że ani Grekom Arystydesów, ani Rzymianom Katonów zazdrościć nie mamy powodu. A my szczególnie, Nowogródzianie, cieszmy się naszym ziemianinem, którego imię naród konający kazał złotemi literami napisać w miejscu obrad swoich prawodawców. Nasi wnukowie doczekają się, że w Nowogródku Rejten ze spiżu posąg otrzyma. Rocznicę jego zgonu urząd miejscowy, rycerstwo i naród, święcić będą. Co wiara ma najświętszego w swoich obrządkach, co rozsądek narodu może wynaleźć najokazalszego dla oświadczenia ogólnych uczuć, złączą się, by uwieczniać pamięć naszego bohatera. Ubogich kilka panien, wyposażonych szczodrotą publiczną, corocznie u nóg tego posągu zawierać będą śluby z żołnierzami, co już swe lata odbywszy, na wysłużonym kawałku ziemi osiędą. Matki synkom swoim pokazując jego rysy, będą im tłumaczyły, jakim sposobem w narodach wolnych zapory grobowe się zwyciężają. Nieraz pomimowolna pycha rozszerza piersi moje, że pierwiastki mojego żywota z nim przepędziłem, że od jednych mistrzów z nim nauki brałem, że obok niego na ławkach szkolnych siadywałem, żem podzielał jego zabawy. Jest jakaś dziwna potęga cnoty. W szkołach Panu Tadeuszowi wszyscyśmy nad sobą wyższość przyznawali, lubo do nauk był dość tępym, a w zabawach najczęściej zamyślony, nawet ponury; nie miał tej giętkości towarzyskiej, innym niezbędnej dla otrzymania popularności. Jeżeli jaki obywatel, nawiedzający OO. Jezuitów, o dawnych rzeczach polskich mówił, Pan Tadeusz wszelkie zabawy nasze opuszczał, w głębokiem milczeniu przysłuchiwał się tym opowiadaniom, i już nic z zadumania rozerwać go nie mogło. Że klasztor był fundacyi Jana Karola Chodkiewicza, jego obraz w kościele wisiał: to on bywało, jak oczy w niego wlepi, to aż się śmieją koledzy, a profesor musi go dobrze potrząść, nim się opamięta, że w kościele na ołtarz, a nie na co innego patrzeć potrzeba. A czy tylko obraz mu takie roztargnienie sprawiał? Na korytarzu klasztornym wisiała mappa Polski: to idąc na zabawę, jak na nią okiem rzuci, stanie przy niej jak wryty i w nią się wpatruje tak zamyślony, że już nic wkoło siebie nie słyszy, choć studenci wrzeszczą, że ledwoby umarłego nie zbudzili; i nieraz rekreacya się skończy,

a jego przy mappie jak zostawili, tak zastają. OO. Jezuici długo usiłowali oduczyć go od tego ustawicznego zamyślania się, ale przekonawszy się, iż to było napróżno, dali mu pokój, ile że w postępkach swoich był bardzo łagodny i pokorny dla zwierzch ności szkolnej. Chociaż Jezuici dość byli surowi w prowadzeniu młodzieży, kilka lat upłynęło, a Pan Tadeusz ani razu nie był strofowany. Raz tylko odebrał karę, i silną, z następnego powodu. Między konwiktorami był już w czwartej klassie Pan Władysław Oskierko, Kasztelanic Nowogródzki, którego ojca ponieważ rodziła ostatnia z domu Gosiewskich, znaczną swoję ojcowiznę Oskierkom przyniosła. Był to chłopiec wielkiej roztropności i dziwnie bystry w naukach. Otóż na majowej rekreacyi zaczęto mówić o Hetmanie Gosiewskim, o jego sławie i zasługach. Jeden z uczniów odezwał się, że zrobiwszy akces do Konfederacyi Tyszowieckiej, od tej pory zmazał plamę swojego związku ze Szwedami. Kasztelanic w tym względzie bronił swego przodka, a Pan Tadeusz, co temu dyskursowi przysłuchiwał się, przerwał swoje milczenie, mówiąc: »Panie Władysławie, wstydź się bronić złej sprawy, chociaż swego naddziada. Hetman późniejszemi zasługami zatarł swoją zdradę, to mu przyznaję; ale pokąd trzymał z najezdnikiem, któż śmie przeczyć, że był zdrajcą ojczyzny?« Pan Władysław dowodził, że uleganie okolicznościom nie jest zdradą, i że człowiek widząc, że siebie zgubi, a Ojczyzny nie zbawi, bardzo roztropnie robi, kiedy wchodzi w układy z nieprzyjacielem, aby się zachował Ojczyźnie na czas sposobniejszy. Na to Pan Tadeusz tak się oburzył, że porwawszy kamień, cisnął nim w głowę Kasztelanicowi, aż ten się krwią oblał. Wielki z tego zrobił się rozruch w całym klasztorze. Postępek Pana Tadeusza tem gwałtowniejszym być widziano, że Kasztelanic z łagodnością się tłumaczył. Sam Rektor ścwiczył Pana Tadeusza, a potem kazał mu klęcząc przepraszać ukrzywdzonego kolegę. Ale Pan Tadeusz pod plagami ani jednej łzy nie puściwszy, powiedział: »Com zrobił, tego nie żałuję, i nie przeproszę, choćby mię zabić miano; a każdego uderzę, co mnie powie, że godzi się wchodzić w zmowy z najezdnikami Ojczyzny«. Kilkakrotnie był bity, a nic go przemódz nie mogło. Jak się uparł, stał jak opoka nieporuszonym. Przestał go bić Xiądz Rektor, żeby mu zdrowia nie nadwątlił, ale go do

kozy zaparł, skąd tylko na naukę wychodził, chcąc go tym sposobem do upokorzenia się zmusić. Cztery tygodnie wytrzymał wszystko statecznie, aż JW. Oskierko, Kasztelan Nowogrodzki, przyjechawszy do szkoły i dowiedziawszy się o wszystkiem, sam go wyprosił. Gdy mu go przedstawili, zaczął go całować, mówiąc: »Niech ci Bóg nie pamięta, żeś mi chłopca taką blizną obznaczył; ale szczęśliwa matka, co ciebie na świat wydała. Nie masz czego przepraszać mego syna, tylko proszę ciebie, bądź mu odtąd przyjacielem, jakim jestem twego ojca«. Dopiero się zmiękczył Pan Tadeusz i rzucił się w objęcia Kasztelanica, przyrzekając mu przyjaźń, której stale dochował.

W szkołach Xięża Jezuici byli zaprowadzili różne zabawy stosowne do obyczajów polskich, i one nam wielce smakowały; między innemi potykanie się na palcaty. Za klasztorem było miejsce obszerne, a na każdej połowie przy końcu przestrzeni była mogiła usypana, którą nazywano taborem. Szkoła dzieliła się na dwie części, niby na dwa wojska potykające się. Cała wygrana zależała na opanowaniu taboru przeciwnego; i zażarcie biliśmy się, aby swój obronić, a nieprzyjacielski zdobyć. zwyczajnie dzielono się na Polaków i Moskali, a losy ciągnione stanowiły, do których każdy z nas miał należeć. To Pan Tadeusz, co był jeden z najlepszych w palcaty i niemiłosiernie w tych udawanych bojach częstował nacierających na niego, ile razy mu wypadało być . . . . . , najsłabszym nawet bić się dawał. Kiedyśmy podziwiali, że guzy bywało nosi od takich, co ledwo palcat w ręku trzymać umieją, on co słynie z siły i wprawy: »Cóż chcecie, odpowiadał, kiedy ja i żartem znieść nie mogę, żeby Polaków..... bili«.

Bywały częste zatargi między studentami a przekupkami i Żydami, i o to tak gęste skargi do profesorów, że rady sobie dać nie umieli, mając około tysiąca chłopców do szkół chodzących. Jezuici wpadli na myśl szczęśliwą, której uskutecznienie wyrobili u JW. Jabłonowskiego, Wojewody naówczas Nowogródzkiego, a to, aby był sąd szkolny przez studentów z pomiędzy nich samych wybrany, coby wszelkie sprawy ich z mieszczanami sądził bez odwołania. Jak to rozporządzenie przyszło do skutku, z początku lękały się przekupki być w sprawach swoich na dyskrecyi studentów; ale wkrótce błogosławiły tej ustawie,

bo większej sprawiedliwości pod słońcem znaleźćby nie mogły. Popołudnia czwartkowe były przeznaczone na sądy, składające się z Prezydenta, czterech Sędziów, dwóch Pisarzy i Regenta. Studenci indukowali sprawy, a nawet żałącej się stronie sąd dodawał obrońcę studenta. Wszystko tak szło porządnie, jakby w Grodzie; a tym sposobem młodzież wprawiała się do znajomości prawa i do mówienia publicznie. Co roku sejmikowaliśmy dla wyboru urzędników, ale jakeśmy raz wybrali Prezydentem Pana Tadeusza, nie przestał nim być aż do wyjścia swego ze szkół. Raz nawet przekreskował Xięcia Radziwiłła, Marszałkowicza Nadwornego, co potem był Koniuszym Litewskim, lubo za nim sami księża Jezuici forsowali. To Pan Tadeusz, bywało, aż mu książki z rąk wydzierają profesorowie, tak się prawa uczy, aby do niego dekreta swoje stosował. Razu jednego brat jego, Pan Józef, przez swawolę jakiejś przekupce garnki porozbijał, i o to się sprawa wytoczyła. Pan Tadeusz wstał, a przekupka tyle ufała w jego sprawiedliwość, że się upierała, aby koniecznie sądził; ale on tego nie przyjął, mówiąc: »Tu nie idzie o ufność, ale żeby robić, jak prawo każe, a prawo nie pozwala, żeby powinny powinnego sądził. Wolę prawa słuchać, niż się cieszyć chlubą, że w sądzeniu na rodzonego brata nie oglądałem się«. A że jak co wyrzekł, od tego i przed hakamiby nie odstąpił, więc taki się usunął. Jak w szkołach był zapalonym Polakiem, tak z nich wyszedłszy, gorliwym był obywatelem; i można powiedzieć, że nietylko każda myśl jego, ale nawet każde tchnienie było dla Ojczyzny. Mając ledwo lat dwadzieścia, kiedy był jeszcze Towarzyszem w chorągwi Xięcia Radziwiłła, powziął był chętkę do stanu małżeńskiego, ale prędko tego zaniechał. Była mu wpadła w oko Panna Jewłaczewska, Wojszczanka Wołkowyska, co potem wyszła za Pana Piotra Chmarę, Marszałka Oszmiańskiego. Panna urodziwa, z domu karmazynowego, bo przed stem lat jej przodek był Wojewodą Brzeskim; a jako jedynaczka, krocie były w nadziei. Otóż poznawszy ją w domu jej ciotki, W. Cześnikowej Bernowiczowej, z którą i dom Rejtenów był w swojactwie, zaczął się jej nieco zalecać, (czemu jego matka była rada, bo już ojciec nie żył), i ze szwagrem swoim, Panem Chorążym Jeśmanem pojechał do domu W. Wojskiego, niby dla oddania mu atencyi, ale w istocie, aby lepiej poznać pannę,

nim Pan Bóg ściślejsze związki przeznaczy. Ale tam przyjechawszy, obaczył w bawialnym pokoju wiszący konterfekt Piotra Wielkiego; to go tak zniechęciło, iż zaraz od swojego zamiaru odstąpił. Co się potem Pan Chorąży nie namęczył, aby go zwrócić do dawnego przedsięwzięcia! wszystko było napróżno. »Piotr, mówił, to był największy nasz wróg. On to nieboszczyka Króla wciągnął w wojnę ze Szwedami, obiecał mu Inflanty, które są nasze wedle praw Boskich i ludzkich; a potem jak wylazł z kłopotu, nietylko że nie dotrzymał słowa, ale jeszcze z jego łaski zwinięto nasze wojsko, to wojsko, postrach Bisurmanów, które pod Wiedniem całe Chrześcijaństwo z ostatniej wyciągnęło toni. Wolę całe życie być kawalerem, niż brać żonę z takiego domu, gdzie pamięć nieprzyjaciela Polski jest w poważaniu, że aż obraz jego zdobi pokój, w którym rodaków przyjmują«.

Są rozmaite losy od Opatrzności rozdawane: jego losem było męczeństwo za Ojczyznę; jakoż w istocie wtedy się tylko cieszył, kiedy za nią cierpiał, i tyle rozumiał swoje przeznaczenie, że zawsze był skwapliwym poświęcać siebie dla niej. Po śmierci Augusta III, ... rozprzestrzeniała gwałty po całej Polsce, upoważniona poniekąd do tego przez kilku zwiedzionych obywateli, którym się zdało, że bezprawiem można Ojczyznę pokrzepić, i że najezdnik, przez nich sprowadzony, będzie w ich ręku ślepym narzędziem do ich zamiarów, może zbawiennych. Xiążę Karol Radziwiłł nie zapuszczając tak daleko swojej wyobrażalności, ale pamiętny Senatorskiej przysięgi, jako Wojewoda Wileński porozsyłał wici, powołujące do pospolitego ruszenia obywateli, aby łącząc się z nim na obronę praw zdeptanych, oswobodzili grunt ojczysty... Pan Tadeusz, wówczas Towarzysz, pierwszy zrozumiał, jakie są obowiązki żołnierza i ziemianina, i zaczął naglić kolegów, aby się nie wahali w powinności swojej. Dowódzca chorągwi, człowiek poczciwy, ale podeszły w wieku, ojciec dzieciom i lękliwy, przekładał mu, że w tych rzeczach pierwsi co zaczynają, ściągają na siebie odpowiedzialność; że bezpieczniej doczekać się jakiejś siły, do którejby się przyłączyć można, niż się na oślep wyrywać; że jakkolwiek zapał jest szlachetny, roztropność ma swoje prawidła, któremi nie godzi się gardzić. Ta przeklęta roztropność jeszcze i wtenczas odurzała flakowate umysły. Ale Pan Tadeusz odpowiedział mu:

»Co mnie Waszmość Pan rozumowania naprzeciw powinności stawisz! Bądź co bądź, róbmy to, co nam prawo i sumienie każe, a spuśćmy się na Tego, co nas nie będzie pytał, czy my majątki lub zdrowie ocalili, ale czyśmy naszej powinności dopełnili. Silni zwycięstwem, zbawim Ojczyznę; stali w cierpieniu za nią, wysłużym ją u Boga«. I pomimo oporu Porucznika, chorągiew całą przekonał i ze Słucka przyprowadził do Nieświeża.

Zostawszy Regimentarzem Nowogrodzkim, wszędzie w potyczkach i niezachwianą wytrwałość i nieustraszone męstwo okazywał. Pod Kleckiem, widząc leżącego pod koniem Pana Aleksandra Odyńca rannego, którego mając w swojej komendzie, znał nadzwyczajną zdolność, zrobił dla niego z siebie ofiarę: bo podawszy mu swego konia, tem go ocalił, a sam dostał się w niewolę, w której istnym męczennikiem przebył dwa lata i nie wyszedł z niej, aż kiedy Moskwa wszelki opór przełamawszy, utwierdziła na tronie Stanisława. Po rozwiązaniu się Konfederacyi Nieświeskiej, wszystkim do czasu dano pokój, przywdziano barwę umiarkowania; skrupiło się tylko na Xięciu Karolu Radziwille, który odsądzony od urzędów i majątków, jeden tułać się musiał, nie mając innych przychodów prócz zasiłku, jaki z krwawej pracy przyjaciele z Litwy mu dosyłali. Jak to u nas zwykle, po wybuchnięciu wielkiego zapału następuje obojętność dla rzeczy publicznych, okraszona niby pobożną maksymą, że trzeba się zgodzić z wolą Pana Boga, a więc czuć przestać; zaczęto oswajać się z narzuconym rządem i sobą się tylko zajmować. Ale Pan Tadeusz był z małej liczby tych, co ani na chwilę nie stracili z pamięci obelg, Rzeczypospolitej wyrządzonych: od wszystkiego się uchylił, wymówił się od ofiarowanego mu imieniem Króla stołka w Radzie Nieustającej, ani się na sejmikach nawet znajdować nie chciał. Siedział w Gruszówce, z początku obcował z odwiedzającymi, ale ta wesołość, którą oni chcieli rozpędzić jego ponure myśli, tak mu się stała przykrą, że potem rzadko kiedy przerywał swoją samotność, i to tyle tylko, aby się nie omijać z prawidłami gościnności. Powtarzał braciom zawsze: »Ja mam się weselić, kiedy nasz wódz na wygnaniu?« — I wkrótce od nich nawet zaczął stronić. Ale nie miał to być jeszcze kres jego zawodu. . . . . , złudziwszy

najcnotliwszych mężów zwodniczemi obietnicami, pobudziła ich, aby podnieśli Konfederacyę dla zrzucenia z tronu tego Stanisława, którego ze wzgardą całego narodu była usadowiła; a gdy tak zawiązała się Konfederacya Radomska, chciała nawet, żeby jej Marszałkiem był ów tułający się Xiążę Radziwiłł, który za nieugięte przywiązanie do swobód ojczystych... ciągle był prześladowany. Zdjęto z niego banicyą, wrócono mu nieprawnie odebrane urzędy, zrobiono go, że tak powiem, naczelnikiem narodu, nawet nad wojskiem moskiewskiem poruczono mu dowództwo. Konfederacya zmieniła się w sejm, wszystko brało na się postać, jakby głos sumienia odezwał się w naszych wrogach, jakoby dla nas sprawiedliwymi być chcieli. Komu dziś tajno, na czem skończyły się te nadzieje? Porwanie na Sybir trzech Senatorów i jednego Posła dało poznać światu, czem jest... Ale ta obelga obudziła naród jakby z jakiego letargu. W wielu województwach chwycono się oręża; Konfederacya Barska się podniosła.

Pan Tadeusz natenczas znajdował się w Berezdowie, gdzie mógł się oddać samotności więcej niż w Gruszówce. Tam jedyną jego rozrywką było polowanie w niebotycznych puszczach. Ale ledwo wieść go doszła o usiłowaniach narodu, chciał być z liczby pierwszych powstańców. Zawiązawszy stosunki z sąsiadami, usiłował ożywić w nich tlejącą miłość Ojczyzny i w lasach Białoruskich zaprowadzić wojnę zażartą, ale nie mógł siły swego ducha wlać tamecznym mieszkańcom. Większa ich część życzyła wprawdzie dobrze sprawie narodowej, ale ci radziby widzieli rzeczy pewniejsze, a byli tacy, co taki Moskwie sprzyjali. Dość, że używszy wszelkich środków, uzbroił kilkuset ludzi, chociaż najwięcej z dóbr swoich. Co się tyczy obywateli, było tego cokolwiek, co mu dało słowo i nawet przyłączyło się do niego na wstępie; ale jak jednemu z nich Moskale wieś z dworem spalili, wnet ostygła miłość Ojczyzny we wszystkich, że ledwo kilkudziesiąt szlachty przy nim zostało. Trzymał się jednak w puszczy; ale gdy Moskwa puściła na niego obławę swoich jegrów, a znaleźli się tacy, co im drogę pokazali, żeby tą usługą zalecić się Carowej i zatrzeć pamięć pierwszych dowodów niechęci, trudna była sprawa dla Pana Tadeusza. Robił wszakże jeszcze, co mógł: ze łzami błagał swoich, aby się bronili do

upadłego, a nie hańbili imienia polskiego; mówił im: »W lesie jeden za dziesięciu stanie; albo oni wiedzą siła naszych?« — Ale? nie wiedzą! — odpowiadali obywatele z nim będący. — My, to prawda, że nie wiemy wiele ich jest, ale oni co do jednego policzyć nas mogą, albo ten i ten ich już nie nauczył na pamięć? — A Pan Tadeusz zmęczony, jakby się żywemi gadzinami nakarmił: — »Pozwólcie — rzecze — niech ja ich policzę: może ich tylko garść dla postrachu, a wy na oślep trwożycie się. Nie rozpierzchajcie się tylko, póki się nie dowiem«. I na nikogo nie spuszczając się, że był zręczny do łażenia na drzewa, wlazł na ogromną sosnę, jakby pszczelnik jaki. W istocie, jak nam potem nieraz powtarzał, nie było tam tego tyle, żeby się im nie oprzeć; ale tameczna plugawa Szlachta, skoro tylko przestał im bechtać w uszy o powinności, rozsypała się natychmiast. Jedni gajowi czekali przynajmniej, żeby na oczy zobaczyć Moskali, ale i ci przed nimi w nogi, widząc się opuszczonymi. Tak Moskale w lesie, a Pan Tadeusz na sośnie. Szczęście, że go nie postrzegli, bo jak głuszca byliby położyli. To on dopiero późną nocą z sosny zlazł, a do Berezdowa nie mając czego iść, bo tam już byli goście, co mu dom zrabowali do szczętu, a potem spalili, że magazyny, stodoły, wszystkie zabudowania, jeszcze za nieboszczyka przez dwadzieścia lat może stawiane, jednej godziny w popiół się zamieniły; jak mógł do Gruszówki przedzierał się, nakształt zwierza błądząc po lasach. Pan Bóg, co go do większych rzeczy chował, nie dopuścił mu wpaść w ręce Moskali... — W Gruszówce rzecz inna: każdy Nowogrodzki szlachcic dawał mu ile mógł swoich ludzi; zaraz tedy kilkuset kozaków, najwięcej z dworskich, własnym kosztem uzbroił i ze swoim dawnym Aleksandrem Odyńcem wystąpił w pole. Znajdował się on w nieszczęśliwej Stołowickiej potyczce, gdzie Hetmana Ogińskiego rozbito przez zdradę Pana Giełguda. Tam kartacz zgruchotał głowę Odyńcowi, aż Pan Tadeusz jego mózgiem obryzgany został. Ta śmierć była mu krzyżem do dźwigania, bo w niej upatrywał wielką klęskę dla kraju, i nie bez słuszności. Nie w jednej bitwie walczył jeszcze do końca, nareszcie rozwiązała się Konfederacya Barska: zbrodnia i przemoc zgniotły nienawiść i prawość.

Zbierał się sejm, ale już było wiadomo, że się gotował

przezeń okropny, a w dziejach naszych niesłychany zamach na Ojczyznę. Pan Tadeusz, co nigdy o żaden urząd nie prosił i nawet unikał dotąd sejmików, podał się na Posła, aby na ostatnim szańcu prawa bronić sławy narodu. W poselstwie Nowogrodzkiem Michał Korsak został kolegą polskiego Katona. Zgromadzają się zatwardziałe lub przelękłe prawodawce w Warszawie. O dniu najhaniebniejszy, a razem najchlubniejszy dla Polski, w którym nasze Nowogrodzkie poselstwo usłyszało głos znieważonej i konającej Ojczyzny! Wszystkie ulice miasta zalegli uzbrojeni Moskale; lonty zapalone grożą śmiercią każdemu, co jeszcze ostatków sumienia w sobie nie przytłumił; zniewieściały Monarcha idących do sali Posłów ze łzami błaga, aby daremnym uporem nie gubili Ojczyzny i siebie. Zasiadają Posłowie: jedni jakimś dzikim uśmiechem chcą pokryć wewnętrzne pomieszanie, drudzy łzami zdradzają i poczciwość uczuć i słabość duszy; kilku tylko wypogodzonem obliczem pokazują, że wszystko prócz Boga poświęcą, że za drzwiami izby zostawili, co tylko do żywota przywiązywać ich mogło, że są przygotowani do wszelkiej walki i ofiary. Kanclerz ogłasza propozycyą Królewską, aby zawiązać sejm pod konfederacyą, i zaprasza Ponińskiego na Marszałka. — Zgoda — odpowiedzieli (jednak drżącym głosem) zaprzedani Posłowie — zgoda! — jeszcze słabiej powtórzyli Posłowie przelęknieni. — »Niema zgody — odezwał się Rejten — na sejm walny jesteśmy zebrani, a nie na konfederacyę; przystąpmy do wyboru Marszałka walnego Sejmu«. —Tadeusza Rejtena obierajmy Marszałkiem! — zawołali Korsak, Bohuszewicz i trzech innych Posłów, kupiących się przy Rejtenie. Zdumieli się wszyscy. Rejten porywa laskę i sesyą zagaja. Przez kilka chwil Kanclerz, Poniński i inni jurgeltnicy moskiewscy zamilkli, większa część Izby poczuła chętkę do powinności wrócić; ale z jednej strony zatwardziałe zdrajce, z drugiej lonty przybliżające się do panewek, przydusiły ten słaby płomyk cnoty. Okropny szmer powstaje, jakby na zbiorowisku piekielnych duchów. — »Nie damy się owładać pięciu Posłom, konfederacyi chcemy i Ponińskiego za jej Marszałka!« — Wyrodni wydzierają laskę Rejtenowi; pięciu opiera się wszystkim. — »Niema zgody na konfederacyą! — krzyczy Rejten. — Na Boga, na rany Chrystusa, zaklinam was, bracia, nie plamcie imienia polskiego! Pamiętaj-

cie na waszą przysięgę! pamiętajcie, że podział kraju zaraz po zawiązaniu konfederacyi nastąpi! — Świętokradzkie ręce biją Rejtena i jego kolegów. Poniński ośmielony, już z laską w ręku śmie sejm zagajać. Korsak i Bohuszewicz szamocząc się między oprawcami, krzyczą: — Nie wyjdziem z tej izby, chyba trupami, a na zdradę Ojczyzny nie pozwolim. — Ostatniego środka legalnego chwyta się Rejten: — *Sisto activitatem!* — mówi — sejm zerwany, niemasz sejmu! — Niemasz sejmu! — powtarzają wierni męczennicy. — »Panowie bracia — odzywa się Poniński — widać, że ci Panowie zmysły mają pomięszane; nie oglądajmy się na nich, a postępujmy w obradach naszych. Zapraszam Panów do spisania aktu konfederacyi«. — »Zdrajco! krzyknął Rejten — jak ty śmiesz Marszałkiem się ogłaszać, kiedy niema sejmu!« — Poniński solwował sesyę na dzień pojutrzejszy, a Posłowie się porozchodzili, oprócz wiernych tych sześciu, którzy zostali dla zaniesienia manifestu. Trzy doby siedzieli oni tam zamknięci o głodzie, a potem nareszcie wypuszczono osłabionych. Nie było ofiar, któremiby ich nie kuszono, aby od manifestu odstąpili, a zrobili akces do konfederacyi. Rejtenowi dawano laskę mniejszą Litewską i starostwo Borysowskie; Korsakowi i Bohuszewiczowi Kasztelanie i intratne królewszczyzny; innym trzem inne obiecywano zyski. Niecnota Poniński śmiał sam z Rejtenem o tem mówić i mógł znieść jego oblicze. — »Podły człowieku! — odpowiedział Rejten — mam z sobą trzy tysiące czerwonych złotych i te ci oddam, a opamiętaj się«. Straszono ich odsądzeniem od czci i konfiskatą majątków; ale ci mężowie milczeniem pełnem pogardy przyjęli ten postrach. Wywieziono ich nakoniec za miasto, a Pan Gurowski, któremu zlecono było odprowadzić ich do pierwszej poczty, dodając szyderstwo do innych pocisków, powiedział im tam: »Bywajcie Waćpanowie zdrowi i próbujcie nową konfederacyą przeciw nam podnieść, jeśli znajdziecie równych sobie półgłówków. Ale pamiętajcie, że Najświętsza Panna tego zmazać nie potrafi, co Carowa Jejmość o nas napisała«.

Pan Tadeusz osiadł w Gruszówce, ale to pasowanie się ciągłe a świeżo odbyte, to zranienie najdrażliwszych uczuć, znacznie mu zdrowie osłabiło; tem więcej, że w czasie owej rozbójniczej sesyi jeden z tych potworów, wydzierając mu la-

skę, silnie pięścią w ciemię go ugodził. Przy innych boleściach często cierpiał zawrót głowy, a w ciągłych zadumaniach noce bezsenne przepędzał, jednak śladu nie było nadwątlenia umysłu. Ale jak doszła do niego wieść o pierwszym podziale Ojczyzny za zezwoleniem jednomyślnem skonfederowanych Stanów, tego ciosu wytrzymać nie mógł — i rozum jego rozbił się, przywalony sromotą publiczną.

Nikomu do siebie przystępu nie dawał, każdego nazywając zdrajcą i nikczemnikiem, że nie biegnie do Warszawy Ojczyznę ratować. Gdy dał się słyszeć, że sławy narodu swojego przeżyć nie chce, zaczęli bracia mieć go w pilnej straży. Całe obywatelstwo Nowogródzkie biegło do Gruszówki oglądać swojego Posła na łożu boleści, z umysłem nadwerężonym w usługach Ojczyzny, pogrążonego w ostatniej rozpaczy. Ale nie dawał się widzieć, mówiąc: — Ja ich nie znam. Obywatele Nowogródzcy są w Warszawie, oni zdrajców Ojczyzny myślą rozsiekać, a nie z chorym gawędzić. — Kiedy ośmieliłem się go nawiedzić, gdy mię jemu oznajmiono, przypomniał mnie sobie: Seweryn Soplica, to kolega szkolny i wojskowy; a dobrze, niech wnijdzie. — Uprzejmie mię powitał i z początku spokojnie rozmawiał, ale zamyśliwszy się, zaczął z ruska przebąkiwać: — A co, Panie Sewerynie, nie winszujesz mi szczęścia, żem postąpił na Moskala? Berezdów już w gubernii Białoruskiej, ja Carowej poddany. Proszę mi mojego zaszczytu nie odejmować: mnie sejm jej oddał. Jestem mu wdzięczny, bo tam Ponińskich niemasz. — I zaczął drzeć na sobie wszystko i porywać się, że gdyby go słudzy nie przytrzymali, na mnieby się rzucił. Ze łzami go pożegnałem. Matka jego, JW. Podkomorzyna, z wielkiego żalu opuściła była Gruszówkę i aż w Mozyrskie się przeniosła, nie mogąc znieść cierpień syna. Jakoż wkrótce skończył swoją pielgrzymkę na tym padole płaczu. Przez okno obaczył wysiadającego z powozu Generała moskiewskiego, który stał w Nowogródku, a przyjechał oddać rewizytę Panu Michałowi, natenczas gospodarzowi Gruszówki. Pan Tadeusz chciał koniecznie iść na pokoje i odgrażał się na Generała, ale ludzie go nie puścili i zamknęli. Wtedy wpadł w jakieś zapamiętanie i szybę u okna rozbiwszy, szkłem uraził sobie jelita. We dwa dni po tym przypadku ducha Panu Bogu oddał. Mówię Panu Bogu, bo

na kilka godzin przed skonaniem zupełna przytomność mu wróciła i najprzykładniej gotował się na śmierć, której tyle razy nieustraszony szukał. Panu Michałowi różne jakoby przepowiednie o dalszych naszych losach robił, których ten szanowny jego brat nie chciał przed ludźmi odkrywać, mówiąc: — Nie chcę was zasmucać, bo co ma być dobrego, to tak daleko, że się żaden z nas nie doczeka, a bieda na karku. Potem tylko Zbawicielem naszym i Jego Najświętszą Matką był zajęty, ofiarując im i te nowe cierpienia, które w nieprzytomności sobie zadał.

»Rozmyślnie nigdy mojego Stwórcy nie obraziłem i najmniejszego powątpiewania nie miałem o wierze. Tuszę, że Jego miłosierdzie i zasługi Jego najdroższego Syna mię nie ominą; a cierpienia mnie nędznego ofiaruję Tobie, o Panie, za moją nieszczęśliwą Ojczyznę«.

To były jego ostatnie słowa.

B) Mieszaniny obyczajowe.

(Wilno t. I, 1841; t. II, 1843).

Jest to zbiór najrozmaitszych utworów, treści przeważnie publicystycznej. Znajdujemy tu obrazki obyczajowe jak »Baragolstwo«, »Wybory«, »Obmowy«, »Mammona«, »Szarmant prowincyi«, »Pasibrzuch«, »Gospodarz samochwał« — artykuły literackie, filozoficzne, historyczne i społeczne jak: »Przyszłość«, »Szlachectwo«, »Filozofia narodowa«, »Wolne myślenie w religii«, »Poezya narodowa«, »Bardowie polscy«, »Rzut oka na literaturę starożytną«, »Honor«, »Wolność«, »O postępie w cywilizacyi« i t. p. — wreszcie jedną »powieść dramatyczną« p. t. »Oryginały czyli wieczór literacki« i zbiór zabobonów p. t. »Prognostyki gospodarskie«. Poniżej podajemy w całości artykuł p. t. »Arystokracya«, w którym jaskrawo ujawniają się scharakteryzowane w życiorysie cechy umysłowości Rzewuskiego.

Arystokracya.

907) *[T. II, str. 3—33].* Lubo już nie mało o tej materyi pisano, nie zdaje mi się, by to była rzecz zbytkowna, jeszcze raz zatrudniać nią czytelników, gdyż u nas nauki polityczne choć w najnędzniejszym są stanie, jednak prawie w każdem towarzystwie o nich rozprawiają, łącząc namiętności oso-

biste do ważnych zadań społecznych; nie jest więc od rzeczy rzucić cokolwiek światła na ogólne warunki bytu społecznego.

W żywocie każdego stowarzyszenia politycznego trzeba rozróżnić dwie rzeczy zupełnie odrębne, a które z umysłu mieszają, dla zagmatwania zadania, samego z siebie dość jasnego. Te dwie rzeczy są U d z i e l n o ś ć *(souveraineté)* i R z ą d. Udzielność jest zawsze i wszędzie bezwarunkowa, nie pod tym względem, by aż mogła się oprzeć prawom Boskim, ale pod tym, że w obrębie ludzkości, nie istnieje i nie może istnieć jakakolwiek władza, którąby jej jakieś granice położyć śmiała.

Udzielność może być wyrażoną przez jednego lub kilku, ale jej natura wszędzie jest nieodmienną, w tem szczególnie, że skoro przemówi, musi otrzymać posłuszeństwo bezwarunkowe każdej jednostki stowarzyszenia i całkowitego zbiorowego ciała. Gdyby wola udzielności, w obrębach ludzkości ogłoszona, mogła przez nieposłuszeństwo członków stowarzyszenia być nie spełnioną, tem samem istniećby przestała: ale z udzielnością zniknąłby razem węzeł społeczny. Bo ludzie są złączeni w towarzystwie politycznem jedynie za pośrednictwem udzielności.

Udzielność objawia się czynnie w ogłoszeniu swojej woli, a jakiekolwiek nazwisko daje temu ogłoszeniu, czy bulli, czy prawa, czy ukazu, czy billu, każdy, co nie chce jej być posłusznym, wypowiada wojnę stowarzyszeniu, którego jest członkiem.

Rząd jest środkiem obmyślonym, by do skutku doprowadzoną została wola udzielności. Rząd zawsze jest warunkowy, bo jest odpowiedzialnym przed udzielnością. I każda jednostka społeczna może mu się oprzeć. Nie w tem znaczeniu, by aż mu została nieposłuszną, ale w tem, iż mu ulegając, ma prawo go oskarżyć, dowodząc mu, że woli udzielności albo nie spełnił, albo ją przestąpił. Rzecz z siebie tak jasna, że nie było i niema udzielności, którąby nie obmyśliła dla uciśnionych poddanych jakichś środków, aby ich skargi do niej dochodziły.

Życie społeczne nie może być bez udzielności, a samo społeczeństwo nie jest dziełem ludzkiem, stąd oczewiście i udzielność niem nie jest, a więc z niczego przed ludźmi nie jest odpowiedzialną. Udzielność jest niezmienna, bo jest duszą i wyrażeniem całkowitego społeczeństwa. Gdyby odmieniła swoje przy-

rodzenie, społeczeństwo takżeby je odmieniło, rzecz dla rozumu niepojęta. Ile razy usiłowano przekształcić przyrodzenie udzielności, zawsze w skutku tej jałowej usilności naród albo skonał, albo przynajmniej został narażony na stan konwulsyjny, po którym zupełna niemoc nastąpiła. Ale rząd wedle woli udzielności może się odmieniać, i rzeczywiście się odmienia. Każdy postęp w moralności i ukształceniu publicznem wyrazić się musi koniecznie, nie odmianą w przyrodzeniu udzielności, bo pokąd naród żyje, to być nie może, ale w sposobie, w jakim rząd, czyli środek objawiający wolę udzielności, postępować będzie ze swojskimi członkami ciała społecznego.

Tak położywszy zadanie, zastosowanie będzie łatwe, bo zupełnie praktyczne. Jeżeli na stanowisku politycznem, czyli społecznem, Monarchia ma znaczyć jednego, Arystokracya kilku, Demokracya wszystkich, udzielność nie może być inną tylko monarchiczną jak w Rosyi, Austryi, Prusiech, Danii, Sycylii, lub arystokratyczną, jak w Anglii, Francyi, Szwajcaryi, a w żadnym względzie demokratyczną, bo udzielność jest władzą rozkazującą, a społeczeństwo ciałem posłusznem. Nie może być ciało społeczne bez udzielności, nie może być udzielność bez poddaństwa, a rząd jest organem, którym udzielność do tego poddaństwa przemawia. Udzielność demokratyczna byłaby takiej natury, że wszyscyby w niej rozkazywali, a niktby nie był do posłuszeństwa obowiązany, alboby wszyscy rozkazywali, a znowu wszyscy spełniali ten rozkaz. Niema potrzeby zbijać podobnych niedorzeczności, kiedy intuicya przekonywa nas przed wszelkiem rozumowaniem, że przy równości powszechnej, posłuszeństwo być nie może, że rozkazujący musi być koniecznie wyższym od tego, któremu daje rozkazy. Wszakże mądrość narodów już wyrzekła ten niezbity pewnik, *par super parem non habet potestatem.*

Jeżeli udzielność żadnym sposobem nie może być demokratyczną, rząd jeszcze mniej być nim może. Głęboki Grabowski [1]) sprawiedliwie zauważył w jednej swojej krytycznej rozprawie, że gdzie tylko się wyraża myśl stopniowania, tam już jest jakaś Arystokracya. Każdy więc rząd, jakabykolwiek była jego

---

[1]) Michał *(Przyp. Red.)*

natura, nie może być inny, tylko arystokratyczny. Arystokracya posiadając w niektórych społeczeństwach udzielność, w każdem społeczeństwie sprawując rząd, jest żywiołem politycznym rzeczywistym, niezbędnym. Demokracya zaś, nie mogąc być udzielnością, tylko przypuszczeniem, nie mogąc być rządem, nawet przypuszczeniem, czemże będzie w odnoszeniu politycznem, oto *absurdum*, i nic więcej.

Każda zasada, zastosowana do bytu praktycznego, może i powinna się miarkować wedle czasu i ludzi, ale sama w sobie jest nieporuszona. Jeżeli w największej swojej ścisłości okazuje możność bytu, jest ona jestestwem istotnem. Jeżeli tylko wtedy może być praktyczną, kiedy się oddala od siebie samej, jest tylko przypuszczeniem, marzeniem.

Wyobraźmy sobie naprzykład społeczeństwo, gdzieby zasada monarchiczna lub arystokratyczna w bycie praktycznym była posuniętą aż do najwyższej przesady, żadnego, by najmniejszego umiarkowania nie dopuszczając w swojem zastosowaniu; i tu jeszcze nie wyjdziemy z kraju rzeczywistości. Wszakże Hiszpania przez kilka wieków ulegała pierwszej zasadzie i broniła jej z takim zapałem, że aż gwiazda Napoleona przed jej wiernością zbladła, i nie widzimy, żeby teraźniejsze zabiegi około umiarkowania tej zasady dotąd wiele szczęścia i pokoju przyniosły Hiszpanom. Widzieliśmy także udzielność arystokratyczną, nie miarkującą bynajmniej ścisłości swoich zasad, władającą przez blizko trzy wieki Maltą, w sposobie jednak dość pomyślnym, kiedy aż blizko półtorasta tysięcy mieszkańców rozpłodzić się mogło na tej jałowej skale [1]). Nie potrzebuję zapytywać Historyi, odwołuję się do zdrowego rozsądku, czy może być kraina, gród, gmina nawet, któraby sobą rządzić mogła przez jednę dobę. Rzecz niepodobna, bo zastosowanie zasady, której punkt wyjścia jest *absurdum*, może się objawić w rozumowaniu, ale nie w bycie praktycznym.

Bohaterowie Koliszczyzny byli ścisłymi demokratami, biegli łupić i zarzynać tych wszystkich, co mając coś do strace-

---

[1]) Skoro w społeczeństwie ludność wzrasta i ma środki dostateczne dla wyżywienia siebie, wtedy Rząd jest usprawiedliwiony, jakiebykolwiek było jego przyrodzenie.

nia, już nadto byli arystokratami, by aż do ich szajki się poniżyć. Ale ich wodzowie, Gonta i Żeleźniak, tak dalece nie byli demokraci, że nawet w czasie dość krótkim między rzezią humańską a wbiciu ich na pale utworzyli byli jakąś arystokracyą, dzieląc samowolnie swoje hultajstwo na dwie klasy, jednę kozaków, drugą mużyków, która dla korzyści pierwszej miała pracować [1]). Ścisły demokrata jest ten, co pragnie równego podziału własności, i to co lat kilka powtórzonego, zaburzenia powszechnego, wywrotu położenia towarzyskiego wszystkich, bezkarności dla rabunku i wszelkich zbrodni. Jest więc w myśli swojej towarzyszem, siepaczem Gonty. A jeżeli ta myśl w czyn się nie zamienia, to winniśmy jedynie czujności rządu, który dążności ludzi podejrzanych z oczu nie spuszcza. W rządach słabych podobne teorye wyrabiają Muncerów i Gontów, w rządach silnych tylko błaznów jarmarkowych, ale występek myśli jest tejże samej natury. Więc na podobnie ścisłych demokratów, pole argumentacyjne nie jest właściwe, a dom poprawy jest jedyną odpowiedzią, na jaką zasługują, tem więcej, że w ich wyobrażeniach oprócz samolubstwa, nic upatrzyć nie można. Wszakże Jakubiny najzagorzalsze Francyi (ledwo Napoleon położył koniec szaleństwom rewolucyjnym) umieli swoje obywatelstwo pokrywać świeżą wymodloną purpurą książęcą lub wypodloną koroną hrabiowską [2]).

Zasada ścisła demokracyi jest zbrodnią, ta zasada umiarkowana jest *absurdum* logiczne, bo jakże miarkować to, co jestestwa nie posiada. Monarchia, Arystokracya, będąc żywiołami dodatnimi, rzeczywistymi, mogą, stosując się do czasu i ludzi, miarkować ścisłość swoich zasad, ale czemże modyfikować zasadę ujemną? jakże zmniejszyć życie temu, co nie żyje?

---

[1]) Najdrobniejsze szczegóły tej rzezi są doskonale opisane w rękopiśmie Adama Hrabi Moszczeńskiego. Jest to obraz naiwny, wystawujący na jaw rozpustę wyższej klasy, podłość średniej, wściekłość najniższej i najliczniejszej, przez średnią uciśnionej.

[2]) Warto zauważyć, że ile razy Bóg chcąc ukarać występny naród, dopuścił mu zaburzeń wewnętrznych, z anarchii, która z tych zaburzeń powstała, oswobodzony zawsze został przez wojsko. Dlaczegóż w wojsku ma być ta siła porządkująca? Oto dlatego, że w wojsku anarchii być nie może. Gdyż wojsko jest tłumem, który został uporządkowanym przez żywioł arystokracyi, czyli stopniowania.

Są tacy demokraci umiarkowani, którzyby radzi zachować swoje położenie względem swoich podwładnych, żelazną, że tak powiem, prawicą uciskają swoich nieszczęśliwych poddanych [1]). W czemże są oni demokratami? Oto w tem, że głośniej od innych w pokątnych towarzystwach, gdzie grubiaństwo i głupstwo idą z sobą o prym, powstają naprzeciw tych, co otrzymali nad nimi wyższość stanowiska społecznego, poczytując tę wyższość za przywłaszczenie i nadużycie. Jest to równie rozsądnie, jak gdyby w wojsku porucznicy i kapitanowie, obstając przy swojej zwierzchności nad szeregowymi, powstawali naprzeciw sztabsoficerstwu i jeneralstwu. Jeżeli dom poprawy jest jedyną odpowiedzią, na którą zasługują demokraci ściśli, szpital dla szalonych jest jedyną odpowiedzią dla tych niby umiarkowanych demokratów. Lecz nie wychodząc z krain rozumowaniu dostępnych, wyznaję, że nigdy nie umiałem upatrzyć w teoryach statystów liberalnych formuły jasnej, to jest okazującej coś nowego, a mogącego dać się zastosować do bytu praktycznego. Bo jeżeli pragną, żeby zasługa a nie urodzenie otwierały wrota do znaczenia, pragną tego, co już wszędzie istnieje. Żadna

[1]) Stan włościan poddanych, zwłaszcza w dobrach dziedziców popularnych, jest okropny. Ci dziedzice zaplątani nierządem w długi, a nie umiejąc zmniejszać swoich wydatków, na zbytki, na karty, na utrzymanie popularności, ostatki sił wydobywają ze swoich włościan. W wielu dominiach włościanie skazani na kopanie karczów do pędzenia smoły, cierpią głód nieustający. W dominiach chlebnych nawet wielki niedostatek czuć się daje wieśniakom. Głód przy ciężkiej pracy daje powód epidemicznym chorobom, które często aż do połowy ludności jednej wsi zmniejszają. Z jednej strony rozpusta, zwłaszcza młodych właścicieli, zatruwa moralność wieśniaczek, z drugiej nieumiarkowanie w wydatkach niszczy wieśniaków, obciążając ich bez miary robocizną, bez względu na ich zdrowie. Szczególnie w majątkach leśnych, dola poddaństwa litość pobudza. Wszelkie starania opiekuńczego rządu około ulepszenia ich bytu są sparaliżowane zabiegami właścicielów. Marszałkowie są upoważnieni, aby takowe nadużycia karcić, ale oni sami częstokroć potrzebują uwagi rządowej nad postępkami swoimi względem swoich podwładnych; a chociaż między nimi znajdują się właściciele umiarkowani, nie odważają się spełniać obowiązków swoich, stanowczem wdaniem się między dziedzicami a ich poddanymi, boby tym pierwszym naraziwszy się, a żyjąc między nimi, ich położenie stałoby się nieznośne. Żaden despotyzm nie jest tyle straszny, ile despotyzm masy.

monarchia nie wyrzeka się zasług ludzi z jakiegokolwiek stanu, i niema Monarchy, któryby nie liczył między sługami możnymi znakomitymi, wysokimi stopniami zaszczyconymi, ludzi, jak mówią nowych [1]); arystokracya w tym względzie nie jest wyłączniejszą od czystej monarchii. Nie było udzielności arystokratycznej więcej ścisłej, jak niegdyś w Wenecyi. Przecię ostatni jej doża, Ludwik Manini, był z rodziny nowej [2]).

Jeżeli to ich gorszy, że syn znakomitego jenerała, lub ministra naprzykład, prędzej przebieży swój zawód, niżeli syn nieznanego rodzica, potępiają prawo przyrodzone, prawo konieczności. Wszakże mąż dostojny z porządku rzeczy, doczekawszy się syna, ledwo że nie od lat niemowlęcych wtrawia go do swojego rzemiosła. Cóż więc dziwnego, że przy zasobach podobnego wychowania i pomocy ojcowskiej, uzyskuje ułatwienia i z nich korzysta. Wszakże bez względu na pociągi lub wstręty do tej lub owej formy politycznej, tem samem, że rodzice dają kierunek wychowaniu swoich dzieci, wszędzie tworzą się rodziny, odznaczające się spadkowym zawodem. Jeżeli w długiem następstwie okazują się pokolenia rolnicze, handlowe, rzemieślnicze, nawet uczone, cóż dziwnego, że przejawiają się w historyi narodów pokolenia wojownicze, administracyjne, sądownicze, dyplomatyczne? Wszakże każdy cnotliwy musi cenić ten zawód, któremu się poświęcił, i rad go przekazać następcom swoim. Jeżeli oni miłując ojca, i do jego zawodu okazują przywiązanie,

---

[1]) Jeżeli nasz rząd w organizacyi służby bądź wojskowej, bądź cywilnej, zabezpieczył pierwszeństwo stanowi szlacheckiemu, nie jest to pokrzywdzeniem stanów niższych, ale wymiarem sprawiedliwości. Nie trzeba opuścić z uwagi, że wstępujący do służby nie może być jeszcze znanym rządowi. Nic więc dziwnego, że rząd szukając jakichś rękojmi możnych, lepszego wychowania i zdatności, myśli nie bez zasady, że prędzej je znajdzie w szlachcicu niż w synu kupca lub rzemieślnika, ale i ten, jak da się poznać, jeżeli się okaże zdatniejszym, w ciągu swojego zawodu wyprzedzi szlachcica.

[2]) Tu nawiasem rzucę uwagę, że gdyby ostatni doża Wenecki był członkiem jednej z tych rodzin historycznych, od wieków ojczyźnie zasłużonych, jak Contarenich, Badoerów, Cornarów, nie wiem, jakieby było na ten czas przeznaczenie Rzeczypospolitej, to pewna przynajmniej, że żaden z nich haniebniejby się nie znalazł od półplebejusza Maniniego.

to samo za nimi przemawia. Żeby zapobiedz takowej arystokracyi (a w rzeczy samej żadna arystokracya innego nie ma źródła), trzebaby zabronić ojcom nadzierać wychowanie własnych dzieci, albo nie dopuścić synom przystępu do rodzicielskiego zawodu. Wyznaję, że wskazać na podobny i l o t y z m synów, w nadgrodę zasług ojcowskich, nie jest rzeczą ani sprawiedliwą, ani godną, ani nawet możną, bo jakże zastosować do bytu praktycznego to, naprzeciw czego przyrodzony rozsądek nie może się nie oburzać.

Jeżeli pragnę, żeby wszyscy członkowie zbiorowego ciała byli we wszystkiem równi w obliczu prawa aż do tego stopnia, by nie wchodząc w różnice stanów i położeń towarzyskich, za te same wykroczenia jednę naturę kar wszystkim przeznaczyć; pod formułą bezstronnego wymiaru sprawiedliwości bezwzględnej okazałaby się rzeczywiście najokropniejsza niesprawiedliwość [1]).

Bo chociaż kary rzekomo bądź równe, oszacowanie tych kar, odnosząc się do wyobrażeń nietylko własnych, ale jeszcze więcej do wyobrażeń tych, z którymi zachowują się ciągłe stosunki, w rzeczy samej będą nierówne, gdyż wcale inne okażą się w swoich skutkach. Przywiązanie do słupa naprzykład, lub ćwiczenie pod pręgierzem, dotykając człowieka gminnego, bynajmniej nie odmieni jego położenia towarzyskiego, ani mu przeszkodzi zawrzeć małżeńskich ślubów z osobą jemu równą, ani mu umniejszy nawet tej wziętości, co już ją pozyskał między tymi towarzyszami, z którymi ciągle żyje. Zapytuję, czy podobnej natury kara, dotykając członka wyższego towarzystwa, chociażby tylko pod względem wychowania, okazałaby się w skutkach swoich być tożsamą. Ale dla szczęścia społecznego życia, odwieczny rozsądek, ożywiający narody, chociaż nie może

---

[1]) Proszę uważać, że nie upoważniam bezkarności dla klas wyższych, ale mówię tylko, że kary powinny się stosować do położenia towarzyskiego obwinionego. Pojmujemy, że kara pieniężna w jednakowej kwocie niezarówno dotyka bogacza i ubogiego; *vice versa* i kara cielesna, chociaż toż sama w jestestwie swojem, niezarówno dotyka człowieka z motłochu, a człowieka, któremu stan i wychowanie dały wyższe pojęcia. Im winowajca jest wyższego położenia, tem na większą zasługuje karę, lecz kara powinna karać, nie zaś upadlać.

przeszkodzić podobnym teoryom zapisywać się w prawodawstwie, nigdy im nie dopuszcza zupełnego zastosowania. I lubo ten *axiomat* bezwzględnej równości wszystkich w obliczu prawa zdaje się być węgielnym kamieniem dzisiejszego prawodawstwa francuskiego, podział kar na *maximum* i *minimum*, stosowany wedle roztropności sędziów sumiennych i światłych, zabezpiecza cześć przedstawicieli żywiołu arystokratycznego, którzy w każdem stowarzyszeniu politycznem, bez względu na jego formy, zawsze się okazują.

Nie może być trwałego ciała społecznego, by w niem same z siebie nie wyrobiły się jakieś korporacye, jest to skutek ducha towarzyskiego. Prawodawstwo uznaje ich byt, ale ich nie tworzy, chociaż je porządkuje. W każdej korporacyi, przyrodzonym sposobem rozwiniętej, muszą się wyrobić jakieś opinie, jakieś wyobrażenia, niezawsze rozsądne, ale jej właściwe. Te opinie i wyobrażenia stanowią jakoby *Corpus juris* tych stowarzyszeń, i robią się silniejszemi od praw, bo dopełniają się same z siebie, a prawa obchodzić się nie mogą bez naglących środków wykonania. Im takowe stowarzyszenia wyższe mają stanowiska, tem te opinie będą wynioślejsze, bo stopień obyczajów i wychowania na nie musi wpływać. I tak wyższe stowarzyszenia będą miały przesądy, niższe zabobony. I one będą spadkowo wkorzenione, bo pomimo wyłączności wszystko dąży aby zostać spadkowem [1]). I przesądy i zabobony nie są zawsze do pogardzania. W nich owszem częstokroć jest zaród silnej narodowości. Czysty racyonalizm niebezpieczny dla człowieka pojedyńczego, dla człowieka zbiorowego jest oznaką największej chorowitości, której tylko zgrzybiałe społeczeństwa podlegają. Ale to jest materya, o którejby można i potrzebaby nawet obszerniej pisać. Powiem to tylko, i pewnie nikt sumienny mnie tego nie zaprzeczy, że nie dość dla narodów mieć rządy i prawa

[1]) Podania, jakieby nie były, są zawsze lepszym przewodnikiem, niż sąd samoistnego rozumu. Sęsimoniści są ludzie bardzo rozumni, jednak każde ich zdanie jest głupstwem rozumnie powiedzianem. Potępiają prawo spadku, nie chcąc rozumieć, że nadwerężenie prawa spadku nadwereża żywot społeczny, a zniszczenie tego prawa zniszczyłoby żywot społeczny. Bo prawo własności jest podstawą życia społecznego, a bez spadku niema własności.

najdoskonalsze, ale trzeba jeszcze jakichś opinii dobrowolnie kiedyś przyjętych nie wiadomo jakim sposobem, ale które przekazane podaniem, nabrały takiej siły, że żadnym sposobem ich przestąpić nie można. Wszyscy ludzie mieć mogą i mieć powinni uczucie prawości, ale dla ukształcenia narodowego jeszcze jest niezbędne uczucie przyzwoitości [1]), a to rozwinąć się nie może bez jakiegoś żywiołu stopniowania. Bo jeżeli wszyscy zdołają pojąć, że wstrzymać się trzeba od tego, co jest niepoczciwem, tylko w rodzinach spadkowo przodkujących w społeczeństwie mogło powstać wyobrażenie, że równie trzeba się wystrzegać rzeczy nieprzyzwoitej, jak rzeczy niegodziwej. Wielkie jest nakoniec powinowactwo między cnotą a przyzwoitością, a przynajmniej jest doświadczeniem stwierdzone, że ludzie nie zachowujący przyzwoitości w mowie, w odzieży, w obejściu się, są najczęściej podli i głupi. Jeżeli w klasie najniższej, między ludźmi cokolwiek więcej usposobionymi już się wyraża uczucie potrzeby jakiejś przyzwoitości w powierzchowności, jakże ludzie więcej szukający zabawy, niż potrzebujący pracy, odważyć się mogą do zrzucenia tych wędzideł, które z potrzeb towarzyskich się wyrobiły. I przy podobnem zaniedbaniu własnej godności czy ukształcenie rozprzestrzeniać się może?

Nałogi szlachetne, tworzące przyzwoitość, która lubo sama przez się nie jest cnotą, ale poniekąd ją zastąpić może, a zawsze służy jej za przedmurze, wyrabiają się w rodzinach spadkowo posiadających wysokie stanowisko w społeczeństwie. I z ich domów ta norma nadobnego obejścia się, dobrego smaku i słodyczy w obcowaniu staje się wzorem dla tych wszystkich,

---

[1]) Xiądz Łuskina, rektor nowicyatu jezuickiego w Warszawie, w nocy napadnięty został w swojej celi przez złodzieja, który go zmusił, iż mu oddać musiał jakąś kwotę pieniędzy klasztornych; ale złodziej, nim wyszedł z pieniędzmi, bojąc się, by ksiądz hałasu narobiwszy, nie dał mu czasu wyjść z klasztoru, zmusił go, iż ten musiał przysiądz, że przed upłynieniem dwóch godzin nie da nikomu wiedzieć o swojej przygodzie. Xiądz Łuskina święcie dotrzymał przysięgi. I po dwóch godzinach dopiero wzięto się, ale napróżno, do ścigania tego łotra; wielu to zadziwiło, że Xiądz Łuskina dotrzymał przysięgę [tak!] pod nożem zbójeckim wykonaną, a tem samem w niczem nie obowiązującą. Ale on tak się tłumaczył przed tymi, co mu to zadziwienie okazywali. Nie dotrzymać przysięgi wymuszonej *licet sed non decet.* W tem zdaniu jest myśl głęboka i wielce cywilizacyjna.

którzy dążą do ukształcenia. Gdyby opinia publiczna zwichnięta straciła w najogólniejszej powszechności ufność dla rodzin, przechowujących zakład podań przyzwoitości, wkrótce wszelka różnica między domem bogacza a szynkownią, zacierając się stopniami, obaby się zrównoważyły. Ale i obyczaje karczemne nastąpiłyby zaraz po przyjęciu tonu karczemnego. Bo nic mniej rozumnego, jak uważać ton dobry za rzecz tylko powierzchowną. Jest to forma zapewne, ale forma ściśle odnosząca się do usposobienia ducha, który tą formą się wyraża. Jakieby nie były zdolności narodu, jakieby mądre prawodawstwo nie kierowało jego przeznaczeniem pod względem ukształcenia, wszystko to byłoby niedostateczne, gdyby jakiś żywioł arystokratyczny nie stanął na straży tych form, tak niezbędnych dla ciała społecznego. Ale że narody w dążeniu swojem do ukształcenia przebiegają zawód, mający metę wskazaną od Ojca i Stwórcy narodów dla ich własnego szczęścia, musi się koniecznie wyrobić w ich łonie jakieś ognisko cywilizacyjne, objawiające się w tych formach, którym każdy umysł szlachetny nie waha się poddać. I to bez względu na wstręty lub pociągi polityczne i naturę rządu, któremu ulega, a tem ogniskiem jest arystokracya kraju [1]).

Każdy naród dąży do ukształcenia, formy obcowania klas wyższych objawiają ognisko cywilizacyjne narodu [2]). To ognisko

[1]) Arystokracya rodu jest żywiołem politycznym tak niezbędnym, że nie było i niema stowarzyszenia, gdzieby się sama z siebie nie wyrobiła. W kantonach Szwajcaryi nazwanych demokratycznymi, jako Zug, Uri, Szwic i Underwald, jest po kilka rodzin, w których ręku rząd od wieków zostaje. W miastach anzeatyckich nawet jest patricyat.

[2]) Oznaki powierzchowne wszelkiego rodzaju nie powinny być obojętne dla władzców z ramienia Bożego, popchniętych dla ukształcenia narodów. Mówią: Piotr Wielki użył całej nieugiętości swojej woli, by skłonić szlachtę do przyjęcia odzieży ludów więcej ukształconych, jakby był jaki związek między ukształceniem, a krojem sukni. Ten zarzut nie jest ani filozoficzny, ani polityczny. W samej odzieży objawia się barbarzyństwo lub ukształcenie. Zaniedbanie w odzieży, do pewnego stopnia posunięte, zawsze jest łączne z zaniedbaniem w myśli i w postępkach. U nas płeć nadobna w odzieży swojej jest nierównie starowniejszą od płci drugiej, i któż wątpi, że pod względem ukształcenia i delikatności w uczuciach na nierównie wyższym stoi stopniu. Przyzwoitość w odzieży jest rzeczą tak niezbędną, że gdyby w wojsku, naprzykład, została zaniedbaną, cały duch

stanowi *de facto* arystokracyą narodową. Gdyby więc naród nie posiadał arystokracyi, nie posiadałby form, któremi ukształcenie może się objawić. A że rzecz, nie mogąca wydać siebie w formie, jest jakoby nieistniejącą, więc tem samem byłby bez ukształcenia. A że dążność do ukształcenia jest dążnością do szczęścia społecznego w stopniu, jaki się godzi otrzymać, więc naród mający wstręt od arystokracyi, miałby wstręt od własnego swojego szczęścia, co wszystko jest *absurdum;* a że *absurdum* jest fałszem, więc nie może być dążnością powszechną, bo jednem z najważniejszych *criteryów* prawdy jest zezwolenie powszechne. To też za demokracyą obstają krzykacze, ale massa narodu wszędzie ją odpycha. Niema sioła, gdzieby poczciwy gospodarz, chcąc żenić syna, nie starał się dla niego o dziewkę z dobrego gniazda, co już jest oznaką jakiejś arystokracyi.

Powierzchowne oznaki przyzwoitości, cechujące wyższe części ciała społecznego, czyli arystokracyą, są jedną z drogich spuścizn narodowych. Gdybyśmy mogli przypuścić zupełny niedostatek cnót, one do pewnego stopnia zdołałyby je zastąpić.

Ale taki niedostatek jest tylko przypuszczeniem. Dość napisano romansów dla podwyższenia wyobrażeń o cnotach gminu, aby tem poniżyć opinie o stanie moralnym klas przodkujących. Lecz samo doświadczenie przekonywa o wiotkości i nieszczerości podobnych obrazów. Wyższe klassy tak jako i niższe z zasad Religii Chrześcijańskiej czerpają wyobrażenia swoje o powinnościach człowieka. A jeśliby było w tej nauce zaniedbanie, pewnie więcejby dotknęło klassę niższą. Jest to tak pewne, że niema prawodawstwa, przyznającego jakąś hierarchią spadkową, któreby nie wymagało od członków tej hierarchii więcej cnót, więcej ofiar, więcej poświęcenia, niżeli od gminu, któremu za przykład służyć powinni.

żołnierskiby się wywietrzył. Wszystko to jest ściśle związane z arystokracyą. A jeżeli kto zechce powstać na arystokracyą spadkową, niech wprzódy odczyta Russa, najzagorzalszego demokratę XVIII wieku, który przyznaje, że arystokracya rodu jest najrozsądniejszą ze wszystkich arystokracyi. Gdyby władza monarsza nie pobudzała ciągle zasług osobistych, kojarząc je z arystokracyą rodu, sama z siebie wyrobiłaby się najnikczemniejsza i najobrzydliwsza arystokracya, arystokracya pieniędzy.

I w samej rzeczy, gdyby nawet wyobrażenia cnoty były równie silne we wszystkich klassach, zawsze klassy wyższe na tem stanowisku otrzymają pierwszeństwo. Bo wiele jest rzeczy korzystnych, nie sprzeciwiających się cnocie [1]), których człowiek zacnego rodu chwytać się nie śmie, żeby się nie ominąć z prawidłami przyzwoitości, wyznanemi u jego kasty. Obok Religii wspólnej wszystkim, wyrabia się uczucie honoru, uczucie wyłącznie arystokratyczne, chociaż i plebeizm umie się pod niego podkradać, a które nie mniejszych od Religii wymaga ofiar. Na nieszczęście człowiek omija się częstokroć z przepisami Religii bez nadwerężenia swojego położenia towarzyskiego. Sam Bóg, litując się nad słabością naszą, obmyślił nam środki do powstania z najważniejszych wykroczeń przeciwko Jego świętych praw, bo Jego prawo nietylko sprawiedliwości, ale i miłosierdzia. Tej litości nie ma opinia, ożywiająca kastę arystokratyczną. Nie przestaje ona na tem, że jej członek nie jest przekonany o winę, dla jej szacunku trzeba jeszcze, żeby jak żona Cezara, nie mógł być nawet posądzonym. Żadna władza nie jest tak silna, aby zachować mogła położenie towarzyskie potomka wysokiego rodu, który wykroczył przeciwko honorowi [2]).

Wątpić nie można, że w tem wysokiem i dostojnem uczuciu są nadużycia, które już przybrały cechę prawa, ale same te nadużycia okupują się poniekąd duchem ofiary, a szlachcic godny tego nazwiska musi być nietylko wyznawcą, ale często i męczennikiem tego ducha. Stąd nawet w obłąkaniach kasty wyższej zawsze się przebija jakaś godność. W pierwszym tomie »Mieszanin«, robiąc wzmiankę o dawnej polskiej tężyźnie, by-

[1]) Ubieganie się za odkupami, by po każdej licytacyi uchwycić coś odstępnego, nie sprzeciwia się bezwzględnie cnocie. Jednak gdyby jaki Lubomirski lub Mniszech podobnem rzemiosłem się bawił, nie myślę, by to mu wiele zaszczytu przydało.

[2]) Proszę uważać, że mówię o honorze, a nie o jego karykaturze. Wiem, że u nas są przykłady liczne oszustów kartowych, którzy pobiwszy się jak woźnicy, sprowadzają potem jakieś kondescensye, na tych kondescensyach karczemny krzywdziciel lub skrzywdzony, lada jak oczyszczony, daje wielki obiad, i tam przy rzęsistych kielichach ogłaszają go na nowo człowiekiem honoru. Jeżeli na podobnej uczcie człowiek świetnego rodu się znajdował, nie mogę tego przypisać niczemu innemu, tylko duchowi pokory Chrześcijańskiej.

najmniej jej nie chwaląc, chciałem okazać różnicę między obłąkaniami klassy wyższej a obłąkaniami teraźniejszemi, kiedy nikczemny plebeizm usiłuje w wyskokach swoich przedrażniać mężów, których nawet w ich złej stronie naśladować nie zdoła. Powiedziałem: jeżeli ktoś z pomiędzy nich z poryw czości pokrzywdził biedaka, w szerokich dostatkach swoich wynajdował hojne środki do wynadgrodzenia mu poniesionej obelgi.

Na to powstało jedno dzieło peryodyczne warszawskie, tak jakbym upoważniał ludzi możnych do krzywdzenia bliźnich, z powodu, iż pieniędzmi mogą opłacać te krzywdy. Nie pojmuję, jak pismo, mające na celu kierunek opinii publicznej, tak opacznie tłumaczyć może rzecz z siebie tak jasną. Będąc wyznawcą Chrystusa, potępiam nietylko obelgę, ale nawet przykrość samowolnie zrządzoną bratu w Chrystusie. Ale jeżeli już jest przewinienie, niechże przynajmniej będzie zadośćuczynienie, nietylko wedle własnych wyobrażeń, ale wedle wyobrażeń skrzywdzonego. Nic albowiem z zarzutów tego dziennikarza wywiązać nie mogłem, tylko że albo odrzuca wszelkie zadośćuczynienie, albo mu naznacza jakąś normę, która każdego skrzywdzonego równie zadowolnić powinna, bez względu na różnicę nałogów, uczuć i pojęć. Zasadę równości wszystkich w obliczu prawa, które bez jakiegoś umiarkowania jest *absurdum* w sądownictwie, chce przenieść do wszystkich odcieni życia towarzyskiego, i przesąd kasty, sam z siebie dość bolesny, usiłuje zamienić w prawo społeczne, nie zważając, że gdyby podobna usilność mogła być uwieńczoną, całkowite społeczeństwo wyzułoby siebie z opieki praw. W stosunkach z towarzystwem wyższem szuka się przyjemności wzajemnej, a nie zaspokojenia wzajemnych potrzeb, tak jak w stosunkach ludzi gminnych lub wyższych z niższymi. W obrębach jedynie przyjemności rzadkie są wypadki, by aż obrazy osobiste miejsce mieć mogły, tem więcej, że są w nich przyjęte jakieś prawa, zabezpieczające od uniesień nierozważnych. I chociażby za podobne uchybienie opinia wymagała krwi przelewu, same z siebie te przypadki są tak rzadkie, że uleganie temu przesądowi nie zagraża jeszcze porządkowi społecznemu. Ale gdyby oręż samowolny rozstrzygał wszystkie kłótnie, wszystkie niesmaki wszczęte

po szynkowniach i między warsztatami, jakażby była powaga urzędu, jaka siła prawa?

I czy podobieństwo wprowadzić taki rodzaj stosunków między osobami klass różnych, nawet wychowaniem między sobą nie zrównoważonych. Każdy rachunek między człowiekiem ukształconym a jego rzeźnikiem lub szewcem kończyłby się najczęściej bojem pojedyńczym, bo dopuściwszy stosunki równości przy różnicy wyobrażeń, człowiek wyższego sposobu myślenia ciągle czułby siebie obrażonym przez człowieka niższych pojęć, źle wychowanego, nieumiarkowanego w mowie, a który miałby siebie za równego jemu.

Gdyby tak dziwaczne marzenia mogły się zastosować do bytu praktycznego, społeczeństwo doczekałoby się najohydniejszej dzikości. Ale właśnie ta klasa, dla której mniemanej korzyści to marzenie jest wymyślone, nigdy się jemu nie podda. Wyrobnik, rzemieślnik, mając zdrowie swoje za jedyny zasób, którym i siebie i swoją rodzinę utrzymuje, nadto je ceni, by je rozmyślnie miał narażać dla wmówionego przesądu. Zawsze dla niego wynagrodzenie pieniężne będzie dostateczniejszem zadośćuczynieniem, niż los wątpliwy pojedyńczej bitwy. Wszakże nawet w stanie szlacheckim opinia, jakkolwiek przesądna, nie rozciągnęła jednak do wszelkiego rodzaju krzywd konieczności imania się zabójczej broni. Dawne nasze prawodawstwo, przez szlachtę utworzone, przez szlachtę dopełniane, a której waleczność naszej w niczem nie ustępowała, chociaż w Statucie litewskim uznaje wypadki, gdzie bój pojedyńczy ma rozstrzygać zajście dwóch szlachetnych mężów, ale zawsze za pozwoleniem Zwierzchności, przypuszcza więcej nierównie wypadków, gdzie kary pieniężne wynagrodzić mają krzywdę szlachcicowi zrządzoną. Jeżeli więc człowiek możny, dopuściwszy siebie do tego nieszczęścia, że aż bliźniego ukrzywdził, nie czekając wstawienia się prawa, ofiarą własności swojej umie go zaspokoić, że ten najmniejszego do niego niema żału, nie pojmuję, cóż mu kto inny zarzucić może, zadośćuczynienie może być tylko oszacowane przez tego, któremu się należy. Jeżeli ten jest zaspokojony, obraziciel wraca do wszystkich zaszczytów niewinności, a położenie jego jest godziwsze, moralniejsze, szlachetniejsze, niżeli tego

który skrzywdziwszy bliźniego, jeszcze go potem zabił lub skaleczył.

Przesąd nie jest ani prawem przyrodzonem, ani prawem objawionem, a więc pod żadnym względem wszystkich obowiązywać nie może. Jest on wyrobem ducha pomniejszych stowarzyszeń, jako kasty, korporacye, cechy. Przybiera on powagę prawa, ale wyłącznie na członków tego stowarzyszenia. Rozciągnięty do całej massy, jest zabobonem, i tu może stać się szkodliwym, bo często się opiera wszelkim postępom ukształcenia. Ale ścieśniony w szrankach swojego stowarzyszenia, jakkolwiek omija się czasem z prawidłami rozsądku, jest zawsze żywiołem zachowawczym. Bo zaprzeczyć nie można szacunku temu, który wierny opiniom i podaniom swojego stanu, woli im ulegać z nieograniczonem poświęceniem wszystkich swoich skłonności, niż szukać w samoistnym rozumie środków do wyłamania się z tak uciążliwych obowiązków. Żeby tylko uważać arystokracyę za skład wielkich podań i wielkich uczuć narodu, to samo już jest dostateczne, by zjednać jej szacunek w każdem sercu poczciwem i piastującem we wnętrzu swojem święty ogień miłości ojczyzny.

Jakiekolwiek formy polityczne kierują narodem, byle były przyrodzone, zaraz jakaś Arystokracya stanie przy ich straży. Im jest dawniejszą, im silniej rozwiniętą, tem nieskazitelniej dopełni swojego powołania. Spadkobierca wielkich podań rodzinnych, jeżeli jest rewolucyonistą, jest istnym potworem, bo dla przylgnięcia do jakichś nowostek znieważył popioły swoich przodków. Zbieg ze stanowiska, naznaczonego jemu od Opatrzności, poświęca sumienie swoje obłąkanej massie, która korzystać będzie z jego usług, ale nim będzie pogardzać, jako każdym zbiegiem. Miłośnicy wolności najczęściej nie domyślając się, co to jest wolność, potępiają Arystokracyę, jako nieprzyjaciółkę wolności[1]). Co za niewiadomość pierwszych zasad bytu społecznego.

[1]) Już na zachodzie Europy Statyści zaczynają poznawać, że nietylko Arystokracya nie jest przeciwną wolności, ale że nawet bez arystokracyi nie może być wolności. Proszę odczytać dzieło Pana Capefigue »Louis XIV, son gouvernement« etc. page XI, tome premier 1834 édition de Bruxelles. Przecie ten pisarz Francuz i plebejusz o przesądy kasty podejrzanym być nie powinien.

Udzielność wszędzie będąca jednej natury, bo jest posłannictwem Bożem, żadnego godziwego i zbawczego żywiołu bezwzględnie potępiać nie może. A formy rządowe, któremi udzielność działa w społeczeństwie, muszą się koniecznie odnosić do potrzeb tegoż społeczeństwa. Największe swobody osobiste istnieć mogą pod opiekuńczem skrzydłem ścisłego jedynowładztwa. Największe ściśnienie woli samoistnej istnieć może przy formach rządowych najwięcej zbliżonych do gminowładztwa. A swobody ściśle się odnoszą do usposobienia moralnego członków społeczeństwa, zaprzeczeniu więc nie podpada, że na świecie Chrześcijańskim niema jedynowładztwa tak ścisłego, gdzieby massa swobód ludu nie była obszerniejszą, niż pod jakiemkolwiem mniemanem gminowładztwem pogańskiem; bo niema nic wspólnego między formą rządową, a swobodami ludu. Ale jakakolwiek forma polityczna kieruje narodem, Arystokracya, jako żywioł szczególnie zachowawczy, z powołania swojego piersiami swojemi ją zasłania. W Rossyi krew swoją przelewa z zapałem dla podpory i sławy jedynowładnego tronu. We Francyi widzieliśmy ją, oprócz kilku zbiegów, dobrowolnie wskazującą [tak!] siebie na ubóstwo i tułactwo, by wiarę dochować wygnanemu plemieniu swoich panujących. W Anglii ona jest tarczą karty konstytucyjnej. W Szwajcaryi stanęła na czele ludu, by go zasłonić od anarchii i bezbożności francuskiej. W Węgrzech po kilkakrotnie z ostatniej toni wydźwignęła wielką krew habsburską, w starożytnym Rzymie zagrzebała siebie pod gruzami dawnej formy rządowej. Za cóż więc ta niechęć przeciw korporacyi, zawierającej wszystkie świetne nazwiska narodu, a która żadnej zasługi osobistej nie odpycha od swoich szeregów, która do najwyższego zapału posuwa miłość i wiarę dla swoich panujących, która bynajmniej nie jest przeciwna swobodom ludu, ale która ma wstręt przyrodzony od wszelkich zaburzeń, spisków, nieporządków, która dla Ołtarza, tronu i honoru nigdy krwi swojej nie skąpiła, która czci pamięć i popioły swoich przodków, jako drogiej spuścizny narodowej, która się brzydzi nieprzyzwoitością równie jak zbrodnią, która nakoniec i przedstawuje wszystkie wielkie podania i razem wyraża w sobie pierwotwór tych form nadobnych, bez których żadnym sposobem ukształcenie narodowe być nie może.

C) Listopad.

(Petersburg 1845—46).

(Treścią powieści są losy dwóch braci Strawińskich, przedstawione na tle epoki Konfederacyi Barskiej. Wychowali się oni w zupełnie różnych warunkach. Starszy Ludwik wzrósł pod opieką matki, która rozwiódłszy się z mężem, Wojciechem Strawińskim, wyszła powtórnie za mąż za hr. Mycielskiego. Przebywał przez pewien czas w Lotaryngii i w Luneville, potem był kapitanem w pułku zagranicznym i brał udział w bitwie z Prusakami. Dostał się na dwór w Wersalu, był ulubieńcem kobiet, między innemi i słynnej margrabiny Pompadour. Tam też poznał się z późniejszym królem polskim, Stanisławem Augustem, a nawet pewnego razu wybawił go pożyczką z kłopotliwego położenia. Gdy więc przybył na stałe do kraju, król przyjął go bardzo łaskawie i mianował starostą wieluńskim; od ks. Adama Czartoryskiego zaś otrzymał komandoryę poznańską. Młodszy brat, Michał, kształcił się w Collegium jezuickiem w Warszawie, potem w konwikcie nieświeskim i wreszcie wstąpił do palestry. Gdy tedy Ludwik przybywa do domu po śmierci ojca dla załatwienia spraw majątkowych (ojciec wydziedziczył go zupełnie, ale brat dzieli się z nim całym spadkiem) — okazuje się, że obaj bracia są ludźmi z gruntu różnymi co do poglądów, usposobień, zamiłowań i skłonności. Ludwik przesiąknięty kulturą francuską, zamiłowany w strojach i obyczajach francuskich, jest stronnikiem i przyjacielem króla — Michał, Sarmata starej daty, przywiązany do obyczajów staropolskich, zamiłowany w gospodarstwie i życiu wiejskiem, nieufnie patrzy na »nowinkarzy« stołecznych, a uwielbia ks. Radziwiłła Panie Kochanku. Zaręczony jest z Zosią Kunicką, córką przyjaciela swego ojca. Pomiędzy Zosią a Ludwikiem zawiązuje się stosunek miłosny; uciekają z domu jej ojca (starego Kunickiego) do Warszawy, gdzie biorą ślub. Michał zaś wstępuje do Konfederacyi Barskiej. Tam zostaje wybrany do wręczenia królowi pozwu, wzywającego go do przystąpienia do Konfederacyi. Gdy to nie odnosi skutku, król zostaje porwany przez konfederatów, między którymi znajduje się również Michał Strawiński. Króla uwalniają dwaj konfederaci, zostawieni na straży, Michał dostaje się do niewoli, po walce z wojskiem swego brata, starosty wieluńskiego. Zostaje skazany na śmierć. Ludwik porusza niebo i ziemię, aby brata uratować, nie udaje mu się to jednak. Po bohaterskiej śmierci Michała choruje długo, wreszcie pragnie wyjechać z kraju do Paryża. Gdy jednak dowiaduje się, że we Francyi głośna już jest sprawa śmierci jego brata, i że jemu zarzucają, iż się do niej przyczynił — wówczas popełnia samobójstwo. Żona jego z córką przenosi się do Włoch i osiada w klasztorze. Poniżej podajemy trzy wyjątki, malujące stosunek ojca do syna Michała, elegancyę świata staropolskiego i sfrancuziałego i wreszcie przyjęcie u starosty wieluńskiego).

a) Michał zostaje jurystą.

908) *T. I. str. 23—32.* Michał z taką pilnością wziął się do pracy, że po upłynieniu kilku miesięcy już był, jak to mówią, prawą ręką Regenta. Obeznał się z prawem i procedurą, summaryusze układał, najlepszy porządek wprowadził w kancelaryi swojego Mecenasa, tak, że jak Regent zapotrzebuje jakiego dokumentu, tylko okiem rzuci na summaryusz, a już wie, gdzie znaleźć; nawet zaczął *merita* pisywać, aż się rozpływał Regent, a Strażnik mógł się o tem własnemi oczyma przekonać, bo Xiążę Karol Radziwiłł, jeszcze Miecznik Litewski, ale wkrótce potem Wojewoda Wileński, świeżo odziedziwszy majątki po śmierci ojca na niego spadłe, dopiero zawiązawszy bandę Albeńską, między jej członkami pomieścił jenerała Kunickiego i naszego Strażnika. Pierwszemu powierzył kierunek swojej partyi w Województwie Mińskiem, a niemniej szanując Strażnika, a przytem znając jego osobistą nienawiść do Xięcia Biskupa Massalskiego, najgłówniejszego przeciwnika Radziwiłłowskiego domu, jemu powierzył ster tej partyi w powiecie Słonimskim; stąd częściej przesiadywał w Słonimie i miał zręczność oszacowania postępków synowskich, tyle pochlebnych dla rodzicielskiego serca. Z tem wszystkiem poczciwy Michał cierpiał niedostatek, a żarliwa jego praca, jeszcze losu ułagodzić nie mogła. Synowi możnego obywatela, trzęsącego całym powiatem, a nie będącemu jeszcze jurystą przysięgłym, Szlachta nie śmiała dawać nagród pieniężnych, odwdzięczając się czapką za rozmaite posługi, jako: kwerendy, pisanie manifestów i tak dalej, a tu trzeba było utrzymać się na równi z kolegami, synami mniej możnych obywatelów, a którzy jednak mieli od rodziców obszerniejszą sustentacyą. Trzeba było odziewać się po ludzku, przyjąć lampeczką nawiedzających przyjaciół, na swoje imieniny dobrze obrus oblać, a na to wszystko dwieście tynfów na rok, żeby miał łeb Salomonowy, nie dałby sobie rady. Pomimo najskrzętniejszej rachunkowości, wpadł w długi, jakkolwiek niewielkie, ale które do tego stopnia mu dokuczyły, że bądź co bądź, za radą i zezwoleniem P. Regenta, postanowił udać się do ojca, azaliż go nie raczy wesprzeć. Okoliczność ku temu była trafna, albowiem na ostatniej kadencyi attentował sprawy ojca z P. Mohyłą,

wielkim pieniaczem i klientem Xięcia Biskupa, i nic pewniejszego, że staraniem swojem tę sprawę wygrał, gdyż właśnie podczas tej kadencyi ciężka choroba przykuła P. Strażnika do łóżka na wsi. Pojechał Michał na wieś do ojca i kiedy do niej wjeżdżał, z daleka ujrzał ojca, przechadzającego się po wygonie ze swoim Rządzcą. Wyskoczył z wózka, rzucił się ojcu do nóg i klęcząc, wręczył mu ekstrakt dekretu, wskazującego P. Mohyłę na wieżę i grzywny za porąb lasu, bo o to była sprawa. Strażnik bardzo się okazał uradowanym, podniósł syna, pierwszy raz w życiu w czoło go pocałował, z ciągłą uprzejmością do niego mówił, a nawet w czasie wieczerzy za jego zdrowie w ręce swojego Rządzcy lampeczkę starego lipcu wypróżnił.

— Co tak, to ale, mój Michasiu; wszyscy o tobie najlepiej mówią, a sam uważam, że mówią prawdę. Kiedyż przysięgę wykonasz i będziesz formalnym jurystą, jakim jest P. Regent Wojszwiło, a jakim był niegdyś jego Mecenas, a WPana ojciec, przez lat dwadzieścia z górą? To to były dobre czasy! ale i teraz kto ma głowę i serce, da sobie rady. Obaczysz, jak pieniążki płynąć będą, i nam będziesz mógł pomagać. — Pokornie dziękuję Imci Dobrodziejowi za dobrą wróżbę i ja puszczam wodze nadziei, jednakże będąc w wielkiej i naglącej potrzebie, ośmielam się kołatać do łaski Imci Dobrodzieja. — Oho! czy czasem do kieszeni mojej WPan nie zazierasz? wolałbyś czem lepszem swoje oczy zatrudniać, bo nic nie znajdziesz w mojej kieszeni. WPan chciałbyś i być młodym i mieć pieniądze, a tu na jednem poprzestać trzeba. Oj! żebym mógł mieć WPana młodość, oddałbym chętnie tych kilka groszy, które zapracowałem, a których nie najwięcej jest.— Ten rok tylko dla mnie przyciężki, ale na następnych Roczkach stawać będę za inkarceratami, jeżeli mi się uda, po kadencyi przysięgę wykonam, a obywatele będą mi powierzać formalnie swoje interesa i za nie płacić *deservitam mercedem*, nie tak, jak dzisiaj, co się pięknie kłaniają za moją pracę, a w to nie wchodzą, że wiatrem żyć nie można.

— A jak się nie uda? — rzekł Strażnik.

— Za cóżby mi się nie miało udać? wszak kilka moich merytów P. Regent za swoje wyczytał w Ziemstwie, a przez

nie na sławie nie ucierpiał. Sam Imć Dobrodziej wiesz, że o tych merytach źle nie mówiono. — Naprzykład, wielebyś WPan zażądał? — Żebym miał teraz trzy tysiące, toby mi los stanowiło. — Tu się Strażnik zerwał od stołu i szybko zaczął chodzić po izbie. — Trzy tysiące, trzy tysiące, ani się zająknął panicz, o to mi gracz, a co to waść, chcesz majątek wziąć w dzierżawę, a wykaraskać się od jurysteryi? Trzy tysiące! jaki mi hojny! a skąd ja wezmę trzy tysiące? a kto ma trzy tysiące? a na co WPanu trzy tysiące? — Ja nie mam prawa takiego daru żądać, proszę tylko Imci Dobrodzieja o pożyczenie mi tej summy, a za rok, da Bóg doczekać, mam nadzieję najskrupulatniej uiścić się na terminie. — Nadzieję, nadzieję, o podobnej ewikcyi Statut litewski nie wspomina, wszelako powiedzno waszeć, jaka też tam przecie nadzieja, niech i ja się o niej dowiem. — Mam deklaracyę P. Regenta, że jak tylko przysięgę wykonam na jurystę, suscepta zaraz mi będzie oddana; otóż i kawał chleba uczciwy. A prócz tego liczę, jak na cztery tuzy w tryszaku, na kilku możnych obywatelów, co mi sprawy swoje powierzą, z oznaczeniem rocznej kapitulacyi. Sam Imć Dobrodziej osądź, czy jest *pignus responsionis* na trzy tysiące? — Tu Strażnik usiadł na nowo za stołem, a dzwoniąc widelcem po lampeczce: — Abo jest, abo nie jest, na dwoje babka wróży; tać to jest coś w tem, co waść mówisz, tylko nie bez ale; jak zostawszy jurystą, pójdziesz na swój chleb — wydatki jak rzęsisty deszcz spadną na waściną głowę. Wszakże pod gołem niebem nie rozłożysz szatry jak cygan, ani pieczone gołąbki padną do gąbki; trzeba będzie pomyśleć o chacie, o spiżarni, o usłudze, a to wszystko darmo nie przychodzi. — Mam nadzieję, że Imć Dobrodziej, pozwalając chodzić koło jego interesów, pozwolisz mi także swojego dworku i jakiej fury zboża na pierwszy początek. — Otóż to nadzieja bardzo ślizka, ja nie mam takich spraw, żebym za ich atentowanie darmo oddawał swój dworek. Bagatela, dom w Słonimie, kuchnia, wozownia, lodownia, piwnica murowana, śpichrz, to mam oddać, bo to boroniki same z siebie wyrosły, nic nie kosztują. Dworek darmo i jeszcze zboża furami, gwałtu! A to piękny świat dzisiejszy; jeszcze interesów nie zaczepił, a już z góry obdziera; dworek to mało, jeszcze zboża furami, może owsa, może słoniny i masła? Drzyj łyko, kiedy

drzesz; szkoda tylko, że się drzeć nie daje. A na co ten dworek? A na co takie dodatki do niego? — Ja Imci Dobrodziejowi darmo służyć będę, jak każesz i póki każesz, jako jemu i teraz służę. Pan Regent na piśmie przyzna, że w sprawie z Panem Mohyłą pióra w kałamarzu nie umoczył, jenom ja wszystko robił, bo to była moja powinność, a tuszę, że przy miłosierdziu Bożem całe życie jej dopełniać będę. Pochlebiałem sobie, że wyproszę wsparcie Imci Dobrodzieja dla siebie, a chociaż w tem nie znajduję jego łaski, lubo smutny odchodzę, przeto mniej gorliwie jemu służyć nie będę. — A w jakiej gorącej wodzie kąpany; już niełaska! Kto waści powiedział, że ze mną nie będzie roboty? poczekaj, dajno odetchnąć! Jużci mojego dworku nie odmawiam, byleś go sam ze swego utrzymywał, a mnie się nigdy nie naprzykrzał o żadnę reparacyę; dodam ci stróża ze wsi, byle zostawał odtąd na twoim koszcie, a co się tyczy opału, w tem twoja głowa, o tem i słyszeć nie chcę. *Notabene*, ile razy przyjadę do Słonima, żeby zawsze dla mnie była izba czysta, a w zimie ciepła, uważasz, panie Michale? A co do pieniędzy, da Bóg doczekać, sam zjadę na Roczki; jeżeli mi się waść spiszesz, pieniądze będą, a ja kontentować się będę waścinym podpisem. Mam w Bogu nadzieję, że uzbieram do Roczków trzy tysiące. Trzy tysiące! a jak to coraz drożej wszystko kosztuje! Oj te dzieci, z niemi dobrze, dopóki kieszeni nie przerosną. Tać to prawda, że gdy syn na swój chleb idzie, trudno mu nie dać pomocy. Dobrze, że przynajmniej pożyczanym sposobem; inny może darmicą chciałby zachwycić sumkę. Taki to teraz świat, a chłopiec pracuje, wiem o tem z boku; no, no, dam, dam, bądź spokojny, byleś mi się przed kratami popisał i byleś ósmy procent zapłacił; *clara pacta claros faciunt amicos*. Wszak sam uważasz, Michasiu, że na dość ślizką ewikcyę pożyczam.

Michał, pełen dobrych nadziei, odjechał ojca, który nazajutrz jeszcze, rozmawiając z swoim totumfackim i plebanem unickim, ciągle w różanym humorze, nie szczędził pochwał dla syna. W samej istocie, po tej walce między sknerstwem a miłością rodzicielską, ostatnia odniosła uroczyste zwycięstwo, i tego podziwiać nie trzeba. W naszym narodzie, ludzie skąpi są pospolicie wzorowej poczciwości, bo nic błędniejszego, jak uważać

skąpstwo rzeczą nieodłączną od chciwości; przeciwnie marnotrawcy, ludzie zwykle podli i nikczemni, są zawsze chciwi. Ciągle potrzebni, ciągle łakną, by mieć czem zaspokoić te potrzeby, które pożerają majątek, a potem cześć, wstyd, sumienie, a jednak nigdy zaspokojonemi być nie mogą. Marnotrawca niema tej niezależności, wielkiej rękojmi cnoty, a którą i ubogi człowiek zabezpieczyć sobie może. Skąpiec, jeżeli jest poczciwym, o ile dba o swoją własność, o tyle mniej jest żądny cudzej; nawet uważałem, że u podobnych skąpców ta ich zapobiegliwość nietyle pochodzi z cielesnego przywiązania do pieniędzy, ile z jakiegoś moralnego przekonania, że są poniekąd odpowiedzialni przed Bogiem z majątku, co od Niego otrzymali, by ten wzrastał i kwitnął za ich pracą i staraniem. Z tego rzędu ludzi był i nasz Strażnik. Przywiązany do tego majątku, co go utworzył i wypielęgnował, chętniejby zezwolił na wyzucie siebie z niego, niż na jego podwojenie z obrazą Boga i sumienia. Gdyrał często na syna, ale miłował go szczerze i poważnie, bo to przywiązanie na szacunku było oparte. Zresztą Michał był powtórzeniem ojca aż do najdrobniejszych szczegółów; jedne wyobrażenia polityczne, taż sama pobożna poczciwość, takież przywiązanie do ojczystych obyczajów, taż wzgarda dla wszelkiej cudzoziemczyzny, taż nienawiść zbytku we wszystkiem, oprócz w okazaniu gościnności.

Roczki nastąpiły. Nasz Strażnik stosownie do obietnicy zjechał do Słonima, gdzie zjazd był niemały. Michał z dziesiątek razy stawał za inkarceratami i wymową tak wszystkich zachwycił, że aż rosło serce staremu; o niczem nie mówiono w Słonimie, tylko o rozumie Strażnikowicza; szczególnie podczas ustępów brzmiały jego pochwały. — Co to — zagaił Pan Korbutt, Podstoli Słonimski, wielomówny starzec, a niegdyś zawołany mecenas — nasz pan Michał półarkuszowe peryody wypowiada jakby z niechcenia; za dawnych czasów nawet dłuższych nie zdarzało mi się słyszeć. Wszak to około sześćdziesiąt lat, jakem wstąpił do Palestry; jeszcze to ja pamiętam, kiedy tędy przejeżdżał Król Sas, jadąc do Birżów dla widzenia się z Piotrem Wielkim. Dependowałem wtedy u nieboszczyka Mitarnawskiego, co to go nazywano Demostenesem Słonimskim. Pan Mitarnawski, bywało, jak znajdzie w Cyceronie jaki długi

peryod, zaraz go przepolszczy i do swojego induktu doczepi, że aż miło słuchać. Świeć Panie nad jego duszą, to był wielki mąż, nie dbający o majątek, a tylko żyjący dla sławy, a korrespondencyę miał z całym światem. Nie było dnia, żeby po kilka listów własną ręką nie napisał, a każdy jego list zaczynał się od litery Z. To był tak rozumny człowiek, że kiedy kaznodzieja z ambony jego spostrzeże, zawsze się zmiesza. Ja tego może nie doczekam, ale pamiętajcie moje słowa, obaczycie, że pan Michał będzie drugim Mitarnawskim.

— A uważaliście — odezwał się pan Godziemba, Komornik graniczny — jak to Pan Michał w sprawie tego diaczka, co cerkiew okradł, zręcznie zastosował tę sentencyę Tacyta: *quid leges sine moribus?* A Vicesregent Rymunt: — Abo jak on to *acuminose* porównał tych, co zbyt literze prawa dufają, nie zgłębiając jego ducha, do tego Królewica, co rozjazdem chciał komory nakrywać. W jego induktach wszystkiego dostaniesz, jak w nowych Atenach. Jest tam i Pismo Święte i Tacyt i Dekoloniusz i Kochanowski, nawet bajki, któremi piastunki dzieci usypiają. A każda rzecz na swojem miejscu, jakby dla niego stworzona. W młodej dziecinie nauka słynie. Młodyć Strażnikowicz prawda, ale już jeden z pierwszych naszych prawników.

A Strażnik to wszystko słysząc, z radości niczego wymówić nie może, tylko jedną ręką pieści wąsa, a drugą bije się po bokach. Przy końcu kadencyi Pan Michał przysięgę wykonał i został przyjęty do grona Słonimskiej Palestry. Wszystko, co widział i słyszał Pan Strażnik, tak jemu pochlebiało, że kiedy syn przysięgę wykonał, rozpłakał się z radości. *In gratiam* synowskiego zaszczytu sprawił wielką ucztę, na którą całą publiczność Słonimską zaprosił i tam odliczył nie trzy, ale cztery tysiące: tysiąc złotych w darze, a trzy za jego obligiem, ale po siódmym, czy ósmym kielichu, jak się rozochocił, wyjął oblig z zanadrza i rozdarł go, mówiąc: Synu, kwituję ciebie z twojego długu, byleś mnie nigdy nie kwitował ze swojego przywiązania. Michał padł do nóg ojcu, który podniósłszy go — wziął w swoje objęcia. Ojciec i syn splotli się ramionami, zaczęli się całować i serdecznie się popłakali. Cała szlachta to widząc, także w płacz, ale jakoś tę rzewliwość zapito.

Tak P. Michał na wstępie swojego zawodu okrzyczany mężem wysokiego światła i wielkiej wymowy, wkrótce stanął na pierwszym szczeblu Palestry Słonimskiej. Najmożniejszych obywateli interesa zwaliły się na niego, tak, że i sława go wieńczyła i pieniądze, poczciwie zarobione, do niego płynęły. Nietylko, że swojego smacznego chleba sam nie jadał, że nikogo u siebie nie przyjął bez napojenia go z serdecznością szlachecką, ale chociaż ubogich wdów i sierot sprawy promował z takąż samą gorliwością, jakiej nie oszczędzał w sprawach najmożniejszych obywateli powiatu, jednak nietylko, że na wszystko mu wystarczyło, ale nawet zaczął zbierać kapitaliki, które oddawał Xięciu Wojewodzie, a które co roku wzrastały z wielką radością ojca, który o wszystkiem wiedział, gdyż P. Michał nic nie robił bez jego rady i błogosławieństwa.

b) Elegancya dwóch światów.

909) *[T. I. str. 130—144].* Na żółtych safianowych butach na łożył [Wojski] karmazynowe hajdawery, które oskórzem jedwabnym z kutasami zawiązał ściśle niżej brzucha. Przywdział żupan z atłasu błękitnego tak świeży, jak dopiero rozkwitły w pszenicy bławatek, zapiął go na szyi czterema guziczkami jedwabnymi tejże samej barwy, pośrodku których zaczepił szpinkę z emalii błękitnej, gdzie błyszczała brylantowa cyfra Xięcia Karola Radziwiłła, nie zaniedbawszy spuścić kołnierzyk od koszuli, na dwa palce szeroki, a biały, jak opłatek na kolendę ofiarowany dobrodziejowi klasztoru. Na tem wszystkiem kontusz z sajety koloru słomianego, błyszczący jak złoto, z kołnierzem błękitnym, z takiemiż obszlagami, a podszyty atłasem z tejże sztuki, co i żupan. Za pomocą P. Szabańskiego opasał się pasem litym, cudowną Słucką robotą, gdzie na tle szczerozłotem równianki z niezabudek i astrów błękitnych zdawały się być świeżo zerwane. Pięć razy okręcił się w pasie, a za każdym razem zrobił *memento* do rany Zbawiciela. A węzeł tak zgrabnie ułożył P. Szabański, że jakkolwiek nasz Wojski był mało próżnym, kilka razy z upodobaniem popieścił wzrok bogatym kutasem od pasa, a myśl obrazem swojej narzeczonej, którą miał za chwil kilka oglądać. Przyczepił do pasa karabelę, która mu się dostała

w zdobyczy pod Łohojskiem, gdzie mu ją oddał wzięty przez niego w niewolę Hrabia Tyszkiewicz, który później poślubił rodzoną synowicę Królewską, a umarł Hetmanem Wielkim Litewskim. Klinga była hiszpańska, jak mówiono, ze starych mulich podków wykuta przez jakiegoś Araba dla Xięcia Alby. Ten Xiążę oddał tę szablę naszemu Janowi Karolowi Chodkiewiczowi, służącemu przy jego boku, w nagrodę jego męstwa, a później z posagiem jednej Chodkiewiczówny weszła w dom Tyszkiewiczowski. Napróżno hrabia Tyszkiewicz ofiarował Wojskiemu trzydzieści tysięcy na jej okup. Kiedy się ona dostała Wojskiemu, nazywała się »czarownica«, i dawał się na klindze widzieć złotem nabijany arabskiemi literami jakiś wyjątek Koranu. Ale nowy jej właściciel przezwał ją »Alfa i Omega«, kazawszy wprzódy zetrzeć bisurmański napis, a nabić na jego miejsce te dwa wiersze Psalmisty:

»Stąd wedle ciebie tysiąc głów poleże,
Stąd drugi tysiąc ciebie nie dosięże«.

Różne anegdoty o tej szabli kursowały po Litwie. Jednak to pewna, że w domu pana Kasztelana Rdułtowskiego Pan Pac, starosta Ziołowski, jeden z pierwszych rębaczy Litewskich, a posiadacz ogromnego zbioru szabel, wybrawszy sobie najlepszą, jaką między niemi mógł znaleźć, dopóty nalegał na pana Wojskiego, aż musiał z nim spróbować swojej »Alfy i Omegi«. Otóż od pierwszego składu pan Michał na dwoje przeciął klingę swojego przeciwnika, jakby była z masła, tak, że pan Pac zdumiony powiedział: »Panie Michale, żebym na twojej szabli nie czytał sentencyi z Pisma Św., a nadewszystko żebym ciebie nie znał być tak prawowiernym katolikiem, jak mi Bóg miły, myślałbym, żeś inkluza do niej doczepił«. Rękojeść szabli była szczerozłota, w turkusy oprawna, ale na znak małej żałoby była obwinięta przezroczystą krepą. Na tej rękojeści położył Wojski czapkę z aksamitu błękitnego, okoloną jasno-kasztanowatym wyporkiem krymskim, wysokiej wartości. Wyloty od kontusza zarzucił i kazał je zapiąć na hafcik, wąsa wymuskał przed zwierciadłem i zupełny Albeńczyk poszedł z gospodarzem do izby brata, by się u niego upomnieć o przyobiecany list do Generała.

Zastali Starostę, siedzącego w pudermantlu z jedwabnej, białej materyi, przy małym stoliku, makatą turecką okrytym. Na tym stoliku stały miednica i kubek srebrny pozłacany, kilka elegancyi do tualety potrzebnych i duża kryształowa szklanka, wiekiem przykryta, z herbatą tak tęgą, że ją można było zrazu wziąć za wino Królewieckie. Przed Starostą dwóch służących trzymało zwierciadło w ramach srebrnych; w tem zwierciedle Starosta się przeglądał, podczas gdy stary fryzyer, ufryzowawszy mu głowę, sypał na nią starannie szron pudru biało-żółtawego, a tak zaprawionego piżmem, że niewzwyczajonemu trudno było dosiedzieć.

Kamerdyner Starosty, który służył mu czasem za sekretarza, skończył był właśnie list, co mu dyktował jego pan do Generała. A pan, podpisawszy go, bez użycia nożyczek, ale jedynie palcami swymi, zrobił nań zgrabną kopertę z wielkiem podziwieniem Pana Szabańskiego, który się niemniej nad tem zastanawiał, jak nad użyciem tak tęgiej herbaty, on, co jej zażywał tylko po wielkiem przepiciu, i to dwie szczypty z szafranem zmieszanej, rozgotowane w trzech kwaterkach wody.

Zapieczętowawszy list herbowną pieczęcią od kieszonkowego zegarka, wręczył go Starosta swojemu bratu, a ten go oddał jednemu ze swoich bośniaków i wyprawił natychmiast do Niewodowa. Wrócił wkrótce do brata, gdzie zastał Pana Szabańskiego, siedzącego jak wryty; tyle mu było ciekawe ubieranie się Starosty.

— *Comme vous vous êtes fait beau, mon frère* — odezwał się Starosta roztargniony, pilnie przed zwierciadłem oskrobując z czoła puder nożykiem srebrnym, tępym, *plioir* nazwanym, a oprawionym w trzonek złoty, kameryzowany. Poczem za danym znakiem lokaje ze zwierciadłem rozstąpili się, a pan powstał i raptownie zrzuciwszy pudermantel, wziął na siebie szlafrok z perskiej materyi w wielkie kwiaty różnobarwne na tle ponsowem, przepraszając pana Szabańskiego, że przy nim się ubiera. Usiadł na nowo i podał nogi klęczącemu kamerdynerowi, który z nich zdjąwszy szkarpetki z surowego jedwabiu, na ich miejsce wciągnął pończochy, spodnie blado-inkarnatowe, a wierzchnie *à jour*, z robotkami po bokach, a cienkie, jak tkanka pajęczyny. Te pończochy uchwyciły niżej kolan złote

sprzążeczki spodni z mory białej, ostatniej mody Wersalskiej. Wciśnięto mu na nogi trzewiki z wysokimi korkami ponsowymi, a tak lakierowane, że zwierciadło mało co jaśniej odbijało przedmioty. Te trzewiki zacisnęły się na nodze złotemi wielkiemi sprzączkami. Zrzucił na chwilę szlafrok, by odmienić koszulę; wziął koszulę z najcieńszej holenderskiej tkanki, prania paryskiego, z poczwórnymi żabotami koronki brabanckiej, a szyję kamerdyner obwiązał chustką wązką, haftowaną, na której mu zarzucił Krzyż komandorski Św. Jana Jerozolimskiego, cały w soliterach, i jakiś drugi krzyż, mało co mniej bogaty, na zielonej wstążce. Znowu podano mu szlafrok, a Lafler z taką powagą, jak dziś Marszałek prowadzący w czasie wyborów szlachtę swojego powiatu do przysięgi, układał jego kos w harbeitlu kitajkowym, na którym przyszyta była misterna kokarda.

...Wstał, rzucił za sobą szlafrok i wziął na siebie westę długą z atłasu białego, haftowaną blaszkami złotemi. Pod nią przyczepił kamerdyner pendent ze szpadą, której rękojeść ze stali angielskiej, co do blasku równała się brylantom, zwłaszcza przy świetle kunsztownem. Nareście zarzucił wstęgę świeżo ustanowionego orderu Świętego Stanisława; długą wstążką obwinął rękaw od koszuli, żeby ogarnirowanie koronkowe z pod rękawa gładko się wysunęło. Lokaje ubrani w liberyi kapającej złotem podali mu zwierciadło, w którem się z upodobaniem przeglądał; i nic pewniejszego, że trudno było widzieć nadobniejszego kawalera.

Nakoniec podano mu suknię, a tę ze wszystkich stron oglądał z najskrupulatniejszą uwagą, azali najmniejszy fałdzik nie znieważa jej świeżości. Suknia była z aksamitu, koloru nazwanego w Paryżu *Pompadour*, z powodu, że Ludwik XV w puszczy Senar w amazonce tego koloru pierwszy raz spotkał tę zalotną piękność, u nóg której wraz z sercem całe swoje Państwo położył. Ten kolor, trzymający środek między najżywszym szafirem, a najświetniejszym amarantem, był w największej modzie w Wersalu, jakby dla uczczenia niedawno zmarłej Margrabiny, która pierwsza wprowadziła go do Wersalu.

...Kamerdyner podał mu kapelusz jedwabny do trzymania w ręku; tabakierkę złotą z portretem Królewskim, otoczonym brylantami, w którą nie omieszkał nasypać winegreli, żeby na każdy przypadek mieć czem damy trzeźwić; drugą tabakie-

reczkę, *printanierką* zwaną, którą otworzywszy zapach rozchodził się wokoło; trzecią tabakiereczkę z piórkiem do zębów; zegarek z brelokami i kieskę z dukatami holenderskimi. To wszystko Starosta rozlokował po różnych kieszeniach; z lekka rzucił na barki płaszcz ponsowy, białym racymorem podszyty, ozdobiony szczerozłotymi guziczkami, wziął trzcinę z bogatą skówką, chustkę do nosa uparfumował jakimś wonnym paryskim wyskokiem i wyszedł z bratem do zajeżdżającej przed ganek karety.

Siedli do niej te oba typy starego i nowego świata w ówczesnej Polsce. Wojski usiadł poważny i nieco zamyślony; Starosta wesoły i śpiewający, jak wszyscy ci, do których przyszłość należy. I puścili się ku zamkowi Nieświeskiemu.

c) Wieczór na wielkim świecie.

910) *[Tom III. Str. 133—138].* ...— Pan Łowczy koronny — odezwała się Xiężna Kasztelanowa — z obcesową szczerością wyraża wiek swój. *Afficher un goût humiliant pour toutes les femmes, ne sentir d'amour véritable pour aucune* — oto jest cecha naszego wieku.

— Bardzo przepraszam Xiężnę — odezwał się Pan Stolnikowicz. — I teraz są tacy, którzy umieją kochać prawdziwie.

— O! ja ciebie wyłączam, mój Stolnikowiczu — odrzekła księżna — już ci winszowałam, żeś swoją miłością zmiękczył serce Xiężniczki Starościanki, bo trzeba wierzyć, że kto się zabiera do stanu małżeńskiego, ten musi się kochać. Ale jakże można wasze miłości równać do tych, któremi się cechowały dawne wieki, kiedy to błędni rycerze przebiegali świat szeroki z orężem w ręku, zmuszając wszystkich do wyznania, że dama ich myśli jest najpiękniejszą kobietą na świecie. Jak teraz wszystko się wydaje zimne obok tego, co się wówczas działo!

— Na to — rzekł Hrabia — za pozwoleniem Xiężny, muszę stanąć w obronie naszych czasów i pokażę państwu takiego, co dla swojej damy, temu dni kilka, zrobił *une galanterie*, na jakiej równą żaden błędny rycerzby się nie zdobył.

— Proszę nam okazać tego bohatera i powiedzieć, co on też tak wielkiego uczynił?

— Ja powiem, byle pani Cześnikowa Litewska na to pozwoliła.

— Pozwoli, pozwoli — wykrzyknęła Księżna — ja biorę na siebie, że pozwoli.

— Nie, Mościa Xiężno — rzekł Hrabia — ja się nie odezwę, aż ona mnie powie — mów.

— *Ne nous faites pas languir*, powiedz mu, *ma chère amie*, żeby mówił.

— Kiedy wszyscy tego chcecie — rzekła Cześnikowa, śmiejąc się — mów, Hrabio.

Hrabia, obracając się do Xięcia Waragina, rzekł: — Pamiętaj Xiążę, że jestem posłuszny rozkazom pani Cześnikowej. Otóż powiem państwu, że temu dni kilka byliśmy na wieczorze u pani Cześnikowej; było nas około piętnastu osób, i nas wszystkich Xiążę Waragin zaprosił na jutro do siebie na obiad na sterlety, które mu przysłali z Rosyi, na jakowym obiedzie pani Cześnikowa podjęła się być gospodynią. Przy herbacie mówiono o gastronomii. Xiążę opowiadał, że w czasie ostatniej wojny tureckiej przez dwa tygodnie innego nie można było dostać mięsa, tylko końskie. Ale, że wedle swojego zwyczaju, miał z sobą doskonałego kucharza, ten mu koninę tak przyprawiał pod różnym kształtem, że żadenby łakotniś nią nie pogardził. Pani cześnikowa na to powiedziała: gdybym wiedziała, że to, co mnie podają, jest końskie mięso, nigdybym się nie odważyła tego półmiska dotknąć, ale gdyby kto mnie bez mojej wiadomości koniną nakarmił, pozwoliłabym siebie w twarz pocałować. My wszyscy odezwaliśmy się, że jeżeli taką przeznacza nagrodę, niezawodnie oszukaną będzie, bo kto z nas odtąd o czem innemby myślał, jak tylko, by ją tem jadłem poczęstować. Nazajutrz mieliśmy u księcia obiad wyśmienity i kiedy przy wetach unosiliśmy się nad kuchmistrzem naszego Lukullusa, on wstał od stołu i klęknąwszy przed cześnikową, powiedział jej, że przychodzi upomnieć się o dotrzymanie danego słowa. — Jakiego słowa? — zapytała. — Wszak pani ogłosiłaś wyrok — rzekł książę — że kto cię koniną nakarmi, pozwolisz mu siebie pocałować, otóż państwo innego mięsa nie mieli, tylko końskie. Z początku myśmy się śmieli, mając to za żart, ale sami sprawdziwszy to w kuchni, upewniliśmy damy, że tak

jest, a nie inaczej. Pani cześnikowa *présenta de bonne grâce ses deux joues, sur les quelles le prince imprima deux baisers, qui retentissent au fond de nos coeurs*, ale potem, żeby tego zażądał, wszystkie przytomne damy, by go ucałowały, jak się dowiedziały o reszcie tej historyi.

— Cóż takiego? — zapytała Xiężna.

— Wiecie Panie, jaką to koniną Xiążę nas nakarmił? Oto jego Betsy, ta klacz angielska, *l'admiration de toute Varsovie*, za którą od Xięcia Podkomorzego nie chciał wziąć dwóch tysięcy czerwonych złotych, poszła na nasz obiad. *Le coeur me saigne, quand je pense, que j'ai dévoré une si belle créature.* Teraz powiedz, Xiężno, czy błędny rycerz wieków średnich zrobiłby podobną ofiarę dla damy swoich myśli?

— To prawda — na to Xiężna — że taka *galanterie chevaleresque* każdy opór zwyciężyć musi. Jak mogłeś Xiążę na śmierć skazać taki wytwór natury, jakim była Betsy?!

— Mościa Xiężno — odpowiedział Xiążę — ponieważ Pani Cześnikowa pozwoliła sobie zrobić ten żart, chciałem przy najmniej, żeby strawa, mająca się dotknąć jej ust, ile możności była jej godną. Betsy była dla mnie najdroższą z rzeczy, któremi rozrządzać mogłem; dlatego z niej zrobiłem ofiarę. — Kto zna Panią Cześnikowę, temu dziwić się nie może.

I w samej rzeczy, zadowolenie zwycięstwa tyle powabów przydawało tej nadobnej kobiecie, że na nią patrząc, nie można było tego podziwić.

— A co? — dodał Hrabia, obracając się do Xiężny — niechże Xiężna powie, czy nie umieją kochać w naszym wieku?

Kasztelanowa Kamieńska nie podzielała zapału Xiężnej. — Waryaty jesteście — powiedziała — ubiegacie się tylko za rzeczami nadzwyczajnemi. Żebym była młodą i piękną, a kto dla przypodobania się mnie kazał zamordować niewinne i zaletne stworzenie, temby zapewne mnie nie zobowiązał; ale to taki świat teraźniejszy.

— Mnie to nie dziwi — rzekł Trembecki, mieszając się do dyskursu — Rossya później od innych przystąpiła do cywilizacyi Europejskiej, ale na tem nie straciła — *elle n'a reculé, que pour mieux sauter.* Odwołuję się w tem do świadectwa

Pana Starosty. Nie uwierzycie państwo, jak Panowie Rosyjscy, wędrujący po Francyi, pobudzają zawiść dworzan tamecznych:

Dorodni, oświeceni i pełni zaszczytów,
Łączą grzeczność Wersalską z walecznością Scytów.

— Brawo, Panie Szambelanie — odezwał się gospodarz domu — nigdy się WPanu nie udało lepiej powiedzieć; dowiodłeś, że poeta może być razem i wielkim i prawdziwym. Wypijmy zdrowie największego poety Polskiego, który tak pięknie wyraził nasze uczucia.

— Mości Starosto — odrzekł Trembecki — właściwiej wypić zdrowie Xięcia, który mi natchnął te dwa wierszyki.

— *Et haec facienda, et illa non omittenda* — odezwał się Stolnikowicz. — Uważ, Szambelanie, że jeszcze nie styrałem mojej łaciny, nawet między temi pięknemi damami.

Podaj, chłopcze, za dawnych Konsulów chowany
Falern, co dymek puszcza z iskrzącemi piany.

— Gwałtu! — wykrzyknął Trembecki — Pan Stolnikowicz Koronny chleb mi odbiera; odrazu moje wiersze zakasował swoimi. Myśl Tybulla *ex abrupto* przepolszczył. Za Sasów upijaliśmy się prozaicznie, pod naszym dzisiejszym Augustem nawet uczty nasze zaprawia dowcip poetyczny.

Na te słowa Pani Kamieńska nieco się skrzywiła, ale wszyscy inni głośnymi oklaskami okazali, iż podzielają zdanie poety.

— Panowie i panie — rzekł gospodarz — Falernu nie mam, ale jest wino szampańskie, co go nam starożytność mogłaby pozazdrościć. Właśnie onegdaj prosto z Sillery przyszedł do mnie transport.

Zaczął krążyć kielich z napojem tak rozweselającym umysł i serce, że damy nawet za rozmaite zdrowia usta swoje przybliżały do kieliszków, nawet Zosia, na wielkie prośby męża, pół kieliszka wypić musiała...

Opracował M. KRIDL.

CXX.

CHODŹKO IGNACY.

(1794—1861).

Pochodził z rodziny litewsko-ruskiej, znanej od XVII. wieku, a od początków XVIII. osiadłej w Oszmiańszczyźnie. Piastowali w tym wieku Chodźkowie rozmaite urzędy grodzkie i ziemskie, pod koniec zaś owego stulecia wydał ich ród kilku ludzi, którzy się zasłużyli na polu literackiem i naukowem. Ignacy był synem Antoniego i Katarzyny z Widmontów; urodził się 29. września 1794 r. w Zabłoczyźnie w pow. Wilejskim, dziecinne zaś lata, a i cały prawie wiek późniejszy przepędził w ziemi Oszmiańskiej, w rodzinnym majątku Dziewiętniach. Wzrastał tu w spokojnej, czystej staroświeckiej atmosferze, pielęgnującej dawny obyczaj i tradycyę szlachecką, tętniącej wspomnieniami czasów minionych. Od żyjącego jeszcze dziada Michała, wojskiego oszmiańskiego, mógł się nasłuchać niezliczonych historyi o ludziach zeszłego pokolenia, mnóstwa anegdot, konceptów i gadek, związanych z pamięcią humoru radziwiłłowskiego i dawnego życia politycznego. Opowiadania ojca, który był sędzią grodzkim powiatu Zawilejskiego, i własna obserwacya ukazywały, jak się ta dawna społeczność szlachecka częściowo przekształcała pod wpływem nowych prądów i nowych warunków bytu. A o ile tak w domu zapoznawał się z życiem i przeszłością kół ziemiańskich zamożniejszych, to odwiedziny u dziadka Widmonta, który w Zabłoczyźnie na skromnej zagrodzie siedział, pozwalały rozszerzyć tę znajomość na sferę szlachty niższej. — W 10-ym roku życia oddano go do szkół księży Bazylianów w poblizkich Borunach, a po ich skończeniu wstąpił Chodźko na uniwersytet wileński (1810). Był w Wilnie podczas pamiętnych wydarzeń 1812 r., nawet wziął w nich skromny udział, bo w kancelaryi rządu tymczasowego dano mu urząd tłumacza między kuchmistrzami Napoleona a dostawcami wiktuałów. Słuchał wykładów ks. Golańskiego, Euz. Słowackiego, a pewno także i Grodka. Skończył uniwersytet w r. 1814

ze stopniem kandydata filozofii. W tym czasie zmarli jego rodzice, i młodym Ignacym zaopiekował się stryj Jan, znany działacz publiczny wileński. Dał on bratankowi miejsce w kancelaryi masy radziwiłłowskiej, której był prokuratorem, rozszerzył koło jego znajomości, wprowadził go do lóż masońskich i do Towarzystwa Szubrawców; wreszcie umożliwił mu odbycie największej w życiu podróży: wziął go mianowicie z sobą w r. 1815 do Warszawy i zapoznał tam z wybitnymi przedstawicielami literatury ówczesnej. Pod wpływem stryja przejął się młodzieniec też ideami Wieku Oświecenia, którym pozostanie wierny aż po rok mniej więcej 1840. W kancelaryi bawił Chodźko niedługo: wkrótce razem ze stryjem opuścił Wilno i osiadł na stałe w Dziewiętniach.

Gospodarował zrazu niechętnie, z musu tylko, marzył bowiem o laurach literackich. Pisał różne wiersze w formie pseudo-klasycznej, — przeważnie erotyki, — wszystkie mało udatne; prozą zato skreślił w tych czasach kilka szkiców satyrycznych dla »Wiadomości Brukowych«, w których ujawnił zdolności obserwatorskie i spory talent charakterystyczny. (Ogłosił je dopiero w 1860 r. p. t. »Próby Nowego Dykcyonarza«). — W r. 1825 ożenił się z panną Ludwiką Mackiewiczówną. Pisał odtąd bardzo mało, bo i gospodarować trzeba było usilniej, i życie towarzyskie więcej absorbowało, a nakoniec różne urzędy obywatelskie zajmowały czas. Był Chodźko deputatem wywodowym gub. wileńskiej w r. 1820, potem prezesem sądu grodzkiego powiatu zawilejskiego (1823—26), później podkomorzym tegoż powiatu (1830—34); przez wiele lat był kuratorem honorowym szkoły powiatowej święciańskiej, brał udział w licznych eksdywizyach i zjazdach szlachty, wreszcie załatwiał różne interesy masy radziwiłłowskiej. Od czasu do czasu tylko napisał jakiś wierszyk, a zawsze wierny zasadom »klasycznej« szkoły; do nowej poezyi długo się nie mógł przekonać, mimo starań serdecznych przyjaciół — Odyńca i Jul. Korsaka, — którzy, — sami hołdując świeżej modzie, — i jego koniecznie chcieli zrobić romantykiem. Próbował też czasem prozy — refleksyjnej i beletrystycznej. Zamyślał o obszernem dziele moralno-filozoficznem: skończyło się to jednak tylko na wydrukowaniu kilkunastu aforyzmów (»Myśli, uwagi i obrazy« w r. 1829). Z prób beletrystycznych była drukowana w 1829 mała powiastka »Poddany«, a potem — w 1837 dopiero — obrazek pseudo-satyryczny »Samowar«. I chociaż pisał pewno więcej, niż drukował, w każdym razie była to twórczość niewielka i tylko dorywcza.

Do rozleglejszych planów literackich zabrał się dopiero, po czterdziestym roku życia. Stryj jego Jan utworzył wówczas cykl drobnych powieści, w których uwiecznił wspomnienia o ludziach, zwyczajach, zdarzeniach i opiniach z czasów swojej młodości. Pamiętnikowa forma tych powiastek nader przypadła do gustu bratankowi i zachęciła go do podobnegoż przedsięwzięcia, ile że miał i on wspomnień zapas bogaty i rozpamiętywać je lubił ogromnie. Wydrukował

tedy naprzód w 1838 pierwszy utwór w tym rodzaju: »Domek mojego dziadka«, a poczuwszy w sobie siły i ochotę, podjął w 1840 kreślenie całego szeregu »Obrazów Litewskich«. Pierwsza ich serya składa się z kilku krótkich powiastek; serya II. ma formę większej powieści (»Brzegi Wilii«), acz węzeł powieściowy jest w niej luźny i małą gra rolę. Obydwie serye stanowią właściwie kalejdoskopowy szereg luźnych obrazków z życia szlachty oszmiańskiej w pierwszem ćwierćwieczu, a odznaczają się żywą charakterystyką postaci, werwą opowiadania, wartkim, charakterystycznym dyalogiem, plastyką scen zbiorowych, wreszcie umiejętnością wyrażenia w słowie ruchu i gwaru. Opowiadanie autora ma charakter gawędziarski: robi często uwagi uboczne, dygresye refleksyjne, a często - wzruszywszy się — popada w uniesienia liryczne. Szkodzi to wielokrotnie całościom utworów, zwłaszcza, że środki ekspresyi lirycznej Chodźki są ograniczone. Serya III. (»Pamiętniki kwestarza«, 1844) sięga już czasów dawniejszych: wieku XVIII. Przedstawia tu tedy Chodźko nietylko rzeczy widziane, ale i takie, które znał ze słyszenia. Obrazy obyczajowe i anegdoty są powiązane nicią wspólną: zostały mianowicie (na sposób romansu awanturniczo-podróżniczego) ugrupowane dokoła przygód jednego bohatera, kwestarza Bernardyna, którego losy stykają z przeróżnymi ludźmi i stawiają w rozmaite położenia. Najistotniejsze pierwiastki talentu Chodźki znalazły w tej powieści pełne rozwinięcie, a tonu gawędziarskiego i uwag moralizatorskich, co tak bróździ w innych utworach, tutaj niema. — W nierównie słabszej seryi, IV mieszczą się między innymi dwie nowele, w których nasz gawędziarz puścił się na roztrząsanie zagadnień psychologicznych i filozoficznych, związanych z kwestyą religijności; rozstrzygnął je w duchu ortodoksyi katolickiej, ale bez artyzmu, a co gorsza — logiki. — W następnej powieści »Dworki na Antokolu« (1850), stanowiącej V. seryę, a odgrywającej się znowu w wieku XVIII, popróbował Chodźko ściślejszej już powieściowej kompozycyi, ale ta nie udawała mu się i jest najsłabszą stroną dzieła; dominuje ono za to nad innemi pod względem dobitności w przedstawieniu charakterów.

Na seryi V zamknął Chodźko »Obrazy«, a począł wydawać »Podania Litewskie«, do których tematy czerpał z odleglejszych już czasów. Wydał tych »Podań« 4 serye, zawierające powieści: »Wyklęty«, »Kamień w Olgienianach«, »Żegota z Milanowa Milanowski«, »Pustelnik w Proniunach« i »Drugi pustelnik w proniunach« (w latach 1852—60). Chodźko jednak zbyt mało miał fantazyi, zbyt zależny był od faktów rzeczywistych, żeby módz się zdobyć na dobrą powieść historyczną, Nie czuje się w niej na pewnych nogach. Koloryt »Podań« jest blady, a malowanie silnych namiętności i ludzi gwałtownych nie wiedzie się poecie życia potocznego i charakterów zwykłych; w drugoplanowych tylko figurach widać swobodę artystyczną. Do najlepszych natomiast rzeczy Chodźki należą wydane w 1857 r. »Dwie konwersacye z przeszłości«, osnute na własnych wspomnieniach i tradycyi rodzinnej.

Punktem wyjścia dla całej programowej działalności twórczej było Chodźce umiłowanie swoich wspomnień i czasów minionych. Za cel literacki stawiał sobie: »serca poruszać tkliwem wspomnieniem, miłością ludzi je poić«. Miał też zasadę — omijać w swoich obrazach ciemne strony przeszłości. Niejednokrotnie się jednak zdarzało, że te ciemne strony za jasne przedstawiał i malował w idealnem świetle. Dzieła jego przyjmowano nadzwyczaj ciepło i wśród szerokich kół publiczności i w krytyce; wyrażali się o nich z pochwałami najwybitniejsi pisarze: Grabowski, Rzewuski, Korzeniowski i Kraszewski. Powodzeniu literackiemu towarzyszyło szczęście domowe i nowe wciąż godności: wybrano Chodźkę na członka komitetu statystycznego, a w 1855 został członkiem komisyi archeologicznej w Wilnie. Gdy zaś w początkach 1858 r. utworzono komitet do spraw włościańskich, obrano go wiceprezesem; wypowiadał się tu w duchu zachowawczym.

W r. 1856 spadło na niego nieszczęście: stracił jedyną, ukochaną córkę. Niebawem zaś spotkał go cios inny. Chwalca dawnego życia polskiego, był Chodźko zarazem zupełnym legitymistą względem istniejącego porządku politycznego i spodziewał się od tego porządku różowej przyszłości. W zbiorowym albumie »Na pamiątkę pobytu Najjaśn. Cesarza J. M. 6 i 7 września 1858 r.« (w Wilnie) pomieścił artykuł, wyrażający wiernopoddańcze uczucia, a pełen łzawej korności i roztkliwionych uniesień. Występ ten rozjątrzył przeciw niemu opinię. Nie pożałowano mu słów gorzkich, nazwano nawet odstępcą (Klaczko) i człowiekiem bez godności (Ujejski). Wrażliwy i przywykły do pochwał powieściopisarz poczuł się wobec tych surowych sądów jak »rozbita łódka na zamierzchłej fali«. Sposępniały i zniechęcony — z nałogu tylko, jak mówił, kontynuował prace literackie. Prócz 4-go tomu »Podań« i wydania swoich pierwocin prozaicznych z przed lat czterdziestu, przygotował też »Nowe Pamiętniki Kwestarza«, utwór, w którym obrazki obyczajowo-satyryczne z przed 30 roku na Litwie przeplatają się z obszernemi dyskusyami kilku rezonerów. W tych dysputach wyłożył szczegółowo zapatrywania swoje na różne sprawy polskie, replikując na zarzuty i gromy, którymi go obsypano. Dzieło to wyszło dopiero po śmierci Chodźki, w 1862 r. Pisał też w ostatnich latach sporo liryk i nakreślił szkic autobiografii p. t. »Peryody życia«. Na dwa lata przed śmiercią (1859) mianowało go członkiem korespondentem Tow. Naukowe krakowskie. W r. 1861 obrali go spółpowietnicy na pośrednika pojednawczego w sprawach obywateli z włościanami. Zmarł 1 sierpnia 1861 r.

Powiedział o Chodźce Klaczko, że »w głąb duszy ludzkiej nie zajrzał, kwestyi ważnych nie dotykał, uczuć wielkich nie malował, prądów wieku należycie zrozumieć nie umiał«. Jest to istotnie prawda: jego horyzonty są powiatowe, tkanina myśli — bardzo wątła i z cudzych nitek, jego uwielbienie przeszłości jest niekrytyczne, a morał autorski w wielu razach nieszczytny. Dodać też trzeba, że i dygresye refleksyjne i liryczne — są wielce słabe. Jest przecież Chodźko —

acz w ograniczonym zakresie — artystą. Troskliwość o koloryt obyczajowo-lokalny, umiejętność prowadzenia dyalogów, dar charakterystyki prawdziwej i dosadnej, wspartej często wyrazistością portretów, wreszcie płynny tok opowiadania — wszystko to sprawia, że niewielka dziedzina tematów Chodźki: życie domowe i towarzyskie szlachty litewskiej — występuje z dużą siłą plastyki, nieznaną romansowi polskiemu czasów dawniejszych, a wśród spółczesnych pisarzy realistów wyznaczającą autorowi »Pamiętników kwestarza« i »Dwóch konwersacyi« miejsce poczesne.

BIBLIOGRAFIA.

A) Powieści Chodźki miały sporo wydań. Już za życia autora doczekały się niektóre drugiej i trzeciej edycyi. Pierwsze wydanie zbiorowe w 11 tomach ukazało się w Wilnie w 1875—77 r., drugie — trzytomowe — tamże w r. 1881 (pod tyt. »Pisma«). W 1903 r. wyszło tanie wydanie »Obrazów« w jednym tomie p. t. »Wybór pism« (Wilno, u Zawadzkiego). Wydano też »Obrazy Lit.« w »Bibliot. Powszech.« w Złoczowie, a obecnie wychodzą w temże wydawnictwie i »Podania Lit.«. »Pamiętniki kwestarza« mają między innymi dwa wydania albumowe z rycinami Andriollego (w 1881 i 1901). Wyszło też wydanie »Pam. kwestarza« z wstępem i objaśnieniami P. Chmielowskiego (Kraków, 1898). Ostatnimi laty kilka drobnych obrazków wyszło w »Bibliotecz. uniw. ludow.«.

Do wydań zbiorowych nie wchodzą: wiersze (druk. w »Dzien. Wileń.« 1823, II. i 1824, I.), »Myśli, uwagi i obrazy« (»Dzien. Wil.« 1829), »Wyjątek z rękopismu filozofii praktycznej« (Athenaeum, 1848), »Materyały historyczne. Przedstoletnie kalendarze« (»Pamięt. Nauk.-Liter.« 1849—50), »Peryody Życia« (»Teka Wileńska«, 1858), »Dzień szósty i siódmy września w Wilnie« (»Kurj. Wileń.« 1858) i »Toast na cześć Eust. hr. Tyszkiewicza« (wyd. osobno bez daty i miejs. dr.). Liryki z lat ostatnich oraz wyjątki z korespondencyi podaje w swej książce Syrokomla. Jeden list jest w »Artykułach lit., kryt., artyst.« M. Grabowskiego (1849) na str. 268 i nast., jeden w »Księdze Pamiątk. Mickiewicz. I.« (1898), jeden w »Kur. Warsz.« (1902, nr. 303).

B) Ważniejsze artykuły i prace o Chodźce są: M. Grabowskiego (»Pam. Kwest.« w »Tygodn. Petersb.« 1845), Syrokomli »Życie i pisma I. Ch.«, Wilno, 1862), L. Jenikego (»Tyg. Illustr.«, 1860), J. Klaczki (»Odstępcy«, Paryż, 1860), K. Ujejskiego (»Listy z pod Lwowa«, Lipsk, 1861) A. Pługa (»Kłosy«, 1877), W. Ż.-Kościałkowskiej (w Ateneum 1884 i osobno w 1907), A. E. Odyńca (we »Wspomn. z przeszł.«, 1884), M. Federowskiego (»Imieniny Ch-i« w »Księdze Pam. Mickiew.«, 1898), P. Chmielowskiego, jako wstęp do »Pamiętników Kwestarza«

(Kraków, 1898), tegoż art. w »W. Enc. Powsz.«, T. J. Choińskiego (w »Hist. powieś. pols.«, 1899), Cz. Jankowskiego (liczne wzmianki w »Powiecie Oszmiańs.«), R. Plenkiewicza (»Album zasłuż. Polaków«, 1901—03, t. II).

A) Próby nowego dykcyonarza.

(Wedł. wydania zbiorowego 11-to tomowego, 1875—77).

Są to artykuliki satyryczne, powstałe koło r. 1820, ubrane w formę niby przyczynków do nowego słownika encyklopedycznego. Oto jeden artykuł z pod litery A.

Amant.

911) *[Tom XI, str. 16—20].* Wyraz cudzoziemski, jak to każdy z czytelników rozumie; i prawie każdy powie, że mamy na to nasz własny Kochanek: a wszakże w użyciu jest między nimi różnica, i jedno nie jest zupełnie tłumaczeniem drugiego; owszem jest pewne względne zastosowanie, w którem się zastąpić nie mogą; a zatem, że przyswojonego Amanta odrzucać nie należy, chociaż jest obok Kochanek. Wytłumaczmy to zrozumialej, jeżeli się uda, i wyklarygujmy dokładniej i stanowisko właściwe wyrazów w mowie i uczczonych tą denominacyą figur w towarzystwie; jedno objaśniać się będzie drugiem i wzajemnie.

Naprzykład pan Antoni jest Amantem pani sędzinej: znaczy się to tylko, że pan Antoni kocha się w pani sędzinej, ale wcale nie znaczy, że jest kochanym wzajemnie. Lecz gdy powiem, pan Benedykt jest kochankiem panny Tekli: a to już wyraźnie, że panna Tekla kocha pana Benedykta. Stąd wnosićby można, że Amant jako jest cudzoziemską kontrabandą, która się wkradła do naszej mowy, tak też jest kontrabandą, wkradającą się ze swem znaczeniem do małżeńskiej instytucyi; ale że wyraża miłość bez wzajemności, więc i nie jest nadto niebezpiecznym. Zresztą, jest to wyraz radykalnie łaciński, a damy nasze po łacinie nic umieją.

W potocznem nawet użyciu nie powiemy: »Mój Amancie, otwórz wrota etc. i temu podobnie. — Wszystko więc zda się

przemawiać za wygnaniem Amanta z naszej mowy i obyczajów; a jednak powtarzam, być to nie może — bo jest i u nas w towarzystwie klasa, kongregacya czy konfraternia, rozsypana po całym świecie, a liczniejsza w krajach cywilizowańszych od naszego, jak naprzykład we Francyi, gdzie skutkiem tej cywilizacyi, (i niedawno dowodzonej tam konieczności komunizmu)[1]) dwa te wyrazy i funkcye, u nas blizkoznaczne, lecz różne, jeden Amant w mowie, w użyciu i w celach zastępuje.

Stosownie do natury osoby, poświęcającej się temu miłemu zawodowi, możnaby każdemu przydawać charakterystyczne przymiotniki, naprzykład:

Amant klasyczny — Pan profesor kocha się od lat kilkunastu w pani prefektowej. Codzień, idąc on do klasy, zachodzi dowiedzieć się o jej zdrowiu, i jeżeli to latem, dowiaduje się razem, gdzie ona wieczorem pójdzie na spacer, o czem pani Prefektowa, uprzejmie mu podając na dobrydzień rączkę do pocałowania, uwiadamiać go raczy; a czasem na domiar szczęścia zapyta go z wdzięcznym uśmiechem: »gdzież dziś pójdziemy?« Godzinę więc pierwej idzie on w tamtę stronę i powraca, tak miarkując, aby nibyto przypadkiem, spotkał panią Prefektową z dziatkami; zawraca się z nią więc, podnosi młodsze dziatki, dla mamy kupuje dwie pomarańcze lub inne jakie łakocie za takąż samą cenę; odprowadza ją do domu, pije razem herbatę i daje dobranoc. Zimą taż sama kolej, z tą tylko różnicą, że gdy to *itinerarium* dla mrozów nie zdarzy się, pan Profesor zamiast z panią Prefektową, musi godzinę przed herbatą strawić marnie, grając w szachy z panem Prefektem.

Zdarzają się niekiedy dodatki rozkoszy, jako to: pieczenie pierogów przed Wielkanocą, bo wtenczas pan Profesor czyta głośno przepisy na babki, placki i mazurki, pilnuje czy podchodzą i kupuje za swój grosz zwierzynę na święcone. Ale za to idzie razem z panią Prefektową na rezurekcyę i całe trzy dni pozwala sobie bawić u państwa Prefektów; a z ukontentowaniem zacierając ręce, szepcze pani Prefektowej

[1]) Nawias ten do dawnego rękopisu dodano teraz. *(Przyp. Aut.)*

na ucho: »Nasze święcone udało się«. Toć samo powtarza się na kucyę, z odmianą tylko artykułów stołowych, bo jak tam zwierzyny, tak tu ryb pan Profesor dostarcza.

Ożenił się jednak pan Profesor — ze swoją kucharką, a to dlatego, że ona umiała sekret pieczenia wybornych biszkoktów, które bardzo smakowały pani Prefektowej, a żadnym sposobem nie chciała wydać swej tajemnicy; więc najszczęśliwszy był, gdy nazajutrz po ślubie zaniósł pani Prefektowej dokładną preskrypcyę pieczenia biszkoktów, i odtąd szły rzeczy jednostajnym zawsze trybem, aż do terminu, gdy pani Prefektowa w stanie małżeńskim, a pan Profesor w stanie nauczycielskim emeryturę wysłużyli.

Amant Romantyczny. Pospolicie jest to młody chłopiec, zakochany w starszej od siebie mężatce; i gdy Amant klasyczny, spokojnie nałogowi ulegając, nie myśli, a czasem i sam nie wie, że się kocha; ten zna to, czuje i powtarza to sobie prozą, a swojemu bóstwu wierszami. Platonizm pierwszego pochodzi z mazgajstwa, platonizm drugiego z owej czci czystej i niepokalanej dla ukochanej istoty, która jest zwyczajną oznaką prawdziwej miłości. Na pierwszego kobieta nie uważa wcale, bo żadnego z nim niema niebezpieczeństwa, idzie tylko naprzykład pani Prefektowej, aby pan Profesor trwał w swojem; bo zwierzynę na święcone, ryby na kucyę, pomarańcze i rozmaite inne smaczne przysmaki, rada była spożywać, gdy nic jej nie kosztowały. Z drugim kobieta rozumna ma się na baczności, aby się w chwili uniesienia nie zapomniał... lub aby się sama nie zapomniała... a idzie jej także, aby on trwał w adoracyach: bo jej miłem jest uczucie piękne, które natchnęła, choćby go nie dzieliła, i miłą jest myśl, że je natchnąć jeszcze jest zdolną.

Amant Arystokratyczny. (Patrz Protektor).

Amant całego świata. Inaczej amator płci pięknej. Jest to rycerz błędny w krainie miłości: przebiega on ją jak sławny Donkiszot: wszerz, wzdłuż, w poprzek i na ukos, walcząc o serce z każdą na drodze spotkaną gładką niewiastą. Taką kampanię zaczyna czasami młody i płochy chłopiec i przedłuża ją nieprzerwanie aż do ostatniej granicy wieku marcowego kawalera; za tą granicą starość już go osadza w łożu,

w którem jeszcze usiłuje pięknie się moderować, gdy doń przypadkiem zbliża się kobieta.

Tu następuje dłuższa charakterystyka tego typu.

B) Boruny.

(Z I. seryi »Obrazów Litewskich«)

Popis publiczny w szkole bazyliańskiej w Borunach.

912) *[Tom I., str. 56—61].* Wspaniała nawa boruńskiego kościoła w dniu pożądanym 29-czerwca napełniała się około nieszpornej godziny gośćmi rozmaitej płci, wieku i stanu nawet. Obok pięknych i ozdobnych piórami i kwiatami kapeluszów na wesołych główkach młodych mamuniek lub młodszych jeszcze siostrzyczek, zobaczyć można było gredyturowy [1]) kaptur, lub zastrzępiony dziwacznie czepek nad czerstwem i rumianem licem pani ekonomowej; obok zgrabnej i bogato litemi potrzebami sznurowanej na piersiach pana szambelana lub pana budowniczego taratatki, jakiej nigdzie już teraz nie obaczysz, stał w kapocie szarej szlachcic z okolicy, lub w wytartym żupanie, jedwabnym pasem przepasany, stary dworzanin, po paniczów przysłany...

W ławkach po prawej stronie i od ławek aż do ołtarza na kilku rzędach krzeseł rozmieszczał się ten tłum różnowzory: babunie, mamy, siostrzyczki, ciocie, wujenki na przodzie; dziadulkowie, ojcowie, wujaszkowie i stryjaszkowie z tyłu.

We sto par i więcej wchodzi młodzież i klasami szykuje się naprzeciw publiczności, a tymczasem ksiądz fizyk ustawia z boku na stoliku machinę elektryczną i bateryę butelek lejdejskich; ksiądz matematyk zawiesza na kozłach wykreślone na przepych geometryczne figury, a sam ksiądz prefekt porządkuje na drugim stoliku pięknie zrysowane *erazty* [2]), wyfor-

---

[1]) Grodetur, gredytur — ciężka jedwabna materya.

[2]) Erazty — rysunki ręczne.

na ucho: »Nasze święcone udało się«. Toć samo powtarza się na kucyę, z odmianą tylko artykułów stołowych, bo jak tam zwierzyny, tak tu ryb pan Profesor dostarcza.

Ożenił się jednak pan Profesor — ze swoją kucharką, a to dlatego, że ona umiała sekret pieczenia wybornych biszkoktów, które bardzo smakowały pani Prefektowej, a żadnym sposobem nie chciała wydać swej tajemnicy; więc najszczęśliwszy był, gdy nazajutrz po ślubie zaniósł pani Prefektowej dokładną preskrypcyę pieczenia biszkoktów, i odtąd szły rzeczy jednostajnym zawsze trybem, aż do terminu, gdy pani Prefektowa w stanie małżeńskim, a pan Profesor w stanie nauczycielskim emeryturę wysłużyli.

Amant Romantyczny. Pospolicie jest to młody chłopiec, zakochany w starszej od siebie mężatce; i gdy Amant klasyczny, spokojnie nałogowi ulegając, nie myśli, a czasem i sam nie wie, że się kocha; ten zna to, czuje i powtarza to sobie prozą, a swojemu bóstwu wierszami. Platonizm pierwszego pochodzi z mazgajstwa, platonizm drugiego z owej czci czystej i niepokalanej dla ukochanej istoty, która jest zwyczajną oznaką prawdziwej miłości. Na pierwszego kobieta nie uważa wcale, bo żadnego z nim niema niebezpieczeństwa, idzie tylko naprzykład pani Prefektowej, aby pan Profesor trwał w swojem; bo zwierzynę na święcone, ryby na kucyę, pomarańcze i rozmaite inne smaczne przysmaki, rada była spożywać, gdy nic jej nie kosztowały. Z drugim kobieta rozumna ma się na baczności, aby się w chwili uniesienia nie zapomniał... lub aby się sama nie zapomniała... a idzie jej także, aby on trwał w adoracyach: bo jej miłem jest uczucie piękne, które natchnęła, choćby go nie dzieliła, i miłą jest myśl, że je natchnąć jeszcze jest zdolną.

Amant Arystokratyczny. (Patrz Protektor).

Amant całego świata. Inaczej amator płci pięknej. Jest to rycerz błędny w krainie miłości: przebiega on ją jak sławny Donkiszot: wszerz, wzdłuż, w poprzek i na ukos, walcząc o serce z każdą na drodze spotkaną gładką niewiastą. Taką kampanię zaczyna czasami młody i płochy chłopiec i przedłuża ją nieprzerwanie aż do ostatniej granicy wieku marcowego kawalera; za tą granicą starość już go osadza w łożu,

w którem jeszcze usiłuje pięknie się moderować, gdy doń przypadkiem zbliża się kobieta.

Tu następuje dłuższa charakterystyka tego typu.

B) Boruny.

(Z I. seryi »Obrazów Litewskich«)

Popis publiczny w szkole bazyliańskiej w Borunach.

912) *[Tom I., str. 56—61].* Wspaniała nawa boruńskiego kościoła w dniu pożądanym 29-czerwca napełniała się około nieszpornej godziny gośćmi rozmaitej płci, wieku i stanu nawet. Obok pięknych i ozdobnych piórami i kwiatami kapeluszów na wesołych główkach młodych mamuniek lub młodszych jeszcze siostrzyczek, zobaczyć można było gredyturowy [1]) kaptur, lub zastrzępiony dziwacznie czepek nad czerstwem i rumianem licem pani ekonomowej; obok zgrabnej i bogato litemi potrzebami sznurowanej na piersiach pana szambelana lub pana budowniczego taratatki, jakiej nigdzie już teraz nie obaczysz, stał w kapocie szarej szlachcic z okolicy, lub w wytartym żupanie, jedwabnym pasem przepasany, stary dworzanin, po paniczów przysłany...

W ławkach po prawej stronie i od ławek aż do ołtarza na kilku rzędach krzeseł rozmieszczał się ten tłum różnowzory: babunie, mamy, siostrzyczki, ciocie, wujenki na przodzie; dziadulkowie, ojcowie, wujaszkowie i stryjaszkowie z tyłu.

We sto par i więcej wchodzi młodzież i klasami szykuje się naprzeciw publiczności, a tymczasem ksiądz fizyk ustawia z boku na stoliku machinę elektryczną i bateryę butelek lejdejskich; ksiądz matematyk zawiesza na kozłach wykreślone na przepych geometryczne figury, a sam ksiądz prefekt porządkuje na drugim stoliku pięknie zrysowane *erazty* [2]), wyfor-

[1]) Grodetur, gredytur — ciężka jedwabna materya.

[2]) Erazty — rysunki ręczne.

mowane wzory charakterów i ogromny stos *kwestyi* z koperdymentami, mającymi potem w ramkach i za szkłem figurować na ścianach domowych, jako pamiątki talentów szkolnych; kładzie księgę złotą, zawierającą imiona celujących uczniów, i naciska to wszystko globusem, jakby znakiem widomym chciał dać poznać, że wszelkiej doskonałości ludzkiej głową... świat!

Nakoniec wszystko się uszykowało i wszystko pójdzie jak z płatka, bo całe programma już kilkanaście razy przeprobowane. Więc na skinienie z dołu symfonia studenckiej muzyki na chórze otwiera obrzęd; po niej występują jedni po drugich malcy i wszelkimi językami witają publiczność! Ach! czemuż tych oracyi nie pamiętam! jakiż wymowny i rozmaity apendix utworzyłbym z nich na końcu! Po minie, a czasem i rozrzewnieniu mamy lub tatulka poznałbyś, czyj syn oratorem. Rozniesione wnet potem i rozdane, jakby kwiaty z kosza, koperdymenta zajmują bardziej płeć piękną, aniżeli całe popisy; ta dostała różę rozkwitłą i wielką jak talerz, tej przypadł tulipan błyszczący, jak dzbanek ze złota, inna piastuje na ręku kolumnę marmurową z całym koszem kwiatów na kapitelu, u tamtej kupidynek mierzy strzałą do ogromnego rycerza, u którego godłem na tarczy napis: »Kwestye szkoły boruńskiej na klasę V-tą«.

Pannie Katarzynie dostał się z podziału piękny domek wiejski w gaiku i nad strumykiem, z takimże napisem na kominie, jak u rycerza na tarczy; wszędzie dowcip w pomysłach również talent w wykonaniu!!!

Zaproszeni na egzaminatorów pan podkomorzy, pan szambelan i pan budowniczy wystąpili na środek; nie byłoby żartów z tymi panami, gdyby oni Alwar swój przypomnieć chcieli; ale, mając kwestye w ręku, nie sądzili przyzwoitem ambarasować uczniów i nauczycieli innemi pytaniami, które, któż wie, jakby się powiodły: na zadane zaś z pisma odpowiadano wyśmienicie, bo nieukom w wigilię wyjechać dozwolono.

Szedł tak popis klas pierwszych z pochwałami, sypanemi szczodrze każdemu chłopcowi, i przedłużałby się dalej, ale sto-

jący przy swojej elektrycznej machinie ksiądz fizyk, zniecierpliwiony, zawołał:

— Klasa czwarta, mosanie, z fizyki! Co to jest piorun? odpowie pan Leonard.

— Piorun — odpowiedział głośno i śmiało pan Leonard — jest to elektryczność, a dowodem tego butelka lejdejska.

— Brawo! wyśmienicie, mosanie! a zatem proszę do machiny i zrób nam wasan piorun, mosanie!

Powszechna protestacya przeciw temu eksperymentowi objawiła się w damach, ale świadomsi rzeczy egzaminatorowie ośmielili wszystkich, i pan Leonard, pokręciwszy przez kilka minut banie, nabił bateryę i dał ognia, a piorun nikogo nie przestraszył, a wszystkich zabawił.

— Pan Ksawery powie nam, mosanie, o balonach — odezwał się znowu ksiądz fizyk.

— Wielki ten wynalazek...

— ...Na złamanie karku — przerwał ktoś z tłumu.

Ksiądz fizyk spojrzał ostro w tamtę stronę, lecz nie dostrzegł winowajcy, a pan Ksawery, niezmieszany, historyę i sposób tego wynalazku ogłosił publiczności.

— Teraz z matematyki — zagadnął pan podkomorzy, podobno dla honoru urzędu swojego.

— Ale, mosanie, jeszcze niechby powiedzieli o gazach, o ziemi, o powietrzu, o wodzie, o ogniu: wszystko umieją, upewniam!

— To się znaczy o elementach — odezwał się pan szambelan.

— O jakich elementach, mosanie? niemasz już elementów, skasowano je.

— Jakto skasowano? w Imię Ojca i Syna! któż? chyba sam Pan Bóg.

— Nie, mosanie, *pan Lavoisier*, jak zaczął rozbierać po jednemu, przyszło do tego, że i żadnego nie zostawił, a natomiast, mosanie, wynalazł kwas...

— Zwaryowałeś, księże fizyku! co gadasz! — rzekł zadziwiony pan szambelan, i zajśćby mogło na wielką dysputę, lecz znienacka trzecioklasista przy tablicy wykrzyknął cienko, a dobitnie:

— *Centum bovum!*

— Masz, panie szambelanie — rzekł uśmiechając się ksiądz fizyk, masz alimenta, *centum bovum*, sto wołów, a to na kwitę za elementa; *litera nocet, litera docet*, mosanie, a powtarzam panu, że elementa skasowano.

— Proszę uniżenie! do czego to przyszło! — mruczał pan szambelan — na miejscu elementów... kwas!...

— Kwadrat z przeciwprostokątnej równa się dwom kwadratom z dwóch innych boków i t. d. — wrzeszczał tymczasem malec i zwrócił przecież uwagę na swoją stronę.

Tak przebiegano, a raczej prześlizgiwano się lekko po wszystkich naukach. Wymowa i poezya dała powód do deklamacyi wierszów i prozy z celujących naszych ośmnastego wieku autorów; z historyi prawili uczniowie szerokie opisania oblężenia Troi, piramid egipskich, ogrodów babilońskich i urodzajów asyryjskich, jakim podobnych że nigdy w Litwie nie było, przyznali zgodnie słuchacze.

Był na placu i globus, a pośrednie między geografią a astronomią trzymając miejsce, koleją dla pierwszej lub dla szóstej klasy pękate swe wychylał lice.

Powstał nakoniec ksiądz prefekt, i roztworzywszy księgę złotą, po krótkiej przemowie odczytał zapisane w niej imiona celujących w każdej klasie uczniów i promocye ich do klas wyższych.

Nie wiem, jak to się zdarzało, że synowie obecnych na egzaminie rodziców najczęściej w niej zapisanymi byli: i rozjaśniały się twarze rodziców i synków radością niewymowną, rzuciliby się pewnie w objęcia jedni drugich, lecz subordynacya szkolna, równie ścisła jak wojskowa, zatrzymuje malców w szeregach i dręczy niecierpliwością jak najrychlejszego ukończenia parady.

Lecz zostaje jeszcze mowa — mowa to pożegnalna, do której występuje uczeń, kończący kurs szkolny, i mająca swą doskonałością przynieść zaletę mówcy i szkole. Sam ją niegdyś dla siebie w pocie czoła układałem i sam ją perorowałem z powszechnym aplauzem! Zawierała ona, tak jak i inne podobne kolegów moich: 1-ód wyrażenie wdzięczności dla nauczycieli, 2-re pożegnanie kolegów, 3-cie filozoficzne myśli o marności

świata, a o wielkiej ważności nauk, 4-te o Arystotelesie, nauczycielu Aleksandra Wielkiego, i nakoniec 5-te uprzejme życzenia zdrowia i wszelkiej pomyślności sobie i całemu prześwietnemu publicum. Po skończeniu tego arcydzieła elokwencyi ruszano się z miejsc...

Wtem, wśród huku trąb i kotłów opadła zasłona ołtarza, i obraz cudowny Matki Boskiej, w świetlnej gwiaździe z drogich kryształów i kamieni, zajaśniał nad zgromadzeniem. Tłum cały, napełniający świątynię, upada na kolana, starzy i młodzi, dziatwa i rodzice, kapłani, pospólstwo, ubodzy, napełniający kruchtę, wszyscy pokorne do ziemi schylają czoła, natenczas kilkunastu młodzieńców powstaje i występuje z szyku, zbliżają się wprost do ołtarza, klękają na stopniach, i wnet rozległ się chór dobranych, czystych, dźwięcznych a mocnych głosów: *Sub tuum praesidium confugimus!!!* etc.

Ileż to serc razem, ileż westchnień i modłów wzniosło się natenczas do Boga! ileż wzajemnie nadziei i wesela spływało z ołtarza w serca ojców, matek i dzieci! Śpiew się ukończył; chwila potem cichej powszechnej modlitwy; aż znów!... zwolna podniosła się zasłona i zakryła obraz.

Podniosło się więc razem i zgromadzenie, a na twarzach wszystkich wesołość prawdziwa i zupełne z obecnej chwili zadowolenie jaśniały. Zabrzmiał nakoniec marsz huczny, przeprowadzający gości wychodzących z kościoła i siadających do pojazdów, których liczna kawalkata cały napełniała rynek. Pożegnania się kolegów, bardziej szumne, niż tkliwe, gwar powszechny tak licznego zebrania, turkot odjeżdżających pojazdów, trzaskanie z biczów podpiłych furmanów, przerywające jakby wystrzałami z pistoletów cienkie wykrzykiwania płci pięknej, wszystko to razem tworzyło scenę malowniczą i ruchomą, lecz którą całemi szmatami od ogólnego odrywała się obrazu i coraz wolniejszem zostawiała samo tło onego, to jest rynek boruński.

Nakoniec wszystko się w rozmaite rozpierzchło strony, a rynek został pustym i głuchym, tak, jak jest głuchym i pustym teraz, gdy oto ja, oparty o drzwi kościoła, stoję samotny i okiem mej duszy widzę tu rozsypanych przede mną i rozpoznaję wszystkich towarzyszy mozolnych lub miłych chwil

dni moich dziecinnych. Gdzież są oni??? *Gdzie są moi współwędrowcy...?* [1]) ach! trąba już chyba Archanioła zbudzi nas wszystkich i zgromadzi kiedyś dla wydania ostatniej pensy przed wielkim Audytorem całego świata.

C) Pamiętniki kwestarza.

(III. serya »Obrazów Litewskich«).

a) Sejmiki połockie w Uszaczu [2]).

913) *[Tom III., str. 15—18]. Anno 178...* odbyliśmy z panem wojewodą sejmiki poselskie połockie. *Laus tibi Christe*, że przecie żywi wróciliśmy-

Jest co wpisać do tej księgi, ale początek niefortunny.

Przybyliśmy do Uszacza w licznej asystencyi dworu naszego i przyjaciół; za nami nazajutrz napłynęła bracia szlachta naszej wojewodzińskiej partyi i zajęła całą ulicę. Żydów z ich domów wyrugowałem, uczyniwszy jednak każdemu niejaką gratyfikacyę, choć oniby sami się przed nami wynieśli.

Przyciągnęła także nazajutrz i nasza milicya, to jest, dwieście ludzi piechoty, która siedziała w chatach swoich po dobrach pana wojewody, a na rozkaz jego stawała w potrzebie. Mundury, gotowe na cały komplet, leżały na lamusach, i każdy przybywający żołnierz zrzucał siermięgę, a ubierał się w zieloną kurtkę, w takież szarawary, kładł nowe buty, kaszkiecik lakierowany z kitką na głowie, patrontasz przez ramię, brał flintę w rękę i stawał do szeregu.

Pan Piekarski porucznik, który jest razem i koniuszym u pana wojewody, komenderuje tą piechotą i tygodniem przed wyjściem na publikę, najczęściej sejmikową (bo pan wojewoda z nikim, chwała Bogu, nie wojuje), wyprowadza ją codzień na zmianę poparną za dworem, na musztrę.

---

[1]) Zaleski, Duma ukraińska *(Przyp. aut.)*

[2]) Uszacz, miasteczko dziś w powiecie Dziśnieńskim, w gubernii Wileńskiej, w którem odbywały się sejmiki województwa Połockiego. *(Przyp. aut.)*

Pan Piekarski traktował za młodu żołnierkę w pruskiem wojsku; zaczął więc z początku komenderować po niemiecku, ale że chłopi nie zrozumieli i nie mogli przyzwyczaić się do jego *Rychteyt*, więc musiał potem po polsku ich musztrować i pięknie to prostactwo wymoderował; nie mógł jednak żadnym sposobem nauczyć ich pruskich tempów do nabijania broni. Jak więc zakomenderował: *nabijaj!* to czekał potem, aż każdy po swojemu nabił i z cicha pytał: *czy już?* jak odpowiedzieli także z cicha: *już!* wtenczas krzyczał: *tou! tuy!* O Bożym świecie nie wiem, co znaczy takowe *tou! tuy!* Musi to być komenda niemiecka, ale po niej kurki *traf, traf*, nakoniec *cel! pal!* i zawsze jakbyś *orzech zgryzł*.

Pan Piekarski rozłożył się z kompanią swoją za miastem na polu. Przeciwna nam partya Sielickich i Nornickich, z gromadą swojej szlachty, zajęła także kilka ulic i krzyczała, że pan wojewoda chce być *opressorem* województwa, bo na walny sejmik przyprowadził żołnierzy; ale my odpowiadaliśmy, że to nie dla *oppressyi* lub jakiej gwałtownej *preponderencyi*, ale dla powagi i asystencyi jego senatorskiej godności: bo i po prawdzie mówiąc, ładunki prawie wszystkie naszych żołnierzy były puste, jak do salwy przy wiwatach, i tylko dla przypadku mieli oni po kilka z grubym wilczym szrotem w zapasie. Wielką miałem biedę z dostarczeniem i rozporządzeniem *sumptu* dla takiego tłumu, musząc nadto i *quam maxime* myśleć, aby obiady wojewodzińskie były sute i wspaniałe, i asystować jeszcze jako marszałek dworu, to jest, pierwszy dworski, samemu panu. Dobrawszy jednak sobie do pomocy kilku trzeźwych i rzeźwych szlachty, wydoływałem wszystkiemu za pomocą Bożą.

Szło wojewodzie o ważną rzecz, bo o utrzymanie na poselstwie z naszego województwa pana Sulistrowskiego i pana Brzostowskiego, żądanych z góry, a przeciwnicy forytowali pana Sielickiego i pana Reuta, dobrą mając po sobie potencyę szlachty, a nawet niektórych urzędników ziemskich. Rzecz więc była wątpliwa; zwłaszcza, że pan Sulistrowski, oczekiwany codzień z Warszawy, nie przybywał, a sejmik rozpoczynać koniecznie trzeba było, bo wszyscy tego domagali się.

Dopisali wprawdzie i nam przyjaciele. Pan rotmistrz Rudomina przyprowadził *sto szabel*, wszedł on do miasteczka ta-

kowym szykiem: — Na przedzie sam konno, w mundurze wojewódzkim, z buzdyganem rotmistrzowskim w ręku, jakich już i nie widać teraz. Personat! niema co powiedzieć. A wąs! mój dobrodzieju! wąs! mój nawet marszałkowski przed nim ustąpićby musiał z placu. Za nim sześć pięknych, młodych, wysokich, a opiekłych dziewek, w czerwonych aksamitnych, gęsto galonowanych gorsetach i błękitnych grodyturowych spodnicach. Wszystkie sześć grzmiały na waltorniach hucznego marsza; a za niemi szła szlachta, krzesząc w takt pałaszami iskry z kamieni.

Tak przeciągnąwszy przez wszystkie ulice i zgromadziwszy około siebie tłum ludu, dziwiącego się takiej paradzie, pan Rudomina przyszedł do kwatery wojewody i rejestr swej partyi złożył mu w ręce.

— Ojcze święty! — zawołał wojewoda, patrząc na waltornie — miałbym tego za trzy litery, ktoby się do takiej partyi nie łączył.

Pan Stanisław Świeboda, mój dobry przyjaciel, przyprowadził także z pięćdziesiąt rębaczów, takich jak sam; a faworyt to pana wojewody i filar nasz sejmikowy, bo trudno znaleźć takiego jak on gracza do korda.

b) Wieczorynka.

W wigilię reasumpcyi sejmiku pan wojewoda dla jednania sobie szlachty poskładał rano wizyty urzędnikom wojewódzkim, nie omijając przeciwników swoich, a wieczorem wybrał się z drużyną swoich dworzan do pana rotmistrza Rudominy.

914) *[Tom III., str. 24—28].* Idąc my gromadnie i huczno przez miasteczko, na różne trafialiśmy komplementa. Po wszystkich prawie szynkach brzmiała muzyka rozmaita: bo i ja rozdzieliłem dwudziestu czterech naszej kapeli na kilka części i rozprowadziłem po kwaterach szlacheckich, i pan podkomorzy Sielicki miał swoich muzykantów, i z dziesiątek żydków z cymbałami przywlokło się na sejmiki. Z doświadczenia wiedzieli oni, że bród i pejsów całych nie wyniosą; ale też znali i to, że w kieszenie napakują korończyków sowito.

Szlachta wrzeszczała, śpiewała i piła; gdyśmy więc około

swoich przechodzili, wypadała z domów, krzyczała: » *Wiwat pan wojewoda połocki! wiwat!*« Chwytała przytem na ręce wojewodę i podrzucała w górę. Nie opponował się tej subjekcyi wojewoda, owszem wypijał za każdym razem po szklance miodu za zdrowie braci szlachty i przyjaciół.

Ale gdyśmy mijali domy nabite partyą przeciwną, to i wetowano nas niepomału; jednak wszystko mimo uszu puścić trzeba było. I tak: wyskoczył z jednego dziedzińca, na którym pili Zapończyki, jakiś urwis, a poprawiwszy czapkę na bakier, stanął przed wojewodą i tak perorował:

Panie Wojewoda!
Co to za moda?
Na to nie zgoda!
Żołnierzy zbierasz,
Szlachtę pożerasz!

Ryknęła za nim cała hałastra: — *Szlachtę pożerasz! Szlachtę pożerasz!* — Pan wojewoda nie odpowiadając, wszedł między nich na dziedziniec. Patrzali wszyscy, co z tego będzie? Zaczerpnął miedzianym kubkiem miodu z cebra i ukłoniwszy w około — Ojcowie święci! — rzekł — piję za zdrowie przezacnych braci szlachty traktu zapońskiego. Wiwat!

— *Wiwat!* — wrzasnęła szlachta, *wiwat!* wojewoda połocki! *wiwat!* — I zapomniawszy wierszów, porwała także wojewodę na ręce i podrzucała w górę, nie przestając wykrzykiwać: — *Wiwat!*

Jak to u nas nigdy w sercach zawziętości niema! Ale domyśliliśmy się, że wiersze te składał pan Reut: bo to ptaszek *Scholarum Piarum*, do niego z całego województwa, jak do doktora po recepty, udają się po oracye i kadencye, a on sypie wszystkim jak z rękawa.

Przebywszy zatem szczęśliwie wszystkie przeszkody, doszliśmy przecie do dworku pana Rudominy, który nas ze swemi sześcią waltorniami w licznej komitywie przyjaciół spotkał na ulicy.

Wszedłszy do środka, znaleźliśmy wieczerzę nie z *marcypanów*, ale *honeste* zastawioną. Zrazy zawijane, rozmaite kwaszeniny, rosołu kilka waz, a pieczonej zwierzyny *quantitas*, że aż stół się uginał. P. Rudomina jest myśliwym; przed sejmikami

poluje on ze sześć tygodni. Pieczenie więc łosie i sarnie, głowy i szynki dzikowe, łapy niedźwiedzie, zajmowały środek ogromnego stołu; a z zajęcy i różnego ptactwa na szerokich cynowych blatach góry poukładane; prócz tego na osobnych misach rantowych oładki do zrazów i do rosołu. Odbywszy więc kolejkę starej wódeczki, zaczęliśmy repetować wyśmienicie, zapijając tłuste kęsy wybornym trojniakiem, którego pełne flasze stały na kominie. Na miejsce opróżnionych mis i półmisków, stawały nowe, również sowite; te znowu się opróżniały, bo ścisk był około stołu, i coraz to więcej przybywało kompanii. Ale kuchnia pana Rudominy przemogła nakoniec nasz wilczy apetyt. Za trzecią i czwartą odmianą nietknięte już danie zebrano ze stołów, a pan rotmistrz kazał podać wina, i zaczęły się wiwaty.

Pan wojewoda *in casu necessitatis* nie odbiega od kielicha, i rzadko komu udało się go spoić. W domu własnym gdy traktował gości, miałem zawsze kilka butelek wody zafarbowanej winem i zręcznie z nich nalewałem wojewodzie; ale gdy raz złapał nas na uczynku pan podwojewodzi Korsak, musieliśmy porzucić tę sztukę, bo się rozgłosiła wszędzie; teraz więc, *volens nolens*, szczery ciągnie trunek; a jeżeli już tak się spije, że go do łóżka prowadzić trzeba, to mam w pogotowiu kilka serwet i misę zimnej wody; okładamy zatem całą głowę umoczonemi w wodzie serwetami. Wnet gorąca czupryna pana wojewody parować zaczyna, ale razem i chmiel wychodzi. *Probatum*, że takim sposobem trzy razy od pory do pory upić się i wytrzeźwić się można; a zapisuję to dla pamięci własnej i *propter utilitatem publicam.*

Więc tedy po wieczerzy piliśmy u pana Rudominy *lautissime;* za każdym wiwatem, do dna duszkiem spełnionym brzmiały waltornie, i dziewki przyśpiewywały chórem i wesoło:

Wypił, wypił, nie zostawił —
Hu! ha! nie zostawił!
Bodaj go Bóg błogosławił —
Hu! ha! błogosławił! etc.

a potem huknęły *kurdesza* i *czumadrychę.* Wytrzymać już nie można było! *Czumadrycha* to skoczna nuta: więc poły za pas zawinąwszy, wyrywali nasi bracia dziewki od waltorniów i dalej w *obertasy.*

Ja tego uczynić nie mogłem z racyi prezencyi wojewody, ależ jednakowo choć na miejscu podskakiwałem, bo i w głowie szumiało i powiadam, że dalipan trudno było ustać. Sam pan wojewoda, *ukonsolowany* nader, całą kieskę rzucił na waltornie, a za jego przykładem, ile talarów i złotówek posypało się, trudnoby zliczyć. Garściami dziewki zbierały pieniądze; ależ bo i warte tego! Niech ich tam... Pan Bóg sekunduje!

Razem tak wszystko: i śpiewanie, i skoki, i wiwaty, i krzyki, hu, ha! wrzały jak w garnku i rozlegały się od naszego dworku na całe miasteczko; i dobrze już w noc było, gdy oto dwa wystrzały gruchnęły nam pod oknami. Posypały się szyby, a po waltorniach, jakbyś grochem sypnął, grankulki. Przelęknione dziewki wrzasnęły okrutnie; my także krzyknęliśmy: *Jezus! Marya!* i osłupieli jak wryci... Wnet ktoś zawołał: — Łapać *excessantów!* — a zatem hurmem wypadliśmy do ogrodu, na który okno potłuczone wychodziło, i rozbiegliśmy się tam na wszystkie strony. Ale cóż? noc ciemna, choć oko wykol, i deszcz puścił się gęsty; nogi u wszystkich niepewne; więc po ślizkiej ziemi każdy na pierwszym kroku to upadł na grzędy i twarz sobie błotem oszpecił, to łeb o drzewo rozkwasił, wstawał jednak i latał, jak w żmurki grając. Wszyscy krzyczeli. Łapaj! bierz! trzymaj! bij go! wiąż! — nie wiedząc kogo. Chwytał jeden drugiego, a poznawszy się, puszczał, i znowu obadwa polowali. Zamieszanie i zgiełk niewypowiedziany — istna wieża babilońska.

Nakoniec zapalono kilka pochodni, ale i to nic nie pomogło; posmalili tylko drzewa i gdyby nie deszcz, możeby dworek zapalili. Ogródek dość obszerny, obity jest ostrokołem; widać więc, że pijanice jakowiś, strzeliwszy do okien naszych, jak w ul, w tenże moment przeskoczyli ostrokoł i już byli daleko, gdyśmy ich szukali; znaleźliśmy tylko pod płotem rożek z tabaką, i to cały sukces wyprawy.

Zmokli po próżnej bieganinie, zebraliśmy się przecież do izby. P. Rudomina ledwo nie pękał ze złości, że w jego kwaterze taki traf spotkał wojewodę; przepraszał go pokornie, choć najmniej nie winien; raniutko nazajutrz miał manifestować, sam nie wiedząc kogo; a nakoniec, po wzajemnych najserdecz-

niejszych *expostulacyach*, wypiliśmy jeszcze po kielichu. Dziewki huknęły na honor pana wojewody:

To to pan, to to pan, to dobrodziej nasz!
A my jego sludzy,
Pijmy, jak i drudzy.
To to pan, to to pan, to dobrodziej nasz![1])

I rozpaliwszy pochodnie, poszliśmy do własnej kwatery.

c) Sesya sejmikowa.

915) *[tom III., str. 31—42].* Pan wojewoda rozesłał już po mnie na wszystkie strony; lecz gdym stanął przed nim i opowiedział racyę mojej nieobecności, gdy jeszcze ukazał się za mną i pan Stanisław, uścisnął nas obu i winszował *wiktoryi*.

Trafiliśmy na same *consilium bellicum*. Był już pan podwojewodzi *Korsak*, pan *Rudomina*, pan *Szyryn*, pan *Podwiński* i kilku innych wojewodzińskich. Po wczorajszym zwłaszcza *excessie*, gdy podobne *periculum* powtórzyć się mogło, zdanie było wojewody i niektórych panów zgromadzonych na radę, aby rozłożyć milicyę na cmentarzu około kościoła i postawić szyldwachy przy drzwiach.

Już nawet rzekł do mnie wojewoda: — Ojcze święty! biegaj do Piekarskiego, niech w pięknym moderunku wprowadza wojsko do miasta... Kapelia na przedzie.

— A któż będzie sejmikować? — odezwał się pan Podwiński — bo, mości wojewodo, ani pan podkomorzy, ani ktokolwiek ze szlachty jego partyi, ani nawet ja sam nie wstąpię nogą do kościoła, gdy ten wojskiem otoczony będzie. Choćbyś więc JWPan zagaił sejmik i obrał posłów, to nie będzie ani legalnie, ani z honorem pańskim; a rumor nieżyczliwy, który i tak się szerzy pomiędzy szlachtą, że JWPan chcesz *oppressive* działać, zweryfikuje się *plenissime*, i już potem nie naprawić tego.

— Więc cóż robić? ojcze święty!

— Działać, mości wojewodo dobrodzieju, jak na zacnego senatora i przewodnika województwa przystoi, a razem nie za-

[1]) Dawna piosenka hulacka. (*Przyp. aut.*)

niedbać i ostrożności. Wprawdzie zawziętość przeciwników jest wielka, ale jednakże wczorajszy strzał nie jest bynajmniej z ich *insynuacyi*, bo obywatele zacni i uczciwi do takiej akcyi wcale niezdolni, i krzywdę im uczyni, kto taką *suppozycyą* na nich chowa; a w ogólności, u naszej poczciwej szlachty i u panów chrześcijańskich więcej wrzasku niż złości...

— Cóż w konkluzyi? ojcze święty!

— W konkluzyi, idź pan śmiało do kościoła i zasiądź swoje senatorskie *stallum*; przywołaj do boku swego urzędników ziemskich i zagajaj sejmik. Dobrani i doświadczeni przyjaciele otoczą pana, a tak niczego lękać się nie będzie potrzeba.

Przystali wszyscy na tę mądrą radę pana pisarza, a zatem rzekł do nas z panem Stanisławem wojewoda: — Ojcowie święci! wybierzcie sto szabel dowodnych i trzeźwych i zasadźcie od wielkiego ołtarza; a gdy rozporządzicie wszystko, wasan, panie Stanisławie, zostań dla komendy, a waść, ojcze święty, powracaj tu do mojej asystencyi.

Poszliśmy więc z panem Stanisławem do księdza przeora Dominikanów, w ich bowiem kościele miał się odbywać sejmik, i udawszy się z nim do kościoła, wynieśliśmy stamtąd z należytą *adoracyą Sanctissimum* do klasztornej kaplicy; potem *in ordine* braci klasztornych stuknąwszy na śniadanie *crematum*, szliśmy wybierać gwardyę dla wojewody, klucze kościelne zabrawszy z sobą.

— Panie bracie! Panie Michale! — rzekł do mnie pan Stanisław — po co darmo mamy włóczyć się? Mam pod moją *manudukcyą* pięćdziesięciu *Porczyńskich*, cała okolica; chłopy jak dęby; zajmę z nimi *presbiterium;* ręczam, że dotrzymają *Zapończykom*, i że nikt, oprócz wojewody i urzędników, ani nosa za kratki nie potknie.

Dictum-factum. Zaczekałem z pół godziny na cmentarzu, i ujrzałem pana Stanisława, prowadzącego swoich *gracialistów.* Gorący hultajski bigos, którego na śniadanie cały kocioł zjedli, i miód grzany, którym sowito zaleli, zaczerwienił ich twarze i nosy; idąc poważnie, ocierali tylko tłuste wąsy i spotniałe czupryny.

Przeciwnicy nasi, wyskakując z dworków, wołali: — Świebodczuki! a dokąd? Świebodczuki! — Porczyńscy poglądali

z pode łba, jak niedźwiedzie, i ciągnęli spokojnie; ale wara do nich podstąpić!... lub dać zaczepkę!... bo jakby płatnął który!...

Zasadziwszy więc ich, podług instrukcyi pana wojewody, od wielkiego ołtarza, otworzyłem nawściąż drzwi kościoła, a zamknąłem furtkę od zakrystyi, i schowałem klucz za nadrę, aby na wszelki przypadek mieć wolną drogę do *rejterady*. Pan Stanisław został na komendzie, a ja poszedłem uwiadomić wojewodę.

Zatem ruszyliśmy do kościoła.

Pan wojewoda magnificenter wystąpił i dalipan po pańsku. Kontusz granatowy z sajety jak atłas, ze sznurami i kutasami złotymi; żupan materyalny, spięty karbunkułem na szyi, którego gdyby brat szlachcic dostał, miałby chleba na całe życie; pas bogaty w karpią łuskę, a złoto ciekło z frenzlów; nakoniec wstęga błękitna Orła Białego, a gwiazda na piersiach i pałasz w jaszczur i blachy złociste oprawny. Wszystko to do pięknej figury pana wojewody raźnie przypadało. Pan to sudanny, ale nie suchy, białego lica, włosy nosi podstrzyżone, ale mu brzytwa koło łba nie chodzi: bo i fryzury i łby golone wychodzą już z mody; oko błękitne, wąsy z węgierska, suknie wszelkie nosi krótko, but jak oblany. A kiedy tak wystrojony i w dobrym humorze podsunie się gracko do jakiej kobietki, to rośnie jak na drożdżach dobrodzika, a pani wojewodzina bez ustanku tabakę zażywa.

Za panem wojewodą szli nasi przyjaciele i urzędnicy ziemscy; ja tuż za nimi prowadziłem *circiter* trzysta szlachty, którym, jako i Świebodczukom, po bigosie i palonym krupniczku z łysin się kurzyło. Uspakajałem, jak mogłem, ich hałasy, gromiłem przechwałki; i słuchali mnie, bo znając prawie każdego *de nomine et cognomine* i sustentując ich hojnie, zjednałem sobie między nimi wielką *konsyderacyę*.

Podchodząc pod kościół, usłyszeliśmy okrutną tam wrzawę; a nakoniec, gdyśmy wchodzić mieli, Junosza, znajomy nam zapończyk, wrzasnął na całe gardło:

— Kiedy nas wasz pan Twardowski (tak oni przezwali pana Stanisława, podrażniając jego chromotę) nie puszcza za kratki, to my was do kościoła nie wpuścim i zamkniem drzwi przed nosem.

Jakoż zatrzasnął drzwi kościelne i drągiem zewnątrz zawalił.

W kościele do większej jeszcze przychodziło wrzawy. Lękaliśmy się, aby nie okrwawiono domu Bożego. Ale nie domyślali się panowie Zapończyki, że ja mam w kieszeni sposób wejścia do kościoła i bez ich łaski; podałem więc klucz od zakrystyi wojewodzie.

— Ojcze święty! masz rozum — rzekł on. — Chciałem mu przypomnieć *infimę*, alem właśnie postrzegł, że byłem w paliowym atłasowym żupanie.

Raptem więc ukazaliśmy się w kościele między naszą Świebodzińską gromadką. Zapończyki *obstupuerunt*, ujrzawszy nas jak z nieba spadłych. — Zdrada! zdrada! — krzyczał pijany Junosza — Twardowskiemu dyabeł sekunduje!

— A ty, heretyku przeklęty! — krzyknąłem przystępując doń impetycznie w domu Bożym o dyable tobie wspominać! Czekaj! idę wraz do Dominikanów i donoszę im twoje bluźnierstwa. Oni ciebie wyklną, a my upieczem na stosie, jak raka. A toż, mości panowie, sklepienie kościelne na nas zapadnie, kiedy będziemy między sobą chować tego niedowiarka. Precz z domu Bożego! precz! — I śmiało przeszedłszy kościół, odsunąłem drąg i otworzyłem drzwi, jakby dla wywleczenia Junoszy; ale on od swoich nawet łajany, opuścił uszy i schował się gdzieś pod ambonę; a tymczasem przez otwarte drzwi zwalili się hurmem nasi i wśród nich wetowani bez miłosierdzia panowie Sieliccy, Norniccy i ich adherenci, którzy trafili pod kościół wtenczas, gdy przede drzwiami stała rozgniewana nasza szlachta, obwiniająca ich o promotorstwo w uczynku Junoszy, lubo ich i obecnych nie było.

* * *

Otóż to zaczął się hałas i kweres, kiedy się kościół już napełnił. Boże, zlituj się! Myśliłem, że nie trafim już do końca.

Nie czekając *reasumpcyi* sejmiku, podkomorscy krzyczeli: — Prosimy na posłów pana *Sielickiego* i pana *Reuta!* Wiwat pan *Sielicki* i pan *Reut!* — Nasi wrzeszczeli: — Wiwat pan *Sulistrowski* i pan *Brzostowski!* posłowie województwa Połockiego!

— A gdzież on? ten pan Sulistrowski? — zapytywali jedni.

— W antypodach! — z przygryzkiem odpowiadali inni.

Wtem pan Stanisław ukazał się znagła na kratkach i wrzasnął okrutnie: — Prosimy naprzód spalić heretyka *Junoszę!* kto w Boga wierzy, *pal!* bo kiedy heretyków żywić będziemy, sami marnie poginiem.

Więc wszyscy Porczyńscy krzyknęli: — Palić heretyka! palić!

Spójrzałem w oczy panu Stanisławowi. — *Stemus simul!*— rzekł do mnie — popieraj moją propozycyę, panie bracie! I znowu zaczął perorować: — Kto z kim przestaje, takim się sam staje: więc i my, mości panowie, mając społeczeństwo z heretykiem, sami nie ujdziem herezyi. Do niczego zatem nie przystępuję, nim ta materya skonkludowaną nie będzie. To materya *status*, gdzie idzie o zbawienie duszy! Znowu więc wrzask: — Spalić Junoszę!

Zrozumiałem ja, o co idzie panu Stanisławowi, więc krzyknąłem: — Nie pozwalam! Junosza nietylko heretyk, ale i czarownik. Sam byłem świadkiem, jak raz wypił trzy garnce tęgiego trojniaku i nie upił się. To nie w swój duch! to czary! to nie żarty! Ale po sprawiedliwości trzeba, aby był wprzód *jure victus;* a zatem spławić go należy. Ja znam cały proceder tej operacyi, bo już cztery baby pławiłem; proszę zatem o ekshibicyę osoby czarownika, a ja go *ex nunc solita praxi* spławię na...

— Jeżeli potonie, to i wyciągać nie trzeba, bo heretyk; a jeżeli pływać będzie po wierzchu, to czarownik! I na to *spectaculum* wszystkich panów braci szlachtę i dobrodziejów zapraszam.

— Niema zgody! — krzyczał Świeboda i Świebodzińscy. — Na co te ceremonie z heretykami? *Pal!* kto w Boga wierzy, *pal!*

— Pławić! — krzyczałem ja i dawałem znak moim wojewodzińskim, którzy ryknęli, że aż kościół zatrząsł się:

— Pławić czarownika Junoszę! po świętej sprawiedliwości, pławić!

Panowie urzędnicy patrzali na nas z podziwieniem. — Ojcowie święci! — rzekł wojewoda — czyście poszaleli?

— Nie bój się pan — szepnął mu pan Stanisław — nie spalim, tylko wykurzym tego burdę i opoja. A krzyczał głośno: — Czy palić, czy pławić, zawsze naprzód prosimy o *extradycyę* Junoszy... a kto go bronić będzie, ten sam potępieniec!

A ja krzyczałem: — Zapraszam panów braci na pławienie!

Junosza coś wrzeszczał i dąsał się pod amboną, ale nikt go nie słyszał; a gdy jeszcze któryś z jego sąsiadów Zapończyków krzyknął:

— To ciekawe *spectaculum*, pławienie czarownika! na życiu mojem tego nie widziałem. Wiecie co? mości panowie? dajmy Junoszę na próbę. Widząc on zatem, że gotowi dla samej ciekawości wydać go na *stracenie*, chyłkiem po za filary wycisnął się z tłumu i uciekł z kościoła.

* * *

Tymczasem pan Podwiński pisał a pisał. Pan wojewoda chociaż po kilka razy wstawał i zaczynał swoje: Ojcowie święci!... ale zagłuszony zawsze naszym wrzaskiem, usiadał znowu i czekał, aż pan Podwiński dał znak głową, że już skończył. Wtenczas powstał pan wojewoda dla *reassumpcyi* sejmiku; a że Jezuici nie wyśpieszyli oracyi, chociaż dwa razy do nich do Połocka posyłano, a *elokwencya* pana wojewody *ex abrupto* niezawołana, przeto powtórzywszy znowu: — Ojcowie święci! panowie bracia i dobrodzieje! — dodał tylko — pokornie suplikuję wysłuchać *reassumpcyi* naszego poselskiego sejmiku, zapisanej przez godnego urzędnika ziemskiego, wielmożnego pisarza Podwińskiego, *cum laudo circa securitatem publicam*, na które rozumiem, iż zajdzie zgoda całego prześwietnego województwa.

— Co za *laudum?* jakie *laudum?* — odezwali się Sieliccy. — Na żadne niema zgody.

— Otóż wysłuchajcie najprzód, jakie *laudum* — rzekł powstając pan pisarz — bo teraz krzyczycie, nie wiedząc o co. *Promotor* ich wszystkich podkomorzy, konsyderując pisarza, równie jako i wojewoda, a rozumiejąc go być swoim, tak jak my rozumieliśmy go być naszym, skinął ręką na swoich, to i cicho.

Odczytał zatem spokojnie pan pisarz swoją *reassumpcyę*

i *laudum*, w którem wyrażał: aby każdy, ktoby *in tractu* obrad w kościele dobył szabli, uznanym był *tanquam contumax* i jako taki wnet z koła sejmujących był wyłączonym.

— Jakto? — wrzasnęli Zapończyki — a na cóż u licha szabla, gdy jej wyjmować nie można? Panie pisarzu! przyczep sobie łuczywkę do boku. Panie wojewodo! każ kurki poodkręcać od muszkietów u swoich żołnierzy, to i my wtenczas szable odpaszem. Pan Podwiński *skorumpowany!* niema zgody!

A więc znowu sprzeczki między starszyzną za kratkami, a zwady i krzyki po całym kościele... gdy nagle odgłos trąbki pocztarskiej rozległ się przed kościołem... Umilkła wrzawa, wszyscy zdumieni obrócili oczy na drzwi, w których wnet ukazał się pan Alojzy *Sulistrowski*, pisarz wielki Litewski.

Szlachta nasza połocka jego nie znała: bo on *de radice* oszmiańczuk, ma tam swoje dobra *Szemetowszczyznę*, *Wiszniew*, *Czurlonie*, do których zawsze zajeżdżamy z panem wojewodą, jadąc do Wilna. Lecz że tak wypadło z wyższych *intencyj*, aby z Oszmiańskiego posłami byli pan *Kocieł* i pan *Bieńkuński*, więc pan pisarz wielki litewski, mający w Połockiem województwie jakiś folwark, postanowił stąd posłować i napisał wcześnie o tem do wojewody.

Wielki *rumor* się zrobił na jego widok. Zostawiono mu szeroką lukę, aż do kratek, wśród której postępując, kłaniał się on na wszystkie strony. A wiadomość kto on jest, rozbiegła się wnet po kościele, jak równie, że przybywa prosto z Warszawy.

Niewysoka to kreatura pan *Sulistrowski*, ależ głowa! mądra, że na bok i nasz pan *Podwiński*. Niema on i nie stara się o popularność między szlachtą, a nawet go szlachta oszmiańska nie lubi, bo jak pokaże się na sejmikach, to już i po sejmikach. Bez *oracyów*, bez *argumentów* i *traktamentów*, to wszystko pięknie na osobnych z każdym kandydatem *konferencyach* ukartuje, że ani się postrzegą, jak zawziętość zniknie, pokój święty następuje, a *stalla* i urzęda biorą jednomyślnie ambijenci, o których przed sejmikami sam tylko pan Sulistrowski wiedział, a szlachcie ani się śniło! Powracają więc potem spuściwszy nosy na kwintę, do domów, przeklinają Sulistrowskiego, że ten intrygant i *farmazon* skończył *insperate* sejmiki, a ich przed czasem od szabli i miodu do sochy i wody odpra-

wił. Przyszedłszy do stołu, pan Sulistrowski uścisnął poufale pana wojewodę, przywitał się grzecznie ze wszystkimi i wyjął z zanadry list, zapieczętowany wielką białą pieczęcią, oddał go panu wojewodzie, mówiąc: »*Od Króla Jego Mości*«.

Pan wojewoda, dostawszy listu z koperty i przebiegłszy go — Ojcowie święci, panowie bracia i dobrodzieje! — rzekł — ponieważ pismo Miłościwego pana bardziej się tycze całego województwa, aniżeli mnie samego, przeto odczytam je głośno.

Ciekawie wszyscy nadstawili uszy i z owego krzykliwego zgiełku nastało milczenie, jakby anioł przeleciał. Czytał zatem głośno pan wojewoda *ut sequitur*, bom zaraz sobie ten list *copiatim* przepisał. To nie żart! list od *koronata!*

»Wielmożny uprzejmie nam miły! Nadchodzi czas wyboru posłów ziemskich na sejm przyszły, prawem oznaczony. Prześwietne województwo Połockie posiada zapewne w gronie swojem mężów, których światło i miłość dobra publicznego odpowiedzieć godnie może oczekiwaniu i troskliwości Naszej Królewskiej, lecz dogodziłoby się życzeniom naszym, aby z tego województwa W. Alojzy Sulistrowski, pisarz wielki litewski, i urodzony Michał Brzostowski, posłami obranymi byli. Oświadcz Uprzejmość Wasza to życzenie Nasze prześwietnemu województwu Połockiemu, na sejmik zgromadzonemu, i razem łaskę królewską. Dobrego przytem zdrowia Uprzejmości Waszej od Boga życzymy«.

Po odczytaniu znowu było milczenie, aż ktoś z ławek odezwał się: — Łaska pańska na pstrym koniu jeździ! — A tem jakby pobudzony powstał pan podkomorzy Sielicki, zabrał głos i rzekł:

— *Salvo respectu* pismu Najjaśniejszego pana; uważam jednak, że takowe jest *in praejudicium* prerogatywy naszej szlacheckiej, obierania urzędników po naszej woli. Gdy ja z ojców, dziadów i pradziadów moich, odwieczny *civis et servus* tego prześwietnego województwa i każdego z braci szlachty *ausus sum* funkcyę poselską na przyszły da Bóg sejm piastować i o takową dopraszam się; przeto pokładając nadzieję w waszych braterskich *affektach*, (tu kłaniał się na wszystkie strony) nie odstępuję *ambijencyi* i godnego ze wszech miar J. W. pisa-

rza litewskiego, acz przez majestat *promowanego*, na wota proszę.

Pan *Sulistrowski* stał spokojnie, nic nie odpowiadał, tylko pokręcał wąsika; a szlachta krzyczała: — Prosimy pana *Sielickiego!*

Wrzawę przerwał pan Stanisław, wrzasnąwszy: — Oto *Reverendissimus Reut* z kazaniem! — Bo też zjawił się na ambonie pan Reut. Obrócili się wszyscy do ambony, a pan Reut tak perorował:

— Bracia szlachta! ja wasz brat szlachcic! a szlachcic na ogrodzie równy wojewodzie! to wszystkim wiadomo; a co do króla Jegomości, to on w Warszawie, a my w Uszaczu. Pan kasztelanic senatorowicz, a ja łowczyc z Amtorowicz, (tak się nazywa folwarczek pana *Reuta*), i kto z nas nie będzie posłem, to niech p... zje w kaszy, a zostanie tym, co zostanie. *Dixi.*

— Brawo! — krzyknęła szlachta — brawo! Wiwat pan *Reut! Wiwat* pan łowczyc, poseł nasz! *wiwat!*

— Prosimy pana wojewodę o wota, kandydaci wiadomi — odezwała się przeciwna nam starszyzna. I moment był krytyczny: bo nasi także przebąkiwali, szczególniej przeciw panu Sulistrowskiemu. — Na co nam oszmiańczuka, kiedy mamy własnych?

Poznał on, na co się zanosi; szepnął więc na ucho panu wojewodzie, a ten się odezwał: — Ojcowie święci! spóźniona pora, sejmik jest *reassumowanym;* odwołuję więc sesyę na jutro.

— Niema zgody! — krzyknęli *ex opposito* — niema zgody! *Pluralitas* widoczna — dodał pan *Sielicki* — więc albo niech panowie współambijenci nasi dobrowolnie odstąpią, albo, mości wojewodo, prosimy przystąpić do wotowania.

Zawrzało wtenczas, jak w garnku. Nasi krzyczeli, że sesya odwołana do jutra. Głuszyli nasi przeciwnicy, wrzeszcząc: — Panie wojewodo, dawaj *kałkuły.* Wiwat pan *Sielicki* i pan *Reut!*

Rady już żadnej nie było. Znowu rzekł pan wojewoda: — Ojcowie święci! odwoławszy sesyę, nie mam tu nic do czynienia. — I zabierał się do wyjścia, tędy, kędy i wszedł, to jest, przez zakrystyę.

Pan *Sielicki* oświadczył zatem, że w takim razie obiorą sobie marszałka, lub sam, jako podkomorzy, kontynuować będzie obrady.

— *Quo jure?* ojcze święty!... — Bliziuteńką już zwadę przerwał pan *Sulistrowski;* zbliżył się on do pana *Sielickiego* i rzekł po swojemu, to jest z cicha i skromnie:

— Racz, Mości podkomorzy, zgodzić się na odkład sesyi do jutra, dogodzić się przez to może życzeniom Najjaśniejszego pana, który przeze mnie samego teraz przesyła panu dowód swej łaski pańskiej i nagrodę obywatelskich jego zasług.

— Cóż takiego? — zapytał podkomorzy.

— Nie czas to, ani miejsce tłumaczenia rzeczy ważnej wśród takiego tłumu; ale proszę mi ufać, a nie pożałujesz pan tego.

Sielicki zaczął miękczeć i konferować ze swojemi. Szlachta nie wiedząca o niczem wreszczała jednak... Aż pan Stanisław znowu zjawił się na kratkach i krzyknął z całego gardła: — — *Panie Mateuszu! a prowadź waszeć!* — I wnet znowu w tłum się schował.

— Na jakiego Mateusza wołasz? — zapytałem.

— Na każdego, który tu jest, panie bracie! Obaczysz skutku.

Jakoż zrobił się wnet ruch między szlachtą. Z pięciu, czy więcej znalazło się Mateuszów, a każdy rozumiejąc, że to na niego wołano i że tem samem uważanym jest *promotorem* swojej gromady, chciał dotrzymać takowej *preponderancyi*; zwoływał więc, gromadził, popychał, gospodarzył, a nakoniec któryś z nich podjąwszy czapkę w górę, zawołał: — Na obiad! Mości panowie! na krupnik i na pieczenie! mości panowie!

Podobała się propozycya. — Na pieczenie, na pieczenie! — huknęła ochotnie bracia szlachta, zapomniawszy sejmikowych kłótni, i Mateusze wraz większą połowę tłumu wyprowadzili z kościoła.

— Ojcowie święci! — rzekł wojewoda — piszę się na ten projekt i zacnego naszego gościa, a przy nim i całe koło prześwietnych urzędników na obiadek pokornie proszę.

Ciekawy obiecanych dla siebie łask królewskich, zgodził się po niejakiej *molestacyi* i podkomorzy; więc wszyscy hurmem wyszliśmy z kościoła, i wnet cały Uszacz zajadał pieczenie.

d) Pamiętniki kwestarza.

Jedna z anegdot kwestarskich. Stary woźnica, Marcin, opowiada młodemu kwestarzowi o jego poprzedniku:

916) *[Tom III., str. 136—137].* A raz przyjechaliśmy do okolicy szlacheckiej koło Pińska. — Szlachta, rzekł do mnie ks. Jacek, podjeżdżając, niewiele chowają owiec i sami kożuchów potrzebują, ale za to wiele i tłustych wieprzów żołędziami ukarmiają, bo lubią kiełbasy i słoninkę, muszą więc mieć jej zapasy dobre. Obaczysz waszeć, jak ich zażyję.

W okolicy, tak jak u Bielewicza, wszyscy my brat za brat, razem w jednej chacie, więc słyszałem, jak on ich zażył.

Po *pochwalonym* i rozgoszczeniu się nazbierało się do tego domostwa, gdzieśmy zatoczyli nasz obóz, wiele sąsiadów, i zapalono krupniczek w kilku miskach, posilaliśmy się sobie skutecznie. Prawdę mówiąc, ksiądz Jacek lubił pociągnąć; wypróżniając więc drugi czy trzeci kubek: — Dobrze mnie tu między wami, panowie bracia szlachta! rzekł on, używam w zdrowiu z łaski waszej darów Bożych, a tam w klasztorze biada! bardzo źle!

— Cóż takiego? — odezwali się.

— Choroba, śmiertelna choroba!

— Jaka? gorączka? zaraza?

— Oj, nie to licho, gorzej. Oto, wszyscy z mocnego śpiewania w chórze pozrywali sobie piersi i teraz wszyscy kachu, kachu — ani sposobu. Pan doktor *Eme*, nadworny księcia, całemu konwentowi zadeklarował suchoty, kiedy rychłego nie będzie ratunku.

— A niechże Pan Bóg broni! Niech doktór daje lekarstwa. Na toż on doktór.

— Otóż to bieda, że ani on, ani żadna apteka takiego lekarstwa niema, a proste, ale dyabelnie, jak on mówi, skuteczne.

— A jakież to lekarstwo?

— Trzeba nosić na piersiach szrot tłustej słoniny, taki, aby całe piersi pokrywał.

— Ależ to ciężko — powiedział któryś.

— Ciężko, ciężko, ale zdrowo!

To tedy zawołał mnie ksiądz gwardyan i rzekł: — Jedź

waszeć, księże Jacku, do braci szlachty pińskiej. Cały świat wie, że to ludzie pobożni i poczciwi, a przyjaciele Bernardynów, niechże nas ratują. A gdym był na wozie, powiedział jeszcze: Pamiętaj waszeć, biorąc słoninę, mierzyć połcie na całe piersi, bo tak pan doktór kazał, i dostarczaj prędko, bo poumieramy. — Ratujcież więc, panowie bracia! szczególniej imoście, jako siostrzyczki różnych bractw pobożnych. Za to cały nasz konwent i niegodny wasz sługa ksiądz Jacek, ubogi kwestarz, o żadnej w modlitwach nie zapomnimy, a zatem po najdłuższem życiu, wszystkie, jak z regestru, do nieba iść będziecie.

Niektórzy panowie bracia pokręcywali głową, niebardzo wierząc tej naszej chorobie! Ale jednakże nazajutrz siostrzyczki jak zaczęły nam znosić lekarstwo, tak całą furę połciów wyprawiliśmy do klasztoru.

Opracował WACŁAW BOROWY.

CXXI.

SZTYRMER LUDWIK.

(1809—1886).

Utalentowany, ale zapomniany dziś już powieściopisarz urodził się w Płońsku dnia 30 kwietnia r. 1809 z ojca Jakóba Stürmera, lekarza wojskowego, i matki Julianny, z domu Linkowskiej, z pierwszego męża Kraszewskiej. Nauki pobierał kolejno w Siedlcach, następnie (1821—25) w wojskowej szkole kadetów w Kaliszu, wreszcie w szkole aplikacyjnej w Warszawie (1825 – 1829). W dniu 16 sierpnia 1829 otrzymał rangę podporucznika artyleryi pieszej i odbywał służbę w Kozienicach, gdzie stała jego baterya W tym czasie rozbudziła się w jego sercu nieśmiała miłość, której przedmiotem była Emilia Pieniążkówna z niedalekiej Policznej. W kilka dni po bitwie Grochowskiej, w której się odznaczył, dostał się do niewoli i jako jeniec zesłany został w głąb Rosyi. Pamiętniki Sz. pozwalają skreślić wizerunek duchowy przyszłego autora. Młodzieńcze jego doświadczenia, marzenia, przeżycia dostarczą mu później osnowy do pierwszych i najcenniejszych jego utworów. Od matki, skromnej, cichej i łagodnej istoty, tyranizowanej przez nieokrzesanego, szorstkiego, ulegającego nałogowi męża, otrzymał syn w puściźnie nieśmiałość, pozbawiającą go przytomności umysłu i rzutkości, gdy się znajdował w towarzystwie. Pewność siebie i należytą oryentacyę uzyskiwał, gdy był sam na sam ze swą myślą. Stąd pochodzi upodobanie już w chłopięcych latach do samotności, do długich przechadzek, do błąkania się w odludnych miejscach, gdzie było można puścić wodze marzeniu. Lotnej fantazyi nie posiadał nigdy (stąd niezdolność do obmyślenia fabuły urozmaiconej a ciągłej), więc świat rzeczywisty wyobraźnią odtwarzał i przetwarzał, siebie i osoby znane stawiał w sytuacyach niezwykłych, badał uczucia swoje, znajomych, przyjaciół, snuł wnioski, czynił postanowienia. A w środku tego, tak przetworzonego czy wymarzonego świata był zawsze on sam. Smoków nie zwyciężał, nie osłaniał niewinności

od niebezpieczeństw, ojczyzny nie zbawiał. A nietylko marzył o sobie, ale i był ambitnym. Ambicya pobudzała go do studyów, które zdolności wrodzone czyniły łatwemi. Potrafił jednak wyobraźnią wyczerpać z góry całkowitą słodycz tryumfów (szczególne upodobanie czuł do matematyki).

Lecz nietylko tryumfy ambicyi były treścią marzeń chłopca, później młodzieńca. Czuły i wrażliwy, potrzebował, by go kochano. Prawdopodobnie i tu on był pierwszą osobą, wymagającą bezwzględnej ufności, oddania się. I tu było źródło jego zawodów, które go nieufnie i pesymistycznie usposobiły względem ludzi na całe życie. Jego czułość i wrażliwość kojarzyła się w dziwny sposób z chłodem, z czuwającą refleksyą. Nieraz wrażliwość i dobroć popychała go do czynów szlachetnych; niemniej dwoistość tkwiła w tej naturze. Szukał przyjaźni, oddawał się jej z chorobliwą namiętnością, ale uczucia te, jakkolwiek nieraz gwałtowne, nie były głębokie i trwałe. Po jakimś czasie przychodziła zupełna obojętność i zapomnienie. Doznawane zaś zawody i nawet upokorzenia, a zarazem poczucie wyższości umysłowej, wyrobiły w nim stopniowo pewne wyniosłe lekceważenie ludzkich uczuć i ludzkiego rozumu. To znowu uniemożliwiało zupełne oddanie się jakiemuś pociągowi, wytwarzała się nieufność względem własnego uczucia. Refleksya za przedmiot swój obierała czynności samego badacza. Lecz los oderwał Sz. nagle od wszystkich przywiązań, obce środowisko kazało zamknąć się w sobie. Z takich pierwiastków ukształtował się rozum i serce pierwszego u nas badacza duszy, dodajmy, duszy chorej, w sobie rozdwojonej.

Patryotycznych uczuć z domu rodzicielskiego nie wyniósł. Na wygnaniu w Kotelniczach (gub. Wiacka) powziął decyzyę wstąpienia do wojska »egzystującego« (10 maja 1832 r.). Na służbie w Finlandyi ubolewa nad »maligną narodu«. Wkońcu 1834 r. Sz. przyjęty zostaje do akademii wojskowej w Petersburgu. Około r. 1838 żeni się z Eleonorą Janowską. Odtąd w zaciszu domowem upłynie dalsze jego życie. W dniu 11 kwiet. (st. st.) 1843 r., a więc w epoce najbardziej ożywionej działalności pisarskiej, otrzymuje stopień podpułkown. generalnego sztabu. Później widzimy go na stanowisku naczelnika wydziału w departamencie osad wojennych i zarządzającego kancelaryą akademii wojskowej. Na cztery lata przed śmiercią »przewieziono go do Wilna«, jak się ostrożnie wyraża Al. Walicki, napomykając o ciężkiej, nieuleczalnej chorobie. Zgasł w zupełnem zapomnieniu w Wilnie 4 czerwca 1886 r. w randze generał lejtnanta sztabu generalnego.

Na tle tego długiego, w mroku kryjącego się żywota działalność pisarska Sz. sprawia wrażenie świetnego, lecz szybko gasnącego meteoru. Po ukazaniu się »Pantofla« (w »Niezabudce« 1841 r.) p. Eleonora Sztyrmer naraz stała się sławną autorką (będąc wojskowym, Sz. nie mógł podpisywać swego nazwiska pod utworami literackimi). Koryfeusze ówczesnego piśmiennictwa (Kraszewski, M. Grabowski, J. Przecławski, Hołowiński) pośpieszyli z wyrazami uznania,

bądź nawet uwielbienia. Pisma zaczynają się ubiegać o współpracownictwo znakomitej i oryginalnej autorki. Głośny wówczas muzyk, W. Każyński, podkłada melodyę pod tekst wierszy Sztyrmera, czyni to i Moniuszko. W r. 1844 ukazuje się zbiorowe wydanie »Powieści nieboszczyka Pantofla«. Dosięga w owej chwili zenitu gwiazda autora, by od tego punktu szybko potoczyć się w dół, rozprysnąć się i zgasnąć. »Kataleptyk« (1846) ściągnął na autora surowe zarzuty. Powieść »Światła i cienie« (»Tyg. Petersb.« 1847—8) przyjęta została zimno, a zupełnie nie była spostrzeżona »Noc bezsenna«, zbiór rozmyślań i powiastek, ukazująca się w czasie, gdy się zbliżała już dla społeczeństwa polskiego chwila przełomowa (»Kronika wiad. krajow. i zagran. 1857—8). Odtąd zaległo już głuche milczenie aż do śmierci.

Podobnież cechy nagłego rozbłyśnięcia, ale i jeszcze szybszego zatonięcia w mroku posiada działalność krytyczno-publicystyczna autora. »Listy z Polesia«, podpisane przez Gerwazego Bombę, sprawiły istotnie wrażenie bomby, pękającej wśród zwartych dotychczas szeregów koteryi »Tygodnika Petersburskiego«. Listy te wywołane były głęboką urazą do Kraszewskiego, który w swoim panegiryku (»Tyg. Pet.« 1842, 49—50), zlekceważył osnowę powieści Sztyrmera, podnosząc natomiast »obrobienie przedmiotu«, niepozwalając jednak nawet domyślać się, jakim jest przedmiot, i na czem polega artystyczna doskonałość wykonania. To też artykuły Sz. mają polemiczne zacięcie. Nie oszczędzając nikogo z dotychczasowych przedstawicieli krytyki, musiał się jednak hamować w stosunku do redaktora pisma, J. Przecławskiego i przyjaznego sobie Hołowińskiego. Najbardziej uczuli się dotknięci Kraszewski i M. Grabowski, a ciosy były o tyle boleśniejsze, że w polemice swej i krytykach Sztyrmer ujawnił wiele swady, zjadliwego dowcipu i dużo wytrawnego sądu! To też nawzajem nie oszczędzano go, Kraszewski posłał mu »Cukierek z pieprzem« (»T. P.« 1843 r, str. 246—8), aż Przecławski musiał brać w obronę p. Gerwazego, Grabowski zaś dzielnie sekundował Kraszewskiemu. Lecz cały ten hałas urwał się tak nagle, jak powstał. Pierwszy »List z Polesia« ukazał się w końcu 1843, ostatni (7-my) w rok później. Sztyrmer ustąpił z placu.

Niestety zbyt szybko zeszedł Sz. z pierwotnie wytkniętego kierunku, ulegając prądom panującym. Pierwsze utwory jego były niewątpliwie oryginalnem zjawiskiem. Były to pierwsze u nas próby powieści psychologicznej, zapewne nie sięgające tego poziomu, na którym stanął Stendal, umierający wtedy właśnie, kiedy Sztyrmer rozpoczyna swą karyerę pisarską. Doświadczenie lat młodzieńczych, samoanaliza, wreszcie lektura powieści niemieckich i francuskich dostarczyły mu odpowiedniego materyału. Analiza subtelna i konsekwentna, niezwykłość i nawet fantastyczność pomysłów, harmonizująca z niezwykłością stanów duchowych, które badaniu poddawał, pewność siebie, z którą każdej sytuacyi, każdej chorobie moralnej dawał wyraz krańcowy aż do ekscentryczności, ton skupienia, jędrność stylu, ja-

skrawo odbijająca się na tle ówczesnej zaniedbanej, gadulskiej techniki powieściopisarskiej, sarkazm i dowcip w każdym niemal ruchu myśli — wszystkie te przymioty uderzyły współczesnych. Powieść polska uczyniła wielki krok naprzód, przyswoiła sobie pierwiastek, którego jej dotychczas brakło. Jeżeli cenimy pierwsze próby w nowym kierunku, jako oznaki przynajmniej, jeżeli nie przyczyny odbywającego się zwrotu, stanowisko Sz. w historyi literatury jest zapewnione.

Niestety, działalność autora była zbyt efemeryczną. Znać zasób materyału był zbyt szczupły. Gdy zaś Sz. zapragnął rozszerzyć pole swej pracy, okazało się, że autor nie może zapanować nad rozmaitością życia, że brak mu znajomości ludzi i stosunków rzeczywistych, że nadewszystko brak mu zmysłu prawdopodobieństwa bądź w stosunku do naturalności figur, bądź ich położeń. Walcząc z trudnościami, autor zaniedbuje rysunek wewnętrzny, t. j. właśnie to, co było w jego twórczości rzeczą oryginalną i jedynie cenną. Stąd duża powieść »Światła i cienie« zamienia się po prostu w powieść kryminalną, sensacyjną, zamiłowanie zaś do niezwykłości popycha autora do karykatury. W dodatku, porywając się na dzieła rozleglejsze, autor nie spostrzega, że mu brak inwencyi i że nie posiada odpowiednich zdolności kompozycyjnych. Pomysły jego niemal zawsze były jeno mechanicznem ustawieniem w szereg pomysłów cząstkowych, zamkniętych w obrębie jednej figury czy sytuacyi. Stąd najulubieńszą formą autora była biograficzna.

Istniała jednak inna jeszcze przyczyna szybkiego upadku talentu, był to nieodstępnie towarzyszący Sz. cień od pierwszych kroków w jego zawodzie. Czuł on pociąg do niezwykłych, chorobliwych stanów duszy, i zarzucano mu nawet niejednokrotnie chłód anatoma, obojętnie rozkrawającego żywą istotę. Ale upodobanie to sam przed sobą usprawiedliwiał dydaktycznym zamiarem. Jako lekarz miał on przestrzegać przed »suchotami duszy«. Skądże one pochodzą? Z braku wiary głębokiej, z braku równowagi między różnemi władzami duszy: rozumu, fantazyi, serca, woli. Jak »Pantofel« — energii, tak Karol — bohater »Duszy w Suchotach«, pozbawiony jest zdolności czucia; kobieta, oddając się niewłaściwym jej naturze studyom nad filozofią (»borykając się z Heglem«), najpewniej trafi do Bonifratrów itp. Dopóki ta dydaktyka była jeno mechanicznym dodatkiem, Sz. był sobą, lecz kiedy zaciągnął się w szeregi wojującego obozu, któremu hetmanił Rzewuski, kiedy w imieniu bogobojności minionych lat powstał przeciw zdrożnym dążnościom wieku; kiedy zaczął przeciwstawiać znachorstwo medycynie, rózgę, którą Duch Św. dzieteczki bić radzi, emancypacyjnym zachciankom itd., nastąpiło ostateczne zachwianie się. Mniejsza o morał, natrętnie narzucający się oku, może się ono po nim prześliznąć. Lecz oświetlenie zjawisk duszy staje się zasadniczo różnem, a objawy psychiczne tracą same przez się dla autora wartość. Niezwykłe stany duchowe stają się dla niego dowodem istnienia tajemnego związku między duchem a materyą (»Czarne oczy«, »Kata-

leptyk«), przyczem pomysłom nieraz można zarzucić zbytnią naiwność. Najsztuczniej pomyślane sytuacye mają najniespodziewaniej uzasadnić różne moralne tezy w stylu hr. Rzewuskiego (»Trupia główka«, »Światła i cienie«).

Takie koleje przeszedł świetnie zapowiadający się talent Sztyrmera.

BIBLIOGRAFIA.

I. Wydania pism. 1) »Powieści nieboszczyka Pantofla« z papierów po nim pozostałych wybrane i ogłoszone p. Eleonorę Sztyrmer 2-ty, Wilno, 1844. 2) Toż w »Bibl. zaściankowej«, t. III i IV, Petersburg, 1860 (zaznaczyć należy, iż w wydaniu zbiorowym tekst tu i ówdzie zmieniony, zwykle w celach polemicznych przeciw Fakundusowi t. j. Kraszewskiemu, niektóre ustępy opuszczone). Poza wydaniem zbiorowem: »Kataleptyk« 2 tomy, Wilno, 1846, »Światła i cienie« 2 tomy, Petersburg, 1847—8 (edycya z r. 1849, podana przez Estreichera, jak się zdaje błędnie). »Noc Bezsenna« 3 tomy, Warszawa, 1859. Nadto w »Tygodn. Petersb.« z r. 1842 i 1843 »Listy z Polesia« pod pseudonimem Gerwazego Bomby. L. S-r. »O magnetyzmie zwierzęcym«. »Pam. umiej. moral. i liter.« r. 1830, IV, str. 121—131.

II. Pisma w języku rosyjskim. 1) Opis wojen śląskiej i siedmioletniej w »Historyi powszechnej wojen« p. ks. Mik. Golicyna, 1872 do 1873. 2) »Rzym za czasów i w dobie Jul. Cezara, zarys wojskowo-historyczny«.

III. O Sztyrmerze pisano. 1) K. Witte »Frenofagiusz i Frenolesty« (»Bibl. Warsz.«, 1844, IV., 2) (St. Koźmian?) »Powieści Pantofla« »Przegl. Pozn.«, 1845, II. 3) El. Ziemięcka »Eleonora Sztyrmer« »Pielgrzym«, 1845, I. 4) A. Przeździecki »Powieści nieboszcz. Pantofla« »Bibl. Warsz.« 1845, II. 5) Józ. Boh. Dziekoński (»O Kataleptyku«) (»Dzwon literacki«, 1846, t. II. 6) (?) (O Kataleptyku), »Przegl. Nauk.«, 1846, IV. 7) Aleks. Tyszyński »Kataleptyk« »Bibl. Warsz.«, 1846, IV i »Rozb. i Krytyki«, III. 8) (?) »Kataleptyk« »Przegl. Pozn.«, 1847, V. 9) Jan Ryszard Szymański »Światła i cienie«, »Bibl. Warsz.«, 1849, IV. 10) Zbigniew (Sadowska) »Słów kilka o humorystyce i humorystach polskich« »Przegl. Tygod.« 1876. 11) Ad. Niemirowski »Nekrolog« »Kur. Warsz.«, 1886, Nr. 160, b. 12) P. Chmielowski »L. Sztyrmer«, Aten, 1890, III i IV i w II t. »Naszych powieściop.«. 13) A. Walicki »Ludwik i Eleonora Sztyrmerowie«. Nadto ustępy dotyczące Sztyrmera u Chmielowskiego »I. I. Kraszewski«, str. 157—177 i szereg artykułów i polemik w »Tygodn. Petersb.« z r. 1842, 1843, 1844.

A) Urywki z pamiętnika oryginalnie wychowanej kobiety.

Część pierwsza »Życie bez miłości« (1841).

(»Powieści nieboszczyka Pantofla», t. II. Wyd. 2. Petersb. 1860).

Sztyrmer zamierzał napisać dalszy ciąg, ale zamiaru swego do skutku nie doprowadził. Oryginalność wychowania polega na tem, że ojciec bohaterki, zrażony do świata, życie swoje po stracie żony poświęcił wyłącznie córce, rozwijając jej umysł, kształcąc zmysł spostrzegawczy, wdrażając do poważnego patrzenia na życie i krytycznego na ludzi, i tak ją uzbroiwszy, dopiero w 24-ym roku jej życia ukazuje światu. Bywają chwile, że bohaterka oddaje się namiętnie w moc nieznanych sobie wrażeń, bawi się, jak jej młodsze i mniej poważne towarzyszki, lecz wkrótce krytyczne spojrzenie pozwala przejrzeć nawskróś nicość moralną otoczenia. Radość znika wraz z wkraczającą do umysłu refleksyą. Ale samotność również nie daje zadowolenia.

917) *[Str. 29].* W moim umyśle roją się plany dla rozmaitych zatrudnień, projekta i myśli migają jak błyskawice, oślepiają swem światłem i sprawiają tak mocne na mnie wrażenie, że w tej chwili czuję się być zdolną do wszystkiego. Ale potem jak zacznę dumać, rozbierać rzecz i analizować środki, tracę wolę, stygnę, i cały mój pałac z kart obala się. Pomysł nic mnie nie kosztuje, przedsięwzięcie robię z zapałem, ale jak wspomnę, że dla przyprowadzenia go do skutku potrzeba czasu, cierpliwości i systematycznego zajęcia się... *adieu!* wszystko się kończy na niczem. O, iluż dzieł nie nakreśliłam sobie w głowie planu! a jednak nic dotąd nie napisałam; ileż moralnych postanowień zrobiłam! a jednak dotąd nie pozbyłam się żadnej wady. Tak życie moje przechodzi!

Niekiedy lada drobnostka, dzieciństwo, dziwactwo, zajmuje mnie po całej godzinie, jakby przedmiot największej wagi. Łamię sobie głowę, myśląc o tych banialukach, rozpatruję je z różnych stron, robię tysiąc przypuszczeń, wniosków i ginę w chaosie kombinacyi; potem nagle spostrzegam swoje głupstwo i śmieję się sama z siebie. Takim sposobem straciłam dziś prawie cały ranek, myśląc o tem: coby też to było, gdyby jakim cudem zwierzęta poubierały się we fraki i sukienki i wmieszały się między ludzi?

Wyobraziłam sobie cały salon takiego towarzystwa, widziałam, jak wielbląd tańczył z sarneczką skocznego mazura, a kozioł, muł i osioł, stojąc na tylnych łapach w kącie, grali na różnych instrumentach; zwinny kot przyjmował uprzejmie gości u wejścia do sali, kret uczył zająca filozofii i chciał z niego zrobić stoika, wróbel wykładał geognozyę, wilk moralność i polityczną ekonomię, a nietoperz deklamował najnowszy swój romantyczny poemat, którego kaczki słuchały z zachwyceniem... *per Bacco!* czego ja nie widziałam i nie słyszałam w tem serapiontycznem marzeniu!

918) *[Str. 30—31].* Jest coś we mnie, czy koło mnie, co mi przeszkadza być szczęśliwą. Niekiedy serce moje napełnia się rozkosznem uczuciem, kocham wszystkich, uśmiecham się światu, wszystko mi się podoba, i chciałabym zostać w tym stanie; ale nagle, sama nie wiem skąd, nalatują czarne myśli na mój umysł, krążą po nim, jak zgraja kruków, i wyjadają mi z mózgu najpiękniejsze moje marzenia. W podobnych chwilach zdaje mi się, że jakiś zły duch, że jakiś szatanek stoi przy mnie i szepce mi do ucha zdania, od których potokiem chłód strzela mi w serce. Zdarzało się to ze mną i dawniej na wsi, ale wtedy byłam dzieckiem, nie znałam świata, i wszystko się kończyło na mimowolnym płaczu, którego przyczyny nie pojmowałam ani ja, ani drudzy. Dziś zupełnie co innego. Świat rozkłada przede mną swoje mamidła. Wyciągam dłoń, żeby schwycić to, co los do mnie zbliża, i cofam ją z rozpaczą, bo głos mego tajemniczego ducha szepce mi, że to wszystko fałszywe, że te kwiaty, co mnie nęcą, zrobione z jedwabiu! Kiedy się zachwycam, on szydzi; kiedy cenię, on uniża; kiedy ufam, on nie wierzy; kiedy się do łez rozczulam, on znajduje zawsze coś śmiesznego lub płaskiego i w każdym razie odrzuca mnie w stronę przeciwną tej, gdzie szukałam nadziei lub szczęścia. Zimny, ironiczny, podejrzliwy, nieubłagany, pastwi się nad mojem sercem, jak nad bezbronną ofiarą, i truje w niem każdą rozkosz w samym zarodku.

Z tym szatankiem wypadnie mi walczyć całe życie. Stoi przy mnie, jakby na szyldwachu, i kiedy chcę go odprawić, odpowiada, że już zapóźno!

O ileż słodkich marzeń i nadziei musiałam z jego woli rzucić marnie na drodze życia! ileż nocy bezsennych spędziłam, płacząc i słuchając z rozpaczą sarkastycznych jego rozumowań! a co najgorsza, napłakawszy się, nagniewawszy się na niego, widzę najczęściej, że próżno się z nim sprzeczać, bo prawie zawsze ma racyę!...

B) Frenofagiusz i Frenolesty (r. 1842).

(Tamże).

Autor, otrzymawszy »ostatnią część umówionej upłaty« (tak) za pierwsze swe dzieło, tak rozkołysał wyobraźnię marzeniem o sławie, że wybiegł na ulicę, by się z kimś radością podzielić. Poradzono mu, by wszedł do Bonifratrów. Usłuchał. Tu spotyka jegomościa, który informuje go, że potężny Frenofagiusz (pożeracz rozumów) żywi się rozumami ludzkimi i wysyła na świat Frenolestów (łupieżca rozumu), istoty zrodzone z jego włosów, by zrywali ludziskom nitkę rozumu, łączącą dwie jego połowy w sercu i głowie, i przyprowadzali nieszczęśliwych do jego pałaców. Opowiadający jest marszałkiem władcy, który mu pozwala wylizywać półmiski z resztkami spożytych rozumów ludzkich. Marszałek prowadzi gościa od celi do celi, opowiadając o każdym zamkniętym jego historyę. Z takich fragmentów składa się cała ta powieść, a historya marszałka stanowi fragment ostatni. We fragmencie czwartym słuchamy dziejów Jacka, w którym Frenolestes wzbudził odrazę do życia, dając mu do rąk poematy i powieści, zawierające jeno skargi, sarkazmy i paszkwile na świat i ludzi. Jacek jednak wyobraża sobie, że umarł w ludzkiej postaci, ale jakiś duch nakazał mu powrót na ziemię aż do wyznaczonego mu kresu ziemskiego — 300 lat. Nie chcąc wcielać się w postać ludzką, Jacek zakosztował życia orła (ale orlice to były gęsi z orlemi piórami), wieloryba, psa, któremu źle się odwdzięczyli za jego przywiązanie, aż został osłem. Najdramatyczniejszy jest fragment VI — (Matka).

4. Metampsykoza.

919) *[Str. 167].* — Byłem potem jeszcze lwem, papugą, puszczykiem i bobrem, a teraz jestem o s ł e m.

— Jakże się panu podoba ta kondycya? zapytałem.

— Jest to najlepsza ze wszystkich, które miałem honor piastować, odpowiedział Jacek; nie mam żadnego zmartwienia, żadnej ciężkiej myśli, ani żadnej boleści w sercu. Bo widzisz

Wpan, chociaż w innych krajach trudne ośle życie, ale u nas w Polsce tego niemasz: osioł nie pracuje wcale, je sobie tylko, pije, śpi i bąki zbija po świecie. Czegoż mi potrzeba więcej? jestem syty, spokojny, wesoły, mam wierną przyjaciółkę oślicę, dobrych znajomych osłów, dobre dzieci oślęta, słowem, jestem szczęśliwy i Wpanu tego życzę.

Powiedziawszy to, zaczął znów brykać, wierzgać i ryczeć jak osioł.

6. Matka.

920) *[Str. 177—180].* Alma, póki jej Frenolestes nie przeciął nitki rozumu, była szczupła i kształtna, twarz jej delikatna i piękna tą bladością, która zachwycała Bajrona na licach Genewry. Tutaj dopiero utyła jej figura i spowszedniały rysy twarzy. Alma była kiedyś znajoma wszystkim z rozsądku, dowcipu, wesołości charakteru, a szczególniej z dobrego i tkliwego serca, które, nie szukając szczęścia na dalekich drogach, umiało cenić to, co znachodziło wokoło siebie. Familia i kilku przyjaciół składały jej mały świat, chociaż, szanując towarzyskie stosunki, nie wyłączała siebie bynajmniej z pospolitego, wielkiego świata. Alma przyrównywała siebie do człowieka, który mieszka w wielkim pałacu, ale najchętniej i najczęściej przesiaduje w jednym maleńkim pokoiku. Trzebaż było, żeby nieszczęście brzemieniem upadło właśnie na ten zakątek! Biedna kobieta! straciła w jednym roku matkę ze starości, braci i kilku przyjaciół na wojnie, dwoje dzieci ze szkarlatyny i męża z cholery; został jej tylko ośmioletni synek. Możesz sobie wystawić, jaka masa uczucia, przepalonego cierpieniem, skupiła się w sercu matki dla tego dziecięcia... Przez wiele łez, przez wiele ciężkich dum, przez wiele rozpaczy, przykuła się jej dusza nowymi więzami do istoty, z którą i bez tego była tak mocno złączona! Z jakiem uczuciem po tem urąganiu niedoli wlepiła wzrok swój w tęczowy łuk nadziei, który jaśniał dla niej na skroniach syna! Pomyśl tylko o tem i wyobraź sobie, jak ona musiała kochać swoje ostatnie dziecię!

Spostrzegł to jeden z wędrujących po świecie Frenolestów i klasnąwszy w dłonie z radości, rzekł sam do siebie: E! e! e! gdybym powiedział któremu z tych filozofów, co patrzą na świat

przez okulary, że ta dobra kobieta otruje swój rozum tak czystym nektarem, jakim jest macierzyńska miłość, żaden z nich nie uwierzyłby temu, a jednak niech mnie powieszą, jeśli tego nie dokażę! Nazajutrz dzień był mroźny, ale pogodny, oświecony grudniowem słońcem, w którego promieniach szklił się śnieg na ulicach, jak gdyby były wysypane brylantowym proszkiem. Alma poszła z synkiem pospacerować. Na Nowym Świecie zastąpiła jej drogę kobieta źle odziana, drżąca od chłodu i do tego na szczudle! ciągnęła za sobą na saneczkach jakieś malowidło w złotych ramach tak obojętnie, jak worek piasku; zatrzymała się i rzekła: Moja dobrodziejko! czy nie kupisz tego obrazu? i, jakby uprzedzając zapytanie Almy, dodała: Oto siostra moja, bogata osoba, niech jej Bóg daruje! zapisała mi go w testamencie, niech jej Bóg to daruje! zamiast, żeby mi zostawić lepiej jaki kapitalik, coby mnie wydźwignął z nędzy, niech jej Bóg to daruje! prosto na śmiech, bo co mi z tem robić? niech jej Bóg to daruje! Ta kobieta był to Frenolestes!

Alma uczuła szczególniejsze wzruszenie w sercu, patrząc na tę biedną. Ha, kobieta na szczudle! już ta jedna okoliczność może zmiękczyć serce najtwardszego człowieka, bo szczudło, widzisz, nie przeznaczone dla kobiety. A ta była oprócz tego w nędzy, drżała od mrozu i prosiła Boga o przebaczenie dla siostry, co taki nieludzki sarkazm wpisała w swój testament. Kupiła więc obraz, nie rozpatrując nawet bacznie przedmiotu, i odesłała go przez lokaja do domu. Wróciwszy z przechadzki, Alma znalazła malowidło już zawieszone w sali, zaczęła je rozpatrywać z uwagą i uczuła nowe ukontentowanie ze swego uczynku, bo był to prawdziwie mistrzowski utwór. Obraz przedstawiał scenę męczeństwa pierwszych chrześcijan, wykonaną równie pięknym, jak śmiałym pędzlem. Na obszernym placu, okolonym ludem i liczną strażą, stał prokonsul rzymski olbrzymiej postaci i z surową twarzą, a przed nim kilku chrześcijan średniego wieku i maleńki chłopczyk, przeznaczony na katusze. Prokonsul pogląda ukosem na przedśmiertelne drgania połamanych członków jednego chrześcijanina, co, wycierpiawszy męczeństwo, żegnał świat spojrzeniem pełnem rajskiej rozkoszy; uśmiechał się dziko i obojętnie ukazywał oprawcom na chłopczyka, ażeby go wiedli na śmierć. O, jakże blada, przestraszona,

ściągnięta przeczuciem boleści była twarz tego biednego dziecka!... Rzekłbyś, że malarz niezawodnie płakał i często przerywał swoją robotę, kiedy charakteryzował tego aniołka. Jednakże była na tem płótnie druga twarz nierównie na większą zasługująca uwagę, twarz matki tego chłopczyka, która z załamanemi rękami przedzierała się przez tłum i straże na ratunek swego dziecka, i schwycona od żołdaków, stanęła na miejscu, jakby wrosła tu w ziemię. Na tej twarzy zdało się jakoby zatrzymał się w pędzie szalony uragan najboleśniejszych macierzyńskich uczuć i wpiętnował w nią wszystek żal, strach i rozpacz, które z serca zionęły do głowy. Patrząc na nią, powiedziałbyś, że tu życie nagle zamarło we wszystkich rysach, że tu skonała wszelka nadzieja, i zachwiała się nawet wiara w niebo!... O, wierz mi, wypendzlować taką twarz i nie umrzeć pod brzemieniem tego pomysłu, albo nie oszaleć, mógł tylko Frenolestes; on jeden jest w stanie dokonać podobnego dzieła, i istotnie jego to było malowidło! Alma patrzała na obraz, patrzała długo, boleśnie... jakieś dzikie marzenia zaczęły przelatywać jej po głowie, jakieś konwulsyjne drganie budziło coraz okropniejsze uczucia w sercu; odwróciła głowę od obrazu, wlepiła obłąkany wzrok w twarz syna, pobladła jak trup, zachwiała się i upadła bez zmysłów!... syn jej był żywy portret chłopczyka-męczennika! Wróciwszy do przytomności, Alma nikomu nie wyjawiła przyczyny tego wypadku, a jeśli kto tylko wspomniał o tem, kładła palec na ustach i skwapliwie, zmieszana, zaklinała go na wszystkie siły niebieskie i ziemskie, ażeby nikomu nie odkrywał tego, co wie.

Zresztą była spokojna, cicha, zrezygnowana jak dawniej, mówiła o wszystkiem rozsądnie, tylko unikała wszelkiej wzmianki o synu i obrazie. Widać było, że jakaś tajemnica ciążyła na jej duszy. Kiedy była wolna od obcych ludzi, najczęściej nocą, stawała nieporuszona przed obrazem i rozpatrywała go dopóty, dopóki oczy prokonsula nie zaczynały się iskrzyć od wściekłości, i dopóki nie zdało jej się słyszeć straszny krzyk: Bierzcie go! oprawcy! Wtedy uciekała jak szalona do swego synka i tu dopiero powoli przychodziła do spokojności. Nareszcie jednego dnia zabiła swego chłopczynę i od tej chwili zrobiła się wesoła jak dziecko.

Kiedy doktór, wysłany od władz miejskich, przyszedł ją odwiedzić, przyjęła go jak najprzyzwoiciej i rozmawiała przytomnie dopóty, dopóki jej nie wspomniał o synie. Wtedy ożywiła się jej twarz, obłąkana radość strzeliła jej z oczu, zbliżyła się do doktora i rzekła: Muszę też Wpanu opowiedzieć, jak szczęśliwie wybawiłam mego synka od męczeńskiej śmierci. Jutro mieli go Rzymianie ukrzyżować, dowiedziałam się o tem od kamerdynera samego prokonsula. A czy pojmujesz Wpan okropność męki krzyżowej? O dla matki niemasz zagadek na świecie, kiedy chodzi o los dziecięcia, ona rozwiąże najtrudniejszy gordyjski węzeł. Wzięłam kamień do ręki... rozumiesz pan? No, dobrze, kiedy rozumiesz. Trzymałam go pod chustką, ale długo nie mogłam wykonać swego zamiaru, bo dzieciątko stało przy mnie i ciągle patrzało mi w oczy. Czas upływał... nareszcie słucham, aż tu Rzymianie idą już po wschodach! Co tu począć?... o mój Boże! myślałam sobie, oni go natychmiast schwycą, jeśli ich nie uprzedzę. A chłopczyna ciągle patrzał mi w oczy, uśmiechał się do mnie i tak mile szczebiotał, że aż mi się serce krajało z rozpaczy. Nareszcie przyszła mi szczęśliwa myśl. Dziecię moje! rzekłam mu, pograj sobie w piłkę, i dobry mój synek zaczął natychmiast biegać z piłką po pokoju. Chodziłam koło niego z kamieniem pod chustką, nieodstępna jak cień, bo Rzymianie byli już w przedpokoju; śledziłam wszystkie jego poruszenia, starając zajść mu z tyłu, ażeby nie mógł mi patrzyć w oczy; schwyciłam moment... i jednem uderzeniem w ciemię wybawiłam go od krzyżowej męki! Ledwie padł na ziemię, weszli Rzymianie do pokoju, ale, cha! cha! cha! już było zapóźno!...

C) List z Polesia.

(»Tygod. Pet.« 1843, nr. 60).

VI. De omnibus rebus et nonnullis aliis.

VI list z Polesia poświęcony jest literaturze szpargalikowej t. j. licznym w owe czasy wydawnictwom zbiorowym, z któremi autor rozprawia się nadzwyczaj ostro. Chciał dać wzór krytyki bezstronnej i surowej, nie uwodzącej się admiracyą i »macierzyńskiem pobłażaniem« przyjaciół koteryjnych, a nadto krytyki wyczerpującej i uzasadniającej swe sądy.

To też. list rozciągnął się aż na 5 numerów pisma (»Tygodn. Petersb.« 1843, Nr. 60—64). Wstęp zawiera aluzye do pośpiechu, z którym, Kraszewski zwłaszcza, rzucał w świat jedne po drugich swe prace, i do artykułu M. Grabowskiego, który odmówił Gerwazemu Bombie kwalifikacyi krytycznych (»Tyg. Pet.«, 1843, Nr. 31). Ton aluzyi wypływa z mnóstwa docinków, których nie szczędzili Bombie obrażeni. Szekspirem w »Rubonie« miał być K. Grzymałowski, autor fantastycznego dramatu »Przesilenie dnia z nocą«. O utworze tym entuzyastycznie się odzywa M. Grabowski w Nr. 35 »Tyg. Pet.« z r. 1843.

921) *[Str. 351].* Upadam pod stopki Wielmożności Pańskiej za miłościwe pozwolenie napisania do niego, ba! za obietnicę, że list mój szlachecki będzie nawet wydrukowany. Polecenie pańskie doszło mię w samą porę, bo właśnie miałem już porzucić wszelką pisaninę i to nie bez słusznych powodów. Naprzód dla tak wymagającej publiczności, jak dzisiejsza, człowiekowi, mającemu jakiekolwiek obowiązki, nie wypada odważać się na autorstwo; bo jeśli raz choć kilka wierszy poda do druku, a potem zamilknie, może się spodziewać, że znajomi i nieznajomi ogłoszą go za próżniaka. Piękna rzecz pracować dni i noce i uchodzić za leniwca! Sługa uniżony; jakkolwiek kocham literaturę, nie chciałbym jednak, żeby znakomici jej stróże w swoich sprawozdaniach próżniactwem mi dogryzali. Potem, mój Mości Dobrodzieju, kto chce dziś pisać, powinien pisać prędko, obficie, sypać jak z worka, tak iżby dziesiątkami tomów mógł liczyć swoje produkcye. Tylko naśladując młyn parowy, można zasłużyć na imię znakomitego pisarza, a kto tego nie umie, liczy się do ciurów literackiej falangi, co prawdziwie niewiele czyni honoru. Nareszcie, zapatrując się na to, jak znakomici estetycy nasi sądzą o drugich pisarzach, mogę wnosić, coby się mnie dostało, szczególniej gdybym się ośmielił pisać krytyki!

W najpomyślniejszym razie podziękowanoby mi tylko, żem kogoś »wyręczył«, ale niezupełnie trafnie! A pan życzysz sobie, ażebym przyjął udział w jego piśmie!

Na ten raz chętnie spełniam pańskie życzenie, zastrzegając sobie jednak, że nic nie będę krytykował, recenzował, lub sądził, bo już mi powiedziano urzędownie *(et pour cela grand merci)*, że do tego nie mam zdolności. Niech mnie Pan Bóg za-

chowa, żebym się opierał tak słusznemu wyrokowi! Nauczywszy się jeszcze w infimie posłuszeństwa, zostawiam kierowanie sądem ogółu mężom światłym i znakomitym estetykom, a sam obiecuję z uległością wierzyć wszystkiemu, co ogłosić raczą. Wprawdzie z tego, co mi wiadomo, nie mogę dotąd znaleźć nowego Szekspira, który miał się pojawić w Rubonie, ani zrozumieć, jakto »Pielgrzymka do ziemi świętej« tylko »dość dobrze się udała« (»Korespond. Literacka«); ale i to nic nie szkodzi, *disce puer*, powtarzam sobie, znajdziesz i zrozumiesz z czasem. Przy takiem nieuctwie z mej strony, które czyni mnie zupełnie niezdolnym do zawodu krytycznego, wiem też dobrze, jakie to zasłużeni Recenzenci intruzom robią przytyki, jak ich ciągle dogryzają, uczą tego i owego i bez żadnej grzeczności furują z areopagu krytycznego. Za nic, za nic w świecie, łaskawy panie, nie chcę być krytykiem, choćbym po 15 latach terminowania miał zostać wyrocznią literacką. Ja sobie wolę pisać *de omnibus rebus et nonnullis aliis!*

Wyborny to jest rodzaj piśmiennictwa i do tego w guście wieku. Kiedyś może było w modzie pisać o jednym przedmiocie, studyować, myśleć, pracować lat kilka nad dziełem; dziś bez mozołu dochodzimy do tego samego wypadku, t. j. do wydrukowania książki. Trzeba być ślepym, żeby w tem nie widzieć postępu cywilizacyi. Dziwna zagadka! jakto ludzie wprzód nie doszli do tej wygodnej simplifikacyi? W samej rzeczy, czy nie wszystko jedno zapłacić dług jednolitą monetą, albo drobnemi pieniędzmi różnego kalibru i stempla? Zupełnie to samo. A ponieważ o drobiazg nietrudno w literaturze, jak w kieszeni, *ergo* sądzę, że nic naturalniejszego, jak pisać sobie *de omnibus rebus et nonnullis aliis* i zyskać sławę.

Opracował A. DROGOSZEWSKI.

CXXII.

SZAJNOCHA KAROL.

(1818—1868).

Historyk i poeta, badacz i artysta, odtwórca wybitnych chwil przeszłości narodowej tudzież postaci i rysów życia różnych wieków, urodził się dn. 20 listopada 1818 r. w Komarnie, niedaleko Sambora, w dzisiejszej wschodniej Galicyi. Ojciec jego, Wacław Scheinoha Wtelensky, Czech z pochodzenia, lekarz z zawodu, osiadły w Galicyi, ożenił się z Maryą Łozińską (stryjenką znanych pisarzów: Walerego i Władysława) i porzuciwszy praktykę lekarską, wszedł do służby rządowej jako mandataryusz (sędzia dominialny). Pomimo iż w domu panował język polski, to księgozbiór ojca, z którego przyszły historyk czerpał swój pokarm duchowy, składał się wyłącznie z książek niemieckich. Niemiecką również była nauka, pobierana od r. 1829 w gimnazyum samborskiem, a następnie w szkołach lwowskich (od r. 1833). Przyszły historyk zapisany jest do księgi uczniów jako »Szejnoha de Wtellensky«. Mimo to w szesnastoletnim chłopcu budzą się uczucia narodowe i popęd do twórczości poetyckiej. Zaznajamia się wraz z kółkiem kolegów drogą samouctwa z historyą ojczystą, układa sobie »Kalendarzyk dat historycznych«, przepisuje pieśni narodowe i próbuje tworzyć sam poezye w tym duchu. Wykrycie przez policyę tego kółka młodzieńczego wywołało aresztowanie Szajnochy w r. 1835 i osadzenie w politycznem więzieniu »u Karmelitów«. Przepędził tu, licząc w to i odsiadywanie wyroku, półtora roku, w wilgotnej i chłodnej celi, w zepsutem powietrzu, przy wstrętnem pożywieniu. Szkorbut i cierpienia artretyczne były następstwem tych warunków. Jedynemi książkami, dozwolonemi więźniowi i to w końcu pobytu, były dwie gramatyki: francuska i angielska. Źródłem siły moralnej stało się rosnące w samotności więziennej uczucie religijne. Jedyną rozrywką było rycie drucikiem na białej ścianie celi poematu, opiewającego przebywaną niedolę. Wraz z zarodami przyszłych chorób wyniósł z więzienia spotęgowanie uczuć narodowych, siłę charakteru i zapał

do pracy. Jednocześnie aresztowany ojciec umiera w więzieniu. Odzyskawszy wolność, młodzieniec został pozbawiony wyrokiem sądu prawa wstępu do zakładów naukowych państwa austryackiego. Jakiś czas przebywał u matki, która osiadła w Żydaczowie, ale wkrótce powrócił do Lwowa i tu, około r. 1838, nawiązał stosunki z Augustem Bielowskim i Lucyanem Siemieńskim, którzy mu udzielali książek i wskazówek w pracy nad poznaniem dawnej literatury. Jednocześnie przyjął miejsce nauczyciela w domu Pawła Rodakowskiego, adwokata, którego synów kształcił przez lat cztery (do r. 1841). Pełniąc te obowiązki, pracował wiele i nad swojem wykształceniem. Postępy uczniów, których uczył historyi metodą Jaźwińskiego, uwydatnił popis wobec zaproszonych gości, między którymi byli: Fredro i Skarbek. Pozyskany rozgłos ułatwił młodemu nauczycielowi otrzymywanie dobrze płatnych lekcyi. Jednocześnie próbował swoich sił na polu literackiem i prowadził dalej studya nad historyą powszechną. Spaliwszy spory zbiór młodzieńczych liryk i dramatów, ogłosił drukiem w »Dzienniku Mód« z r. 1840 »Romans na własne oczy widziany« i wiersz erotyczny: »Milczenie«. Z kolei pojawiły się r. 1842 w »Lwowianinie« powiastki: »Kontrakty« i »Starościanka«, a roku 1843 dramat »Stasio«, wystawiony też w teatrze. Jednakże nawet wyborna gra Dawisona (a w r. 1863 Ładnowskiego) nie zdołała go utrzymać na scenie. Ostrą krytykę Borkowskiego (w »Dzienniku Mód«) przyjął młody autor spokojnie i ze zwykłą mu skromnością. Z tego czasu pochodzą też ogłoszone później utwory: »Panicz i Dziewczyna« (urywki podała Biblioteka Ossolin. 1847 r. zesz. VII) i »Jerzy Lubomirski« (tamże), wydany oddzielnie r. 1850 (Lwów, str. XX i 114). W pierwszym z tych utworów czuć wpływ »Ulany« Kraszewskiego, wydanej r. 1842. Drugi utwór, dramat pięcioaktowy z prologiem, pisany białym wierszem (prolog tylko rymowany), poprzedzony jest obszernym wstępem, poświęconym obronie Lubomirskiego. Młody poeta oświadcza, iż radby być przedewszystkiem m a l a r z e m h i s t o r y c z n y m, obierającym do osiągnięcia swojego celu dowolnie formę czy to pieśni, czy opowiadania, czy wreszcie jak obecnie, dramatu. Pod wpływem uczuć patryotycznych i prądów wolnościowych chwili ówczesnej (r. 1848) widzi on w Lubomirskim patryotę i republikanina, walczącego z antynarodowemi dążeniami Jana Kazimierza i partyi francuskiej. Powołuje się na wyznanie Żółkiewskiego, iż broniąc króla przeciw Zebrzydowskiemu: »przeciwko sumieniu stawał przy królu, na bracię wojując«. Podziela również wypowiedziane wówczas w »Przegl. Powsz.« (zesz. VIII z r. 1849) zdanie, iż »Sejm czteroletni ograniczył narodowe swobody, szedł przeciw naszemu historycznemu podaniu, ustanowił dziedziczną, konstytucyjną monarchię«. W popieraniu konfederacyi Barskiej, nie zaś umacnianiu królewskości, widzi on ocalenie ojczyzny. Dla zarobku dostarcza młody autor powiastek tłumaczonych do »Rozmaitości«, wydawanych przez J. N. Kamińskiego przy »Gazecie Lwowskiej«. Współcześnie pojawiają się też pierwsze prace historyczne. Napisany r. 1845 »Obraz Europy za czasów

Kazimierza W.« ogłoszony został, po przerobieniu, r. 1848 w Bibliot. Ossolińskich., podobnież i współcześnie z powyższą rozprawą skreślony: »Pogląd na ogół dziejów polskich«, drukowany r. 1847 w temże wydawnictwie. Wyobraźnia poety najchętniej zwraca się ku przeszłości pod wpływem uczucia patryotycznego. Świadczy o tem ogłoszony w r. 1848 poemacik: »Jan III w tumie św. Szczepana« obok dawniejszej »Wojewodzianki sandomierskiej«, z której urywek p. t. »Ślubne gody Maryny« ogłosił r. 1847 (Bibl. Ossol.).

Zawiedziony dwukrotnie w swych sercowych sprawach, tudzież nadziejach, obudzonych przez wypadki r. 1848, nie otrzymawszy ani oczekiwanego stanowiska przy zakładzie Ossolińskich, ni katedry historyi w Krakowie, oddanej Anton. Walewskiemu, usuwa się ze stanowiska redaktora »Tygodnika Polskiego« (dawny »Dziennik Mód«) i przyjmuje obowiązki nauczyciela prywatnego u Józefa Jakubowicza w Bakowcach (koło Bóbrki), a następnie u hr. Kazim. Dzieduszyckiego w Niesłuchowie (o 4 mile od Lwowa). W r. 1852 obejmuje redaktorstwo świeżo założonego »Dziennika Literackiego«, który stanie się w swoim czasie najlepszem pismem literackiem polskiem. Większą część Tygodnika, którego współpracownikami byli: Bielowski, Dzieduszycki, Supiński i inni, wypełnia w pierwszych latach sam redaktor, zostający, mimo pewnej różnicy w przekonaniach, w przyjaznej korespondencyi z Janem Koźmianem, redaktorem najlepszego ówczesnego miesięcznika (»Przeglądu Poznańskiego«). Stosunek blizki łączy również Szajnochę z młodszym o lat siedem Kornelem Ujejskim. Uznanie, zdobyte przez ogłaszane od r. 1849, w artystyczne formy ujęte obrazy przeszłości dziejowej, z epoki piastowskiej głównie, pozwoliło uzyskać mu r. 1853 stanowisko kustosza przy Zakładzie imienia Ossolińskich z pensyą 600 złr. W dwa lata później poślubia, poznaną u wód w Lubieniu, pannę Bilińską, w której znalazł wierną, nieodstępną, pełną poświęcenia towarzyszkę ciężkiego dziesięcioletniego kalectwa, polegającego na stopniowym zaniku wzroku i chronicznych cierpieniach artretycznych. Już w trzy lata po ślubie cierpienia te zmuszają go do ustąpienia ze stanowiska kustosza zakładu Ossolińskich. Do przyznanej mu pensyi w sumie 350 złr. dopłacał hr. Dzieduszycki od siebie drugie tyle. Pomimo utraty wzroku, przy pomocy żony i lektorów ochotników z pomiędzy młodzieży pracował jeszcze do r. 1865, w którym upadek sił uniemożliwił wszelkie zajęcia. W ostatnich latach życia, nie przestając interesować się ruchem naukowym, prowadził bardzo gorącą polemikę z Helclem z powodu wydanej r. 1864 pod jego redakcyą, przez Towarzystwo Naukowe krakowskie: »Księgi pamiętniczej Jakóba Michałowskiego« (1647—55). Zmarł 10 stycznia 1868 r. we Lwowie, pochowany na cmentarzu Łyczakowskim. Wyrazem żalu i uznania szerokiego był okazały pogrzeb. Nad grobem przemawiał Bielowski. W celu uczczenia zasług zmarłego utworzono z obficie płynących składek fundacyę »imienia Szajnochy«, przeznaczoną na wspieranie potrzebujących pomocy, a zasłużonych nauce i literaturze pracowników.

Przejście od twórczości poetyckiej do badań historycznych, częste u naszych historyków wieku XIX, jak o tem świadczy rozwój duchowy Bielowskiego, Szujskiego i innych, odbyło się u Szajnochy nieznacznie, bezwiednie prawie. Długo jeszcze poeta u niego górował nad historykiem, a zaledwie w końcu zawodu stał się on zdolnym powściągnąć popędy wyobraźni i poddać się wymaganiom ścisłości. Wypadki lat 1846—1848 podziałały wstrząsająco na wrażliwą duszę poety-patryoty i skłoniły go do pracy myśli, zwracającej się ku przeszłości, by odnaleźć w słowie dziejowem wskazówki dla teraźniejszości i promienie, rzucające światło na przyszłość. Jednocześnie wyobraźnia, pod wpływem zawodów i cierpień patryotycznych, w odsłanianiu i odtwarzaniu obrazów odległej a świetnej przeszłości znalazła najpożądańszy pokarm i najodpowiedniejszy materyał dla twórczości artystycznej, dla tego »malarstwa historycznego«, w którem widział Szajnocha swe powołanie. Pierwszem poważnem odbiciem dokonywającej się w duszy historyka-poety pracy myśli była wspomniana powyżej rozprawa: »Pogląd na ogół dziejów polskich«. Rozprawa ta odbija na sobie wpływ współczesnej historyografii niemieckiej, tudzież pojęć głośnego reformatora geografii, Rittera, a zarazem tak wielką rolę w ówczesnem życiu duchowem polskiem odgrywającej idei posłannictwa narodowego. Ujmuje on tu całość życia dziejowego Polski jako cząstkę dziejów Europy i rozpatruje ze stanowiska uniwersalno-historycznego, w związku z warunkami położenia geograficznego i wpływami przyległych ukształtowań politycznych i zbiorowisk plemiennych. Ponieważ naród polski, osiadłszy u wschodniej bramy Europy, mógł wytworzyć całość plemienno-państwową wtedy dopiero, gdy przeminęła era ruchów plemiennych, i ustaliły się siedziby ludów, przeto dzieje Polski przedstawiają powtórzenie się faz wcześniej rozpoczętego na Zachodzie procesu. Przyswojone stamtąd światło udziela ona z kolei sąsiadującym z nią od Wschodu plemionom, rozszerzając przez to granice cywilizacyi europejskiej i wytwarzając dla niej przedmurze od wschodniego barbarzyństwa. W dziejach Polski widzi Szajnocha następne okresy: plemienny z dążnością do zespolenia się w jedną całość, — wojenno-królewski z silną władzą króla-wodza, rozszerzającego ciągłymi wyprawami i podbojami granice, — przewagi duchowieństwa (1139 do połowy w. XV), — szlachecki, kończący się przy schyłku w. XVIII wzmocnieniem władzy królewskiej i dopuszczeniem mieszczan do udziału w życiu publicznem. Monarchiczność odnosi przewagę, ale już w epoce porozbiorowego życia narodu, pod rządami trzech mocarstw, które opanowały dawną Rzeczpospolitą. Jak widzimy, nie występuje tu jeszcze cechująca szkołę lelewelowską idea pierwotnej wolności i równości w przeddziejowym bycie ludu polskiego, ani też rozwijana później przez Szajnochę hipoteza podboju i wytworzonego tą drogą państwa i stanu szlacheckiego. Wraz z historyozofią »Ksiąg Narodu« i »Przedświtu« widzi we wspaniałym i ujmującym obrazie bratniej równości i wolności

szlacheckiej zapowiedź przyszłego zbratania się wszystkich stanów, a nawet i narodów.

Pierwszym obrazem, mającym dać początek osnutej na planie powyższym wielkiej panoramie dziejów narodowych, było nęcące wyobraźnię odtworzenie przysłoniętej mgłą oddalenia bohaterskiej działalności pierwszego budowniczego państwa polskiego — Chrobrego. Obznajomiony niewątpliwie już poprzednio z opowieściami Gallusa i Dytmara, skreślił z pomocą zebranych tam rysów poetyczno-historyczny obraz wewnętrznych stosunków, wypraw wojennych i podbojów tego bohaterskiego okresu naszych dziejów. Ogłoszona we Lwowie r. 1848 praca ta przyniosła młodemu historykowi 50 złotych reńskich honoraryum i uznanie oczarowanych nieznaną dotąd w polskiej historyografii pięknością obrazu i powabem opowieści. Ten pierwszy okres przedstawiał się historykowi-poecie jako proces przejmowania kultury zachodniej, przy jednoczesnem stawianiu oporu zdobywczym dążeniom germanizmu, umożliwiający następnie, siłą wytworzonej organizacyi państwowej i własnej kultury, oddziaływanie polityczno-kulturalne na obszary Wschodu. Dzieje Piastów wydają się historykowi poecie: »najwspanialszym poematem dziejowym, jaki Bóg kiedykolwiek skreślił w księdze losów ludzkich«. Cała rodzina Piastów »to jedna osoba moralna... kilkowiekowy olbrzym bohater«. Nowa Polska ma »urzeczywistnić po raz pierwszy słowo chrześcijańskiego braterstwa na wielki rozmiar społeczny«. Zapowiedź tego widzi w związku rycerskim z r. 1352, w którym upatruje Szajnocha zawiązek późniejszych konfederacyi. Później cały naród tworzy takie »konfederacye wzajemnej pomocy i miłości«. Z upadkiem bytu politycznego »słowo polskie« przechowa się w życiu rodzinnem. »Dom nasz stał się najzacniejszym domem Europy«. Myśli te spotykamy w pięknej, wkrótce po »Chrobrym« ogłoszonej pracy: »Odrodzenie się Polski za Łokietka« (Lwów 1849, 2-e wyd. 1859), uwydatniającej szybki postęp uzdolnienia badawczego i konstrukcyjnego w młodym historyku, pragnącym historyi ojczystej oddać podobną usługę, jaką oddali Thierry i Macaulay swoim ziomkom, pociągając ich i czarując zarówno głęboko ujętą treścią jak formą opowieści, artystycznem odtworzeniem życia przeszłości. Nie dorównywa on jednak wielkim historykom Zachodu w ścisłości i pełności swej rekonstrukcyi życia dawnego. Nie znajdując w pracach poprzedników dostatecznego i należycie opracowanego materyału, nie rozporządzając odpowiednią ilością świadectw, ukrytych wtedy jeszcze po archiwach i bibliotekach, posługuje się, pod wpływem wyobraźni i uczuciowych popędów, uzupełnianiem luk w swych obrazach przez zapożyczanie rysów lepiej znanego i bogatszego życia ludów Zachodu, z którem upodobnia życie polskie w epoce Piastów i Jagielonów, przenosząc niekiedy nad Wisłę formy i obyczaje nadreńskie.

Z dzieł, wykonanych przed utratą wzroku, najważniejszą jest czterotomowa praca: »Jadwiga i Jagiełło«. Pomysł i plan pierwotny tego świetnego obrazu dziejowego, w który Szajnocha włożył całą

swą duszę patryoty, historyka i poety, powstał już r. 1850. Po trzyletniej pracy, od r. 1855, ukazało się (Lwów 1858, 3 tomy, 2-e wyd. 1861 r., 4 t.) dzieło to, stanowiące dotąd w naszej historyografii najrozleglejszy i najbogatszy, co do zakresu objętej niem widowni dziejowej i zachodzących na niej wielkich wydarzeń, obraz, łączący zalety artystyczne barwnej, bogatej w szczegóły panoramy z podniosłością wielkiego dramatu, uwydatniającego myśl historyozoficzną, znajdującą tu swe stwierdzenie, swą wspaniałą, porywającą ilustracyę. Dzieło to, urzeczywistniające najważniejszą część planu, zakreślonego przez poetę-historyka, myślą przewodnią, przenikającym ją nastrojem religijno-patryotycznym, wiąże się ściśle z historyozofią »Ksiąg Narodu«, »Przedświtu« i »Psalmów«. Poeta-historyk i patryota zarazem może tu drogie mu idee stwierdzić i uwydatnić odtworzeniem wielkich chwil dziejowych, wielkich postaci i czynów, ukazanych nie w mglistych zarysach wizyi wieszczych, ale w realnej prawdzie, wydobytej z nagromadzonych pracą badawczą świadectw. Stanowisko swe określa najwymowniej w zakończeniu pięknego wstępu, nazywając dzieło swe »powieścią o zjednoczeniu się dwóch nieprzyjaznych niegdyś narodów«, jaką włożył Pan Bóg w imiona »Jadwiga i Jagiełło«. Przystępując do pracy, historyk posiada już to »Słowo dziejów«, którego doszukują się wszystkie głębsze, gorętsze dusze, które będzie mu służyło za świecznik, rozjaśniający chaos faktów i świadectw dziejowych, i przewodniczący w ich wyborze, ugrupowaniu, wyjaśnianiu i zabarwianiu. Jako artysta i patryota nie może się nieraz oprzeć pokusie podniesienia piękności, barwności i bogactwa obrazów przez wprowadzenie rysów kulturalnych, zapożyczonych od ludów Zachodu, a nie stwierdzonych przez świadectwa, odtwarzające współczesne życie polskie, uboższe stosunkowo wskutek młodszości cywilizacyjnej.

Gorące przyjęcie przez całe społeczeństwo tego pięknego, pokrzepiającego ducha narodowego dzieła, pobudziło historyka do podjęcia pracy nad nowym, pociągającym go doniosłością dziejową, tragicznością i grozą wypadków, obrazem katastrofy polityczno społecznej, która wstrząsnęła podstawami Rzeczypospolitej w połowie wieku XVII, a za widownię miała Ruś Czerwoną i sąsiadujące z nią od wschodu ziemie. Pomimo utrudnienia, jakiem słabnący wzrok krępował poszukiwania historyka, czerpiącego materyały do swej pracy przeważnie z rękopiśmiennych źródeł, nagromadzonych w zbiorach lwowskich Zakładu Ossolińskich i u Dzieduszyckich, bogactwo świadectw, odtwarzających sprawy i wypadki tej świeżej stosunkowo — bo dwuwiekowym tylko przeciągiem czasu oddzielonej — chwili dziejowej, przy rosnącej z latami i pracą ducha refleksyjności i pogłębieniu myślowem, pozwolą badaczowi zająć wobec przedmiotu stanowisko historyka, umiejącego lepiej trzymać na wodzy zapędy wyobraźni i uczucia patryotycznego, niż w poprzednim obrazie czasów »Jadwigi i Jagiełły«, i tu jednak wystąpi dążność artystyczna i historyozoficzna zarazem w spotęgowaniu — dla silniejszego przeciwieństwa świateł i cieni, zaśle-

pienia w pomyślności i spadającego na zaślepionych piorunu gniewu i kary Bożej — rysów pomyślności czasów Władysława IV, »najszczęśliwszych chwil dziejów naszych. Nigdy — twierdzi historyk-poeta — naród nie miał tak głębokiej świadomości swojego szczęścia, nie czuł się tak wolnym, potężnym, ubłogosławionym zewsząd, jak wówczas. Zdało się, jakby słońce jego żywota dosięgło szczytu«. Dla uzasadnienia jednak tej charakterystyki przytacza, jako jedyne świadectwo, zdanie Orzechowskiego z »Quincunxu«, wypowiedziane w r. 1564, a więc na 80 lat wcześniej. Inne późniejsze, współczesne świadectwa stwierdzają właściwie co innego, a mianowicie »fatalne rozleniwienie«, bezmyślne używanie względnej pomyślności materyalnej, bez troski o jutro i przy słabnącej świadomości obowiązków i wyższych zadań życia, przy zacieśnieniu w życiu duchowem i literaturze sfery pojęć, skali uczuć, napięcia energii moralnej. Historyk, obeznany dobrze z literaturą wieku XVII, wie o tem, ale dla osiągnięcia celów artystycznych, dla wywołania wstrząsającego czytelników kontrastu, potęguje blask pogody, w której ukazuje stosunki r. 1646, by wydatniej zarysowała się groza nawałnicy, huczącej nad krajem w r. 1648. Inaczej też oświetla te czasy, gdy stojąc na stanowisku historyozoficznem, chrześcijańskiem, zaczyna opowieść o roku 1848 zdaniem, że »bliższe obeznanie się z dziejami roku 1846 przyniosło nam ostatnim wynikiem przekonanie, iż rok ten wzgardzeniem zleconej mu od Opatrzności, własnej i dalszych ludów chrześcijańskich od sąsiednich pogan obrony, ściągnął narodowi ciężkie za to pokaranie w dziejach roku 1648«. Tem narzędziem »opatrznościowej kary« był Chmielnicki, a »trzema gromami gniewu Bożego« są: klęska pod Żółtemi Wodami, śmierć Władysława IV i pogrom korsuński, otwierający nieprzyjacielowi drogę do środka Rzeczypospolitej. Ograniczając swą opowieść do 1648 roku, odtwarza nam historyk tylko groźny prolog burzy, mającej szaleć nad Polską przez lat dwanaście. Prolog ten kończy się elekcyą Jana Kazimierza, wstrzymującą chwilowo akcyę Chmielnickiego i wytwarzającą chwilę ciszy przed gotującym się wybuchem nawałnicy, spadnięciem na rozleniwione, pogrążone w samolubnem używaniu społeczeństwo, potopu krwi i łez. Ostatnią, podjętą w związku z zakreślonym planem, lecz niedokończoną przez gasnącego historyka pracą miała być opowieść o ostatnim, świetnym, uwieńczonym powodzeniem i sławą czynie dziejowym upadającej Rzeczypospolitej, będącym spełnieniem danej jej przez Opatrzność misyi — odsieczy Wiednia. Dział pierwszy rozległej całości p. t. »Opowiadania o królu Janie III« miał składać się z następnych części: Mściciel, Burza szwedzka, Rokosz Lubomirskiego, Elekcya króla Michała, Konfederacya gołąbska, Droga do tronu, z kolei miała następować: Pokusa (o Marysieńce). Ukazał się jednak na świat tylko »Mściciel« (Żytomierz, 1861 r.). Niewypełnione przez historyka okresy dziejowe w ramach ogólnego planu zostały częściowo odtworzone w drobnych rozmiarami obrazkach i zarysach, które pod nazwą »Szkiców historycznych« (cztery serye, Lwów 1854 i 2-e wyd. 1858,

1857, 1861 i 1869) pozyskały swą interesującą, rozjaśniającą życie dawne treścią i wdziękiem jasnej, prostej, ciepłej i żywej opowieści, szerokie uznanie, wyrażające się w ponownych wydaniach. Obejmują one przeciąg czasu od początków życia historycznego (»Przed sześciuset laty«, »Nastanie szlachty i herbów w Polsce«, »Walgierz Wdały«, »Św. Kinga« i t. p.) aż po koniec wieku XVII (»Krzysztof Opaliński«, »Wacław Potocki«, »Hieronim i Elżbieta Radziejowscy«, »Trynitarze«, »Jan Sobieski bannitą«, »Wnuka króla Jana«). Dwu ostatnich stuleci nie dotykał historyk-poeta, potrzebujący dla swej wyobraźni perspektywy odległości czasowej. Zato nęciła go zagadka początków bytu społecznego i państwowego. Rozwiązanie tej zagadki przedstawił w pracy: »Lechicki początek Polski« (Lwów 1858). Ogłoszona na rok przedtem w »Szkicach historycznych« wcześniej jednak napisana rozprawa: »Nastanie szlachty i herbów w Polsce« poruszała te same pytania. Zamiast jednak stanowić — jakby należało się spodziewać — w związku przedmiotowym, wcześniej ogłoszony epilog następnego dzieła, odbiega od jego wyników w wielu punktach, dając świadectwo zależności poglądów historyka od podsuwanych mu przez wyobraźnię coraz nowych widzeń. Wojciechowski w »Chrobacyi« (str. 64) tak ocenia wywody, stanowiące osnowę »Lechickiego początku Polski«. »Teorya normańska Szajnochy jest prawdziwem arcydziełem literackiem, pod względem nagromadzenia szczegółów, wyszukania podobieństw, a szczególnie pod względem dyalektyki. Dowody są olśniewające. Widać, że Szajnocha był w stanie dowieść wszystkiego, czegoby zapragnął. Prócz tego książkę pełną erudycyi gruntownej napisał stylem tak przyjemnym, że się czyta jak powieść. Ale patrząc bliżej na logiczny układ dowodzeń, nie można się nadziwić dowolności bez granic i fantazyi bez hamulca...

Chociaż Szajnocha uważał się za ucznia Lelewela (»Szkice historyczne«, pierwsza serya z r. 1854, mają dedykacyę: »Joachimowi Lelewelowi poświęca uczeń«) i w poglądach, rozwijanych w przedmowie do »Jerzego Lubomirskiego«, stoi poniekąd na jego stanowisku, to jednakże już w »Szkicach« oddalił się od swego mistrza zarówno optymizmem w widzeniu przeszłości, poglądem na początki państwa i społeczeństwa, jak artyzmem w odtwarzaniu faktów. Lelewela czcił ogół jako wielkiego patryotę, niezmordowanego pracownika, lecz dzieł jego, z wyjątkiem popularnej »Historyi polskiej«, opowiedzianej synowcom, nie czytano. Szajnochy obrazy i opowiadania ujmowały wszystkich, interesowały szerokie koła świetnemi malowidłami przeszłości i budziły dla tej przeszłości cześć i miłość. Szajnocha dokonał doniosłej reformy w historyografii polskiej przez wprowadzenie formy artystycznej, jako koniecznego uzupełnienia, niezbędnej szaty, w jakiej należy przedstawiać ogółowi owoce poszukiwań źródłowych, syntezę wyników, otrzymanych drogą badania metodycznego.

Tą drogą poszedł godny następca Szajnochy w pracy nad dziejami wieku XVII, Kubala, w swych świetnych opowiadaniach. Wpływ

Szajnochy odbił się na formie i układzie prac całego szeregu wybitnych historyków wieku XIX w dbałości o formę, o żywe, jasne, pociągające odtworzenie życia przeszłego, w usunięciu na koniec dzieła przypisków. Żaden z nich jednak nie przemówił tak do duszy polskiej, nie oświetlił tak promiennie, nie odtworzył z takiem ciepłem uczucia, taką harmonią kompozycyi, z jedną myślą przewodnią, wielkiej przeszłości, nie uwydatnił tak pokrzepiającego duszę »słowa« dziejów narodowych, jak to uczynił wielki malarz-historyk, twórca »Jadwigi i Jagiełły«.

BIBLIOGRAFIA.

a) Biografia. Zaraz po śmierci Sz. uczeń jego i pomocnik w pracy w ostatnich latach życia, Bernard Kalicki, ogłosił obszerne »Wspomnienie pośmiertne« w »Przeglądzie polskim« (z r. 1867) a następnie, z powodu »Historyi polskiej« Bobrzyńskiego: »Najnowsze sądy o K. Szajn.« (Warsz. 1879). Łoziński Wład. pisał o Sz. zaraz po zgonie w »Dzienniku Literackim« (1868). Najobszerniejszą biografię Sz. skreślił Klem. Kantecki. Zamyka ona zbiorowe wydanie dzieł, podjęte r. 1878 w Warszawie, i mieści się w tomie X (od str. 241 do 426). Ocenę prac historycznych Sz. podał »Przegląd Poznański« (t. XXVI). Treściwą biografię i charakterystykę prac skreślił Jan Kochanowski w »Albumie biograf. zasłuż. Polaków« w. XIX« (t. II, 1901), a w »Złotej Przędzy« (t. III) Ernest Świeżawski. Ks. Liske ocenił prace Sz. w Sybl. »Hist. Zeitschr.« (t. XVIII i XXIII).

b) Wydania. Po śmierci Sz. ukazał się w r. 1869, we Lwowie, czwarty tom »Szkiców historycznych«, złożony z prac, ogłaszanych po różnych czasopismach (»Domna Rozanda«, »Bohdan Chmielnicki« i inne) a następnie r. 1876 w Warszawie zbiorowe lecz niezupełne wydanie p. t. »Dzieła Karola Szajnochy« (Warszawa 1876, nakładem i drukiem J. Ungra). Mieszczą się tu »Szkice historyczne«, zajmujące trzy tomy i część czwartego, następnie »Lechicki początek Polski«, »Jadwiga i Jagiełło« i »Dwa lata dziejów«. Zamyka ten zbiór życiorys historyka, skreślony przdz Kanteckiego. Oddzielnie pojawiły się w przedrukach: »Szkice historyczne« (Warsz. 1881), »Dwa lata dziejów« (Warsz. 1900, t. 2, nakładem »Gazety polskiej«) i »Jadwiga i Jagiełło« w »Bibliot. dzieł wyborowych« (Warsz. 1902, t. 7). Prócz tego w Krakowie, nakładem Spółki wydawniczej wyszły »Pisma«, mieszczące w dwu tomach: »Bolesław Chrobry« i »Odrodzenie Polski za Łokietka«, »Opowiadanie o Janie III« — »Stasio« — »Jerzy Lubomirski«. W taniej Bibliotece (Złoczów) wyszły r. 1900 »Szkice« (tom 303 i 310). Do polemiki z Helzlem odnoszą się: Szajnochy »Przegląd krytyczny pierwszej połowy dzieła J. Michałowskiego« (Lwów 1865, str. 45). Helzel odpowiedział na to broszurą: »Odpór zarzutów« (Kraków 1865), a prezes Towarzystwa, J. Majer, ogłosił »List otwarty do K. Szajnochy« (Kraków 1866).

A) Bolesław Chrobry.

Opowiadanie historyczne (wydanie II, Lwów 1859 r.).

Praca ta składa się ze Wstępu, przedstawiającego stan Słowiańszczyzny zachodniej w chwili chrztu Mieczysława, tudzież zarys wojen przez niego prowadzonych, poczem następuje szeroko i barwnie skreślony obraz działalności wojennej i organizatorskiej Bolesława, bogaty w szczegóły kulturalne, wreszcie w Zamknięciu historyk przedstawia ostatnie podźwignięcie się Słowiańszczyzny zachodniej i rozstrój w Polsce za rządów Mieszka. Podajemy tu ostatni rozdział z części środkowej.

Spoczynek w domu.

922) *[Str. 180 i nast.].* Zaiste, wówczas kiedy Bolesław cały naród w osobie swej przedstawiał, cała też ówczesna Polska była jego domem, zagrodą Piastów. Ale gdzież nam klucze do otwarcia sobie wnętrza tego domu, gdzie słowa do odczarowania życia i spraw domowych w przeciągu tych lat spoczynku!

Przedewszystkiem należy zważać na szczupłość tego domu początkowego. Miał on się wprawdzie rozbudować później w gmach okazały, już nawet szablą Chrobrego zakreślone mu są zarysy tej przyszłej rozległości, już z zapuszczonemi w głąb rzek żelaznymi słupami rzucone są fundamenta przyszłej budowie, lecz właściwym teraz mieszkalnym przybytkiem narodu mała dopiero kraina — zawarte Odrą i Wisłą międzyrzecze, którego średnicą Gniezno z Poznaniem, najdalszemi zaś kończynami tu — Kraków z Wrocławiem, tam — Gdańsk.

I toż właśnie jest najsprawiedliwszą chwałą tego małego w swych początkach narodu, to najpewniejszą rękojmią zdrowego, niespożytego jądra jego narodowości, że prócz odparcia wszelkich niebezpieczeństw Zachodu, zdołała jeszcze tak bujnie rozkorzenić się po całym wschodnim obszarze, aż po Zadźwińskie jeziora i puste pola Zadnieprskie.

Wszak obecnie całe tego dalekiego przestworu życie, ścieśnione między dwiema rzekami; wspaniały gmach późniejszy szczupłą zagrodą. Powierzchnię całego domu odwieczne cienią bory. W tych borach rozlega się odgłos siekier, wyrębujących miejsce dla pobożnych pustelni, benedyktyńskich klasztorów, osad jeńców wojennych. Rzednące bory rozwidniają przestrzeń

domową; przy coraz jaśniejszej widni gasną starodawne ogniska i obyczaje starodawne, i rozbłyska coraz świetniej świeżo nad domem zatknięty krzyż.

To nowe znamię było głównem hasłem umysłowego tych czasów życia. Jak ciało młodego narodu orężem, tak dusza jego żyła jedynie wiarą krzyża. Krzyż, Rzym, oto jedyna teraz zwierzchność narodu. Uroszczenia zwierzchności cesarskiej odpiera on zwycięsko orężem, jedyne jego pokłony biją Krzyżowi i Rzymowi.

Stolicy rzymskiej zapisaną została starodawnym, acz nie Bolesławowskim zapisem, cała dzielnica gnieźnieńska, stolicy rzymskiej składa Polska hołd świętopietrzem, stolicy rzymskiej pokorzy się Bolesław prośbą o koronę królewską.

I coraz też więcej Rzymu w samejże Polsce. Cała nowa wiara przemawia rzymskim językiem. Wszystko prawie duchowieństwo, biskupie i klasztorne, składa się z Rzymian, Włochów. Stolica jego Gniezno, uświęcona spoczywającemi tam relikwiami św. Wojciecha w jednym kościele, pięciu męczeńskich pustelników w drugim, zwłokami brata i towarzysza Wojciechowego, Radzyma, w trzecim, słynie daleko z cudów. Zachowała się nawet wiadomość, że prócz Gniezna miało duchowieństwo drugą w Bolesławowskiej Polsce stolicę arcybiskupią w Krakowie[1]). Obok Gniezna i Krakowa wznosiły się pomniejsze stolice biskupie w Poznaniu, w Wrocławiu, w Kołobrzegu pomorskim. A jeżeli biskup Reinbern opuścił tę ostatnią katedrę, tedy stanęła natomiast inna, w Płocku[2]), budowały się kosztem Bolesławowskim[3]) mnogie kościoły, wzmagały się w znaczenie duchowne i zamożność światową opactwa w Trzemesznie, Międzyrzeczu, klasztory benedyktyńskie w Tyńcu, a prawdopodobnie i w Sieciechowie, jako też na Łysej Górze, których opaci mieli niebawem zasłynąć jako »stu włościowi« panowie. Wpojone przez tych mistrzów *Kyrye-elejson* łacińskie, albo czeskie B o g a-r o d z i c o d z i e w i c o, B o g i e m s ł a w i o n a M a r y o, brzmiały najdonośniejszym tych czasów głosem, i zgłuszyły wreszcie wszystkie inne współczesne głosy, a nauczyciele

---

[1]) Mart. Gall. I, 11.

[2]) Bogufał.

[3]) Mart. Gall. I, 11, 9.

tego niebieskiego języka, panowie tych ziemskich włości, to rzeczywiście prawodawcy owego wieku. Dla nich wyłącznie honorowa nazwa »ksiądz-książę«; dla nich jedynie hołdy podbijanych przez rycerstwo narodów, dla nich główna opieka Bolesława. Bo »podbite narody barbarzyńskie zniewalał Bolesław nie do pieniężnych danin, ale do przyjęcia prawej wiary« — a »gdy pan jaki przeciw klerykowi lub biskupowi sporną wytaczał sprawę, albo coś z rzeczy kościelnych sobie przywłaszczył, Bolesław wszystkim ręką milczenie nakazywał i jakby patronujący adwokat, bronił sprawy biskupów i kościoła świętego«[1]). Owszem, ustawy kościelne, kanony, były jedynymi przepisy, zdolnymi pohamować i skarcić żelazną wolę chrobrego króla, jedyną wówczas konstytucyą narodu. Toż jak Bolesław wobec tych duchownych prawodawców swoich »usiąść nie śmiał«, poki oni wprzód nie usiedli[2]), tak też »czując, że wiele nagrzeszył, albo pokarcony w tej mierze wiernem (duchownem) napomnieniem, kazał, bywało, rozłożyć przed sobą kanony, i szukać w nich, jakby popełniony grzech dał się naprawić; i według tych przepisów rzeczywiście oczyścić się usiłował«[3]). A te prawa duchowne, uznane przez sam umysł królewski za główne źródło zobowiązania i usprawiedliwienia, nie ustępowały bynajmniej surowością surowemu ówczesnego umysłowego życia trybowi. Podobnie, jak ówczesne wojenne życie ciała narodowego karmiło się pokarmem krwi, tem wszystkich młodych narodów, młodych lwiąt, mlekiem, tak i one przepisy kanoniczne za lada przewinienie stanowiły karę krwi. »Atoli takie ustanowienia« — mówi biskup Thietmar[4]) — »jakkolwiek srogie, są przecież często chwalebne. Bo lud tameczny godzien, aby się z nim obchodzono, jak z wołem, i nakształt ociętnego osła go osmagano; a bez surowej karności nie da mu rady panujący... Toż i zakon Boży, niedawno w tym kraju zaszczepiony, utwierdza się takową surowością daleko lepiej, niż zaprowadzonemi przez biskupów postami«. Kto więc jawnogrzesznictwa się dopuścił, tego śmiertelnie kaleczono; kto w wielkim poście jadł mięso, temu zęby natychmiast wybijano[5]).

---

[1]) [2]) Mart. Gall. I, 11, 9.

[3]) [4]) Thietm. VI, 56. — VIII, 2.

[5]) Niemców musiano jeszcze sroższą surowością przyzwyczajać do

»Jakoż jest tam jeszcze« — dodaje Thietmar — »wiele innych daleko gorszych, surowszych postępków, które już ani Panu Bogu nie podobają się, ani też mieszkańcom do czego innego, jak tylko do ciągłego służą przestrachu« [1]).

Wszelako ten postrach nie odstręczał umysłów nowej wierze. Zbliżał on ją owszem do starodawnej wiary pogańskiej, jeszcze sroższej w swych wymaganiach moralnych. Jeśli bowiem jawnogrzesznica według »praw Bożych karaną być miała ukamienowaniem«, tedy dawny obyczaj pogański wymagał, aby każda wierna żona przy śmierci męża spólną z nim śmierć poniosła [2]), a w domu, gdzie się jawnogrzesznica znalazła, wisiał u wnijścia ohydny znak jej występku i kary.

Tak życie zmysłowe i życie umysłowe, nowy chrześcijański zakon i stary pogański obyczaj, spotykały się w swej surowości. Napomknąwszy zaś o tych starych obyczajach pogańskich, trąciliśmy o właściwą podstawę, na której wznosiła się cała polityczna i religijna Bolesławowego państwa budowa, o kryjące się przy ziemi podwaliny tego domu, na którego wierzchołku błyszczał świeżo zatknięty krzyż.

O tych pierwotnych obyczajach słowiańskich dowiadujemy się głównie z latopisarstwa innych ludów słowiańskich. Większa część onych ściągała się zapewne także do Polski. Mianowicie powszechny obyczaj sejmowania musiał tu w tem większej istnieć potędze, ile że całe późniejsze życie polityczne narodu na tej wiecowej zasadzie się rozwinęło. Prócz tego zachowały się jeszcze w późniejszej Polsce ślady dwóch ważnych obyczajowych instytucyi, obowiązujących już zapewne i naszą obecną Polskę Bolesławowską.

Jedną z takich instytucyi była spólność rodowa, na mocy której pojedyńcze rodziny w swojem najogólniejszem rozczłonkowaniu tworzyły pewną całość prawną, i we wszelkich też ważniejszych stosunkach z resztą narodu, jak osobliwie w sprawach sprzedaży, zamiany, lub zapisu którejkolwiek części dóbr

---

posłuszeństwa przepisom kościelnym. Łamanie postu wielkiego karane bywało w Niemczech za Karola W. utratą życia. Perz Monum. Germ. Leges I. 48. morte moriatur.

[1]) [2]) Thietm. VIII, 2.

rodzinnych, występowały jako osobne ciała zbiorowe. Druga instytucya dzieliła kraj cały na tak zwane opola, utrzymujące na większy rozmiar takąż samą pomiędzy pewną liczbą sąsiednich osad całość i spólność polityczną, jaka spólność cywilna zachodziła na mniejszy rozmiar pomiędzy pojedyńczych rodzin członkami. I tak n. p. wszyscy mieszkańcy całego opola odpowiadali za naruszenie publicznego bezpieczeństwa w swoim okręgu, opłacali tak zwaną głowszczyznę za głowę zabitego w swem opolu człowieka, wynagradzali popełniony w niem na obcym człowieku rozbój, ścigali spólnie winowajcę, byli obowiązani nieść w granicach swego opola wszelką pomoc przechodniom [1]). Obadwa te zwyczaje pochodziły niechybnie od najdawniejszych czasów, kiedy, jak każde z plemion słowiańskich, tak ledwie nie każde opole w plemieniu i każdy ród w opolu osobne stanowiły jednostki. Wszakże obecnie zrosły się już te jednostki dość ściśle w jedną całość, a to zrośnięcie, rozprzestrzeniając coraz szerzej ogólną władzę królewską, zacierało przemożnie dawne barwy obyczajowe.

Natomiast nastały inne barwy, inne zwyczaje, inni ludzie. Nowa wiara sprowadziła roje obcych duchownych, nowa tegoczesna dążność gromadnego bronienia kraju od nieprzyjaciół, którzy się już byli przedarli do jego granic, a na których teraz wywierano krwawy odwet w ich własnym kraju, utworzyła wewnątrz Polski nowy, po części cudzoziemski stan rycerski, napełniający, pod przewodem rycerskiego książęcia i jego rycersko-obozowego dworu, cały kraj nieznanym potąd gwarem i szczękiem nowego życia. Wszystkie te nowości rozkrzewiały się z dziwną bujnością na pniu Polski, i jakby gęstą zaroślową tkanką spód jej dokoła oplotłszy, ze szczętem wreszcie zakryły starodawne słowiańskie jej podwaliny.

W cieniu tych zarośli, oplatających poziom Bolesławowskiej Polski, siedzi starodawny słowiański kmieć. Niegdyś za Piasta sejmowy pan, podupadł on ciężko w tych czasach. Bo teraz aby mieć wagę, potrzeba się było wyprzeć dawnej wiary, dawnego trybu życia i pójść wojować z Chrobrym, a on, tylko z przymusu i nazwy chrześcijanin, czci skrycie stare bogi i rad daw-

[1]) Roeppel Gesch. v. Pol. I, 615.

nym żyje zwyczajem. Przeto teraźniejsze obrzędy religijne, pełnione przez cudzoziemskie duchowieństwo, — teraźniejsze życie wojenne, utrwalające jedynowładztwo wodza, a tłumiące dawny obyczaj wiecowy, — teraźniejsze dworactwo rycerskie, otaczające Bolesława tłumem cudzoziemskich po większej części »gości« orężnych, — to wszystko budzi w nim wstręt. Unika więc dworu i obyczaju dworskiego, lecz nie może uniknąć koniecznych skutków tej zmiany całego życia, które wreszcie jego sielskiej dosięgają zagrody. Musi płacić dziesięcinę duchownym, musi odbywać stróżę pod grodem, składać w nim osep dla żołnierstwa, a tymczasem tuż pod bokiem jego zagrody powstają osady jeńców, z którymi on, lubo dotąd wolny i samowładny, ma być zrównany niebawem tożsamością sposobu życia i obowiązków. Co tem łatwiej nastąpi, że — w porównaniu z łupieskiemi bogactwy rycerstwa — dawne zagrodowe dostatki kmiecia stały się niczem, że ciągła wojaczka zbawiła go większej części czeladzi, zaciągnionej w zbrojne szeregi, że prócz narzuconych mu służb publicznych, musi jeszcze sobie samemu być sługą, a zuchwałe rycerstwo rade znieważa go i gnębi.

Jednakże Bolesław, lubo właściwie przeciwnika ma w kmieciu, miłuje kmiecia. Dzięki jego królewskiej sprawiedliwości zachował kmieć jeszcze jakąkolwiek niepodległość i równość względem klasy rycerskiej, względem szlachty. Owszem, czując nieuchronne — przy teraźniejszym zwrocie rzeczy — pokrzywdzenie dawnej godności kmiecej, łagodził Bolesław z wszelką względnością tę dziejami sprawioną krzywdę, stawał osobiście jako surowy sędzia w obronie kmiecia, oszczędzał go ile możności, a nawet głosił jawnie, że cała teraźniejsza służba rycerska jest właściwie przeznaczona tylko ku ochronie włościaństwa.

»Owoż ilekroć jaki włościanin, chudzina, białogłowa uboga, żałowali się na którego z wojewod albo rycerzy, Bolesław, jakkolwiek ważnemi zajęty sprawy i mnogimi tłumy magnatów i rycerstwa otoczon, nie ustępował z miejsca, aż póki sprawy z porządku nie wysłuchał, i po tego, na kogo żałowano się, komornego swego nie wysłał. Tymczasem samegoż żałującego polecał jednemu ze swoich poufników, któryby go bronił i za nadejściem przeciwnika przypomniał sprawę królowi. Jakoteż upominał król kmiecia, nito własnego syna, aby nieobecnego

bez przyczyny nie winił i krzywą skargą nie ściągał na siebie tej złości, którą on zgotować chciał innemu. Oskarżony zaś nie ociągał się z przybyciem na wezwanie, ani pod jakimkolwiek pozorem wyznaczonego przez króla roku nie zwlekał. Toż gdy wreszcie przed obliczem królewskiem stanął, nie okazywał mu król gniewu, lecz wesołą i łaskawą twarzą go przyjąwszy, do stołu go zapraszał i dopiero następnego albo trzeciego dnia sprawę roztrząsał. Zgoła, jakby jakiego wielkiego pana sprawę, sprawował Bolesław rzecz ubogiego« [1]).

»Nie uciemiężał też Bolesław włościaństwa jako król i pan służebnictwem, lecz jako ojciec łaskawy spokojnie żyć mu dozwalał. Miał bowiem wszędzie pewne miejsca na leże i stałą służbę, a nie lubił obozować pod namiotami, w polu, lecz najczęściej w miastach i grodach mieszkał. A ile razy z miasta do miasta leże przenosił, zawsze jednych naczelników na granicę wyprawiał, a innych natomiast nad rycerstwem w ziemiach stanowił. Gdy zaś przez którą okolicę przeciągał, nikt, czy to przychodzień, czy gospodarz, wołów lub owiec przed nim nie chował, lecz czy bogacz czy ubożuchny, każdy radością go witał, cały kraj przypatrzyć mu się zbiegał« [2]).

Zatoż odrywał się Bolesław często od uczt i wczasu, aby bronić kraju od nieprzyjacielskich napaści, a gdy »urzędnicy i namiestnicy królewscy pytali go: co począć wtedy z nagromadzonemi na uczty szatami i mięsiwami, co z przygotowaną po grodach mnogością jadła i trunków? on godną późnych wieków pamięci odpowiedź dawał, mówiąc: Weselej i chlubniej dla mnie, zachować tu (na granicy) w całości pisklę kokoszy, niż w tych lub owych grodach leniwie biesiadując, wrogom dać się znieważać. Bo dla prawego rycerza pisklę utracić, jest to nie pisklę, lecz gród albo miasto utracić« [3]).

Atoli trudno było uwierzyć kmieciowi, że cały ten obecny gwar i tłum rycerskiego życia służy jedynie ku jego bezpieczeństwu. Mniemał on raczej, iż byłoby mu daleko bezpieczniej i swobodniej żyć dawnym słowiańskim obyczajem, a słysząc o wydobyciu się ościennych Lutyków z niewoli chrześcijańskiej

---

[1]) [2]) Mart. Gall. I, 9, 12.

[3]) Mart. Gall. I, 9, 12, 15.

na dawną wolność pogańską, zamyślał on o temże samem w Polsce i knował skrycie bunt.

Nie za Bolesława jednak spodziewać ma się dawnej swobody pogańskiej. Nieco później wróci ona jeszcze na krótką chwilę; kiedyś, po wiekach, rozwinie się na łonie chrześcijaństwa spanialsza niż kiedykolwiek w patryarchalnej Słowiańszczyźnie swoboda, lecz teraz, pod żelaznem berłem Bolesława, na dobie właśnie najwyraźniejsze przeciwieństwo sielskiego patryarchalizmu — błędny rycerskiego rozboju żywot, zdobywcze od Bałtyku po Dunaj, od Elby po Dniepr rozganiające się szukanie doli narodowi.

B) Odrodzenie Polski za Łokietka.

(Lwów 1859, wraz z drugiem wydaniem Bolesława Chrobrego).

Praca ta obejmuje obraz dziejów wewnętrznych Polski, w okresie walk książąt od połowy w. XIII do przywrócenia jedności państwowej za sprawą Łokietka i odrodzenia politycznego i ekonomicznego za rządów Kazimierza W. Składa się ze Wstępu, po którym następuje obraz rządów Leszka Czarnego, po nim Henryk Probus, król Przemysław, Wacław Czeski i wreszcie Łokietek. W Zamknięciu obraz Polski w końcu wieku. Podajemy tu ostatni rozdział z obrazu rządów Łokietka.

Pogrom Brandenburczyków i Krzyżaków.

923) *[Str. 459 i nast.].* Samo niebo wspierało Polskę w gromieniu tych nieprzyjaciół. Tak Brandenburczyków za śmierć Przemysława i grabieże Wielkopolski, jako też Krzyżaków za wydarcie Pomorza prześladowała w wyobrażeniach ówczesnych widoczna kara Boża. Dom margrabiów brandenburskich, za czasów Przemysława w kilkunastu członkach kwitnący, wymarł za dni Łokietkowych do szczętu. Ostatni jego potomek, margraf Waldemar, przejęty skruchą na widok tak srogiego gniewu Bożego, miał udać się dobrowolnie na życie pokutnicze, i porzuciwszy sprawy światowe, podczas gdy wszyscy zmarłym i pogrzebionym go mniemali, tułał się przez lat dwadzieścia dziewięć w postaci ubogiego pielgrzyma po lasach i pustelniach. »Przyczyną temu« — mówi nasz Długosz — »mienią być to, iż pojął był w małżeństwo bez dyspensy swoją krewną drugiego stopnia; lecz ja sądzę, iż był to raczej dopust Boży za to, że mar-

graf Waldemar polską ziemię, Pomorze, bezprawnie sprzedał Krzyżakom«. Temci straszniejsza klątwa ciężyła za to na samych Krzyżakach. Ow gniewski komtur Zygfryd, który w czasie zaboru Pomorza wyjeżdżał w pole ze stryczkami w łęku, »został jednego razu, grzejąc się przy ognisku, nagle od złego ducha porwany, z nóg zwalony i w płomienie ciśnięty«, aby śmiercią potępieńczą tam zgorzał. Wielkiego mistrza Karola z Trewiru, pierwszego w polskim Malborgu obranego naczelnika zakonu, zhańbionego wkrótce porozumieniem z podwładnym mistrzem inflanckim, Janem z Hohenhorstu, który zakonowi skradł sto sześćdziesiat i dziewięć grzywien, musiała sama kapituła zakonu ze wstydem złożyć z wielko-mistrzostwa. Następca jego, Wilhelm z Urselen, wyzionął ducha pod skrytobójczym nożem obłąkanego mnicha Endorfa. Przerażone tak krwawemi znakami czasu, zapowiadały później święte niewiasty, Katarzyna ze Szwecyi i Dorotea z Prus, blizką zagładę Zakonu, a tem samem ostateczne oswobodzenie Polski. Jął się teraz pierwszych zagłady tej ciosów, a ostatnich wielkiego zawodu swojego czynów, sprzymierzony z Litwą Łokietek.

Jakoby jednak dla wypróbowania pierwej wspólnego oręża na słabym nieprzyjacielu, uderzył Łokietek naprzód na ziemie brandenburskie, nadane przez cesarza Ludwika Bawarczyka, po wygaśnięciu dawnej rodziny askańskiej, własnemu synowi Ludwikowi. Wraz z rycerstwem polskiem ciągnęły liczne, z dwunastu secin złożone posiłki litewskie, pod wodzą słynnego z waleczności kasztelana grodzieńskiego, Dawida. Przewodnicząca Polakom chęć krwawej zemsty, a Litwinom żądza łupieży, przy żadnych prawie środkach obrony ze strony brandenburskich mieszkańców, pogrążyły ziemię najechaną w bezdnę nieszczęść i klęsk. Nie bawiąc się dobywaniem grodów, rozpuszczono z pod Frankfurtu nad Odrą zagony po równym kraju, który ogniem i mieczem zamieniono w pustynię. Przeszło sto czterdzieści osad, tyleż kościołów, cztery klasztory — poszły z dymem. Sześć tysięcy ludu uprowadzono w niewolę. Nawet kapłanom nie przepuszczało barbarzyństwo litewskie. Zaraz u wstępu do ziemi nieprzyjacielskiej, dla wywróżenia skutku wyprawy, pochwycili Litwini otyłego, krwistego proboszcza Bernowskiego, skrępowali go i wetknąwszy mu głowę pomiędzy nogi, upuścili mu z grzbietu

zdrój krwi, której sposób płynięcia miał oznaczać przyszłość pomyślną lub niepomyślną. Później, gdy się dwóch Litwinów po wzięciu pewnego klasztoru zwadziło o jedną mniszkę, kasztelan grodzieński, Dawid, dla równego podziału łupu, we dwoje mniszkę przerąbał. Mimo tych okrucieństw miano zemstę Łokietka powszechnie za sprawę słuszną. Sam papież Jan XXII, uradowany wyprawą Polaków przeciw obdarzonemu Brandenburgią synowi swego głównego wroga, cesarza Ludwika Bawarczyka, błogosławił mściwemu orężowi polskiemu. A gdy Łokietek wreszcie zwycięsko wrócił do dom z wyprawy, przyjęły go tam pochwalne słowa listu apostolskiego: »Wzrastasz w sławę, synu najukochańszy, i słusznie, gdyż pokładasz wielkie dla siebie i dla drugich zasługi przed panem Bogiem, pracując jako prawdziwy książę katolicki nad rozszerzeniem wiary i uwielmożnieniem kościoła«.

Zresztą cała wyprawa brandenburska była tylko wstępem do nierównie krwawszych i trwalszych wypraw przeciw Krzyżakom. Rozpoczęły się one bezpośrednio napadem brandenburskim, gdy powracające z za Odry pułki litewskie rozpostarły zagony po kresach ziemi Zakonu, a powtarzały się raz po raz przez lat kilka. Do posiłków litewskich przybyły teraz jeszcze hufce węgierskie, przysłane w pomoc przez zięcia Łokietkowego, Karola Roberta, króla Węgier. Wszelkie przyjazne Polsce siły miały wspierać ją w tem żywotnem przedsięwzięciu. Ciążąca na Krzyżakach klątwa nadawała napadowi polskiemu charakter dziwny, bo przeciw samemu Zakonowi krzyżowemu podjętej wyprawy religijnej, krzyżowej, i to podjętej zapomocą pogan, Litwinów. Wtargnąwszy w granice pruskie, użyto zwyczajnej broni pożogi i zniszczenia. Krzyżacy, pozamykani w kilku grodach warownych, nie śmieli stawić nigdzie oporu. Cały kraj krzyżacki po rzekę Ossę legł martwem pogorzeliskiem. Dopiero, gdy węgiersko-litewsko-polskie zastępy, po nasyceniu mściwego oręża krwią ziemi pruskiej, obróciły się na Mazowsze, przeciw sprzymierzonemu z zakonem Wańkowi mazowieckiemu, wyszli Krzyżacy pod wodzą komtura toruńskiego z swoich murowanych kryjówek, i połączywszy się z kamratem zakonu, Wańkiem, wydali Polakom na polach kujawskich bitwę, w której kara Boża przytarła ich do reszty. Całe wojsko komtura legło na placu. Sam komtur

padł pod ciosami nieprzyjaciół. Wańko tylko szybką ucieczką życie ocalił. Polacy powrócili w tryumfie.

W rok później spadła nowa z Polski burza na Zakon. A była to coraz krwawsza i sroższa burza. Przy boku Łokietka ciągnęły znowuż pułki węgierskie pod wodzą Wilhelma, księcia austryackiego, i litewskie pod naczelnictwem samego Gedymina. Myślom zaś Łokietkowym marzyło się już nie o próżnem pustoszeniu ziemi nieprzyjacielskiej, lecz o zburzeniu grodów warownych, o podbiciu całego kraju. Toż cały Zakon wyruszył ku obronie. Podczas, gdy sprzymierzone zastępy polskie zbliżały się ku pogranicznej rzece Drwęcy, skupione w jedną masę wojska krzyżackie pod wielkim mistrzem zakonu, wspartym dwoma podwładnymi mistrzami, niemieckim i inflanckim, zajęły przeciwległe wybrzeże, opierając się wszelkiemi siłami przeprawie Polaków koło Lubicza. Po długich pochodach obudwu wojsk nieprzyjacielskich wzdłuż obu brzegów rzeki, opuścił Łokietek stanowisko pod Lubiczem i posunął się ku Brodnicy; dokąd Krzyżacy po przeciwnej stronie towarzyszyli mu nieodstępnie. Wtem od Lubicza uderzył olbrzymi słup dymu w niebo, a całe wojsko polskie rzuciło się z radością od Brodnicy napowrót ku Lubiczowi. Ow bowiem słup donosił, że pozostawiona skrycie pod Lubiczem część hufców Łokietkowych, przeszła bezpiecznie, po oddaleniu się Krzyżaków, przez rzekę Drwęcę, i pustoszy już zarzeczne ziemie krzyżackie. Pod jej osłoną przeprawiło się teraz całe wojsko polskie bez oporu w kraj nieprzyjacielski, i zalało go morzem płomiennego zniszczenia. Krzyżakom nie pozostawało nic innego, jak skryć się znowuż za mury, bronić się w grodach, które jednak Polacy tym razem szturmem już brać zamyślali. Jakoż przystąpiono niezwłocznie do oblężenia zamków Szenze i Lipna. Wszakże godzina zupełnego przytarcia zakonu jeszcze nie uderzyła. Wszczęły się waśnie między sprzymierzeńcami polskimi, węgierskim wodzem Wilhelmem a Litwinami. Wskutek tych waśni, jako też nieporozumienia z Łokietkiem, cofnął Gedymin po do statecznem zniszczeniu krain krzyżackich swoje pułki litewskie, i wrócił jeszcze przed opanowaniem Drwęcy nazad do Litwy. Nadto, gdy ziemie nieprzyjacielskie spustoszono do szczętu, a łupy odesłano do Polski, wszczął się niedostatek w samym obozie polskim. Wtedy nieochłonięci jeszcze z trwogi Krzyżacy, wyprawili

w sam czas pokorne poselstwo do Łokietka z prośbą o pokój Łokietek, lubo także zakończenia wojny pragnący, zażądał na tem większe upokorzenie Zakonu, aby sam mistrz Wielki przybył po rozejm do obozu polskiego. Przestraszony mistrz uległ potrzebie i pokłonił się Łokietkowi. Zawarto ugodę, pożądaną dla stron obudwóch, lecz jedynie dla Polaków zyskowną.

Stosownie do coraz wyższego celu wypraw przeciw Krzyżakom, przypadły Polsce teraz, prócz łupów spustoszonych krain krzyżackich, dwa mocne grody, ustąpione w obecnym rozejmie Łokietkowi, Wyszogród i Bydgoszcz. Względem reszty dawnego zaboru krzyżackiego miały dalsze wszcząć się układy, w których ze strony Polski Karol Robert, król węgierski, a ze strony Krzyżaków Jan Luksemburski, król czeski, przyjęli pośrednictwo.

Jednakże układy nie przyszły wcale do skutku. Złamany wiekiem i trudami Łokietek pragnął już w pokoju spędzić ostatnie chwile żywota. Wtem nieprzewidziany wypadek powołał go do ostatniej, najświetniejszej ze wszystkich rozprawy z Krzyżakami. Dla wczesnego wprawienia królewicza Kazimierza w trudy rządowe, nadał mu Łokietek na walnym wiecu w Chęcinach wielkorządztwo w Poznaniu, piastowane dotąd przez Wincentego z Szamotuł, herbu Nałęcz. Oburzony tą niełaską Wincenty, poprzysiągł śmiertelną zemstę królowi i zbiegł co tchu do Krzyżaków. Przyjęty radośnie przez W. mistrza, Lutera Brunświckiego, sprowadził wojska zakonu na Wielkopolskę w celu schwytania nowego wielkorządcy, królewicza Kazimierza. Powiodło się wprawdzie królewiczowi ocaleć szczęśliwie w leśnych kryjówkach, lecz znaczna część Wielkopolski została srodze przez Krzyżaków zniszczona. Owszem sam niepomyślny skutek tej pierwszej wycieczki poduszczył Wincentego do ponowienia mściwych z Krzyżakami zamachów na państwo Łokietkowe. Nastąpił więc drugi, jeszcze zgubniejszy napad, w którym przeszło dwanaście najmożniejszych miast wielkopolskich splądrowano i podpalono, nawet kościoły i klasztory, zacząwszy od kościoła metropolitalnego w Gnieźnie, zburzono, całą krainę morzem płomieni zalano. Nie uszedł już przecie ten wtóry zamach tak bezkarnie, jak pierwszy. Część szlachty wielkopolskiej usypała na siedem staj długości, od Zwolenia i Kępy do Głuszyna, wał z głębokim tuż rowem, za którym tłumy okolicznej ludności z całym dobytkiem chwi-

lowe miały schronienie. Dla przełamania tego przekopu wyprawili Krzyżacy trzy tysiące jazdy pruskiej, podczas gdy nasi kilka secin nadwornej milicyi królewskiej wezwali w pomoc. Przyszło do krwawej utarczki, w której ze strony Krzyżaków nikt prawie z życiem nie uszedł. »Zadaną wówczas Krzyżakom klęskę« opowiada po stu pięćdziesięciu latach nasz Długosz — »poświadcza do dziś dnia mnóstwo bielejących na pobojowisku kości ludzkich«. Atoli nierównie większa korzyść, niźli z tych kości, urosła Polsce niebawem z odzyskania wyrodnego syna ojczyzny, Wincentego z Szamotuł. Wyprawionemu doń tajnemu posłowi Łokietkowemu powiodło się przyrzeczeniem zupełnej bezkarności nakłonić go do zerwania ohydnej spółki z Krzyżakami. Ujęty ufnością króla, przybył Wincenty skrycie do obozu polskiego, i radząc stoczyć walną z Krzyżakami bitwę, obiecał przejść śród boju na stronę ziomków. Jakoż postąpiono sobie stosownie do jego rady i zaczęto pod sprawą samegoż króla posuwać się ku wojskom krzyżackim. Stały one pod wodzą marszałka zakonu, Dytryka z Altenburga, między Radziejowem a Brześciem, na szerokiej równinie pod wsią Płowcami. We mgle poranku 27 września, r. p. 1331 — w dzień przeniesienia zwłok patrona Polski, św. Stanisława — uderzyły hufce polskie na nieprzyjaciół. Zaraz w początkach bitwy nastało wielkie zamieszanie w wojskach krzyżackich. Wzmogło się ono jeszcze bardziej, gdy Wincenty z Szamotuł ze swym oddziałem z tyłu na własnych sprzymierzeńców uderzył. Śród tego z dwóch stron natarcia na Krzyżaków padł rycerz Iwan ze sztandarem Zakonu. Śmiertelny popłoch ogarnął szyki krzyżackie. Uradowani Polacy za pomocą Wincentego z Szamotuł osaczyli Niemców dokoła i po największej części w pień ich wycięli. Pięćdziesięciu najznakomitszych rycerzy zakonu — pomiędzy nimi sam wódz naczelny, marszałek Dytryk z Altenburga, W. komtur Otto z Bonsdorfu, komtur elblągski Herman, komtur gdański Albert i wielu innych dostojników — dostało się w niewolę. Na każdym z nich ciążyło brzemię krwi polskiej. Mianowicie elblągski komtur, Herman, miał sławę dzikiego okrutnika w sukni krzyżowej. Gdy przed niewielą tygodniami Krzyżacy burzyli Sieradz, a przeor tamecznego klasztoru Dominikanów upadł do nóg komturowi Hermanowi, swojemu od dawna przyjacielowi, błagając go o litość nad świątyniami

i zagrożonym powszechną rzezią ludem, butny Krzyżak odpowiedział przyjacielowi jedynem pruskiem słowem: »*Neprest*, nie rozumiem«. Toż łatwo pojąć, do jakiego stopnia wściekłości rozgorzeć musiał obecnie gniew zwycięzców. »Co to za wojownicy?« — zapytał Łokietek, nadjeżdżając po bitwie ku tłumowi jeńców krzyżackich. »Niemcy!« odpowiedziano. »Śmierć im!» krzyknął starzec królewski. Jakoż wszyscy, oprócz marszałka Dytryka padli ofiarą zemsty Łokietka i narodu.

Atoli nie skończyła się jeszcze na tem walka dnia tego. Wkrótce po przemożeniu zastępów pierwszych przybyły na pobojowisko nowe oddziały krzyżackie, pod naczelnictwem komtura Ottona z Luterbergu i Henryka z Plauen, i odnowiły walkę. Wszakże jedynym owocem ich rozpaczliwych usiłowań było tylko odbicie pojmanego wodza naczelnego, którego oszczędzono przy rzezi. Zresztą cofnęło się nowe wojsko krzyżackie z pola, i w oznakę zupełnej klęski Zakonu, opuściło z pośpiechem ziemie polskie.

Przez dni kilka zbierali na pobojowisku płowieckiem słudzy biskupa kujawskiego pozostawione trupy krzyżackie. Było ich wszystkich, według ścisłego obliczenia, cztery tysiące sto osiemdziesiąt i siedm. Późniejsze wieści kronikarskie, podnosząc tę materyalną stratę Zakonu do równi z moralnem znaczeniem płowieckiej wygranej, podają liczbę poległych Krzyżaków na czterdzieści tysięcy. Z rycerstwa polskiego zginęło około pięciuset ludzi, pomiędzy tymi kilkunastu panów możniejszych. Z tych, co przeżyli swe rany, zasłynął najgłośniej ów szlachcic imieniem Floryan Szary, a herbu Koźle rogi, później Jelita czyli Trzy kopie, który znaleziony na pobojowisku z rozdartemi od trzech włóczni trzewami, odpowiedział żałującemu go Łokietkowi: Nie tyle to boli, co zły sąsiad w tej samej wiosce. Wincenty z Szamotuł szukał napróżno śmierci lub rany na polu bitwy. Ocalony od nieprzyjacielskiego oręża, udarowany łaską i przebaczeniem królewskiem, doczekał on się nieco później sro giego ukarania za swoją zdradę. Właśni jego współziemianie i przyjaciele, którym on w poprzednich napadach z Krzyżakami poniszczył włości, zabili go w następnym roku na zjeździe. Dopomagający do zwycięstwa zdrajca okazał się mniej godnym współczucia, niż nieprzyjaciel otwarty, z którym przyszło wal-

czyć do śmierci. Przejednany pod Płowcami odstępca zginął od własnych braci, a polegli tamże Krzyżacy zostali uczczeni żałobną na długie czasy pamięcią. W pośrodku mogił ofiar krzyżackich wzniosła się piękna, przez biskupa kujawskiego zbudowana kaplica, brzmiąca przez długie czasy modłami za duszne w niebie zbawienie tych nieprzyjaciół, którzy swoją śmiercią na ziemi zbudowali Polsce tak świetną podstawę przyszłej wielkości.

Dokonany w ten sposób na zdrajczych Krzyżakach pogrom był tak dotkliwym i głośnym, że nawet obce narody z podziwem wieści o nim słuchały. Liczne kroniki niemieckie sławią zwycięstwo Łokietka nad Zakonem. Mianowicie spółczesna kronika czeska *aulae regiae* twierdzi wyraźnie, że gdyby nie złudne zaręczenia pokoju ze strony Kawalerów Niemieckich, byłoby już wówczas nastąpiło zupełne zawojowanie Zakonu. Mimo innego obrotu rzeczy, mimo chwilowych jeszcze strat polskich, jak w roku następnym straty Kujaw, zachwiały ciosy Łokietkowe cały byt niemieckiego zakonu, i jak sobą samemi ocaliły ojczyznę, tak spółtowarzyszącą im okolicznością obronnego przymierza z Litwą, w trójnasób później wzmogły ją w sławę i potęgę.

Było to najwyższą i ostatnią zasługą Łokietka. Dopełnienie onej, po dopełnieniu tylu zasług poprzednich — po oswobodzeniu Polski z pod władzy cudzoziemca Wacława, po kolejnem zespoleniu w jedną całość Brześcia, Sieradza, Łęczycy, Sędomierza, Wielkiej i Małej Polski; po złamaniu anarchii możnowładców, panów kościelnych i miast zobczałych, wreszcie po utorowaniu drogi do związku ścisłego z Rusią przez Związek z Litwą — dopełniło też kresu dni jego. Wracając z wojen krzyżackich jako tryumfator dokonanego już odrodzenia ojczyzny, wpośród radości całego w solennej procesyi wyszłego naprzeciw sobie Krakowa, wracał on już tam na spoczynek grobowy obok pierwszego bohatera dokonanej teraz walki o całość i wielkość Polski, obok rodzonego brata — Leszka Czarnego. Podczas gdy dwaj wrodzy zapaśnicy tej walki, Probus i Wacław, spoczęli w wynarodowionym Wrocławiu i obcej Pradze, a nieszczęśliwy Przemysław w rodzinnym Poznaniu swe brandenburskie rany grobowym przykrył głazem, obadwaj nasi Kujawczykowie, Leszek Czarny i Władysław Łokietek, obejmujący bratniem ramieniem i du-

chem całe skreślone tu dzieło odbudowania Polski, uświęcili Kraków swojemi królewskiemi zwłokami. Ich trudy i znoje spoczęły z nimi w grobach krakowskich, ponad niemi pod ich szczęśliwym następcą wzniosła się wielka, kwitnąca Polska.

C) Szkice historyczne (1857).

Drobnych rozmiarów obrazy różnych stron życia dziejowego, ogłaszane oddzielnie po czasopismach, wychodziły następnie w zbiorach tomowych, których było cztery. Wdzięk opowieści i bogactwo świeżych, charakterystycznych szczegółów nadają tym obrazkom niepospolitą wartość. Podajemy tu pomieszczony w tomie II (Lwów 1857) zarys pierwotnego osadnictwa na ziemiach klasztornych.

Przed sześciuset laty.

I. Księga fundacyjna.

924) *[Str. 16 i nast.]*. Widzieliśmy nieraz muszkę przedpotopową, zasklepioną w bursztynie; odcisk ryby przedpotopowej w kamieniu. Pewien chwilowy przypadek uwięził jednę i drugą przed tysiącami lat w uścisku bursztynu lub piaskowca a skutek tego chwilowego trafu zbogaca umiejętność przyrody poznaniem wcale nowych żyjątek, cale nowych kształtów stworzenia. Coś podobnego zdarza się także w historyi, mianowicie w jej piśmiennictwie. Jakaś chwilowa pobudka przywiodła kogoś przed wielu stuleciami do skreślenia obchodzących go bliżej wypadków lub stosunków, a owoc tej przypadkowej podniety, stary, odgrzebany później rękopis, zbogaca historyczną wiedzę widokiem pewnych nieznanych zgoła wydarzeń i charakterów, przedwiecznych stosunków społeczeńskich. Jak rysy kwiatu przedpotopowego na tle skamieniałości, tak pewien stan rzeczy ludzkich, pewien przedwieczny odłamek życia narodowego, przechowywa się w ten sposób świeżo i całkowicie dla zdumionych spojrzeń potomków.

Taki skamieniały obrazek kawałka przeszłości naszej otrzymaliśmy w świeżo ogłoszonej publikacyi znanego historyka G. A. Stenzla pod napisem: »*Liber fundationis claustri R. Mariae V. in Henrichow.* Historya założenia klasztoru N. Panny

Maryi w Henrykowie. Wrocław 1854«. Jest to cysterski klasztor we wsi Henryków na Śląsku, o kilka mil na południe od Wrocławia, ku górom. Założył go w XIII wieku, około r. 1227, sławny książę śląski i krakowski, Henryk Brodaty, późniejszy opiekun Bolesława Wstydliwego. Jużto pierwotną fundacyą, już późniejszymi darami i przykupnem rozszerzył konwent Henrykowski swoje właścicielstwo na całą przyległą okolicę, mającą więcej niż jedną kwadratową milę przestrzeni, z kilkunastu wioskami. W 30 do 40 lat po nastaniu klasztoru, kiedy wszystka ta przestrzeń była już w posiadaniu Cystersów, przyszła któremuś mnichowi myśl, opisać jak najdokładniej: jakim sposobem konwent stał się właścicielem każdej wsi i dziedziny, kto je dawniej posiadał, jakie koleje każda z nich przechodziła od dawnych czasów. Uczynił to autor w chęci zabezpieczenia swoich spółbraci i następców zakonnych od napaści złych ludzi, którzyby kiedyś pozywać chcieli klasztor o nieprawne dzierżenie tej albo owej własności. Spowodowana takim zamiarem księga, później przez innych mnichów kontynuowana, a obecnie po raz pierwszy drukiem ogłoszona, podaje mimowolnie historyczno-statystyczny obraz jednej kwadratowej mili słowiańskiej przed sześciu stuleciami, t. j. w epoce bliższej o tyleż lat pierwiastkowemu stanowi Słowiańszczyzny, tak żywą wzbudzającemu ciekawość. Zamiast wiadomości o politycznych wypadkach kraju, które nie obchodzą bynajmniej naszego klasztornego autora, wyczytujemy tu, ile mniej więcej osad i zagród leżało na wzmiankowanej przestrzeni, jakim trybem i obyczajem żyli ich właściciele, co za widok przedstawiała ich okolica w onych leciech. A ponieważ Śląsk w pierwszej połowie XIII stulecia pod każdym względem był ziemią polską, więc owa kwadratowa mila słowiańsko-śląska, której nader ciekawy obrazek przechował się w księdze fundacyjnej mnicha Henrykowskiego, jest w całem znaczeniu kwadratową milą polską, mianowicie milą zachodnio-pogranicznych krain Polski ówczesnej. Skreślimy tu wielce zmniejszony przerys tego obrazku.

Jesteśmy tedy przed sześciuset laty na zachodniem wybrzeżu Odry, w stronie, gdzie od niedalekich gór czeskich płynie ku niej rzeka Olawa. Od jej źródeł, poniżej miasteczka Münsterberg, niegdyś Ziembice, u stóp samychże gór, ciągnie się po

obudwóch brzegach Olawy, przez jakie cztery do pięciu mil, podwójne pasmo wzgórzyste. Tworzy się przez to kilkumilowa powzdłużna dolina, której pośrodkiem płynie właśnie ku północy Olawa. Szerokość tej doliny mierzy gdzieniegdzie więcej, gdzieniegdzie mniej niż mila. Zamykające ją z uboczu obie ściany górzyste zielenią się pięknymi lasy, po lewej stronie Olawy najpospoliciej bukowym, po prawej jaworowym. Z obojego pogórza ścieka ku Olawie wiele potoków, okrywających całą dolinę siecią srebrzystych wód, rozlanych tu ówdzie w staw lub jezioro. Nad tymi potokami, rzadziej ku coraz wyższej podniosłości pogórzów, gęściej u jego stóp, wzdłuż koryta Olawy, ściele się mnogo rozrzuconych zagród i osad.

Rozciąga się ta powzdłużna dolina, jak powiedziano, cztery mile z południa ku północy. Prawie w połowie tej rozległości znajduje się kwadratowo milowa przestrzeń, później własność Cystersów Henrykowskich, opisana szczegółowiej w ich księdze fundacyjnej. Mając tu powtórzyć jej główne rysy, przedstawimy ten obrazek w chwili przed nastaniem klasztoru, około r. 1220. Jest on już i w tej przedklasztornej porze zasiany pojedyńczemi zagrody; lecz ludzie, którzy w kilkadziesiąt lat później mogli porównać pamięcią jego stan w czasie istnienia klasztoru z dawniejszym przedklasztornym, mówię o tej naszej epoce około r. 1220 jako o czasach bezludności, kiedy według słów księgi fundacyjnej [1]) »cała ta okolica była jeszcze nader pusta i leśna, kiedy nikt o posiadłości w niej nie dbał, i chcąc nawet w półdarmo sprzedać kawałek ziemi, nie znalazł wcale kupca«.

W tej mierze, rozpamiętując historyę zaludnienia tej kwadratowej mili klasztornej, od r. 1260 czyli od spisania pamiętnika fundacyjnego o jakich 80 do 90-ciu lat wstecz, przypomina sobie nasza księga trzy stanowczo różne epoki. Pierwsza sięga czasów starego książęcia Bolesława, który założył klasztor Lubuski, a panował od r. 1163 do 1201, jako pierwszy książę wrocławski. Wówczas odleglejsze ustronia Śląska, jak właśnie wyższe porzecze Olawy, nie miały zgoła mieszkańców. Datował się ten stan od dawnych książąt polskich, od królów Bolesławów, którzy nad niezmiernie szerokim panując krajem, nie zdołali

[1]) Str. 40, 42, 55, 61.

zajmować się osiedlaniem każdego zakątka państwa. Dopiero gdy, po rozpadnięciu się kraju pod synami Bolesława Krzywoustego każda część Polski przeszła pod osobnego książęcia, mógł taki książę, mógł w szczególności pierwszy osobny władzca ziemi wrocławskiej, ów fundator klasztoru Lubuskiego, Bolesław, pomyśleć o zaludnieniu odleglejszych ustroni, jaką w ziemi wrocławskiej była dolina nad-Olawska. Zaczem poczytując się za najwyższych zwierzchników i właścicieli wszelkich pustych obszarów, »poczęli wtedy książęta śląscy rozdawać szlachcie i prostemu ludowi dziedzictwa i folwarki« [1]), t. j. szlachcie szerokie przestrzenie gruntów pustych na własność, a pospólstwu pod uprawę dzierżawną. I poczęto zwoływać kolonistów z krajów ościennych, i jęła ziemia śląska napełniać się ludnością, zwłaszcza z Niemiec. Wówczas, na onych kilkadziesiąt lat przed klasztorem Henrykowskim i jego księgą, zaczęło pobrzeże Olawy porastać osadami ludzkiemi, i nastała epoka druga, czasy drugiego książęcia wrocławskiego, Bolesławowego syna, Henryka Brodacza, panującego od lat 1201 do 1238, czasy coraz gęstszego zaludnienia się okolicy. W porównaniu z wiekiem poprzednim, z laty starego książęcia Bolesława, była to pora wzrostu i zamożności, lecz po dalszych kilkudziesięciu latach, w trzeciej z wzmiankowanych tu epok, przypadającej w dnie Henrykowego syna i jego wnuków, w epoce nagłego podwojenia i potrojenia się ludności nad Olawą, mawiano o tych pośrednich czasach księcia Henryka takiemi właśnie słowy, jakieśmy powyżej przytoczyli, nazywając je wiekiem bezludności, niewytrzebionych lasów i zaniedbania gruntów. Szła bowiem ziemia śląska w coraz drobniejsze później podziały; dawne księstwo wrocławskie rozpadło się pod Henrykowemi wnukami w trzy mniejsze księstwa: Wrocław, Lignicę i Głogów; każdy z książąt pomniejszych wglądał pilnie w coraz wszechstronniejsze zużytkowanie swej ziemi przez sprowadzonych w jej najodleglejsze zakątki osadników, a wtedy i wzgórzyste porzecze Olawy do nieporównania z czasami dawniejszymi wzmogło się w ludność i sioła. Pod tym względem cały kilkuwiekowy okres rozpadnięcia się państwa

[1]) Str. 60, nobilibus et mediocribus hereditates et predia distribuerunt.

Bolesławów w mnogie księstwa pomniejsze, niemałą przyniósł korzyść krajowi. Zatrzymamy się tu nad średnią chwilą tego okresu, nad obrazem średniego osiedlenia naszej doliny klasztornej, przed sprowadzeniem konwentu, za dni księcia Henryka Brodatego.

II. Dolina klasztorna.

Owóż, jak całą okolicę nad-Olawską, tak i kwadratową milę Cystersów przerzyna samym pośrodkiem rzeka Olawa. Jak cała okolica, tak i taż mila kwadratowa ograniczona jest z prawa i z lewa lesistemi wzgórzami. Z pomiędzy spływających stamtąd potoków, pożądanych przyrośli Olawy, należy wpoić sobie w pamięć mianowicie dwa, wpadające w nią z lewej, czyli zachodniej strony. Obadwa płyną ku Olawie ukośnie, z północy ku południowi. Jeden, bliższy północnych krańców całej doliny, nazywa się Jagielno; drugi, ku jej środkowi zbliżony, Morina. Miejsce, gdzie Morina wlewa się do Olawy, stanowi właśnie centrum opisywanej tu mili. W tem też miejscu, w samym pośrodku swojej doliny, ma później stanąć klasztor. Obecnie mieszkają tu kmiecie książęcy. Nie jest to w właściwem tego znaczeniu wieś, lecz od niedawnych jakoś czasów osadził tu książę na pustej ziemi kilku rolników, którzy za pewną daninę uprawiali grunta po lewym brzegu Olawy, między potokami Moriną i Jagielnem. Jakoż nie miała ta osada nawet nazwy osobnej, lecz że najzamożniejszy z kmieci, a zapewne i niejaką zwierzchnością nad resztą przyodziany, zwał się Suk, więc i osadę całą nazywano zwyczajnie Sukowice. Niedługo atoli trwała i wieś i nazwa. Drugi bowiem po Suku najzamożniejszy kmieć, imieniem Krepis [1]), wszczął z nim razu jednego zwadę, w której obadwaj zabili się nawzajem. To stało się powodem rozsypki reszty kmieci. Wszyscy rozpierzchnęli się w różne strony. Napół uprawne grunta legły pustką na nowo.

O kilka tysięcy kroków na północ od opustoszałych Su

---

[1]) Musimy nazwy ówczesne powtarzać tak, jak je znajdujemy w rękopisie. Są one zapewne częstokroć mylnie podane (autor rękopisu był prawdopodobnie Niemiec), lecz dowolne zmiany i poprawki z domysłu — byłyby nierzadko jeszcze mylniejsze.

kowic płynął potok Jagielno. Otrzymał on tę nazwę od ulubionych dawnym Słowianom jagieł, które uprawiono u jego brzegów. Idąc nim z pół mili w górę, dochodziłeś do źródła. Stał nad niem ogromny jawor, rozpościerający szeroko po otwartem polu swój cień. Według starosłowiańskiego zwyczaju, nadającego każdemu źródłu osobne miano, nazywało się źródło potoku Jagielno, od tegoż jaworu Jaworowicą. Obejmowano tem mianem niekiedy i cały obszar ziemi dokoła. Mieszkali zaś w tem miejscu dwaj bracia, uboga szlachta, starszy Janusz, młodszy Dobrogost. Musieli przybyć z daleka, gdyż jak się to bardzo rzadko zdarzało, nikt w okolicy nie przyznawał się do spólnej z nimi krwi. Uprawiając nadane sobie dziedzictwo, różnili się oni mało-czem od możniejszych kmieci książęcych. Młodszy Dobrogost chciał się wyróżniać tem, iż od czasu do czasu z rycerską łupieżył po okolicy. Starszy Janusz trudnił się gospodarstwem, uprawiał proso, pasał konie i owce. Od niego też nazywano całą zagrodę z przyległością inaczej Januszowo. Dobrogost został jednego razu zapozwany o rozbój przed sąd książęcy, i utraciwszy dziedzictwo musiał iść na wygnanie. Osamotniony Janusz umarł wkrótce bezdzietnie. A ponieważ nikt w okolicy nie zgłaszał się do dziedzictwa, więc i Januszowo zamieniło się w pustkę. W takim stanie rozłożysty jawor nad źródłem stał się znowuż wyłącznym panem całego miejsca, i nazywano je znowuż częściej Jaworowicą niż Januszowem.

Szczęśliwiej wiodło się innej osadzie szlacheckiej, leżącej o dalsze pół mili ku południowi, u źródła innej rzeki, która wraz z potokiem Moriną płynęła z zachodu do Olawy. Mieszkał tam niejaki Henryk, powiadający o sobie, że jest szlachcicem. Uprawiał on dość szeroką przestrzeń ziemi, rozpostartą między potokami Moriną a Jagielnem. Według starodawnego zwyczaju nazywano ją po imieniu właściciela Henrykowo. Była zaś osada Henryka szczęśliwszą z tej przyczyny, że nietylko nie straciła z czasem swojej nazwy pierwotnej, lecz owszem nadała ją, jako nazwę stołeczną, całej dokoła ziemi.

Jeszcze dalej ku południowi graniczyło Henrykowo z ogromną bukowiną, czyli lasem bukowym. Jak wszystka ziemia nieuprawna, tak i ten las zależał od rozrządzenia książęcego. Przed laty kilkudziesięciu, kiedy jakeśmy słyszeli »po raz pierwszy rozdawano

tu ludziom ziemie«, przydzielił stary książę Bolesław, założyciel klasztoru Lubuskiego, całą tę przestrzeń leśną pewnemu kmieciowi, imieniem Głambo lub Głąbo. Ten w przeciągu lat kilkunastu wykarczował sobie dość znaczny spłacheć ziemi, nazwany z staropolska Wiela łąka, tyle co Wielka łąka. A ponieważ wszystka puszcza dokoła nie miała innego pana nad Głąba, więc całą tę ustroń leśną nazywano odeń Głąbowice. Uprawiał też Głąbo dość długo swą Wielą łąkę, i zostawił ją synom. I ci żyli początkowo spokojnie na korczowisku ojcowskiem, i także doczekali się dzieci. Lecz następnie dał im Pan Bóg uciążliwego sąsiada, pana możnego, od którego różnym sposobem uciskani, zmierzili sobie Głąbowice swą Wielą łąkę i za pozwoleniem książęcem przenieśli się stamtąd o jaką pół mili ku wschodowi, ponad rzekę Olawę, na wzgórek. Był wtedy najprzemyślniejszym pomiędzy braćmi niejaki Kwietyk, »syn syna Głąbowego«. Nazywano go zwykle Kika t. j. Bezręki, gdyż nie miał istotnie żadnej, utraciwszy jednę w dziecięctwie, a drugą później od miecza. Lubo bezwładny kaleka, umiał on przecież nadrobić wszędzie głową, dowcipem, błazeństwem rozśmieszającem. Stąd nawet u dworu książęcego lubiono Kikę dla różnych kuglarstw uciesznych, i sam mądry książę Henryk Brodaty, a może i małżonka książęcia, św. Jadwiga, »wielce nieraz z niego naśmiali się«. Opuściwszy Wielą łąkę, założył Kwietyk na onym wzgórku nową osadę, nazwaną od jego imienia Kwietykowice. Wiela łąka legła znowuż ugorem, lecz las okoliczny zachował po swoim pierwszym osadniku dawną nazwę Głąbowice.

Między Wielą łąką a późniejszymi Kwietykowcami leżała jeszcze osada Muskowice, własność książęca. Dalej, cały południowo-zachodni węgieł naszej doliny, szeroką przestrzeń ziemi, zapewne z powodu grzęzkości gruntów wzdłuż pobrzeży Olawy i dwóch innych wpadających tu do niej strug, widzimy w księdze klasztornej pustym, niezaludnionym obszarem. Dopiero po prawej stronie Olawy, w drugiem poboczu naszego kwadratowo-milowego krajobrazu, gdzie jeziorzyste wybrzeża rzeki poczynały w orną stężać się glebę, ciągnęła się ku północy, równolegle z biegiem Olawy, blizko ćwierćmilowa posiadłość szlachecka, Kojanowice. Pan tutejszy, niejaki Dalibor, liczył się do znamienitszej szlachty tych stron, gdyż synowie jego przybierali

później tytuł hrabiów, komesów. Nie bywało atoli komesostwo ówczesne bezwarunkową cechą pańskości. Znaczyło ono jedynie honorową odznakę pewnych urzędów, mianowicie urzędu kasztelańskiego, który niekiedy, jak to bywało zwłaszcza w grodach pomniejszych, w cale powszednich spoczywał ręku. Nie świecił tedy ojciec komesów Dalibor ani bogactwami, ani ogładą. Zachodziła owszem tem mniejsza różnica między takim kasztelańskim komesem a człekiem z gminu, ile że nawet kmiecie pos polici nie miewali pod Śląskimi Piastami wzbronionych sobie mieszkań warownych, kasztelów, zamków. Jakoż tuż pod bokiem p. Dalibora z Kojanowic siedział taki kmieć kasztelowy[1]), zwał się Kołacz, a »władał onemi czasy nad wielą lasów i puszcz dokoła« [2]). Ciągnęła się ta leśna włość Kołaczowa przeszło półmilową przestrzenią po wschodniej stronie doliny, wznoszącej się tu w wzgórza zielone. Jak na podobnychże krańcach doliny od zachodu, w onej włości Głąbowej, rosły najgęściej buki, tak w lasach Kołaczowych jawory. Nazywano też całą jego dzierżawę niekiedy Jaworowem, lecz najpowszechniej, trzymając się starodawnego zwyczaju, dawano jej miano po właścicielu. Rozpościerało się zaś to Kołaczowo tak daleko i wszerz i wzdłuż, że mało co późniejszymi czasy osiedliły się trzy nowe wsie w jego obrębie. Mieszkał tedy stary Kołacz z synami w zamku, który leżał na wzgórzu ku Olawie, a przetrwał całą rodzinę kmiecą. Gdyż póki ojciec żył, dopóty wiodło się synom. Skoro zaś umarł, zaczęło gospodarstwo synów upadać. Z szerokiej przestrzeni ojcowskiej pozostała im tylko mała część do uprawy. Siedzieli oni wprawdzie wciąż jeszcze w swoim kasztelu, ale niedługo wróżyła im już dola w tych stronach. Lata onego czasu, lata nie utrwalonych jeszcze stosunków, nadawały kolejom życia pojedyńczych ludzi i rodzin nierównie większą, niż dzisiaj, rozmaitość. Stąd indywidualność każdego pojedyńczego człowieka, jego zdolność lub nieudolność, daleko więcej niż obecnie ważyła. Każdy był bardziej sobą. Mądry kmieć Kołacz osiągnął panowanie nad szerokim przestworem kraju, jego mniej zapobiegliwi synowie wychodzili z zamku na nędzę.

---

[1]) Sedebat in castello quod est ultra Oliviam antiquus rusticus ducis.

[2]) Dominabatur tunc temporis per multa nemora in circuitu et silvas.

Jeszcze bliżej ku Olawie leżała książęca posiadłość Niklawice. O kilka tysięcy kroków wzdłuż rzeki ku północy, tuż przy ujściu potoku Jagielno do Olawy, nastała niedawno osada Brukalice. Urosła ona następującym sposobem. Gdy przed laty kilkudziesięciu rozdawali książęta ziemie w tych stronach, przybył tu pewien Czech, imieniem Bogwał. Książę Bolesław wydzielił mu podówczas tyle ziemi w widłach Jagielny i Olawy, ile można uprawić czterema wołami. Była to mała włóka polska, obrabiana zwyczajnie jedną parą koni lub dwoma wołów. Ale Czech zagarnął daleko więcej. »Ponieważ wówczas dokoła były same lasy a puszcze, bez uprawy i osadnika«, więc nie bronił nikt Bogwałowi przywłaszczyć sobie z sześć razy tyle, ile dostał pierwotnie. Uprawiając tedy swoją bezimienną jeszcze posiadłość, ożenił się z córką pewnego »kleryka«, chłopianką nieokrzesaną, prostaczką i zgoła do niczego«[1]). Tylko jedno umiała i lubiła, t. j. mełła ciągle na żarnach. Bo lubo znano już młyny wodne, bardzo rzadko je przecież spotykałeś w tych stronach, a codzienną potrzebę domu opędzano zwykle żarnami. Owoż i Bogwałowa obracała codziennie kamień, czego wielce litował się mąż dobroduszny. Mawiał tedy do niej po polsku: Daj at ja pobrusam, a ty poczywaj, i brał się sam do żaren[2]). A gdy widywali to często sąsiedzi »lubo nader rzedcy podówczas«, przezwano Bogwała Brusalem czyli Brukalem, a całą osadę Brukalice. Z czasem wzniosła się ona do rzędu najpierwszych osad w tej stronie, ile że i sam Bogwał i jego synowie mieli liczne potomstwo, z którego każdy następny Bog-

[1]) Rusticam grossam et per omnia ineptam.

[2]) Cui vir suus compessus dixit: Sine ut ego etiam molam, hoc est in Polonico: »Daj ut ia pobrusa, a ti poziwai«. — Gdy pominiemy pieśń Bogarodzica, tudzież kilka zdań urywkowych, jak n p. A witaj-że, witaj miły hospodynie!... Śmierć się wije po płotu i t. p., które początkiem swoim są zapewno starożytniejsze, lecz spisane zostały później niż księga fundacyi Henrykowa, jest to co do autentyczności najdawniejszy frazes języka polskiego. Zważać jednak należy, iż Bogwał, z którego ust on wychodzi, jest to Czech, a autor księgi fundacyjnej Niemiec. U t zdaje się być czeskiem, at' dzisiejszej o t n. p. ot weź! Brusać, mleć, może od brus, kamień w żarnach; Poziwai, może być spoczywaj, albo też pożywaj, »jedz tymczasem, gdy ja mleć będą« — łacińskie bowiem tłumaczenie nie jest całkiem dosłowne.

walowic przymnażał Brukalicom mieszkańca, budynków i uprawy. Ale jeszcze za wnuków Bogwała niewiele sobie ceniono ziemię w dolinie nad-Olawskiej, a gdy wtedy sprzedać chciano cząstkę Brukolic, przyszło przez długi czas szukać kupca, a wkońcu sprzedać w pół-darmo.

Tuż za rzeczką Jagielno, o kilka tysięcy kroków na północ od Brukalic leżały nad Olawą dwie osady szlacheckie, Wadochowice i Ne-tepla-istba, jakoby Nie-ciepła-izba (w dawnym języku izdba), może w przeciwstawieniu nieco odleglejszej osadzie, poza granicami naszej doliny, »Cepla woda« nazwanej. W ogólności, jak południową strefę opisywanej tu mili Cysterskiej widzieliśmy najmniej zaludnioną, tak północne jej krańce, zwłaszcza wzdłuż wybrzeża Olawy, były zamieszkane najgęściej. Toż zaledwie minąłeś miedze wadochowickie, miałeś ku północy Bobolice, podobnież osadę szlachecką, trzymaną temi czasy spólnie przez czterech braci: Przybysława, Boguchwała, Wojsława i Gostaka. W tejże okolicy, nad potokiem Jagielnem, wznosił się mały zamek czyli »grodek« książęcy Jagielno. Wreszcie o trzy ćwierci mili w prostym kierunku ku zachodowi, w pobliżu źródła Jaworowicy i Januszowa, w samym północno-zachodnim kącie doliny, siedziało kilku kmieci książęcych, »ludzi bardzo bogatych«, »dziedziców« osady, która się nazywała Semkowice.

D) Jadwiga i Jagiełło (1858).

(wyd. drugie, Lwów 1861. tm. IV).

Najważniejsze i najpiękniejsze z dzieł Szajnochy, obejmujące szereg barwnych obrazów, rozpoczynających się zarysem obszaru Polski piastowskiej i związanych z warunkami fizycznymi zajęć i przemysłów, tudzież charakterystyką stosunków społecznych i politycznych narodu za Kazimierza W. Właściwą opowieść dziejową rozpoczyna historyk-poeta od paktu Koszyckiego (1374) i doprowadza do zwycięstwa Grunwaldzkiego (1410). Kończy zaś opowieścią »Powrót orlęcia« przedstawiającą losy wnuki Kazimierza W. Anny cylejskiej, którą po śmierci Jadwigi poślubił Jagiełło r. 1401, by utrwalić tem swe prawa do tronu polskiego, zachwiane przez bezpotomny zgon Jadwigi. Podajemy tu, w wyjątkach, piękny wstęp do dzieła, rozwijający myśl przewodnią całości.

925) »Jadwiga i Jagiełło« — w tych imionach poślubiają się dwa narody — w związku tych dwóch narodów wita historya jedną z najpiękniejszych prób wiązania się zgodą i swobodą odległych ludów. Nad błogosławieństwo takiego pobratania się kiedyś całej rodziny ludzkiej jakież wyższe zadanie w dziejach — nad historyę przyczyniających się do tego tak świetnie obudwóch imion naszych, jakaż powieść piękniejsza?

Teraz jak daleka przestrzeń słowiańska od Elby poza Wisłę i Dunaj, wszędzie morze teutońskie pokrywa bałwanami swojemi ziemie, zatapia osiadłe na niej ludy. W odległym Królewcu nad Niemnem siedziba niemieckich Rycerzy Miecza, sąsiadów niemieckiego kupiectwa w Rydze i Nowogrodzie. W niedawno zbudowanym Malborgu pyszna stolica niemieckich rycerzów N. Panny, władzców szerokiego Pomorza. Wzdłuż Odry szereg niemieckich dworów książęcych, zacząwszy od gniazda srogich Słowianom margrabiów Brandenburskich, aż do roiska zniemczałych książąt na Śląsku. W Morawach i czeskiej Pradze wspaniały tron niemieckiej dynastyi Luksemburgów, zwierzchnich panów Śląska i Brandenburga, a od czasów króla Wacława pretendentów do berła Piastów. Nawet za górami ku Dunajowi, niemieckie grody na Spiżu, niemieckie rządy w miastach węgierskich, niemieckie Saksów w Siedmiogrodzie, a na tronie Węgier monarcha, »kochający się w Niemcach i niemczyźnie«...

Możny król Węgrów, Ludwik, był oraz królem Polaków, a jego zamiłowania teutońskie dopełniły miary niedoli polskiej. Zewsząd teutonizmem oblana, sterczała ojczyzna Piastów o nadkruszonych brzegach gdańskich i śląskich, jak samotny nad dalekim morzem przylądek, zupełnemu pochłonięciu falami blizki. Zewnątrz biły w niego bez przestanku fale zachodnie, wewnątrz stały wszędzie naniesione potopem niemieckim wody. Teutonizm rozpierał się przemocnie we wsiach i miastach, teutonizm ogarnął klasztory i świątynie, teutonizm oszpecił mu obyczaje, zatruł mu krew rodzimą w żyłach królewskich.

Dawny ród Piastów przesiąkł na wskróś teutonizmem, skalał się hołdem Niemcom na Śląsku, zaniósł hołdownictwo niemieckie w samą mazowiecką głąb kraju. Dlatego ostatni z wielkich Piastów, Kazimierz, odciął skażoną gałąź od pnia narodo-

wego, i we włosko-francuskiej krwi Andegaweńczyków węgierskich mniemał znaleźć środek odrodzenia ojczyzny.

Ale młody Andegaweńczyk, Ludwik, zniemczał podobnież w Węgrzech, jak Piastowie nad Wisłą. Oddany upodobaniom teutońskim i pieczy około Węgier, zapomniał całkowicie o przydatkowej koronie polskiej. Nadszczerbione od teutonizmu, zaniedbane od króla własnego, stało się możne niegdyś państwo Bolesławów podnóżkiem obcej potęgi. Najpiękniejsze jego ziemie przeszły w moc cudzoziemców. Starodawne Kujawy z Dobrzyniem posiadł zniemczały Ślązak z Opola, srogi nieprzyjaciel polszczyzny. Odzyskaną przez Kazimierza W. Ruś Czerwoną zajęli Węgrzy. Nawet pozostałe po Kazimierzu W. sieroty, małoletnie królewny Annę z Jadwigą, wydarto stronom rodzinnym. Wraz z porwaną ze skarbca królewskiego koroną polską, uwiózł je król Ludwik na wygnanie do Węgier. Tam w dalekiej obczyźnie stały się obie sieroty najsmutniejszym obrazem tej niedoli, jaka całą gniotła ojczyznę.

Odarta ze wszystkich zaszczytów Polska stała na swojem nadbrzeżu rozwartą falom i wiatrom pustką, a nad jej dziatwą królewską odbywał się w Węgrzech sąd obelżywy. Cudzoziemskich prałatów sobór ogłosił sieroty Kazimierzowe potomstwem ślubów nieprawych, niegodnemi następstwa na tronie przodków. Jedynym dla nich losem było tułactwo u progów Ludwikowych i poniżenie w związku sromotnym. Jak wydaną cudzoziemczym wpływom koronę polską, tak i starszą z królewien Annę wydał samolubny opiekun Ludwik wrogiej cudzoziemczyźnie w małżeństwo osławionym grafom cyllejskim. Pod ich dachem niemieckim miała krew Kazimierza W. pójść w wieczyste zapomnienie Polakom, a koronie Kazimierzowskiej całkiem inna tymczasem przyszłość.

Pracuje nad nią król Ludwik w ponocnem zaciszu swojej gwiazdarni, przy świetle badanych na niebie znaków. I bujne losów przyszłe widzenia otwierają się w gwiazdach królowi. A jak podnóża obudwóch państw Ludwikowych teutońskiem oblane morzem, tak i gwiazdy króla Ludwika niemieckiem igrają światłem. Jawi mu się w nich postać dwóch młodych zięciów niemieckich dla dwóch córek młodzieńczych. Oba jego

królestwa mają mu tylko wartość posagu dla obu córek, a oby dwom jego córkom tylko u boku Niemców zasiąść na tronie.

Zaczem w teutońskiem sąsiedztwie szukając synów, znachodzi ich Ludwik w dwóch sąsiednich domach książąt rakuskich i luksemburskich. Pięcioletniej córce Maryi przeznacza ojciec również nieletniego cesarzewicza z Luksemburga, Zygmunta, czteroletniej Jadwidze tyleż lat liczące książątko z Rakuz, imieniem Wilhelm. Luksemburczyk Zygmunt, jako spadkobierca uroszczeń przodków swoich do tronu Piastów, ma z ręką Maryi objąć koronę Polską, rakuskiemu pacholęciu, Wilhelmowi, jako panu przyległych ziem naddunajskich, mają z Jadwigą bogate przypaść Węgry. Tu w Węgrzech żadna przeszkoda nie grozi następstwu córki i jej małżonka; w Polsce zwalcza Ludwik taką przeszkodę zjazdem i przywilejem swobód w Koszycach. Oba królestwa i obie córki zapewnione księciom teutońskim, teutonizm, niedawno dopiero u podnóża państw Ludwikowych, ma je niebawem zalać po szczyty, zawładnąć nad całą ich powierzchnią.

Tak przynajmniej wróżą gwiazdy króla Ludwika.

Panowało pogaństwu litewskiemu do niedawna dwóch książąt, młodzieńczy synowiec Jagiełło w Wilnie i sędziwy stryj Kiejstut w Trokach. Młodzieniec pragnął samowładzy nad całym krajem, a starzec miał żal do młodziana za oziębłość dla wiary przodków. Stąd pokątne między nimi niesnaski, w których Krzyżacy wszelkiemi siłami podżegali młodzieńca przeciw starcowi. Przyszło nakoniec do jawnego przymierza między Jagiełłą a Zakonem niemieckim i do wojny między krzyżacko pogańskimi sprzymierzeńcami, a starym księciem na Trokach. Zwyciężony w niej Kiejstut zginął w więzieniu, a nieobaczny młodzieniec znalazł się sam na sam wobec przemocnych sojuszników krzyżackich. Wypadło ugiąć kark konieczności, odstąpić Krzyżakom ziemię żmudzką, uznać zwierzchnictwo Niemców.

I owo ma się spełnić wróżba gwiazd Ludwikowych — wezbranie morza teutońskiego dosięga szczytu.

Wtem ze zgaśnięciem króla Ludwika, jakby i gwiazdy niemieckie zgasły. Jakaś niewidzialna potęga stawi naraz we wszystkich punktach przeszkodę postępom teutonizmu. Zda się, iż sama ziemia podnosi się u zagrożonych wezbraniem teutoń-

skiem brzegów i nie dopuszcza zalać się falom. Węgrzy zamiast przeznaczonej sobie Jadwigi, podnoszą na tron trzynastoletnią królewnę Maryę, czem usuniony zostaje oblubieniec Jadwigi Wilhelm, groźniejszy od Zygmunta pobliżem naddunajskich Rakuz i dawnemi uroszczeniami rakuskiemi do władzy w Węgrzech. Jednocześnie Polacy wzbraniają nietylko Zygmuntowi, ale i Maryi następstwa w Polsce, oparci na dawnem zastrzeżeniu, aby Polska i Węgry nie składały nadal jednego państwa. W Litwie zaś Jagiełło stara się pozorną uległością uśpić Krzyżaków, a tymczasem upatruje chciwie ścieżki do wyjścia z matni niemieckiej.

Zaczyna opadać tedy morze teutońskie, a w miejsce dawnych zamysłów króla Ludwika, inne wcale widoki odsłaniają się ludom.

»Polska z Litwą! — Jadwiga dla Jagiełły!« Dnia nowego świtaniem rozbłyska ta myśl narodom. Próżnobyś jednak pytał, który z narodów pierwszy ją podał drugiemu. W obudwóch jednocześnie, jakby przez mgłę poranną grają jej blaski. W obudwóch dają się spostrzegać jednoczesne ślady zbliżenia. Żądny ratunku i sprzymierzeńców Jagiełło odsyła Lachom do Małopolski porwaną niedawno świętość narodu, relikwię Krzyża Pańskiego, w znak przyszłej życzliwości Polakom i Krzyżowi. Polacy też wzajemnie porozumiewają się tajemnemi poselstwami z Jagiełłą, zapraszając go na Królestwo. Zwłaszcza małopolscy panowie po krwi i pożogach znają się blizko z Litwą i radziby ją przejednać sobie braterstwem. Pod ich to głównie opieką dojrzewa myśl zbawienia, zdolna niebawem najgroźniejsze złamać przeszkody. Pierwszą walkę miało dzieło połączenia się obu narodów przebyć z chwilowym obłędem samejże Polski. Owionął on Polaków w uniesieniu szczęśliwie rozpoczętych zapasów z teutonizmem. Kiedy jeszcze przed nastąpieniem Jadwigi powiodło się zagrożonemu od Zygmunta narodowi przeciąć mu drogę do tronu, najlepszym natenczas zastępcą odpartego Teutona zdawał się wielu obrońcom sprawy ojczystej nie obcy jakiś przybysz z dalekich stron, lecz książę z pokolenia dawnych książąt krajowych, krew z krwi i kość z kości narodu — Piast. Starodawne to Piasty zbudowały potęgę korony polskiej, im też

najlepiej poruczyć dzieło odbudowania. Młodemu więc Piastowi z Mazowsza, Ziemowitowi, Jadwiga i berło polskie!

Jakoż ledwie nie cała Polska zawrzała gwarem elekcyi Piasta. Najwyższe duchowieństwo, najwaleczniejsze rycerstwo, wszystko szlachectwo wielkopolskie i mazowieckie okrzyknęło się radośnie przy Ziemowicie. Bez względu na opór panów małopolskich i innych, przeznaczających Jadwigę komu innemu, domagano się co rychlej koronacyi księcia mazowieckiego. Ponieważ miasta Kraków i Gniezno zamknęły bramy Ziemowitowi, przeto zamierzono ukoronować go w starożytnym Sieradzu. Naznaczono już dzień obrzędowi, zebrało się walne zgromadzenie szlachty na uroczystość. Lubo panowie małopolscy przeszkodzili aktowi, nie upadła nadzieja intronizacyi elekta. W Sieradzu czy gdzieindziej, z Jadwigą czy bez Jadwigi, zasiąść Ziemowitowi na tronie przodków, wrócić dawne czasy Polakom!

Mimo mnogich stronników i zabiegów nie szczęści się sprawie Ziemowitowej. Usilne przeciwdziałanie panów małopolskich nieprzebytą wszędzie kładzie mu tamę. Za ich sprawą obojętnieje dlań duchowieństwo, miasta odmawiają mu w swoich murach przyjęcia, na nic zgiełkliwe okrzyki szlachty. Nareszcie sam Ziemowit traci nadzieję, i po daremnych zjazdach elekcyi i koronacyi kończy zrzeczeniem się Jadwigi. Złożone w jej ręku dzieło zbawienia dwóch ludów od teutonizmu szczęśliwie pierwszą przebyło próbę; przychodzi kolej na drugą.

Ta grozi w stronie litewskiej od niemczyzny. Przestraszony upadkiem Zygmunta w Polsce, a prawdopodobieństwem objęcia tronu polskiego przez Jagiełłę, zamierzył teutonizm przeszkodzić temu podstępem i orężem krzyżackim w Litwie. Zbiegł stamtąd do Krzyżaków syn zmarłego Kiejstuta, Witold, pragnący za ojca pomścić się na Jagielle. Przyrzekają tedy Krzyżacy Witoldowi państwo litewskie, byle się ochrzcił coprędzej, a dopomógł im do zwojowania Jagiełły. Jeśli się Zakonowi powiedzie narzucić Litwie ochrzczonego sprzymierzeńca Witołda, upadnie wszelka potrzeba i chwała chrztu Jagiełły w Krakowie. Cóż bowiem Polakom po Jagielle bez Litwy, która i bez Jagiełły ochrzczona już z Witołdem? Po rozbiciu zaś swadźby Jagiełłowej w Krakowie łatwa sprawa Krzyżactwu z Litwą.

Zaczem ile tylko żelaza i złota w państwie zakonnem,

wszystko obracają Niemcy pruscy na poparcie Witołda, a pognębienie Jagiełły. Zwiedziony syn Kiejstutów przyjmuje w istocie chrzest u Krzyżaków, uderza ogromna wyprawa krzyżacka w Litwę. Cała ziemia pogańska zalana burzą wojenną, jakiej nigdy jeszcze nie doznały te strony. W. Książę Jagiełło musi błędnie kryć się po kraju, wileńska jego stolica gore ogniem krzyżackim. Mimo to wszystko trudniej Niemcom do celu, niż się zdawało. Po wszelkich gwałtach wypadło pozostawić Jagiełłę w Litwie, a samym wrócić do Prus. Za jedyną pociechę stała nadzieja pomyślniejszej wyprawy w roku następnym. Toć jeszcze Jadwiga nie osiadła na tronie polskim, i nie zgłosił się o nią do tej pory Jagiełło. Z przyszłą więc wiosną zadrżeć synowi Olgierdowemu.

Tymczasem syn Olgierdów pracował dalej nad wielkiem dziełem przyszłości. Mając być zgodą i pojednaniem Korony z Litwą, wymagało to dzieło koniecznie zgody i pojednania z Witołdem. Mając obdarzyć Jagiełłę Polską, stręczyło ono łatwy sposób uśmierzenia waśni braterskiej. Jednemu z braci Polska, drugiemu Litwa — poczem obudwom razem na Niemców. Przekradło się z tem poselstwo tajemne do Witołda, który chętnie przystał na zgodę. W tej samej porze, kiedy Jadwiga ostatecznie stanąć miała w Krakowie, okazał się Witołd z powrotem w ziemi litewskiej. Trzy spalone w ucieczce grody zakonne oświeciły Krzyżaków o spełznięciu planów podstępnych. Wstrętne Niemcom dzieło braterstwa dwóch narodów sąsiednich przebyło szczęśliwie drugą ze swoich prób, próbę waśni braterskiej na Litwie. Niezmordowany teutonizm przygotował mu trzecią, najniebezpieczniejszą gdzieindziej.

W trzy miesiące po zgodzie braci litewskich przywdziała Jadwiga koronę polską. Zaledwie o tem wieści doszły na Litwę, wyruszyło do Krakowa swadziebne poselstwo Jagiełłowe. Towarzyszyło swatom litewskim nad Wisłę przyrzeczenie trzech największych darów weselnych, jakie kiedykolwiek oblubieniec składał u nóg oblubienicy — chrzest Jagiełły i Litwy, związek Litwy z Koroną, odzyskanie uszczerbków polskich. Czternastoletnia Jadwiga odesłała swatów litewskich po odpowiedź do matki w Węgrzech. Panowie polscy mieli wprawdzie przyznaną sobie wolność rozrządzania ręką swojej królowej, ale nie lękając

się żadnych trudności od Elżbiety, sami odprowadzili swatów za góry. Nieprzyjazna teutońskim zięciom Elżbieta przyjęła z radością oświadczyny litewskie. Dla uwolnionej od Zygmunta starszej z swych córek Maryi spodziewała się matka ciągle jeszcze małżonka z Francyi, również wolną od Wilhelma młodszą Jadwigę ofiarowała chętnie książęciu Litwy. Po zezwoleniu matki nastąpiła bez trudności zgoda Jadwigi. Swaty litewskie przyniosły Jagielle pomyślną zewsząd odpowiedź. Braterski związek Polski i Litwy zdawał się niewątpliwym, gdy wtem naraz zachmurzyło się niebo ze wszystkich stron.

W gwiazdach króla Ludwika świeciło niegdyś szczęście jego ulubieńców teutońskich — i świeci dziś szczęście Jadwigi.

Ale pogasły już zorze króla Ludwika. Dziś słońce jagiellońskie na widnokręgu. Oto po szczęśliwem przebyciu wojennej grozy krzyżackiej wyrusza już w. książę Litwy całym dworem ku Polsce. Przed nim jego dary weselne, trzy wielkich czynów wróżby, nieskończenie wspanialsze od Ludwikowych. Jedną chrzest ludu pogańskiego, drugą podwojenie Korony Litwą, trzecią zwrot uszczerbków koronnych. Przy tak cennych narodowi ofiarach nieprożen i sam Jagiełło silnego nad niewieściem sercem uroku. Szczęśliwsze to serce niesieniem niż przyjmowaniem łask, a dawca tak cennych darów błaga i potrzebuje litości, żebrakiem jest oraz i dawcą.

Toć tylko litość Jadwigi nad Jagiełłą może stworzyć mu drogę do nieba. Toć tylko litość Jadwigi nad Litwą bałwochwalczą może dać jej zbawienie. Tylko też litość Jadwigi nad własnym narodem zdoła blizny jego zagoić. Wobec wieńca takiej zasługi więdnie myrtów rakuskich wieniec. W blasku rzeczywistości Jagiellońskiej gaśnie samolubna ponęta pokus teutońskich. Jadwiga w Krakowie polską znowu królową; rakuskiemu oblubieńcowi do Rakuz z czołem schylonem.

O pierwszej wiośnie stanął z powrotem w progach domowych. Z jego ustąpieniem z nad Wisły rozstrzygnęła się na wszystkich punktach teraźniejsza walka teutońtwa z ludami uciśnionymi. Wszędzie pobłogosławił Bóg uciśnionym. Wszędzie wzbił się w niebiosa dłuższy lub krótszy okrzyk radości z klęski Teutonów. Najgłośniejsza była radość w Krakowie. Po czasach upokorzenia zabrzmiała tam pora bezprzykładnie świetnych uro-

czystości i godów. Nastąpił szereg wielkich obrzędów chrztu, zaślubin, koronacyi i hołdów.

Najpierwej ze wszystkich spełnia się wróżba nawrócenia pogaństwa. Tylko cztery lata minęły od owej pomyślnej dla teutonizmu chwili, kiedy Jagiełło na rzece Niemnie przysięgał Krzyżakom ochrzcić się za lat cztery, i w tyluż istotnie latach dotrzymał on ślubu w Krakowie, a teraz ciągnie nawrócić Litwę. Obok króla-kapłana orszak książąt i duchowieństwa polskiego, sam król sługą Bożym u swego ludu. Cała Litwa pogańska białą chrześcijaństwa szatę przywdziewa, w całem chrześcijaństwie radość z nawrócenia ostatniego z ludów pogańskich. Ojciec święty gotuje błogosławieństwo i pochwalne listy Władysławowi, tylko Zakon teutoński zgrzyta zębami. Gdy Jagiełło z drogi na ślub z Jadwigą przesłał wielkiemu mistrzowi zaprosiny na chrzest w Krakowie, rozgniewała mistrza prośba niewczesna. Zamiast do Krakowa na chrzciny, pośpieszyli Krzyżacy zapalić Jagielle pochodnię weselną na Litwie. Teraz zaś, po ustąpieniu z niej apostolskiej wyprawy lackiej, uderzyli Niemcy znowu na Litwę, dla ponowienia, jak mówią, Jagiełłowego chrztu z wody teutońskim sakramentem chrztu krwi.

Polska tymczasem spełnieniem drugiej wróżby zajęta. Wydarte królestwu ziemie szerokie wracają do dawnego związku z Koroną. Najpiękniejszą z nich, Ruś Czerwoną, sama królowa Jadwiga odbiera Węgrom. Nadane przez Ludwika książęciu na Opolu Kujawy zostają odjęte zniemczałemu Piastowi, mimo spowinowacenia z Jagiełłą przychylniejszemu zawsze Niemcom niż ziemi przodków. Zastawione przezeń Krzyżakom księstwo Dobrzyńskie oswobadza Jagiełło wykupem z rąk niemieckich. Nim wkrótce przyjdzie do obrachunku żelazem, każą sobie Niemcy hojnie naliczyć złota.

Podobnież i trzecia obietnica przechodzi w czyn. Połączone tem samem berłem narody zaręczają sobie wieczystą jedność i spółkę. Stają uroczyste przysięgi na pergaminie, a co pergamin przyrzekł, to codziennie sprawdza się w życiu. Oba połączone narody dają sobie raz po raz dowody rzetelnego braterstwa, niosą sobie wzajemnie pomoc w potrzebie. Polacy śpieszą Litwie na ratunek przeciw Krzyżakom, Polacy ciągną z Litwą w dzikie pola przeciw Tatarstwu, Litwa zbroi się do potężnego wspar

cia Polaków w odmszczeniu Pomorza na Zakonie. Czasy Jadwigi i Jagiełły kwitną nietylko darami szczęścia, ale oraz cnotą i poświęceniem.

Toż błogosławił Pan Bóg ludom owego czasu i pozwolił im sięgnąć nakoniec po ostatni wieniec wszystkich zamysłów i usiłowań naszej powieści. Wieniec to ostatniego zwycięstwa nad teutonizmem w krwawym boju o wszystkie krzywdy wieków minionych. Uwiła go ludom swoim Jadwiga, ale nie chce patrzeć na straszną chwilę, w której go sobie zdobędą. Ona tylko zgodę i braterstwo niesie narodom, ona i od wroga zguby odwraca oczy. Dlatego zasyła modły do nieba, aby jej nie dano było drżeć wśród gromu tego sądu Bożego. A nieba wysłuchały jej modły, i otworzyły Jadwidze schronienie u siebie przed trwogą ziemską. Pełna zasług i cierpień zgasła w kwiecie żywota, aby po wszystkie wieki świecić w pamięci.

I jakby z nad grobu świętej rozlała się dokoła jasność z nad jej grobowca. Ubogim i cierpiącym tryskały zeń promienie niewymownej pociechy, całemu narodowi wzeszło z nad jej mogiły nieznane dotąd światło nauki, słońce szkoły krakowskiej. Więcej owszem od światła mądrości ziemskiej, bo niebieskie natchnienie do czynu szlachetnego spłynęło narodowi z grobu Jadwigi. A jak cały jej zawód na ziemi, tak i ten wywołany jej śmiercią czyn naprawia dawne krzywdy, niesie pociechę dawnym cierpieniom.

Temci gruntowniej należało wytrzebić teutonizm w Polsce. Główną jego tam basztą byli Krzyżacy. Z tymiż od dwóch wieków przednimi wrogami Polski i Litwy nadchodzi wreszcie sprawa. Staje do niej z jednej strony cały teutonizm w postaci zbrojnych hufców krzyżackich i wylęgłego zewsząd rycerstwa najdalszych krajów Niemiec, Zachodu. Z drugiej nadciągają nieprzejrzane zastępy polskie, litewskie, ruskie, z posiłkami coraz odleglejszych stron Wschodu. Na polu Grunwaldu i Tanenberga stanęli naprzeciw sobie, jedni świecąc zbroją, zuchwalstwem i gotową do ostateczności rozpaczą — drudzy ufając sprawiedliwym wyrokom Bożym i pewniejszej stopie na własnej grzędzie. Na wielki sąd Boży stanęli naprzeciw sobie jako krzywdziciele i pokrzywdzeni, najeźdźcy i najechani, zaczepnicy i do obrony zmuszeni. W takim też porządku ma się teraz toczyć

sprawa przed Bogiem; kto komu pierwszy napadł na dom, ten niech i na polu sądnem napada pierwszy.

Dlatego modli się król polski i czeka, a Niemcom na słońcu lipcowem szyszaki gorą. I gore niepokój serca winnego, i dwa miecze wyzwania do boju ślą z urąganiem królowi. Zaczem kiedy chcą walki, niech mają walkę. Trzy owszem walki jedna po drugiej, trzy z kolei ponawiające się bitwy spadły na Niemców. W pierwszej uśmiechnęło się szczęście Teutonom. W drugiej sam król polski ujrzał się w niebezpieczeństwie, ale zachwiali się Niemcy. W trzeciej runęła pycha teutońska. O zachodzącem słońcu zdobyte sztandary teutonizmu owiewały czoło spoczywającemu po znojach »wielkiej wojny« królowi — rozbiegła się po całym kraju wieść szczęśliwa o »wielkiej wojnie« i o wielkiej wygranej. Z tym zachodem lipcowym na długo, długo, zaszło Niemcom słońce na Wschodzie.

I uznali wszyscy w tych stronach zbawienność bratania się narodów. I zjechali się pobratymowie polsko-litewscy u nadbużańskiej miedzy obudwóch krajów, aby sobie zaprzysiądz w Horodle jedność wieczystą. Podzielili się z sobą chlebem swobody i zaszczytów szlacheckich, i pożywali go przez długie lata w pokoju i miłości, coraz ściślej jednocząc węzeł.

E) Dwa lata dziejów naszych (1865).

Lwów 1865 r. 2 tm.

Zacząwszy od przedstawienia rozwoju Kozaczyzny i jej losów w rozdziałach: Kresy pogańskie, Kozaczyzna. Z rycerzów w chłopów, zajmuje się w rozdziale IV p. t. Zamysł królewski, planami Władysława IV, co do wielkiej wyprawy na Turcyę i opozycyą ze strony panów i szlachty przeciw zamiarowi temu. (Panowie Senatorowie, Dwory, Sejmiki, Sejm r. 1646). Tom drugi maluje następstwa samolubstwa i krótkowidztwa kierowników rządu i przedstawicieli szlachty, występujące w r. 1648. Mieści on rozdziały: Chmielnicki zbiegiem na Niż, Trzy gromy gniewu Bożego, Cień Władysławów, Odprawa posłów kozackich, Srom pilawicki, Elekcya. Podajemy tu ustęp z rozdziału poczynającego tom pierwszy.

Kresy pogańskie.

926) *[Str. 6—23].* Jednocześnie z wielkiemi klęskami i zwycięstwami pod Warną, u Kopestrzynia, na Bukowinie, pod Wiśniowcem, na polach sokalskich i obertyńskich, zalud-

nione zostały w tym samym wieku XV i XVI wschodnie pobrzeża Wisły z obojem porzeczem Narwi, Bugu, Dniestru, Horynia; przybyło tam rzeczypospolitej wiele nowourządzonych ziem, powiatów, województw. Niedługo po zupełnem zrównaniu szlachty ruskiej ze szlachtą polską i zaprowadzeniu województwa ruskiego z pięcią ziemiami, nastało około r. 1462 we wschodnim zakątku Rusi Czerwonej osobne województwo bełskie z mnogością nowych osad mazurskich. W tymże czasie wzmogła się tak dalece ludność i uprawa ruskiego pobrzeża Wisły u Sędomierza, iż wypadło założyć tam około r. 1471 nowe województwo lubelskie z trzema ziemiami i powiatami. Mało co później urosło na karczowiskach jaćwieskich województwo podlaskie o tyluż ziemiach, prawie bez wyjątku ostatnimi dopiero czasami osadzonych. W roku 1563 ze względu na »zagęszczenie i nasiadłość rycerstwa« w ziemi halickiej, musiały konstytucye koronne ustanowić w Haliczu drugi dla województwa ruskiego sejmik, a w cztery dalsze lata nastąpiło z tejże samej przyczyny odrębne urządzenie południowych kończyn Wołynia, pod nazwą województwa bracławskiego o trzech powiatach.

Takim sposobem, śród nieustającego poszczęku broni na polu bitew, rozkrzewiła się daleko ku wschodowi i południowi praca lemiesza; aż ku brzegom dolnego Dniestru i Bohu usunęły się kresy pogańskie. Ukraina, którą sobie niegdyś po Krzemieniec wołyński przypominano, zaczynała się teraz w jakiejś niezmierzonej odległości od Wisły, i mniej przeto znaną była niektórym paniętom wielkopolskim, niż często zwiedzane Włochy lub Niemcy. Był owszem pewien przeciąg czasu w tej dobie Jagiellońskiej, kiedy panowanie rzeczypospolitej o wiele dalej rozciągnąć się miało ku Czarnomorzu. Nim bowiem Turcy w połowie XV stulecia na zawsze usadowili się w Carogrodzie i coraz dalej stamtąd sięgać poczęli na północ ku Mołdawii, Wołoszczyźnie i brzegom Dniestru, należała wszystka przestrzeń ziemi między Dniestrem a Dnieprem aż po Czarne morze do Polski. Wówczas nadbrzeżne miasta: Białogród, Oczaków i Kaczubej, polskimi były portami, z których, zwłaszcza za Kazimierza Jagiellończyka, wywożono do Grecyi obfite zapasy zboża polskiego. W pobliżu Białogrodu i Oczakowa rozciągały się posiadłości Buczackich, Jazłowieckich, Sieniawskich, i są jeszcze akta spo-

rów granicznych między panami Jazłowieckimi a królem Władysławem Warneńczykiem o własność częstych w tej stronie nasypisk morskich. Jeśli Tatarowie zachodniego pobrzeża Dniestru chcieli paść swoje trzody na brzegu wschodnim, musieli płacić za to roczną daninę Polsce, a ciągnące od Perekopu do Kijowa karawany kupieckie nierównie znaczniejszą opłatą celną bogaciły skarbiec koronny.

Ale wszystkie te pożytki kresowe niedługo trwały. Nasze kresy pogańskie to jakby krawędź ziemi, dwoma przeciwnemi morzami opłukiwana. Zaledwie na lat kilkadziesiąt zalała go Polska swoim wpływem światlejszym, chrześcijańskim, już ze strony przeciwnej uderzają w niego wały pogańskie. Po krótkiej chwale pierwszych Jagiellonów, w stronach południa wzmogła się na gruzach Konstantynopola przemoc osmańska i po rychłem zjednoczeniu z pobratymczem bisurmaństwem tatarskiem w Krymie, zaciężyła śmiertelnie wpływowi Polski nad Czarnem morzem. Ustał handel zbożem polskiem na opanowanem przez Turków morzu; pobrzeża białogrodzkie i oczakowskie stały się traktem ustawicznych komunikacyi między Krymem a Turcyą zadunajską; z nad Dunaju przedarli się Turcy owszem w niedługim czasie przez zhołdowaną Mołdawię i Wołoszczyznę nad Dniestr. Syn Kazimierza Jagiellończyka, Olbracht, musiał w własnych granicach opierać się ich napadowi; wnuk Kazimierzów, Ludwik Węgierski, poległ pod Mohaczem od ich oręża; wnuka Kazimierzowa, Izabela Zapolska, złożyła swego małoletniego syna Zygmunta z połową Węgier pod stopy Solimanowi. Na oblężony od Solimanowych zastępów Wiedeń iść miała droga do panowania Osmanów nad resztą świata chrześcijańskiego. Wraz z przerażoną tem Europą zapragnęła Polska Jagiellońska pod wszelkimi warunkami pokoju z Turcyą, i skłoniwszy się corocznie upominkami głaskać Tatarów, odstąpiła dalszych starań o ujścia Dniestru i Dniepru.

Cofnęły się więc daleko od morza kresy pogańskie. Kijów, Bracław i Bar stały się trzema głównymi kopcami granicznymi ku południowi. Od tych kończyn uprawy i zaludnienia ciągnęły się przez kilka dni drogi ku morzu nieprzejrzane stepy trawy lub piasków, tak zwane Dzikie Pola, zaledwie gdzieniegdzie jakim śladem dawnych siedzib ludzkich upstrzone. Teraz bujały

tu tylko niezliczone stada dzikiego zwierza, niedoścignionych od żadnego łowcy sarn, lisów, sumaków, dzikich koni, bawołów. I tylko wracające z plonem polskim Tatarstwo zakładało chwilowe koczowisko w pustyni, aby według zwyczaju podzielić się tam jeńcami i zdobyczą. Mimo cofnięcie się bowiem granic chrześcijańskich nie zaprzestali pohańcy dawnych najazdów, nie ucichła bezprzestanna walka kresowa.

Kiedy z za gór węgierskich tureckie groziło niebezpieczeństwo, wzdłuż brzegów czarnomorskich włóczyło się coraz więcej rozmaitego Tatarstwa; rok za rokiem musiała Polska opłacać mu się upominkami albo jasyrem, i wielką bywało już pociechą, jeśli dzięki waleczniejszym niekiedy obrońcom kresów, nie rozszerzała się po dawnemu i rosła, lecz jak za pana Pretfica »spała od Tatar granica«. Trwało tak dłużej półwieku, od czasów Kazimierza Jagiellończyka do Zygmunta Augusta.

Pod koniec tej pory zaniosło się na odwet ze strony chrześcijan. Po przemocnem wezbraniu na kresach fali pogańskiej, zaczęła wzbierać znowu fala wpływu polskiego, dawnej rycersko-rolniczej skrzętności polskiej. Idąc za powszechnem teraz w Europie uniesieniem wojennem przeciw Osmanom, rozbudzonem właśnie wróżbą wielkiego nad nimi zwycięstwa pod Lepanto, zajęła się Rzeczpospolita, za króla Stefana Batorego, silniejszem niż dotąd obwarowaniem granicy południowej, nastąpiło urządzenie Kozaczyzny dla ustawicznej straży od pogan. Przybyłemu po upominki posłowi tatarskiemu odpowiedział król Stefan, iż nie myśli płacić haraczu »takiej potworze«, a po zwycięskiem uspokojeniu się z Moskwą, stanął zamiar wielkiej wojny europejskiej, celem wyzwolenia się raz na zawsze od półksiężyca. Nie przyszło wprawdzie ze śmiercią Stefanową do dzieła, ale dany raz popęd umysłom i podjęte przez zmarłego króla środki obrony ukrainnej utrzymały w narodzie zapał do zbrojnego osadownictwa na kresach. Po starannem już osiedleniu bliższych obszarów ruskich, po niejakiem ubezpieczeniu orężnem dalszych pustyń ku Czarnomorzu, śród ustawicznej plagi najazdów krymskich, jużto na te puszcze przyległe, jużto w odleglejszą głąb ziemi, rozpoczęła się doba niezmiernie żywego ruchu osadniczego nad dolnym Dniestrem i Dnieprem.

Ze względu na ciągłą trwogę od nieprzyjaciół, musiał ten

ruch kierować się głównie w takie zakąty pogranicza, które najpewniejszą nadzieję obrony nastręczały. Z tego powodu osiedlały się przedewszystkiem okolice grodów warownych, jak Bar, Bracław, Winnica, Kijów. Najwięcej jednak pociągała ku sobie szeroka przestrzeń pustych lecz żyznych ziem poniżej Kijowa i Białejcerkwi, od wschodnich kończyn Zadnieprza, aż po zachodnie wybrzeża Bohu. Wznosiły się tam gdzieniegdzie zamki królewskie, należące do nich starostwa miały jakie takie początki zaludnienia, zaprowadzona w tych stronach milicya Kozaków regestrowych służyła za obronę w niebezpieczeństwie. Za niedalekimi stąd porohami, na niedostępnych wyspach dnieprowych, siedzieli straszni Tatarstwu Kozacy zaporożcy, coraz liczniejsza i głośniejsza ostatnimi czasy straż od pogaństwa. W tę więc stronę naddnieprską spieszono najtłumniej z lemieszem w ręku, szukając rozmaitym sposobem większej lub mniejszej fortuny ziemskiej. Panowie solicytowali o szerokie starostwa ukraińskie, szlachta domagała się wiosek lub urzędów podstarościńskich, lud zbiegał całemi gromadami na obiecaną wolność w słobodach. Przy obfitości ziemi działo się zadość wszelkim życzeniom, a na jednym z pierwszych sejmów za młodego króla Zygmunta Wazy stanęła nawet ważna uchwała, która o wiele powiększyła ten ruch ku kresom. »Ukazały nam to stany koronne« — opiewa konstytucya z r. 1590 — »że w tak wielkiej szerokości państw naszych pustych, jaka jest na pograniczu ukraińskiem za Białącerkwią, pożytków z nich publicznych ani prywatnych niemasz żadnych. Stąd żeby odłogiem nie leżały, i w pożytek jaki obrócić się to mogło, za pozwoleniem i daniem nam w moc tego przez wszystkie stany, ustawujemy, że nam wolno będzie w tym to trakcie przyrzeczonym rozdawać te pustynie na wieczność osobom szlacheckiego stanu, zasłużonym nam i Rzeczypospolitej, wedle zdania i woli naszej«.

Nietrudno pojąć, jak wielu zasłużonych i niezasłużonych rzuciło się teraz na Ukrainę po dożywocia królewskie, po uroczyska do zakładania włości dziedzicznych, po arendy zakładających się dóbr. Najkorzystniejszym darem były istniejące już oddawna królewszczyzny, niezmierzonej objętości starostwa grodowe i niegrodowe, które tylko lepiej osadzić wypadało. Za przykład takiej ziemi królewskiej i uderzającego w niej po-

stępu zaludnienia może posłużyć wspomnione w powyższej konstytucyi starostwo białocerkiewskie, obecnie wraz z kilku innemi starostwami ukraińskiemi w dzierżeniu X. Janusza Ostrogskiego. Przed ową konstytucyą rozciągało się ono na mil kilkadziesiąt wzdłuż Dniepru, bo kiedy wskutek teraźniejszej skrzętności osadniczej zaczęto w jego granicach mnogie nowe zakładać włości, z których później osobne starostwa i dziedzictwa urosły, pozostała nawet uszczuplonemu starostwu na Białejcerkwi przeszło dwudziestomilowa rozciągłość. Oderwały się wówczas od niego tym sposobem jako dziedzictwo nowe około r. 1615 założone wsie: Skwira, Romanówka, Lisianka i Taraszcza; jako starostwa: Siennica i Taborówka. Z tak dziwną zaś szybkością mnożyły się osady w pustkowiach białocerkiewskich, iż w jednem pięcioleciu między 1617 a 1622 przybyło starostwu 35 nowych siół. W porze największego ścieśnienia swoich granic, po czasach spustoszenia wojnami i powszechnej ruiny, zeszczuplała Białacerkiew do 134 wsi i dwóch miast.

Obok wzrastających w ten sposób starostw, zaludniały się teraz nad Dnieprem i mnogiemi przybocznemi jego rzekami również rozległe ziemie dziedziczne, nadane przez króla możnym panom koronnym. W r. 1590 kniaź Aleksander Wiśniowiecki otrzymał takiem nadaniem »pustynię rzeki Suli« po tamtej stronie Dniepru, gdzie książęta Wiśniowieccy ogromne z dawien dawna posiadali przestrzenie. W roku następnym kniaź Mikołaj Rożyński stał się podobnież panem »pustych uroczysk nad rzekami Skwirą, Rastawicą, Unawą, Olszanką i Kamienicą«, czyli późniejszych dóbr Romanowskich, rozciągających się daleko, aż do miedz Pawołoczy. W r. 1609 Walenty Alexander Kalinowski obdarzony został, na mocy konstytucyi sejmowej, »pewną pustynią Humań, jako w uroczyskach swych to przezwisko pustyni się zawiera«, a zakreślone temi kilku słowami granice urosłej stąd Humańszczyzny zajęły w istocie do 30 mil kraju. Nieco później książę Jeremi Wiśniowiecki założył na szerokich pustyniach za Pereasławiem bez żadnej konstytucyi sejmowej »40 miast«, o które hetman w. kor. i starosta pereasławski, Stanisław Koniecpolski, zapozwał go następnie do trybunału, jako o fundacyę na gruntach starostwa pereasławskiego uczynioną. Mimo takich procesów weszło w powszechny zwyczaj nie żą-

dać publicznych konsensów na zakładanie osad w pierwszej lepszej przywłaszczonej sobie przestrzeni pustej, przeciwko czemu srożyły się napróżno upomnienia senatorów gorliwszych, »aby prawem zakazane były osady wszelkie w Dzikich Polach, t. j. wszelkim ludziom prywatnym bez danego przywileju na to«. Drogą przywilejów i samowoli, w pobliżu zaludnionych już królewszczyzn i w całkiem bezludnych ustroniach kraju, urastały z bajecznym pośpiechem rozległe włości na kresach, napełniło się pogranicze pogańskie szeregiem wielkich książęcych państw.

Potrzeba było takim państwom niezmiernie mnogich tłumów osadniczej ludności. Zwabiano ją też zewsząd z bajeczną pożądliwością różnemi zachętami. Najpowszedniejszą zachętą było tak zwane obwoływanie słobody czyli swobody, tj. niezwyczajnie długiej wolności od wszelkich danin i obowiązków, dozwalanej osadnikom na nowych gruntach. Powszechnie udzielany bywał dwudziesto lub trzydziesto-letni przeciąg takiej swobody, po której następować miało zobowiązanie do miernych opłat i danin, nigdy do robocizny. Oprócz tego przychęcano osadników nadzieją bezkarności za popełnione gdzieindziej grzechy, a czasem wyraźną obietnicą obrony od wszelkich nagabywań sprawiedliwości, choćby o najcięższe chodziło zbrodnie. Nawet tak cnotliwym obywatelom, jak założyciel twierdzy i akademii Zamojskiej, który podobnież ogromne dobra posiadał na Ukrainie i garnął do nich lud osadniczy, zarzucano używanie ku temu środków niezupełnie godziwych. W jednym ze współczesnych spisów »Exorbitancyi, które się działy przez osobę Jana Zamojskiego«; czytamy jako exorbitancyą 26-tą, że po miasteczkach wołając, »majętności swoje zbiegami i hultajami z dziwnemi a niesłychanemi wolnościami osadzał. Luboby największy był niecnota, coby zabił ojca, matkę, brata rodzonego i pana, przytulenie i pieczę im dawał, aby tylko wsie swoje ludem zagęścił, którego tam prawem nikomu nagabować nie pozwolił«.

Zaczem nie brakło nigdy osadników pustyniom naddnieprowym. Przyrodzona słowiańskiemu plemieniu miłość swobody gnała bez ustanku roje najdzielniejszej ludności wiejskiej na kresy. Panowie szukali tam wielkich fortun, szlachtę, według pięknych słów Kromerowych, »nęciły zarówno żyzna gleba, jak

harce z Tatarami«, lud zbiegał tłumnie po wolność. Spełniała się tem wszystkiem wielka narodowa misya obrony i rozszerzenia miedz chrześcijańskich, a w dalszym ciągu opowiadanych tu zdarzeń obaczym, jak boleśnie uczuli z czasem poganie obecne zaludnienie pustyń kresowych. »Nie spodziewajcie się pokoju z nami« — grozili później Koronie orędownicy osmańscy z orężem w ręku — »dopóki nie zburzycie waszych osad na pograniczu, waszych pałanek naddnieprowych«. Jakby też w uczuciu przyszłych stąd niebezpieczeństw, pracowano z nadzwyczajnym pośpiechem nad dziełem kolonizacyi, popierano je z jakimś dziwnie namiętnym, gorączkowym popędem, któremu żadne przeszkody, żadne niebezpieczeństwa nie stały w drodze. Właśnie w porze tego napływu osadniczego rozgrasowali się najsroższej Tatarzy w tych ziemiach pogranicznych; każdy napad tatarski pochłaniał tysiące nowoprzybyłych rodzin sielskich w niewolę, a przecież ani postrach świeżo minionej klęski, ani obawa powtórzenia się jej w roku następnym, nie odejmowały serca do coraz nowego osiedlania się w Imię Boga na zgliszczach. Częste uprowadzanie nowych osad w niewolę zmuszało do kilkakrotnego ponawiania kolonizacyi tych samych stron, wycieńczało środkową Polskę potrzebą wysyłania coraz nowych gromad wychodźczych na Ukrainę; a przecież żadne przeszkody nie ostudzały zapału do zaludnienia Dzikich Pól ukraińskich, żaden uszczerbek własnych żywotnych sił nie odstręczył narodu od poniesienia tej ofiary stronom kresowym.

Ofiara to była zaiste, i boleśnie dojmowała współczesnym. Każdy nowo zaludniony kąt Ukrainy przysparzał pustek wyludniającym się przez to wnętrzom ojczyzny. »Tłumnem wychodźtwem na słobody — uwiadamia nas, dokładnie z ówczesną Polską obeznany, pisarz węgierski — ludne niegdyś ziemie, sioła i miasteczka środkowych części królestwa całkiem opustoszały, a puste niegdyś ziemie ukraińskie zapełniły się mieszkańcami, z niezmierną szkodą dawniejszych posiadaczy«. Starano się też usilnie zaradzić zbytkowi złego, zakazując mnogiemi prawami sejmowemi zbieganie chłopów, stanowiąc surowe kary na każdego przywabiacza cudzych poddanych. Ale mimo kilkudziesięciu konstytucyi tej treści, wzmagało się tak dalece wychodźtwo ludu na Ukrainę, iż niekiedy około jedynego obronnego mias-

teczka po 7 nowych wsi przybywało co roku, że jedyny pomierca gruntów, jak np. hetmana Koniecpolskiego inżynier Beauplan, założyć mógł w niewielu latach 50 miast i miasteczek, z których następnie rozmnożyło się do 1000 osad włościańskich. »Dzięki lepszemu ubezpieczeniu granic i przedsiębiorczości panów — mówi główny z dziejopisów ówczesnych — nastały w tych stronach pogranicza nieprzeliczone osady nowe, pozakładane zostały mocne warownie w miejscach stosownych, a wszystek ów przestwór pustych ziem za Kijowem, Bracławiem i Barem, dawniej tylko dzikiego zwierza przytułek, okrył się teraz w krótkim czasie wsiami i miasteczkami«.

Jak zaś cała natura tutejsza, tak i te wsie i miasteczka, tak wszystkie pojawy życia społecznego na kresach, odmiennym niż gdzieindziej uderzały widokiem. Jakby cudem zapełniła się Ukraina południowa naraz posiadłościami pańskiemi i ludem wiejskim, a ci panowie i chłopi ukraińscy o ileż różniejsi, o ileż możniejsi od panów i ludu środkowej Polski! Magnaci ukraińscy to władzcy szerokich krain, przenoszących granicami swemi niejedno z drobnych państw nowoczesnych. Okazywało się to z samego sposobu nazywania większych majątków ukraińskich »włościami«, rozumiejąc pod tą nazwą kilka kluczów dzisiejszych, skąd każda taka »włość« pańska liczyła razem po kilkadziesiąt wsi i miasteczek. Każdy zaś pan ukraiński miewał po kilka takich włości, trzymał nadto po kilka starostw, dzierżawił ogromne ekonomie królewskie. Widzieliśmy powyżej nie zwyczajną rozległość królewszczyzny białocerkiewskiej, a jej wówczas posiadacz, Xiążę Janusz Ostrogski, właściciel niezmiernych przytem dziedzictw w innych stronach królestwa, trzymał na Ukrainie jeszcze cztery inne starostwa, mianowicie: Czerkasy, Kaniów, Bohusław i Pereasław. Toż gdy Xiążę r. 1620 zeszedł ze świata, i nastąpiła urzędowa rewizya pozostałej po nim ordynacyi ostrogskiej, z pominięciem nie należących do takiej rewizyi królewszczyzn i reszty dóbr dziedzicznych, naliczył późniejszy podskarbi litewski, Mikołaj Tryzna, komputem najogólniejszym: »Miast i miasteczek 80, wsi 2760, czerwonych złotych 600.000, talarów twardych 400.000, różnej monety 29 milionów, łamanego srebra beczek 30, cugów i woźników 50, koni jezdnych 700, klaczy matek 4000, samego bydła i owiec bez liku«.

Po bezdzietnej śmierci xięcia Janusza odziedziczył ordynacyę ostrogską xiążę Władysław Dominik na Zasławiu, już sam z siebie nadzwyczajnie bogaty, za objęciem zaś ordynacyi tak możny, iż w późniejszych wojnach kozackich połowa ludu zbuntowanego składała się z jego poddanych. Spadkobiercy wygasłego temi czasy rodu xiążąt Zbaraskich, xiążęta Wiśniowieccy, posiadali na samem Zadnieprzu »kilkadziesiąt miast i miasteczek z tysiącem wsi«, a należące do nich z tej strony Dniepru posiadłości ukraińskie, wołyńskie, ruskie i sędomierskie, nie mówiąc już o starostwach i intratach wołoskich, czyniły ich panami szerokiego pasu Polski od Zadnieprza po Kraków. Innemu rozległemu traktowi kraju, pięknemu Poberežu nad dolnym Dniestrem, najrozkoszniejszym stronom ojczyzny, panowali prawie wyłącznie potomkowie dwóch możnych rodzin: Potoccy i Koniecpolscy. Ci ostatni od starodawnego gniazda Koniecpole w Sieradzkiem, aż po niedawno założone Koniecpole w stepach nadbohskich, tak wiele dziedzictw i królewszczyzn posiedli, iż podróżując między temi dwoma »końcami Polski«, mogli każdy nocleg pod własnym odprawić dachem. Jakoż na samych szlakach tatarskich należało do nich podówczas 170 miast i 740 wsi, a z powodu również szeroce nad całym Dniestrem rozpostartych dziedzin domu Potockich, prawie bezprzestannych posiadaczów generalnego starostwa ziem podolskich, przymawiała szlachta dalszych stron Polski szlachectwu naddniestrzańskiemu, iż na owym niedawno zaprowadzonym sejmiku ziemi halickiej obradują sami chlebojedzcy Potockich. Na świeższej jeszcze daty sejmikach w Czernihowie i Nowogródku siewierskim wiedli rej Kalinowscy; szeroko wzdłuż całego Podola rozsiedlającym się Kalinowskim dorównywali możni tu z dawien dawna kniazie Rożyńscy; w miejsce wygasłych temiż czasy Rożyńskich wstąpili spowinowaceni z xiążęty Ostrogskimi Zamojscy, Lubomirscy, Daniłłowicze.

Pod takich panów ramieniem osiadał na Ukrainie lud, o tyle wyższy duchem od ludu innych stron Polski, o ile magnaci ukraińscy przewyższali resztę szlachty polskiej fortuną. Wszystkie warunki przesiedlania się osadników kresowych z nad Wisły lub Niemna na brzegi dolnego Dniepru przemawiały na korzyść dzisiejszego ich stanu. Samą ochotą do szukania sobie

lepszej doli na pograniczu tatarskiem dawali oni dowód niepowszedniej odwagi. Największa część nowych osad zakładana bywała w dobrach królewskich, gdzie lud zawsze swobodniejszego używał bytu. Prawie wszystkie starostwa były do tego małemi miasteczkami tj. miały dla obronności od napadów tatarskich zamek, wały i prawo miejskie, przejmujące mieszkańców nierównie żywszem uczuciem niepodległości obywatelskiej, niż to działo się w siołach. Czy to zresztą na gruncie miejskim czy wiejskim, wszędzie czekała ich na początek długa wolność od wszelkich danin, zwyczajnie 20-letnia »słoboda«, po której albo bardzo znośne, albo wcale żadne nie następowały ciężary. Na wielu bowiem osadnikach ciążył jedynie obowiązek służby wojennej przeciw Tatarom pod rozkazami starosty lub swego pana, a taka obrona od pogan nie potrzebowała tu osobnego zobowiązania, będąc naturalnym warunkiem życia na kresach. Toż i bez żadnego zniewolenia ze strony zwierzchności swojej musiał każdy osadnik mieć się ustawicznie na straży od Tatarstwa, nie mógł nawet do pracy w polu wychodzić inaczej jak gromadnie, jak zbrojno. Dogadzał tej powszechnej zbrojności ludu tak obfity zapas broni pod każdą strzechą, iż gdy xiążę Jeremi Wiśniowiecki wkrótce po roku 1646 z obawy buntu Kozaków rozbroić kazał swoich chłopów zadnieprskich, znalazło się w samych majętnościach książęcia, po kilkuletnim pokoju na Ukrainie, nie licząc w to broni ukrytej, »kilkadziesiąt tysięcy samopałów«. I bez ochoty do buntów, z konieczności codziennej bywał każdy żołnierzem, a jeżeli w lustracyi którego z ówczesnych miasteczek starościńskich zdarza się czytać niekiedy, iż od niektórych mieszczan należą się takie a takie daniny, tedy najczęściej wyliczały lustracye tylko pewną liczbę domów mieszczańskich, »z których podatków nie dają żadnych prócz służby wojennej, którą każdy z nich konno z orężem przy staroście swym albo namiestniku jego odprawować powinien«.

Nazywali się tacy do regularnej służby wojennej obowiązani mieszczanie »posłusznymi«. Oprócz tych znajdowało się w każdem miasteczku starościńskiem drugie tyle milicyi nieregularnej, urzędowym językiem »nieposłusznych«, Kozaków, którzy według lustracyi »żadnej powinności ani posłuszeństwa nie oddawają, pożytki wszelakie tak na polach jak i na rzekach

sobie czynią, grunta mało nie wszystkie pod siebie zabierając«. W mnogich zagrodach i futorach siedzieli wysłużeni wojskowi, bądźto z pod chorągwi szlacheckich, bądź z piechoty wybranieckiej lub cudzoziemczej, bardzo często kawałkiem ziemi stepowej obdarzeni od hetmanów koronnych. Mając ją obyczajem żołnierskim odmierzoną »na szable«, zachowywali tacy wychowańcy obozów swoje marsowe nałogi pod nową strzechą, i wraz z owem »posłusznem« i »nieposłusznem« żołnierstwem, wraz z całą resztą słobodzian każdej chwili do odporu Ordzie gotowi, stawali przy sposobności również hardo komukolwiek innemu. Wszystek lud kresowy mężniał i zuchwalał na duchu wobec Tatarstwa, a gdy jego ogromnych fortun panowie, rzadko kiedy obecni na Ukrainie i do tem większej hardości ośmielający przez to swoich poddanych, za mało niższych od króla się rozumieli, on zbrojny, swobodą upojony, na siebie samego zdany, nie dbał o pozostałą zgraję podstarościch i dworzan pańskich, coraz butniejszem okiem mierzył całą szlachtę drobniejszą.

Ledwie ją też widać było na kresach. Ściśnięta między wielkich panów a gmin zuchwały, zmuszona nadskakiwać magnatom, a ustawicznie mieszać się z czernią, pozbyła ona całkowicie znaczenia osobnej klasy, sama owszem przyjaznych związków z ludem szukała. Przy ciągłej bowiem trwodze od nieprzyjaciół, nie w klejnocie starodawnego szlachectwa, ani w dumnem uczuciu nieograniczonej samowładzy obywatelskiej, lecz w prostej materyalnej sile bywał ratunek, w bratniej z chłopstwem kupie, a czasem nawet pod przewodnictwem dzielnego chłopa przyszło bronić karku od pogan, podzielać niebezpieczeństwa ucieczki albo zatajenia się przed wrogami, znosić wspólnie jasyr pogański. Stąd jednym z czernią przemawiając językiem, pod tym samym walcząc z nią krzyżem, prawie zawsze kilkuletnim pobytem na Niżu bratając się z ludem za młodu, znikała drobniejsza szlachta niedostrzeżenie w tym powszechnym zgiełku wojennym, jakim z powodu Tatar wrzało każdodzienne życie tutejsze. Aby je z pod bezprzestannej grozy pogańskiej do przeznaczonej tym stronom pełni swobód i pomyślności podźwignąć, stawali się wszyscy jednym nierozdzielnym zastępem bratnim, nie znającym żadnych różnic stanowych, żadnych bliższych celów istnienia, nad obronę strzechy

swojej od pogan. Ta nieograniczona miłość swobody i to posłannictwo służenia sobą za tarczę od barbarzyństwa, którym naród wszystko oddał w ofierze, nigdzie tak wydatnie nie świecą, jak tu nad Dnieprem.

Jak więc całe teraźniejsze rolniczo-zbrojne osiedlenie pustyń naddnieprskich głównie z natchnienia tej obrończej płynęło misyi, jak dla tem skuteczniejszego odporu wroga szlachcic o szlachectwo nie dbał na kresach, a znaczna część osad jedynie wojnę z tym wrogiem miała na celu, tak podobnie wszelkie inne pojawy życia w tych stronach, wszelkie myśli i starania mieszkańców, skupiły się w chęć zapewnienia sobie jak największej obronności od nieprzyjaciół. Musiało wszystko służyć tej chęci, zacząwszy od zewnętrznego upostaciowania ziemi, aż do obyczajów i charakteru mieszkańców. W coraz nowe warownie i strażnice piętrzona ziemia, pokryła się ową niezliczoną mnogością wałów, okopów, zamczysk, horodyszcz, mogił strażniczych i grobowych, którą po dziś dzień zdumiewa Ukraina. Jeśli niewszystkie, tedy w największej części są one pomnikami obecnej pory obwarowywania się od pogaństwa, leżącymi najgęściej w tym właśnie zakącie białocerkiewskim, gdzie o ich gęstem pod tę porę nastaniu niejednokrotnie czytamy u kronikarzów, i gdzie najtłumniej cisnęła się nasza ludność kresowa. Każde z zakładanych przez nią miasteczek opasywało się wałem, sypało sobie kopce strażnicze do utrzymywania na nich czat ustawicznych, łączyło się rzędem takichże mogił z dalszemi osadami. Po każdej dłuższej leży wojsk koronnych pozostawały prace tego rodzaju, nakazywane żołnierstwu w chwilach nieczynności oręża. Wiele mogił było bądźto dziełem, bądź przedmiotem starań osobnej klasy ludu, tak zwanych mogilników, o których często wzmianka w najdawniejszych opowiadaniach kozackich. Znaczna owszem część ludności ukraińskiej, cała pierwotna Kozaczyzna, zajmowała się z dziwną namiętnością przekopywaniem ziemi w celach obrony, najpewniejszej dla Ukraińca za wałem, fosą, na usypisku, w podkopach. »Kozakowi, — mówi dokładnie obyczajów kresowych świadomy kapłan Okolski — otuchą wszelką jest woda, rzeka, błoto. Gdzie Kozak błota nie ma albo jaru, zginął. Dlatego zima, iż się już kopać nie może, jest mu srogim nieprzyjacielem«. Niejeden więc

z kopców ukraińskich pozostał jedynie przypadkowym zabytkiem takiego niegdyś trybu wojny obronnej. Z niektórych umyślnie sutych kurhanów ostrzegać miały przed Tatarstwem nadsyłane z Polski dzwony królewskie, na innych zapalano w tym celu beczki smołą oblane. Niemała wreszcie część mogił dopomagała jeszcze skuteczniej obronie kresów, służąc za tak zwane majdany saletrzane, w których Kozacy swój wyborny proch przyrządzali.

Długoletnie używanie tak rozlicznych środków obrony zapełniło naszą okolicę kresową istnym lasem różnokształtnych nasypisk ziemnych, dochodzących liczby stu kilkudziesięciu zamczysk, horodyszcz, horodków, przeszło sześciu tysięcy mogił większych i mniejszych. Wzdłuż całego pogranicza ku Dzikim Polom, zwłaszcza na trzech głównych szlakach tatarskich, czuwały na tych kurhanach dniem i nocą liczne straże i czaty, znane nam częściowo ze wzmianek w konstytucyach koronnych. Przednie w tym względzie miejsce dawano zwyczajnie dwóm strażnicom białocerkiewskim, jednej na zamku w mieście, drugiej na wysokiem uroczysku pod lasem, »skąd wszystką Ukrainę ostrzegano od inkursyi pogańskich«. Również ważnem stanowiskiem strażniczem były niedalekie stamtąd Trylesy, pięć krotnie burzone za to od pogan. Nieco dalej słynęła strażnica pod Lubomierzem, gdzie aż po dziś dzień »takie mnóstwo jest mogił, że cała okolica wydaje się jakby naturalnie pagórkowatą«. Jeszcze dalej w stronach bracławskich, gdzie według słów Kozaka Nalewajki, »nikt tam od stworzenia świata nie mieszkał nigdy«, utrzymywane były takież straże na wybrzeżu wpadającej do Bohu rzeki Sinicy, na Hajnarach, nad rzeką Sawranią i w innych miejscach. Jeszcze więcej wzroków czuwało ze szczytów strażnic wzdłuż kilku głównych szlaków tatarskich, w szczególności u porohów Dnieprowych, w Czerkasach, Kaniowie, Połonnem i dalej ku Wołyniowi, wzdłuż bieżącego przez te miejsca szlaku Czarnego. Tyleż strzegło uroczysk nad Sawranią, u brodów Godymy i Kuczmienia, aż w głąb Podola, na tak zwanym szlaku kuczmieńskim. Nie zbywało też na straży źródliskom Ruszawy i Uszycy, ku mogiłom Pokucia, wzdłuż szlaku wołoskiego. Nad całą zaś nieprzejrzaną siecią tych szlaków, strażnic i mogił, jako najwyższa czata strażnicza, góro-

wał Bar, to od wieków starościńskie gniazdo hetmanów, ten po Kamieńcu Podolskim najpotężniejszy na kresach gród, o którym pisywano w listach do króla, iż »patrzy na cztery szlaki tatarskie«. Dlatego nadawali go królowie zdawien dawna hetmanom, jako najwyższym w istocie stróżom granic ojczystych, tak nierozłącznie związanym przez to z pograniczem tutejszem, iż widząc ich od nastania swojego bezprzestannie czynnych w tej stronie, najczęściej tutejszego rodu i miana, nie bez słuszności wyprowadzono stąd wniosek, jakoby cały urząd hetmaństwa głównie ku obronie tych stron kresowych, głównie w tych stronach nastał i urósł.

Pod tą najwyższą władzą hetmańską urzędował w XVI w. osobny »strażnik trzech szlaków«, który przewodził wyszczególnionym powyżej stróżom i czatownikom podrzędnym, pełniącym swoją służbę bądź z obowiązku, bądź z samego zamiłowania.

Opracował BR. CHLEBOWSKI.

CXXIII.

MORAWSKI TEODOR.

(1797—1879).

Nazwisko to nie powie może wiele nawet tym kołom inteligencyi, które szczerze interesują się przeszłością naszej historyi, jako osobnej gałęzi wiedzy. Składa się na to fakt, że Morawski główną swą pracę historyczną wydał w najniefortunniejszych w świecie warunkach. Był on przedstawicielem, może nawet krańcowym, tej generacyi, dla której praca historyczna równała się czynowi polityczno-wychowawczemu, — rozwiązywaniu pierwszorzędnych zadań polityki narodowej, która też ważnością postawionego zadania mierzyła odpowiedzialność autorów. Morawski od ławy szkolnej objawiał zamiłowanie do historyi, był już wtedy zapalonym kolekcyonistą dawnych druków naszych i obcych; później, na emigracyi, poświęcił się całkowicie pracy nad dziejami, korzystał ze zbiorów rękopiśmiennych ks. Czartoryskich, Towarzystwa historyczno-literackiego, Chodźki etc. Mimo to nie spieszył się wcale z ogłoszeniem wyniku swych badań. Materyały gromadził bez ustanku, zasięgał rad przyjaciół, odczytując im poszczególne ustępy swej pracy, zastanawiał się nad każdem zdaniem, każdem słowem, licząc się z tą niezwykłą odpowiedzialnością, do jakiej się poczuwał. Rękopis tego »jasnego i dostępnego podręcznika historyi polskiej dla wszystkich, opartego na monarchicznej zasadzie«, jaki zamierzał ogłosić, rozrastał się na skutek tego coraz bardziej, zwłaszcza w części poświęconej historyi XVIII i XIX wieku. Wówczas postanowił Morawski przerobić jeszcze raz od początku całą swą pracę, starając się skondensować ją, doprowadzić do klasycznej zwięzłości. Trwało to bardzo długo: z jego pomysłów zasadniczych poczynali już korzystać inni, np. Kalinka, a on wciąż milczał. Była podobno chwila, gdy chciał zniszczyć nawet swój rękopis, chwila, gdy dostał do rąk książkę Szujskiego, w której wyczytał wiele z tych myśli, jakie sam pragnął wypowiedzieć. Kiedy wkońcu, na parę lat przed jego śmiercią, nale-

gania przyjaciół skłoniły go do ogłoszenia drukiem najpierw oddzielnie i bezimiennie »Rysu dziejów porozbiorowych« (Żupański 1870), a potem, pod własnem nazwiskiem, całych »Dziejów narodu polskiego, w krótkości zebranych dla matek i niższych nauczycieli«. (Drezno 1871—1872), to praca jego przyszła już stanowczo zapóźno. Jej działy poświęcone historyi Polski do XVIII wieku włącznie nie odpowiadały już, jak to podniosła odrazu krytyka (Szujski), postępowi dokonanemu w naszej nauce historycznej, poczynającej się liczyć z wydawnictwami obcemi, stosować metodę krytyczną badań niemieckich, polegającą na ścisłem, źródłowem odtworzeniu przeszłości. Przytem ustępowało już z widowni pokolenie, które mogło najsilniej odczuć, najgoręcej przyjąć jego pracę, obliczoną przedewszystkiem na wpojenie społeczeństwu pewnych pojęć politycznych. Wypadki roku 1863 zrobiły już swoje: w Królestwie poczynał się budzić pozytywizm, a i w Galicyi — ludzie, zbliżeni zresztą najsilniej do Morawskiego, czerpiący nieraz natchnienie z jego prac, zeszli również z dróg, jakie wskazywał im ongi ks. Adam Czartoryski. Zdawało się, że Morawski przemawia do nich już jakby z za grobu, nie licząc się ze zmienionymi warunkami życia. Szerokiej publiczności nie pociągnął niefortunny, dziwnie skromny tytuł książki »dla matek i niższych nauczycieli«, ani jej czysto chronologiczny układ, ani ten zwięzły, czasami za suchy język. Książkę ceniono, powoływano się na nią tylko w nielicznych kołach fachowych, wśród których zresztą malało wyraźnie zamiłowanie do badań nad historyą XVIII i XIX wieku.

Nadszedł jednak wkońcu czas, gdy pracę Morawskiego oceniono podług jej zasług, gdy zwrócono uwagę na te jej ustępy zwłaszcza, które dotyczą dziejów porozbiorowych. Było to jeszcze przed tym niebywałym rozwojem naszej historyografii porozbiorowej, jakiego świadkami jesteśmy obecnie. Budziło się już zamiłowanie do tych czasów, a nie było jeszcze książek. Wtedy prawie wszyscy z pracujących obecnie na tem polu mieli na swym stole książkę Morawskiego, o której też niepodobna dziś pisać bez uczucia głębokiej wdzięczności. Odczuwało się odrazu, że ma się tu do czynienia naprawdę z pracą całego życia, z książką, »której temat ułożył się w duszy długiem i spokojnem rozmyślaniem«, z książką przedewszystkiem niezwykle porządnie napisaną, której każdemu zdaniu, każdej aluzyi nawet zaufać można z pewnością. Zobaczymy poniżej, że cały szereg dzisiejszych zdobyczy naszej historyi jest rozwinięciem myśli, które krótko, lapidarnie, nieraz jakby mimochodem wypowiedział Morawski. To było rzeczą najważniejszą i to wzbudziło szacunek dla jego książki. O tem jednak uczuciu wdzięczności zdecydował może silniej wzgląd inny. Przez książkę przemawiał do młodych człowiek, który znał dzieje naszego kraju nietyle ze źródeł, ile z żywych tradycyj epoki Stanisława Augusta i legionów, z własnego długiego i czynnego życia, poczynającego się od epoki Księstwa Warszawskiego, a zakończonego już po klęsce 1863 roku. Nie był on, nie mógł być, historykiem ga-

binetowym, który odbudowuje przeszłość ze źródeł, z martwych kart, ożywianych przez współczucie własne, przez własny pogląd na związek przeszłości kraju z jego przyszłością. I on był człowiekiem wyraźnej doktryny, i on silnie odczuwał los kraju, ale miał pewną równowagę duszy, pewien spokój sądu. Sam za wiele widział, za wiele napatrzył się tych szamotań życia porozbiorowego polskiego, aby jedne drogi potępiać bez zastrzeżeń ku wyniesieniu innych w imię doktryny, chociażby najserdeczniej odczuwanej. A zresztą i ta jego doktryna była czemś zasadniczo odmiennem od tych chorobliwych nieraz zboczeń, jakie objawiały się po roku 1863: wynikała ona bowiem z niezłomnej wiary w zasadnicze zadanie polityczne narodu. Jako zwolennik króla »de facto«, rzecznik bezwzględny zasady monarchizmu, mógł np. Morawski bronić Stanisława Augusta, ale nigdy w życiu nie posunąłby się na tej drodze tak daleko, jak jego uczeń i przyjaciel Kalinka, który w zapale swej tezy, byleby tylko obronić politykę ostatniego króla przeciw Sejmowi Czteroletniemu, mówił aż o misyi religijnej Polski na wschodzie. Mógł następnie zapatrywać się krytycznie na hasła łatwych poruszeń, ale nigdy aż do tego stopnia, aby uznawać bezpłodność usiłowań legionistów, wytykać daremność nadziei ludziom Księstwa Warszawskiego, a nawet i Podchorążym. Chronił go od tego, powtarzamy, jego ideał zasadniczy, wyższy ponad doktrynę, chroniły wspomnienia życia państwowego polskiego, wrodzony instynkt polityka przedewszystkiem.

Teodor Morawski przyszedł na świat 1 listopada 1797 w Piwonicach w województwie sieradzkiem, jako syn zamożnej rodziny ziemiańskiej. I on również lgnął do tej ziemi, do gospodarki: wszak później dziennikarstwo, służbę w Komisyi spraw wewnętrznych, traktował jako okres pewnej próby obywatelskiej, po której wypadnie wrócić do roli, ożenić się i gospodarować. Można sobie zdać sprawę z tego, co ten człowiek musiał przecierpieć na Emigracyi, w Paryżu, jakie uczucia podyktowały mu ten piękny opis gospodarki rolnej staroszlacheckiej oraz początków postępu rolnictwa za czasów Królestwa Kongresowego. O rodzicach jego wiemy niewiele; ojciec odumarł go koło r. 1821, wyraźniej zarysowała się tylko postać matki, która później udawała się do Belwederu do W. Ks. Konstantego, wstawiając się za synem, uwięzionym u Karmelitów, nakłoniła go wreszcie do ucieczki z kraju przed powtórnem aresztowaniem. Dzieciństwo Morawskiego przypadło na czasy pruskie, z których później niejedno opowiadanie o ucieczkach młodzieży do legionów, o narzekaniach starszych na »nieroztropność« tego, o pożarach w Wielkopolsce etc. przedostało się do jego książki. W r. 1806 oddano go wraz z bratem najstarszym do liceum warszawskiego, umieszczając równocześnie w pensyonacie Konstantego Wolskiego. Był to eks-pijar, popierany przez Prusaków za przejście na protestantyzm, który później, za Księstwa Warszawskiego, ściągnął na siebie niechęć arcybiskupa Raczyńskiego i Fryderyka Augusta, choć z drugiej strony do przyjaciół swoich zaliczał Dmochow-

skiego i Kołłątaja i był nawet członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Otoczyła tutaj Morawskiego, którego lata szkolne przypadły już całkowicie na czasy Księstwa, atmosfera pewnego liberalizmu pedagogicznego, który zwracał główną uwagę na wychowanie obywatelskie, traktując dość lekko kwestye religijne. Na chłopców działało zresztą przedewszystkiem życie kraju, przesuwając przed ich oczyma takie barwne karty, jak opuszczenie Warszawy przez Prusaków i »poczciwego« gubernatora Koehlera, odprowadzanego przez ludność aż do mostu, jak ten szał radości, który ogarnął wszystkich na widok pierwszego oddziałku »szaserów« francuskich, jak odgłosy Raszyna i zajęcie Warszawy przez Austryaków, jak cała ta wreszcie epoka biedy, ale i poświęceń i bohaterstwa i nadziei. Przyglądał się niewątpliwie Morawski scenie poświęcenia orłów (3 maja 1807), wyruszył z kolegami do sypania okopów po bitwie Raszyńskiej, gdy to starsi wychowankowie liceum opuścili dla szeregów ławy szkolne, a z nimi i brat najstarszy Teodora, który poległ później pod Lipskiem. Tych wspomnień młodzieńczych nie zgasi później w człowieku dojrzałym nawet przyjaźń dla ks. Adama Czartoryskiego, reprezentującego za Księstwa zupełnie odmienny punkt widzenia. Podniesie później historyk Morawski całą wartość roboty edukacyjnej ks. Adama na Litwie, wyrazi się z dużem uznaniem o jego usiłowaniach w r. 1805, gdy to »zdarzała się jedyna w dziejach chwila szczerego pobratania Polski z Rosyą«, ale sympatyę prawdziwą i gorącą zachowa dla ludzi i działań Księstwa. Będzie się on starał podnosić raczej takie fakty, jak ten, że »jest pismo ks. Adama, w którem poufale dawał rady rządowi Księstwa względem lepszego urządzenia administracyi«, że w r. 1812 »wszystkie jego życzenia były tam, gdzie służyła cała jego rodzina i tylu przyjaciół«, zamilczając całkowicie o jego działalności w latach 1810—1811.

Po skończeniu liceum wstąpił Morawski do niedawno założonej Szkoły prawa i administracyi, w której chciano na administracyjnych i prawnych wzorach francuskich wykształcić Księstwu nową generacyę urzędników. I ta szkoła, w której prawo kanoniczne wykładał profesor świecki podług książki Boehmera, w której szerzono zamiłowanie do kodeksu Napoleona, była ogniskiem liberalizmu, ściągającem na siebie zarzuty arcybiskupa Raczyńskiego. Wyniósł z niej Morawski sympatye dla urządzeń francuskich, dla kodeksu Napoleona zwłaszcza. »Bez wątpienia, mówił później, zaprowadzenie kodeksu było nowem zamięszaniem stosunków domowych, nowem naruszeniem zwyczajów narodowych- ale było w gruncie dobroczynnem wyjściem z narzuconej mieszaniny pruskiej; kraj zyskiwał najnowsze prawo europejskie do najnowszej cywilizacyi zastosowane i wychodził nareszcie z bałamuctwa odwiecznych praw, z którego tylu królów daremnie wyplątać go usiłowało, a razem wracał do sprawiedliwości jawnej, którą mu rząd pruski odebrał«. I wtedy i później, w początkach Królestwa, był Morawski zaciętym »napoleonistą«. »Byliśmy, mówił później o tych początkach Królestwa, w najściślejszem znaczeniu wychowańcami Księ-

stwa Warszawskiego. Aleksander układnością swoją mógł skłonić ku sobie umysły w dawnych zaborach, w Księstwie panował urok napoleoński. Napoleonizm znaczył to samo prawie co patryotyzm«.

Z ław liceum i ze Szkoły prawa wyniósł Morawski węzły ścisłej przyjaźni z Brunonem Kicińskim i Józefem Brykczyńskim. Tworzyli oni trójkę studencką, której zawdzięczał m. in. swe istnienie przekład polski Rinalda Rinaldini, dokonany na ławach gimnazyalnych. »Grono, pisał o tem Morawski, odziedziczyło tylko korzyść w książkach, któremi wydawca zapłacił rękopism. Rinaldo Rinaldini miał bowiem kilka wydań i żaden z płodów literackich podówczas nie przyniósł tyle zysku księgarzowi«. Kiciński wprowadził go później do domu swego ojca, kasztelana połanieckiego. Zetknął się tutaj Morawski z szeregiem ludzi (Kickim, Badenim, Karolem Lelewelem etc.), którzy żyli głównie wspomnieniami epoki rozbiorów, złączeni ze sobą wspólnym węzłem sympatyi dla Stanisława Augusta. Mówiono tutaj wyraźnie, że wina upadku Rzeczypospolitej spada wyłącznie na naród, zwalczano tendencyę książki »O ustanowieniu i upadku konstytucyi 3-go maja«. W oczach tych ludzi Stanisław August był przedewszystkiem gorącym rzecznikiem postępu i oświaty, opiekunem literatury, sztuki, szkolnictwa. Mówiono tu, że w pierwszym okresie panowania był on szczerym zwolennikiem naprawy Rzpltej, że wyciągał rękę nawet ku konfederacyi Barskiej, że Sejm Czteroletni, nie licząc się z jego aspiracyami dynastycznemi, siłą rzeczy popchnął go w kierunku Rosyi. Opowiadania tych ludzi wywarły później pierwszorzędny wpływ na Morawskiego. Już wówczas bowiem coś go pociągało do pracy historycznej: zbierał np. druki z czasów Sejmu Czteroletniego, których pozbawił go potem przyjaciel, a zapalony również kolekcyonista, Konstanty Świdziński (później, w dobie pierwszych związków tajnych, koledzy jego z Towarzystwa literackiego powierzą mu główne kierownictwo pracy nad tłumaczeniem książek Rulhière'a i Ferrand'a). Na razie jego liberalizm zbliżał go raczej do obozu inaczej zapatrującego się na przyczyny upadku Rzpltej: do epigonów Kołłątaja, którego książki tak silnie działały na całą generacyę młodzieży Królestwa Kongresowego, do Staszica, którego potem, pracując przy jego boku, widział już złamanym i zniechęconym, ulegającym, byleby zatrzymać w swych ręku choćby tylko zarząd ulubionego górnictwa. Ale później, gdy Morawski dostał się pod wpływ ks. Adama Czartoryskiego, te opowiadania, których słuchał ongi w domu Kicińskiego, odżyły w nim z całą siłą, dostosowując się organicznie do nowego zwrotu jego przekonań politycznych. »Lelewel, pisał wtedy, mając w rodzinie swojej bliskich a poczciwych świadków życia Poniatowskiego, wie dobrze, jakiego on oporu, jakich przeciwieństw i zgryzot doświadczał ze strony najcnotliwszych obywateli... Kasztelan Badeni opowiadał, że w dzieciństwie swojem obecny był na pogrzebie ostatniego z Branickich, na którym kaznodzieja, wystawując cnoty zmarłego, między najwyższe oznaki zalet

jego tę policzył, że nie od jednego tylko, ale od trzech dworów odbierał posiłki«.

W początkach Królestwa Kongresowego rozpoczął Morawski w Komisyi spraw wewnętrznych, swą karyerę urzędową, polegającą zresztą głównie na pomaganiu Staszicowi w jego pracach naukowych. Zajęcia te pozostawiały mu wiele czasu, podobnie jak i jego koledze Kicińskiemu. Powstało więc »Towarzystwo literackie«, organizacya po części masońska i polityczna, do której między innymi należał i Ignacy Prądzyński, związany już dawniej z Morawskim węzłami ścisłej przyjaźni. Tłumaczono tutaj utwory klasyczne, artykuły z Encyklopedyi francuskiej, prace historyczne Rulhière'a i Ferrand'a. Tę grupkę młodzieży ożywiał duch liberalizmu, wzorowanego całkowicie na stosunkach francuskich. Gdy odczytuje się np. podpisane artykuły Morawskiego w »Orle Białym«, to widzimy w nich gorącą sympatyę dla Rewolucyi francuskiej, której nadużycia tłumaczył młody Autor długotrwałą niewolą uprzednią. (Jeszcze w latach pięćdziesiątych wśród młodszej generacyi, grupującej się dokoła ks. Adama Czartoryskiego, opowiadano sobie, że Morawski za pierwszego pobytu swego w Paryżu, przechodząc koło domu Marat'a, zdejmował zawsze kapelusz). Sympatya owa łączyła się zresztą z kultem Napoleona, z entuzyazmem dla stosunków amerykańskich, tak powszechnym podówczas wśród republikanów francuskich, z wiarą w to, że najlepszą dźwignią cywilizacyi jest wolność etc. Stopniowo — przywódcy kółka literackiego przerzucili się na pole dziennikarstwa »amatorskiego« rozpoczynając wydawnictwo »Tygodnika literackiego« (1818) i »Gazety codziennej« (1818 do 12 VI 1819). Zamknięcie Gazety za artykuł o drobnem rozporządzeniu policyi stało się początkiem represyi prasowych za Królestwa. Morawskiego wezwano do Belwederu, gdzie doszło do charakterystycznej sceny z W. Ks. Konstantym, tak żywo i wiernie opisanej przezeń w pierwszej, rękopiśmiennej redakcyi pamiętnika (»O związku patryotycznym polskim. Dwa miesiące mego życia«), różniącej się w wielu szczegółach od późniejszej, ogłoszonej drukiem w roku 1873. On i Kiciński, pozbawieni wtedy swych stanowisk urzędowych, uznani za niezdatnych do sprawowania jakiegokolwiek urzędu w administracyi krajowej, stali się chwilowo bohaterami stolicy. Młodzież z Towarzystwa literackiego urządziła na ich cześć ucztę, odbywano pielgrzymki do zapieczętowanej ich drukarni. Podjęli też oni dalej swe zadanie dziennikarskie, wydając nieperyodyczną, a więc niepodlegającą cenzurze »Kronikę XIX wieku« (1819), a w końcu »Orła Białego« (1819—1820). Nie mogli jednak wytrwać w tej walce, wzorowanej na metodach francuskich, gdyż cenzurę rozciągnięto w końcu i do wydawnictw nieperyodycznych, a w dodatku dawnych cenzorów, typu Niemcewicza lub poczciwego księdza Bohusza, więzionego ongi za udział w spisku lat 1793—1794, zastąpił Kalasanty Szaniawski, którego własna przeszłość przygotowała wybornie do urzędu cenzora. Zamknięcie »Orła Białego« położyło kres »amatorskiemu« dziennikarstwu Mo-

rawskiego; wrócił do gospodarstwa, na wieś, dokąd wzywała go matka po śmierci ojca.

Już przedtem jednak wszedł on był do związków tajnych, ku którym, wbrew jego własnym, późniejszym zastrzeżeniom, ciągnęły go usposobienie, stosunki koleżeńskie, wolnomularstwo, cały wreszcie kierunek wychowania. O jego udziale w najwcześniejszych związkach z czasów Królestwa świadczy już choćby widoczna w jego książce znajomość dawnych organizacyi z doby Księstwa Warszawskiego, połączonych z osobą Dąbrowskiego, o związku z r. 1813 zwłaszcza, oparta z całą pewnością na opowiadaniach ludzi, z którymi się zetknął sam w późniejszych spiskach. Należał więc napewno do »Towarzystwa prawdziwych Polaków«, utworzonego pod koniec r. 1814 przez Prądzyńskiego i Kołaczkowskiego, należał w r. 1820 do »Wolnych Polaków«. Zresztą i Towarzystwo literackie, nazywające się na wewnątrz związkiem »Miłośników narodowości«, było również organizacyą polityczną. Morawski we wszystkich tych związkach wyrobił sobie pewne znaczenie, które ujawniło się potem, gdy na wiosnę 1821 roku Umiński i Prądzyński ściągnęli go ze wsi (Dąbrówki) do Warszawy dla opanowania związku utworzonego przez Łukasińskiego. Odegrał on wtedy pierwszorzędną rolę w całej tej akcyi: 1-go maja 1821 r. w Potoku odczytywał związkowym przysięgę, wszedł do nowego komitetu centralnego, zredagował statut, wzorowany na ustawie poznańskiego Towarzystwa Kosynierów, obstawał wbrew Łukasińskiemu — za elekcyą władzy naczelnej, za republikańską organizacyą związku. Zwyciężony wkońcu przez Łukasińskiego, wystąpił razem z Prądzyńskim i Kicińskim z komitetu i usunął się na wieś.

Tutaj związał się ściśle przez brata, przez całość swych stosunków rodzinnych i sąsiedzkich z tem gronem Kaliszan, grupujących się dokoła braci Niemojowskich w imię hasła legalnej i liberalnej opozycyi. Był to drugi wybitny wpływ, jakiemu podległ w życiu, odmienny od pierwszego, liberalno-spiskowego. Pozostał mu wiernym Morawski aż do czasu dostania się pod sferę wpływu ks. Adama Czartoryskiego, t. j. aż po r. 1832. Odbiło się to wyraźnie na ustępach jego książki, omawiających historyę Królestwa Kongresowego i powstania listopadowego, które mają charakter pamiętnikarski, polemiczny, dostosowany do tej oceny stosunków Królestwa i zadań powstania, jaka panowała wśród Kaliszan.

Pobyt na wsi przerwało pierwsze uwięzienie Morawskiego w maju 1825 r., spowodowane formalnie przez sprawę podróży na sejm Wincentego Niemojowskiego, faktycznie przez pierwsze podejrzenia o jego udziale w związkach, nie oparte jeszcze na dowodach pozytywnych. Swój pobyt u Karmelitów opisał Morawski później prosto, bez najmniejszego zabarwienia melodramatycznego. Wypuszczony na wolność wkrótce po zamknięciu sejmu, został skompromitowany na nowo przez zeznania Łukasińskiego i 2 grudnia 1825 zbiegł do Wielkopolski, a później —

po krótkim pobycie w Anglii — osiadł w Paryżu, poświęcając się pracy naukowej i publicystyce.

Powstanie listopadowe powierzyło mu z początku prowizorycznie, do czasu przyjazdu Wolickiego, misyę reprezentowania Polski w Paryżu. Kołatał Morawski do gabinetów ministeryalnych, do dworu, starając się o broń, pożyczkę, o uznanie rządu powstańczego, o wysłanie do Polski paru generałów. Zoryentował się zresztą odrazu w tem, że rząd Ludwika Filipa wyzyska tylko tę sposobność dla utorowania sobie drogi do stosunków z mocarstwami podziałowemi, że przedstawicielom Polski wypadnie działać raczej na opinię francuską, występować przeciw gabinetowi, a w rezultacie ochładzać w kraju wszelkie przedwczesne nadzieje interwencyi. To też chętnie ustąpił swego stanowiska Platerowi i Kniaziewiczowi i wrócił — po dość oryginalnych przeprawach, opisanych szczegółowo w pamiętniku — do kraju. Tutaj — 15 lipca Kalisz wybrał go na swego deputowanego na sejm. W 5 dni potem stanął Morawski w Warszawie, aby odegrać pewną rolę w tych ostatnich, rozpaczliwych chwilach powstania. Potępił odrazu bez zastrzeżeń wszelkie iluzye dyplomatyczne Skrzyneckiego, zachęcając bezwzględnie do walki dalszej. 9-go sierpnia sejm wyznaczył go do delegacyi do obozu. Był on jej sekretarzem, ostrożnym sprawozdawcą następnie przed sejmem, bronił ją w końcu gorąco i w swej historyi. W obozie odczuł odrazu ten brak wiary w możność walki, jaki ogarniał wszystkich bez wyjątku generałów polskich. Widział później, gdy go po raz drugi wysłano do wojska w celu wywarcia nacisku na Prądzyńskiego, aby przyjął dowództwo, jak złamał się do głębi i ten prawdziwy żołnierz rewolucyi, nadzieja spisków, do niedawna taki świetny i optymistyczny w swem zacięciu polemicznem krytyk Skrzyneckiego. Widział następnie, w jak szybki, a przykry i namacalny sposób, rozpłynęła się sprawa objęcia dowództwa przez Prądzyńskiego, do niedawna tak pragnącego komendy; widział cały jego upadek końcowy i opisał to później z bezwzględną szczerością w swej historyi. Wypadki dnia 15 sierpnia znalazły w nim i wówczas i później sędziego niezwykle surowego, podobnież jak pierwsze, niefortunne zresztą, próby organizowania radykalizmu polskiego. Dał temu wyraz w swym projekcie odezwy z powodu tych wypadków ogłoszonej już za rządów Krukowieckiego; dał, domagając się kar na sprawców 15 sierpnia, okazując i później, w swej historyi, tyle zaciętości nieubłaganej przeciw Mochnackiemu. Jako referent »kaliskiego« projektu o reorganizacyi rządu powstańczego, a przedtem jeszcze projektodawca zmiany stosunku rządu do naczelnego wodza, wszedł z ramienia Kaliszan do rządu Krukowieckiego i został ministrem spraw zagranicznych; porzucił jednak to stanowisko już 5 września, przekonawszy się wyraźnie, że chodzi tu tylko o kapitulacyę na łaskę i niełaskę. Był z sejmem w Zakroczymiu, a potem razem z Bonawenturą Niemojowskim przybył do Paryża (24. X. 1831 r.)

Na emigracyi pierwiastkowo należał do Kaliszan, wszedł do ko-

mitetu Niemojowskiego, później (1832) do komitetu narodowego Polski i ziem zabranych, (Dwernickiego), z którego zresztą wkrótce wystąpił. Zwalczał zacięcie Mochnackiego i Gurowskiego, z którym nawet pojedynkował się nieszkodliwie. Stopniowo — dostawał się coraz wyraźniej pod wpływ ks. Adama Czartoryskiego. Złożył się na to rozkład stronnictwa »Kaliszan« na emigracyi, później śmierć B. Niemojowskiego, złożyła i praca w Towarzystwie historyczno literackiem (od 29. IV. 1834 r.), którego Morawski był duszą i organizatorem aż do końca swego życia, jako jego wice-prezes. Od tego czasu zwalczał bez zastrzeżeń całą akcyę odłamu radykalnego przeciw ks. Adamowi, należał do tych »oponentów arystokratycznych«, którzy zerwali komplet sejmu na emigracyi; w r. 1834 wszedł w skład redakcyi »Kroniki emigracyi polskiej«, należał i później do ludzi grupujących się koło pisma »Trzeci Maj«. W r. 1848 należał do tego świetnego orszaku, który towarzyszył ks. Adamowi Czartoryskiemu w jego podróży politycznej do Niemiec; zabierał głos wówczas we wszystkich wystąpieniach politycznych konserwatywnego odłamu emigracyi z okazyi wypadków krajowych. Później, z jego opinią liczono się i w kierownictwie polityki polskiej na wschodzie. Po śmierci ks. Adama został jednym z doradców ks. Władysława, z jego polecenia układał się z wysłańcami kraju w l. 1861—1862, zadecydował o roli ks. Władysława w r. 1863. Strata żony (Francuzki, pani Malet), śmierć brata i matki, zerwanie stosunków z krajem — wycisnęło na nim w tych czasach pewne piętno melancholii, skłonności do odosobniania się w ścisłem kółku przyjaciół i skłoniła do poświęcenia się wyłącznego pracy naukowej. Tych, którzy go znali pod starość, uderzała jego dworskość, delikatność uczuć, dystynkcya, wyrozumiałość, połączona z jakimś łagodnym smutkiem. Nie zawsze był on jednak takim. »Morawski Teodor, — pisał o nim w roku 1834 jego towarzysz redakcyjny z »Kroniki«, zacny Karol Hoffman, w swym rękopiśmiennym pamiętniku, — ostatni minister spraw zewnętrznych, człowiek z młodszej już generacyi, bystrego pojęcia i zdolności wyższej nad wielu innych. Ma pewne zdanie i odwagę w popieraniu tego co myśli, może jeszcze być bardzo użytecznym ojczyźnie, acz ma w sobie coś lekkiego i skrytego, które mu nigdy ni ufności, ni powagi powszechnej nie zjedna«. W publicystyce po raz ostatni zabrał głos Morawski, ogłaszając w r. 1878 »List otwarty do »Gazety Narodowej« (»Czas« nr. 298 dnia 29. XII. 1878) z okazyi sprawy solidarności Koła Polskiego w Wiedniu, za którą oświadczał się bez zastrzeżeń. Prosił o głos w tej kwestyi jako deputowany kaliski na sejm w r. 1831, prosił zresztą tak, jak stary żołnierz, wracający z San Domingo, prosi o gościnę w kraju. Mówił że nie jest już członkiem żadnego stronnictwa, że przemawia z nad grobu; oświadczał, że »wszystkie nieszczęścia nasze jak z kłębka wyprowadzić się dają z jednej, niestety, bardzo powszechnej wady, z niekarności, z nieuznania żadnej władzy, żadnej nawet powagi«.

Swoje »credo« polityczno-historyczne ostatnich czasów wypowie-

dział Morawski w ciekawej broszurze p. t. »Rozmowy tułackie«, ogłoszonej w Paryżu w r. 1843. Broszura ta stanowi klucz do zrozumienia myśli przewodniej całej historyi Morawskiego. »Z potęgą to królów, mówił w niej, wszędzie nieledwie rosła wielkość narodu. Polska w szczególności stawia pod tym względem nauczający przykład. Chrobry ją zbudował, Łokietek odnowił, Jagiełłowie podnieśli do szczytu szczęśliwości, potęgi i chwały, a wielkość jej póty dotrwała tylko, póki nie znikła potęga władzy królewskiej... Nie królowie to byli złego przyczyną (w Polsce), tylko »sobkostwo obywatelskie«, nie królewskość, tylko republikanizm. Sobkostwo to obywatelskie, republikańskie, o własne, osobiste mienie dbałe, a na dobro i potęgę ojczyzny bezwzględne«.

O ile chodzi o wartość historyczną głównego dzieła Morawskiego to ma ono ją po dziś dzień, a zwłaszcza jej tomy V i VI, w których autor opisuje czasy Stanisława Augusta i dzieje porozbiorowe. Składa się na to przedewszystkiem charakter materyału źródłowego i wogóle informacyj, na których się opierał autor. Morawski korzysta przedewszystkiem bardzo sumiennie z dawnych druków (nadaje to specyalną wartość jego książce już od wieku XVII, następnie — z wydawnictw i opracowań naszych i obcych. Jak pracowicie zbierał on te źródła, świadczy choćby jego bibliografia powstania Kościuszkowskiego, ogłoszona w »Kronice emigracyi polskiej«. Następnie korzysta Morawski obficie ze źródeł rękopiśmiennych i z żywej tradycyi. Jednem np. z takich źródeł były zbiory ks. Czartoryskich, w znacznej mierze spożytkowane; korzystał też historyk z opowiadań ustnych ks. Adama Czartoryskiego. Niewątpliwie wpłynęły one na zbyt optymistyczne przedstawienie usiłowań reformistycznych Czartoryskich, ich stosunku do Stanisława Augusta, zupełnej abnegacyi w sprawie korony dla siebie etc. (por. t. V str. 22, 23, 27, 29; porówn. jednak krytykę postępowania ks. Michała w sprawie odrzucenia myśli przymierza zaczepno-odpornego z Rosyą). Z drugiej jednak strony dzięki nim Morawski zdołał tak trafnie ocenić sytuacyę r. 1805 (t. VI str. 55) tak ściśle, tak zgodnie z dzisiejszym stanem badań określić stanowisko mocarstw wobec sprawy polskiej na kongresie wiedeńskim (t. VI str. 199—203). Ślady tych informacyj osobistych ks Adama spotykamy na każdym kroku (t. VI, str. 71 o akcyi ks. A. Radziwiłła w r. 1807, str. 93 — o położeniu ks. Adama w r. 1807, o jego roli w r. 1813, str. 167, 177, 193 etc.) Korzystał nareszcie Morawski z rękopiśmiennych pamiętników Prądzyńskiego, Chrzanowskiego, z korespondencyi Piattolego ze Stanisławem Augustem, z informacyj — szeregu generałów i polityków, z którymi żył bliżej na emigracyi. To też już od czasu Sejmu Czteroletniego spotyka się u niego szereg wiadomości, których nie znajdzie się gdzieindziej, a zawsze — dowodzi tego bliższe zbadanie sprawy — ścisłych i pewnych. Najciekawsze, najżywsze karty swej pracy poświęcił historyi legionów i Księstwa. Ileż tu szczegółów cennych, ile sądów spokojnych a trafnych, że wymienimy choćby sąd ogólny o roli legio-

nów (t. VI str. 46), o polityce polskiej Napoleona (str. 62), o stanowisku Kościuszki w r. 1806 (65), o zachowaniu się korpusu austryackiego w r. 1812—1813 (169), o położeniu ks. Józefa w r. 1813 (172—176). Są to rzeczy, które późniejsza historyografia rozwinęła tylko, uzupełniła, zachowując w zasadzie sąd i oświetlenie Morawskiego. Od 1814 r. ramy opowiadania rozszerzają się, autor staje się wymowniejszym, książka jednak nabiera przez to charakteru pamiętnikarskiego, a zarazem i polemicznego, stając się przez to źródłem innego rodzaju, niemniej jednak zawsze wartościowem. Tak być zresztą musiało: nawet po wielu, wielu latach trudno się było zdobyć na spokój, pisząc o zawodzie nadziei z r. 1830—1831. Trudno się też dziwić, że Morawski nie mógł spokojnie mówić o Chłopickim (porównaj str. 349 - 395), o Gurowskim i Mochnackim (331—350, 422, 429, 474), Dwernickim (368), Zaliwskim (402, 403), — objektywnie o roli Kaliszan (str. 326, 339). Musiał on zresztą pisać te karty z pewnem zacięciem polemicznem, gdyż świetna książka Mochnackiego była w rękach u wszystkich, zacierając nawet w umysłach uczestników powstania istotne wspomnienie rzeczywistości.

BIBLIOGRAFIA.

1) »Coup d'oeil sur la Pologne, geographique, historique et litteraire« Paris 1843, 8-o. 2) »Dzieje narodu polskiego«. Rys dziejów porozbiorowych (1796—1834). (Poznań, Żupański 1870). 3) »Dzieje narodu polskiego w krótkości zebrane dla matek i niższych nauczycieli«. T. I—VI. (Drezno 1871—1872). 4) »Moje przygody«. Ustęp z pamiętników T. M. (»Czas« Kraków 1873). 5) »Gazeta codzienna«. (Warszawa 1818 str. 14, VI, 1819). 6) »Sur les intentions de la derniere révolution polonaise à l'egard des paysans«. Extrait de la Tribune du 24 Juin (Paryż 1832) str. 8. 7) »Kronika XIX wieku«. Redaktorowie: Teodor Morawski i Bruno Kiciński. Zeszytów VII. Warszawa 1819. 8) »Letters of Poland«. (»Morning Chronicle« 1830). 9) »Quelques mots sur« l'etat des paysans en Pologne par un Polonais«. (Paryż 1833, str. 84). 10) »Odpowiedź na odpowiedź pp Chełmickiemu i Zwierkowskiemu« (Paryż 1843, st. 23). 11) »Orzeł Biały« (Warszawa 1. IX. 1819—1. X. 1820). 12) »Przymówienie się w Towarzystwie literackiem polskiem«. (Paryż 1840, str. 8). 13) »Powstanie Kościuszki«. Rzecz wyjęta z »Kroniki emigracyi polskiej«. (Paryż 1838). 14) »Réclamation au sujet d'une notice sur le Général Skrzynecki par M. Gurowski« (inserè dans le Cabinet de lecture du 29 Mai). (Paryż 1832, str. 8, 8-o). 15) »Au redacteur de la Tribune« (przeciw Krępowieckiemu względem włościan w Polsce. Paryż 1843, fol. str. 2). 16) »Rozmowy tułackie« (Paryż 1843, str. 99, 8-o). 17) »List otwarty do »Gazety Narodowej«. (Kraków 1878).

O Teodorze Morawskim pisali: 1) Zaleski Br.: »Teodor Morawski« (»Czas« 1879 nr. 283—284). 2) Władysław Chodzkiewicz: »T. Morawski« (»Tyg. illustr.« 1880 nr. 217). 3) Stanisław Tarnowski: »T. Morawski« (nekrolog) (»Przegl. polski« 1879 t. II). 4) Karol Forster: »Odsłona przeszłości«. Berlin 1879. Porówn. jeszcze: 1) S. Askenazy: »Łukasiński« (szereg nieznanych szczegółów — oraz ustępy; 2) z rękopiśmiennego pamiętnika). Ossowski: »T. M.« (Album biograf. sławnych Polaków i Polek XIX w. II).

»Dzieje narodu polskiego«

w krótkości zebrane, tom VI »Polska pod obcem panowaniem«. Poznań 1872.

Podajemy ustęp, przedstawiający działalność legionów polskich w latach od 1799—1801 (str. 35—46).

927) *[Str. 35—46].* Generał Joubert, który miał sobie powierzonem urządzenie sił rzeczypospolitej, powołał Kniaziewicza i jemu poruczył utworzenie czterech batalionów po 1200 ludzi, jednej kompanii artyleryi konnej, jednej pieszej i pułku jazdy. Jest pismo Kniaziewicza (21 maja 1799 r.), w którem, aby otrzymać zaręczenia dla ojczyzny, przekłada, że nie mógłby się podjąć niczego bez otwartego upewnienia wyraźnych dla niej korzyści: inaczej (mówi) bałby się być posądzonym o podłe żołdownictwo, o powoływanie rodaków do ofiar dla własnych, osobistych widoków. Oczywiście, natchnęło Kniaziewicza smutne wrażenie, jakie powziął z dopiero słyszanych przemów publicznych, wszelkie wspomnienia o Polsce pomijających. Nie szczędzono mu teraz najpiękniejszych oświadczeń. Mówiono, że nawet znajdzie się sposób na wyswobodzenie (za nagrodą) części zajętej przez króla pruskiego, chociaż tenże spółkę ze sprzymierzeńcami porzucił. Kniaziewicz przybrał sobie do pomocy pułkownika Gawrońskiego, towarzysza swego Drzewieckiego i świeżo przybyłego z kraju Fiszera Stanisława, adjutanta Kościuszki pod Maciejowicami. Rozpoczęło się tworzenie nowej legii we Falcburgu. Z cisnącej się młodzieży, między którą znaleźli się Sokolnicki i wsławieni później Suchorzewski, Sierawski, Jerzmanowski, Zdzitowiecki, tudzież z jeńców austryackich zebrało się wkrótce więcej nad dwa tysiące ludzi. Nie było czem

odziać żołnierza, nie było i obuwia. Przeprowadzając batalion swój do Metz, Drzewiecki dla przykładu zdjął buty i boso po grudzie z nogami zakrwawionemi odprawił pochód. Tylko więc dawne legie stanęły do nowej walki.

Połączyli Austryacy z Moskalami we Włoszech nad Adygą sto tysięcy wojska. Wódz francuski, generał Szerer, ledwie zebrał 30.000. Strzeżąca Mantui druga legia pod Wielhorskim, podzielona między generałów Montrichard, Delmas i Victora, dobyła pierwsza oręża pod Legnano (26 marca). Odznaczyli się: Rymkiewicz, Kosiński, Zagórski, Regulski, Bogusławski; legło 17 oficerów, 750 żołnierzy, między nimi, z bagnetem w ręku, siedemdziesięcioletni starzec, Darowski, pułkownik w powstaniu Kościuszki, tu szeregowy. Dyrektoryat paryzki oświadczył osobnem pismem zadowolenie swoje legii. W drugiem spotkaniu, pod Magnano (5 kwietnia), stracił życie, z wielu innymi, śmiertelnie ranny Rymkiewicz; »Czemuż nie na własnej ziemi!« — westchnął z rozpaczą, umierając w Medyolanie. Z jezuity żołnierz, mianowany właśnie generałem na polu bitwy, obiecywał i on Polsce znamienitego wodza. Jak poprzednie, tak i to starcie było niezmiernie krwawe. Z czterech blisko tysięcy połowę straciła legia; reszta cofnęła się do Mantuy (9 kwietnia), gdzie jenerał Foissac-Latour powierzył jej obronę szańców (Migliaretto). Rymkiewicza zastąpił Kosiński; dowództwo batalionów otrzymali: Królikiewicz, Mościcki, Woliński.

Dąbrowski, który wyprawił był Wybickiego do Szerera z odnowieniem planu podanego dwa lata wpierw Bonapartemu, odbiera w odpowiedzi rozkaz przyspieszenia pochodu na pole walki. Zebrawszy więc legię pierwszą w Terraczynie (24 kwiet.) pobiegł z nią naprzód. Środkowe Włochy były w powstaniu; trzeba było przedzierać się przez nie jak przez kraj nieprzyjacielski. Znowu w dzień 3 maja weszły legiony polskie do Rzymu. Pod Arezzo (14 maja) zginął Chamand, który po Kniaziewiczu wziął był legię pierwszą. Srodze pomścili śmierć jego legioniści. Dowództwo po nim zajął Forestier, jak tamten, pochodzenia francuzkiego, ale równie Polak żarliwy. Ostatniego w dowództwie batalionu zastąpił Chłopicki. Staczając walkę po walce (pod Campoforte, Vezzano, Santa Vittoria), przybył nareszcie na pole nieuniknionej bitwy, nad Trebię.

Już wojsko generała Szerera pobite było nad Adygą. Pomnożona półbrygadą francuską, tworzyła legia Dąbrowskiego piątą dywizyę na lewem skrzydle armii. Naprzeciw niej rozwinęła się Moskwa Suworowa. Z nieopisaną zawziętością walczono z obu stron dni trzy (17, 18, 19 czerwca). Legia straciła tysiąc pięćset ludzi w zabitych i rannych; ale zabrała nieprzyjacielowi 600 niewolnika. Dąbrowski, ranny, stracił dwa konie; od niewoli uratowali go dzielni legioniści Biernacki Józef i Sztuart. Prócz tych odznaczyli się walecznością i talentem: Chłopicki, Kaz. Małachowski (major artyleryi w powstaniu Kościuszki), teraz szef batalionu, i drugi szef batalionu Konopka; pojmany Forestier umarł z ran w niewoli austryackiej (we Węgrzech).

Nastąpiła chwila wypoczynku, naznaczona kapitulacyą (28 lipca 1799 r.) Mantuy. Tu, przy Wielhorskim, odznaczyli się: Kosiński, Dębowski, Modzelewski, Mościcki, Kobylański, Woliński; z artyleryi Aksamitowski, Jakubowski, Hauke, Redel, Hornowski, Miller, Falkowski. Czechowski. Okryła się chwałą legia, szczególniej przy większych wycieczkach 8 maja, 12 i 24 lipca; dłonią własną usypała szaniec św. Jerzego, »ulubioną swoją osadę«, której do upadłego broniła. Walka, choroby, tak wytępiły ją w ostatku, że pozostawało już tylko około ośmiuset ludzi. Ani wszelako sarkała na trudy, ani ją skaziło zbiegostwo, liczne nawet między Francuzami. Przy kapitulacyi wódz austryacki, mściwy Kray, zapewnił sobie artykułem dodatkowym, tajemnym, »zwrot zbiegów swoich do właściwych batalionów«, zaręczono im tylko życie. Wyprowadzono nasamprzód Francuzów, aby nie byli świadkami sromoty, którą okrył ich przywódzca, a którego towarzysz, zacny generał Berthon, odmówił z tej przyczyny podpisu na kapitulacyi. Austryacy rzucili się na bezbronnych legionistów: nie było obelgi, którejby nie dopuścili się. Generałów Wielhorskiego i Kosińskiego pojmali gwałtem, wbrew wyraźnym zaręczeniom. Ocalało stu pięćdziesiąt legionistów, przebranych w mundury francuskie, których Aksamitowski z Mościckim powiedli do Lugdunu: reszta wtłoczoną została w szyki nieprzyjacielskie; oficerowie wziąć musieli kamasze. Nie stłumiło i to patryotyzmu narodowego. Sponiewierani legioniści uciekali z obozu nieprzyjacielskiego, wiodąc za sobą nowych zbiegów, Polaków i Rusinów, niezrażonych bynaj-

mniej losem, który spotkał tamtych; daremne były pałki, rozstrzelania, wieszania schwytanych. Gdy, prócz tego, co weszło było z Polaków do legii rzymskiej, wróciło teraz do braci, wzrosła prędko legia pierwsza do 2300 ludzi. Forestiera zastąpił Strzałkowski; bataliony otrzymali Dembowski (drugi), Downarowicz; strzelcy po Chłopickim dostali się Borowskiemu i z poważną znowu siłą wyruszył Dąbrowski (11 sierpnia) pod Novi. Lecz zaledwo przybył do Arquato, którą mieścinę bagnetem zdobył, spotkała Francuzów nowa klęska: pod Novi legł naczelny wódz Joubert, co zastąpił niezdolnego Szerera. Poniósł i nieprzyjaciel wielkie straty. Wojna przybrała chwilowo mniejsze rozmiary. Staczano tylko drobniejsze utarczki, w których (pod Novi, Bosio) nie przestawali odznaczać się Polacy; pod Bosio (24 paźdz.) zabrali nieprzyjacielowi dział cztery, jeńców sześćset: tom Szyllera na piersi ocalił życie Dąbrowskiemu. Dopiero Brune pod Bergen (19 września) a Massena pod Zürich (25 wrz.) przywrócili zwycięstwo chorągwiom francuzkim. Ostatnie wypadki przyćmiły sławę wojenną Suworowa. Po rzezi Pragskiej dała mu Katarzyna mieszkanie w pałacu Taurydzkim i służbę dworską; teraz spotkała go niełaska carska; nikt już w Moskwie nie wymówił jego imienia. Bohater umarł z rozpaczy.

Znikła legia druga, a utarczki zimowe z Barbetami, czyli góralami piemonckimi, jakkolwiek szczęśliwe, sprowadziły prędko legię pierwszą do ośmiuset ludzi; więcej niżeli bitwy, zniszczyły niepłatnych i nieodzianych zimno i głód; oficerowie jak żołnierze dostawali tylko po pół racyi chleba. Co pozostało, wcielił do korpusu swojego generał Suchet: szefostwo legii objął Białowiejski.

Tymczasem nierząd i klęski sprowadziły nową rewolucyę we Francyi. Bonaparte, wróciwszy nagle z Egiptu, wyniósł się na konsula rzeczypospolitej. Między tymi, co w chwili stanowczej (18 Brumaire) zasłonili go przed podniesionymi sztyletami w Izbie pięciuset, był Polak, Szalcer: nie wspominają o tem dziejopisarze. Ministrem wojny został przychylny Polakom Berthier, który poznał ich we wojnie rzymskiej. Ucieszone szczęśliwą zmianą szczątki legii włosko-polskiej, zebrane w Ovada, złożyły miesiąc żołdu Dąbrowskiemu na podróż do Paryża (2 grudnia). »Jedź — błagano go — upomnij się za nieszczę-

śliwą naszą ojczyzną«. Dąbrowski zostawił dowództwo Jabłonowskiemu. Bonaparte przyjął uprzejmie woda polskiego i zapewnił, że »świadomy czynów i zachowania się legii, nie przestanie mieć w pamięci losu walecznych towarzyszów jego, których umiał oceniać poświęcenia; że liczy na nich i że będzie przyjacielem i kolegą każdego«. Niebawnie porównał prawa wojskowych polskich z francuskimi; weteranom i inwalidom polskim otworzony przystęp do wielkiego szpitala inwalidów w Paryżu. Dąbrowski otrzymał (27 kwietnia 1800 r.) upoważnienie do utworzenia siedmiu batalionów piechoty i batalionu artyleryi; Karwowski z Grabińskim naznaczeni szefami nowych półbrygad (pułków); jazdę Karwowskiego rozkazano Rożnieckiemu odprowadzić do legii Kniaziewicza, który, wsparty od Kościuszki funduszami z kraju, tak przecie był już uzbrojony, że mógł zająć szaniec przedmostowy w Kehl nad Renem (maj).

Już też dla Dąbrowskiego Aksamitowski zebrał w Lugdunie 285 ludzi. Dąbrowski założył w Marsylii główną kwaterę swoją (24 maja); po ściąganie żołnierza udali się gdzie były zakłady jeńców wojennych: Konopka do Lille, Grabiński do Dywijonu. Potrzeba było czasu do organizacyi. Tym razem przeto, z kolei, na Kniaziewicza, którego siły urosły do 3.500 głów, przypadło bronić chorągwi narodowej. Przywodzili przy nim batalionom: Fiszer, Walewski, Wasilewski, Drzewiecki; jeździe Turski Sarmata; pod nim Zajdlic, Rożniecki, Berko Josiełowicz; artyleryi Redel. Odznaczały legię kurtki granatowe z karmazynowymi wyłogami. Polecono jej bronić mostu pod Kehl a wycieczkami trapić nieprzyjaciela. Z przeciwnej strony występował zręczny partyzant w austryackiem wojsku, Polak także, hr. Mier. Walczącego z taką ochotą przeciwko własnym rodakom chciał skarcić Fiszer; lecz za daleko zapuściwszy się, sam wzięty został pod Altenburgiem; zastąpił go Sokolnicki. Przyszły nowe rozkazy. Za odpartym od Renu nieprzyjacielem, gdy posunęły się naprzód wojska francuskie, przełożony Kniaziewiczowi generał St. Suzanne obrócił się ku Frankfurtowi. Nowa legia udała się za nim i okazała się godną poprzedniczek swoich. Wsławiły ją niebawnie: Hattersheim, Hôchst, Offenbach, Hochstadt (19 czerw.). W Offenbachu z wielkiem podziwieniem spotkała osadę polską, która do jej opieki odwołała się, a potem go-

ścinnie rodaków swoich przyjmowała: byli to Frankiści polscy, którzy tamże apostoła swego otaczali. Kapitulował Frankfurt. W tej samej chwili Bonaparte spuszcza się przez Alpy do Włoch, odnosi wielkie zwycięstwo pod Marengo (14 czerw.) i wyswobadza znowu Lombardyę. Dąbrowski miał już z czem wyprawić do Medyolanu Grabińskiego i Aksamitowskiego; powiódł ich adjutant jego, Hauke. Wysyła zatem Wybickiego z błaganiem do Bonapartego (7 lipca) o pomoc, aby mogli Polacy »skruszyć kajdany, w których jęczała ojczyzna, albo umrzeć za nią«. — Pragnął Dąbrowski, aby wszyscy legioniści połączyli się przy legii Kniaziewicza i aby korpus ich pomnożony Francuzami do 20 lub 30.000 obrócił się na Czechy i Morawię, a poruszywszy miejscowe ludy do powstania, podał rękę Galicyanom. Wyswobodzona część narodu, mówił Dąbrowski, stanie przy swoich prawach; Francya przy układach pokoju będzie miała oczywistą sposobność do upomnienia się za pokrzywdzonym. Dąbrowski nadstawiał szlachetnie do przywództwa Kościuszkę. Właśnie jeden z młodszych patryotów, Alojzy Orchowski, przywiózł ostatniemu pożądane wiadomości z kraju, od wysłanego do Litwy Rom. Giedroycia, od Trzecieskiego, Leszczyńskiego, gotujących powstanie po całej Polsce. Ze swej strony Kniaziewicz podawał myśl wylądowania w Libawie i Windawie. Zawiesza znowu nadzieje rozejm (15 lipca). — Kniaziewicz otrzymuje rozkaz strzeżenia Philipsburga. Gdy wyszło zawieszenie broni (26 listop. 1800 r.). Dąbrowski, zostawiwszy zakład marsylski Wielhorskiemu (który wrócił z niewoli wedle warunków ostatniego rozejmu), już sam był w Medyolanie (3 paźdz.) na czele 5000 piechoty z artyleryą. Kniaziewicz, przydzielony do wojsk generała Moreau, posunął się za nim do Bawaryi. Tu przychodzi do stanowczej bitwy pod Hohenlinden (2 grud.) Prawem skrzydłem dowodził generał Decaen; pod nim w przedniej straży (pod Ebenberg) była legia Kniaziewicza. Generał Richepanse miał z tej strony przedrzeć się przez lasy i z tyłu na nieprzyjaciela uderzyć; od tego ruchu, któremu stały na przeszkodzie wielkie trudności, zależał los bitwy. Dokazał swego Richepanse; ale nie mniejszą zasługę miała legia, która, poświęciwszy się na bój nierówny, zatrzymała dzień cały nieprzyjaciela i ułatwiła tem sprawę generałowi francuzkiemu. Odznaczyło się szczegól-

niej dwóch walecznych: jeden, Kostanecki, ze sześciu ułanami zabrał sześć dział; drugi, Pawlikowski, we dwóch pojmał 57 niewolnika; zaświadczyły im to honorowe karabiny. Los wojny rozstrzygnionym został. Kniaziewicz pierwszy przechodzi Inn pod Mühldorff (9 grudn.), okrywa się chwałą pod Lauffen przy przejściu Saltzy (13 grudn.) i walcząc jeszcze pod Wels (20 grudn.) i Linz, nie popuszcza już nieprzyjaciela, aż do Kremsmünsteru, do miejsca »gdzie świadczy kamień o wybawieniu chrześcijaństwa od Jana III«. Pod Lauffen wzięty książe Lichtenstein wymieniony został za Fiszera, któremu wrócono batalion, zachowany dlań przez szlachetnych towarzyszów broni.

Drogi w głąb Austryi znowu były otwarte. Zajęty pod Ferrarą, cieszył się Dąbrowski, że nareszcie zamiary jego przyjdą do skutku. Szyki jego urosły już do siedmiu tysięcy. Ale zamiast nad Ren, otrzymał przeznaczenie (24 grudn.) do strzeżenia twierdzy Peschiera w Lombardyi, a nazajutrz stanął już nowy rozejm nad Renem. Białowiejski, Grabiński, Chłopicki, okryci ranami, ledwie mieli czas brzeg rzeki Mincio (28 grudn. 16 styczn.) oczyścić. Oczyścili je bagnetami; była to broń zwykła legionistów.

Jabłonowski, wyprawiony nad Po, ledwo też uśmierzył miejscowe rozruchy, gdy rozejm nadreński rozciągniony został do Włoch (16 styczn.), Peschiera była już w ręku zwycięzców. Dąbrowski odebrał przeznaczenie do strzeżenia Mantuy; Karwowski poszedł pod Ferrarę.

Rozpoczęte układy obudziły wielkie nadzieje między Polakami. Moreau pisał do Kniaziewicza, że »ludzie, którzy walczyli z takiem odznaczeniem się, powinni być przekonani o szczerej życzliwości rządu, któremu służyli«. Opowiadał Kniaziewicz: Na umówionej owego czasu w Paryżu biesiadzie, na której znajdowali się najznakomitsi z Polaków, senator Garat wytoczył rzecz o wskrzeszeniu Królestwa Polskiego. Na słowo »Królestwo« wzdrygnął się Kościuszko. Kniaziewicz przypomniał mu, z jakim zapałem niegdyś, w Międzybożu, wykonał i jemu wykonać kazał uroczyście przysięgę na monarchiczną ustawę 3-go Maja. Głoszono w istocie, że Francya porozumiewała się z Pawłem względem wyniesienia na tron polski jednego z synów jego, przedstawionego niegdyś od samychże Polaków, w. ks.

Konstantego; mówiono i o arcyksięciu palatynie Węgierskim. Król pruski, jak twierdzono, miał otrzymać Hanower za swoje posiadłości polskie; Moskwie dostać się miał Konstantynopol, cesarzowi Bułgarya i Bawarya. Rozległ się odgłos radości po całej Polsce: »widziano mieszkańców Warszawy klękających po ulicach«, wznoszących do niebios modły dziękczynień. Ale znikły prędko złudzenia.

Pokój, podpisany w Lunevilu (9 lutego 1801 r.), pominął znowu wszelkie wspomnienie o Polsce. A umizgi rzeczypospolitej do Pawła I. zapowiedziały wnet zgodę . . . . . Bonaparte odesłał mu ślicznie przybranych jeńców, a podobno chciał zrobić toż samo z legionistami.

Opracował WACŁAW TOKARZ.

CXXIV.

MORACZEWSKI JĘDRZEJ.

(1802—1855).

Prawnik i ziemianin z zawodu, jednocześnie historyk, publicysta i literat, z pobudek społecznych i patryotycznych, swego czasu jedna z najpopularniejszych osobistości w Wielkopolsce, należał Moraczewski do grona kierowników opinii publicznej, a dom jego w Poznaniu, między r. 1840 a 1850, gromadził wszystkich żywiej czujących i myślących i skorych do pracy literackiej i społecznej. Urodził się w Dusinie pod Gostyniem 4 lutego r. 1802. Nauki pobierał w Poznaniu, a ukończył je w szkole wojewódzkiej w Kaliszu r. 1822. Studya prawne i filozoficzne odbywał przez czas pewien w Lipsku i Heidelbergu. Powróciwszy do stron rodzinnych, oddawał się pracy nad poznaniem historyi i literatury ojczystej, tłumaczył poezye Tybulla i pisywał artykuły do czasopism poznańskich. W r. 1827 przybył do Warszawy i wstąpił do uniwersytetu na wydział prawny, głośny wtedy wykładami Hubego i Maciejowskiego. Po roku uzyskał stopień magistra, poczem rozpoczął praktykę urzędniczą w Komisyi Spraw Wewnętrznych Królestwa Polskiego. Wkrótce jednak przerzucił się do sądownictwa. W domu referendarza Chłędowskiego, któremu pomagał w wydawnictwie »Dziennika Powszechnego«, zetknął się z wieloma późniejszymi działaczami z r. 1831. Przez nich po wybuchu powstania został wysłany do Niemiec, celem poruszenia opinii publicznej i pozyskania moralnego poparcia dla sprawy polskiej. Działalność swą rozwijał głównie w Lipsku, siedlisku literatów niemieckich, tudzież Dreznie, Norymberdze i Hamburgu. Nawiązywał stosunki z publicystami, literatami i redaktorami gazet liberalnych, udzielał im objaśnień i sprawozdań. Dla sprawy polskiej pozyskał między innymi Ottona Spaziera, późniejszego historyka powstania listopadowego, a zabiegami swymi sprawił, że ukazało się w tym czasie w Niemczech wiele pism i broszur, poświęconych rozgrywającym się w Polsce

wypadkom. Po bitwie grochowskiej wrócił M. do Warszawy, lecz wkrótce wysłał go ponownie do Niemiec Rząd Narodowy dla zakupów broni. Załatwiwszy w Strasburgu zamówienia na dalsze dostawy, z końcem kwietnia r. 1831 wrócił M. i jako ochotnik, zaciągnął się do sandomierskiego batalionu strzelców pułkownika Grotusa.

Wraz z oddziałem swym uczestniczył w wielu ważniejszych potyczkach na terytoryum województwa lubelskiego, sandomierskiego i krakowskiego, pod Lubartowem, Iłżą, Kockiem i Lipskiem. W czasie oblężenia Warszawy znajdował się pod generałem Różyckim na północnym stoku gór Świętokrzyskich. Jedenastego września pod Kunowem otrzymano wiadomość o upadku Warszawy. Sześciotysięczny korpus Różyckiego, party przez przemagające siły, cofał się na południe i rozpraszał się przez dezercyę. Pod Pińczowem, gdzie oddział cały nocował, batalion Grotusa, otoczony przez dragonów rosyjskich, w znacznej większości dostał się do niewoli. Moraczewski, ranny ciężko w głowę, odstawiony był do Pińczowa, następnie do lazaretu lubelskiego, skąd po wyleczeniu miał być wysłany na Kaukaz. Umknąwszy z lazaretu, przedostał się do Warszawy i tu za pośrednictwem znajomego pułkownika rosyjskiego uzyskał potrzebne legitymacye, na mocy których mógł bezpiecznie opuścić miasto i granice Królestwa. W początkach listopada r. 1831 był już w swej rodzinnej majętności, Zielądkowie pod Obornikami, gdzie zamieszkiwał do r. 1842. Uczestniczący w powstaniu r. 1831 Wielkopolanie byli o tyle szczęśliwsi od współbraci z innych dzielnic, że nie potrzebowali tułać się po świecie, a w swej prowincyi, przy względnie łagodnym jeszcze systemie rządów pruskich, mogli pracować dla społeczeństwa, któremu wtedy przewodniczyli w życiu tacy ludzie jak Marcinkowski, Libelt, Niegolewski, Bentkowski, Działyński i wielu innych żołnierzy z r. 1831. Współcześnie z nimi M. z całą energią wziął się do pracy społecznej. Wykształcony gruntownie, umysłowo zrównoważony, pełen pomysłów i ruchliwości, ze wszystkiego, czego się podejmował, wywiązywał się należycie. Z przekonań był umiarkowanym republikaninem, jako polityk z dziejów minionych brał zawsze wskazówki na przyszłość. W dziedzinie pracy społecznej zadanie swe widział w utrzymaniu nie pokalanego charakteru polskiego w mowie, piśmie i w czynach, w postępowaniu domowem, społecznem i politycznem. W tym kierunku był zawsze konsekwentny, strzegł, by nie mieszać się ani bratać z obczyzną, od zasad nie ustępować. W działaniach rewolucyjnych po r. 1831 nie uczestniczył, nie popierał ich, ale i nie zwalczał, choć w chwilach stanowczych udziału swego i usług nie odmawiał. Był w tej mierze kazuistą, uważając wszystko, co się działo, za logiczną konieczność rozwoju, za następstwo wypadków poprzednich, któremu byłoby bezcelowem się opierać. Nie słuchał Hegla, ale podzielał jego zdanie, że wszystko co było, tak być musiało. Wnosił stąd, że roboty ludzkie albo się utrzymają, jeżeli z czasu są i na czasie, albo wnet upadną, jeśli z potrzeby czasowej wypływają. Takiem obserwacyjnem wobec

życia stanowiskiem zrażał sobie niejednokrotnie ludzi, pomimo to posiadał wpływ na opinię i uważany był za wyrocznię w sprawach publicznych.

Po powrocie do domu podjął napowrót swe studya historyczne i prawne, a zarazem począł organizować okoliczne obywatelstwo. Chodziło mu o rozwijanie i wzmacnianie polskości. Za system działania przyjął umacnianie opinii polskiej drogą wyosobniania grup i jednostek z pośród bezwładnego ogółu. Popierał tedy i zakładał liczne koła towarzyskie, kasynowe i agronomiczne, mające na celu poznawanie się, oświecanie i wzajemne kształcenie przez urządzane w tym celu czytelnie, zjazdy i zabawy. Na ich gruncie działał Moraczewski słowem, wygłaszał odczyty, zachęcał do pracy obywatelskiej, wskazywał drogi. Wtedy też wziął się do wykonania dawniej powziętej myśli — zbierania i zachowania starożytności krajowych. Księstwo Poznańskie było kolebką kultury polskiej, całe usiane grodziskami i żalami z czasów przedhistorycznych. Brak ładu i porządku w zbieraniu zabytków skazywał je bądź na marnowanie, lub też na wędrówkę do niemieckich handlarzy i muzeów. Moraczewski, aby zapobiedz dalszemu niszczeniu zabytków, pozawiązywał we wszystkich powiatach koła archeologiczne, ustanowił komitety obywatelskie, napisał dla nich instrukcye, wydawał odezwy, pilnując umiejętnego sporządzania opisów pamiątek i gromadzenia ich w lokalach powiatowych. Wkońcu począł tworzyć centralny zbiór archeologiczny przy kole szamotulskiem, w którem sam pełnił obowiązki przewodniczącego. Jego staraniem przygotowano dwutomową pracę zbiorową p. t. »Starożytności polskie« w której większa część artykułów oraz cały dział o instytucyach jest jego pióra. W r. 1846 wszystkie towarzystwa, a z niemi i koła archeologiczne, uległy rozwiązaniu; zbiory rozproszyły się, przeszły w ręce prywatne.

Jako publicysta należał M. do redakcyi wszystkich lepszych pism peryodycznych w Wielkopolsce. W r. 1834 jest współpracownikiem świeżo założonego »Przyjaciela Ludu« i »Tygodnika Rolniczo-przemysłowego«, w r. 1838 objął dział historyczny w »Tygodniku Literackim«. Niebawem, wspólnie z Libeltem, dla silniejszego oddziaływania na opinię w duchu demokratycznym powziął myśl założenia spółki literacko-księgarskiej, która podjęła wydawnictwo »Dziennika Domowego«, mającego omawiać stosunki społeczne i domowe, i »Roku«, zamierzającego pod hasłem »Naprzód myśli narodowa« traktować najistotniejsze zagadnienia naukowego, politycznego i ekonomicznego życia narodów. W »Dzienniku Domowym«, wydawanym przez księgarza poznańskiego Kamińskiego, pisywał M. krótkie, dobitne, nieraz ostre i karcące artykuły wstępne. »Rok«, wychodzący pod jego redakcyą, przy czynnym współudziale Libelta, skupił około siebie najwybitniejsze siły obozu demokratyczno-ludowego i wespół z emigracyjnym »Demokratą Polskim« przyczynił się do wytworzenia programu poli-

tycznego tego kierunku. Ruch r. 1846 przerwał jego istnienie; »Dziennik Domowy«, uległ też zamknięciu.

Od początku piątego dziesięciolecia przebywał Moraczewski w Poznaniu. W letniem półroczu r. 1841 rozpoczął tu Libelt odczyty z zakresu literatury niemieckiej, w których okolicznościowo poruszał sprawy piśmiennictwa polskiego. Doznały one wielkiego powodzenia i stały się pobudką do utworzenia zaimprowizowanego uniwersytetu, który działalność swą rozpoczął w zimowem półroczu z r. 1841 na 1842. Obok Libelta, Małeckiego i Krotoskiego, pracował w nim Moraczewski, prowadząc wykłady o Słowiańszczyźnie i Polsce do XV w. Zimą następnego roku wznowił on swe prelekcye, ale z powodu rozchwiania się całej organizacyi, na krótko tylko. W tym czasie wskutek sprzedaży majątku przeniósł się M. do Poznania na stałe. Istniał już wtedy Bazar, zbudowany staraniem Marcinkowskiego, przeznaczony na ognisko przemysłu i handlu polskiego; istniało też Towarzystwo Naukowej pomocy, do dyrekcyi którego M. należał. Nawiązawszy stosunki z mieszczaństwem, rozwinął na tym gruncie rozległą działalność. Zachęcał do zakładania Kas oszczędności i wzajemmej pomocy, dopomagał przy tworzeniu kasy pożyczkowej, starał się o urządzenie banku kredytowego, układał regulaminy, pisał ustawy stowarzyszeń. Wybrany na reprezentanta gminy Poznania, wszedł do rady miejskiej w czasie, kiedy już przedstawiciele narodowości niemieckiej i żydowskiej przeważać w niej zaczęli. Mimo to umiał zjednać sobie taką powagę, że władze pruskie niejednokrotnie zasięgały u niego informacyi.

Stosunki M. z obozem demokratycznym, skupiającym się koło redakcyi »Roku« i przechylającym się ku radykalnym, rewolucyjnym hasłom, oziębiały się coraz bardziej, w miarę tego, jak wpływ Centralizacyi wersalskiej coraz wyraźniej parł istniejące w poznańskiem organizacye, filie Towarzystwa Demokratycznego, do rychłego wybuchu. M. w agitacyi i pracach spiskowych sprzysiężonych udziału nie brał, nie uczestniczył też w wypadkach r. 1846, dzięki czemu ominęły go następstwa nieudanego wybuchu: Moabit i Sonnenberg. Za to w r. 1848 jest on jednym z najenergiczniejszych działaczy. Zasiada wtedy w Komitecie Narodowym zaraz po jego zawiązaniu. Sprzeciwia się do ostatka zamiarowi rozwiązania obozów pospolitego ruszenia, zagwarantowanych konwencyą jarosławską, a znalazłszy się w mniejszości, występuje z Komitetu. Od niego wyszedł projekt przygotowania »Rządu Tymczasowego Rzeczpospolitej Polskiej«, któryby w chwili stanowczej rozwiązał Komitet, mianował naczelnego wodza i przedsięwziął środki ku wyswobodzeniu całego kraju. Jego także pomysłem było zwołanie Kongresu słowiańskiego w Pradze, w przeciwstawieniu do ogólnoniemieckiego parlamentu we Frankfurcie. Dla realizowania tych projektów udał się na zjazd wrocławski, gdzie miano decydować o ustanowieniu trójzaborowej »Ligi polskiej«; na kongresie praskim należał do sekcyi polskiej. Stworzeniu

Ligi sam M. się sprzeciwił, gdy warunki uległy zmianie, a zamiary rozwinięcia powstania spełzły na niczem. Pragę opuścił na kilka dni przed rozpędzeniem kongresu, poczem skierował się do Frankfurtu, a następnie Paryża i Brukseli. Po czteromiesięcznej podróży wrócił do Poznania.

Zawiedzione nadzieje, klęski publiczne, wkońcu cierpienia fizyczne pozbawiły go optymistycznego poglądu na sprawy. Oddał się teraz całkowicie pracy nad wykończeniem »Dziejów Rzeczpospolitej polskiej«. Zawikłania na Wschodzie i zbliżająca się wojna krymska rozbudziły w nim na nowo zainteresowanie polityką. Choroba wszakże nękała go już coraz bardziej. Prowadząc mimo to wydawnictwo swoich »Dziejów«, zdołał ukończyć tom dziewiąty, obejmujący panowanie Jana Kazimierza, gdy nagła śmierć w dniu 20 lut. r. 1855 przerwała dalszą pracę.

Do zawodu dziejopisarskiego sposobił się M. przez czas dłuższy; badał prawo polskie, jeździł do Francyi i Szwecyi szukać materyałów. Zamierzył on ująć dzieje w całość organiczną. Skłaniały go do tego: fałszywy pogląd społeczeństwa na przeszłość, oraz chęć wyjaśnienia istoty rozwoju państwa polskiego. Podział kraju, klęski, emigracya i prześladowania kazały szukać przyczyn upadku w przeszłości, która pod wpływem monarchiczno-filozoficznych wyobrażeń w. XVIII, sprowadzających naszą historyę do walki swawolnej szlachty z bezsilnym królem, utrwalała w umysłach przekonanie, że wszystko, co naród uczynił, było złem. Zrehabilitować tę przeszłość dziejową było pierwszem zadaniem historyka. W rozwoju historycznym widział on odwieczną harmonię, której człowiek stworzyć nie może, ale potrafi ją odszukać, i ten ją posiędzie, kto zbada całość dziejów. Stąd płynęło drugie zadanie M., w rozwiązaniu którego poszedł drogą utartą już przez Lelewela, a narzucaną przez ducha czasu. Republikanizm uznał za ową prawdę dziejową, za pierwiastek, leżący w charakterze, obyczajach ludności i ustawach narodowych. Źródłem republikanizmu było gminowładztwo słowiańskie z właściwemi mu: równością i braterstwem. Pogląd ten został użyty do rehabilitacyi naszej przeszłości. Na gruzach gminowładztwa słowiańskiego powstało w Polsce gminowładztwo szlacheckie, które przez zachowanie ducha równości i braterstwa zapewniło Rzeczpospolitej potęgę w w. XV i XVI. Od w. XVII wzięły górę żywioły cudzoziemskie, i przez osłabienie naturalnych pierwiastków narodowych, przyczyniły się do rozkładu i upadku państwa. W ten sposób przeprowadzał M. swą tendencyę, w ten sposób »Dzieje« jego miały odegrać rolę uzdrawiającego w życiu narodowem czynnika. Wiedziony taką myślą, przystępował do pisania swej książki »z uczuciem dla prawdy, z czystem sumieniem, jak do komunii«. Za powinność też uważał, aby każdy Polak zastanawiał się nad przeszłością i z niej wyciągał rozumienie teraźniejszości i zadania przyszłości. Rozpowszechnienie dziejów ojczystych poczytywał za sprawę ogromnego znaczenia. Stąd napisał dla ludu »Opowiadania gospodarza Ję-

drzeja«, obejmujące całą historyę Polski, dla ukształconej zaś klasy ułożył podręcznik p. t. »Polska w złotym okresie«. Z widoku nie tracił nigdy zasadniczej swej idei — oczyszczenia dziejów od zarzutów. »Czas gromić tych — pisał — co każą kochać ojczyznę, a jej przeszłość potępiają; kto w naszych dziejach szuka błędów jedynie, ten się dorabia tylko od cudzoziemców pożyczonym rozumem, a własnego nie ma«.

Metoda historyczna M. z dzisiejszego punktu widzenia wiele naturalnie pozostawia do życzenia. Wzorem większej części pisarzy nie przeprowadzał on badań źródłowych, zadawalniał się wogóle streszczaniem i zestawianiem opowiadań kronikarzy, dodawał do nich własne uwagi i stawiał wypadki w świetle ogólnych poglądów, zgodnie ze swemi zasadami politycznemi. Wychodząc z założenia, że fachowiec cytat nie potrzebuje, a publiczność kontrolować nie będzie, nie podawał żadnych wyjaśnień; zaniedbał przytem podziału historyi na okresy i opowiadanie prowadził jednym ciągiem przez całe dziewięć tomów. Wadą też pracy jego jest archaiczny styl, wzorowany na języku okresu Zygmuntowskiego. To też dzieło jego nie zdobyło sobie popularności wśród ogółu, ani uznania u fachowców, zwłaszcza, że ukazało się ono w czasie reakcyi po r. 1848, w okresie stłumienia życia umysłowego. Pochwał nie żałował mu sędziwy Lelewel, uznanie wyrażali młodsi historycy, jak Gołębiowski, Malinowski i Bartoszewicz, naogół jednak »Dzieje Rzeczpospolitej« nie doczekały się uznania i wkrótce poszły w zapomnienie. Ostro krytykował je Maciejowski za pominięcie źródeł, później krytykował je znowu Koźmianowski »Przegląd Poznański« za niekatolickie stanowisko. W każdym razie przez ujęcie dziejów polskich w całość organiczną, o co po Naruszewiczu nikt się nie pokusił, położył zasługę w rozwoju naszej historyografii.

BIBLIOGRAFIA.

I. Pisma Jędrzeja Moraczewskiego. »Tybullus Albus. Elegie i wiersze, jako też inne, przypisywane Sulpicyi i innym«, Wrocław 1827. »Rok«, czasopismo, Poznań 1843—1846. »Dzieje Rzeczpospolitej Polskiej« (do Jana Kazimierza włącznie), tomów 9, Poznań 1843 do 1855, »Dzieje Rzeczpospolitej Polskiej«, tom I, wydanie drugie, Poznań 1851. »Dzieje Rzeczpospolitej Polskiej«, tom I i II, wydanie poprawione, Poznań 1862. »Dzieje Rzeczpospolitej Polskiej«, tomów 9, wydanie drugie, poprawione przez autora, Poznań 1864, »Starożytności Polskie«, 2 tomy, Poznań 1842—1852. »Wypadki poznańskie z 1848 roku«, Poznań 1850; toż samo p. t. »Pamiętnik Jędrzeja Moraczewskiego«, w tomie IV Leona Zienkowicza »Wizerunki polityczne dziejów państwa polskiego«, Lipsk 1865. »Opis pierwszego zjazdu sło-

wiańskiego«, Poznań 1848. »Polska w złotym wieku, przedstawiona wyimkami z dziejów Rzeczpospolitej Polskiej«, Poznań 1851. »Obrazy starożytnej Polski w XVI wieku« w czasopiśmie »Muzeum Czeskie«, 1854. »Opowiadanie gospodarza Jędrzeja podług starych ksiąg, jaka to dawniej była Polska i jacy byli starzy Polacy«, 3 tomy, Poznań 1850—1854. »Jezuici w Polsce. Rys historyczny«, Paryż 1851. »Dialogiczna gramatyka francuska dla Polaków na sposób Ollendorfa obrobiona«, 2 części, Poznań 1854; drugie wydanie, Poznań 1862. »Sendschreiben an Herrn Heinrich Wuthe, die polnische Frage betreffend, Leipzig« 1842 (dwa wydania w jednym roku). Ważniejsze artykuły historyczne: 1) »O Żydach«, »Tyg. Lit.«, 1841, IV. 2) »Wielu historyków mylnie pojmuje rząd za Piastów«, »Tyg. Lit.«, 1838, nr. 20 i 1842, nr. 51. 3) »Jeszcze o monarchizmie starożytnej Polski«, »Tyg. Lit.«, 1838, nr. 40. 4) »Głosowanie w obradach polskich«, »Tyg. Lit.«, 1839, II. 5) »Wywód historyczny szlachectwa polskiego«, »Tyg. Lit.«, 1839, II. 6) »Kilka słów o szczególnem stanowisku piśmiennictwa polskiego«, »Rok«, 1843. 7) »Rzut oka z historyi nad stanem Słowian«, »Rok«, 1843. 8) Pogląd na dzieje Słowian«, »Dz. Dom.«, 1842, III.

II. Prace o Jędrzeju Moraczewskim: »Żywot Jędrzeja Moraczewskiego przez Karola Libelta i zdanie Joachima Lelewela o Dziejach Rzeczpospolitej Polskiej Jędrzeja Moraczewskiego«, Poznań 1855. »Jędrzej Moraczewski, wpomnienie pośmiertne« (Kazimierza Jarochowskiego), Poznań 1855; tenże o M. w »Literaturze poznańskiej«, Poznań 1880. Dr. Otto Spazier »Ost und West«, Stuttgart 1835. A. Maciejowski w »Bibl. Warsz.«, 1848, II i w »Orędowniku«, nr. 32.

Dzieje Rzeczypospolitej Polskiej z początku siedmnastego wieku.

Księga dwudziesta druga.

VIII.

928) *[Str. 100].* Szlachcic polski XVI wieku duszą i ciałem republikanin, a pojęcia bystrego, czuł wysoko swą godność osobistą, dbał o dobre imię, o sławę, nawet u potomności, a dlatego żył według przepisów religijnych i według prawa, które sam sobie stanowił. Szanował króla z uroku jego potęgi i dla krwi wyższej, ale też że go sam nad sobą jako najwyższego zwierzchnika stanowił. Wtedy szlachcica cechowało jeszcze

i posłuszeństwo, ten najostateczniejszy węzeł społeczny, a późniejszej szlachcie polskiej ledwie znany.

Że wpływ w narodzie osiągało się nietylko znaczeniem i dostatkami po przodkach, ale także własną cnotą i własną zdolnością, przeto każdy ojciec baczył na postępki syna, i syn na samego siebie, a wszyscy dbali o wykształcenie i wyższą oświatę.

Kto ze szlachty źle broił i był ciemny, ten to znał do siebie za wadę i z pewnością zalety z tego nie szukał. Rząd republikancki stoi na cnocie, i wierzono w Polsce w cnotę, a o ile tylko duch czasu pozwalał, prześcigano w niej inne narody.

Że Polska leży na ostatnim krańcu przez kościół po Rzymianach odziedziczonej cywilizacyi i za pośrednictwem dopiero innych narodów przejąć ją i przyswajać sobie mogła, przeto koniecznością stał się związek ścisły Polski z zachodem Europy, a tej to przyczynie przypisać należy, iż Polacy w XVI wieku tak bardzo się starali o znajomość obcych języków. Prócz łacińskiego i greckiego, których po szkołach i w akademiach nabywano, dzieci pańskie, a przy nich młodzież szlachecka u nauczycieli cudzoziemców ćwiczyli się po domach we włoskim, niemieckim i francuskim, a przez pobyt w krajach zagranicznych dochodzili do wielkiej biegłości. Jeździła szlachta na obce uniwersytety, o czem poniżej.

Szlachta wtedy żyła już kolejno po sądach, sejmach, różnych urzędach, w wojsku i przy rolnictwie, a stąd zaopatrywała się we wyższe pojęcia praktyczne po bardzo rozlicznych stanowiskach, i czego gdzieindziej jeden człowiek nie był w stanie w książkach wyczytać, tego szlachcic polski w codziennem życiu doświadczał. Zamoyski był badacz starożytności, historyk, znawca obcych języków, wielki polityk i prawnik, mówca potężny, wyborny wódz wojska, dokładny administrator swego majątku, ale bywali i drudzy tacy, choć im szczęście tak jak jemu nie sprzyjało, i mniej są znani.

Z owego atoli pośredniego odbierania cywilizacyjnej puścizny po Rzymianach i zapatrywania się na cudzoziemczyznę zachodnią, wyradzały się naśladownictwo i dążność do wszechświadomości powierzchownej, a bez wielkiej pracy.

Kromer, niemiałki sam, poświadcza, że Polacy lekkim sposobem przychodzili do głębokich pojęć; świadczą to i cudzoziemcy i podziwiają bystrość polską. Pomagała oczywiście, jak powiedziano, owa rozliczna praktyka.

Wysoka oświata w stanie szlacheckim, a nawet miejskim, zdarzała się nietylko u mężczyzn, ale także u kobiet. Uczyły się po pańskich domach także obcych języków, a nawet dobrze po łacinie; u zakonnic zaś przynajmniej pisać, czytać i rozmaitych robót. W praktycznem życiu nawet największe panie były dobremi gospodyniami, a znały się należycie na kuchni, piekarstwie, apteczce, domowych lekarstwach, chodowaniu krów i cieląt, drobiu, na obchodzeniu się z lnem, na tkactwie i umiały różne roboty z igły i igliczek.

Szlachta jakkolwiek siedziała po wsiach, przecież tylko najuboższa i mniej oświecona zajmowała się rolnictwem, bądź na swoim kawałku pola, bądź na cudzej włości. Co zaś było w kraju potężniejszego, sprawie publicznej bardziej oddanego, uczeńszego, wyższych zdolności i w ogóle wznioślejszego, to jeździło ze sejmiku na sejm, sądy ziemskie, grodzkie, jednane (polubowne), podkomorskie, trybunały, komisye, lustracye, poselstwa zagraniczne, na wojny, a nareszcie uroczystości dworskie i różne familijne. Panowie, i szlachta ruchliwa z nimi, żyli na koniach w podróży i wojnie, a wreszcie po wielkich salach, na samych ucztach, przy grze, śpiewie, muzyce, tańcach i ciągle z puharem w ręku. Resztę czasu spotrzebowali na łowy z sieciami, psami, białozorami, sokołami i rarogami. Już to ich dobrego życia zazdrościć im warto.

Na ucztach łagodzono zaciekłość stronnictw politycznych, torowano drogi uchwałom sejmowym, wykształcano publiczną opinię o sprawach, zawiązywano stosunki przyjaźni, układano, ale też nienaturalnie sklejano małżeństwa, kłócono się i rwano do szabel. Można było i z tej przyczyny przyjść do wielkich nieprzyjemności, gdy kto wiele już napił, a że nie był w stanie, nie chciał pić więcej.

Grono pokrewieństwa i powinowactwa nie stanowiło już tak ścisłej całości, jak dawniej, ale blizki blizkiemu, choćby w dziesiątym stopniu, stawał w pomoc tak do obrony osoby, jak do obrony dobrej jego sławy. Dlatego w licznem towa-

rzystwie niebezpieczną było rzeczą mówić co złego o którymkolwiek szlachcicu, boby to zaraz jeden i drugi wziął za własną urazę i szablą odpierał.

Jurystowanie szlachty mnożyło w ciągu wieku XVI coraz bardziej sprawy sądowe, a spory graniczne trudno było pozacierać zgodami, lub stłumić wyrokami, i rozkrzewiło się jakby zaraza jakie wielkie pieniactwo.

Opracował TAD. KUPCZYNSKI.

CXXV.

ŁUKASZEWICZ JÓZEF.

(1797—1873).

Niestrudzony badacz dziejów różnowierców polskich i litewskich, jedyny w XIX w. historyk wychowania i szkół w Polsce, dziejopis miast i kościołów wielkopolskich, pochodził z szlachty ruskiej, której gałąź zubożała przeniosła się w XVIII stuleciu do Wielkopolski. Ojciec jego, Teodor, z urodzenia Galicyanin, uczestnik wyprawy Dąbrowskiego do WPolski, więziony, zrujnowany przez bankructwo Prota Potockiego, później rządca i dzierżawca w dobrach ks. Jabłonowskich, zmarł wcześnie, zostawiając żonę i dzieci w trudnych warunkach materyalnych. Młodszy z synów, Józef Andrzej, urodzony 30 listopada 1797 r. w Krąplewie pod Stęszewem (pow. poznański), nie mógł mimo zabiegów matki otrzymać wykształcenia systematycznego. W szkółce franciszkańskiej w Pyzdrach wprawił się nieco w łacinę, poczem oddano go do pastora Rothwieda w Bninie na dalsze wychowanie. Nowy nauczyciel, z rodziny niemieckiej zdawna w Polsce osiadłej, ale patryota polski, rozwijał w chłopcu charakter czysty a surowy, kształcił go w jęz. łacińskim i niemieckim i budził w nim zainteresowanie dla przeszłości dyssydentów polskich. Stąd przeszedł Łuk. do klas średnich gimnazyum poznańskiego, które zostawało pod kierownictwem Kaulfussa, znanego z życzliwości dla Polaków i rozległej wiedzy, i zamieszkał u profesora Szumskiego, gramatyka i księgarza-szperacza, którego zbiory obudziły w chłopcu zamiłowanie do literatury i bibliografii. Naukę, przerwaną z powodu trzyletniej choroby, ukończył w Kaliszu (1819), poczem zebrawszy nieco grosza na stanowisku nauczyciela u Żółtowskich w Ujeździe, wybrał się na studya uniwersyteckie. Uświadamiając sobie rodzaj własnego uzdolnienia, skierował się nie do Berlina, dokąd sława Hegla ściągała ówczesną młodzież poznańską, lecz do Krakowa, gdzie z całem zaparciem oddał się studyom źródłowym nad historyą, literaturą i bibliografią polską, a po

części nad filologią klasyczną i nowożytną. Przy szczegółowem badaniu archiwów, rzadkich druków i rękopisów, budził się w młodym pracowniku krytycyzm, zamiłowanie do prawdy historycznej, wstręt do frazeologii i szumnych uogólnień, nieopartych na faktach, a tak u nas modnych wówczas. »Upoetyzować faktów, wnikać w myśli skryte działaczy tych faktów nie umiem: za najwyższe stanowisko, do jakiego historyk wznieść się może, uważam czystą, niezamąconą żadnymi domysłami, bezwzględną prawdę« — wyznał później głośno (Bibl. warsz. 1857), charakteryzując metodę swej pracy całego żywota.

Jak większość pracowników naszych na polu historyi, tak i on zaczął od prób poetyckich. »Mrówka Poznańska« (1821—1822) i późniejszy »Weteran Poznański« (1825) zamieściły kilkanaście jego wierszy; są one bardzo mierne, wysmażone, niby dowcipne, w tonie i guście pseudoklasycznym, pełne niesmacznej mitologii (epigramaty, bajki, anakreontyki, ody np. do głupstwa, do złota), podobne do sąsiadujących z nimi w owych czasopismach płodów Miniewskiego, Żdżarskiego, Kurcewskiego i, jak one, godne zapomnienia. Jednakże już w »Weteranie« obok wierszy zamieszcza coraz to częściej notatki historyczne i archeologiczne, dotyczące rzeczy polskich; szperając po zbiorach krakowskich, przy pomocy życzliwego mu Bandtkiego, wynajduje różne rzadkości bibliograficzne, które budzą w nim zamiar pisania historyi protestantyzmu polskiego. Za poparciem Bandtkiego miał młody erudyta otrzymać posadę w Bibl. Jagiellońskiej, gdy wtem nowa znajomość otworzyła mu szersze pole działalności. Hr. Edward Raczyński, zamyślający wtedy o utworzeniu biblioteki publicznej w Poznaniu, upatrzył w nim przyszłego bibliotekarza i pomocnika w pracy wydawniczej. Na jego koszt zwiedza Łuk. przez dwa lata (1829 — 1830) miasta, kościoły i zamki województwa poznańskiego, kaliskiego i gnieźnieńskiego, biblioteki i archiwa Wrocławia, Gdańska, Królewca, Torunia, Elbląga, bada też zbiory niektóre w Król. Polskiem. Wycieczki takie i później często ponawia, a zwozi z nich zawsze plon zdumiewająco obfity, stając się wnet nieprześcignionym znawcą szczegółów bibliograficznych, antykwarskich, genealogicznych, żywą encyklopedyą rzeczy polskich.

Pod bokiem Raczyńskiego rozpoczął pracę różnokierunkową. Obok porządkowania i kierownictwa biblioteki (równocześnie objął posadę nauczyciela języka polskiego w gimnazyum protestanckiem i zarząd archiwum miejskiego, który sprawował do r. 1844), prowadził wszystkie wydawnictwa swego protektora, sypiące się jak z rogu obfitości; z pod jego rąk wyszło wydanie Paska, Kitowicza, Otwinowskiego, Albr. Radziwiłła, Sobieskiego, Wiganda itd., zbiorowe wydanie dzieł Czackiego i Ostrowskiego »Dziejów Kościoła polskiego«. Do »Biblioteki klasyków łacińskich« przełożył Kwintyliana i »Historyę naturalną Plinjusza starszego« — ogrom trudu z powodu tysiąca wyrazów technicznych, z którymi tylko wyborny znawca łaciny,

a zarazem terminologii starych przyrodników polskich, Falimirzów i Syreniuszów, mógł się uporać.

Równocześnie ogłaszał własne prace oryginalne, a nadto rozwijał żywą działalność publicystyczną, redagując kolejno szereg czasopism, dla których przez pewien czas utrzymywał drukarnię i księgarnię. Wraz z Janem Poplińskim, prof. gimn. w Lesznie, założył w r. 1834 na wzór ilustracyi angielskiej »Penny Magazine« tygodnik popularny, »Przyjaciel Ludu«, który od r. 1839 do 1845 sam redagował. Osobliwe to było czasopismo, wyróżniające się w dziejach prasy polskiej: zbiór ciekawych artykułów historycznych, biograficznych, archeologicznych, zawsze źródłowych. Pod względem politycznym tygodnik uprawiał abstynencyę: kierownicy usiłowali przedewszystkiem budzić miłość dla przeszłości polskiej i jej pomników nieocenieni konserwatorowie pamiątek i stróże czystości języka! Łukaszewicz wydobywał szczegóły barwniejsze z olbrzymiej skarbnicy swych wiadomości, dbał o ryciny, dziś rażące prymitywnością, lecz jakże drogocenne! Chcąc obok pisma popularnego stworzyć organ dla skupienia ruchu umysłowego i literackiego dzielnicy, założył Ł. w r. 1838 wraz z Ant. Poplińskim »Tygodnik Literacki« w Poznaniu, który tak wybitną odegrał rolę w dziejach naszej umysłowości owej doby. Jednakowoż skutkiem zatargów z Ant. Woykowskim, redaktorem odpowiedzialnym, a później faktycznym i wyłącznym »Tygodnika«, usunął się i w r. 1840 założył nowe czasopismo tygodniowe, »Orędownik Naukowy« (1840—1846).

Praca publicystyczna Łukaszewicza przypada na owe lata pamiętne, w których W. Ks. Poznańskie przodowało całej Polsce przez rozbudzony ruch umysłowy, społeczny i polityczny, podsycany stałym związkiem z emigracyą. Znaczna część inteligencyi Poznańskiego, na której czele stali Libelt i Moraczewski, hołdowała zasadom demokratycznym, stanowiąc obóz postępowy, wypowiadający się w »Tygodniku Lit.«, a później w »Roku« Moraczewskiego. Łukaszewicz, który politykiem nie był i określonych przekonań politycznych nie posiadał, jedynie wszędzie głosił potrzebę pracy pozytywnej, popadł w zatarg długoletni z obozem postępowym. Nie rozumiał dobrze celów swoich przeciwników, nie dowierzał ich metodzie, nie żywił zaufania do tego ruchu spiskowego, który przygotowywał akcyę polityczną roku 1846, a potem 1848 w Poznańskiem. Łukaszewicz stał na czele opinii jakoby konserwatywnej, niezorganizowanej zresztą i nie posiadającej żadnego programu, poza stanowiskiem negatywnem wobec dążeń demokratów. Konserwatystą jednak bezwarunkowo nie był, zdecydowany przeciwnik szlachetczyzny, a niecierpiący wprost arystokracyi, nadto zacięty wróg wpływów duchowieństwa w polityce; nie podzielał jednak wiary ówczesnego młodego pokolenia w zdolności i siły polityczne mas ludowych, w programach demokratów podejrzywał frazesy tylko. Starał się ich więc trzeźwić, jak umiał, w sposób niezbyt szczęśliwy, nie polemiką zasadniczą, ale raczej docinkami, zaczepkami na-

wet osobistymi, w których niezdolny był do pobłażania. Uzbrojony w głęboko patryotyczne uczucie i rozległą wiedzę, był przeciwnikiem groźnym, lecz popularności nie zdobył, ani obozu własnego nie skupił, to też po latach polemiki drobiazgowej a bezowocnej, gdy rok 1846 przyniósł koniec tak jego organowi jak obozowi przeciwników, ze zniechęceniem odłożył pióro publicysty. W każdym razie jego »Orędownik« niemałą w dziejach umysłowości polskiej odegrał rolę, skupiając na swych łamach utwory i artykuły Trentowskiego, Goszczyńskiego, M. Grabowskiego, Czajkowskiego, Siemieńskiego, Bukatego, Królikowskiego; w nim też pierwsze próby pióra złożyli Marceli Motty i A. Małecki.

Po upadku »Orędownika«, o ile pozwalały zajęcia w bibl. Raczyńskich (do r. 1852), w gimnazyum i reprezentacyi miejskiej (członkiem od r. 1844), oddał się Łukaszewicz przedewszystkiem pracy ściśle naukowej, która już wtedy przedstawiała dorobek pokaźny i ciekawy.

Pierwszą jego samodzielną pracą historyczną była wydana w r. 1832 »Wiadomość historyczna o dysydentach w mieście Poznaniu w XVI i XVII wieku«. Sam wybór przedmiotu jakoteż jego opracowanie znamionują wybitnie charakter badań Łukaszewicza. W dziedzinie historycznej zajmowały go nie dzieje wojen lub dyplomacyi, lecz sprawy kultury, tak duchowej jak materyalnej, a więc rodzaj i losy wyznań religijnych, kościołów, szkół, miast, filantropii, cechów, oby czajności, osób uczonych. Przedewszystkiem go pociągały koleje wszelkich grup protestantyzmu polskiego, któremu przypisywał rolę doniosłą w naszej historyi i którego obraz zupełny odmalować zamierzył. Była to praca prawie ponad siły, wobec ubóstwa znanych wtedy źródeł, które dziś jeszcze nie są w dostatecznej mierze zbadane. Łuk. dzięki znakomitej pamięci, pracowitości i znawstwu archiwów i bibliotek opanował olbrzymią ilość potrzebnego materyału, tak wielką, że mu pod tym względem do dzisiaj nikt nie zrównał, i tak różnorodną, że wobec braku przygotowawczych prac monograficznych, materyału tego należycie przetrawić nie zdołał, skąd też dzieła jego nie są właściwie opracowaniami historycznemi, lecz raczej zbiorami wiadomości źródłowych, cyfr i faktów, uporządkowanych ręką badacza systematycznego. Jako zbiory materyału nieco niekompletne, jako konstrukcye historyczne niewystarczające, a przecież żaden badacz dziejów reformacyi polskiej jeszcze przez długie lata bez nich się nie obejdzie.

»Wiadomości hist. o dyssydentach w Poznaniu« podzielił Łuk. na dwie części: w pierwszej zawarł dzieje wszystkich sekt różnowierczych w Poznaniu, w drugiej obraz ich statystyczny, przegląd ministrów, seniorów, nauczycieli, szkół i synodów. Taki sam dwudzielny jest odtąd układ wszystkich jego prac historycznych, najcenniejszą i nieprzemijającą ich wartość stanowi dział drugi, obraz życia wewnętrznego. Po pierwszej próbie poszły dzieła większych rozmiarów, przedstawiające historyę wyznań poszczególnych w całych prowincyach. W r. 1835 wydał obszerniejszy tom »O Kościołach Braci Czeskich

w dawnej Wielkopolsce«, w którym na podstawie zwłaszcza archiwum leszczyńskiego przedstawił dzieje tego ciekawego wyznania, zbratanego z naszym kalwinizmem. Niezrażony obojętnością ogółu (z 250 egz. nakładu połowę trzeba było odprzedać antykwarzowi), ogłasza w r. 1842 najlepszą z swych monografii w tej dziedzinie, »Dzieje Kościołów wyznania helweckiego w Litwie« (2 t.). Praca ta ściągnęła nań szereg krzywdzących zarzutów, na które się skarży w przedmowie do dzieła późniejszego, »Dzieje Kościołów wyznania helweckiego w dawnej Małej Polsce« (1853), przynoszącego raczej zbiór materyałów archiwalnych (niezwykle ciekawych), niż opracowanie.

Łukaszewicz w badaniach swych nad reformacyą w Polsce starał się usilnie o bezstronność; nieraz ostrymi słowy zaznaczał ujemne skutki owego ruchu dla Polski, ale nierównie częściej przychodziło mu brać w obronę prześladowanych niesłusznie w dobie reakcyi jezuickiej XVII i XVIII wieku, co czytelnikom, informowanym dotąd jednostronnie, wydawało się obrazą katolicyzmu i... polskości. »Jedną z najgłówniejszych przyczyn upadku Polski była Reformacya — uzasadniał Łuk. zajęcie się tym przedmiotem, — ona zamąciła świetne z innych miar panowanie Zygmunta Augusta, rozdzieliła naród po śmierci tego monarchy na dwa wielkie, nieprzyjazne sobie obozy, a wskutek niezręcznego oddziaływania za rządów Zygmunta III i następnych królów, poddała go w jarzmo przebiegłego, samolubnego zakonu, który, wychowując przez dwa blizko wieki młodzież krajową jedynie ku swoim i hierarchii widokom i potrzebom, odwiódł myśl zniedołężnionego przewrotnem wychowaniem narodu od tego wszystkiego, co go mogło było zrobić wewnątrz rządnym i oświeconym, zewnątrz potężnym i szanowanym«. Tego rodzaju stanowisko uczonego wywołało niezadowolenie zarówno katolików jak protestantów. Ci wyrzucali mu zbyt katolicki punkt widzenia, tamci przychylność ku »herezyom« i brak prawowierności — autor sam zaś w tych atakach obustronnych widział dowód swej prawdziwej bezstronności i pracował dalej nad »Dziejami rozmaitych odcieni Antytrynitarzy Polskich«, których jednak nie zdążył już ogłosić.

Ale i na drugiem, nieuprawnem dotąd polu, a sąsiadującem z poprzedniem, zainicyował Łukaszewicz prawdziwie naukową pracę. Zbadawszy całą dostępną literaturę, dotyczącą dziejów szkół i wychowania w Polsce, opracowania, programy szkół, akty wyposażeń, podręczniki, kroniki kollegiów, komedye szkolne itp. ogłosił »Historyę szkół w Koronie i w Wielkiem Księstwie Litewskiem od najdawniejszych czasów aż do 1794« (4 tomy, 1848—1852), która choć również jest raczej zbiorem materyałów, niż właściwem opracowaniem historycznem, przecież do dzisiaj nie straciła wartości, poza średniowieczem (prace prof. Karbowiaka i Morawskiego) prawie że nieuzupełniona, jedyna do dziś całość dziejów szkolnictwa Polski niepodległej. »W kreśleniu historyi szkół naszych — wyłuszcza Łuk. pogląd swój, zresztą jednostronny — nie miałem innego celu, jak wykazanie, że nie ta lub owa forma

rządu, nie to lub owo wyznanie, ale przewrotna instrukcya młodzieży płci obojej aż do czasów nieśmiertelnego Konarskiego Polskę o upadek przyprawiła. Zastanawiając się zatem nad organizacyą i dążnościami szkół naszych świeckich i zakonnych, katolickich i protestanckich, męskich i żeńskich, oceniam je nie w duchu tego lub owego stronnictwa politycznego, tego lub owego wyznania, ale w miarę rzetelnych użytków lub szkód, materyalnych, ziemskich, jakie dla społeczności lub kraju przynosiły«. Historyę szkolnictwa polskiego podzielił słusznie na pięć epok: pierwsza od najdawniejszych czasów aż do założenia akademii krakowskiej, druga do zaprowadzenia Jezuitów w Polsce w 1564 r., trzecia do czasów Stanisława Konarskiego, 1740 r., czwarta do ustanowienia Komisyi Edukacyjnej r. 1773, piąta objęła działalność Komisyi do 1794. Epokom tym, tak różnym co do długości trwania, poświęcał też rozmaitą ilość miejsca; najwięcej zajęła trzecia (szkoły jezuickie, pijarskie i akademickie) i ostatnia; pierwsze dwa tomy objęły zarys historyczny całości, trzeci — obraz szczegółowy i statystyczny szkolnictwa świeckiego, czwarty — zakonnego. Staranne dzieło, jakiego z niemniejszym ogromem pracy dokonał Łukaszewicz, nie mające na owe czasy nawet zagranicą równego, zapewniło mu tytuł do trwałej wdzięczności w narodzie.

Trzecie pole pracy naukowej Łuk. stanowią monografie opisowe, historyczno-statystyczne. Za starannym »Obrazem historyczno-statystycznym miasta Poznania w dawniejszych czasach« (2 t., 1838) poszły prace wyczerpujące mimo skromnych tytułów: »Krótki opis historyczny kościołów parochialnych, kościołków, kaplic, klasztorów, szkółek parafialnych, szpitali i innych zakładów dobroczynnych w dawnej dyecezyi Poznańskiej« (wyd. 1858—1863, tom I obejmuje archidyakonat poznański, II śremski i pszczewski, III warszawski; razem opis 518 kościołów z obszernym wstępem o dziejach i ogólnych urządzeniach dyecezyi) i »Krótki historyczno-statystyczny opis miast i wsi w dzisiejszym powiecie Krotoszyńskim od najdawniejszych czasów aż po rok 1794 (2 t., drugi wydany po śmierci autora, trzeci został w rękopisie). Pawiński w ocenie swej (Bibl. warsz. 1870), uznał tę pracę za wzór monografii opisowej, wysnuwającej z zapisek archiwalnych obraz życia wewnętrznego miasteczek i wsi polskich.

Prócz dzieł powyższych zamieszczał Łuk. po dziennikach i miesięcznikach gruntowne recenzye i polemiki naukowe (najważniejsze w Bibliotece Warsz., zwykle pod kryptonimem X. M. lub J. Ł.), odznaczające się nadzwyczajnym krytycyzmem. Wśród nich wybija się inwektywa na anarchię oligarchiczną w Polsce p. t. »Hieronim Radziejowski i Mikołaj Zebrzydowski«, druzgocące recenzye Bartoszewicza »Historyi literatury« i M. Dzieduszyckiego »Skargi«, wreszcie »Wiek St. Augusta, uważany pod względem religii i obyczajów, w porównaniu z wiekiem Wazów i Sobieskiego«; krytykując tu Dzieduszyckiego »Rzut oka na stan religijno-obyczajowy Polski XVIII w.«, oskarżenie czasów oświecenia o niemoralność i ateizm, wykazywał

Łuk. wyższość etyczną tejże epoki w porównaniu z czasami bigoteryi wieku XVII.

Do prac popularnych Łuk. prócz niezliczonych artykułów w »Przyjacielu Ludu« zaliczyć trzeba »Geografię starożytnej Polski«, wydaną pod pseud. J. Andrysowicza.

Dla znaczenia naukowego dzieł Łuk. znamienne jest, że cztery (z ośmiu) przełożono na język niemiecki, z tych obraz Poznania dwukrotnie. Wszystko, co wyszło z pod jego pióra, pisane jest językiem jędrnym, czystym, szczeropolskim; o charakterystycznej czci jego dla dat i faktów była wyżej mowa; rozumowania oderwane uważał za błyskotki, na które czasu żałował. Dzieła jego, czasem za suche, stanowią zawsze obfite źródło wiadomości różnorodnych, użytecznych dla badaczy dziejów życia wewnętrznego Polski niepodległej; ze względu zaś na metodę i krytycyzm wobec legend naukowych, wybijają się chlubnie w epoce dyletantyzmu jako zaczątek poważnej historyografii w Polsce (obok prac Czackiego, Lelewela, Wiszniewskiego). Nie uchodziło to uwagi ówczesnych towarzystw naukowych, które zapraszały go jako członka w swe szeregi (1832 Gesell. für Pommersche Geschichte und Altertumskunde, 1839 Tow. Nauk. Krakowskie, 1857 Tow. Przyj. Nauk poznańskie, 1859 wydział historyczny przy Bibl. warszawskiej).

Koniec żywota spędził Łuk. w spokoju wiejskiego ustronia. Gdy żona (Seweryna z Fryzów) przez szczęśliwy przypadek w »amerykańskim« spadku otrzymała dobra Targoszyce w pow. krotoszyńskim, przeniósł się tam w r. 1852 i czas dzielił między pracę naukową a czyny humanitarne, zasilał instytucye narodowe, utrzymywał ubogą młodzież po szkołach i rzemiosłach; przed obcymi zamknął się, unikając zwłaszcza Niemców, w których języku słowa nie chciał wyrzec, wbrew poczynającej się modzie. Śmierć najukochańszej z trzech córek, które starannie wychowywał, i śmierć żony tembardziej odsunęły go od ludzi; pracowity, słowny, weredyk, wytrwały, dla nikogo nie był bardziej wymagający, niż dla siebie. Choć uznania nie widział, ani się spodziewał (mawiał, że po jego śmierci nikt o nim mówić ani pisać nie będzie), do ostatniej chwili poświęcał się pracy naukowej, którą przerwała śmierć 13 lutego 1873 roku, przynosząc dotkliwą stratę zwłaszcza wielkopolskiej dzielnicy, na której kulturalny rozwój Łuk. tak doniosły wpływ wywierał.

BIBLIOGRAFIA.

I. Wydania dzieł. Osobno ukazały się w porządku chronologicznym: 1) »Wiadomość historyczna o dyssydentach w mieście Poznaniu w XVI i XVII wieku, porządkiem lat zebrana«, Poznań 1832.

2) »O Kościołach Braci Czeskich w dawnej Wielkopolsce«, Poznań 1835. 3) »Obraz historyczno-statystyczny miasta Poznania w dawniejszych czasach«, Poznań 1838, 2 t. 4) »Polska, zawierająca geografię i dzieje starożytnej Polski od początku narodu aż do nowszych czasów, ku powszechnemu użytkowi wydał J. Andrysowicz«, Poznań 1842. 5) »Dzieje kościołów wyznania helweckiego w Litwie«, Poznań, tom I r. 1842, II r. 1843 6) »Pliniusz Cajus Secundus starszy, Historyi naturalnej ksiąg XXVII« przełoż. J. Łuk. (Bibl. klas. łać. Edw. Raczyńskiego VII—XVI). Poznań 1845, t. 10. 7) »Historya szkół w Koronie i W. Ks. Litewskiem, od najdawniejszych czasów aż do r. 1794«, Poznań 1848—1852, 4 t. (Tom III—IV osobno odbite p. t. »Zakłady naukowe w Koronie« i t. d.). 8) »Dzieje kościołów wyznania helweckiego w dawnej Małej Polsce«, Poznań 1853. 9) »Krótki opis historyczny kościołów parochialnych, kościołków, kaplic, klasztorów, szkółek parafialnych, szpitali i innych zakładów dobroczynnych w dawnej dyecezyi Poznańskiej«, Poznań 1858—1863, 3 t. 10) »Krótki historyczno-statystyczny opis miast i wsi w dzisiejszym powiecie Krotoszyńskim od najdawniejszych czasów aż po rok 1794«, Poznań. Tom I 1869, II z portretem autora i obszerną biografią 1875.

Przekłady niemieckie: 1) »Geschichtliche Nachrichten über die Dissidenten in der Stadt Posen übers. von Vinzenz von Balitzki«, Darmstadt 1843. 2) Historisch-statistisches Bild der Stadt Posen übers. von S. Königk«. Leszno i Gniezno 1846 i powtórnie w starannej edycyi »revidiert und berichtigt von Prof. Dr. Tiesler«, Poznań 1880, 2 t. 3) »Geschichte der reformirten Kirchen in Lithauen«, Lipsk 1848—1850, 2 t. 4) »Von den Kirchen der Böhmischen Brüder in ehemaligen Grosspolen übers. von Superint. Pfr. Th. Dr. Fischer«, Grodzisko 1877.

Wobec niezwykle skąpej ilości wskazówek trudno dziś wyśledzić dokładnie, w których czasopismach Łukaszewicz pomieszczał swe recenzye i rozprawy W tych zaś, o których wiadomo, że był ich współpracownikiem gorliwym lub redaktorem, trudno je po większej części wyszukać, gdyż zazwyczaj nie są podpisane, lub tylko oznaczane kryptonimami. Jednak uważny czytelnik wyróżni płody jego pióra w »Mrówce Pozn.« (1821—1822), w »Weteranie« (1825), »Przyjacielu Ludu«, »Tygodniku Literackim« i »Orędowniku«. W »Bibl. Warsz.« jako X. M. w r. 1856 podpisał notatkę »Kronika Jarosława i archiwa Królewieckie«, w r. 1857 rozprawę »Hieronim Radziejowski i Mikołaj Zebrzydowski« i notatkę »Archiwa prowincyonalne w państwie pruskiem«, jako J. Ł. recenzyę Skargi Rychcickiego, w r. 1858 zamieścił »Wiek Stanisława Augusta, uważany pod względem religii i obyczajów, w porównaniu z wiekiem Wazów i Sobieskiego«, w 1860 portret historyczny »Jerzy Niemierzyc«, w 1861 obszerną recenzyę Bartoszewicza »Hist. lit. pols.«; »Dziennik Warszawski« z r. 1855 zawiera szereg recenzyi i artykułów jego pióra; przy bliższem zbadaniu

zapewne roczniki niejednego czasopisma ukazałyby artykuły płodnego pisarza.

Mnóstwo materyałów i nieco całkowitych opracowań zostało w jego spuściźnie rękopiśmiennej, przechowywanej ongiś w rodzinie Łyskowskich w Poznaniu. Znajdował się tam między innymi staranny przekład dwunastu ksiąg Kwintyliana »O krasomowstwie«, zdaniem Mottego »pod względem wierności jako i stylu polskiego wyborny«, dalej rękopis »Dziejów wszystkich odcieni Antytrynitarzy Polskich« i trzeci tom »Opisu powiatu Krotoszyńskiego«. Losy tej spuścizny dziś, niestety, nieznane; resztki jej przechowywane przez p. Tomasza Łyskowskiego w Jelitowie (pow. witkowski) zawierają tylko szereg luźnych notatek, rękopisy niektórych rzeczy drukowanych i dokumenty biograficzne. Dr. Erzepki w Poznaniu posiada korespondencyę Łuk., dotyczącą wydawnictwa »Orędownika«, Kazimierz Bartoszewicz w Krakowie korespondencyę z Julianem Bartoszewiczem.

II. O życiu i pracach Łukaszewicza pisano bardzo niewiele. Jedynem źródłem dla biografii jest »J. Ł. Wspomnienie pośmiertne«, odbitka z »Tygodnika Wielkopolskiego« 1873, pióra niewątpliwie Marcelego Mottego (przedrukowana też w II tomie »Opisu powiatu Krotoszyńskiego« z dodaniem portretu Łuk.), który swe informacye uzupełnił nadto w »Przechadzkach po mieście Poznaniu« (odb. z »Dziennika Pozn.«) 1888, cz. II, str. 25—37. Za Mottym podali jego żywot Winc. Korotyński w »Tyg. Ill.« z r. 1873, nr. 292 i 293 i Fr. Majchrowicz w »Enc. Wych.«. O rodzinie Łuk. pisze T. Żychliński w »Złotej księdze szlachty polskiej«, R. VI, str. 227—231, Poznań 1884. Działalność publicystyczną charakteryzują prócz Mottego: Antoni Białecki »Piśmiennictwo w W. X. Poznańskiem od r. 1850 i charakter tegoż w poprzedzających latach«. (»Teka Wileńska« 1858, nr. V—VI) i Kazimierz Jarochowski »Literatura poznańska w pierwszej połowie bieżącego stulecia« Poznań, 1884. Poszczególne prace naukowe Łuk. omawiali tylko jego recenzenci za życia, przeważnie w »Bibl. Warsz.«, Baliński, Bartoszewicz, Bentkowski, Łepkowski, Pawiński, nadto Kraszewski w »Tyg. Petersb.« 1842, M. Grabowski w »Koresp. liter.« cz. I, t. II, Wilno 1843. Całość jego pracy naukowej starali się ogarnąć tylko historycy literatury w ogólnikowych wzmiankach (z tych zaznaczyła się opinia Jul. Bartoszewicza w 1861 r. i charakterystyczne milczenie St. hr. Tarnowskiego) i nekrologiści: prócz Mottego i Korotyńskiego — Kazimierz Bartoszewicz w »Przeglądzie Polskim« 1873, str. 266—277; poza nimi nikt!

Mikołaj Czarny Radziwiłł, patron reformacyi.

(Z »Dziejów kościołów wyznania helweckiego na Litwie» 1842).

929) *[T. I, rozdz. II. str. 10—26]*[1]). Ledwie Zygmunt August na tron wstąpił i z wrzaskliwej walki o małżonkę z ubodzoną dumą kilku możnowładców zwycięzcą wyszedł, aliści ze wszech stron zaczęli się nowatorowie do Polski i Litwy cisnąć, pewni opieki rządu i sympatyi szlachty, lgnącej do nowości wszelkiej. Sam monarcha, odkładający wszystkie, by też najnaglejsze sprawy do późniejszego czasu, jakkolwiek zdawał się nowym opiniom religijnym sprzyjać, nie przyjmował ich otwarcie, ale pod ręką rozszerzał przez swoich polubieńców, do których w Litwie szczególniej spokrewnieni z Augustem przez swoją siostrę Barbarę Radziwiłłowie należeli. Na czele tej rodziny stał wówczas Mikołaj Czarny Radziwiłł, podczaszy W. X. Litewskiego, brat stryjeczny królowy Barbary, książę na Ołyce i Nieświeżu, wyniesiony wkrótce od nowego króla na województwo wileńskie, wielkie marszałkostwo i kanclerstwo litewskie. W młodości swojej wyprawiony na nauki za granicę, przejął się, potomek niegdyś wyznawców kościoła wschodniego, opiniami nowemi, mianowicie zaś nauką Kalwina i Zwinglego. Później zaszczycony najwyższemi dostojeństwy w Litwie i obdarzony licznemi starostwy od przychylnego sobie monarchy, odbywał różne poselstwa do dworów zagranicznych, a utwierdziwszy się w misyach tych w zasadach w młodości powziętych, usiłował wszelkiemi sposobami wyznanie helweckie w Litwie powszechnie zaprowadzić, przyjąwszy je wpierw sam i zmusiwszy do przyjęcia żonę swoją, Elżbietę Szydłowiecką, dzieci i domowników. Jego znaczenie, dostatki, względy u króla, niepospolite przymioty duszy, a nadewszystko egoizm tłumu szlachty, chcącej się z niego obłowić, albo za pośrednictwem jego jaką królewszczyznę bez zasługi u monarchy rozrzutnego wyżebrać, wyłudzić, jednały mu mnóstwo wielkie stronników w całej Lit-

[1]) Pełne erudycyi przypiski autora, świadczące o źródłowości jego pracy, opuszczamy, zatrzymując zaledwie kilka drobniejszych. *(Przyp. Red.)*

wie; nadskakiwała mu nawet szlachta koronna... Jął on się z taką gorliwością i skutkiem nawracania Litwinów do wyznania helweckiego, że przewyższył nawet nadzieje i oczekiwania najżarliwszych naczelników reformacyi w Polsce. »Ministrowie — mówi Cichocki [1]) — zbiegali się do niego zewsząd gęstymi tłumami, podobnie jak kruki do ciał zwierzęcych, od dzikich potworów rozdartych. Kapłani katoliccy, wpierw wyszydzani, potem ciężko prześladowani, nakoniec i wygnani, mieszkania swoje i świątynie przymuszeni byli bezbożnym ministrom zostawiać. W środku rynku wileńskiego wystawiono synagogę z wysoką wieżą i z obszerniejszego gmachu na przedmieściu Łukiszkach, gdzie naprzód schadzki odprawiano, do niej cały ów stek predykantów, jako do dogodniejszego ku zwodzeniu miejsca przeniesiony, zdawał się ostatnią ruiną kościołom katolickim zagrażać, gdy tymczasem Rusini czujnie świątyń swoich bronili i — jakoto jest naród niestałej wiary — oklaskami swymi różnowierców zachęcali. Ledwie się już tysiączną część katolików doliczano: cała prawie Litwa herezyami zarażona; bluźniercze zewsząd na Boga, świętych Pańskich i kościół Rzymski podnoszono głosy«.

Mikołaj Czarny Radziwiłł, przyjąwszy, jak wyżej powiedziano, około r. 1553 wyznanie helweckie, zaprowadził je natychmiast po obszernych dobrach swoich i królewszczyznach, które w Litwie dożywociem trzymał. A że w tej prowincyi na duchownych nowego wyznania zbywało, sprowadził z Korony kilku sławnych i gorliwych zwolenników reformacyi, jakoto Wawrzyńca Kryszkowskiego do Nieświeża, Tomasza Falkoniusza do Klecka, Żaczyca z Proszowic do Brześcia, Wędrychowskiego i Marcina Czechowicza do Wilna. Ostatniego wysłał nawet do Szwajcaryi, aby się zbliska z duchem, instytucyami i liturgią kalwinizmu lepiej obeznał, a potem w kościołach wyznania tego po Litwie zaprowadził. Niedość na tem, Radziwiłł wszystkich odstępców od wiary ojców tak w Koronie, jak i w Litwie brał pod swoją opiekę, a nawet niektórym, zwłaszcza

---

[1]) Cichocki »Alloquia Osieciensia« str. 201. Prawdziwym autorem tego dzieła ma być Jezuita Sawicki. *(P. Autora).*

uczonym, jurgielty z własnej szkatuły wyznaczał [1]), pospólstwo pokarmem, napojem i darami nęcił, zachęcając tym sposobem wszystkich do apostazyi. Słusznie więc pisarze dyssydenccy utrzymują, że on wojnę tę pobożną w Litwie zaczął.

Przykład Mikołaja Czarnego Radziwiłła w Litwie, przejętej jeszcze wówczas większem niż Korona uszanowaniem dla monarchy, którego osobę w tej prowincyi Radziwiłł w wielorakim względzie zastępował, pociągnął wszystkich niemal do ślepego naśladownictwa. Szlachta litewska, częścią połączona z nim węzłami familijnymi, częścią silniejszemi pobudkami interesu osobistego, częścią też lgnąc z natury swojej do nowości, porzucała tłumami religię ojców, tak katolicką jak grecką, i zaprowadzała po dobrach swoich i królewszczyznach dzierżanych kalwinizm, stawiając mu nowe zbory, albo też obracając w nie kościoły katolickie i cerkwie. I duchowieństwo katolickie, wyższe i niższe, nie mogło się oprzeć wezbranemu potokowi opinii panujących; opuszczało ołtarze, przyjmując nowe obrządki, zrzucając z siebie nieznośne krewkości ludzkiej jarzmo celibatu. Zapał ten do reformacyi rozszerzył się z Litwy właściwej po Białej Rusi, Polesiu i Żmudzi. W ostatniej, za nieczujnością biskupów [2]), tak się kalwinizm upowszechnił, że w prowincyi tej zaledwie sześciu lub siedmiu kapłanów katolickich pozostało. Wszystka niemal szlachta katolicka w Litwie i bardzo wielka część szlachty, trzymającej się nauki kościoła wschodniego, zmieniła wiarę ojców.

Toż samo działo się po miastach i miasteczkach królewskich i szlacheckich. Do najznakomitszych rodzin litewskich, które chwyciwszy się w tym czasie kalwinizmu, nadały w tej stronie nowemu wyznaniu swemu przewagę, należą: Kiszkowie, Chodkiewiczowie, Chlebowiczowie, Sapiehowie, Słuszkowie, Zawiszowie, Wiśniowieccy, Woynowie, Pacowie, Abramowicze,

---

[1]) Taki jurgielt pobierał od niego między innymi Stanisław Orzechowski, dopóki z biskupami i Rzymem bój zacięty o żonę toczył; ale skoro się tylko z kościołem Rzymskim pojednał, Radziwiłł usunął mu natychmiast dobroczynną rękę... *(P. A.)*

[2]) Z biskupów żmudzkich najobojętniejszym w rzeczach wiary okazał się Jerzy Piętkiewicz. Piasecki nazywając go mylnie Pietrowickim, mówi, że całkiem do luteranizmu przeszedł. *(P. A.)*

Wołowiczowie, Ogińscy, Zienowiczowie, książęta Prońscy, Hołowczyńscy, Naruszewiczowie, Talwoszowie, Dorohostajscy, Puzynowie, Szemiotowie, Grużewscy, Gorscy i t. d. Lud tylko prosty po wsiach trwał statecznie w wierze ojców, zwłaszcza w stronach, gdzie naukę kościoła wschodniego wyznawał. Z tem wszystkiem i on był znaglony od szlachty do przyjęcia kalwinizmu, tak dalece, że już około r. 1555 pełno było gmin i zborów wyznania helweckiego po całej Litwie, do których lud uczęszczać rozmaitemi sposobami zmuszano. Gdy bowiem w roku tym Paweł Wergeryusz, sławny reformator włoski, Litwę zwiedził, znalazł w tej prowincyi mnóstwo wielkie kościołów wyznania helweckiego. Do najpierwszych należały w Brześciu litewskim, w Wilnie, Klecku, Nieświeżu, Dziewałtowie, Orszy, Ikaźni, Iwiu, Szylanach, Kiejdanach, Birżach, Rykontach i t. d. Liczba zaś duchownych tego wyznania tak wzrosła, że już w roku 1557 w miesiącu grudniu złożono synod w Wilnie, na którym kilkudziesiąt ministrów się znajdowało. Takowemu rozgałęzieniu nagłemu kalwinizmu po Litwie sprzyjał bardzo pobyt w Wilnie w roku 1552 Zygmunta Augusta, otoczonego ludźmi przychylnymi reformacyi, chwiejącego się w umyśle, na którą stronę miał się skłonić. W tym to czasie Radziwiłł, założywszy zbór helwecki w pałacu swoim w Wilnie, naprzeciwko kościoła św. Jana, namówił monarchę, aby się na nabożeństwo do zboru tego udał. Dowiedziawszy się o tem Cypryan, Dominikanin, biskup metoneński, sufragan wileński, zabiegł drogę jadącemu do zboru konno z wielu senatorami i dygnitarzami Zygmuntowi Augustowi, a uchwyciwszy za cugle konia, tak doń przemówił: Nie ta jest droga, którą przodkowie W. K. M. na nabożeństwo zwykli byli jeździć, ale owa! — Tu wskazał palcem na kościół katolicki, zniewolił słabego monarchę do wniścia do niego, zniweczywszy zamiary Radziwiłła, chcącego Zygmunta Augusta tym krokiem wyznaniu swemu pozyskać. Przecież, chociaż duchowieństwo katolickie, tak w Koronie, jak w Litwie, zabiegało wszelkimi sposoby o to, aby przytłumić szerzące się coraz bardziej nowości religijne, to wszelako usiłowania jego były nadaremne, albowiem przeciwnicy jego byli zbyt potężni i mieli w Litwie przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi licznych sprzymierzeńców w wyznawcach kościoła wschodniego.

Ostatnie lata życia Radziwiłła zajmowały szczególniej sprawy religijne. Dyssydenci litewscy i koronni, nie mieli jeszcze ksiąg liturgicznych, nie mieli Pisma Świętego w ojczystym języku. Radziwiłł umyślił potrzebie tej zaradzić, a wezwawszy do pracy niektórych uczonych wyznania swego, jakoto Szymona Zacyusza, Piotra Statoryusza, Grzegorza Arzacyusza, Andrzeja Trzecieskiego, Jakóba Lubelczyka i kilku innych, szczęśliwie ukończony przekład Biblii dał w roku 1563 Wojewódce, drukarzowi krakowskiemu, umyślnie w tym celu do Brześcia litewskiego (gdzie Radziwiłł był starostą) sprowadzonemu, wytłoczyć, wyłożywszy na to około 10.000 złtp. ówczesnych i poświęciwszy przepyszne wydanie to Zygmuntowi Augustowi. W roku 1562, gdy z polecenia tego monarchy sprawy Inflant i Kurlandyi urządził, dwór swój w Wilnie, naprzeciwko kościoła św. Jana leżący, na zbór obrócił, a wkrótce potem nowy kościół wymurować kazał. W roku 1563 bawiącego w Wilnie Zygmunta Augusta nakłonił do uchylenia statutu Władysława Jagiełły w Horodle przeciw różnowiercom wydanego, od wszelkich dostojności i urzędów ich wyjmującego. Mimo czerstwego zdrowia i niezbyt podeszłego wieku poprzedził do grobu Zygmunta Augusta dnia 28 maja 1565, w trzy lata po zgonie swej małżonki, Elżbiety Szydłowieckiej; ciała obydwóch złożono w Wilnie, w kościele jego zamkowym. Na śmiertelnem łożu nie zapomniał jeszcze o swoich współwiercach, a pragnąc być im użytecznym i za grobem, przyzwał do siebie najstarszego syna swego, Mikołaja Krzysztofa, zwanego Sierotką, i napominał go, aby w wyznaniu helweckiem trwając statecznie, kościołami i duchownymi jego czule się opiekował...

Uwagi nad szkołami jezuickiemi.

(Z »Historyi szkół w Koronie i W. Ks. Litewskiem« r. 1848).

930) *[T. I, str. 251—272]*[1]). Jak z dziejów narodowych wiadomo, Jezuici sprowadzeni zostali do Polski od wyższego du-

---

[1]) Olbrzymie przypisy źródłowe prawie w zupełności opuszczone. *(P. Red.)*.

chowieństwa świeckiego nie w innym celu, jak dla przytłumienia rozszerzonych bardzo po kraju za panowania Zygmunta Augusta nowości religijnych i utrzymania, owszem powiększenia powagi i wpływów hierarchii. Dla dopięcia więc tego celu musieli nadać wychowaniu publicznemu po szkołach swoich zupełnie religijny, a nawet fanatyczny kierunek. Kierunku tego nie spuszczając też nigdy z oka, nawet już po wytępieniu różnowierstw i ustaleniu powagi hierarchii, zgłupili i zniedołężnili cały naród przez tak liczne swoje po wszystkich zakątkach Korony i Litwy rozsiane szkoły.

Z planu nauk w szkołach ich, widzieliśmy, że podzielone były na gramatykę, poezyę i retorykę. Wszystkie zatem nauki odnoszono w nich jedynie do tych trzech części umiejętności ludzkich. Gramatyki uczono bardzo długo, nie tak dla obznajmienia uczniów z prawidłami, składnią i własnościami języków starożytnych, jak raczej dla nauczenia ich mówić językiem łacińskim, którego znajomość była uczniom koniecznie potrzebną do pisania wierszy i mów w poetyce i retoryce. W dwóch tych klasach chciano koniecznie tworzyć poetów i mówców, męcząc uczniów formami, zapychając ich pamięć postaciami retorycznemi, syllogizmami i urywkowemi wiadomościami z mitologii, starożytności greckich i rzymskich, geografii i historyi, aby fałszywą erudycyą — jak ów mnich w Monachomachii Krasickiego: »Pisze Chrysyppus o Alfonsie królu« — kiedyś na zjazdach publicznych i sejmach popisując się, opinią o głębokiej nauce swych nauczycieli Jezuitów po kraju rozszerzali. W uczeniu łaciny, zastosowywanem zawsze do reguł poezyi lub retoryki, nie chodziło Jezuitom o to, aby uczeń obznajmiał się z duchem klasyków starożytnych, ale aby płynnie mówił złą łaciną; nie działano na rozwijanie jego rozsądku, pojęć, ale na imaginacyą, już i tak z samego przyrodzenia zbyt bujną w młodzieży naszej; nie uczono go myśleć, zastanawiać się nad rzeczą, którą czytał, ale nad jej formą; nie bogacono umysłu jego pożytecznemi i potrzebnemi w przyszłym zawodzie wiadomościami, ale ładowano pamięć jego zawiłemi regułami z całego potężnego Alwara, postaciami retorycznemi z Suareza, syllogizmami z rozmaitych dyalektyk, nareszcie gołemi nazwiskami z dziejów świata. Arytmetyki i jeometryi, najpotrzebniej-

szych w życiu ludzkiem nauk, nie dawano wcale w właściwych szkołach jezuickich, do filozofii zaś, w której te nauki wykładano, bardzo mała liczba uczniów jezuickich dochodziła. W nauce religii więcej Jezuitom chodziło o napawanie uczni dewocyą, zabobonami, niż o obznajmianie z prawdami i obowiązkami chrześcijańskiemi. Poddawali uczniom swoim do czytania: Przykłady mąk piekielnych; Pętko N. Panny Maryi; Słonecznik Drexeliusza, Pisma Kacpra Drużbickiego itp. dzieła ascetyczne. Każdą lekcyę zaczynali i kończyli uczniowie modlitwą, klęcząc; co dzień musieli się pod najsurowszemi karami znajdować na mszy; w niedzielę na mszy, na kazaniu i nieszporach; toż samo w święta uroczyste i w ich wigilie. Co tydzień, a w późniejszych czasach co miesiąc obowiązani byli chodzić do spowiedzi. W każdej szkole jezuickiej było bractwo studenckie, zwane Sodalitas annuntiatae Mariae Virginis, mające osobny statut, przepisujący mu ćwiczenia duchowne, posty, modlitwy i uroczystości....

Ale niedość jeszcze było Jezuitom zawiązać bractwa między uczniami swymi; wzbudzali oni w nich innymi nadto sposobami dewocyą. Na każdym odpuście w miejscu, w którem szkoły swoje mieli, na każdej uroczystości z powodu kanonizacyi jakiego świętego lub świętej, swego lub innych zakonów, a takie kanonizacye w 17. i do połowy ośmnastego wieku były bardzo częste, uczniowie ich figurowali z oracyami, chorągwiami, feretrami (nosidła) i t. p. W wielki piątek odgrywali, częstokroć z powszechnem zgorszeniem, dyalogi o męce Pańskiej; na Boże Ciało i całą oktawę tego święta rozchodzili się po wsiach okolicznych i jedni kwestowali u majętniejszych szlachcianek kobierce, obrusy, obrazy i t. p., drudzy po polach i lasach robili szkody, ścinając żerdzie, depcąc zboże i łąki za bławatkami i innymi kwiatami polnymi, a wszystko to dla ustrojenia jednego lub kilku ołtarzy na chwałę Bożą; inni nakoniec nakładali na Żydów podatek w prochu i strzelbie dla strzelania w czasie procesyi. Panowała-li wielka susza, niwecząca przyszłe plony rolnika, uczniowie jezuiccy wychodzili natychmiast w procesyi z chorągwiami, nieraz o milę i dalej, do miejsca lub obrazu cudownego, dla błagania Boga o deszcz. Byli w okolicy pomor na bydło, robili toż samo. Tak n. p. w r. 1748 wypadało bydło w powiecie wałeckim; dla

odwrócenia tej plagi, przełożony rezydencyi wałeckiej, profesorowie i uczniowie szli w procesyi z chorągwiami i kotłami do obrazu cudownego N. P. Maryi w Skrzetuszu, wsi o dwie mile od Wałcza odległej. — Występków, które wówczas w narodzie panowały, jakoto pijaństwa, najazdów, swawoli i t. p. nie obrzydzali Jezuici uczniom swoim, owszem kazali im pisać panegiryki na cześć ludzi, odznaczających się w tych występkach.

Czasu, który w ekonomii całego życia ludzkiego jest skarbem najdroższym, nigdzie bardziej nie marnowano, jak w szkołach jezuickich. Uczniowie przepędzali tylko cztery godziny na dzień w klasach; w rekreacye zaś tylko dwie godziny. Przydawszy do feryi i rekreacyi szkolnych rozmaite święta i uroczystości krajowe, miejscowe, kościelne, zakonne i t. p. których uczniowie jezuiccy nie zaniedbywali obchodzić, cały rok ich szkolny redukował się na dni kilkadziesiąt....

Wszakże wady te szkół jezuickich były mniej więcej wspólnemi wszystkim szkołom ówczesnym katolickim i protestanckim, krajowym i zagranicznym. Stokroć gorszą była od tego dążność szkół jezuickich. Jezuici nie wychowywali młodzieży sobie powierzonej na przyszłych obywateli, ale na szermierzy religii katolickiej, na sług i narzędzia hierarchii i niższego duchowieństwa świeckiego i zakonnego, na zakonników. Wpajali w nią bezustanku, że nauka nie jest głównym celem pobytu jej w szkole, ale tylko środkiem, pomocą ku dostąpieniu zbawienia, to jest innemi słowy, ku interesowi zakonu i hierarchii. Wszystkie nagrody, dawane za pilność młodzieży, jej nawet zabawy zmierzały ku temu. »Pomknie się potem uczeń ze szkoły do szkoły — mówi Broscyusz w Gratysie plebańskim o szkołach jezuickich, — otrzyma za *praemium* obrazek jeden i drugi, zostanie imperatorem *Romanorum* albo *Graecorum*, dają znać Panu ojcu, Paniej matce, Panu wujaszkowi, ciotuchnie; poszle nadto obrazek *cum indulgentiis;* z radości przyjedzie ojciec do syna, gdzie się uczy, albo stryj, powinny, wuj, ciotuchna, alić ich dzieciątko z oracyjką pięknie przywita; alić ono pięknie odprawuje komedyą. Alić ono nadobnie w komeszce, w wianeczku koło ołtarza się uwija, świeczki długiem drewnem gasi, dzwoni we dzwoneczek, pięknie się kłania, spowiada się co tydzień«. I niżej: »Pokazałem J. M. jeden a wielki

pożytek, który Jezuici mają z uczenia dziatek. Drugi zaś jest ten, że nie dla nas świeckich, ale dla samych siebie dzieci uczą. Tak, że oni wszystkie dzieci, co ich jest w prowincyi, radziby uczyli: jeżeli jakie dobre jest *ingenium*, pilne, *solidum*, *bonae expectationis*, *successionis spei*, ratunku od powinnych zacnych, starają się, aby je do siebie zaciągnęli na rozkrzewienie i pożytek zakonu swego. A mają na to dziwne swoje namowy, któremi miękuchne serca młodzi tak uwodzą gładko, skutecznie, że trudno się lada komu obaczyć, wielkiej na to potrzeba experiencyi, na co owe częstowania cukrami, dozwalania rekreacyi po medytacyach niegwałtownych; więc owe nabywania serc dziecińskich przyszłą sławą: będziesz potem apostołem do nowego świata, będziesz świętym, będą cię malować z promieniami od głowy pochodzącymi; któremi namowami młody człek, wspominając sobie na obrazki, które mu w gramatyce za premia dawali, dobrze przedtem rzecz do tego prowadząc, jako się nie ma zmiękczyć i namawianiu ich poddać? Więc innych tak wiele sposobów różnych wedle różności osób, lat, kondycyi, urodzenia, których teraz nie będę wyliczał: oni to pierwej dobrze wybaczą z młodzieży różnymi sposobami, a nieznacznie«...

W interesie zakonu napawali swoją młodzież zarozumiałością. Uczeń, opuszczając ich szkoły z naładowaną, jak wyżej powiedziałem, głową syllogizmami, regułami i nomenklaturą z retoryki, dyalektyki, poetyki, alwaru, historyi, geografii, bez należytego przygotowania do kształcenia się dalej, rozumiał, że wszystkie nauki i rozumy posiadł i gardził wszystkiem, co nauką jezuicką nie trąciło; nie jeździł kształcić się dalej, jak ojcowie jego robili, na akademie zagraniczne; bo i pocóż miał jechać? wszakżeż mu Jezuici powiedzieli. że u nich nauczył się już wszystkiego, że niema szkół, jak jezuickie.

W interesie zakonu, dyalogi i komedye, które uczniowie jezuiccy kilkakroć do roku grywali [1]), były zwykle treści reli-

[1]) Grywanie komedyi nie pierwsi Jezuici wprowadzili do szkół polskich; były one już grywane w szkołach akademickich na początku XVI wieku. Ale Jezuici pierwsi zaprowadzili u nas po szkołach swoich grywanie sztuk dziwotwornych, każących dobry smak i przyczyniających się do wypaczania zdrowego rozsądku w narodzie. *(P. A.)*

gijnej, najczęściej ku czci patronów zakonu, św. Ignacego, Alojzego, Xawerego, Stanisława Kostki i t. d. albo też ku czci całego zakonu...

Przejdźmy teraz do karności szkolnej u Jezuitów. Dobre przepisy utrzymywania młodzieży w karności były sobie na papierze, a największa swawola i bezkarność w uczniach. I uczniowie jezuiccy po wszystkich kollegiach w Koronie i w W. Ks. Litewskiem odznaczali się najgorszymi, społeczności i krajowi szkodliwymi obyczajami. Pominąwszy bowiem, że Jezuici tylko w klasie młodzież swoją w karności utrzymywali, nie pytając bynajmniej o to, co się poza szkołą działo; pominąwszy, że w uczniach ich, zwłaszcza wyższych klas, nierzadkiem było pijaństwo, kosterstwo i t. p. występki; sam interes zakonu kazał mu nieraz patrzeć przez szpary na największe bezprawia i zdrożności uczniów, owszem zachęcać ich do bezpraw, w których nieraz krew płynęła. Chodziłoli bowiem Jezuitom o dokuczenie któremu z różnowierców lub Żydów, albo też całej ich gminie, poduszczali na nich natychmiast swoich uczniów, którzy zatem śmiało, bo bez obawy najmniejszej kary, targali się na chudoby, zdrowie, a nawet i życie niemiłych lub nieprzyjaznych Jezuitom osób. Same nawet magistraty, trybunały, palestry, cechy po miastach i miasteczkach, gdzie się szkoły jezuickie znajdowały, wystawione były na swawolę ich uczniów; skoro bowiem ksiądz rektor, albo ksiądz prefekt szepnął im do ucha, że burmistrz przeszkadza zakonowi w nabyciu placu lub domostwa jakiego w mieście, (a przeszkadzać z obowiązku musiał, bo to uszczuplało dochody miasta), skoro szewc lub inny rzemieślnik odważył się obyczajem szlacheckim nosić pas na kontuszu, natychmiast młodzież jezuicka rzucała się z wściekłością na niego. Stąd zabijatyki, rozruchy, procesy długoletnie. Akta wszystkich grodów w Koronie i Litwie napełnione są skargami i protestacyami przeciw gwałtom tego rodzaju, przez uczniów jezuickich popełnionym. Jeżeli do tego obok szkół jezuickich były w tem samem mieście szkoły akademickie, pijarskie, lub też protestanckie, natenczas swawola uczniów jezuickich nie miała końca i miary. Siekli oni szablami, ranili, a nieraz i zabijali, jako liczniejsi, swoich młodych przeciwników, którzy mieli nieszczęście uczęszczać do innej, nie do ich szkoły.

Na takie gonitwy krwawe patrzał nieraz Poznań, Lwów, Piotrków, Toruń, Słuck i inne miasta.

Uczeń jezuicki nawykłszy w szkołach do bezpraw wszelkiego rodzaju, powtarzał je później na sejmikach, sejmach, trybunałach, zjazdach, w życiu publicznem i domowem...

Szkoły jezuickie demoralizowały jeszcze naród, każąc umysły młodzieży bogatszej pochlebstwami i tym sposobem przyczyniając się do utwierdzenia w kraju najgorszej z wszystkich form rządu, oligarchii. Profesorowie jezuiccy nie rumienili się nawet dedykować książek swoim uczniom, częstokroć zaledwie z lat dziecinnych wyszłym, i przypisywać im zasługi i przymioty, jakie ledwie sami półbogowie mieli.

Takie były wady główne szkół jezuickich, robiące je prawdziwie szkodliwemi i zgubnemi dla kraju. Jednakże Jezuici mieli i zasługi swoje w zawodzie nauczycielskim. Przed zaprowadzeniem ich w Koronie i Litwie były okolice, mianowicie zaś w Litwie, Wołyniu, Podolu, Ukrainie i Rusi Czerwonej, gdzie na kilkadziesiąt mil wokół, prócz szkółek elementarnych, innych szkół nie znano. Gnuśna bowiem akademia krakowska, w której ręku wszystkie szkoły krajowe i wychowanie publiczne było, nie zadawała sobie pracy szukania takich okolic i miejsc, w których na szkołach wyższych nie zbywało. Jezuitów więc jest zasługą, że przez zakładanie w tych stronach szkół swoich, roznieśli jakie takie oświecenie, nawet pomiędzy niepolskiemi plemionami.

Do tego, do szkół jezuickich uczęszczało wielu paniczów, którzy do posług mieli chłopców, synów ekonomów, podstarościch lub t. p. swoich rodziców. Chłopców tych przyjmowali Jezuici do szkół swoich porówno z ich panami, i tym sposobem ułatwiali nabywanie nauk uboższym klasom; co zaiste nie małą jest tego zgromadzenia zasługą. Przykład też w tej mierze, nie chcąc uchodzić za gorszych od Jezuitów, musieli naśladować Pijarzy, i tym sposobem wielkie mnóstwo ubogiej młodzieży odbierało jakiekolwiek wyższe wychowanie publiczne.

DYREKCJA ... KRAKOW

Opracował STANISŁAW KOT.

CXXVI.

AUGUST BIELOWSKI

(1806—1876).

Poeta, działacz narodowy, zasłużony pracownik na polu dziejów pierwotnych Polski, samouk, który pracą własną wywalczył sobie poważne stanowisko literackie i naukowe, pochodził z rodziny szlacheckiej, h. Jastrzębiec, wywodzącej się z województwa Sieradzkiego, skąd w początkach w. XVIII przeniosła się naprzód do województwa Bełskiego, potem do ziemi lwowskiej. Urodził się w dniu 27 marca 1806 r. we wsi Kruchowie na Pokuciu. Rodzice jego, Grzegorz i Marya z Zędzianowskich, sprzedawszy swą część w Kruchowie, przenieśli się do dworku w Targowicy, dawniejszej siedziby swej rodziny. Ponieważ chrztu udzielił chłopcu paroch obrządku grecko-katolickiego, stąd mylnie wnoszono, iż B. był unitą. Nauki początkowe pobierał w Stanisławowie, lecz, gdy matka w r. 1816 nabyła dworek w Buczaczu, tam następnie uczęszczał do gimnazyum OO. Bazylianów. W r. 1828 udał się na uniwersytet do Lwowa, gdzie słuchał naprzód kursu filozofii, później kursu prawa prywatnego austryackiego.

W szkole średniej Bielowski nie odznaczał się pilnością i postępami. Zamknięty w sobie, poważny i systematyczny, pracował na własną rękę, wkraczając powoli na drogę, którą wskazywały mu budzące się w nim zamiłowania i skłonności intelektualne. Rozczytywał się w pisarzach Zygmuntowskich, w klasykach starożytnych, równie jak w dziełach autorów współczesnych, zwłaszcza niemieckich. Samodzielnej tej pracy zawdzięczał swe wykształcenie.

Za czasów uniwersyteckich, a i później także żył w niedostatku, graniczącym nieraz z nędzą.

Na kurs filozoficzny do Lwowa przybył on w tym czasie, kiedy w Galicyi po długim okresie martwoty umysłowej, w której poza urzędową »Gazetą Lwowską« trudno było doszukać się objawów życia kulturalnego, zaczął się ożywiać ruch literacki. Obok Chłędowskiego, Ka-

mińskiego i Fredry, szybko poczęły występować na arenę młode pióra. Starsze pokolenie schodziło już prawie z pola — młodzi szli z hasłem nadania literaturze życia własnego, wysnucia jej z motywów swojskich, z piersi ludu, z poezyi starosłowiańskiej. Wyrazem tego zwrotu był wydawany przez Kamińskiego i Chłędowskiego »Haliczanin«. Śród młodych, po raz pierwszy tu występujących literatów, spotykamy Augusta Bielowskiego.

Już na ławie szkolnej pisywał on poezye i od 1825 r. umieszczał drobne utwory w »Rozmaitościach« lwowskich. Z tego czasu pochodzą przekłady ballad Goethego i Szyllera, pomiędzy którymi trafiają się i samodzielne próby. Wówczas też powziął zamiar przełożenia »Fausta«, który tylko w części później wykonał. W 1829 r. bawi z Nabielakiem na podgórzu karpackiem, dokąd dwukrotnie się jeszcze udawał, aby zbierać pieśni i podania ludu. Umieszczona roku następnego w »Haliczaninie« ballada »Trójziele« jest naśladowaniem ludowej pieśni ukraińskiej; taż sama dążność odbija się w przekładach pieśni serbskich, ogłoszonych w temże piśmie. Poezyę »książkową« Bielowski potępiał, twierdząc, iż zgubiła się ona w kłamanym liryzmie, w czczych abstrakcyach, dalekich od piękności natury, którą lud tak plastycznie przedstawia w swych pieśniach. Myśl jego zarazem zwraca się ku przeszłości polskiej i słowiańskiej i w niej poszukuje motywów, któreby łącznie z poezyą ludową dawały treść i formę twórczości literackiej. Wybuch powstania listopadowego przerwał w r. 1830 rozpoczynającą się działalność literacką. Z młodszym bratem udał się B. na pole walki. Jako ochotnik zapisał się do batalionu strzelców. Uczestniczył w bitwach pod Grochowem, Wiązowną, Mężeninem, Ostrołęką, Łysobykami, Przytykiem, Iłżą i Chodczą. Po kapitulacyi Warszawy, gdy korpus Różyckiego, pod którego rozkazami służył batalion Grotusa, poszedł w rozsypkę, B. o mało nie zginął.

Wróciwszy do Galicyi, chwilowo znalazł przytułek w dobrach Stanisława Borkowskiego, jako administrator Winniczek. Przybywszy do Lwowa, zajął się w dalszym ciągu pracą literacką. »Czuję potrzebę — pisze on r. 1832 do Nabielaka — wtrącenia w naszą poezyę ducha słowiańskiego z całym przepychem i bogactwem języka starego i zasobów pobratymczo-słowiańskich«.

Takie pojęcia zwróciły B. do zajmowania się poezyą ludów słowiańskich i nasunęły myśl przekładu »Słowa o pułku Igora«. Tłumacz starał się ująć ducha oryginału i rzeczywiście oddał całą dosadność obrazowania i archaiczność stylu. Ogłoszony r. 1833 przekład pozyskał rozgłos. Krytycy ówcześni twierdzili, że przekład ten przyniósł literaturze więcej pożytku, niżeli niejeden poemat oryginalny. Zachęcony uznaniem, zabiera się do tworzenia w tym duchu i formie oryginalnych utworów, mogących stworzyć cykl pieśni historycznych. Urywek poematu o Bolesławie Wysokim i »Pieśń o Henryku Pobożnym«, opisująca klęskę pod Lignicą, ma w kompozycyi i stylu bardzo wiele pokrewieństwa z »Wyprawą Igora na Połowców«. Silnie i obra-

zowo odtworzone w niej rycerskość, wierzenia i religijność owych czasów. Wielka ścisłość historyczna tła świadczy, zdaje się mówić, że instynkt dziejopisarza, bez szkody zresztą dla artystycznej wartości utworu, pokierował tu twórczością poety.

Ponieważ we Lwowie nie było pisma peryodycznego literackiego, a uzyskanie pozwolenia władzy na takie wydawnictwo było trudnem wielce, B. postanowił wydawać Noworocznik, któremu dał nazwę »Ziewonia«. Pomieszczał tu utwory Goszczyńskiego, Siemieńskiego, Józefa i Leszka Borkowskich, Magnuszewskiego i swoje własne. »Ziewonia« wychodzić miała co rok. Wydawca jednak, będąc zamieszany w spisek, przygotowujący zbrojne powstanie w Królestwie Polskiem, z początkiem r. 1834 dostał się do więzienia; trzymany blizko półtrzecia roku, wyszedł na wolność w r. 1836 i odtąd przez długi czas pozostawał pod dozorem policyi. W więzieniu napisał kilka dumek, osnutych na ruskich motywach ludowych, wzmiankowaną »Pieśń o Henryku Pobożnym«, zaczął poemat o głośnym staroście kaniowskim, do czego posłużyły mu za tło wspomnienie, wyniesione ze szkół buczackich, tudzież przetłumaczył kilka scen z »Fausta«. Po wyjściu z więzienia, nie mając prawa, jako karany za przestępstwo polityczne, drukować pod własnem nazwiskiem, wydał w Pradze drugi tom »Ziewonii« pod protektoratem Hanki, w drugiem wydaniu przedrukowany w Strasburgu. W tym samym czasie ogłosił »Dumki« ruskie w Pradze, a w »Tygodniku Literackim« w Poznaniu humorystyczny obrazek p. t. »Scena na murowanym mostku«, będący satyrą na panujące w Galicyi stosunki kulturalne. Były to niemal ostatnie jego prace literackie.

Brak środków do życia zmusił B. do podjęcia na nowo studyów, dla pozyskania świadectw rządowych. W lipcu 1841 r. złożył egzamin przed wydziałem nauk prawno-politycznych, a w marcu następnego roku w Akademii handlowej z buchalteryi kupieckiej. Mimo to groziła mu nędza. Położenie jeszcze pogorszyło się, gdy w r. 1843 zawarł małżeństwo z Kordulą Wisłocką z Remiszowic. Przeszłość polityczna zamykała mu dostęp do kancelaryi rządowych. Szczęśliwym atoli trafem w Zakładzie im. Ossolińskich zawakowała posada pierwszego skryptora. Za poparciem dyrektora Kłodzińskiego, otrzymał tę posadę, która go na zawsze miała związać z Zakładem.

Dyrektor Kłodziński zajął go naprzód przeglądaniem odsyłaczy do katalogu systematycznego, w kilka miesięcy jednak później przeznaczył do porządkowania zbiorów rękopiśmiennych, w pracach bibliotecznych zupełnie pominiętych. Było to ważne zajęcie, które wywarło korzystny wpływ na dalszy kierunek pracy. Zaznajomienie się z rękopisami i źródłami rozbudziło w nim myśl wyświetlenia początków Polski. Ku rozwiązaniu tego zadania umysł jego skierował się tem usilniej, że znajomość początków dziejowych polskich uważał za klucz do zrozumienia późniejszych faz rozwoju, o co z tak różnem powodzeniem kusili się niemal wszyscy współcześni historycy. Do celu dopro-

wadzić mogła tylko droga sumiennej analizy źródeł. To rodziło potrzebę krytycznego ustalenia tekstów pomników historycznych, a w następstwie konieczność wydania tychże zabytków.

Już w więzieniu rozczytywał się B. w kronikach polskich i obcych, wynosząc bogaty zasób pomysłów co do początków dziejowych. Systematyczną w tym kierunku pracę poprowadził od r. 1838. Wynik tych dociekań ogłosił w artykułach »Myśli do dziejów słowiańskich« (1841) i »Początkowe dzieje Polski«. Szybko jednak powrócił do badania pomników. W 1843 roku zajmują go roczniki: heidelberski i gnieźnieński, z których ostatni zestawia skrupulatnie z drukiem Lengnicha. W r. 1846 wypisuje niektóre zabytki zródłowe z rękopisów biblioteki Ossolińskich, w rok później studyuje już z zapałem odnaleziony fragment historyka rzymskiego, Pompeja Troga. Dla studyów swych i prac około źródeł polskich, a również dla projektu wydania tychże, zjednał Bielowski ówczesnego kuratora Zakładu, ks. Jerzego Lubomirskiego. Aby przygotować wydawnictwo, wyznaczył Zakład Bielowskiemu w r. 1847 na podróż naukową 200 fl., do czego dyrektor i kustosz z własnych funduszów dodali po 50 fl. Rozpatrzył teraz B. bibliotekę kościelną i archiwum miejskie w Pilznie, w Krakowie zbadał rocznik Świętokrzyski, kronikę Kadłubka i Pompeja Troga. W Warszawie — Galla i kronikę płocką, w Wilanowie kronikę Bogufała; poza tem przepatrzył zbiory kieleckie i bibliotekę Rogalińskich w Podgrodziu.

Zebrany materyał postanowił B. wyzyskać dla wyjaśnienia dziejów bajecznych. Owocem tych badań był »Wstęp krytyczny do dziejów Polski«. Na podstawie porównania ustalonych tekstów kronik polskich z podaniami kronikarzy starożytnych, jednoczy Antów illiryjskich ze Słowianami nadwiślańskimi i usiłuje wytłumaczyć baśń kronikarską początkowych dziejów, przedstawiając ją, jako przekręcone i niedokładne powtórzenie rzeczywistych wypadków dziejowych. Erudycya, bystrość w wynajdowaniu argumentów na poparcie tezy jest niepowszednia, ale krytycyzm nie dopisuje.

Z całej tej fantastycznej, choć pracowitej hipotezy, wywołanej gorącą chęcią dania narodowi jaknajświetniejszych początków, nie pozostało obecnie nic; krytyka swoja i obca usunęła ją zupełnie. Prócz przypuszczenia o Miorszu i interpretacyi Kadłubka, część »Wstępu«.. z przeglądem naszych najdawniejszych pisarzy pozostanie zawsze w historyografii polskiej pierwszą próbą zrobienia tego, co dla Czechów uczynił Palacky, a dla Niemców Dahlman i Wattenbach.

Po ogłoszeniu »Wstępu« w osobnem wydaniu we Lwowie, a skrótu tegoż w »Bibl. Warsz.« p. t. »Rzut oka na dotychczasową pierwotną historyę polską« przy udziale kilku przyjaciół — Aleksandra Batowskiego, Stanisława Pilata, Stanisława Przyłęckiego, Karola Szajnochy, Jana Szlachtowskiego i Wagilewicza, nakreślił B., wzorując się na wydawnictwie pomników Pertza, program wydania pomników historycznych polskich, który w dwa lata później został ogło-

szony. Projekt na razie z braku funduszów nie mógł być wykonanym. Nowa kuratorya Zakładu zaniechała planu wydawnictwa. Sam jednak B. nie wyrzekł się raz powziętego zamiaru. W r. 1851 zwiedził Horodyszcze, Uchnów, Sanok i Tarnów, we wrześniu pojechał do Krakowa, później do Przemyśla i Sącza. Następnych lat badał zbiory w Samborze, Spasie, Starem Mieście i Ławrowie, sprowadzał rękopisy z biblioteki kórnickiej. W r. 1856 wreszcie odbył większą podróż naukową w celu zbadania bibliotek zagranicznych. Był w Wiedniu, Pradze, Dreźnie, Lipsku i Monachium. Stąd udał się do Petersburga, gdzie dzięki stosunkom i poprzedzającej go sławie, dostał się do biblioteki publicznej, sztabowej i do Ermitażu. Nie pominął Moskwy, a w rok później, lecząc się w Maryenbadzie, zbadał biblioteki w Teplu i Koenigswarcie.

W tomie pierwszym wydawnictwa »Pomników dziejowych Polski« po świadectwach o Słowianach, podał B. wyciągi z pisarzów greckich, rzymskich, żydowskich, niemieckich i ruskich, odnoszące się do Polski, całą kronikę Galla, Nestora oraz »Naukę« Włodzimierza Monomacha. W opracowaniu i przygotowaniu przekładów wzięli udział najwybitniejsi filolodzy klasyczni i oryentaliści. Własnym kosztem rozpoczął B. druk pierwszego tomu r. 1856. Jedynie Wiktor hr. Baworowski zasilił go większą kwotą. Z braku środków druk ukończono dopiero r. 1864. Tom drugi, obejmujący, prócz drobnych dokumentów, kroniki Wincentego Kadłubka, Bogufała, Janka z Czarnkowa oraz rzecz prawie nową w tym kształcie — roczniki polskie, wyszedł r. 1872, przy pomocy i współdziałaniu lwowskiego koła komisyi historycznej. Przyobiecany początkowo zasiłek ze strony Krakowskiego Towarzystwa Naukowego, z powodu nieprzychylnego stanowiska prof. Brandowskiego, zawiódł. Dopiero po założeniu Akademii Umiejętności wydawnictwo pod jej opieką i kierunkiem poszło żywiej.

Całą tę kosztowną i uciążliwą pracę prowadził B. w warunkach bardzo trudnych. W r. 1851 objął on po Janie Szlachtowskim stanowisko kustosza Zakładu im. Ossolińskich, a wkrótce potem i zastępstwo dyrektora, tytuł którego przyznano mu w 1869 r. Poważnie pojmując swe obowiązki, poświęcił im się w zupełności. Na Zakład patrzył nietylko jako na instytucyę, przeznaczoną do gromadzenia, porządkowania i udostępniania zbiorów publiczności, ale jako na ognisko pracy literacko-naukowej i wydawniczej. Podjął tedy drugie wydanie wyczerpanego »Słownika języka polskiego« Lindego, wskrzesił i redagował przez sześć lat »Bibliotekę Zakładu im. Ossolińskich«, dopokąd obojętność społeczeństwa nie zmusiła do jej zawieszenia. Pismo to pod jego redakcyą było jednym z najpoważniejszych i najlepszych czasopism polskich. Na też same lata przypadły wzorowe wydania i przedmowy do pism Żółkiewskiego, pamiętników Jabłonowskiego, Pszonki i innych.

Zajęty korektą 10-go arkusza trzeciego tomu »Pomników« w przeddzień uroczystego dorocznego posiedzenia Zakładu im. Ossolińskich,

na którem wedle zwyczaju miał składać sprawozdanie, zmarł nagłą śmiercią dnia 12 paźdz. r. 1876.

Zasługi B. jako poety przysłoniły pomniejsze prace historyczne, historyka znów przysłonił wydawca »Pomników«. Niemniej i w pierwszych dwóch dziedzinach B. utrwalił swe nazwisko w dziejach kultury polskiej. Jako poeta dzieli z innymi zasługę wprowadzenia tonu i form ludowej pieśni do literatury. Jako historyk odbija przełom umysłowości polskiej w Galicyi z jej doby twórczości poetycznej do pracy krytycznej i naukowej. Jako wydawca »Pomników« pozostanie w historyografii polskiej przedstawicielem najnowszego w niej zwrotu: od kompilatorstwa do ściśle krytycznego i metodycznego traktowania przedmiotu. B. zrozumiał potrzebę krytyki historycznej. Wziął sobie za zadanie sprowadzić naukę historyi na grunt umiejętny, porównawczo-krytyczny i zadania dokonał. Co za granicą dokonywają grona uczonych i instytucye publiczne, to zrobił on sam jeden z tak szczupłymi środkami.

BIBLIOGRAFIA.

I. Pisma Bielowskiego. »Poezye« (»Haliczanin« I. Lwów 1830) Przekład niektórych »Pieśni świeckich« i inne utwory (tamże II). »Wyprawa Igora na Połowców«. Poemat słowiański«. (Lwów 1833). »Marya«, powieść ukraińska Malczewskiego. Wydał z wiadomością o życiu autora... (Lwów 1833). »Marya«, powieść ukraińska Malczewskiego, tudzież drobne jego prace. Zebrał i dokumenta, objaśniające historyę Maryi, przyłączył i żywot pisarza skreślił... (Lwów 1838). »Antoni Malczewski, jego żywot i pisma«. Wydał... (Lwów 1843). »Ziewonia«, noworocznik, wydany przez... (Lwów 1834). »Ziewonia«, zebrał i wydał... (Praga 1838). »Dumki« (Bielowskiego i Siemieńskiego). (Praga 1838). »Pieśni serbskie« w »Pracach literackich«, wydanych przez Józefa Borkowskiego. (Wiedeń 1838). »Scena na murowanym mostku«. (»Tyg. Liter.«, Poznań 1839 i odb.). »Pienie liryczne Schillera«, poprzedzone jego żywotem i ozdobione 13-tu rycinami, wydał... (Lwów 1841; powtórne wydanie Lwów 1866). »Szymon Szymonowicz« (»Dzien. Mód«, Lwów 1847, drugie wydanie w »Bibl. Ossol.«, Lwów 1864, trzecie rozszerzone w »Pam. Akad. Um. wydz. hist.-fil.«, Kraków 1875). »Wiersz dziękczynny Janowi Szlachtowskiemu«. (Lwów 1849). »Poezye« (Petersburg 1855, stanowią część »Skarbczyka poezyi«). »Przypomnienie z podróży po kraju« (»Dzien. mód« 1846). »Rzeszów i jego okolice« (»Album Józefa Borkowskiego«, Lwów 1848). »Pokucie« (Dod. do »Czasu« z r. 1857). »Pamiątki trembowelskie« (»Kółko Rodzinne«, Lwów 1860). »Myśli do dziejów słowiańskich«. (»Tyg. Liter.« 1841). »Początkowe dzieje Polski«. (»Bibl. Ossol.«

1842 I). »Jadwiga ks. śląska« (»Dzien. mód« 1842). »Rzut oka na najdawniejsze pomniki naszych dziejów«. (Bibl. Ossol.« 1844, XI). »Królestwo Galicyi« (»Bibl. Ossol. « pocz. nowy t. I) »Halicko-Włodzimierskie księstwo, później królestwo«. (»Bibl. Ossol.« pocz. nowy t. IV). »Jan Mazepa i jego listy 1702—1705«. (»Bibl. Ossol.« pocz. nowy t. IV). »Wstęp krytyczny do dziejów Polski«. (Lwów 1850). »Pamiętniki Mikołaja Jemiołowskiego« wydał... (Lwów 1850). »Rzut oka na dotychczasową pierwotną historyę polską«. (»Bibl. Warsz.« 1851 i odb. Warszawa 1853) »Program wydania pomników historycznych polskich« (»Dzien. Liter.« 1852 i przedruk, Lwów 1859). »Biblioteki lwowskie« (»Dzien. Liter.« 1852). »Kiedy przybył Ruryk do Słowian?« (»Dzien. Liter.« 1852). »Pierwsze pomniki języka polskiego« (»Dzien. Liter.« 1853). »Pompei Trogi fragmenta« (Lwów 1853). »Paradoksa koronne publice i privatim, potrzebne szlachcicowi polskiemu, napisane w r. 1613, wydane przez... (Kraków 1853). »O archiwach familijnych« (Dod. tyg. »Gaz. Lwow.« 1854, nr. 43; »Czas« 1854 nr. 258 i »Dzien. Warsz.« 1854 nr. 306). »Grobowy napis Bolesława Chrobrego w Poznaniu« (»Bibl. Warsz.« 1857 IV). »Wtargnienie Mohameda IV do Polski« (Dod tyg. »Gaz. Lwow.« 1858 nr. 45—48). »Synowie Chrobrego« (»Pismo zbiorowe Ohryzki«, tom I, Petersburg 1859). »Pisma Żółkiewskiego Stanisława, kanclerza koronnego i hetmana, wydał... (Lwów 1861). »Pamiętnik Jana Jabłonowskiego« wydał... (Lwów 1862). »Łoboda i Nalewajko« (»Tyg. Ilustr.« 1861 i »Głos« lwowski, 1861 nr. 156). »Thiethmar« (»Dzien. Liter 1861). »Mistrz Wincenty i jego kronika polska«. (»Bibl. Ossol.« 1863 II). »Monumenta Poloniae historica«. Pomniki dziejowe Polski. (Tom I. Lwów 1864; tom II, Lwów 1872; tom III, Kraków 1876). »Odpowiedź na list otwarty Helcla« (»Bibl. Ossol.« 1865 VII). »Codex Zamoscianus« (»Bibl. Ossol.« 1866). »Genealogia książąt i królów polskich« (»Bibl. Ossol.«, 1866 IX i odb. Lwów 1866). »Św. Otto i jego żywociarze« (»Bibl. Ossol.«, 1868 XI; »Tyg. Ilustr.« 1869). »Skarb koronny i archiwum 1730 r.« (Bibl. Ossol.« 1869). »Spis zbieraczów i wyszczególnienie zbiorów Krzyżanowskiego« (»Roczn. dla arch.« 1870). »Wyniki badań najnowszych o mistrzu Wincentym Kadłubku i jego kronice«. (Kraków 1872). »Urodziny Bolesława Krzywoustego i śmierć matki jego, Judyty«. (»Przew. nauk. i liter.« 1872). »Pamiętnik Pszonki Jakóba«. (»Bibl. Ossol.« 1874 i odb., Lwów 1874). »Nowo wykryte poezye Sarbiewskiego«. (Bibl. Warsz.« 1876 IV).

II. Pisma o Bielowskim. Maciejowski Al. »Słowo o zamierzonem krytycznem wydaniu kronikarzy polskich«. (»Bibl. Warsz.« 1846 I). Lelewel J. »Ostatnie spojrzenie na Polskę wieków średnich z powodu dzieła Augusta Bielowskiego«. (»Polska wieków średnich«, t IV, Poznań 1851). Bartoszewicz J. »O pomysłach historycznych Augusta Bielowskiego«. (»Bibl. Warsz.« 1852 i odb., Warszawa 1852). Szajnocha K. »Miorsz czyli Dzierżwa jest-li pisarzem XI albo przynajmniej XII wieku«. (»Dzien. Liter.« 1854 nr. 30, 31 i 32). Guttschmit.

»Ueber die Fragmente des Pompejus Trogus« (1856). Helcel. »List otwarty do Augusta Bielowskiego o najdawniejszych nadaniach klasztoru Benedyktynów w Mogilnie«. (»Bibl. Ossol«, 1865 VI i odb. Lwów 1865). Brandowski. »O pomysłach lechickich pana Augusta Bielowskiego wobec filologii klasycznej«. (»Roczn. Tow. Nauk. Krak«, t. XV i odb., Kraków 1868). Zeissberg. »Vincentius Kadłubek« (1869). Grochowski W. »August Bielowski« (»Tyg. Ilustr.«, 1869 nr. 53 i 54). »Mowa sekretarza Akad. Um. J. Szujskiego na pogrzebie członka Akademii, Augusta Bielowskiego, 17 października miana«. (»Czas«, 1876 nr. 239). »Augustyn Bielowski« (»Czas«, 1876 nr. 253) »Szujski I. »Augustyn Bielowski« (»Przegl. Pol.«, 1876 IV). Świeżawski Ern. »August Bielowski«. (»Bibl. Warsz.« 1877 I). Kętrzyński W. »August Bielowski«. (»Ateneum«, 1877 IV). Wójcicki. »August Bielowski«. (»Kłosy«, 1877). Pawiński. »Pologne«. (»Revue hist.«, 1877 III). Zawadzki Wł. »Literatura w Galicyi«. (»Przew. nauk. i liter.«, 1877). Chmielowski P. »August Bielowski« (»Wiel. Encykl. Powsz. Ilustr.« t. VII). Rolle M. »August Bielowski«. »Album biogr. zasłużonych Polaków i Polek XIX w.«, Warszawa 1901). Czarnik Br. »Pierwsze utwory poetyczne Augusta Bielowskiego«. (»Spraw. Zakł. im. Ossol.« 1910 i odb., Lwów 1910). Tenże. »Daty z lat szkolnych Augusta Bielowskiego«. (»Pam. liter.«, t. XI i odb., Lwów 1911). Tenże. »Bielowski i Chłędowski. Kartka z dziejów umysłowości polskiej w Galicyi«. (Stulecie »Gaz. Lwow.« i odb., Lwów 1910). Recenzye »Pomników dziejowych Polski« — »Czas« (1864 nr. 198, 1865 nr. 32). »Sybels Hist. Ztschrift« (XVIII). Liske Ks. w »Przew. nauk. i liter.« (1873 I). Smolka St. w »Tyg. Illustr.« (1873) i w »Ateneum« (1879 IV). Kętrzyński W. w »Tyg. Ilustr.« (1881). L. T. w »Gaz. Lwow.« (1884 nr. 211). Polkowski w »Przegl. Pozn.« (1885 I). Prochaska w »Atenem« (1886 II). Bostel w »Przegl. Pozn.« (1889 IV) i Z. L. w »Ateneum« (1889 I.)

A) Pieśń o Henryku Pobożnym.

»Ziewonia«, r. II, wyd. II pomnożone. Altenberg, w tłoczni Silbermana 1839.

A więc pocznijmy pieśń, wedle osnowy zdarzeń.

930) A książę Henryk wyruszał z Lignice,
Klęczał i modły słał k'Bogarodzice;
Bił pierś żelazną, a mury kościoła
Zwolna odjękły, i cisza dokoła;
A gdy za siodło twarde ima ręka,
Zachrzęści zbroja i szabla zaszczęka.

Padł z wieży kamień i, w ziemi zastrzęgły,
Wstrząsnął pierzasty hełm i gmachu węgły.
Na Dobrem-polu jaskółki się zbiegły
W rumianym wschodzie witać wiosnę młodą,
Przejrzystą Nysy przemykać się wodą,
I lekkiem skrzydłem skrążać smug rozległy.
Krótko swobodnym cieszyły się lotem,
Krótko przejrzystą muskały powierzchnię,
Bo już chmurami wiosny ranek mierzchnie,
I groźny piorun odzywa się grzmotem.
Jak z gór Beskidu zstępujące bory,
Tatar szeroko rozbija tabory,
I równe pole i przyległe wzgórki
Zjeżył oszczepy i zaczernił burki.
Nim w bój poskoczy i zawiśnie strzałą,
Poczet tam wróżków pracował niemało
I czytał znaki po podniebnym sklepie,
A w kole skakał oszczep przy oszczepie.
Od pól lignickich jasna łuna gore,
To Henryk wojska zszykował na czworę.
Cztery stron świata, i czterma ramiony
Rozrasta drzewo, którem świat zbawiony.
Z podniosłem sercem huf hasa na czele,
Leci w otwarty bój, jak na wesele;
Dumny, bo zaszczyt spotkał go niemały:
Pierwszy za wiarę w wrogach utkwi strzały,
Pierwszy kopije skruszy i oręże
Wyszczerbi pierwszy, i pierwszy polęże;
Wraz na zastępy natarł w imię Boże,
I wraz potarty, jak od gradu zboże.
Skinął wódz, gromem dwoje spada ramię,
W szyki pohańców uderza i łamie:
Z dwiema tam wojski dwa biją hetmany,
Z Ślęzaki Miecław, Gryf z Małopolany;
Padł wtóry zastęp i trzeci się chwieje,
Szatańskie igry stroją czarodzieje:
Przebiegły Jarun w lackie bieżał szyki,
(Wszelki kształt weźmie i wszemi języki
Przemówi) stanął, drobne iskrzą ślepie;
Kreśli znak, wargą sprośne słowa trzepie.
Krzyknął »Behajte!« Zawrzasło z pod ziemi,
I wichry słupy hasają szaremi.
Bił Gryf i hufy w nowy wodził taniec,
Miecław ze swemi pierzchł, jak opętaniec.
»Gorze!« w rozpierzchły tłum miota się ślepo
Tatar, brodaty huf tam wiedzie Peto:

Krzyż mu u piersi puklerzem, a wsporem
Czworakich ramion mężny wódz z taborem.
Żwawo się wodzą zapasy, aż trzeci
Pohańców zastęp z wiatry się rozleci,
A wraz ostatni mnogiemi oręży
Obsacza Henryk... zwycięży! zwycięży!

Na wiatr długiemi podlatuje skrzydły
Sztandar, nie sztandar, potwórno przebrzydły:
Skośnemi łapy rozparł się u spoda
Wiatrak, u góry czarne łbisko, czarna broda,
Zarem mu oczy płonęły, a z garła
Szła noc, i wkoło kiry rozpostarła;
Podziwem zjęte hufy osłupiały,
A grzmią tatarskie szable, świszczą strzały.
Wzniósł imię Pańskie, okiem wzgardy zmierzył
Marę, i z pocztem o tłum się uderzył
Henryk; szeroko szczęk się rozległ stali,
Długa kopija wrogów o ziem wali,
Zdeptał huf przedni i w środek się porze;
Gęste go tłumy połknęły, jak morze.

*

Gdy grom z łoskotem uderzy na lesie,
Ufny swym skrzydłom orzeł szponę niesie,
Gdzie się trą chmury i piorun przyświeca;
Chętniejsza ciszy domowej orlica
Spatruje drzewo, co jej serce więzi,
Troskliwie w jego usiada gałęzi,
Miękkiemi puchy kryje pisklę młode
I bacznem okiem czuwa na przygodę.
W gmachu, co chwałą brzmi Maryi Syna,
Siedziała Piastów strapiona rodzina,
Od wrzawy przygód, od niedoli chmury
Wiara ją swemi osłoniła pióry.
Ujrzysz tam w niewiast bogobojnych gronie
Dwie wpół rozkwitłe dziewki: ogniem płonie
Łzami zwilżone oko, na lic świeży
Nierzadko z serca wesoła myśl bieży;
Tak w płochych chwilach kwietniowej pustoty
Z pod drobnych chmurek wypiera dzień złoty.
Tuż przy nich Anna: często w rysach dzieci
Topi wzrok smutny, myśl daleko leci,
I Boże nad nią przemyka się słowo,
Jakby je dusza słuchała połową.

Klasztorną ciszę przeważnie przerywa
Pokutnym psalmem pani świętobliwa,
Jadwiga: cała w Bogu, a jej ciało
Postem i modły jak wosk pożółkniało.
Lecz z przejrzeń Pańskich kryje ta powłoka
Nadludzką duszę: w ognisku jej oka
Zbiega się wszelka przestrzeń, w ducha sile
Przeszłość i przyszłość w jedną spływa chwilę;
Nieraz zdawnione upory rozwadza
Miękkiemi słowy, cudna słów jej władza!
Nieraz z boleścią na niezbożnych woła,
Wskazuje zgubną przyszłość, śmierć warchoła;
Nie powstał z grzechu, lekce wziął jej słowa:
Padł nań gniew Pański, i przepłacił głową;
Tak zawsze lekkość słuszna kara sięga.
Czytała w słowie Bożem, przed nią księga,
Skarbnica duszy, twór pracy niezmiernej
Natchnionych myśli i ręki misternej,
W sprawionych szykach idzie ścieg po ściegu,
Niejedna czcionka jak wódz świeci z brzegu;
Umny tam pisarz w świętobliwej skrusze
Przedziwną sztuką ku Bogu wiódł dusze,
Ożywiał słowo myśli swej polotem,
Barwił postacie i rozświecał złotem.
Dziw-to niemały, oko się wpatrywa
W rozliczne kształty: tu nielitościwa
Śmierć ostrą kosą kosi i rozszerza
Długiemi płetwy skrzydła nietoperza.
Smutny widoku! ówdzie wstał, jak żywy,
I bije skrzydłem gryf, ptak osobliwy;
Tam bicz na grzeszne i groza dla oka,
Wyjrzał straszliwy łeb i paszcza smoka,
I bucha płomień i pary nieczyste,
Bije nań z góry krzyż i imię Chryste...

Natchniony umysł zbiera się, powstała,
Nadziemskim ogniem jej źrenica pała:
»Siostry, podnieście żale syonowe!
»Nowa ofiara winy gładzi nowe,
»Morze łask Pańskich wyczerpane ze dna,
»Do łask nam powrót krew niewinna jedna:
»Oto pogański zwycięsko powiewa
»Sztandar, padł owoc szlachetnego drzewa,
»Chrześcijan rzesza ze szczętem zwalczona,
»Krwią się krzyżowe oblały ramiona;

»Mężnie wódz pełni wyrok, samotrzeci,
»Kona śmiertelny bój; módlcie się, dzieci!
»Wkoło go zgraja otacza zjadliwa,
»Wzniósł ramię, walczy, włóczń mu pierś przeszywa...
»Synu!...«
Donośniej, wnet głuszej i głuszej
Padał głos, dziko rozlega się w duszy,
Lęk i truchliwość obleci gmach cały;
Oczy i lica łzami się zalały,
Jęki i łkania powstają i rosną,
I wnet na całe rozlały się Krosno.

*

Na błoniu, gęsto trupami zasłanem,
Ucztuje Peta zwycięski z Kajdanem:
Końskich tam pieczeń dostatkiem, a rzeką
W bawolich rogach końskie płynie mleko;
Nim się dostatnią rozdzielą zdobyczą,
Obeszlą pole i poległych liczą:
Z ostremi noży poczet idzie skory
Po jednem uchu tnie i składa w wory;
Uczta skończona, wniesiono ze zbiorów
Książęcą głowę, uszu dziewięć worów.

W czerwonym wschodzie gasła zorza ranna,
Nad trupem siedzi pochylona Anna,
Skrzepłe ramiona i zsiniałą szyję
Ściska i łzami rozdartą pierś myje:
»Krwawo, o krwawo przyświecasz mi rano!
»Zbolałą piersią czuję pierś kochaną,
»Ramię spotyka ramię, a źrenica
»Rozdarte serce, ni oczu, ni lica...«

Na Dobrem-polu bujno rośnie kwiecie,
Wzgardzi niem płochy, niezbożny przygniecie,
Ale z uczuciem uszczknie je mąż Boży
I w wonnym wieńcu na ołtarzu złoży.
Mężnym, co legli w imię Zbawiciela,
Wiecznie się błonie murawą zaściela,
I wonne rosną kwiaty, a dla Piasta
Ołtarz w wrocławskiej świątnicy wyrasta;
Pobożna ręka we wieńce go stroi,
I patrz, powstaje walecznik we zbroi:
To on, toż czoło, ta źrenica modra,
Na zbrój opadły kędzior, kord u biodra.

Sążnista w krzepkiej prawicy kopija,
Zdeptany Tatar pod nim w kłąb się zwija;
Błogo po burzy przyświeca zaranie,
A wkoło księża pieją zmartwychwstanie.

B) Wstęp krytyczny do dziejów Polski.

Nakł. Wł. hr. Dzieduszyckiego. Lwów. Druk. Zakł. Narod. Ossol. 1850.

Księga pierwsza.

931) *[Str. 3].* Z każdym dniem rozszerza się zakres historyi. Narody, mające byt polityczny i świetną przed sobą obecność, zajmują się zwykle z wielkiem upodobaniem tą częścią dziejów, która się przed oczyma teraźniejszych pokoleń rozwija; dla tych, które bytu politycznego nie mają, dzieje dawniejsze mają szczególniejszy pociąg: ich rozpamiętywanie zastępuje im poniekąd to, czego im odmówiła chwila obecna, a rozpoznając przyczyny wzrostu lub upadku narodów, krzepią się nadziejami lepszej przyszłości. I ta część dziejów nie stoi na jednem miejscu, ale wciąż nowym plonem przyrasta, a przyrasta w sposób dwojaki: wykrywają się nowe źródła, które dotąd niepostrzeżenie leżały; i dawne, powszechnie znane źródła podciągają się pod nowe roztrząśnienie, którego wynik zmienia niekiedy zupełnie istotę tego, co dotąd za prawdę uchodziło, lub pośpiesznie zaliczone zostało do bajek. W tym ostatnim względzie pamiętne po wszystkie czasy będą przykłady, dokonane niezbyt dawno na dziełach Manetona i Sanchuniata; a i w nowożytnej historyi wskazaćby można niejeden pomnik, któremu długo zaprzeczaną ważność po bliższem rozpatrzeniu przyznano. Może więc historyk jedne i te same dzieje opowiadać zupełnie inaczej od swego poprzednika, chociażby w przeciągu czasu, jaki między nim a tamtym zachodzi, żadnych lub tylko mało znaczące źródła wykryto: wszystko to zależy od dokładniejszego rozpoznania, od przenikania myślą tych źródeł, która to czynność bardzo wiele stopni dopuszcza.

Duch ludzki ma tu podobieństwo z promieniami słońca, które chociaż się nad jedną i tą samą okolicą przesuwa, na-

stręcza jednak oku dostrzegacza w rozmaitych chwilach nieskończone pasmo różnic w jej widoku, począwszy od rannego brzasku i śród błękitów chmurami przetykanych, aż do rozpogodzonego, a letnim żarem gorejącego południa.

Rzuciwszy okiem na historyę polską od czasów najdawniejszych aż do dnia dzisiejszego, dostrzega się w niej takie same zmiany, jakim w powszechności historya w Europie ulegała. Był czas, w którym składała się z luźnych zdarzeń, zaciągnionych do ksiąg pod swoim rokiem. Później wyrabiano z nich powieść ciągłą, jak przędzę z włókien pojedynczych. Od ośmiu przeszło wieków występowali w Polsce mężowie, którzy dzieje narodowe opowiedzieć starali się, każdy z nich miał mniej lub więcej prawdę na celu; ale pojmowanie jej zmieniało się według zdolności, według światła i usposobień opowiadacza, a każdy wiek nastręczał takiemu opowiadaczowi inne kłopoty i zwracał w inną stronę główne jego usiłowania. W wieku XI i na początku XII, kiedy historyczny materyał składał się po większej części z urywkowych zapisków, które w księgach klasztornych i po ich okładzinach trzeba było wyszukiwać mozolnie, kłopotano się głównie tem, jak z tych martwych rejestrów usnuć powieść jednolitą, którąby jakowyś obraz życia narodu przedstawiała: przed tem głównem zadaniem ustępowała na stronę chronologiczna dokładność, i proste nawet następstwo zdarzeń w opowiadaniu zdawało się rzeczą podrzędną i mniej potrzebną, zwykle bowiem przy kronice dopisywano rocznik, z którego zainformowałeś się o datach. W wyrabianiu tedy ciągłego opowiadania z dat rozpierzchnionych i przy coraz większem udoskonaleniu powieści, przybywało niejedno dla krągłości, dla ozdoby lub ożywienia obrazu, a w miarę jak zyskiwała formę, prawda dziejowa bladła i mgłą się powlekała. Po rocznikarzach i opowiadaczach nastał wiek historyografów, którzy z jednej strony wyśledzone jeszcze tu i ówdzie przerwy w dziejach erudycyą z całego świata nadstawiając, z drugiej strony zaś pełniejszą powieść dziejową ze ścisłością chronologiczną połączyć usiłując, dawali narodowi dzieła, rozmaitością opowiadania zajmujące, ale w pojaśnieniu dawniejszych zdarzeń rzadko szczęśliwe. Ojcem i wzorem takich historyografów jest u nas Długosz, z nim przeszła historya polska w nową epokę, i za-

częto już z góry poglądać na roczniki proste i kroniki, które coraz więcej szły w zaniedbanie.

Przyszedł nakoniec czas większej rozwagi nad historyą, czas wytrawniejszej krytyki. Pod koniec XVIII wieku postrzeżono, że płynne i choćby najzręczniej snowane opowiadanie nie zastąpi prostej i na dowodach opartej prawdy, która sama jedna jest celem historyi. Nie zapoznawano wprawdzie i tego, że historya głównie na współczesnych świadectwach oraz na kombinacyach opierać się powinna, a wszystko, co pochodzi z czasów późniejszych, może w niej warunkowe tylko zajmować miejsce; ale niepodobieństwem było przyjść naraz do tak pojmowanej historyi; aby się nawet choć cokolwiek do niej zbliżyć, trzeba było podejmować trudy olbrzymie. Przez kilka bowiem wieków, w których kolejno to rocznikarze, to kronikarze, to historyografowie występowali, zbierano i przepisywano ich dzieła, nie mając innego celu na względzie, jak tylko własną dogodność. Jeżeli rocznik lub kronika kończyła się na zdarzeniach dawniejszych, nie zaniedbano dodać do nich wypadki nowsze, sklejając dwa, trzy lub więcej dzieł z różnych czasów i różnego pióra w jedno, częstokroć własne postrzeżenia wmieszawszy. Gdy tedy rzadkie autografy i spółczesne odpisy naszych kronik to w domowych nieszczęściach, to w zaburzeniach publicznych ginęły, wyrabiały się z nich tymczasem, w powyższy sposób, dziwne amalgamata, podobne swoim różnorodnym składem do wykopalisk, co to zdaleka uważane, mają pozór jednorodności, a w których, przy troskliwszem rozpoznaniu, okazują się pogmatwane szczątki ze świata roślinnego, kruszcowego i zwierzęcego. Twardo szło odszukanie dawnych historycznych polskich pisarzy; twardziej nierównie rozpoznanie i oczyszczenie ich tekstu. Wziąłeś do ręki dzieło najgłośniejszego z pomiędzy kronikarzy, Kadłubka, plątał ci myśl bezustannie jego komentator, i trzeba się było mieć na baczności, aby nie powiedzieć z Mikołajem Chwałkowskim, że Kadłubek pisał za czasów Warneńczyka. Otworzyłeś księgi Gawła, uderzały cię cuda świętego Stanisława, kanonizowanego w r. 1253, nasuwał się tedy wniosek najwidoczniejszy, że Gaweł pisał dopiero w drugiej połowie wieku XIII. Chciałeś się poznać z kroniką Bogufała, trafiłeś na Godysława Paska, który do poważnej jego su-

tanny różnobarwnych łat i świecideł nawieszawszy, rozsądnego biskupa na błazna wystrychnął.

W takim to czasie zamętu i powikłania historycznych źródeł otrzymał Naruszewicz polecenie od króla pisać historyę narodu. Znaczna część pomników historycznych była jeszcze nieodszukana, żaden dawniejszy kronikarz nie wydany krytycznie, brakło nawet prac przygotowawczych ku temu. Niedość więc było naszemu historykowi zająć się porównaniem świadectw i z wyższą myślą rozpoczynać budowę narodowej historyi; sam on musiał pierwej przysposabiać materyał, sam gruz niezdatny wydzielać i ociosywać kamienie. Historyę pierwiastkową narodu, jako potrzebującą długich i wyłącznych studyów, odłożył na czas późniejszy, a ująwszy wątek dziejów u Mieczysława I, gdy mu i odszukaniem pomników i oczyszczeniem i rozświeceniem ich treści za pomocą wyższej krytyki zająć się przychodzi, dawała się zanadto uczuć potrzeba oprzeć myśl, wątpliwościami strudzoną, o jakowąś powagę. Taką powagą wydał mu się Długosz, i na tle jego sadowi i rozprowadza część największą swojej historyi. Atoli dziś wiadomo, że Długosz, z bardzo małym może wyjątkiem, nie miał pod ręką żadnych innych źródeł, jak te, które nas doszły; a gdy takowe z jego słowami porównywamy, daje się dostrzedz i to, że Długosz niezawsze był szczęśliwy w zrozumieniu świadectw dawniejszych. Powaga więc jego nie daje nam żadnej rękojmi w rzeczach, które wiek jego wyprzedziły.

Miał jednak Naruszewicz niejedno, czego mógłby mu słusznie zazdrościć dzisiejszy polski historyk. Polska za jego czasów miała byt polityczny, a rządził nią król światły i jeden z najgorliwszych wspieraczy nauk. W rozległych ziemiach Polski mnóstwo było bibliotek, a między temi sławna biblioteka Załuskich, nietknięta jeszcze ręką zaborcy. Biskupowi, na rozkaz królewski historyę narodu piszącemu, wszystko to stało otworem, i wszędy tak po publicznych jak i prywatnych książnicach na skinienie jego odpisywały się i gromadziły najrzadsze pomniki dziejowe kosztem królewskim. Przy takiej zewnątrz pomocy, a nadzwyczajnie trzeźwym rozsądku, którego ogrom erudycyi stępić nie zdołał, i którym po dziś dzień nad zapaśnikami swymi góruje, dokonał szczęśliwie dzieła, które jak było wów-

czas jedyne w swoim rodzaju na całej przestrzeni zamieszkanej przez Słowian, tak też sprawiedliwe odbierało ze wszech stron uwielbienie. Na wzór to jego zażądali mieć historyę rozległego swojego państwa carowie rosyjscy, a Karamzyn uczył się języka polskiego, żeby mógł czytać Naruszewicza. Ale obok poklasków i pochwał, jakie tak to dzieło, jak i powinowate mu dzieło Tadeusza Czackiego budziło i budzi dotychczas, znalazł uznanie swoje w narodzie i głos ostrzegający: że Naruszewicz i Czacki nadużywają poważnego słowa świadectwa, stosując je częstokroć do pisarzów o dwieście i więcej lat późniejszych.

Upadek Polski zadał cios historycznym poszukiwaniom. Mnóstwo pomników źródłowych zostało wywiezionych za granicę lub zatraconych. Trzeba było tej nadzwyczajnej sprężystości ducha, jaką naród nasz w ciągu nieszczęść swoich rozwija, aby mimo tylu klęsk w latach następnych, nietylko rozszerzyć prace, które Naruszewicz rozpoczął, ale nadto rzucić niektóre zarysy do przyszłej, świetniejszej dziejów budowy. Uczeńsi zawiązawszy się w Towarzystwo Przyjaciół Nauk warszawskie, ratowali to, co uratować było można. Członek tego towarzystwa, Tadeusz Czacki, zbadał w uczonem dziele o Prawach litewskich i polskich, najważniejszą część dziejów i zapowiedział wydanie Gawła kroniki, przez siebie w rękopisie nienadwerężonym odszukanej. Przyrzeczenie to ziścił w lat dwadzieścia później Jan Wincenty Bandtkie. Wielu innych członków dopełniało historyę polską, przez Naruszewicza zaczętą, panowaniami pojedynczych królów, a Wawrzyniec Surowiecki zajął się zbadaniem pierwszego okresu naszych dziejów, pominionego najpierw przez Naruszewicza, a w rękopisach pośmiertnych skreślonego dorywczo. Długoletnia ta praca, z rozległą erudycyą i w sposób naukowy przeprowadzona, zwróciła na się uwagę uczonego Czecha P. J. Szafarczyka, który też ją w przerobieniu niemieckiem ogłosił, i dała mu popęd do przedsięwzięcia rozleglejszych jeszcze badań na tem polu, złożonych w dziele »Slowanske starožitnosti«.

Odmienny charakter noszą w tym okresie prace Lelewela. Przejęty wysokiem wyobrażeniem o powołaniu historyka, czuł on najlepiej niedostatki dzieła Naruszewiczowego, i nietyle więc

wkładał usiłowania swoje w dopełnianie zaczętej przez tamtego historyi, jak raczej w to, aby same źródła dziejów polskich wykryć, wyjaśnić i zrobić dostępnemi dla powszechnego użytku. Zwracał tedy bezustannie uwagę narodu to na najdawniejsze roczniki polskie, po różnych rękopisach znajdujące się, to na ruskie latopisy, zasobne w materyał do dziejów Polski, a przez Naruszewicza prawie nietknięte, to na niedrukowane dotąd kroniki; jego to przynaglenia spowodowały ostatecznie Towarzystwo do wydania kroniki Gawła po dwudziestoletniem ociąganiu się. Gdyby większość członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk wychodziła była z tej zasady, Towarzystwo, w którego ręce każdy rodak rad powierzał dziejowe pomniki, a jako opieką trzech monarchów zaszczyconemu, ledwo jaki rękopis czy to z Petersburga, czy z Królewca, czy z Wiednia nie mógł być dla naukowego użytku dostawiony, — mielibyśmy dziś mniej wprawdzie o panowanie jednego lub drugiego z naszych królów, co wszakże nie byłoby stratą nie do wynagrodzenia, aleby były uratowane dla narodu najcenniejsze źródła polskiej historyi, które dziś, rozpierzchnione i oku Polaka po większej części niedostępne — butwieją. Towarzystwo nietylko że się tem nie zajęło, ale i własne niektóre rękopisy, jako to: najstarszy kodeks kroniki Wincentego i kodeks kroniki Miorsza, powierzyło do wydania człowiekowi, który wyobrażenia nie miał o tem, jak takie pomniki drukować się powinny. Ogłaszał Lelewel od czasu do czasu postrzeżenia swoje we względzie narodowych dziejów, rozświecając w nich rozmaite pytania na podstawie zeznań współczesnych; mnóstwo takich rozprawek i rozpraw rozrzucone było po pismach peryodycznych; część ich pokazała się nawet w języku niemieckim, tłumaczona przez Lindego, a Ryszard Röppel, układając w naszych czasach rozsądnie i umiejętnie polską historyę, miał już pod ręką niejedną wyśmienitą pracę przygotowawczą, na jakich Naruszewiczowi całkiem zbywało.

. . . . . .

...Chcącemu dziś pisać dzieje narodu polskiego, któreby nie były powtórzeniem cudzych dzieł, ale powieścią własną, na sumiennem zbadaniu świadectw i trafnych kombinacyach opartą, a przedstawiającą życie narodu jako ruchomy obraz ciągłych

przyczyn i następstw, na większy rozmiar wypracowany i zamożny w wielostronne widoki, jest rzeczą niezbędną podciągnąć pod nowe roztrząśnienie źródła tych dziejów, a przedewszystkiem te, które sam wywód czyli początki narodu obejmują. Praca ta, sama z siebie mozolna, tem mozolniejsza jest u nas, gdzie tyle jeszcze pomników źródłowych w rękopisach ukrywa się, a ledwie jeden kronikarz wydany jest krytycznie. Wstępna ta praca potrzebuje zazwyczaj wielu lat i niemałych natężeń, jeśli choć w części ma odpowiedzieć zamierzonemu celowi: cokolwiek bowiem zawierać się ma w samem wyłuszczeniu dziejów, to wszystko musi w niej mieć swoją podstawę, a ta skoro jest chybiona, skutki tego chybienia muszą być w całem dziele widoczne.

Od wielu lat zajmowałem się rozpoznawaniem źródeł do dziejów Polski. Z drukowanych kronik szedłem do rękopisów, bacząc pilnie na zachodzące między nimi różnice.

Brak w blizkości biblioteki, w którejby źródła do naszych dziejów początkowych w znaczniejszej przynajmniej ilości były zgromadzone, mocno mi się czuć dawał, stawiając nieprzezwyciężone moim poszukiwaniom przeszkody. Przedsiębrać dalsze w tym celu podróże nie pozwalały mi środki, a przez bardzo długi przeciąg czasu nawet mi ich robić było nie wolno. Wypadało ograniczyć się na samej korespondencyi. Lata upływały, nim od przełożonego tej lub owej biblioteki, lub mającego łatwy wstęp do niej, udało mi się wypukać przychylniejszą odpowiedź, która mi jeden lub drugi szczegół znajdującego się tam rękopisu pojaśniała. Nakoniec zmieniły się okoliczności do tyle, że mogłem w tym celu nietylko przejeżdżać się do miejsc ode Lwowa bliższych, ale i do Krakowa, do Warszawy i Wilanowa dojechać. Przy ponawianych tedy usiłowaniach, szczegół ze szczegółem zestawiając, przyszedłem po latach dwunastu do pewnych wyników nad ogółem tych źródeł, i część ich, do pierwszego okresu dziejów Polski odnoszącą się, tu kładę. Czytelnik, obeznany z tą gałęzią piśmiennictwa u nas, łatwo obaczy, co w tej książce jest owocem własnych moich zachodów, a co od poprzedników moich przejąłem.

Opracował TAD. KUPCZYŃSKI.

BIBLIOTEKA Wyższej ... Krakowie

DYREKCJA PAŃSTWOWEGO SEMINARIUM PEDAGOGICZNEGO W KRAKOWIE